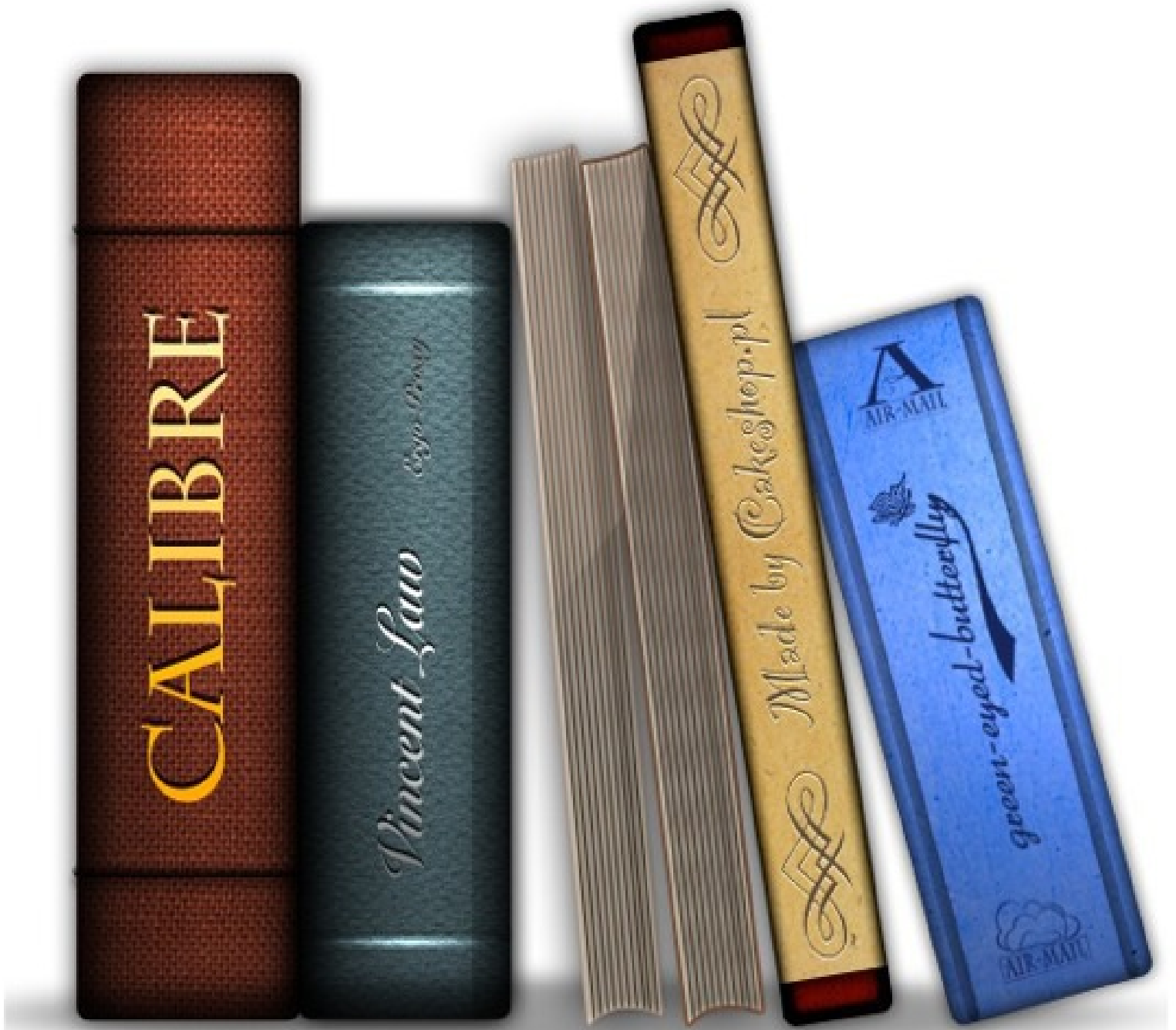


08.Cussler Clive

Cyklop (1986)



calibre 0.8.15

Clive Cussler

Cyklop

Przekład Jacek Manicki

Cyclops

Wydanie oryginalne: 1986

Wydanie polskie: 1998

Ośmiuset Amerykanom z transportowca "Leopoldville", którzy zginęli wraz ze statkiem u wejścia do portu Cherbourg w Wigilię Bożego Narodzenia 1944 roku. Zapomnianym przez wielu, przez nielicznych wspominanym.

Prolog

5 marca 1918 Morze Karaibskie

Cyklopowi pozostała niespełna godzina życia. Jeszcze czterdzieści osiem minut, a stanie się wspólnym grobowcem trzystu dziewięciu osób - pasażerów i załogi. Pośród, jak na ironię, pustego morza i pod diamentowo czystym niebem nastąpi nie przewidziana i niczym nie zwiastowana tragedia. Nawet mewom, które przez ostatni tydzień podążały uparcie kilwaterem statku to nurkując lotem błyskawicy, to znów szybując z ospałą obojętnością ponad falami, dobra pogoda przytępiła silnie wyczulony instynkt.

Od południowego wschodu wiała lekka bryza ledwie poruszając amerykańską flagą wywieszoną na rufie statku. O trzeciej trzydzieści nad ranem większość nie pełniących wachty członków załogi i pasażerów spała. Kilka osób, którym parna duchota pasatów nie dawała zmrużyć oka, stało na górnym pokładzie i opierając się o reling obserwowało, jak dziób statku tnie z sykiem wybrzuszącą się leniwie masy wody. Główne natarcie morza zdawało się szykować pod gładką powierzchnią, gdzie w głębinach wzbierały potężne siły.

W sterówce *Cyklopa* porucznik John Church gapił się półprzytomnie przez jeden z wielkich okrągłych iluminatorów. Miał psią wachtę od północy do czwartej rano i nie przychodził mu do głowy inny sposób walki z sennością. Poprzez mgłę otępienia rejestrował, że fale rosną, dopóki jednak były rzadkie i niezbyt strome, nie widział powodu do redukcji szybkości.

Ciężko wyładowany węglowiec, popychany sprzyjającym prądem, włókł się mimo to z szybkością zaledwie dziewięciu węzłów. Jego maszyny stanowczo wymagały kapitalnego remontu i w tej chwili pracował tylko lewy motor. Prawy nawalił wkrótce po wypłynięciu z Rio de Janeiro i pierwszy mechanik zameldował, że maszynę można naprawić dopiero po wejściu do portu Baltimore.

Porucznik Church piał się mozolnie po szczeblach kariery osiągając w końcu stopień oficerski. Był chudym, przedwcześnie posiwiałym mężczyzną pod trzydziestkę. Pływał już na wielu różnych statkach i cztery razy okrążył kulę ziemską. Ale *Cyklop* był najosobliwszą jednostką, z jaką się zetknął w ciągu dwunastu lat służby w marynarce wojennej. Odbывał na tym ośmioletnim statku swój pierwszy rejs, w trakcie którego zdążyło już zajść kilka dziwnych incydentów.

Zaraz po opuszczeniu przez statek portu macierzystego prawa śruba posiekała na miazgę marynarza, który wypadł za burtę. Potem doszło do kolizji z krążownikiem *Raleigh*, z której obie jednostki wyszły z lekkimi uszkodzeniami. Bryg miał na pokładzie pięciu więźniów. Jednego z nich, skazanego za brutalne zamordowanie kolegi z tego samego statku, odstawiano do więzienia marynarki wojennej w Portsmouth w stanie New Hampshire. Wpływając do portu Rio Harbor, statek był o włos od wejścia na rafę, a kiedy pierwszy oficer zarzucił kapitanowi narażenie statku na niebezpieczeństwo

wskutek zmiany kursu, nałożono nań areszt i zakazano opuszczania kajuty. Do tego dochodziły nieustanne problemy z silnikiem prawej burty, utyskująca załoga i zapijający się do nieprzytomności kapitan. Kiedy Church podsumował w myślach te niefortunne zdarzenia, dręczyło go przecucie naciągającego nieszczęścia.

Z ponurej zadumy wyrwał go dobiegający z tyłu odgłos ciężkich kroków. Odwrócił się i zeszywniał na widok kapitana przekraczającego próg sterówki.

Komandor porucznik George Worley był postacią żywcem wyjętą z kart powieści "Wyspa skarbów". Brakowało mu tylko przepaski na oku i drewnianej nogi. Budową przypominał byka. Szyi właściwie nie miał, a jego wielka głowa zdawała się wyrastać wprost z ramion. Ręce o dłoniach tak potężnych, że rozmiarem mogły się równać z tomem encyklopedii, zwisały luźno wzdłuż tułowia. Worley nigdy nie przejmował się zbytnio regulaminem marynarki wojennej i nosił zazwyczaj na pokładzie uniform złożony z laczków, małego kapelusika oraz bielizny. W przepisowym mundurze Church widywał kapitana tylko podczas postojów *Cyklopa* w portach, kiedy Worley schodził na brzeg w sprawach służbowych.

Z chrząknięciem, które miało zastąpić słowa powitania, Worley podszedł do barometru i postukał w szybką wielkim knykiem. Wpatrywał się kilka sekund we wskazówkę, po czym skinął głową.

- Nie tak źle - powiedział z lekkim niemieckim akcentem. - Wygląda na to, że na następne dwadzieścia cztery godziny mamy spokój. Przy odrobinie szczęścia morze będzie gładkie jak stół, chyba że da nam popalić podczas mijania przyłądka Hatteras.

- Każdemu statkowi daje popalić przy przyłądku Hatteras - mruknął bezbarwnie Church.

Worley wszedł do kabiny nawigacyjnej i popatrzył na wykreśloną ołówkiem linię wyznaczającą kurs *Cyklopa* i jego przybliżoną pozycję.

- Zmienić kurs o pięć stopni na pomoc - polecił wracając do sterówki. - Opłyniemy Wielką Ławicę Bahamską.

- Już jesteśmy dwadzieścia mil na zachód od głównego kanału - zauważył Church.

- Mam swoje powody, by unikać uczęszczanych szlaków żeglugowych - odparł szorstko Worley.

Church dał po prostu znak głową sternikowi i *Cyklop* wszedł w zwrot. Ta niewielka zmiana kierunku sprawiła, że fale nacierały teraz na dziób od lewej strony i statkiem zaczęło silnie kołysać.

- Nie bardzo mi się podoba stan morza - stwierdził Church. - Fale robią się jakby bardziej strome.

- To częste na tych wodach - odparł Worley. - Zbliżamy się do miejsca, gdzie Prąd Północnorównikowy spotyka się z Prądem Zatokowym. Widywałem tu już powierzchnię płaską jak stół, a kiedy indziej wysokie na dwadzieścia stóp fale, przepiękne bałwany wślizgujące się pod kil.

Church zaczął coś mówić, ale przerwał i nadstawił ucha. W sterówce rozległ się zgrzyt metalu szorującego o metal. Worley zdawał się niczego nie słyszeć, ale Church podszedł do tylnego bulaja i

wyjrzał na długi pokład ładunkowy *Cyklopa*.

Jak na owe czasy był to wielki statek. Miał 542 stopy długości i 65 stóp szerokości. Zbudowano go w Filadelfii w roku 1910 i pływał w służbach pomocniczych marynarki wojennej wchodzących w skład Floty Atlantyckiej. W siedmiu przepastnych ładowniach mogło się pomieścić 10 500 ton węgla, ale w tym rejsie przewożono w nich 11 000 ton magnezu. Kadłub grzął głęboko w falach, a zanurzenie o dobrą stopę przekraczało znak Plimsolla. Zdaniem Churcha statek był niebezpiecznie przeciążony.

Spoglądając w kierunku rufy Church rozróżniał majaczące w ciemnościach dwadzieścia cztery żurawie do bunkrowania węgla z gigantycznymi dwuszczkowymi chwytakami zabezpieczonymi na wypadek pogorszenia się pogody. Dostrzegał tam coś jeszcze.

Pokład w okolicach śródokręcia zdawał się unosić i opadać w rytmie przechodzących pod kilem fal.

- Boże - mruknął. - Kadłub przegina się na falach.

Worley nie zadał sobie nawet trudu, by spojrzeć.

- Nie ma się czym przejmować, synu - burknął. - Niewielkie naprężenia mu nie zaszkodzą.

- Nigdy nie widziałem, żeby statek tak się naddawał - nie ustępował Church.

Worley opadł w wielki trzcinowy fotel, który trzymał na mostku, i wsparł nogi o szafkę na busole.

- Synu, nie martw się o starego *Cyklopa*. Będzie żeglował po morzach i oceanach, kiedy nas już dawno nie będzie na tym świecie.

Beztraska kapitana nie rozproszyła niepokoju Churcha. Wzmogła tylko dręczące go od jakiegoś czasu przecucie zbliżającego się nieszczęścia.

Przekazawszy wachtę innemu oficerowi, Church zszedł z mostka i zatrzymał się w kabinie radiowej, by wypić filiżankę kawy z dyżurnym radiooperatorem. Gdy wchodził, radio, jak na każdym statku nazywają fachowca od łączności bezprzewodowej, podniósł na niego wzrok.

- Dzieńdoberek, poruczniku.

- Jest coś interesującego z pobliskich jednostek?

Radio zsunął słuchawkę z jednego ucha.

- Że co proszę?

Church powtórzył pytanie.

- Nic, tylko radiowcy z dwóch statków handlowych grają w szachy na odległość.
- Powinieneś się przyłączyć dla zabicia nudy.
- Wolę warcaby - stwierdził radio.
- Jak daleko od nas są te handlowce?
- Sygnały są bardzo słabe... będzie jakieś sto mil.

Church usiadł okrakiem na krześle, złożył ramiona na oparciu i wsparł na nich podbródek.

- Połącz się z nimi i spytaj, jaki jest u nich stan morza.

Radio wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie da rady.
- Nadajnik ci szwankuje?
- Jest w porządku, jak szesnastoletnia dziwka z Hawany.
- No to nie rozumiem.
- Rozkaz kapitana Worleya - odparł radio. - Kiedy wychodziliśmy z Rio, wezwał mnie do swojej kajuty i przykazał, żebym przed zawinięciem do Baltimore nie przekazywał żadnych depesz bez jego wyraźnego polecenia.
- Podał powód?
- Nie, sir.
- Cholernie dziwne.
- Na mój rozum, ma to coś wspólnego z tym waźniakiem, którego zabraliśmy w Rio w charakterze pasażera.
- Z konsulem generalnym?
- Dostałem ten rozkaz, jak tylko wszedł na pokład...

Radio urwał i docisnął słuchawki do uszu. Potem zaczął notować na kartce treść nadchodzącego komunikatu. Po kilku chwilach spojrzał ze ściągniętą twarzą na Churcha.

- Sygnał SOS.

Church wstał.

- Jaka pozycja?

- Dwadzieścia mil na południowy wschód od Anguilla Cays.

Church przeliczył to sobie w pamięci.

- To by było mniej więcej pięćdziesiąt mil przed nami. Jest coś jeszcze?

- Nazwa jednostki *Crogan Castle*. Rozwalony dziób. Poważnie uszkodzona nadbudówka. Nabierają wody. Konieczna natychmiastowa pomoc.

- Rozwalony dziób? - powtórzył Church tonem niedowierzania. - Od czego?

- Nie powiedzieli, poruczniku.

Church ruszył do drzwi.

- Powiadomię kapitana. Nadaj do *Crogan Castle*, że idziemy do nich pełną parą.

Radio popatrzył na niego ze zboląłą miną.

- Błagam, sir, nie wolno mi.

- Rób, co mówię! - rozkazał Church. - Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Odwrócił się, przebiegł korytarzyk i wspiał się po drabince do sterówki. Worley nadal siedział w trzcinowym fotelu bujając się w rytm przechyłów statku. Okulary miał zsunięte na czubek nosa i czytał wyświechtany numer czasopisma "Liberty".

- Radio złapał sygnał SOS - oznajmił Church. - Niecałe pięćdziesiąt mil od nas. Kazałem mu potwierdzić odbiór i powiadomić ich, że zmieniamy kurs i idziemy z pomocą.

Worley wytrzeszczył oczy, zerwał się z fotela i ścisnął zaskoczonych Churcha za ramiona.

- Czyś pan zwariował? - ryknął. - Kto, u diabła, dał panu prawo uchylania moich rozkazów?

Ramiona Churcha eksplodowały bólem. Miał wrażenie że te ogromne łapska zaciskające się niczym imadła rozgniatają mu bicepsy na miazgę.

- Dobry Boże, kapitanie, jakże możemy nie pospieszyć z pomocą jednostce znajdującej się w niebezpieczeństwie?!

- Jeśli ja tak mówię, to możemy, do cholery!

Wybuch Worleya ogłuszył Churcha. Widział jego podeszłe krwią, rozbiegane oczy i czuł zajeżdżający whisky oddech.

- To podstawowe prawo morza - nie ustępował. - Musimy udzielić im pomocy.

- Toną?

- W komunikacie było, że “nabierają wody”.

Worley odepchnął od siebie Churcha.

- Diabła tam. Niech się skurczybyki przyłożą do pomp i zaprzalają, póki jakiś statek nie obroni im dupy; ale nie będzie to *Cyklop*.

Sternik i oficer wachtowy gapili się oniemiała na Churcha i Worleya wściekle mierzących się wzrokiem. Atmosfera w sterówce pełna była napięcia. Wszelkie urazy narosłe między tymi dwoma w ciągu ostatnich tygodni znalazły wreszcie ujście.

Oficer wachtowy wykonał ruch, jakby chciał się wtrącić. Worley rzucił mu wściekle spojrzenie.

- Pilnuj swojego nosa i patrz dokąd płyniesz - warknął.

Church rozcierał posiniaczone ramiona i wpatrywał się w kapitana.

- Protestuję przeciwko pańskiej odmowie reakcji na sygnał SOS i domagam się stanowczo zapisania tego w dzienniku okrętowym.

- Ostrzegam pana...

- Żądam również, by odnotowano tam zakaz nadawania, który otrzymał od pana radiooperator.

- Panie, przeciągasz pan strunę - wycedził zimno Worley. Jego usta zacisnęły się w wąską linię, twarz miał zlaną potem. - Czuj się pan aresztowany z zakazem opuszczania kajuty.

- Aresztuj jeszcze paru swoich oficerów - warknął Church tracąc panowanie nad sobą - a będziesz pan musiał sam prowadzić tę łajbę.

Nagle, zanim Worley zdążył odpowiedzieć, *Cyklop* zwałił się w głęboką dolinę między falami. Chcąc utrzymać się na nogach, wszyscy obecni w sterówce odruchowo, wiedzeni instynktem wykształconym w ciągu wieloletniej służby na morzu, złapali się najbliższego solidnie zamocowanego obiektu. Płyty poszycia kadłuba zajęczały pod naporem fal i dało się słyszeć kilka trzasków.

- Matko Boska - mruknął sternik głosem bliskim paniki.

- Przymknij się! - warknął Worley, kiedy *Cyklop* prostował się na falach. - Ta balia nie takie już harce wytrzymywała.

Churchowi zaświtała teraz w głowie przyprawiająca o mdłości myśl.

- *Crogan Castle*, ten statek, który wzywał pomocy, zgłaszał, że ma wyrwę w dziobie i uszkodzoną nadbudówkę.

Worley spojrzał na niego spode łba.

- I co z tego?

- Nie rozumie pan? Musiał się nadziać na jakąś gigantyczną, zdradliwą falę.

- Bzdury pan pleciesz. Idź pan do swojej kabiny. Nie chcę oglądać pańskiej gęby do czasu zawinięcia do portu.

Church, niezdecydowany, stał przez chwilę zaciskając pięści. Potem, doszedłszy do wniosku, że dalsza dyskusja z Worleyem to strata czasu, rozluźnił powoli dłonie. Odwrócił się i wyszedł bez słowa ze sterówki.

Znalazłszy się na pokładzie przystanął i spojrzał przed dziób. Powierzchnia morza sprawiała zwodniczo spokojne wrażenie. Wysokość fal zmniejszyła się do dziesięciu stóp i masy wody nie przelewały się już przez pokład. Przeszedł na rufę i stwierdził, że kiedy statek unosi się i opada na długich, leniwych martwych falach, przewody rurowe doprowadzające parę do wyciągarek i sprzętu pomocniczego ocierają się o nadburcia.

Następnie zszedł na dół i zlustrował dwie ładownie rudy przesuwając snop światła latarki po zainstalowanych tam masywnych stemplach i podporach, które miały uniemożliwić przesuwanie się ładunku magnezu. Jęczały i trzeszczały z wysiłku, ale sprawiały solidne wrażenie. Nie zauważył żadnych śladów rozsypywania się rudy na skutek przechyłów statku.

Choć dręczył go wciąż dziwny niepokój, był tak zmęczony, że z największą radością poszedłby do swojej kajuty, zagrzebał się w koi, zamknął z rozkoszą oczy i zapomniał o wszystkich problemach. Musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie ulec tej pokusie. Jeszcze tylko inspekcja znajdującej się w dole maszynowni. Trzeba sprawdzić, czy nie zgłaszano czasem podniesienia się poziomu wody w zęzach. Nie. Wynik obchodu zdawał się uzasadniać wiarę, jaką Worley pokładał w *Cyklopie*.

Gdy szedł korytarzem w kierunku mesy oficerskiej na filiżankę kawy, otworzyły się drzwi kabiny, a wychodzący z nich amerykański konsul generalny w Brazylii, Alfred Gottschalk, zatrzymał się na chwilę w progu mówiąc coś do osoby znajdującej się w środku.

Church zerknął Gottschalkowi przez ramię i zobaczył, jak lekarz okrętowy pochyła się nad wyciągniętym na koi mężczyzną. Twarz pacjenta sprawiała wrażenie znużonej i poźółkłej - jej młode rysy zdecydowanie kontrastowały z siwizną gęstej szopy włosów nad czołem. Otwarte oczy odbijały strach pomieszany z cierpieniem i udręką; był to wzrok człowieka, który zbyt wiele już w życiu widział. Scenka ta stanowiła tylko kontynuację całej serii dziwnych incydentów, w jakie obfitował rejs *Cyklopa*.

Pełniąc przed wypłynięciem statku z Rio de Janeiro funkcję oficera pokładowego, Church zaobserwował wjeżdżającą do doku kolumnę samochodów. Z limuzyny prowadzonej przez kierowcę

wysiadł konsul generalny i kazał wyładować swoje kufry i walizy. Następnie podniósł głowę i uważnym spojrzeniem ogarnął sylwetkę *Cyklopa* od prostopadłego, niezgrabnego dziobu, do pełnej gracji rufy przypominającej kształtem kielich do szampana. Pomimo że konsul był przysadzisty, pulchny i wyglądał niemal komicznie, emanowała z niego nieokreślona aura właściwa osobie nawykłej do obracania się wśród ludzi z najwyższych szczebli władzy. Srebrzystoblond włosy miał przystrzyżone na pruską modłę, aż za krótko. Wąskie brwi niemal idealnie współgrały ze starannie przyciętym wąsikiem.

Drugim pojazdem w kolumnie była sanitarka. Church widział, jak wyciągają z niej i wnoszą na pokład kogoś na noszach, ponieważ jednak twarz tego człowieka przykryta była gęstą siatką przeciw moskitom, nie udało mu się wypatrzeć rysów. Chory należał najwyraźniej do świty konsula. Gottschalk jednak niewiele się nim interesował, poświęcając całą swą uwagę zamykającej kolumnę ciężarówce marki Mack.

Przypatrywał się z niepokojem, jak jeden z bomów ładunkowych statku unosi w powietrze i opuszcza do ładowni dziobowej wielką, podłużną skrzynię. Jak na zawołanie na pokładzie pojawił się Worley, by osobiście nadzorować operację uszczelniania luku. Kiedy dobiegła końca, przywitał Gottschalka i odprowadził do przydzielonej mu kabiny. Niemal natychmiast rzucono cumy, statek odbił od nabrzeża i wyszedł w morze.

Gottschalk odwróciwszy się zobaczył stojącego w korytarzu Churcha. Mrużąc podejrzliwie oczy, wyszedł z kabiny i zamknął za sobą drzwi.

- Mogę w czymś pomóc, poruczniku...

- Church, sir. Kończyłem właśnie obchód statku i siedłem do mesy oficerskiej na filiżankę kawy. Dotrzyma mi pan towarzystwa?

Przez twarz konsula generalnego przemknął ledwie dostrzegalny wyraz ulgi, a jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Z przyjemnością. Nigdy nie potrafię spać dłużej niż kilka godzin. Żonę doprowadza to do szału.

- Tym razem została w Rio?

- Nie, wysłałem ją przodem do naszego domu w Maryland. Zakończyłem swoją misję w Brazylii. Resztę mej służby dla departamentu stanu mam nadzieję spędzić w Waszyngtonie.

Gottschalk wydał się Churchowi zbyt nerwowy. Rzucił ukradkowe spojrzenia w górę i w dół korytarza i bez przerwy przykładął do małych ust płócienną chusteczkę. W pewnej chwili ujął Churcha za ramię.

- Czy byłby pan tak uprzejmy, poruczniku, i zanim napijemy się kawy, zaprowadził mnie do ładowni bagażowej?

- Proszę bardzo, sir, jak pan sobie życzy - odparł Church spoglądając mu w oczy.

- Dziękuję - powiedział Gottschalk. - Chcę coś wyjąć z jednego z moich kufrów.

Jeśli nawet Church uznał to życzenie za niezwykle, nie skomentował go ani słowem. Skinął po prostu głową i ruszył w kierunku dziobowej części statku, a mały, gruby konsul generalny posapując podreptał jego śladem. Wspięli się na pokład i wkroczyli na pomost biegnący od pomieszczeń rufowych, pod nadbudówką mostka spoczywającą niezgrabnie na sztywnych podporach, do dziobówki. Spomiędzy dwóch przednich masztów, które wspierały ażurową konstrukcję łączącą wysięgnice do bunkrowania węgla, sączyła się niesamowita poświata zawieszona tam latarni pozycyjnej odbijając się tajemniczym blaskiem w nadpływających leniwie falach.

Zatrzymawszy się przy luku Church odsunął rygle i oświetlając drogę latarką, gestem wskazał Gottschalkowi prowadzącą w dół drabinkę. Kiedy dotarli na dno ładowni, Church odszukał kontakt i włączył górne oświetlenie. Pomieszczenie zalała nieziemsko żółta poświata.

Gottschalk przecisnął się obok Churcha i podszedł prosto do skrzyni zabezpieczonej łańcuchami, których krańcowe ogniwa przytwierdzono kłódkami do śrub oczkowych wkręconych w podłogę ładowni. Stał tam dłuższą chwilę i w nabożnym skupieniu wpatrywał się w skrzynię, błądząc myślami gdzie indziej.

Church po raz pierwszy przyglądał się skrzyni z bliska. Na solidnych drewnianych ściankach nie było żadnych oznaczeń. W jego ocenie mierzyła sobie dziewięć stóp długości, trzy wysokości i cztery szerokości. Nie podejmował się wysnuwać przypuszczeń co do jej ciężaru, ale wiedział, że waży sporo. Przypominał sobie, z jakim trudem windowano skrzynię na pokład. Ciekawość wzięła górę nad udawaną obojętnością:

- Wolno zapytać, co jest w środku?

Gottschalk nie odrywał wzroku od skrzyni.

- Znaleździś archeologiczne przewożone do muzeum - odparł wymijająco.

- Musi być cenne - sondował dalej Church.

Gottschalk nie odpowiedział. Jego uwagę zaprzętnął jakiś szczegół przy krawędzi wieka. Wydobyl z kieszeni okulary do czytania i spojrzal przez szkła. Ręce mu drżały, a ciało zesztyniało.

- Otwierano ją! - krzyknął zduszonym głosem.

- Niemożliwe - uspokoił go Church. - Wierzch jest tak mocno dociśnięty łańcuchami, że ogniwa odcisnęły się na kantach drewna.

- Ale niech pan tu spojrzy - nie ustępował Gottschalk. - Widać ślady po łomie w miejscach, gdzie podważano wieko.

- Te rysy powstały prawdopodobnie podczas zamykania skrzyni.

- Nie było ich dwa dni temu, kiedy ją sprawdzałem - stwierdził stanowczo Gottschalk. - Majstrował

przy niej ktoś z waszej załogi.

- Jest pan przewrażliwiony. Kto z członków załogi miałby się interesować jakimś wykopaliskiem, które musi ważyć przynajmniej ze dwie tony? A poza tym, kto prócz pana dysponuje kluczem do kłódek?

Gottschalk opadł na kolana i szarpnął jedną z kłódek. Kabłąk został mu w dłoni. Nie był stalowy, lecz wystrugany z drewna. Na twarzy konsula malowało się przerażenie. Jak zahipnotyzowany podniósł się powoli z klęczek, rozejrzał dziko po ładowni i wykrztusił jedno słowo:

- Zanona.

Jakby słowem tym wyzwolił złe moce, na następne sześćdziesiąt sekund rozpętało się piekło. Morderstwa dokonano tak szybko, że Church stał jak sparaliżowany, a jego umysł nie nadążał z przetwarzaniem tego, co rejestrowały oczy.

Z mroku spowijającego wierzch skrzyni wyłoniła się postać mężczyzny. Nieznajomy miał na sobie mundur marynarki wojennej, ale jego grube, proste włosy, wydatne kości policzkowe i uderzająco ciemne, pozbawione wyrazu oczy zdradzały rasę, z której się wywodził.

Południowoamerykański Indianin nie wydawszy najmniejszego odgłosu zatopił podobne do dzidy drzewce w piersi Gottschalka, tak że haczykowaty szpic wyszedł na stopę za łopatki nieszczęśnika. Konsul generalny nie upadł od razu. Odwrócił powoli głowę i popatrzył na Churcha szeroko rozwartymi oczyma, jakby go nie poznając. Próbował coś powiedzieć, ale z jego krtani nie wydobyło się nic poza bulgotliwym chrząknięciem, po którym krew buchnęła mu z ust i spłynęła na brodę. Gdy zaczął osuwać się na ziemię, Indianin oparł stopę na jego piersi i wyszarpnął dzidę.

Church nigdy przedtem nie widział zabójcy. Indianin nie należał do załogi *Cyklopa* i mógł być tylko pasażerem na gapę. Jego brązowa twarz nie zdradzała żadnej wrogości, żadnego gniewu ani nienawiści, nosiła tylko nieodgadniony wyraz całkowitej pustki. Niemal nonszalancko pochwycił dzidę i zeskoczył cicho ze skrzyni.

Church przygotował się do odparcia ataku. Odskakując w bok uniknął zręcznie pchnięcia włócznią i cisnął latarką w twarz napastnika. Metalowa tuba z miękkim pacnięciem trafiła w prawą stronę szczęki krusząc kość i naruszając kilka zębów. W tym samym momencie Church wyprowadził cios pięścią, mierząc w krtani Indianina. Dzida upadła na pokład, a Church porwał natychmiast drzewce z ziemi i unióś je nad głowę.

Nagle w ładowni wszystko zawirowało i Churcha pochłonęła całkowicie walka o zachowanie równowagi na przechylonym pod kątem blisko sześćdziesięciu stopni pokładzie. Ciągnięty siłą grawitacji zdołał jakoś utrzymać się na nogach i zbiegł w dół zatrzymując się na silnie pochylonej grodzi dziobowej. Bezwładne ciało Indianina sturlało się w ślad za nim i znieruchomiało u jego stóp, a Church, sparaliżowany zgrozą, patrzył bezsilnie, jak skrzynia, uwolniwszy się z mocujących ją, nie zabezpieczonych kłódkami łańcuchów, zsuwa się z impetem po pokładzie, miażdży czerwonoskórego, a jego nogi przygniata do stalowej ściany. Na skutek wstrząsu wieko skrzyni zsunęło się do połowy, odsłaniając jej zawartość.

Church skierował tam półprzymyślny wzrok. Nieprawdopodobny widok, który ukazał się jego oczom w migotliwym świetle przygasających i ponownie rozpalających się lamp, był ostatnim obrazem, jaki utrwalił się w jego mózgu w ciągu ułamków sekund dzielących go od śmierci.

Kapitan Worley, który znajdował się w tym czasie w sterówce, był świadkiem wzbudającego jeszcze większą grozę widoku. Wydawało się, że *Cyklop* runął nagle w bezdenną dziurę. Jego dziób zanurkował ostro w ogromną dolinę między falami, rufa uniosła się stromo w powietrze i śruby znalazły się nad powierzchnią wody. Światła pozycyjne statku odbijały się w czarnej ścianie kipieli, która w zalegającym mroku dźwigała się w górę przesłaniając gwiazdy.

Głęboko w trzewiach ładowni rozległ się złowieszczy rumor brzmieniem i skutkami przypominający trzęsienie ziemi i cały statek, od dziobu po rufę, zadygotał. Worley nie miał nawet czasu, by wykrzyknąć słowa ostrzeżenia, które przemknęły mu przez myśl. Podpory puszczały i przesuwały się zwały rudy magnezu zwiększały pęd, z jakim *Cyklop* walił się w przepaść.

Oniemiały ze zgrozy sternik gapił się przez prawy iluminator mostka, jak potężna kolumna wysokości dziesięcioletniego budynku pędzi na nich z rykiem z szybkością lawiny. Górna połowa fali załamała się i podwinęła. Miliony ton wody runęły z impetem na przednią część statku zalewając całkowicie dziób i nadbudówkę. Drzwi na obu skrzydłach mostka poszły w drzazgi i woda wdarła się do sterówki. Worley trzymał się kurczowo poręczy, a jego sparaliżowany umysł nie był zdolny do wyobrażenia sobie tego, co nieuchronne.

Fala przewaliła się przez statek. Pękły stalowe belki i cała sekcja dziobowa skrzyła się, a kil spaczył. Żywioł oddarł solidnie nitowane płyty poszycia kadłuba, jakby były z papieru. Pod niewyobrażalnym naporem fali *Cyklop* zanurkował jeszcze głębiej. Jego śruby znowu zaczęły młócić wodę pchając statek w wyczekującą otchłań. *Cyklop* nie mógł już wypłynąć.

Zanurzał się coraz głębiej i głębiej, aż w końcu jego poharatany kadłub z uwięzionymi w nim ludźmi osiadł na niespokojnych piaskach morskiego dna, a miejsce jego ostatniego spoczynku znaczyło tylko stado zdeorientowanych mew.

CZEŚĆ I

Prosperteer

ROZDZIAŁ 1

10 października 1989 Key West, Floryda

Sterowiec unosił się nieruchomo w tropikalnym skwarze, spokojny i cichy niczym ryba zawieszona w akwarium. Balansował prawie niezauważalnie na pojedynczym kole podwozia trącając delikatnie dziobem żółty maszt cumowniczy. Był to stary, wysłużony statek powietrzny; srebrzysta niegdyś powłoka pomarszczyła się, wyblakła i nosiła ślady częstego latania. Zawieszona pod brzuchem gondola nawigacyjna miała archaiczny, łódkowaty kształt, a jej szklane okienka pożółkły ze starości. Tylko dwa 200-konne silniki Wright Whirlwind, którym przywrócono pieczołowicie stan pierwotny, sprawiały wrażenie nowych.

W odróżnieniu od swych młodszych siostrzanych statków przemierzających pracowicie przestworza nad stadionami futbolowymi, sterowiec miał gąsienicową powłokę wykonaną nie z powlekanego gumą poliestru, lecz z aluminium łączonego szwami nitów, obciążonego na szkielet składającym się z dwunastu okrągłych wręg, co upodabniało go do ryby. Jego cygarowaty kadłub mierzył sobie 149 stóp długości i mieścił 200 000 stóp sześciennych helu, a jeśli dziobu nie atakowały żadne przeciwne wiatry, potrafił drążyć chmury z szybkością sześćdziesięciu dwóch mil na godzinę. Nosił oryginalne oznaczenie ZMC-2 - Zeppelin Metal Clad - został zbudowany w Detroit i przekazany Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych w roku 1929. W odróżnieniu od większości statków powietrznych wyposażonych zazwyczaj w cztery masywne płetwy stabilizacyjne, z jego stożkowej rufy sterczało aż osiem mniejszych płetw. Będąc w swoim czasie konstrukcją nowoczesną pełnił nieprzerwaną i niezawodną służbę aż do roku 1942, kiedy to został zdemontowany i zapomniany.

Przez czterdzieści siedem lat ZMC-2 przeleżał w nie używanym hangarze przy pasie startowym opuszczonej bazy lotnictwa marynarki wojennej w pobliżu Key West na Florydzie. Potem, w roku 1988, rząd odsprzedał ten teren kierowanej przez bogatego wydawcę Raymonda LeBarona spółce kapitałowej, która zamierzała zbudować tutaj kompleks wypoczynkowy.

Wkrótce po przybyciu z siedziby swej korporacji w Chicago na inspekcję świeżo nabytej bazy marynarki wojennej, LeBaron natknął się na zakurzone i skorodowane szczątki ZMC2. Zaintrygowany, z myślą o reklamie polecił zmontować na powrót starą, lżejszą od powietrza maszynę latającą i odremontować silniki. Na burcie kadłuba ogromnymi czarnymi literami wymalowano na jego polecenie nazwę *Prosperteer*, będącą jednocześnie tytułem magazynu dla biznesmenów stanowiącego podstawę finansowego imperium LeBarona.

Następnie LeBaron nauczył się latać *Prosperteerem*. Potrafił okiełznać narowisty statek i opanował do perfekcji sztukę dokonywania nieustannych korekt kursu. Były one niezbędne podczas rejsu dla utrzymania stałych parametrów lotu w kapryśnym wietrze. Na pokładzie nie było autopilota, który zwalniałby od uciążliwego opuszczania dziobu podczas nagłych podmuchów i podrywania go, kiedy

wiatr zelżał. Stateczność maszyny ulegała znacznym wahaniom w zależności od warunków atmosferycznych. Pozostałości po drobnym kapuśniaczkę mogły zwiększyć ciężar ogromnej powłoki sterowca o setki funtów, pogarszając jego lotność, natomiast suche powietrze napływające z północnego zachodu zmuszało pilota do poskramiania zapędów statku usiłującego się wznieść na niepożądaną wysokość.

LeBaron wyżywał się w tej próbie sił. Radość z trafnego przewidzenia nastrojów antycznego gazowego balonu i ze zmagania się z jego aerodynamicznymi narowami daleko przewyższała wszelką satysfakcję, jaką czerpał z pilotowania któregośkolwiek z pięciu odrzutowców należących do jego korporacji. Przy lada okazji wymykał się z sali konferencyjnej i jechał do Key West, by włączyć się po karaibskich wyspach. *Prosperteer* stał się wkrótce zwykłym widokiem nad Wyspami Bahama. Miejscowi robotnicy z plantacji trzciny cukrowej spoglądający w górę na sterowiec szybko ochrzcili go mianem “małej świnki biegnącej do tyłu”.

LeBaron jednak, podobnie jak większość przedsiębiorców z elity władzy, był duchem niespokojnym i lubił stawiać czoło wciąż nowym wyzwaniom. Toteż po blisko roku jego zainteresowanie sterowcem zaczęło słabnąć.

Pewnego wieczora w nadmorskim barze poznał niejakiego Bucka Caesara, który kierował firmą ratownictwa przybrzeżnego o pompatycznej nazwie “Przedsiębiorstwo Sztuki Egzotycznej, Inc.”.

Po kilku kolejkach rumu z lodem Caesar wypowiedział w rozmowie to magiczne słowo, które od pięciu tysięcy lat rozpala do szaleństwa ludzkie umysły i stało się prawdopodobnie źródłem większych nieszczęść niż połowa stoczonych dotąd wojen: skarb.

Po wysłuchaniu barwnych opowieści Caesara o dziesiątkach hiszpańskich galeonów spoczywających pod wodami Karaibów, o ładunkach złota i srebra przemieszanego z koralami, na haczyk dał się złapać nawet taki rekin finansowy z żyłką do interesu, jak LeBaron. Uściskiem dłoni przypieczętowali spółkę.

Odżyło zainteresowanie LeBarona *Prosperteerem*. Sterowiec nadawał się idealnie do lokalizowania z powietrza prawdopodobnego umiejscowienia wraków. Samoloty latały zbyt szybko, by prowadzić z nich rozpoznanie z powietrza, natomiast czas lotu helikopterów był ograniczony, a podmuch łopatek wirników wzburzał powierzchnię morza. Sterowiec mógł utrzymywać się w powietrzu przez dwa dni i przemieszczać w spacerowym tempie. Z wysokości czterystu stóp bystre oko było w stanie wypatrzeć regularne zarysy obiektów, które spoczywały sto stóp pod powierzchnią spokojnego i przejrzystego morza.

Kiedy dziesięcioosobowa obsługa naziemna zebrała się wokół *Prosperteera* i przystąpiła do kontroli przedstartowej sterowca, nad Florida Straits wstawał świt. Promienie wschodzącego słońca padły na pokrytą poranną rosą ogromną powłokę, która załśniła w nich jak mydlana bańka. Sterowiec spoczywał pośrodku pasa startowego. W rozległych pęknięciach betonowej nawierzchni lotniska pieniły się bujnie chwasty. Od cieśniny powiała lekka bryza i statek ustawił się pękniętym dziobem w stronę masztu cumowniczego.

Większość obsługi naziemnej stanowili młodzi ludzie opaleni na brąz, ubrani w najprzeróżniejsze

kroju szorty, kąpielówki i krótkie drelichowe spodenki. Ledwie rzucili okiem na limuzynę marki Cadillac, która podjechała pasem startowym i zatrzymała się przy wielkiej ciężarówce spełniającej rolę ruchomego warsztatu naprawczego sterowca, a jednocześnie biura szefa załogi i centrum łączności.

Szofer otworzył drzwiczki i z tylnego siedzenia wygramolił się LeBaron, a za nim Buck Caesar, który natychmiast ruszył w kierunku gondoli sterowca taszcząc pod pachą zwój map nawigacyjnych. LeBaron, z wyglądu zadbany i zdrowy sześćdziesięcioletni, swoim wzrostem - sześć stóp i siedem cali - górował nad wszystkimi obecnymi. Miał jasnoorzechowe oczy, starannie przyczesane siwiejące włosy i nieobecne, zaabsorbowane spojrzenie człowieka wybiegającego myślami na kilka godzin do przodu.

Schylił się i przez chwilę mówił coś do atrakcyjnej kobiety, która wychylała się z samochodu. Pocałował ją lekko w policzek, zatrzasnął drzwiczki i ruszył powoli w stronę *Prosperteera*.

Szef obsługi naziemnej, zaaferowany mężczyzna w nieskazitelnie białym fartuchu, podszedł do LeBarona i uściśnął jego wyciągniętą rękę.

- Zbiorniki paliwa pełne, panie LeBaron. Test przedstartowy zakończony.

- Jak ze sterownością?

- Powłoka jest wilgotna. Będziecie musieli wziąć poprawkę na dodatkowe pięćset funtów.

LeBaron pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Straci na wadze w cieple dnia.

- Stery nie reagują z należytą czułością. Liny steru wysokości lekko skorodowały, kazałem je wymienić.

- Co z pogodą?

- Przez większość dnia rzadkie chmury na niskim pułapie. Małe prawdopodobieństwo opadów. W tamtą stronę będziecie lecieli pod południowo-wschodni wiatr wiejący z szybkością pięciu mil na godzinę.

- I wiatr w żagle w drodze powrotnej. To mi odpowiada.

- Ta sama częstotliwość radiowa co w poprzednim locie?

- Tak, co pół godziny będziemy zgłaszali naszą pozycję i warunki lotu na otwartym kanale. Jeśli zlokalizujemy obiecujący obiekt, zameldujemy o tym kodem.

Szef załogi skinął głową.

- Zrozumiałem.

Nie przedłużając rozmowy, LeBaron wspiął się po drabince do gondoli i usadowił w fotelu pilota. Obok usiadł drugi pilot, Joe Cavilla, sześćdziesięcioletni, ponury gość o chmurnym spojrzeniu, który poza ziewaniem i kichaniem z rzadka otwierał usta. Jego rodzina przybyła do Ameryki z Brazylii, kiedy miał szesnaście lat. Wkrótce potem zaciągnął się do marynarki wojennej. Latał na sterowcach do chwili formalnego rozwiązania, w roku 1964, ostatniego dywizjonu tych latających statków. Cavilla wyrósł pewnego dnia jak spod ziemi, zaimponował LeBaronowi swoją wiedzą o sterowcach i został zaangażowany.

Trzecim członkiem załogi był Buck Caesar, mężczyzna w średnim wieku, z cerą jak skóra wołu i wiecznie przyklepionym do warg uśmiechem. Twarz miał łagodną, ale spojrzenie przebiegłe i budowę boksera. Siedział zgarbiony przy małym stoliku ze wzrokiem zatopionym w mapach, wykreślając serię kwadratów w pobliżu sektora Kanału Bahamskiego.

LeBaron uruchomił silniki i z rur wydechowych buchnął błękitny dym. Ludzie z obsługi naziemnej odczepili od gondoli grona brezentowych worków ze śrutem balastowym. Jeden z pracowników, w gwarze zwany łowcą motyli, podniósł w górę długą tyczkę z przywiązaniem na końcu rękawem lotniskowym, żeby pilot mógł dokładnie określić kierunek wiatru.

LeBaron dał znak ręką szefowi obsługi. Spod koła podwozia wyszarpięto drewniany klin, od masztu cumowniczego odczepiono sprzęgacz dziobowy, a ludzie trzymający liny przytwierdzone do nosa sterowca pociągnęli za nie i puścili. Kiedy uwolniona machina oderwała się od masztu, LeBaron otworzył przepustnice i obrócił wielkie koło steru wysokości znajdujące się obok jego fotela. *Prosperteer* zadarł swój nos kłowna pod kątem pięćdziesięciu stopni i powoli wzbił się w przestworza.

Ludzie z obsługi naziemnej patrzyli za nim, dopóki nie znikł im z oczu nad zielonobłękitnymi wodami cieśniny. Potem ich uwagę przyciągnął na krótko niewyraźny zarys kobiecej sylwetki za przydymionymi szybami limuzyny.

Jessie LeBaron podzielała mężowską pasję do romantycznych przygód, ale była typem kobiety zdyscyplinowanej, przedkładającej organizowanie balów na cele dobroczynne i zakładanie politycznych fundacji nad czasochłonne uganianie się za skarbami, których istnienie stało pod wielkim znakiem zapytania. Tryskająca energią i pełna temperamentu, dysponująca całym repertuarem uśmiechów na każdą okazję, wyglądała na jakieś trzydzieści siedem lat, chociaż od jej pięćdziesiątych urodzin minęło już dobre sześć miesięcy. Jessie była nieco przysadzista, ale figurę miała proporcjonalną, cerę gładką jak jedwab, a włosom pozwalała zachować naturalny szpakowaty odcień. Jej wielkie i ciemne oczy nie nosiły śladu pustki, który często bywa skutkiem operacji plastycznej.

Kiedy sterowiec już zupełnie zniknął jej z oczu, zwróciła się przez interkom do kierowcy limuzyny:

- Angelo, proszę mnie odwieźć z powrotem do hotelu.

Szofer, ponury Kubańczyk o rysach jak z matrycy znaczka pocztowego, przytknął dwa palce do daszka służbowej czapki i skinął głową.

Ludzie z obsługi naziemnej odprowadzali wzrokiem cadillaca, który wykręcił i wyjechał przez bramę główną. Potem ktoś pobiegł po piłkę do siatkówki. Wykreślili szybko linie boiska i rozciągnęli siatkę. Przeprowadzili losowanie stron i zaczęli odbijać piłkę, zęby zabić jakoś nudę oczekiwania.

W klimatyzowanym wnętrzu ciężarówki szef obsługi naziemnej i radiooperator przyjmowali meldunki ze sterowca i potwierdzali ich odbiór. LeBaron nawiązywał łączność punktualnie co trzydzieści minut z marginesem nie przekraczającym nigdy kilku sekund i za każdym razem podawał swoją przybliżoną pozycję, zgłaszał wszelkie zmiany pogody i wyliczał jednostki pływające, nad którymi akurat przelatywał.

I nagle, o wpół do trzeciej po południu, meldunki przestały napływać. Radiooperator usiłował wywołać *Prosperteera*, ale bez rezultatu. Wybiła i minęła piąta po południu, a sterowiec milczał. Zmęczeni ludzie z obsługi naziemnej przerwali grę i stłoczyli się przy drzwiach kabiny łączności. Czuło się narastający niepokój. O szóstej wieczorem, kiedy nad morzem nie było śladu sterowca, szef obsługi naziemnej powiadomił Straż Przybrzeżną.

Raymond LeBaron i pozostali członkowie załogi *Prosperteera* zaginęli podczas wyprawy, której cel wykraczał daleko poza zwyczajne poszukiwanie skarbów. Ale w owym czasie nikt jeszcze nie znał ani nie domyślał się prawdy.

ROZDZIAŁ 2

Dziesięć dni później prezydent Stanów Zjednoczonych patrzył w zadumie przez okno swojej limuzyny na przesuwaną za szybą krajobraz i bębnił machinalnie palcami o kolano. Jego oczy nie rejestrowały malowniczych posiadłości wyrastających pośród łąk Potomacu w stanie Maryland. Ledwie zwracał uwagę na połyskującą w słońcu sierść czystej krwi koni snujących się po pagórkowatych pastwiskach. Jego myśli krążyły wokół dziwnych wypadków, które niespodzianie zaprowadziły go do Białego Domu.

Sprawował wcześniej funkcję wiceprezydenta, a na najwyższy urząd w państwie został zaprzysiężony, kiedy jego poprzednikowi udowodniono chorobę psychiczną i zmuszono go do rezygnacji. Środki masowego przekazu wspomniały, że nie wszczęły śledztwa na szeroką skalę. Przeprowadzono, rzecz jasna, rutynowe wywiady z rzecznikami Białego Domu, liderami Kongresu i znanymi psychiatrami, ale nie wyszło na jaw nic, co nasuwałoby myśl o intrydze bądź spisku. Były prezydent opuścił Waszyngton i zaszył się na swej farmie w Nowym Meksyku, darzony nadal ogromną sympatią opinii publicznej, a prawdę znała zaledwie garstka wtajemniczonych.

Człowiek, który stał teraz na czele państwa, był mężczyzną energicznym, miał nieco ponad sześć stóp wzrostu i ważył dobre dwieście funtów. Jego zdecydowane rysy podkreślała kwadratowa szczęka i brwi ściągnięte zazwyczaj w pełen skupienia mars. Jakby na przekór temu intensywnie szare oczy stawały się czasem zwodniczo przejrzyste. Siwe włosy miał zawsze starannie uczesane z przedziałkiem po prawej stronie jak u bankiera z Kansas.

W oczach opinii publicznej nie uchodził za przystojnego ani błyskotliwego, ale miał ujmujący styl bycia i dużo wdzięku. Chociaż był zawodowym politykiem, postrzegał rząd w pewnym sensie naiwnie, jako gigantyczną drużynę, a siebie jako kierującego jej grą trenera. Powszechnie ceniono go za zdolności przywódcze. Jego ministrowie i najbliżsi współpracownicy mieli głowę na karku i bardziej zależało im na ścisłej współpracy z Kongresem niż na zjednywaniu sobie życzliwości rozmaitych karierowiczów.

Kiedy prowadzący samochód funkcjonariusz tajnych służb przyhamował i skręcił z River Road North w wielką kamienną bramę w ogrodzeniu z białych sztachet, uwaga prezydenta zaczęła się z wolna skupiać na lokalnej scenerii. Z wartowni przy wjeździe wyszli umundurowany strażnik oraz agent tajnych służb w nieodłącznych okularach przeciwsłonecznych i garniturze. Zajrzeli tylko do wnętrza samochodu i skinęli głowami na znak, że rozpoznają pasażera.

- Szef jedzie - rzucił agent do małego radionadajnika, który nosił na ręce jak zegarek.

Limuzyna potoczyła się wolno kolistym podjazdem Kongresowego Klubu Rekreacyjnego, minęła korty tenisowe po lewej, zatłoczone kibicującymi żonami członków, i wyhamowała płynnie pod

portykiem budynku klubowego.

Do samochodu podszedł trener, Elmer Hoskins, i otworzył drzwiczki.

- Chyba dobry dzień na golfa, panie prezydencie.

- Nie wypadłbym gorzej nawet stojąc po kolana w śniegu - odparł z uśmiechem prezydent.

- Osobiście nie miałbym nic przeciwko zaliczeniu jakichś osiemdziesięciu paru punktów.

- Ja również nie - przyznał prezydent skracając za Hoskinsem za narożnik budynku klubowego i kierując się do biura kierownika klubu. - Od chwili wprowadzenia się do Gabinetu Owального moja norma pogorszyła się o pięć uderzeń.

- To i tak nieźle, jak na kogoś, kto grywa tylko raz w tygodniu.

- Zważywszy w dodatku, że coraz trudniej skoncentrować się na grze.

Podszedł kierownik klubu i uściśnął rękę prezydenta.

- Reggie czeka na pana z kijami na pierwszym wzgórku.

Prezydent skinął głową, wsiedli do wózka golfowego i ścieżką biegnącą naokoło wielkiego stawu pojechali w kierunku jednego z najdłuższych pól golfowych w kraju. Reggie Salazar, niski, żylasty Latynos, stał oparty o ogromną, sięgającą mu do piersi skórzaną torbę wypchaną golfowymi kijami.

Wygląd Salazara mógł wprowadzić w błąd. Niczym mały andyjski juczny osiołek, potrafił, nawet się nie zasapawszy i nie uroniwszy kropli potu, taszczyć pięćdziesięciofuntową torbę kijów z metalowymi główkami przez osiemnaście kolejnych dołków. Będąc zaledwie trzynastoletnim chłopcem, trzydzieści mil przez Półwysep Kalifornijski aż do San Diego niósł na rękach swoją schorowaną matkę, dźwigając jednocześnie w nosidełku przytroczonym do pleców trzyletnią siostrzyczkę. Po ogłoszeniu w 1985 amnestii dla nielegalnych imigrantów, zaczął nosić sprzęt na polach golfowych, zyskując sobie z czasem wśród doświadczonych graczy opinię świetnego fachowca. Był geniuszem w ocenie rytmu pola. Utrzymywał, że przemawia ono do niego, i rzeczywiście potrafił bezbłędnie dobrać właściwy kij do trudnego uderzenia. Salazar był do tego filozofem i człowiekiem obdarzonym inteligencją, a repertuaru powiedzonek mógł mu pozazdrościć sam Casey Stengel. Prezydent ściągnął go na kongresowe pole golfowe przed pięciu laty i zdążyli się już zaprzyjaźnić.

Salazar ubierał się zawsze jak robotnik rolny - drelichowe spodnie, koszula w kratę, gumowce i ranczerski słomkowy kapelusz z szerokim rondem. To był jego znak firmowy.

- *Saludos*, panie prezydencie - pozdrowił przybysza spoglądając nań ciemnymi jak ziarnka kawy oczyma. W jego angielszczyźnie pobrzmiwały wyraźne wpływy języka hiszpańskiego. - Będzie pan szedł pieszo, czy jechał wózkiem?

Prezydent uściśnął wyciągniętą rękę Salazara.

- Chciałbym zażyć trochę ruchu, a więc przejdźmy się kawalek, a ostatnie dziewięć dołków przejadę.

Rozpoczął grę posyłając górną piłkę łagodnym hakiem, tak że zatrzymała się 180 jardów dalej, w pobliżu granicy toru. W miarę jak schodził z pierwszego wzgórka, problemy kierowania krajem odpyływały na dalszy plan, a on koncentrował się na obmyślaniu kolejnego uderzenia.

Grał w milczeniu, dopóki lekkim ruchem kija nie umieścił piłki w dołku nie przekraczając przeciętnej liczby uderzeń. Wtedy odprężył się i oddał Salazarowi swój kij.

- No, Reggie, jak byś mi radził wziąć wzgórze Kapitelu?

- Za dużo czarnych mrówek - odparł Salazar rozciągając usta w uśmiechu.

- Czarnych mrówek?

- Tych, co noszą czarne garnitury i biegają jak mrówki. Zapisują tylko papier i dużo gadają. Ja bym wydał prawo, że wolno się im spotykać tylko co drugi rok. W ten sposób mniej by było zamieszania.

Prezydent roześmiał się.

- Wydaje mi się, że temu pomysłowi przyklasnęłoby co najmniej dwieście milionów wyborców.

Zapuszczali się coraz głębiej w głąb pola golfowego, a ich śladem, w dyskretnej odległości, posuwało się dwóch jadących wózkami agentów tajnych służb, natomiast co najmniej tuzin innych węszyło po obrzeżach pola. Prezydentowi dobrze szło, podtrzymywał więc rozmowę. Kiedy wyjęli piłkę z dołka w dziewiątym sektorze, wynik wynosił już trzydzieści dziewięć. Uznał to za wystarczający powód do dumy.

- Zróbmy sobie odpoczynek przed atakiem na ostatnią dziewiątkę - powiedział. - Uczczę to piwem. Napijesz się ze mną?

- Dziękuję, ale nie, proszę pana. Przez ten czas oczyszcze z trawy i ziemi pańskie kije.

Prezydent oddał mu kij, którego ostatnio używał.

- Jak chcesz. Ale nie wykręcisz się od drinka, kiedy skończymy osiemnastkę.

Salazar rozpromienił się jak latarnia morska.

- To będzie dla mnie zaszczyt, panie prezydencie - powiedział i oddalił się truchtem w kierunku baraku dla obsługi.

Dwadzieścia minut później, po odebraniu telefonu od swego szefa personelu i wychyleniu butelki piwa, prezydent wyszedł z budynku klubowego i wrócił do dziesiątego sektora, gdzie czekał już Salazar rozwalony na siedzeniu wózka golfowego, ze zsuniętym nisko na oczy szerokoskrzydłym, słomkowym kapeluszem. Jego ręce luźno ujmowały kierownicę, a na dłoniach miał teraz skórkowe rękawice robocze.

- No, zobaczymy, czy uda mi się przekroczyć osiemdziesiąt - powiedział prezydent. Błysk w oku zdradzał jego cichą nadzieję na niezły rezultat gry.

Salazar podał mu bez słowa pierwszy kij.

Prezydent wziął go i obejrzał zdziwiony.

- To bliski dołek. Nie uważasz, że sprawę załatwiłaby trójka?

Salazar, zapatrzony na pole, pokręcił w milczeniu głową. Nie widać było wyrazu jego twarzy skrytej pod kapeluszem.

- Ty wiesz najlepiej - powiedział ugodowo prezydent. Podeszedł do piłki, poprawił chwyt na ręczce kija, wygiął się do uderzenia zza pleców i opuścił z gracją głowę, ale cios wyprowadził raczej niezgrabnie. Piłka poszybowała prosto nad torem i wylądowała w znacznej odległości za sektorem, w którym powinna była upaść.

Prezydent wsunął sobie kij pod pachę i z wyrazem zakłopotania na twarzy zajął miejsce na siedzeniu elektrycznego wózka.

- Po raz pierwszy się zdarza, że podajesz mi niewłaściwy kij.

Salazar nie odpowiedział. Nacisnął pedał gazu i skierował wózek w stronę sektora dziesiątego. Mniej więcej w połowie toru wyciągnął rękę i na półce deski rozdzielczej przed prezydentem położył małą paczuszkę.

- Wzięłeś kanapki, na wypadek gdybyś zgłodniał? - zapytał życzliwie prezydent.

- Nie, sir, to bomba.

Brwi prezydenta drgnęły z irytacji.

- To głupi żart, Reggie...

Słowa uwięzły mu nagle w krtani, bo słomkowy kapelusz uniósł się i prezydent stwierdził, że patrzy w błękitne oczy zupełnie mu obcego człowieka.

ROZDZIAŁ 3

- Proszę trzymać ręce tak jak teraz - polecił obcy konwersacyjnym tonem. - Wiem o umówionych gestach, którymi ma pan alarmować ludzi z tajnych służb, gdyby pańskie życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Prezydent siedział jak słup soli nie wierząc własnym uszom, bardziej zaniepokojony niż przestraszony. Z początku nie mógł dobyć z siebie głosu, dobrać właściwych słów. Nie odrywał oczu od paczuski.

- Idiotyzm - wydusił z siebie w końcu. - Nie pożyczysz pan dostatecznie długo, żeby się nacieszyć swoim czynem.

- To nie jest zamach na życie. Jeśli będzie pan postępował zgodnie z moimi instrukcjami, nie stanie się panu krzywda. Akceptuje pan taki układ?

- Trzeba przyznać, że masz pan tupet.

Nieznajomy puścił tę uwagę mimo uszu i mówił dalej tonem nauczyciela recytującego szkolny regulamin.

- Bomba jest typu rozpryskowego i wybuchając poszatkuje na strzępy wszystko co żywe w promieniu dwudziestu jardów. Jeśli będzie pan próbował zaalarmować swoich goryli, zdetonuję ją zdalnie elektronicznym urządzeniem odpalającym, które mam przypięte paskiem do nadgarstka. Proszę kontynuować grę w golfa jak gdyby nigdy nic.

Fałszywy Salazar zatrzymał wózek kilka stóp od piłki, zeskoczył na trawę i zerknąwszy ukradkiem na tajnych agentów stwierdził z zadowoleniem, że są pochłonięci obserwacją zarośli na obrzeżach pola golfowego. Potem sięgnął do torby i wy dobył z niej kij numer sześć z metalową główką.

- Od razu widać, że nie ma pan zielonego pojęcia o golfie - zawyrokował prezydent podbudowany trochę faktem, że zyskuje chociaż tę namiastkę panowania nad sytuacją. - Tu aż się prosi o krótkie uderzenie. Podaj mi pan metalową dziewiątkę.

Napastnik posłuchał i stał, patrząc, jak prezydent uderza lekko piłkę i trafia nią do dołka. Gdy ruszyli w kierunku następnego wzgórzka, prezydent przyjrzał się lepiej siedzącemu obok człowiekowi.

Kilka pasm siwych włosów wystających spod słomkowego kapelusza i sieć zmarszczek okalających oczy sugerowały, że mężczyzna jest już dobrze po pięćdziesiątce. Był szczupły, niemal filigranowy, biodra miał wąskie i z sylwetki bardzo przypominał Reggie'ego Salazara, z tym że przewyższał go o dobre trzy cale. Twarz miał wąską, o rysach jakby skandynawskich. Sposób wysławiania się

świadczył o wykształceniu, a chłodne maniery i szerokie bary zdradzały człowieka nawykłego do rozkazywania, nie było w nim jednak nic, co kojarzyłoby się z występkiem bądź złem.

- Odnoszę idiotyczne wrażenie - odezwał się spokojnie prezydent - że po to zaaranżował pan tę napaść, żeby coś mi oznajmić.

- Pańskie wrażenie nie jest wcale takie idiotyczne. Bardzo przenikliwy z pana człowiek. Ale czegoż innego można oczekiwać od człowieka na pańskim stanowisku?

- Kim, u diabła, pan jest?

- W rozmowie proszę się do mnie zwracać Joe. "Ja ze swej strony zaoszczędzę panu pytania, o co mi chodzi, kiedy tylko dotrzemy do następnego wzgórze. Jest tam toaleta. - Urwał, wyciągnął zza pazuchy tekturową teczkę i przesunął ją po siedzeniu w kierunku prezydenta. - Wejdzie pan do środka i przejrzy szybko zawartość. Nie może to zająć panu więcej niż osiem minut. Dłuższa zwłoka mogłaby wzbudzić podejrzliwość pańskich goryli. Nie muszę chyba opisywać konsekwencji.

Elektryczny wózek wyhamował płynnie i stanął. Prezydent wszedł bez słowa do toalety, usiadł na sedesie i zagłębił się w lekturze. Dokładnie osiem minut później wyszedł stamtąd ze zmieszana miną.

- Co to za głupie kawały?

- To nie kawał.

- Nie rozumiem, dlaczego uciekał się pan do takich wyrafinowanych chwytów po to tylko, by zmusić mnie do przeczytania fantastycznonaukowego komiksu.

- To nie fantazja.

- No to coś w rodzaju rojeń wariata.

- Kolonia Jersey istnieje - powiedział cierpliwie Joe.

- Tak, istnieje również Atlantyda. Joe uśmiechnął się kwaśno.

- Został pan właśnie wprowadzony do bardzo ekskluzywnego klubu. Jest pan dopiero drugim prezydentem, któremu zreferowano ten projekt. Proponuję, żeby teraz kontynuował pan grę, a ja w tym czasie naświetlę panu sprawę. Nie będzie to obraz pełny, bo mamy za mało czasu. Nie musi pan zresztą znać niektórych szczegółów.

- Najpierw jedno pytanie. Jest mi pan to winny.

- Słucham.

- Co z Reggie Salazarem?

- Chrapie sobie w baraku dla nosicieli sprzętu.

- Niech Bóg ma pana w swojej opiece, jeśli to nieprawda.

- Który kij? - spytał pogodnie Joe.

- Bliski dołek. Niech mi pan poda metalową czwórkę.

Prezydent uderzył mechanicznie, ale piłka poleciała we właściwym kierunku, spadła i przestała się turlać niecałe dziesięć stóp od dołka. Prezydent rzucił kij Joemu, wgramolił się do wózka i czekał.

- No więc tak... - zaczął Joe jadąc w kierunku następnego sektora. - W roku 1963, zaledwie na dwa miesiące przed śmiercią, prezydent Kennedy spotkał się w swoim domu w Hyannis Port z grupą dziewięciu ludzi, którzy zaproponowali mu realizację ściśle tajnego równoległego projektu. Związane z nim badania miały się toczyć za kulisami idącego już pełną parą programu wysłania człowieka w kosmos. Ta dziewiątka stanowiła "jądro" składające się z wybitnych młodych naukowców, biznesmenów, inżynierów i polityków, którzy w swoich dziedzinach odnieśli znaczący sukces. Kennedy kupił ich pomysł i posunął się nawet do tego, że powołał specjalną rządową agencję, która spełniała rolę fasady dla ściągania pieniędzy z podatków federalnych na coś, czemu nadano kryptonim Kolonia Jersey. W kosztach partycypowali również biznesmeni, którzy założyli fundację o kapitale co do dolara dorównującym wkładowi rządowemu. W istniejących już budynkach - były to przeważnie rozsiane po całym kraju stare magazyny - urządzono pracownie naukowe. Dzięki temu zaoszczędzono miliony na kosztach inwestycyjnych eliminując za jednym zamachem pytania, bez których niewątpliwie by się nie obeszło w wypadku przystąpienia do budowy jednego ogromnego centrum naukowo-badawczego.

- W jaki sposób utrzymano tę operację w tajemnicy? - spytał prezydent. - Były z pewnością jakieś przecieki.

Joe wzruszył ramionami.

- Zastosowano prostą metodę. Poszczególnym zespołom badawczym przydzielano rozwiązanie konkretnych problemów cząstkowych. Każdy z nich pracował gdzie indziej. W myśl starej zasady, że nie wie lewica, co czyni prawica. Sprzęt techniczny wydzierzawiono drobnym wytwórcom. Tak wyglądały elementarne środki ostrożności. Trudniej było tak skoordynować prace pod nosem NASA, żeby jej ludzie nie zorientowali się, co jest grane. Oddelegowano więc podstawionych oficerów armii do centrów kosmicznych na przylądku Canaveral i w Houston, a jednego nawet do Pentagonu z zadaniem torpedowania wszelkich kłopotliwych dochodzeń.

- Twierdzi więc pan, że departament obrony nic o tym nie wie?

Joe uśmiechnął się.

- To było najłatwiejsze. Jednym z członków "jądra" był wysokiej rangi oficer sztabowy, którego nazwisko nie powinno pana interesować. Nie miał najmniejszych problemów z pogrzebaniami jeszcze jednej misji wojskowej w labiryntach Pentagonu.

Joe urwał i w milczeniu podjechali do piłki. Prezydent jakby we śnie wykonał kolejne uderzenie.

Wrócił do wózka i utkwiał wzrok w Joem.

- Nie wydaje mi się możliwe, żeby udało się równie skutecznie nałożyć klapki na oczy pracownikom NASA.

- I w tym wypadku do “jądra” należał jeden z ważniejszych dyrektorów administracyjnych Agencji. Bardziej przekonywała go wizja stałej bazy dającej nieograniczone możliwości niż perspektywa kilku krótkotrwałych załogowych lądowań na powierzchni Księżyca. Zdawał sobie jednak sprawę, że NASA nie podejmie się realizacji dwóch skomplikowanych i kosztownych programów jednocześnie, został więc członkiem Kolonii Jersey. Projekt utrzymywano w tajemnicy, nie było więc mowy o żadnych przeszkodach ze strony administracji państwowej, Kongresu czy wojska. Jak się okazało, była to mądra decyzja.

- I dzięki niej Stany Zjednoczone trwale postawiły stopę na Księżycu.

Joe skinął poważnie głową.

- Tak, panie prezydencie, właśnie tak.

Prezydent nie mógł objąć w pełni umysłem znaczenia tego faktu.

- To nieprawdopodobne, żeby tak szeroko zakrojony program mógł być realizowany w tajemnicy przez dwadzieścia sześć lat bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń.

Joe patrzył na tor.

- Nie brakowało problemów, niepowodzeń i tragedii; ich opisanie zajęłoby mi z miesiąc. Podczas opracowywania technologii redukcji wodoru w celu uzyskiwania zeń wody, projektowania aparatury do ekstrakcji tlenu i tworzenia wizji stacji energetycznej o turbinach napędzanych ciekłym azotem pokonano liczne bariery techniczne i doprowadzono do prawdziwych przełomów w nauce. Gromadzono materiały i sprzęt, które wystrzeliwała następnie na wyznaczoną orbitę pewna prywatna agencja kosmiczna sponsorowana przez “jądro”. Prowadzono prace konstrukcyjne przy promie księżycowym, który miał przetransportować to wszystko z orbity ziemskiej do Kolonii Jersey.

- I to wszystko w cieniu naszego programu kosmicznego?

- To, co oficjalnie reklamowano jako wielkie satelity telekomunikacyjne, było w istocie zakamuflowanymi członami promu księżycowego, a w wewnętrznej kapsule każdego z nich znajdował się człowiek. Nie wchodzę już w szczegóły dziesięcioletniego okresu planowania i wreszcie finału niebywale skomplikowanej operacji zespolenia wszystkich członów promu oraz połączenia ich z jednym z naszych porzuconych laboratoriów kosmicznych spełniającym rolę bazy montażowej. Nie będę też opisywał nowoczesnych rozwiązań zastosowanych przy projektowaniu lekkiego, wydajnego silnika elektrycznego zasilanego energią słoneczną i wykorzystującego tlen w charakterze paliwa napędowego. Dość, że uporano się z tym zadaniem.

Joe przerwał, żeby dać prezydentowi czas na wykonanie kolejnego uderzenia.

- Potem pozostała kwestia zabrania z orbity wysłanych tam systemów podtrzymywania życia oraz materiałów zaopatrzeniowych i przetransportowania tego wszystkiego, a właściwie doholowania, na wyznaczone miejsce na powierzchni Księżyca. Do Kolonii Jersey ściągnięto nawet stare sowieckie laboratorium orbitalne; każdy przydatny strzęp kosmicznego śmiecia. Była to od początku operacja bez precedensu, pionierskie wyrwanie się człowieka z jego domu na Ziemi, najważniejszy krok ewolucji od czasu, kiedy przed trzystu milionami lat pierwsza ryba wypłynęła z morza na ląd. Ale, na Boga, dokonaliśmy tego. I kiedy siedzimy tu sobie i gawędzimy, 240 tysięcy mil stąd żyje i pracuje w nieprzyjaznym środowisku dziesięciu ludzi.

Mówiący te słowa Joe miał wyraz oczu mesjasza. Kiedy umilkł, wrażenie to się rozwiało i Joe zerknął na zegarek.

- Lepiej się pospieszmy, bo tajniacy zaczną się zastanawiać, dlaczego tak marudzimy. I tak to w ogólnym zarysie wygląda. Proszę kontynuować grę, a ja w tym czasie postaram się odpowiedzieć na pańskie pytania.

Prezydent wpatrywał się w niego z nabożną czcią.

- Jezu - jęknął. - Nie wydaje mi się, żebym zdołał wszystko ogarnąć.

- Przepraszam, że przytłoczyłem pana taką masą informacji - powiedział szybko Joe - ale było to konieczne.

- W którym dokładnie miejscu na Księżycu znajduje się ta Kolonia Jersey?

- Po przestudiowaniu fotografii wykonanych przez sondy wysłane na orbitę Księżyca i przez misje *Apollo* wykryliśmy gejzer pary w obrębie regionu wulkanicznego, który leży na południowej półkuli, po ciemnej stronie Księżyca. Bliższe oględziny wykazały, że jest tam wielka jaskinia, idealne miejsce na lokalizację instalacji wstępnych.

- Powiedział pan, że przebywa tam dziesięciu ludzi?

- Tak.

- A co z okresową rotacją personelu, ze zmianami?

- Nie ma żadnej rotacji.

- Boże, to przecież znaczy, że pierwotna załoga, która montowała prom księżycowy, przebywa w kosmosie od sześciu lat.

- To prawda - przyznał Joe. - Jeden zmarł, a siedmiu dokooptowano, kiedy baza została rozbudowana na tyle, by na jej terenie mogło przebywać więcej osób.

- A co z ich rodzinami?

- Wszyscy są kawalerami. Wszyscy zdawali sobie sprawę z wyrzeczeń i ryzyka i przyjęli warunki.

- Powiedział pan, że jestem dopiero drugim prezydentem, którego poinformowano o tym przedsięwzięciu.

- Zgadza się.

- Niewtajemniczenie głowy państwa w realizowany projekt stanowi obrazę tego urzędu.

Ciemnoniebieskie oczy Joego jeszcze bardziej pociemniały, patrzył teraz na prezydenta z wyraźną niechęcią.

- Prezydenci to stworzenia uwikłane w politykę. Głosy stają się dla nich cenniejsze niż złoto. Nixon mógłby wykorzystać Kolonie Jersey jako zasłonę dymną dla swego udziału w aferze Watergate. To samo tyczy się Cartera i fiaska akcji odbicia amerykańskich zakładników przetrzymywanych w Iranie. Reagan nie przepuściłby okazji, by za jej pomocą poprawić swoje *image* i uzyskać przewagę nad Rosjanami. A już włos się jeży na głowie na samą myśl o tym, co uczyniliby z projektem w Kongresie przedstawiciele rozmaitych frakcji debatujący nad tym, czy lepiej pieniądze wydawać na obronę, czy na dokarmianie biednych. Kocham swój kraj, panie prezydencie, i uważam siebie za lepszego patriotę niż większość żyjących w nim ludzi, ale nie wierzę już w rząd.

- Korzystał pan z dolarów pochodzących z podatków obywateli.

- Co zwróci się zawiązka w postaci korzyści płynących z odkryć naukowych. Proszę jednak nie zapominać, że połowę pieniędzy wyłożyły osoby prywatne i ich korporacje, i to, mogę pana zapewnić, nie mając na uwadze jakichkolwiek zysków czy korzyści osobistych. W przeciwieństwie do kontrahentów z lobby obronnego i kosmicznego.

Prezydent nie zaprzeczył. Postawił w milczeniu piłkę na wzgórku i posłał ją w kierunku sektora osiemnastego.

- Skoro tak bardzo nie ufa pan prezydentom - burknął uszczypliwie - to dlaczego spada pan z nieba i mówi to wszystko mnie?

- Możemy mieć pewien problem. - Joe wysunął spod obwoluty teczki fotografię i pokazał ją prezydentowi. - Dzięki naszym powiązaniom zdobyłem fotografię wykonaną z niewykrywalnego przez radar samolotu Air Force odbywającego loty zwiadowcze nad Kubą.

Prezydent wolał nie pytać, w jaki sposób ta fotografia trafiła do rąk Joego.

- No i co na niej jest?

- Proszę przyjrzeć się uważnie obszarowi pomiędzy północnym wybrzeżem wyspy a Florida Keys.

Prezydent wyciągnął z kieszonki koszuli okulary i popatrzył przez nie na fotografię.

- Wygląda mi to na sterowiec reklamowy firmy Goodyear.

- Nie, to *Prosperteer*, stary statek powietrzny należący obecnie do Raymonda LeBarona.

- Zdawało mi się, że LeBaron dwa tygodnie temu zaginął nad Karaibami.
- Dziesięć dni temu, jeśli chodzi o ścisłość, wraz ze swoim sterowcem i dwoma członkami załogi.
- Czyli ta fotografia została wykonana przed jego zniknięciem.
- Nie, film został wyjęty z kamery samolotu zaledwie osiem godzin temu.
- A więc to dowód, że LeBaron żyje.
- Chciałbym, żeby tak było, ale wszelkie próby wywołania *Prosperteera* przez radio pozostały bez odpowiedzi.
- Czy LeBaron jest w jakiś sposób związany z Kolonią Jersey?
- Był członkiem "jądra". Prezydent nachylił się do mężczyzny.
- A pan, Joe, czy jest pan jednym z pierwotnej dziewiątki, która opracowała ten projekt?

Joe nie odpowiedział. Nie musiał. Prezydent, patrząc nań, odgadł prawdę bez cienia wątpliwości.

Zadowolony z siebie usiadł prosto i odprężył się.

- W porządku, a zatem w czym rzecz?

- Za dziesięć dni Sowieci wyprowadzają z hangaru swoją najnowszą raketę przystosowaną do wynoszenia w przestrzeń okołoziemską ładunków ciężkich i wystrzelują ją w kosmos wraz z załogowym ładownikiem księżycowym sześć razy większym i cięższym od modułu, z którego korzystali nasi astronauty podczas realizacji programu *Apollo*. Szczegóły zna pan z meldunków wywiadowczych CIA.

- Referowano mi sprawę ich misji księżycowej - przyznał prezydent.

- I orientuje się pan również, że w ciągu ostatnich dwóch lat Rosjanie umieścili już na orbicie okołoksiężycowej trzy bezzałogowe sondy celem przeprowadzenia rozpoznania terenu i obfotografowania miejsc nadających się do lądowania. Trzecia i ostatnia rozbiła się o powierzchnię Księżyca. W drugiej szwankował silnik, co doprowadziło do wybuchu paliwa. Jednak pierwsza sonda spisywała się bez zarzutu, przynajmniej z początku. Okrążyła Księżyc dwanaście razy. Potem coś się stało. Po powrocie na orbitę okołoziemską, przed samym wejściem w atmosferę, przestała nagle reagować na wszelkie sygnały sterujące nadawane z Ziemi. Przez następne osiemnaście miesięcy sowieccy kontrolerzy lotów kosmicznych pracowali w pocie czoła nad bezpiecznym sprowadzeniem sondy na Ziemię. Nie wiemy, niestety, czy udało im się wydobyć z niej dane wizualne, jakie zebrała, czy nie. Zdołali w końcu odpalić raketowe silniki hamujące. Ale zamiast wylądować na Syberii, ich sonda księżycowa, *Selenos 4*, spadła gdzieś w rejonie Morza Karaibskiego.

- I co to ma wspólnego z LeBaronem?

- Wyruszył na poszukiwanie sowieckiej sondy księżycowej. Cień wątpienia przemknął przez twarz prezydenta.
- Według meldunków CIA Rosjanie podnieśli ją z dna wód przybrzeżnych Kuby.
- To zasłona dymna. Odstawili nawet niezłe przedstawienie z podnoszeniem sondy. Ale w rzeczywistości do tej pory nawet jej jeszcze nie zlokalizowali.
- A pańscy ludzie uważają, że znają miejsce jej spoczynku?
- Tak, ustaliliśmy precyzyjnie jej położenie.
- Dlaczego tak wam zależy na wyrwaniu Rosjanom tych paru zdjęć Księżyca? Istnieją tysiące takich fotografii dostępnych dla każdego, kto tylko zechce je studiować.
- Wszystkie zostały wykonane przed założeniem Kolonii Jersey. Nowa seria zdjęć zrobionych przez Rosjan bez wątpienia zdradzi jej istnienie.
- I w czym mogłoby to zaszkodzić?
- Sądzę, że jeśli Kreml odkryje prawdę, zadaniem pierwszej wyprawy ZSRR, która wyląduje na Księżycu, będzie zaatakowanie naszej kolonii, opanowanie jej i wykorzystanie do własnych celów.
- Nie kupuję tego. Kreml naraziłby wtedy swój program podboju przestrzeni kosmicznej na odwet z naszej strony.
- Zapomina pan, prezydencie, że nasz projekt księżycowy otoczony jest tajemnicą. Nie można oskarżać Rosjan o zagarnięcie czegoś, co oficjalnie nie istnieje.
- Strzela pan w ciemno - warknął ostro prezydent.

Spojrzenie Joego stwardniało.

- Nieważne. To nasi astronauta pierwsi postawili stopę na powierzchni Księżyca. To my pierwsi go skolonizowaliśmy. Księżyc należy do Stanów Zjednoczonych i naszym obowiązkiem jest przeciwstawianie się wszelkim aktom agresji.
- Nie żyjemy w czternastym wieku - odparował wstrząśnięty prezydent. - Nie możemy chwycić za broń i nie dopuszczać Sowietów, czy kogo tam jeszcze, do Księżyca. Poza tym, w myśl uchwały przyjętej przez ONZ, żaden kraj nie ma prawa wyłączności do Księżyca i planet Układu Słonecznego.
- Czy Kreml, będąc na naszym miejscu, oglądałby się na postanowienia ONZ? Nie sądę. - Joe obrócił się w fotelu kierowcy i wyciągnął z torby kij golfowy. - Sektor osiemnasty. Pańska ostatnia zagrywka, panie prezydencie.

Prezydent ocenił z roztargnieniem sytuację w sektorze i machinalnym uderzeniem umieścił piłkę w odległym o dwadzieścia stóp dołku.

- Mógłbym was powstrzymać - powiedział chłodno.
- Jak? NASA nie dysponuje sprzętem, który umożliwiłaby wysadzenie plutonu marines na powierzchni Księżyca. Dzięki krótkowzroczności pańskiej i pańskich poprzedników zaangażowali się bez reszty w budowę orbitalnej stacji kosmicznej.
- Nie mogę patrzeć spokojnie, jak rozpętujecie w kosmosie wojnę, która mogłaby się przenieść na Ziemię.
- Nie ma pan wyboru.
- Możecie się mylić co do Rosjan.
- Miejmy taką nadzieję - powiedział Joe. - Podejrzewam jednak, że mogli już zabić Raymonda LeBarona.
- I dlatego powierzyliście mi swoją tajemnicę?
- Znając fakty będzie pan przynajmniej mógł przygotować sobie jakąś linię postępowania. Jeśli dojdzie do najgorszego, z pewnością podniesie się wrzawa.
- A założmy, że każę mojej obstawie aresztować pana jako niedoszłego zamachowca, a następnie ujawnię istnienie Kolonii Jersey?
- Jeśli mnie pan aresztuje, Reggie Salazar umrze. Ujawni pan projekt, a wszystkie zakulisowe rozgrywki, chwytaki poniżej pasa, szachrajstwa i kłamstwa, ofiary śmiertelne, bez których się nie obyło przy dążeniu do wytyczonego celu, wszystko to zostanie złożone na karb pańskiej kariery politycznej, poczynając od momentu, kiedy został pan zaprzysiężony w Senacie. Wyleci pan z Białego Domu z jeszcze większym hukim niż Nixon, zakładając, ma się rozumieć, że dożyje pan tej chwili.
- Grozi mi pan szantażem? - Prezydent panował dotąd nad ogarniającym go gniewem, ale teraz wpadł w furję. - Życie Salazara byłoby niską ceną za ratowanie honoru urzędu.
- Dwa tygodnie. Potem może pan ogłosić światu istnienie Kolonii Jersey. Przy dźwięku fanfar i bębnow może pan odgrywać wielkiego politycznego herosa. Dwa tygodnie i będzie pan mógł przedstawić dowody największego osiągnięcia naukowego tego kraju.
- Dlaczego akurat za dwa tygodnie?
- Ponieważ zgodnie z ustalonym harmonogramem pierwotna załoga ma wtedy opuścić Kolonię Jersey i powrócić na Ziemię z dorobkiem dwóch dziesięcioleci badań kosmosu - z materiałami zebranymi przez sondy meteorologiczne i księżycowe; z wynikami tysięcy biologicznych, chemicznych i atmosferycznych eksperymentów naukowych; z niezliczonymi fotografiami i milami taśm wideo, na których zarejestrowano przebieg pierwszej w dziejach ludzkości próby założenia kolonii pozaziemskiej. Pierwsza faza projektu dobiegła końca. Marzenie "jądra" zostało urzeczywistnione. Kolonia Jersey należy teraz do narodu amerykańskiego.

Prezydent bawił się w zadumie kijem golfowym.

- Kim pan jest? - spytał po chwili.

- Niech pan sięgnie pamięcią wstecz. Przed wieloma laty byliśmy dobrymi znajomymi.

- Jak mam się z panem kontaktować?

- Kiedy uznam to za konieczne, sam zaaranżuję następne spotkanie. - Joe dźwignął worek z kijami ze stelaża wózka i ruszył wąską ścieżką w stronę budynku klubowego. Nagle zatrzymał się i zawrócił.

- Nawiasem mówiąc, skłamałem. To nie bomba, lecz prezent od "jądra" - pudełko nowych piłek golfowych.

Prezydent patrzył na niego z bliskim zawodu zdziwieniem.

- Obyś się w piekle smażył, Joe.

- A, i jeszcze jedno... Moje gratulacje.

- Gratulacje?

Joe podał mu notatnik.

- Prowadziłem zapis pańskiej gry. Zdobył pan siedemdziesiąt dziewięć punktów.

ROZDZIAŁ 4

Smukły kadłub deski windsurfingowej ślizgał się po zmarszczonej powierzchni morza z pełną wdzięku elegancją mknącej we mgle strzały. Jej szlachetny zarys o łagodnych krzywiznach był nie tylko miły dla oka, lecz umożliwiał także rozwijanie wielkiej szybkości na falach. Lekkość i elastyczność zapewniało desce najprostsze chyba rozwiązanie: kadłub ze sztywnej pianki z tworzywa sztucznego powleczonej polietylenową skorupą. Sterowność gwarantowała mała płetwa na rufie, natomiast przechyłom bocznym deski na wietrze zapobiegał miecz sterczący w okolicach środka.

Trójkątny purpurowy żagiel ozdobiony szerokim turkusowym pasem przywierał do aluminiowego masztu zamocowanego do pokładu uniwersalnym okuciem. Maszt i żagiel otaczał owalny, rurkowy gafel, czyli rodzaj bomu, trzymany mocno długimi, smukłymi dłońmi pokrytymi szorstką, zrogowaciałą skórą.

Dirk Pitt był zmęczony, bardziej zmęczony, niż był to skłonny zaakceptować jego otępiały umysł. Mięśnie ramion i nóg ciążyły mu jak ołów, a ból w plecach i barkach wzrastał się z każdym manewrem deską. Co najmniej trzeci raz w ciągu ostatniej godziny tłumił w sobie narastającą pokusę skierowania się ku najbliższej plaży i wyciągnięcia na piasku.

Poprzez przezroczystą szybkę w żaglu obserwował pomarańczową boję zaznaczającą ostatni odcinek z wiatrem na trasie trzydziestomilowego wyścigu maratońskiego desek windsurfingowych po zatoce Biscayne do latarni morskiej Cape Florida na Key Biscayne. Pieczołowicie wybrał pozycję wejścia w wiraż wokół boi. Decydując się na zwrot przez rufę, najelegantszy manewr windsurfingu, przebił się zakosami przez gąszcz zawodników, przesunął środek ciężkości na rufę swej deski i skierował dziób na nowy kurs. Potem, przytrzymując się jedną ręką masztu, przerzucił takielunek na nawietrzną, przestawił stopy i puścił drugą ręką bom. Pokonując siłę wiatru przyciągnął teraz do siebie łopoczący żagiel i w precyzyjnie odmierzonego momencie chwycił bom. Deska, pchnięta świeżą północną bryzą wiejącą z szybkością dwudziestu węzłów, pognęła po rozkołysanym morzu i niebawem rozpedziła się do blisko trzydziestu mil na godzinę.

Pitt był nieco zaskoczony faktem, że w gronie czterdziestu jeden zawodników, z których większość liczyła sobie co najmniej piętnaście lat mniej niż on, zajmuje aktualnie trzecią pozycję i od prowadzących dzieli go zaledwie dwadzieścia jardów.

Różnobarwne żagle floty windsurfingowców przemykały po zielonobłękitnej wodzie jak w zwariowanym pryzmacie. Meta przy latarni morskiej była już w zasięgu wzroku. Pitt skoncentrował się na wyprzedzającym go zawodniku, wyczekując właściwego momentu na atak. Ale zanim się zdecydował, tamten źle ocenił falę i przewrócił się. Teraz Pitt był już drugi, a do mety pozostało tylko pół mili.

Nagle po bezchmurnym niebie przesunął się złowieszczo mroczny cień i Pitt usłyszał dochodzący z góry, nieco z lewej, ryk silników śmigłowego samolotu. Zadał głowę i z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

Niespełna sto jardów nad nim, niczym Księżyc podczas zaćmienia przesłaniając Słońce, opuszczał się z przestworzy sterowiec. Jego wielki dziób szedł kursem na zderzenie z flotą windsurfiingowych desek. Wszystko wskazywało na to, że olbrzym wymknął się spod kontroli pilota i dryfuje samopas. Śmigła dwóch silników ledwie się obracały na jałowym biegu, ale pchała go do przodu silna bryza. Windsurfiingowcy wpatrywali się bezsilnie w gigantyczny kształt przecinający im drogę.

Gondola zawadziła o grzbiet fali i sterowiec odbił się z powrotem w powietrze prostując lot pięć stóp nad wodą, przed prowadzącym zawodnikiem. Chłopak, co najwyżej siedemnastoletni, nie będąc już w stanie wykonać w porę zwrotu, zeskoczył z deski na moment przed tym, jak prawe śmigło sterowca poszatkowało w drobny mak żagiel i maszt.

Pitt wszedł zwinnie w ostry zakręt i przemknął równoległym kursem obok siejącego spustoszenie statku powietrznego. Kącikiem oka zdołał jeszcze zarejestrować nazwę *Prosperteer* wymalowaną wielkimi czerwonymi literami na boku. Drzwi gondoli stały otworem, ale nie zauważył w środku żadnego poruszenia. Krzyknął, lecz jego głos utonął w ryku silników i poświście wiatru. Sterowiec ślizgał się niezgrabnie po powierzchni morza, jak gdyby żył własnym życiem.

I nagle Pitt uświadomił sobie wiszącą w powietrzu katastrofę. Ciarki przeszły mu po plecach. *Prosperteer* sunął w stronę oddalonej o zaledwie ćwierć mili plaży, kierując się prosto na szeroką, tarasową fasadę hotelu Sonesta Beach. Choć samo zderzenie lżejszego od powietrza statku z solidną budowlą nie powinno spowodować większych szkód, to istniała jednak realna groźba, że pękające zbiorniki paliwa staną w ogniu, a pożar rozprzestrzeni się na pokoje ucinających sobie poobiednią drzemkę gości albo zaskoczy stołowników w znajdującym się niżej patio.

Ignorując otępiające skutki wyczerpania, Pitt skierował swoją deskę na kurs przechodzący tuż przed wielkim zaokrąglonym dziobem sterowca. Gondola podskoczyła na grzbiecie kolejnej fali, a obracające się śmigło prysnęło mu w oczy mgiełką rozproszonej soli. Utracił na chwilę ostrość widzenia i niewiele brakowało, by stracił równowagę. Przetrzymał ten kryzys w półprzysiadzie i zmniejszając przez cały czas odległość dzielącą go od sterowca wyprostował deskę na falach. Tłumy ludzi gestykulowały z ożywieniem na widok dziwnego obiektu, który zbliżał się szybko do opadającej ku morzu hotelowej plaży.

Pitt musiał idealnie wyczuć moment spotkania ze sterowcem; drugiego podejścia nie będzie. Gdyby podpłynął w złym momencie, jego ciało zostałoby najprawdopodobniej poszatkowane przez śmigła. Zaczynał odczuwać zawroty głowy. Wciąż opadał z sił. Zauważył, że jego mięśnie z coraz większym opóźnieniem reagują na napływające z mózgu rozkazy. Sprężył się w sobie, kiedy deska windsurfiingowa wpadała pod dziób sterowca.

I skoczył.

Pochwycił rękami jedną z lin dziobowych *Prosperteera*, ale ześlizgnął się po jej mokrej powierzchni zdzierając sobie skórę z palców i wnętrza dłoni. Zdesperowany, omotał linę wokół nogi i kurczowo

zaciśnął na niej dłonie mobilizując resztki energii. Ciężar ciała Pitta ściągał dziób ku dołowi i sterowiec włókł go pod powierzchnią morza. Podciągnął się trochę na linie, by wystawić głowę na powierzchnię, zaczerpnął powietrza w płuca i wypluł z ust słoną wodę. Ściągający wpadł we własne sidła.

Kotwica w postaci ciała Pitta bynajmniej nie wystarczała do osadzenia w miejscu latającego monstrem czy choćby do wyhamowania pędu nadawanego mu przez wiatr. Miał już dać za wygraną i puścić się, kiedy nagle dotknął stopami dna. Sterowiec włókł go przez kipiela przybrzeżnego przyboju i Pitt odnosił wrażenie, że pędzi na złamanie karku diabelską kolejką z wesołego miasteczka. Chwilę potem szorował już nogami po nagrzanym piasku plaży. Spojrzał przed siebie i zobaczył niski falochron hotelu majaczący w odległości niespełna stu jardów.

Boże! pomyślał, stało się - za kilka sekund *Prosperteer* wyrżnie w hotel i niewykluczone, że eksploduje. A to nie wszystko. Pod wpływem zderzenia wirujące wciąż śmigła rozprysną się w drobny mak i deszcz metalowych odłamków zasypie oniemiałe ze zgrozy tłumy. Efekt będzie równie śmiertelny jak wybuch szrapnela.

- Na miłość boską, niech mi ktoś pomoże! - zawył Pitt.

Zbita masa plażowiczów, przyglądająca się z dziecinną fascynacją temu niecodziennemu widowisku, stała z rozdziawionymi ustami niczym wrośnięta w ziemię. Nagle z tłumu wyskoczyły dwie nastolatki i jakiś chłopak i we trójkę uczepili się jednej z pozostałych lin holowniczych. Za ich przykładem poszli ratownik i starsza, tęga kobieta. W tym momencie czar prysł i w stronę sterowca rzuciła się ze dwudziestką gapiów chwytając za sunące po ziemi liny. Wyglądało to tak, jakby plemię półnagich dzikusów zmagало się w przeciąganiu liny z rozwścieczonym brontozaurem.

Zapierali się ofiarnie bosymi piętami i wleczeni po plaży przez unoszącą się w górze upartą masę, ryli nimi w piachu głębokie bruzdy. Kadłub, hamowany żywym balastem uczepionym lin dziobowych, okręcił się o sto osiemdziesiąt stopni i skierował w stronę hotelu ogromnym, płetwiastym ogonem. Kółko u spodu gondoli szorowało po krzakach rosnących na szczycie falochronu, a śmigła, które od betonu dzieliły zaledwie cale, siekły gałęzie i liście.

Prosperteer, pchnięty silnym podmuchem wiatru od morza, poszybował rufą do przodu w kierunku czwartego piętra hotelu, siejąc po drodze spustoszenie wśród parasoli i stolików rozstawionych na patio. Raptowny zryw sterowca wyszarpnął liny z dłoni i ludziom opadły bezradnie ręce. Bitwa wyglądała na przegraną.

Pitt pozbierał się z ziemi i na wpół biegnąc, na wpół się czołgając dopadł do najbliższej palmy. W ostatnim desperackim chwycie owinał swoją linę wokół wysmukłego pnia modląc się żarliwie w duchu, żeby wytrzymała naprężenie i nie pękła.

Lina napięła się i wyprężyła niczym struna. Palma, mająca pięćdziesiąt stóp wysokości, drgnęła, zakołysała się i zaczęła pochylać. Na te kilka sekund wszyscy wstrzymali oddech. Potem, z bolesnym mozołem, drzewo zaczęło się prostować, powracając stopniowo do swej pionowej pozycji. Korzenie, chociaż płytko wrośnięte w ziemię, trzymały mocno i sterowiec znieruchomiał, kiedy jego płetwy od wschodniej ściany hotelu dzieliło niespełna sześć stóp.

Z dwustu gardeł wyrwał się głośny okrzyk radości i ludzie zaczęli wiwatować. Kobiety podskakiwały i śmiały się, a mężczyźni ryczeli opętańczo, wyciągając ręce z odgiętymi kciukami. Nigdy dotąd żadna zwycięska drużyna nie zebrała bardziej spontanicznej owacji. Jak spod ziemi zmaterializowali się strażnicy z ochrony hotelu, by zagrozić przypadkowym gapiom dostęp w pobliże obracających się wciąż śmigieł.

Pitt, cały mokry i oblepiony piaskiem, stał ciężko dysząc. Dopiero teraz poczuł piekący ból w zdartych liną dłoniach. Pierwszy raz miał okazję przyjrzeć się dokładnie powietrznemu statkowi, zadzierał więc głowę i zafascynowany podziwiał archaiczną konstrukcję *Prosperteera*. Nie ulegało wątpliwości, że to przodek nowoczesnych sterowców produkowanych obecnie przez firmę Goodyear.

Przelawirował przez patio pomiędzy poprzewracanymi stolikami i krzeselkami i wdrapał się do gondoli. Milcząca załoga siedziała nadal w bezruchu przypięta pasami do foteli. Pitt pochylił się nad pilotem, poszukał wzrokiem wyłączników zapłonu i przerzucił je w pozycję wyłączenia. Silniki parsknęły cicho raz czy dwa i umilkły, a śmigła po wykonaniu ostatniego spazmatycznego obrotu znieruchomiały.

Zapadła grobowa cisza.

Pitt skrzywił się i rozejrzał po wnętrzu gondoli. Nie dostrzegł śladów jakichkolwiek zniszczeń; przyrządy i wskaźniki zdawały się w jak najlepszym porządku. Zastanowiło go jednak bogactwo pokładowego sprzętu elektronicznego. Mierniki wychyłowe do wykrywania metali, sonar boczny i detektor profilu dna morskiego, pełne wyposażenie podmorskiej ekspedycji poszukiwawczej.

Nie dostrzegął licznych twarzy zaglądających przez otwarte drzwi gondoli ani nie słyszał pulsującego wycia zbliżających się syren. Czuł się oderwany od rzeczywistości i chwilowo zdezorientowany. W parnym, wilgotnym powietrzu unosił się nastrój grozy i mdlący odór rozkładających się ciał.

Jeden z członków załogi siedział przy stoliku z głową wspartą na ramionach, zupełnie jakby spał. Ubranie miał mokre i poplamione. Pitt położył mu dłoń na barku i potrząsnął lekko. Ciało zatraciło całą swą jędrność. W dotyku sprawiało wrażenie miękkiego i rozlazłego.

Na Pitta opadł jakby lodowaty całun. Każdy skrawek jego skóry pokrył się gęsią skórką, a mimo to pot spływał mu strużkami po plecach.

Skierował swą uwagę na upiorne postaci siedzące za sterami. Ich twarze pokrywały roje much, a rozkład wyzwał wszelkie ślady życia. Skóra zsuwała się z ciała jak z pękniętego bąbla po oparzeniu. Opadnięte szczęki zwisały bezwładnie, a wargi i języki w rozdziawionych ustach napuchły i wyschły. Oczy mieli otwarte, zapatrzone w pustkę, gałki oczne matowe i zasnuwane mgłą. Dłonie o posiniąłych paznokciach spoczywały wciąż na sterach. Bakterie, nie kontrolowane już przez enzymy, wytwarzały gazy wydymające groteskowo brzuchy. Wilgotne powietrze i wysokie temperatury tropików w znacznym stopniu przyspieszały procesy gnilne.

Rozkładające się trupy we wnętrzu *Prosperteera* nadleciały z jakiegoś nieznanego grobu - makabryczna załoga statku widma w swojej upiornej misji.

ROZDZIAŁ 5

Nagi trup dorosłej czarnej kobiety leżał rozciągnięty na stole operacyjnym, skąpany w jasnym blasku reflektorów prosektorium. Zwłoki zachowane były nad podziw dobrze - żadnych widocznych urazów, które sugerowałyby użycie przemocy. Na podstawie stopnia stężenia pośmiertnego fachowiec stwierdziłby, że kobieta zmarła przed niespełną siedmioma godzinami. Jej wiek można było oszacować na jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. To ciało przyciągało być może kiedyś męskie spojrzenia, ale teraz było zmarnowane, zużyte i wyniszczone dziesięcioletnim zażywaniem narkotyków.

Doktor Calvin Rooney, koroner okręgu Dade, nie był zachwycony perspektywą przeprowadzania sekcji zwłok. W Miami było wystarczająco dużo zgonów, by jego zespół miał zapewnione zajęcie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a on osobiście wolał poświęcać czas bardziej dramatycznym i zagadkowym oględzinom pośmiertnym. Przypadek przedawkowania narkotyków niezbyt go interesował. No, ale tę tutaj znaleziono porzuconą na frontowym trawniku posiadłości komisarza okręgu i nie wypadało wyręczać się trzeciorzędnym asystentem.

Rooney, rodowity Florydczyk, weteran Armii Stanów Zjednoczonych, absolwent medycyny na Harvardzie, nie cierpiący standardowych białych fartuchów laboratoryjnych i w związku z tym ubrany w ich błękitną odmianę, wsunął nową kasetę do przenośnego magnetofonu i przystąpił do suchego komentowania ogólnego stanu zwłok.

Po chwili ujął skalpel i pochylił się nad stołem, by dokonać pierwszego cięcia. Zaczął od punktu leżącego kilka cali pod podbródkiem i kroił ostrzem w dół ku kości łonowej. Dotarłszy do klatki piersiowej przerwał nagle, pochylił się niżej i mrużąc oczy za okularami w rogowych oprawkach wyteżył wzrok. W ciągu następnych piętnastu minut wyjął serce i dokonując jego oględzin wygłaszał na bieżąco do mikrofonu swój monolog.

Był akurat w trakcie utrwalania na taśmie świeżo poczynionych obserwacji, kiedy do sali prosektoryjnej wkroczył szeryf Tyler Sweat. Był to lekko przygarbiony mężczyzna średniej budowy ciała. Jego zamyślona twarz wyrażała mieszaninę melancholii i brutalnej determinacji. Metodyczny i sumienny, cieszył się ogromnym szacunkiem podwładnych.

Rzucił obojętne spojrzenie na otwartą klatkę piersiową, po czym pozdrowił Rooneya skinieniem głowy.

- Nowy kawał mięsa?

- To ta kobieta z podwórka komisarza - wyjaśnił Rooney.

- Znowu przedawkowanie?

- Niestety. Wygląda bardziej na zabójstwo. Została zamordowana. Znalazłem trzy nakłucia serca.
- Lodowe igielki?
- Wszystko na to wskazuje.

Sweat spojrział z uznaniem na drobnego, łysiejącego specjalistę od autopsji, którego dobrotliwy wygląd pasowałby chyba bardziej do proboszcza.

- Nie wywiodą pana w pole, doktorze.
- Co sprowadza największego pogromcę złoczyńców w progi pałacu sprawiedliwości? - zapytał przyjaźnie Rooney. - Węszy pan za czymś?
- Nie, chodzi o identyfikację z udziałem bardzo ważnych osobistości. Chciałbym, żeby pan przy tym był.
- Zwłoki ze sterowca - domyślił się Rooney.

Sweat pokiwał głową.

- Przybyła pani LeBaron, żeby obejrzeć ciała.
- Nie jestem za tym. To, co pozostało z jej męża, nie stanowi przyjemnego widoku dla kogoś, kto nie obcuje na co dzień ze śmiercią.
- Usiłowałem jej przetłumaczyć, że z prawnego punktu widzenia wystarczyłaby identyfikacja jego rzeczy osobistych, ale ona nalega. Przywiozła nawet ze sobą asystenta gubernatora, żeby pomógł jej się tu dostać.
- Gdzie są?
- Czekają w biurze kostnicy.
- A dziennikarze?
- Cały regiment reporterów telewizyjnych i prasowych uwija się jak w ukropie. Poleciałem moim ludziom, żeby nie wpuszczali ich dalej niż do holu.

- Dziwnie dzieje się na tym świecie - powiedział Rooney wpadając w jeden ze swych filozoficznych nastrojów. - Sławny Raymond LeBaron trafia na pierwsze strony, a to biedactwo dostaje kolumnę obok ogłoszeń drobnych. - Westchnął, zdjął fartuch laboratoryjny i rzucił go na krzesło. - Miejmy to już za sobą. Dzisiaj po południu mam jeszcze do przeprowadzenia dwie sekcje zwłok.

W tym momencie rozpętała się tropikalna burza i po sali przetoczył się grzmot pioruna. Rooney narzucił sportową marynarkę i poprawił krawat. Ruszyli ku wyjściu. Sweat szedł ze spuszczoneym

wzrokiem kontemplując w zadumie wzór dywanu pokrywającego podłogę korytarza.

- Wiadomo już coś o przyczynie śmierci LeBarona? - zagadnął Rooneya.

- Za wcześnie, żeby o tym mówić. Wyniki badań laboratoryjnych niczego nie rozstrzygnęły. Chcę przeprowadzić jeszcze parę testów. Zbyt wiele jest niejasności. Nie będę ukrywał, że to zagadkowa sprawa.

- Żadnych przypuszczeń?

- Nic, co mógłbym przelać na papier. Problemem jest niewiarygodnie gwałtowne tempo procesu gnilnego. Rzadko miewałem do czynienia z tak szybkim postępowaniem rozkładu tkanki, może z wyjątkiem jednego przypadku z 1974 roku.

Zanim Sweat zdążył nakłonić Rooneya do wspomnień, znaleźli się przed drzwiami biura kostnicy i weszli do środka. Asystent gubernatora, goguś w garniturze z kamizelką, zerwał się na ich widok z miejsca. Zanim jeszcze otworzył usta, Rooney sklasyfikował go jako oferwę.

- Czy możemy już zaczynać, szeryfie? Pani LeBaron bardzo źle się czuje i pragnęłaby jak najszybciej wrócić do hotelu.

- Współczuję jej - wycedził szeryf - ale nie muszę chyba przypominać urzędnikowi w służbie publicznej, że istnieją pewne procedury prawne, do których musimy się stosować.

- Ja zaś nie muszę chyba panu przypominać, że gubernator oczekuje od pańskiego wydziału potraktowania pani LeBaron z należytą uprzejmością, by nie pogłębiać smutku, w jakim jest pogrążona.

Rooney podziwiał niewzruszoną cierpliwość Sweata. Szeryf po prostu zignorował asystenta, zupełnie jakby przechodził obok śmiecia porzuconego na chodniku.

- To nasz główny specjalista od autopsji, doktor Rooney. Będzie obecny przy identyfikacji.

Jessie LeBaron nie wyglądała w najmniejszym stopniu na osobę załamana. Siedziała na krześle z pomarańczowej masy plastycznej wyprostowana, opanowana, z wysoko uniesioną głową. A mimo to Rooney wyczuwał kruchość tej postawy utrzymywanej tylko dzięki wewnętrznej dyscyplinie i panowaniu nad sobą. Miał doświadczenie w prowadzeniu sesji identyfikacji zwłok przez krewnych. W swej karierze przechodził przez to setki razy i teraz, wiedziony instynktem, odezwał się cicho i łagodnie:

- Pani LeBaron, w pełni zdaję sobie sprawę, co pani przeżywa, i postaram się, aby wszystko przebiegło możliwie bezboleśnie. Ale po pierwsze, pragnę wyraźnie zaznaczyć, iż w myśl przepisów prawnych obowiązujących w tym stanie i okręgu, wystarczy po prostu identyfikacja rzeczy osobistych znalezionych przy ciałach. Po drugie, wielką pomocą w identyfikacji będą wszelkie charakterystyczne znaki szczególne, jakie zdoła pani sobie przypomnieć, takie jak znamiona, stan uzębienia, złamania kości czy blizny pooperacyjne. I po trzecie, usilnie odradzam pani oglądanie zwłok. Chociaż rysy są jeszcze rozpoznawalne, proces rozkładu zrobił swoje. Sądzę, że będzie pani

szczęśliwsza pamiętając pana LeBarona nie takim, jaki jest w kostnicy, lecz jaki był za życia.

- Dziękuję, doktorze Rooney - powiedziała Jessie. - Jestem panu wdzięczna za tę troskę, ale ja muszę się upewnić, że mój mąż naprawdę nie żyje.

Rooney skinął z przygnębieniem głową, po czym gestem ręki wskazał na stół, na którym leżało kilka części garderoby, portfele, zegarki i inne przedmioty osobistego użytku.

- Czy rozpoznała pani tutaj rzeczy pana LeBarona?

- Tak, wybrałam je.

- I jest pani pewna, że do niego należały?

- Jeśli chodzi o portfel i jego zawartość, to nie ma żadnych wątpliwości. Zegarek był podarunkiem ode mnie na pierwszą rocznicę naszego ślubu.

Rooney podszedł do stołu i podniósł z niego zegarek.

- Złoty cartier z taką samą bransoletą i rzymskimi cyframi wysadzanymi... nie pomyłę się, jeśli powiem, że diamentami?

- Tak, to rzadka odmiana czarnego diamentu. To był jego szczęśliwy kamień.

- A więc urodził się w kwietniu.

Skinęła tylko głową.

- Pani LeBaron, czy poza rzeczami osobistymi męża rozpoznaje pani cokolwiek, co należało do Bucka Caesara albo Josepha Cavilli?

- Nie przypominam sobie biżuterii, którą nosili, jestem jednak pewna, że pozostałe części garderoby Buck i Joe mieli na sobie, kiedy ostatni raz ich widziałam.

- Nasi detektywi nie mogą odnaleźć żadnych bliskich krewnych Caesara ani Cavilli - wtrącił Sweat. - Bardzo by nam pani pomogła, wskazując, do którego z nich należały poszczególne części garderoby.

Jessie LeBaron po raz pierwszy się zawahała.

- Nie jestem pewna... Wydaje mi się, że te drelichowe szorty i kwiecista koszula są Bucka. Pozostałe rzeczy należały prawdopodobnie do Joego Cavilli. - Urwała. - Czy mogę teraz zobaczyć ciało mego męża?

- Nie da pani sobie tego wyperswadować? - spytał Rooney współczującym tonem.

- Nie, jestem zmuszona nalegać.

- Najlepiej niech pan spełni życzenie pani LeBaron - wtrącił się asystent gubernatora, który do tej pory nie raczył się jeszcze przedstawić.

Rooney spojrział na Sweata i wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Proszę więc za mną. Zwłoki przechowujemy w komorze chłodniczej.

Wszyscy podeszli za nim posłusznie do grubych drzwi z małym okienkiem osadzonym na poziomie oczu i zatrzymali się przed nimi. Koroner szarpnął masywną zasuwę. Przez próg przesączało się zimne powietrze i kiedy Rooney gestem zaprosił ich do środka, Jessie mimowolnie zadrżała. Pojawił się pracownik kostnicy, który podprowadził ich do jednych z długiego rzędu kwadratowych drzwiczek ciągnących się wzdłuż ściany. Otworzył je na oścież, wysunął ze środka stół ze stali nierdzewnej i odstąpił na stronę.

Rooney ujął za róg płachty okrywającej trupa i zawahał się. Był to jedyny element jego pracy, którego nienawidził. Pod względem reakcji na widok zmarłego ludzi można było w zasadzie podzielić na cztery kategorie. Na tych, którzy wymiotują, tych, którzy mdleją, tych, którzy wpadają w histerię. Ale Rooneya najbardziej intrygował ostatni rodzaj reakcji. Reakcji ludzi, którzy stoją jak skamieniały i nie okazują w ogóle żadnych emocji. Oddałby miesięczną pensję, byle się tylko dowiedzieć, jakie myśli chodzą im w tym momencie po głowie.

Odchylił płachtę.

Asystent gubernatora spojrział, wydał patetyczny jęk i zemdlał padając w ramiona szeryfa, kiedy ich oczom ukazały się przerażające skutki procesu rozkładu.

Rooney był zaskoczony reakcją Jessie. Wpatrywała się długo i bez mrugnięcia powieką w groteskowy, gnijący na stole kształt. Wstrzymała szloch i cała zeszywniała. Potem podniosła wzrok i nadal nie mrugając powiekami powiedziała spokojnym, opanowanym głosem.

- To nie jest mój mąż!

- Jest pani tego pewna? - spytał cicho Rooney.

- Niech pan sam spojrzy - odparła nie zmieniając tonu. - Nie zgadza się linia włosów. To samo z budową kostną. Raymond miał twarz kanciastą. Ta jest bardziej zaokrąglana.

- Rozkład ciała zniekształca rysy twarzy - wyjaśnił Rooney.

- Proszę się przyjrzeć zębom. Rooney popatrzył w dół.

- Co z nimi?

- Mają srebrne plomby.

- Nie rozumiem.

- Plomby mojego męża były złote.

W tym wypadku nie można się z nią nie zgodzić, pomyślał Rooney. Człowiek tak bogaty jak Raymond LeBaron nie chodziłby do byle jakiego dentysty.

- Ale zegarek i ubranie zidentyfikowała pani wcześniej jako należące do męża.

- Do diabła z tym, co wcześniej powiedziałam! - krzyknęła. - To odrażające indywidualium nie jest Raymondem LeBaronem.

Jej furia zbiła Rooneya z tropu.

Kiedy wypadła jak burza z lodowatego pomieszczenia, stał zdezorientowany, nie będąc w stanie wykrztusić słowa. Szeryf przekazał słaniającego się na nogach asystenta gubernatora pracownikowi kostnicy i zwrócił się do koronera;

- Co pan z tego, do cholery, rozumie?

Rooney potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Moim zdaniem doznała szoku. Prawdopodobnie załamała się nerwowo i zaczęła bredzić. Wie pan lepiej ode mnie, że większość ludzi nie potrafi pogodzić się ze śmiercią kogoś kochanego. Zamyka się w sobie i nie chce uznać prawdy.

- Ona nie mówiła od rzeczy.

Sweat spojrzał bacznie na koronera.

- A jak by pan to nazwał?

- W pełni świadomą reakcją.

- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

- Zegarek - odparł Rooney. - Jeden z moich ludzi studiując medycynę pracował wieczorami jako jubiler, żeby związać jakoś koniec z końcem. Zorientował się od razu. Kosztowny zegarek marki Cartier, który pani LeBaron podarowała mężowi na pierwszą rocznicę ich ślubu, jest podrobiony. To jedna z tych tanich kopii wytwarzanych nielegalnie na Tajwanie czy w Meksyku.

- Dlaczego kobieta, która może wypisać lekką ręką czek na milion dolarów, miałaby obdarowywać swego męża tanią imitacją?

- Raymond LeBaron nie był naiwniakiem. Musiał się zorientować, co otrzymał w prezencie. Należałoby zapytać, dlaczego człowiek jego pokroju zdecydował się nosić taki zegarek.

- A więc uważa pan, że odegrała komedię i kłamała twierdząc, że nie poznaje ciała?

- Przeczucie mówi mi, że przygotowała się na to, co może ją tu czekać - odparł Rooney. - I założyłbym się nawet o mojego nowego mercedesa, że badania genetyczne, raport stomatologiczny oraz analiza gumowych odlewów pozostałości linii papilarnych, którą przeprowadzi laboratorium FBI, potwierdzą jej opinię. - Odwrócił się i spojrzał na trupa. - To nie Raymond LeBaron leży tutaj na marach.

ROZDZIAŁ 6

Detektyw porucznik Harry Victor, starszy oficer dochodzeniowy departamentu policji okręgu Dade, siedział rozparty na swoim obrotowym krześle i studiował kilka fotografii wykonanych we wnętrzu kabiny nawigacyjnej *Prosperteera*. Po kilku minutach zsunął na czoło okulary bez oprawki, które wsunęły się pod blond perukę, i przetarł oczy.

Victor był pedantem - wszystko poszufladkowane, starannie opisane literami alfabetu i ponumerowane - jedynym gliną w dziejach departamentu, który rzeczywiście czerpał przyjemność ze sporządzania raportów. Kiedy większość mężczyzn oglądała w weekendy telewizyjne programy sportowe albo podczas urlopu relaksowała się na basenie w miejscowości wypoczynkowej czytając detektywistyczne powieści Rexa Burnsa, Victor wertował akta nie rozwikłanych spraw. Z większym fanatyzmem i zawziętością podchodził do kojarzenia faktów niż do uzyskiwania wyroku skazującego.

Sprawa *Prosperteera* nie przypominała niczego, z czym zetknął się w swojej osiemnastoletniej karierze. Wobec trzech martwych mężczyzn spadających z nieba w archaicznym sterowcu rutynowe metody dochodzeniowe stosowane przez policję okazały się całkowicie bezużyteczne. Nie było żadnych punktów zaczepienia. Trzy ciała w kostnicy nie dostarczyły żadnych danych na temat tego, gdzie się podziewały przez półtora tygodnia.

Victor opuścił okulary z powrotem na nos i sprężył się właśnie do przypuszczenia kolejnego szturmu na fotografie, kiedy na biurku zabrzączał telefon. Podniósł słuchawkę i powiedział nieobecny tonem:

- Tak?

- Zgłosił się świadek, który chce złożyć zeznanie - zakomunikowała recepcjonistka.

- Proszę go wpuścić - powiedział Victor.

Zamknął teczkę z fotografiami i położył ją na sterylnym, jeśli nie liczyć małej naklejki z jego nazwiskiem i numerem telefonu, blacie metalowego biurka. Trzymał słuchawkę przy uchu, niby to rozmawiając z kimś przez telefon, i kręcił się na boki razem z krzesłem, nie odrywając wzroku od przeciwległej ściany przestronnego biura wydziału zabójstw. Znajdowały się tam drzwi prowadzące na korytarz.

W progu stanęła umundurowana recepcjonistka i wskazała w kierunku Victora. Towarzyszący jej wysoki mężczyzna skinął głową, przeslizgnął się obok niej i podszedł do biurka. Victor zaprosił go gestem do zajęcia krzesła naprzeciwko i zaczął coś wymrukiwać w jednostronnej konwersacji z sygnałem w słuchawce. Był to stary chwyt stosowany podczas przesłuchań, dający mu pełną minutę na przyjrzenie się świadkowi bądź podejrzanemu i ułożenie sobie w myślach taktyki. A co

najważniejsze, stwarzający okazję do zaobserwowania charakterystycznych zachowań i dziwnych nawyków, które później można było odpowiednio wykorzystać.

Mężczyzna siedzący przed Victorem miał około trzydziestu siedmiu, trzydziestu ośmiu lat, mniej więcej sześć stóp i trzy cale wzrostu, czarne, lekko falujące włosy bez śladu siwizny i ważył około 185 funtów. Śniadej karnacji dorobił się zapewne wystawiając skórę przez okrągły rok na działanie promieni słonecznych. Brwi miał ciemne i lekko krzaczaste, prosty, wąski nos, usta zdecydowane, o kącikach stale uciekających ku górze w nieznacznym uśmiešku. Ubrany był w niebieską sportową kurtkę, jasne spodnie i bladożółtą koszulkę polo rozpiętą pod szyją, słowem, gustownie, starannie, ale nie nazbyt kosztownie. Prawdopodobnie zaopatrywał się raczej u Saksa niż w szykownym sklepie z męską odzieżą. Nie palił, bo ani kurtki, ani kieszonki koszuli nie wypychała paczka papierosów. Założył ręce, co sugerowało spokój i obojętność, a dłonie miał wąskie, długie i ogorzałe. Żadnych pierścieni czy innej biżuterii, tylko zegarek nurka z pomarańczową tarczą, na grubej bransolecie z nierdzewnej stali.

Ten facet nie przystawał do schematu. Inni siadający na tym krześle zaczynali po chwili zdradzać oznaki niepokoju. Niektórzy maskowali nerwowość arogancją, większość rozglądała się niespokojnie po biurze, wyglądała przez okna, gapiała się na obrazy na ścianach, na innych oficerów zajętych swoimi sprawami, wierciła się, zakładała jedną nogę na drugą i na odwrót. Victor uświadomił sobie, że jak sięga pamięcią, po raz pierwszy to on poczuł się niewyraźnie i niezręcznie. Jego metoda zawiodła, podstęp spalił na panewce.

Gość nie okazywał śladu zmieszania. Przyglądał się Victorowi z obojętnym zainteresowaniem opalizujące zielonymi oczyma, które miały hipnotyzującą moc. Zdawały się przewiercać detektywa na wskroś i nie znajdując tam niczego godnego uwagi zajęły się studiowaniem obrazu wiszącego na ścianie za jego plecami. Potem przesunęły się na telefon.

- Większość departamentów policji używa systemu Horizon Communications - odezwał się przybysz tonem pogawędki. - Jeśli chce pan porozmawiać z kimś po drugiej stronie, radzę wcisnąć przycisk odblokowujący linię.

Victor spuścił wzrok. Jeden z czterech przycisków aparatu był podświetlony, ale nie wciśnięty.

- Bardzo pan spostrzegawczy, panie...

- Pitt, Dirk Pitt. Jeśli mam przyjemność z porucznikiem Victorem, to byliśmy umówieni.

- Tak, nazywam się Victor. - Detektyw urwał na chwilę, by odłożyć słuchawkę na widelki. - To pan był tą pierwszą osobą, która weszła do gondoli nawigacyjnej sterowca *Prosperteer*?

- Zgadza się.

- Dziękuję za przybycie, zwłaszcza o tak wczesnej porze w niedzielę. Byłbym panu wdzięczny za pomoc w wyjaśnieniu paru kwestii.

- Nie ma sprawy. Czy to długo potrwa?

- Dwadzieścia minut, góra pół godziny. Wybiera pan się gdzieś?

- Mam bilet na samolot, który odlatuje za dwie godziny do Waszyngtonu.

Victor skinął głową.

- Wypuszczę pana na długo przed czasem. - Wysunął szufladę i wyjął z niej przenośny magnetofon. - Przejdźmy w bardziej zaciszne miejsce.

Poprowadził Pitta długim korytarzem do małej salki przesłuchań.

Wnętrze urządzone było po spartańsku - jedno biurko, dwa krzesła i popielniczka. Victor usiadł i wsunął w kieszeń magnetofonu nową kasetę.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że będę rejestrował naszą rozmowę na taśmie? Piszę jak kura pazurem. Żadna z sekretarek nie może później odcyfrować moich notatek.

Pitt wyraził swą zgodę wzruszeniem ramion. Victor przesunął magnetofon na środek biurka i wcisnął czerwony klawisz nagrywania.

- Pańskie nazwisko?

- Dirk Pitt.

- Pierwsza litera drugiego imienia?

- E jak Eric.

- Adres?

- 266 Airport Place, Waszyngton, D.C.20001.

- Telefon, pod którym można pana zastać?

Pitt podał Victorowi numer telefonu swojego biura.

- Zawód?

- Dyrektor działu zadań specjalnych w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych NUMA.

- Czy może pan opisać wypadek, którego był świadkiem w sobotę 20 października po południu?

Pitt opowiedział Victorowi o tym, jak uczestnicząc w maratońskim wyścigu desek windsurfingowych zauważył lecący samopas sterowiec, jak uciepiony kurczowo liny cumowniczej odbył szaleńczą jazdę po falach i jak w ostatniej chwili, kiedy do potencjalnej katastrofy brakowało zaledwie kilku cali, udało się wreszcie poskromić potwora, i jak w końcu wszedł do gondoli.

- Czy dotykał pan tam czegokolwiek?

- Tylko wyłączników zapłonu i akumulatorów. I jeszcze położyłem rękę na ramieniu jednego z trupów, który siedział przy stole nawigatora.

- Niczego więcej?

- Jedynym miejscem, gdzie mógłbym poza tym zostawić swoje odciski palców, była drabinka prowadząca na pokład.

- I oparcie fotela drugiego pilota - powiedział Victor z miłym uśmiechem. - Niewątpliwie oparł się pan o nie sięgając do wyłączników.

- O tym nie pomyślałem. Następnym razem włożę rękawiczki chirurgiczne.

- Bardzo nam pomogło FBI.

- Jestem pełen uznania dla fachowości.

- Zabrał pan coś stamtąd?

Pitt rzucił Victorowi ostre spojrzenie.

- Nie.

- Czy ktoś poza panem mógł dostać się na pokład i wynieść stamtąd jakieś przedmioty?

Pitt pokręcił głową.

- Po moim wyjściu strażnicy z ochrony hotelu zabezpieczyli gondolę. Następną osobą, która do niej weszła, był umundurowany oficer policji.

- Co pan zrobił potem?

- Zapłaciłem jednemu z hotelowych ratowników, żeby wypłynął w morze i przyholował moją deskę. Jest właścicielem małej ciężarówki i był na tyle uprzejmy, że podrzucił mnie potem do domu, w którym zamieszkałem z przyjaciółmi.

- W Miami?

- W Coral Gables.

- Nie obrazi się pan, jeśli spytam, co pan robił w mieście?

- Organizowałem dla NUMA projekt badań przybrzeżnych i postanowiłem wziąć tydzień urlopu.

- Czy rozpoznał pan któreś z ciał?

- Bez przesady. Nie zidentyfikowałbym własnego ojca, gdyby znajdował się w takim stanie.

- Czy orientuje się pan, kim mogli być?
- Zakładam, że jednym z nich był Raymond LeBaron.
- Czy słyszał pan o zaginięciu *Prosperteera*?
- Środki masowego przekazu roztrąbiły to zniknięcie. Tylko pustelnik mógłby to przegapić.
- Czy ma pan jakieś własne teorie względem tego, co działo się przez dziesięć dni ze sterowcem i jego załogą?
- Nie mam zielonego pojęcia.
- Nawet najbardziej nieprawdopodobnego wytłumaczenia? - naciskał Victor.
- To mógł być kolosalny chwyt reklamowy, próba sprowokowania kampanii prasowej promującej imperium wydawnicze LeBarona.

Oczy Victora zabłysły nowym zainteresowaniem.

- Proszę kontynuować.
- Albo może genialny plan manipulacji cenami akcji spółki LeBarona. Masowa wyprzedaż całych pakietów przed jego zniknięciem i ich wykup, kiedy po jego zaginięciu cena polecą na łeb. I ponowna wyprzedaż, kiedy już się odnajdzie.
- Jak by pan w takim razie wyjaśnił ich śmierć?
- Plan nie wypalił.
- Dlaczego?
- Niech pan spyta waszego koronera.
- Pytam pana.
- Zjedli pewnie nieświeżą rybę na jakiejś bezludnej wyspie, nad którą wisieli - powiedział Pitt znudzony tą grą. - Skąd mam wiedzieć? Jeśli chodzi panu o gotowy scenariusz, niech pan zaangażuje scenarzystę.

Zainteresowanie w oczach Victora zgasło. Poprawił się na krześle i westchnął zniechęcony.

- Przez chwilę miałem wrażenie, że usłyszę od pana coś ważnego, jakąś sugestię, która pozwoliłaby mi i departamentowi ruszyć z miejsca. Ale pańska teoria, podobnie jak wszystkie inne, nie trzyma się kupy.
- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Pitt z obojętnym uśmiechem.

- Jak to możliwe, że w kilka sekund po wejściu do gondoli nawigacyjnej zdołał pan wyłączyć zasilanie? - spytał Victor wracając do przerwane go przesłuchania.

- Podczas służby w lotnictwie wojskowym i w cywilu latałem na co najmniej dwudziestu typach samolotów, a więc wiedziałem, gdzie szukać.

Victor sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego tą odpowiedzią.

- Jeszcze jedno pytanie, panie Pitt. Z jakiego kierunku nadlatywał sterowiec, kiedy po raz pierwszy pan go dojrzał?

- Dryfował z wiatrem z północnego wschodu.

Victor wyciągnął rękę i wyłączył magnetofon.

- To by było wszystko. Czy mogę pana złapać w godzinach pracy pod numerem pańskiego biura?

- Gdyby mnie tam nie było, moja sekretarka potrafi mnie odszukać.

- Dziękuję za okazaną pomoc.

- Obawiam się, że nie wniosłem do sprawy niczego istotnego - powiedział Pitt.

- Musimy sprawdzić każdy trop. LeBaron był grubą rybą i bardzo na nas naciskają. To najdziwniejszy przypadek w historii departamentu.

- Nie zazdroszczę panu dochodzenia prawdy. - Pitt zerknął na zegarek i wstał z krzesła. - Lepiej pojedę już na lotnisko.

Victor też wstał i wyciągnął przez biurko rękę, żeby uścisnąć mu dłoń na pożegnanie.

- Gdyby przyszła panu do głowy jeszcze jakaś hipoteza, panie Pitt, proszę do mnie zatelefonować. Dobra fantastyka zawsze mnie interesowała.

Pitt przystanął w progu i odwrócił się z lisim wyrazem twarzy.

- Szuka pan punktu zaczepienia, poruczniku? Niech pan uchwyci się tego i idzie po nitce aż do kłębka. Żeby statek powietrzny mógł wznieść się w górę, niezbędny jest hel. Taki antyk jak *Prosperteer* musi potrzebować ze dwieście tysięcy stóp sześciennych gazu, żeby utrzymać się w powietrzu. Po tygodniu ulotniłoby się go tyle, że sterowiec opadłby z powrotem na ziemię. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Zależy, do czego pan zmierza.

- Nie jest możliwe, aby ten sterowiec zmaterializował się ni stąd, ni zowąd nad Miami, gdyby czterdzieści osiem godzin wcześniej doświadczona załoga dysponująca niezbędnymi środkami technicznymi nie dopompowała powłoki.

Victor patrzył na Pitta wzrokiem człowieka, który za chwilę ma zostać ochrzczony.

- Co pan sugeruje?

- Żeby szukał pan w sąsiedztwie życzliwej stacji obsługi, która jest zdolna do wpompowania dwustu tysięcy stóp sześciennych helu.

Z tymi słowami Pitt odwrócił się i wyszedł na korytarz.

ROZDZIAŁ 7

- Nie cierpię łodzi - gderał Rooney. - Nie umiem pływać, idę pod wodę jak kamień i niedobrze mi się robi, kiedy patrzę przez szybkę w drzwiczkach pralki automatycznej.

Szeryf Sweat podał mu podwójne martini.

- Niech pan bierze, to wyleczy pańskie przypadłości. Rooney, spoglądając ponuro na wody zatoki, wychylił drinka do połowy.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pan wypływać na ocean.

- Nie, to będzie tylko spacerowy rejs po zatoce. - Sweat wsadził głowę do kabiny dziobowej swojej połyskliwie białej łodzi rybackiej i zapuścił silnik. Pojedynczy 260konny diesel z turbodoładowaniem zaskoczył i obudził się do życia. Z rufy trysnęły z rykiem spaliny, a pokład zadrżał pod stopami. Sweat rzucił cumy, odepchnął łódź od nabrzeża i poprowadził ją przez gąszcz przycumowanych w porcie jachtów ku zatoce Biscayne.

Dziób nie minął jeszcze ostatnich boi kanału portowego, kiedy Rooney rozglądał się już za drugim drinkiem.

- Gdzie pan trzyma ten swój środek na odwagę?

- Na dole, w kabinie dziobowej. Niech się pan obsłuży. Łód jest w mosiężnym hełmie nurka.

- O co w tym wszystkim chodzi, Tyler? - spytał Rooney pojawiwszy się z powrotem na pokładzie. - Jest niedziela. Nie wyciągnął mnie pan przecież z mojego domku letniskowego w środku dobrego meczu tylko po to, żeby mi pokazać panoramę Miami od strony morza.

- Prawdę powiedziawszy słyszałem, że wczoraj wieczorem skończył pan swój raport dotyczący zwłok ze sterowca.

- O trzeciej nad ranem, jeśli chodzi o ścisłość.

- Pomyślałem sobie, że będzie pan może miał mi coś do przekazania.

- Tyler, na miłość boską, co w tym takiego cholernie pilnego, że nie mógł pan poczekać do jutra rana?

- Mniej więcej przed godziną miałem telefon z Waszyngtonu od jakiegoś człowieka z FBI. - Sweat urwał, by przymknąć o ząbek przepustnicę. - Powiedział, że jest z agencji wywiadu wewnętrznego, o której nigdy nie słyszałem. Nie będę pana zanudzał szczegółami jego buńczucznej gadki. Nigdy nie

zrozumiem, dlaczego byle bubek z Północy sądzi, że wolno mu naskakiwać na chłopaka z Południa. Ostatecznie zażądał przekazania ciał ze sterowca władzom federalnym.

- Którym władzom federalnym?

- Odmówił ich wskazania. Kiedy zacząłem naciskać, cholernie się zaplątał.

Zainteresowanie Rooneya nagle wzrosło.

- Czy dał chociaż do zrozumienia, po co im te ciała?

- Utrzymywał, że chodzi o względy bezpieczeństwa.

- Odmówił pan oczywiście?

- Powiedziałem mu, że się zastanowię.

Nieoczekiwany zwrot sytuacji i wypity джин sprawiły, że Rooney zapomniał o swym lęku przed wodą. Zaczął zauważać obłe linie wymodelowanego z włókna szklanego kadłuba. Łódź pełniła rolę drugiego biura szeryfa Sweata, od czasu do czasu zaprzęgano ją do służby w charakterze pomocniczego patrolowca policyjnego, ale przeważnie podejmowano na niej wyższych dostojników okręgu i stanu podczas weekendowych wypadów na ryby.

- Jak pan ją nazywa? - spytał Rooney.

- Kogo?

- Tę łódź.

- A, *Southern Comfort*. Ma trzydzieści pięć stóp długości i wyciąga piętnaście węzłów. Została zbudowana w Australii przez stocznnię Stebercraft.

- A wracając do sprawy LeBarona - mruknął Rooney sącząc swoje martini - zamierza pan dać za wygraną?

- Kusi mnie - odparł z uśmiechem Sweat. - Trzeba jeszcze dowieść, że to było zabójstwo. Środki masowego przekazu robią z tego cyrk. Naciskają na mnie wszyscy, od rządu poczynając. A żeby było jeszcze weselej, to istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że to przestępstwo nie zostało popełnione na moim terenie. Tak, cholera, kusi mnie, żeby podrzucić tę żabę Waszyngtonowi.

- No dobrze, a czego pan chce ode mnie?

Szeryf odwrócił się od steru i spojrzał poważnie na Rooneya.

- Chcę, żeby mi pan powiedział, co zawiera pański raport.

- Moje ustalenia jeszcze bardziej gmatwają tę zagadkę.

Przed dziobem przedfilowała mała żaglówka z czterema nastolatkami na pokładzie i Sweat zwolnił, żeby ją przepuścić.

- Niech mi je pan wymieni.

- Zaczniemy od końca, zgoda?

- Proszę mówić.

- Z początku mnie замуrowało. Tym bardziej że wcale tego nie szukałem. Miałem podobny przypadek piętnaście lat temu. Znalaziono ciało kobiety siedzącej na swoim podwórku w fotelu ogrodowym. Mąż utrzymywał, że poprzedniego wieczora sporo wypili i położył się do łóżka sam, sądząc, że ona zaraz zrobi to samo. Kiedy obudził się rano i rozejrzył, znalazł żonę dokładnie tam, gdzie ją zostawił, siedzącą na patio, tylko że teraz już nie żyła. Wszystko wskazywało na śmierć naturalną - żadnych śladów przemocy, żadnych śladów trucizny, nic poza olbrzymią ilością alkoholu we krwi. Narządy wewnętrzne znajdowały się w przyzwoitym stanie. Nie stwierdzono żadnych uszkodzeń po przebytych wcześniej chorobach bądź urazach. Była kobietą po czterdziestce, ale miała ciało dwudziestopięciolatki. Sporo się nad tym napociłem. Potem poszczególne fragmenty zaczęły się układać w sensowną całość. Odbarwienie skóry po śmierci na skutek odpływu krwi spowodowanego siłą ciężkości objawia się zazwyczaj zsinieniem. Ona miała cerę wiśnioworóżową, co sugerowało, że zgon nastąpił w wyniku zażycia cyjanku, zatrucia tlenkiem węgla albo wystąpienia hipotermii, czyli nadmiernego obniżenia się temperatury ciała. Stwierdziłem również krwotok trzustki. Proces eliminacji pozwolił odrzucić dwie pierwsze hipotezy przyczyny zgonu. Ostatnim gwoździem do trumny był zawód męża. Dowody nie były niezbite, ale wystarczyły, by sędzia wsadził go na piętnaście lat.

- Czym się zajmował ten facet? - spytał Sweat.

- Był kierowcą ciężarówki chłodni w firmie produkującej mrożonki. Plan był prosty. Pompował w nią wodę, dopóki film się jej nie urwał. Wsadził ją potem do swojej ciężarówki, którą na noce i weekendy zawsze zabierał pod dom, włączył system chłodniczy i czekał, aż żona zamarźnie na kość. Kiedy biedaczka wyzionęła ducha, posadził ją z powrotem w fotelu na patio i poszedł spać.

Sweat patrzył na niego tępo.

- Nie chce pan chyba przez to powiedzieć, że trupy znalezione w sterowcu zamarzły na śmierć?

- Dokładnie to chcę właśnie powiedzieć.

- Jest pan pewien?

- Jeśli przyjmiemy skalę pewności z podziałką od jednego do dziesięciu, to mogę gwarantować za osiem.

- Zdaje pan sobie sprawę, jak to brzmi?

- Wyobrażam sobie, że idiotycznie.

- Trzech mężczyzn znikła nad Karaibami przy temperaturze dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita i zamarza na śmierć? - Sweat nie kierował tego pytania do nikogo konkretnego. - Nikt tego nie kupi, doktorze. W tym przypadku nie było pod ręką samochodu chłodni.

- Nie będzie pan musiał niczego nikomu sprzedawać.

- To znaczy?

- Przyszedł raport FBI. Jessie LeBaron miała rację. To nie jej mąż znajduje się w kostnicy. Również pozostali dwaj to nie Buck Caesar ani Joseph Cavilla.

- Boże, i co teraz? - jęknął Sweat. - A więc kim oni są?

- W kartotekach FBI nie ma ich odcisków palców. Najprawdopodobniej byli cudzoziemcami.

- Znalazł pan cokolwiek, co mogłoby posłużyć do ustalenia ich narodowości?

- Mogę panu podać ich wzrost i wagę. Mogę panu pokazać zdjęcia rentgenowskie ich zębów i kości ze śladami zrostów po dawnych złamaniach. Ich wątroby sugerują, że wszyscy trzej gustowali w dużych ilościach mocnych trunków. Płuca świadczą o tym, że byli namiętными palaczami, a zęby i koniuszki palców, że palili papierosy bez filtra. Byli też wielkimi żarłokami. Ich ostatni posiłek składał się z ciemnego chleba oraz rozmaitych owoców i buraków. Dwaj byli niewiele po trzydziestce. Jeden miał czterdzieści albo i więcej lat. Pod względem kondycji fizycznej plasowali się powyżej przeciętnej. Poza tym niewiele mogę panu przytoczyć danych, które pomogłyby ustalić ich tożsamość.

- Dobrze i to.

- Ale to nie zmienia faktu, że LeBaron, Caesar i Cavilla nadal zaliczają się do zaginionych.

Zanim Sweat zdążył odpowiedzieć, jakiś kobiecy głos wychrypiał przez głośnik radia kod wywoławczy jego łodzi. Odpowiedział na wezwanie i zgodnie z instrukcją przełączył się na kanał o innej częstotliwości.

- Przepraszam za tę przerwę - zwrócił się do Rooneya - ale mam pilną rozmowę telefoniczną z wybrzeżem.

Rooney skinął głową, zszedł do kabiny dziobowej i nalał sobie kolejnego drinka. Po jego ciele rozeszło się rozkoszne ciepło. Po kilku chwilach dotarło do głowy. Kiedy wrócił na górę, do sterówki, Sweat stał przy telefonie z poczerwieniałą ze złości twarzą.

- Przeklęte sukinsyny! - wysyczał.

- Co się stało? - spytał Rooney.

- Zabrali ich - wyjaśnił Sweat bębniąc pięścią w koło sterowe. - To cholerne FBI wkroczyło do kostnicy i zabrało zwłoki ze sterowca.

- Ale istnieją przecież procedury prawne, których trzeba przestrzegać - oburzył się Rooney.

- To było sześciu ludzi po cywilnemu i dwóch szeryfów federalnych. Przedstawili wszystkie niezbędne dokumenty, załadowali ciała do trzech aluminiowych pojemników wypełnionych lodem i odlecieli helikopterem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

- Kiedy to się stało?

- Niecałe dziesięć minut temu. Harry Victor prowadzący śledztwo w tej sprawie twierdzi, że kiedy wyszedł na chwilę do kibla, przetrzasnęli też jego biurko w wydziale do spraw zabójstw i rąbnęli mu akta sprawy.

- A co z moim raportem z sekcji zwłok?

- Też go zabrali.

Dżin wprowadził Rooneya w nastrój euforii.

- No i dobrze, niech pan spojrzy na to z innej strony. Zdjęli panu i departamentowi kłopot z głowy.

Sweatowi złość powoli mijała.

- Nie mogę zaprzeczyć, że zrobili mi przysługę, ale do furii doprowadzają mnie ich metody.

- Jest jedna mała pocięcha - wymamrotał Rooney. Zaczynał mieć trudności z utrzymaniem się na nogach. - Wuj Sam nie skonfiskował wszystkiego.

- Na przykład, czego?

- Czegoś, czego nigdy nie umieściłem w moim raporcie. Pewnego wyniku badań laboratoryjnych, który wydał mi się zbyt kontrowersyjny, by utrwalić go na papierze, zbyt zwariowany, by wspominać o nim poza murami domu wariatów.

- O czym pan mówi? - warknął niecierpliwie Sweat.

- O przyczynie śmierci.

- Powiedział pan, że była nią hipotermia.

- Zgadza się, ale opuściłem najważniejsze. Widzi pan, nie określiłem daty zgonu. - Rooneyowi zaczął się plątać język.

- Mógł nastąpić tylko na przestrzeni ostatnich kilku dni.

- A właśnie że nie. Te biedaczyska zamarzyły dawno temu.

- Jak dawno?

- Gdzieś przed rokiem, a może i dwoma.

Szeryf Sweat gapił się z niedowierzaniem na Rooneya. Ale koroner stał przed nim uśmiechając się jak hiena. Wciąż z tym samym uśmiechem wychylił się za burtę łodzi i puścił pawia.

ROZDZIAŁ 8

Dirk Pitt nie mieszkał w domu przy podmiejskiej uliczce ani w drogim apartamencie z oknami wychodzącymi na dżunglę wierzchołków drzew Waszyngtonu. Nie było tu malowniczego podwórka ani sąsiada z piszczącymi dzieciakami i ujadającym psem. Dom nie był domem, lecz starym hangarem stojącym na skraju stołecznego Międzynarodowego Portu Lotniczego.

Z zewnątrz hangar sprawiał wrażenie opuszczonego. Dookoła rosło zielsko, a pokiereszowane ściany budynku, wykonane z blachy falistej, stanowczo domagały się farby. Jedyłą wskazówkę sugerującą nieśmiało, że ktoś tu mieszka, stanowił rząd okien ciągnących się pod okapem ogromnego, zaokrąglonego dachu. Chociaż były brudne i pokryte kurzem, to jednak, w odróżnieniu od okien w porzuconych magazynach, żadne nie było wybite.

Pitt podziękował konserwatorowi z lotniska, który podrzucił go tutaj z terminalu. Rozglądając się dyskretnie, czy nikt go nie obserwuje, wyjął z kieszeni płaszcz mały nadajnik i wypowiedział do mikrofonu serię rozkazów, które wyłączyły systemy alarmowe i otworzyły boczne drzwi wyglądające tak, jakby od trzydziestu lat nie obracały się na swoich zawiasach.

Wszedł do środka i znalazł się na wypolerowanej betonowej posadzce, na której stały blisko trzy tuziny błyszczących, klasycznych samochodów, zabytkowy samolot i wagon kolejowy z przełomu stuleci.

Przystanął i spojrzał z czułością na podwozie francuskiego sportowego kabrioletu marki Talbot-Lago znajdującego się we wczesnym stadium rekonstrukcji. Wóz uległ niemal całkowitemu zniszczeniu na skutek eksplozji i Pitt zaparł się, że przywróci jego powyginanym szczątkom dawną elegancję i piękno.

Wtasczył walizkę i torbę podróżną kręconymi schodkami do swojego mieszkania na antresoli znajdującej się pod ścianą naprzeciwko wejścia. Jego zegarek wskazywał 14.15, ale on psychicznie i fizycznie czuł się tak, jakby zbliżała się północ. Rozpakowawszy się, postanowił popracować kilka godzin przy talbocie-lago, a prysznic wziąć później. Miał już na sobie stary kombinezon roboczy i jego ręka wysuwała szufladkę skrzynki na narzędzia, kiedy po hangarze rozszedł się echem dźwięk brzęczyka. Wydobył z głębokiej kieszeni bezprzewodowy telefon.

- Halo.

- Poproszę z panem Pittem - powiedział kobiecy głos.

- Przy aparacie.

- Jedną chwileczkę.

Odczekawszy dwie minuty Pitt przerwał połączenie i wziął się do przywracania pierwotnego stanu rozdzielaczowi talbota. Minęło jeszcze pięć minut, zanim brzęczyk odezwał się znowu. Pitt podniósł słuchawkę do ucha i milczał.

- Jest pan tam jeszcze? - spytał ten sam głos.

- Jestem - odparł bezbarwnym tonem Pitt i utykając sobie słuchawkę między ramieniem a uchem, żeby uwolnić ręce, podjął przerwana pracę.

- Mówi Sandra Cabot, osobista sekretarka pani Jessie LeBaron. Czy rozmawiam z panem Dirkiem Pittem?

Pitt zapałał nagle niechęcią do ludzi, którzy nie mogą sami załatwiać swoich rozmów telefonicznych.

- Tak.

- Pani LeBaron pragnie się z panem spotkać. Czy może pan przybyć do jej domu o czwartej po południu?

- To się nazywa szybkie załatwienie sprawy, prawda?

- Przepraszam?

- Przepraszam panno Cabot, ale muszę wykurować niedomagający samochód. Moglibyśmy może porozmawiać, gdyby pani LeBaron pofatygowała się do mnie.

- Przykro mi, ale to niemożliwe. Dziś wieczorem wydaje w oranżerii oficjalne cocktail party, na którym będzie obecny sam sekretarz stanu. Nie może się wyrwać.

- To może innym razem.

W słuchawce zapadła na chwilę lodowata cisza, po czym panna Cabot odezwała się znowu.

- Pan nie rozumie.

- Ma pani rację, nie rozumiem.

- Czy nazwisko LeBaron nic panu nie mówi?

- Mówi mi tyle samo co Shagnasty, Quagmire albo Smith - łągał jak z nut Pitt.

Sekretarka sprawiała przez moment wrażenie zbitej z tropu.

- Pan LeBaron...

- Dajmy sobie może spokój z tym przekomarzaniem - przerwał jej Pitt. - Jestem dosyć dobrze zorientowany w reputacji Raymonda LeBarona. I mogę oszczędzić nam obojgu czasu oświadczając

od razu, że nie mam nic do dodania w sprawie tajemniczych okoliczności jego zniknięcia i śmierci. Proszę przekazać pani LeBaron moje kondolencje. To wszystko, co mogę zaoferować.

Cabot wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze z płuc.

- Proszę pana, panie Pitt, wiem, że pani LeBaron byłaby bardzo wdzięczna, gdyby zechciał się pan z nią spotkać.

Pitt niemal widział, jak dziewczyna zaciska zęby wymawiając słowo "proszę".

- Niech będzie - powiedział. - Chyba da się to załatwić. Jaki to adres?

Ton jej głosu natychmiast znów stał się arogancki.

- Przyślę po pana samochód z szoferem.

- Jeśli nie sprawi to pani różnicy, to wolałbym przyjechać własnym wozem. W limuzynach dostaję klaustrofobii.

- Jeśli pan nalega - odparła sztywno. - Znajdzie pan dom na końcu Beacon Drive w Great Falls Estates.

- Poszukam na planie miasta.

- A przy okazji, jakim wozem pan jeździ?

- Czemu to panią interesuje?

- Muszę uprzedzić strażnika przy bramie.

Pitt zawahał się i spojrzał przez hangar na samochód zaparkowany przy głównej bramie.

- Starym kabrioletem.

- Starym?

- Tak, rocznik 1951.

- A więc proszę z łaski swojej zaparkować pod domkiem dla służby. To na prawo od alejki dojazdowej.

- Nie krępuje pani taki dyktat wobec ludzi?

- Nie muszę się niczym krępować, panie Pitt. Oczekujemy pana o czwartej.

- Zdażycie mnie załatwić przed przybyciem gości? - spytał Pitt głosem ociekającym sarkazmem. - Nie chciałbym nikogo wprawiać w zakłopotanie widokiem mojego starego grata szpecącego teren posiadłości.

- Niech się pan nie obawia - odparła gniewnie. - Przyjęcie rozpoczyna się dopiero wieczorem. Do widzenia.

Kiedy Sandra Cabot przerwała połączenie, Pitt podszedł do kabrioletu i przypatrywał mu się przez kilka chwil. Potem zdjął płyty podłogi pod tylnym siedzeniem i podłączył kable ładowania akumulatorów. Upravszy się z tym wrócił do talbota-lago i spokojnie podjął przerwana pracę.

Dokładnie o dwudziestej trzydzięci strażnik pełniący służbę przy bramie frontowej posiadłości LeBarona przywitał młodą parę, która nadjechała żółtym ferrari, sprawdził ich nazwiska na liście zaproszonych gości i skinieniem ręki zezwolił na wjazd. Następna podjechała limuzyna marki Chrysler wioząca doradcę prezydenta, Daniela Fawcetta, z żoną.

Strażnik był uodporniony na widok rzadkich samochodów i ich znakomitych pasażerów. Uniósłszy ręce nad głowę, znudzony, przeciągnął się z szerokim ziewnięciem. Nagle zastygł z rękami w górze i zamykając rozdziawione usta wybałuszył oczy na największy wóz, jaki kiedykolwiek dane mu było oglądać.

A było to istne monstrum mierzące od zderzaka do zderzaka około dwudziestu dwóch stóp. Musiało ważyć dobrze ponad trzy tony. Maski i drzwiczki były srebrzystoszare, a błotniki kasztanowate z metalicznym połyskiem. Dach kabrioletu po złożeniu nie było w ogóle widać. Smukłe, wytworne linie karoserii stanowiły przykład rzadko spotykanej perfekcji wykonawstwa.

- Ale wóz - wykrztusił w końcu strażnik. - Co to jest?

- Daimler - odparł Pitt.

- Brzmi jakoś z brytyjska.

- Bo stamtąd jest.

Strażnik potrząsnął z podziwem głową i spojrzał na listę gości.

- Pańskie nazwisko, jeśli można.

- Pitt.

- Chyba nie widzę tu takiego. Ma pan zaproszenie?

- Umawialiśmy się z panią LeBaron na wcześniejszą godzinę.

Strażnik wszedł do dyżurki i zajrzał do notatnika.

- Tak, zgadza, się, był pan umówiony na szesnastą.

- Kiedy telefonowałem, żeby ją uprzedzić o swoim spóźnieniu, kazała mi wpaść na przyjęcie.

- No cóż, jeśli pana oczekuje - powiedział strażnik wciąż sycąc oczy liniami daimlera - to chyba wszystko w porządku. Dobrej zabawy.

Pitt podziękował mu skinieniem głowy i wijącą się alejką dojazdową poprowadził cicho ogromny samochód do rezydencji LeBarona. Główny budynek przysiadł na niskim wzniesieniu nad kortem tenisowym i basenem kąpielowym. Wzniesiono go w często widywanym w tej okolicy stylu architektonicznym: dwupiętrowy dworek kolonialny z cegły, od frontu długi ganek z dachem podpartym szeregiem białych kolumn i rozciągające się w obie strony skrzydła. Kępa sosen po prawej osłaniała wozownię z garażem na dole i Pitt założył, że to tam mieszczą się kwatery służby. Naprzeciwko, po lewej stronie dworku, wznosiła się ogromna, oszklona budowla oświetlona zwisającymi z dachu kryształowymi żyrandolami. Wśród dwudziestu albo i więcej zastawionych stołów pyszniły się egzotyczne kwiaty i krzewy, a na podwyższeniu pod wodospadem grała mała orkiestra. Zrobiło to na Pittcie odpowiednie wrażenie. Idealne miejsce na przyjęcie w rześki październikowy wieczór. Raymond LeBaron zbierał punkty za oryginalność. Pitt zajechał daimlerem pod frontową ścianę oranżerii, gdzie z miną drwala gapiącego się na sekwoje trwał na posterunku oniemiały parkingowy w liberii.

Wysunąwszy się zza kierownicy i poprawiwszy na sobie smoking, Pitt zauważył, że za przezroczystą ścianą oranżerii gromadzi się tłumek pokazujący sobie palcami jego samochód i gestykulujący z ożywieniem. Poinstruował parkingowego, jak zmieniać biegi i wszedł przez szklane drzwi do środka. Orkiestra grała właśnie tematy z filmowych ścieżek dźwiękowych Johna Barry'ego - instrumenty strunowe na pierwszym planie, dęte w tle. Tuż przy wejściu stała elegancko, według najnowszych kanonów mody ubrana kobieta witając przybywających gości.

Nie miał cienia wątpliwości, że to Jessie LeBaron. Chłodny spokój, ucieleśnienie gracji i stylu, żywy dowód na to, że kobiety po pięćdziesiątce mogą być piękne. Na długą, wąską suknię z welwetu miała narzuconą połyskliwą, zielonosrebrną tunikę.

Pitt podszedł do niej i skłonił się lekko.

- Dobry wieczór - powiedział rozpromieniając się w swoim najefektowniejszym uśmiechu nieproszonego gościa.

- Cóż to za sensacyjny samochód? - spytała Jessie wyglądając przez drzwi wejściowe.

- Daimler z nadwoziem Hoopera, napędzany 5,4-litrowym, ośmiocylindrowym silnikiem rzędowym.

Uśmiechnęła się łaskawie i podała mu rękę.

- Dziękuję za przybycie, panie... - Zawahała się spoglądając na niego ciekawie. - Proszę wybaczyć, ale chyba sobie nie przypominam, żebym już kiedyś pana widziała.

- To dlatego, że nigdy się jeszcze nie spotkaliśmy - wyjaśnił zachwycony jej gardłowym, niemal ochryplym głosem, z którego emanowała jakaś zmysłowa szorstkość. - Nazywam się Pitt, Dirk Pitt.

Ciemne oczy Jessie spojrzały na Pitta w bardzo szczególny sposób.

- Spóźnił się pan cztery i pół godziny, panie Pitt. Czy ta zwłoka wynikała z przyczyn od pana niezależnych?
- Jakich tam niezależnych, pani LeBaron. Zaplanowałem swoje przybycie z zimną premedytacją.
- Nie był pan zaproszony na przyjęcie - odparowała gładko - będzie więc pan musiał je opuścić.
- Szkoda - mruknął ponuro Pitt. - Tak rzadko mam okazję do ponoszenia mojego smokingu.

Na twarzy Jessie odmalowała się pogarda. Odwróciła się do stojącej tuż za nią sztywnej kobiety w wielkich okularach, w której Pitt intuicyjnie rozpoznał jej sekretarkę, Sandrę Cabot.

- Znajdź Angelo i powiedz mu, żeby wskazał temu dżentelmenowi wyjście.

W zielonych oczach Pitta zabłyśły figlarne ogniki.

- Chyba mam talent do wzbudzania niechęci. Życzy sobie pani, żebym odszedł spokojnie, czy mam raczej wywołać nieprzyjemną scenę?
- Sądzę, że najlepiej byłoby spokojnie.
- To po co chciała się pani ze mną spotkać?
- W sprawie dotyczącej mojego męża.
- Był mi zupełnie obcy. O jego śmierci nie mogę pani powiedzieć nic ponad to, co pani już wie.
- Raymond nie umarł - powiedziała twardo.
- Kiedy widziałem go ostatni raz w sterowcu, cholernie dobrze to udawał.
- To nie był on.

Pitt popatrzył na nią sceptycznie i nic nie odpowiedział.

- Nie wierzy mi pan, prawda?
- To naprawdę nie moja sprawa.
- Miałam nadzieję, że mi pan pomoże.
- Ma pani dziwny sposób proszenia o przysługi.
- To oficjalna kolacja połączona ze zbiórką datków na cele dobroczynne, panie Pitt. Pan tu nie pasuje. Umówmy się na jutro.

Pitt uznał, że ogarniająca go złość jest nie na miejscu, zdusił więc ją w sobie.

- Co robił pani mąż, kiedy zniknął? - spytał nagle.

- Szukał skarbu Eldorado - odparła wodząc nerwowo wzrokiem po gościach zgromadzonych w oranżerii. - Uważał, że poszedł na dno wraz ze statkiem o nazwie *Cyklop*.

Zanim Pitt zdołał zdobyć się na komentarz, wróciła Cabot z Angelo, kubańskim szoferem.

- Do widzenia, panie Pitt - powiedziała Jessie odwracając się od niego, by powitać nowo przybyłą parę.

Pitt wzruszył ramionami i podał Angelo ramię.

- Zróbmy to oficjalnie. Wyrowadź mnie. I jeszcze jedno. - Te ostatnie słowa skierowane były do Jessie. - Nie lubię, jak mnie źle traktują. Niech się pani nie trudzi i już ze mną nie kontaktuje, nigdy.

Wyrzuciwszy to z siebie dał się wyprowadzić z oranżerii na podjazd, gdzie czekał na niego daimler. Jessie śledziła wzrokiem samochód, dopóki nie znikł w mrokach nocy. Potem wmieszała się w tłum gości.

Sekretarz stanu, Douglas Gates, przerwał na jej widok rozmowę z doradcą prezydenta, Danielem Fawcettem.

- Wspaniałe przyjęcie, Jessie.

- W samej rzeczy - zawtórował mu Fawcett. - Nikt w Waszyngtonie nie urządza ich z takim rozmachem.

Oczy Jessie zabłysły, a jej pełne usta wygięły się w ciepłym uśmiechu.

- Dziękuję panom.

Oates wskazał ruchem głowy drzwi.

- Czy mi się wydawało, czy widziałem przed chwilą Dirka Pitta wylatującego za drzwi?

Jessie spojrzała dziwnie na Oatesa.

- Zna go pan? - spytała zaskoczona.

- Oczywiście. Pitt to człowiek numer dwa w kierownictwie NUMA. To on na zlecenie departamentu stanu podniósł z dna *Titanica*.

- I ocalił prezydentowi życie w Luizjanie - dorzucił Fawcett.

Jessie wyraźnie pobladła.

- Nie miałam o tym pojęcia.
- Mam nadzieję, że nie doprowadziła go pani do wściekłości - powiedział Oates.
- Może byłam trochę szorstka - przyznała.
- Nie jest pani czasem zainteresowana wydobywaniem ropy z dna morza pod San Diego?
- Owszem. Pomiary sejsmologiczne wskazują na występowanie tam ogromnego nie eksploatowanego jeszcze złoża. Jedna z naszych firm ma wielkie szansę na uzyskanie koncesji na wiercenia. Czemu pan pyta?
- Orientuje się pani, kto przewodzi senackiej komisji do spraw eksploatacji złóż ropy naftowej na obszarze kraju?
- Ma się rozumieć, to... - Jessie urwała, a jej spokój gdzieś się ulotnił.
- Ojciec Dirka - dokończył za nią Oates. - Senator George Pitt z Kalifornii. Bez jego poparcia i błogosławieństwa NUMA w kwestiach dotyczących ochrony środowiska nie ma pani co marzyć o zdobyciu prawa do wierceń.
- Wychodziłoby na to - wtrącił sardonicznie Fawcett - że pani wielkie szansę właśnie przepadły.

ROZDZIAŁ 9

Trzydzieści minut później Pitt wprowadził daimlera na swoje miejsce parkingowe przed frontem wysokiego, wyłożonego taflami polaryzowanego szkła budynku centrali NUMA. Złożył swój podpis w książce obecności na portierni i wjechał windą na dziesiąte piętro. Kiedy drzwi kabiny się otworzyły, wkroczył w ogromny, elektroniczny labirynt stanowiący sieć łączności i informacji agencji prac morskich.

Hiram Yaeger podniósł wzrok znad biurka w kształcie końskiej podkowy, którego blat zakrywała przed ludzkim wzrokiem dżungla komputerowego sprzętu.

- Czołem, Dirk - powiedział z uśmiechem. - Pełna gala, a pójść nie ma gdzie, co?

- Gospodyni przyjęcia uznała mnie za persona non grata i pokazała mi drzwi.

- Czy to ktoś, kogo znam?

Teraz uśmiechnął się Pitt. Przyjrzał się z góry Yaegerowi. Ten czarodziej od komputerów był jakby żywcem przeniesiony z hippisowskich czasów początku lat siedemdziesiątych. Długie blond włosy wiązał sobie w koński ogon, rosnąca dziko broda zwijała mu się w nie kontrolowany gąszcz poskręcanych pukli, a jego standardowy uniform do pracy i do zabawy składał się z dżinsowej kurtki Levi Straussa i takichże spodni utkanych w sfatygowane kowbojskie buty.

- Nie wyobrażam sobie ciebie i Jessie LeBaron obracających się w tych samych kręgach towarzyskich - zawyrokował Pitt.

Yaeger gwizdnął cicho.

- Wykopano cię z balangi u Jessie LeBaron? Człowieku, urastasz do miana bohatera uciemienionych.

- Nie wygrzebałbyś mi paru informacji?

- O niej?

- O nim.

- O jej mężu? Tym, który zaginął?

- O Raymondzie LeBaronie.

- Znowu jakaś chałturka?

- Nazywaj to, jak chcesz.

- Dirk - powiedział Yaeger spoglądając sponad szkieł babcinych okularów - zimny drań z ciebie, ale i tak cię kocham. Zatrudniono mnie tutaj, żebym zorganizował światowej klasy sieć komputerową i zgromadził w jej bankach danych naukowe i historyczne archiwum morskie, ale kiedy tylko czknę, zjawiasz się ty i chcesz wykorzystywać moje dzieło do podejrzanych celów. Czemu ja ci ulegam? Okay, powiem ci czemu. W moich żyłach płynie jeszcze więcej złodziejskiej krwi niż w twoich. A teraz, jak głęboko mam grzebać?

- Do samego dna jego przeszłości. Skąd pochodzi. Z jakimi pieniędzmi zaczynał budowę swojego imperium.

- Raymond LeBaron był dosyć skryty, kiedy szło o jego życie prywatne. Mógł zacierać ślady.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale wyciągałeś już z tej skrzynki rozmaite bulwersujące informacje.

Yaeger pokiwał w zamyśleniu głową.

- Tak, masz na myśli sprawę tej żeglarskiej rodziny Bougainville'ow sprzed kilku miesięcy. Czysta robótka, że się tak wyrażę.

- I jeszcze jedno.

- Wal, nie krępuj się.

- Statek o nazwie *Cyklop*. Możesz mi wyszperać jego historię?

- Nie ma sprawy. Coś jeszcze?

- To by było na tyle - odparł Pitt.

Yaeger nie spuszczał zeń wzroku.

- O co chodzi tym razem, stary? Nie uwierzę, że bierzesz się za LeBarona, bo wywalono cię z przyjęcia dla ważniaków. Wierz mi, wylatywałem w tym mieście na bruk z jeszcze gorszych melin. I ja się tym zwyczajnie nie przejmuję.

Pitt roześmiał się.

- To nie zemsta. Jestem po prostu ciekawy. Jessie LeBaron powiedziała o zniknięciu męża coś, co wydało mi się dosyć dziwne.

- Czytałem o tym w "Washington Post". Był tam ustęp wspominający o twoim bohaterstwie i sztuczce z liną i palmą, dzięki której uratowałeś sterowiec LeBarona. No więc co cię tak zaintrygowało?

- Ona stwierdziła, że jej męża nie było wśród trupów, które znalazłem w gondoli nawigacyjnej.

Yaeger patrzył na niego zbaraniałym wzrokiem.

- To bez sensu. Jeśli stary LeBaron wyleciał w tym balonie, to zrozumiałe, że nadal był w środku, kiedy ten się odnalazł.

- Zdaniem jego osieroconej żony nie było go tam.

- Nie przyszło ci do głowy, że twierdzi tak ze względu na ubezpieczenie albo finanse?

- Może tak, może nie. Ale w związku z tym, że ta tajemnicza tragedia wydarzyła się nad morzem, istnieje szansa powołania NUMA do asystowania w śledztwie.

- A my będziemy już mieli za sobą pierwszy krok.

- Coś w tym rodzaju.

- A jaką rolę odgrywa tu *Cyklopi*

- Powiedziała mi, że LeBaron zaginął poszukując jego wraku.

Yaeger podniósł się z fotela.

- No, dobra, bierzmy się do roboty. Kiedy ja będę opracowywał program wyszukujący, ty przestudiuj wszystko, co mamy o tym statku w naszych zbiorach danych.

Zaprowadził Pitta do małej salki projekcyjnej z wielkim monitorem wmontowanym w ścianę naprzeciwko wejścia i posadził go za pulpitem z klawiaturą komputerową. Potem pochylił się nad Pittem i wystukał na klawiaturze zestaw rozkazów.

- W zeszłym tygodniu zainstalowaliśmy tu nowy system. Terminal jest sprzężony z syntezerem mowy.

- Gadający komputer - mruknął Pitt.

- A tak, rozumie ponad dziesięć tysięcy komend wydawanych głosem, potrafi udzielać stosownych odpowiedzi i prowadzić prawdziwą konwersację. Głos ma trochę niesamowity, coś jak Hal, ten gigantyczny komputer z *Odysei kosmicznej 2001*. Ale przyzwyczaisz się. Nazywamy ją Nadzieja.

- Nadzieja.

- Tak, mamy **nadzieję**, że będzie udzielała rzetelnych odpowiedzi.

- Zabawne.

- Gdybyś potrzebował pomocy, to jestem przy głównym terminalu. Wystarczy podnieść słuchawkę i wykręcić cztery siedem.

Pitt spojrzał na ekran. Jarzył się niebieskawoszarą poświatą. Ujął niepewnie mikrofon i przysunął go

do ust.

- Nadziejo, mam na imię Dirk. Jesteś gotowa do wyszukania mi pewnych informacji?

Boże, czuł się jak idiota. Przypominało to gadanie do ściany.

- Cześć, Dirk - odpowiedział podobny trochę do kobiecego głos brzmiący tak, jakby wydobywał się z harmonijki ustnej. - Jeżeli ty jesteś gotów, to ja również.

Pitt odetchnął głęboko i podjął męską decyzję.

- Nadziejo, czy zechciałabyś mi opowiedzieć wszystko, co wiesz o statku noszącym nazwę *Cyklop*?

Nastąpiła pięciosekundowa pauza, po czym komputer oznajmił:

- Na moich dyskach pamięci przechowywane są dane pięciu różnych statków o nazwie *Cyklop*.

- Ten miał na pokładzie skarb.

- Przykro mi, ale w wykazach ładunków tych jednostek nie figuruje żaden skarb.

Przykro mi? Pitt nadal nie mógł uwierzyć, że rozmawia z maszyną.

- Jeśli wolno mi wtrącić pewną dygresję, Nadziejo, to pozwól, że nazwę cię błyskotliwym i przesympatycznym komputerem.

- Dziękuję za komplement, Dirk. Gdyby cię to interesowało, to potrafię również emitować efekty dźwiękowe, naśladować głosy zwierząt, śpiewać - chociaż niezbyt dobrze - i wymawiać "superkaligrafilistekspotencjalny", nawet jeśli się mnie nie zaprogramuje dokładnie na tę funkcję. Mam to powtórzyć wspaniale?

Pitt roześmiał się.

- Może innym razem. A wracając do *Cyklopa*... Ten, który mnie interesuje, zatonął prawdopodobnie w rejonie Karaibów.

- To redukuje liczbę jednostek do dwóch. Pierwsza, to mały parowiec, który osiadł na mieliźnie w Montego Bay na Jamajce 5 maja 1968 roku, a druga - węglowiec Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych używany do przewożenia rudy i węgla, który zaginął bez śladu między 5 a 10 marca 1918 roku.

Raymond LeBaron nie krążyłby nad oceanem szukając statku wyrzuconego na brzeg w ruchliwym porcie zaledwie przed dwudziestu laty, rozumował Pitt. Przypomniała mu się opowieść o węglowcu marynarki wojennej. Jego zaginięcie uważano za jedną z wielkich tajemnic mitycznego Trójkąta Bermudzkiego.

- Zajmiemy się tym węglowcem marynarki wojennej - zdecydował.

- Jeśli zyczysz sobie, żebym wydrukowała ci stosowne dane, Dirk, naciśnij na swojej klawiaturze klawisz sterujący, a po nim klawisze z literami P i T. Jeśli zechcesz spojrzeć przy tym na ekran, mogę ci na nim wyświetlić wszystkie fotografie, jakimi dysponuję.

Pitt zastosował się do tego polecenia i drukarka zaczęła łomotać. Nadzieja, tak jak obiecała, wyświetliła zdjęcie *Cyklopa* stojącego na kotwicy w jakimś bezimiennym porcie.

Chociaż kadłub statku o staromodnym prostopadłym dziobie i pełnej gracji rufie w kształcie kielicha do szampana był dosyć wysmukły, to nadbudówka wyglądała już jak zwariowana konstrukcja wzniesiona bez ładu i składu z dziecięcego zestawu montażowego. Śródokręcie porastał, niczym martwy las, gęszcz żurawi ładunkowych oplatanych pajęczą siecią kabli i połączonych górą dźwigarami. Wzdłuż rufowej części statku, nad maszynownią, ciągnęła się długa pokładówka, której dach zdobiły dwa wyniosłe kominy i kilka wysokich nawiewników. Z przodu nad pokładem głównym górowała sterówka przypominająca toaletkę na czterech nogach z prześwitem od spodu, podziurawiona pojedynczym rzędem iluminatorów. Z mostka sterczały dwa wysokie, połączone poprzecznicą maszty przypominające bramkę do gry w futbol amerykański. Statek kojarzył się z niezgrabnym brzydkim kaczątkiem, które nigdy nie wyrośnie na pięknego łabędzia.

Emanowała zeń jakaś widmowa aura. Z początku Pitt nie wiedział, skąd bierze się to wrażenie, i nagle doznał olśnienia; zastanawiające, na żadnym z pokładów nie było widać ani jednego członka załogi. Statek wyglądał na opuszczony.

Pitt oderwał oczy od ekranu i przebiegł wzrokiem wydruk danych statystycznych statku:

Zwodowany: 7 maja 1910 roku w stoczni William Cramp & Sons w Filadelfii

Wyporność: 19 360 ton

Długość: 542 stopy (praktycznie dłuższy od ówczesnych okrętów wojennych)

Szerokość: 65 stóp

Zanurzenie: 27 stóp 8 cali

Szybkość: 15 węzłów (3 węzły więcej od statków typu *Liberty* z okresu II wojny światowej)

Uzbrojenie: Cztery działa 4calowe

Załoga: 246 ludzi

Kapitan: G.W. Worley, Służba Pomocnicza Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych

Pitt zauważył, że Worley pełnił funkcje kapitana *Cyklopa* od chwili wejścia statku do służby aż do jego zaginięcia. Odchylił się na oparcie fotela i studiując zdjęcie statku pogrążył się w zadumie.

- Masz jeszcze jakieś jego fotografie? - spytał Nadzieję.

- Trzy pod tym samym kątem, jedną od strony rufy i cztery fotografie załogi.

- Przyjrzyjmy się załodze.

Monitor pociemniał na chwilę i zaraz pojawiła się na nim postać mężczyzny trzymającego za rączkę małą dziewczynkę. Stali przy relingu statku.

- Kapitan Worley z córką - wyjaśniła Nadzieja.

Ogromny mężczyzna o przerzedzonych włosach, starannie przyciętym wąsiku i masywnych dłoniach, ubrany w ciemny garnitur z krawatem przekrzywionym niedbale i wyrzuconym na marynarkę, stał w wypolerowanych do połysku butach, wpatrzony w kamerę, która przed siedemdziesięcioma pięcioma laty utrzymała jego wizerunek. Mała blondyneczka u jego boku ubrana była w długą do kolan bluzę oraz mały kapelusik i przyciskała do siebie coś, co wyglądało na bardzo sztywną lalkę w kształcie butelki.

- Naprawdę nazywał się Johann Wichman - ciągnęła Nadzieja nie czekając na stosowne polecenie. - Urodził się w Niemczech i nielegalnie pozostał w Stanach Zjednoczonych schodząc w roku 1878 w San Francisco na ląd ze statku handlowego. Jak udało mu się sfałszować dokumenty, nie wiadomo. W chwili obejmowania dowództwa na *Cyklopie* mieszkał z żoną i córką w Norfolk w stanie Wirginia.

- Czy to możliwe, że w 1918 pracował dla Niemców?

- Niczego takiego nigdy nie udowodniono. Chcesz zobaczyć raporty komisji marynarki wojennej prowadzącej dochodzenie w sprawie tej tragedii?

- Wydrukuj je tylko. Później to przeczytam.

- Następna fotografia przedstawia porucznika Davida Forbesa, pierwszego oficera - powiedziała Nadzieja.

Kamera uchwyciła Forbesa w mundurze wyjściowym, stojącego obok samochodu, w którym Pitt rozpoznał turystyczny wóz marki Cadillac rocznik 1916. Mężczyzna ten miał twarz charta, długi, wąski nos i jasne oczy, których barwy na podstawie czarno-białej fotografii nie dało się określić. Był gładko wygolony, miał łukowate brwi i nieco wystające zęby.

- Co to był za człowiek? - spytał Pitt.

- Cieszył się nieposzlakowaną opinią we flocie, dopóki Worley nie osadził go w areszcie okrętowym za niesubordynację.

- Powód?

- Kapitan Worley odszedł od kursu wykreślonego wcześniej przez porucznika Forbesa i omal nie rozbił statku wchodząc do Rio. Kiedy Forbes zażądał wyjaśnień, Worley się wściekł i ukarał go zakazem opuszczania kajuty.

- Czy podczas ostatniej podróży Forbes nadal pozostawał w areszcie?

- Tak.

- Kto następny?

- Porucznik John Church, drugi oficer.

Fotografia przedstawiała drobnego, niemal filigranowego mężczyznę w cywilnym ubraniu, siedzącego przy stoliku w restauracji. Z jego twarzy wyzierało znużenie farmera po całym dniu harówki na roli, a mimo to oczy zdawały się zdradzać wesole usposobienie. Siwiejące włosy zaczesywał do tyłu odsłaniając wysokie czoło i małe uszy.

- Wygląda na starszego od tamtych - zauważył Pitt.

- W rzeczywistości liczył sobie zaledwie dwadzieścia dziewięć lat - powiedziała Nadzieja. - Wstąpił do marynarki w wieku lat szesnastu i piął się wytrwale po szczeblach kariery.

- Miał jakieś zatargi z Worleyem?

- W aktach nic o tym nie ma.

Ostatnia fotografia przedstawiała dwóch mężczyzn stojących na baczność w sali rozpraw. Ich twarze nie zdradzały cienia obawy; jeśli w ogóle można było coś z nich wyczytać, to tylko zawziętość i butę. Ten z lewej był wysoki, barczysty, o potężnie umięśnionych ramionach. Drugi ze wzrostu i figury przypominał niedźwiedzia grizzly.

- Ta fotografia została wykonana podczas rozprawy przeciwko palaczowi pierwszej klasy Jamesowi Cokerowi i palaczowi drugiej klasy Barneyowi DeVoe postawionym przed sądem wojennym pod zarzutem zamordowania palacza trzeciej klasy Oscara Stewarta. Wszyscy trzej mężczyźni służyli na pokładzie krążownika Stanów Zjednoczonych *Pittsburgh*. Coker, ten z lewej, skazany został na śmierć przez powieszenie i stracono go w Brazylii. DeVoe, tego po prawej, skazano na pięćdziesiąt lat pozbawienia wolności i miał odsiedzieć wyrok w więzieniu marynarki wojennej w Portsmouth w stanie New Hampshire.

- Jaki jest ich związek z *Cyklopem!* - zapytał Pitt.

- Morderstwa tego dokonano, kiedy *Pittsburgh* stał na kotwicy w Rio de Janeiro. Kapitan Worley, który akurat w tym czasie zawinął do portu, otrzymał rozkaz przetransportowania DeVoe i czterech innych więźniów na pokładzie *Cyklopa* do Stanów Zjednoczonych.

- I znajdowali się na pokładzie, kiedy doszło do tragedii?

- Tak.

- Nie ma już więcej fotografii załogi?

- Prawdopodobnie można je znaleźć w albumach rodzinnych i innych zbiorach prywatnych, ale w mojej bibliotece to już wszystko.

- Opisz mi okoliczności, jakie towarzyszyły zniknięciu statku.

- Głosem czy drukiem?

- A możesz jednocześnie mówić i drukować?

- Przykro mi, ale nie potrafię realizować obu tych funkcji naraz. Którą wolałbyś na początek?

- Relację słowną.

- Bardzo dobrze. Jedną chwileczkę, zgromadzę tylko stosowne dane.

Pitta zaczynała ogarniać senność. To był długi dzień. Wykorzystał tę małą przerwę na połączenie się z Yaegerem i poproszenie go o filiżankę kawy.

- Jak wam idzie?

- Zaczynam odnosić wrażenie, że ona istnieje naprawdę - przyznał Pitt.

- Bylebyś tylko nie zaczął snuć fantazji o jej nie istniejącym ciele.

- Tak daleko jeszcze się nie posunąłem.

- Poznać ją, znaczy ją pokochać.

- A jak tobie idzie z LeBaronem?

- Tak jak się obawiałem - powiedział Yaeger. - Bardzo starannie zakamuflował swoją przeszłość. Aż do chwili kiedy został czarodziejem Wall Street, żadnych konkretów, sama sucha statystyka.

- Znalazłeś coś interesującego?

- Nie bardzo. Pochodził z zupełnie pozbawionej wpływów rodziny. Jego ojciec był właścicielem kilku sklepów z artykułami żelaznymi. Odniosłem wrażenie, że Raymond i jego ojciec nie przepadali za sobą. W żadnej z jego biografii zamieszczanych w prasie, kiedy był już czarodziejem świata finansów, nie ma najmniejszej wzmianki o rodzinie.

- Ustaliłeś, jak zarobił swoje pierwsze dolce?

- W tej kwestii sporo jest niejasności. W połowie lat pięćdziesiątych prowadził ze współnikiem o nazwisku Kronberg firmę specjalizującą się w ratownictwie morskim. Wygląda na to, że prosperowali jako tako przez kilka lat, a potem zbankrutowali. Dwa lata później LeBaron wydał swoje pierwsze pismo.

- "Prosperteera".

- Zgadza się.

- Czy wiadomo, skąd zdobył fundusze?

- Nie - odparł Yaeger. - A tak nawiasem mówiąc, Jessie jest jego drugą żoną. Pierwsza miała na imię Hillary. Zmarła przed kilku laty. Nie ma o niej zupełnie nic.

- Szperaj dalej.

Pitt odłożył słuchawkę, bo Nadzieja oznajmiła właśnie:

- Mam już wszystkie niezbędne informacje na temat fatalnego ostatniego rejsu *Cyklopa*.

- Posłuchajmy tego.

- Statek wyszedł w morze z Rio de Janeiro 16 lutego 1918 roku kierując się do Baltimore w stanie Maryland. Na pokładzie znajdowała się stała załoga złożona z 15 oficerów i 231 marynarzy, a poza tym 57 ludzi z krążownika *Pittsburgh*, odsyłanych w ramach służby rotacyjnej do bazy marynarki wojennej w Norfolk, gdzie mieli otrzymać nowe przydziały, 5 więźniów, a wśród nich DeVoe, oraz amerykański konsul generalny w Rio, Alfred L. Morean Gottschalk, który wracał z placówki do Waszyngtonu. Statek przewoził też ładunek w postaci 11 000 ton rudy magnezu.

Po krótkim postoju w porcie Bahia celem zabrania poczty, statek miał 4 marca nie planowaną przerwę w podróży. Wszedł do Carlisle Bay na wyspie Barbados i rzucił kotwicę. Tutaj Worley zaopatrzył się dodatkowo w węgiel i prowiant w ilościach niezbędnych, jak twierdził, do kontynuowania podróży do Baltimore, ale później uznanych za zdecydowanie nadmierne. Po zaginięciu statku na morzu amerykański konsul na Barbados przekazał wiele dających do myślenia pogłosek na temat niezwykłego zachowania Worleya, dziwnych wypadków na pokładzie i możliwości buntu. Ostatni raz *Cyklopa* i znajdujących się na jego pokładzie ludzi widziano 4 marca 1918 roku, kiedy odpływał z Barbados.

- I od tej pory nie było już z nim żadnego kontaktu? - spytał Pitt.

- Dwadzieścia cztery godziny później drewnowiec o nazwie *Crogan Castle* nadał w eter komunikat, że niespotykanej wielkości fala zmiażdżyła mu dziób. *Cyklop* odpowiedział na jego radiowe wołanie o pomoc. "Znajdujemy się pięćdziesiąt mil na południe od was i pełną parą idziemy wam na ratunek." Takie były ostatnie słowa, jakie nadeszły z węglowca. Poprzedzał je numer wywoławczy statku.

- Nic więcej?

- Tylko tyle.

- Czy *Crogan Castle* podał swoją pozycję?

- Tak, dwudziesty trzeci stopień, trzydziesta minuta szerokości geograficznej pomocnej i siedemdziesiąty dziewiąty stopień dwudziesta pierwsza minuta długości geograficznej zachodniej, z czego wynika, że znajdował się około dwudziestu siedmiu mil na południowy wschód od łańcucha podwodnych raf nazywanego Anguilla Cays.

- Czy *Crogan Castle* również zaginął?

- Nie, zapisy mówią, że dowlókł się do Hawany.

- Czy odnaleziono jakieś szczątki *Cyklopa*”?

- Marynarka wojenna wszczęła zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, lecz nie przyniosły one żadnych rezultatów.

Pitt zawahał się widząc wchodzącego do salki projekcyjnej Yaegera. Ten postawił tylko kawę obok pulpitu i wycofał się w milczeniu. Pitt upił kilka małych łyżeków i poprosił Nadzieję o ponowne wyświetlenie fotografii *Cyklopa*. Kiedy statek zmaterializował się na ekranie monitora, obejrzał go sobie w zadumie.

Po chwili podniósł słuchawkę, wystukał numer i czekał. Cyfrowy zegar wmontowany w pulpit wskazywał 23.55, ale głos, który odpowiedział, brzmiał rześko i wesoło.

- Dirk! - grzmiał doktor Raphael O'Meara. - Co jest, u diabła, grane? Dobrze trafiłeś. Właśnie dzisiaj rano wróciłem do domu z wykopalisk w Kostaryce.

- Znalazłeś kolejną ciężarówkę skorup?

- Nie, tym razem tylko najbogatszy z dotąd odkrytych zbior prekolumbijskiej sztuki.. Zachwycające eksponaty, niektóre pochodzą aż z trzeciego stulecia przed narodzeniem Chrystusa.

- Szkoda, że nie możesz ich zatrzymać.

- Wszystkie moje znaleziska idą do Museo Nacional de Costa Rica.

- Wspaniałomyślny z ciebie człowiek, Raphaelu.

- Ja ich nie daję w prezencie, Dirk. Rządy państw, w których prowadzę prace wykopaliskowe, zachowują wszelkie dzieła sztuki jako część narodowego dziedzictwa. Ale co ja tu zanudzam taką nasiąkniętą wodą mumię jak ty. Czemu zawdzięczam przyjemność rozmawiania z tobą przez telefon?

- Potrzebna mi twoja ekspertyza w sprawie pewnego skarbu.

- Orientujesz się, oczywiście - powiedział O'Meara tonem zabarwionym nutką powagi - że w słowniku szanującego się archeologa słowo “skarb” nie występuje.

- Wszyscy mamy swoje dziwactwa - powiedział Pitt. - Umówisz się ze mną na drinka?

- Teraz? Wiesz, która godzina?
- Wiem przypadkowo, że z ciebie nocny marek. Wybierz miejsce. Gdzieś blisko twojego domu.
- To może w Old Angler's Inn przy bulwarze MacArthura? Powiedzmy za pół godziny.
- Niech będzie.
- Czy możesz mi zdradzić, co za skarb cię interesuje?
- Ten, o którym śnią wszyscy.
- O? A który to?
- Powiem ci, kiedy się spotkamy.

Pitt odłożył słuchawkę i popatrzył na *Cyklopa*. Statek wyglądał jakoś niesamowicie samotnie. Natrętnie powracało pytanie, jakież to tajemnice zabrał ze sobą do podwodnego grobu.

- Mogę kontynuować? - spytała Nadzieja wrywając go z tej niezdrowej zadumy. - Czy wolisz raczej zakończyć sesję?
- Sądzę, że możemy to nazwać pożegnaniem - powiedział. - Dziękuję, Nadziejo. Szkoda, że nie mogę ci dać siarczystego buziaka.
- Jestem wdzięczna za komplement, Dirk. Ale nie jestem fizjologicznie przystosowana do przyjmowania pocałunków.
- I tak masz miejsce w moim notesie.
- Przychodź i korzystaj ze mnie, kiedy tylko chcesz. Pitt roześmiał się.
- Dobranoc, Nadziejo.
- Dobranoc, Dirk.

Gdyby tak była osobą z krwi i kości, pomyślał i westchnął marzycielsko.

ROZDZIAŁ 10

- Poproszę czystą whisky - powiedział wesoło Raphael O'Meara. - Może być podwójny Jack Daniels. To najlepszy środek jaki znam na oczyszczenie mózgu ze zgnilizny dżungli.
- Jak długo przebywałeś w Kostaryce? - spytał Pitt.
- Trzy miesiące. Lało przez cały czas.
- Dżin Bombaj z lodem i koniakiem - zwrócił się Pitt do barmanki.
- A więc wstąpiłeś w szeregi pazernych czyścicieli morza? - Głos O'Meary wydobywał się spod gęstej brody w stylu Gabby'ego Hayesa, która zakrywała mu twarz od nosa w dół. - Dirk Pitt łowcą skarbów. Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję tego dnia.
- Moje zainteresowanie jest natury czysto akademickiej.
- Na pewno, oni wszyscy tak twierdzą. Posłuchaj mojej rady i daj sobie z tym spokój. W poszukiwaniu skarbów pod wodą utopiono więcej forsy, niż wynosi wartość wszystkiego, co kiedykolwiek znaleziono. Na palcach jednej ręki mogę zliczyć wyprawy z ośmiu ostatnich lat, które zakończyły się szczęśliwie i przyniosły jakiś zysk. Przygoda, mocne wrażenia i bogactwa to wielka przesada i mit.
- Zgadzam się z tobą.

Przypominające drut kolczasty brwi O'Meary zbiegły się pośrodku czoła.

- No więc czego chcesz się dowiedzieć?
- Słyszałeś o Raymondzie LeBaronie?
- Stary, nadziany i niezmordowany Raymond, geniusz finansowy, który wydaje "Prosperteera"?
- Ten sam. Zniknął przed dwoma tygodniami podczas przelotu sterowcem w rejonie Bahamów.
- Jak można zniknąć lecąc sterowcem?
- Jemu jakoś się to udało. Musiałeś coś o tym słyszeć albo czytać.

O'Meara pokręcił głową.

- Przez dziewięćdziesiąt dni nie oglądałem telewizji ani nie miałem w ręku gazety.

Postawiono przed nimi drinki i Pitt zwięźle przedstawił dziwne okoliczności związane z tajemniczym zaginięciem załogi sterowca. W lokalu się przerzedziło i mieli prawie cały bar dla siebie.

- I podejrzewasz, że LeBaron latał nad morzem w swojej starej gazowej łajbie szukając wraku wyładowanego po brzegi szczerym złotem.

- Tak twierdzi jego żona, Jessie.

- Co to był za statek?

- *Cyklop*.

- Znam historię *Cyklopa*. To węglowiec marynarki wojennej, który zaginął siedemdziesiąt jeden lat temu. Nie przypominam sobie, żeby była mowa o jakichś bogactwach na jego pokładzie.

- LeBaron najwyraźniej w nie wierzył.

- Co to za skarb?

- Eldorado.

- Pewnie żartujesz.

- Powtarzam tylko, co słyszałem.

O'Meara milczał przez dłuższą chwilę zapatrzony nieobecny wzrokiem w przestrzeń.

- *El hombre dorado* - odezwał się wreszcie. - To po hiszpańsku złoty albo pozłacany człowiek. Ta legenda - niektórzy nazywają ją kłutwą - rozpalala ludzką wyobraźnię przez czterysta pięćdziesiąt lat.

- Jest w niej coś z prawdy? - spytał Pitt.

- Każda legenda opiera się na faktach, ale podobnie jak wszystkie wcześniejsze i późniejsze, i tę tak zniekształcono i upiększono, że wyszła z tego bajka. Legenda o Eldorado zainspirowała najdłuższy w dziejach okres poszukiwania skarbu. Tysiące ludzi oddało życie, by choćby rzucić nań okiem.

- Opowiedz mi, jak powstała ta baśń.

Na barze pojawiła się następna kolejka Jacka Danielsa i dzinu Bombaj. Pitt roześmiał się, widząc, że O'Meara spłukuje sobie najpierw gardło wodą. Uczyniwszy to archeolog poprawił się na stołku i przywołał obraz innej epoki.

- O pozłacanym człowieku, władcy niewyobrażalnie bogatego królestwa zagubionego gdzieś w górskich dżunglach na wschód od Andów, pierwsi usłyszeli hiszpańscy konkwistadorzy. Wieść niosła, że mieszka on w odciętych od świata mieście zbudowanym ze złota, o ulicach wybrukowanych szmaragdami, strzeżonym przez bitną armię pięknych Amazoнок. Niech się schowa kraina Oz. Rzecz jasna opowieści te były mocno przesadzone. Ale w rzeczywistości istniało wielu El Doradów -

długa dynastia królów czczących demonicznego bożka z jeziora Guatavita w Kolumbii. Kiedy nowy monarcha obejmował władzę nad tym plemiennym imperium, jego ciało malowano żywicznym lepikiem, a następnie obsypywano złotym proszkiem. Tak powstawał pozłacany człowiek. Następnie wprowadzano go na rytualną tratwę wypełnioną złotem i drogocennymi kamieniami i wywożono na środek jeziora. Tam władca przystępował do wrzucania w wodę bogactw w ofierze bóstwu, którego imię wyleciało mi w tej chwili z pamięci.

- Czy wydobyto kiedykolwiek ten skarb?

- Podejmowane były liczne próby osuszenia jeziora, ale wszystkie skończyły się niepowodzeniem. W 1965 roku rząd Kolumbii stworzył w rejonie Guatavita park narodowy i zabronił prowadzenia jakichkolwiek poszukiwań na tym terenie. Szkoda, jeśli wziąć pod uwagę, że wartość bogactw spoczywających na dnie jeziora szacuje się na sto do trzystu milionów dolarów.

- No a to złote miasto?

- Nigdy go nie odnaleziono - powiedział O'Meara, skinieniem ręki przywołując barmankę, by zamówić następną kolejkę. - Wielu go poszukiwało i wielu zginęło. Nikolaus Federmann, Ambrosius Dalfinger, Sebastian de Belalcazar, Gonzalo i Hernan Jimenez de Quesada, wszyscy oni szukali Eldorado, ale znaleźli tylko zgubę. To samo spotkało sir Waltera Raleigha. Po drugiej nieudanej wyprawie król Jakub skrócił go o głowę, dosłownie. Oślawionego miasta Eldorado i największego skarbu świata nigdy nie udało się odnaleźć.

- Powiedziałeś przed chwilą - przerwał mu Pitt - że wiadomo o skarbie na dnie jeziora.

- To jedynie okruchy - wyjaśnił O'Meara. - Ten właściwy, główna nagroda, spełnienie na krańcu tęczy, po dziś dzień pozostaje w ukryciu. Nigdy nie spoczęło na nim oko nie wtajemniczonego. Może poza dwoma wyjątkami. Jedna relacja pochodzi z ust pewnego mnicha, który w 1675 roku przybył pieszo do hiszpańskiej osady nad rzeką Orinoko. Umarł tydzień później, ale przedtem powiedział, że brał udział w portugalskiej wyprawie poszukującej złóż diamentów. Z osiemdziesięciu członków ekspedycji ocalał tylko on. Twierdził, że natknęli się na opuszczone miasto otoczone wysokimi wzgórzami i strzeżone przez plemię, które przybrało nazwę Zanona. Oddział mieszkał w mieście przez trzy miesiące, ale po pewnym czasie mężczyźni zaczęli jeden po drugim umierać. Zbyt późno odkryli, że Indianie z plemienia Zanona nie są wcale tak przyjaźnie nastawieni, jak by się wydawało. Wyszło na jaw, że uprawiają kanibalizm i trują Portugalczyków, by ich następnie zjeść. Tylko mnichowi udało się zbiec. W swojej relacji opisał masywne świątynie i budowle, dziwne inskrypcje i legendarny skarb, który wpędził do grobu tylu poszukiwaczy.

- Prawdziwego złotego człowieka - domyślił się Pitt. - Statuę.

- Jesteś blisko - przyznał O'Meara. - Cholernie blisko, ale zapomniałeś o płci.

- O płci?

- *La mujer dorada*, złota kobieta - odparł O'Meara. - Albo krócej *La Dorada*. Widzisz, ta nazwa była początkowo związana z mężczyzną i pewnym rytuałem, później z miastem, a na końcu z całym

imperium. Z biegiem lat stała się terminem oznaczającym każde miejsce na ziemi, gdzie można znaleźć bogactwa. Podobnie jak w przypadku wielu legend znienawidzonych przez feministki, przyjął się mit związany z mężczyzną, podczas gdy ten drugi uległ zapomnieniu. Napijesz się jeszcze?

- Nie, dzięki. Najpierw skończę to, co mam.

O'Meara zamówił kolejnego Jacka Danielsa.

- W każdym razie znasz legendę związaną z Tadż Mahalem. Wielki M ogół wznosił wspinały grobowiec, monument poświęcony pamięci żony. Tak samo postąpił przedkolumbijski południowoamerykański król. Nie zachowało się jego imię. Legenda głosi, że była ona najukochańszą z setek kobiet na jego dworze. Potem na niebie pojawiły się osobliwe zjawiska. Prawdopodobnie było to albo zaćmienie Słońca, albo przelot komety Halleya. Kapłani wezwali władcę do złożenia ukochanej żony w ofierze dla przebłagania rozgniewanych bogów. Życie w tamtych czasach nie było zabawne. Tak więc zabito ją, żywcem wyrywając z piersi serce w skomplikowanym rytuale.

- Myślałem, że tylko Aztekowie praktykowali wyjmowanie serc.

- Aztekowie nie mieli monopolu na ofiary z ludzi. Na koniec król zwołał swoich artystów i kazał im wznieść statwę na podobieństwo swej ukochanej, by mógł ją obwołać boginią.

- Czy tę właśnie statwę opisał mnich?

- W najdrobniejszych szczegółach, jeśli dać wiarę legendzie. Przedstawia nagą kobietę, ma blisko sześć stóp wysokości i stoi na piedestale z różowego kwarcu. Tułów jest z litego złota. Boże, musi ważyć co najmniej tonę. W piersi, tam gdzie powinno znajdować się serce, ma osadzony wielki rubin, tak na oko tysiąc dwustukaratowy.

- Nie pretenduję do miana eksperta - wtrącił Pitt - ale wiem, że rubiny należą do najcenniejszych kamieni szlachetnych, a już trzydziestokaratowy jest rzadkością. Tysiąc dwieście karatów, to niewiarygodne.

- To nawet jeszcze nie połowa - ciągnął O'Meara. - Cała głowa statuy jest wyrzeźbiona z jednego gigantycznego szmaragdu - błękitnozielonego i czystego jak lza. Nie pokuszę się o zgadywanie, ile ma karatów, ale musiałby ważyć gdzieś ze trzydzieści funtów.

- Raczej blisko czterdziestu, jeśli odtworzono również włosy.

- Jaki jest największy znany szmaragd?

Pitt zastanawiał się przez chwilę.

- Na pewno nie waży więcej niż dziesięć funtów.

- Wyobrażasz ją sobie, jak stoi w snopach światła z punktowych reflektorów w głównym holu waszyngtońskiego Muzeum Historii Naturalnej? - mruknął z rozmarzeniem O'Meara.

- Mnie ciekawi tylko jej wartość na dzisiejszym rynku.

- Możesz bez obawy przyjąć, że jest bezcenna.

- Czy ktoś jeszcze widział tę statwę? - spytał Pitt.

- Pułkownik Ralph Morehouse Sigler, prawdziwy reprezentant starej szkoły podróżników. Będąc oficerem służb inżynieryjnych armii brytyjskiej wędrował po imperium wymierzając granice i budując forty. Przemierzył w ten sposób wzdłuż i wszerz całą Afrykę i Indie. Był również dyplomowanym geologiem i w wolnych chwilach prowadził poszukiwania. Albo miał cholerne szczęście, albo był cholernie dobry w swoim fachu, bo odkrył rozległe złoża chromitu w Afryce Południowej i kilka żył kamieni szlachetnych w Indochinach. Stał się człowiekiem bogatym, ale nie miał czasu się tym cieszyć. Kajzer wmaszerował do Francji i Sigler został skierowany na front zachodni celem wznoszenia tam fortyfikacji.

- A więc do Ameryki Południowej przybył dopiero po wojnie?

- Nie, w lecie 1916 roku zszedł ze statku na ląd w Georgetown, które leżało wówczas w Gujanie Brytyjskiej. Wygląda na to, że jakaś gorąca głowa z brytyjskiego ministerstwa skarbu wpadła na genialny pomysł rozesłania po świecie ekspedycji z zadaniem szukania czynnych kopalni złota, którym można by finansować działania wojenne. Siglera odwołano z frontu i wysłano w głąb południowoamerykańskiego kontynentu.

- Sądziś, że znał relacje mnicha? - spytał Pitt.

- Nic w jego dziennikach ani dokumentach nie wskazuje na to, by kiedykolwiek wierzył w istnienie zaginionego miasta. Ten facet nie był ogarniętym gorączką złota łowcą skarbów. Szukał surowców mineralnych. Historyczne wytwory rąk ludzkich nigdy go nie interesowały. Nie jesteś czasem głodny, Dirk?

- Jestem, właśnie to do mnie dotarło. Wyproszono mnie z kolacji.

- Pora kolacji dawno już minęła, ale jestem pewien, że jeśli ładnie poprosimy, kuchnia przyrządzi nam szybko coś na ząb.

O'Meara skinął na barmankę i wyłuszczywszy sprawę nakłonił ją do podania talerza krewetek w sosie koktajlowym.

- To jest to - przyznał Pitt.

- Mógłbym wcinać te małe draństwo na okrągło - zgodni się z nim O'Meara. - Na czym to skończyliśmy?

- Jak Sigler jest w przededniu odnalezienia La Dorady.

- A tak. Po sformowaniu oddziału składającego się z dwudziestu osób, w większości żołnierzy brytyjskich, Sigler zapuścił się w nie zbadaną dzicz. Przez wiele miesięcy nie było od niego żadnej

wiadomości. Brytyjczycy zaczęli podejrzewać coś złego i wysłali kilka grup poszukiwawczych, ale żadna nie natrafiła na najmniejszy ślad zaginionej wyprawy. W końcu, bez mała dwa lata później, amerykańska ekspedycja wytyczająca trasę przyszłej linii kolejowej natknęła się na Siglera pięćset mil na północny wschód od Rio de Janeiro. Był sam; tylko on ocalał.

- To chyba niewiarygodnie daleko od Gujany Brytyjskiej.

- Prawie dwa tysiące mil w linii prostej od punktu, z którego wyruszył.

- W jakim był stanie?

- Zgodnie z tym, co mówili inżynierowie, którzy go znaleźli, życie ledwie się w nim kołatało. Przenieśli go do wioski, w której znajdował się mały szpitalik, i powiadomili najbliższy konsulat amerykański. Po kilku tygodniach z Rio przybyła grupa posiłkowa.

- Amerykańska czy brytyjska?

- Tutaj sprawa się dziwnie gmatwa - odparł O'Meara. - Konsulat brytyjski twierdził, że nikt ich nie powiadomił o odnalezieniu Siglera. Krążyła pogłoska, że amerykański konsul generalny wybrał się osobiście, by go przesłuchać. Jak było, tak było, w każdym razie Sigler jakby się zapadł pod ziemię. Mówią, że uciekł ze szpitala i wrócił do dżungli.

- Nie chce mi się wierzyć, że po dwóch latach piekła odwrócił się plecami do cywilizacji - mruknął Pitt.

O'Meara wzruszył ramionami.

- Kto wie, jak to było.

- Czy Sigler przed swoim ponownym zniknięciem zdał raport z wyników ekspedycji?

- Większość czasu bredził w malignie. Świadkowie mówili potem, że bełkotał coś o znalezieniu ogromnego miasta otoczonego wysokimi wzgórzami i zarośniętego dżunglą. Jego opis pokrywał się dosyć dokładnie z relacją tego portugalskiego mnicha. Zrobił też szkic złotej kobiety, który przechowała pielęgniarka i który znajduje się teraz w brazylijskiej bibliotece narodowej. Widziałem go, kiedy zbierałem materiały do innej pracy. W naturze statua musi naprawdę wzbudzać nabożny podziw.

- A więc nadal pozostaje ukryta w dżungli.

- A, jest jeszcze pewien problem - westchnął O'Meara. - Sigler utrzymywał, że wraz ze swoimi ludźmi wykradł statuę. Wlekli ją ponoć przez dwadzieścia mil aż do rzeki, odpierając przez całą drogę ataki Indian z plemienia Zanona. Kiedy wreszcie zbudowali tratwę, wtaszczyli na nią statuę La Dorady i odbili od brzegu, pozostało ich tylko trzech. Potem jeden zmarł z odniesionych ran, a drugi zginął podczas przeprawy przez katarakty.

Pitt był zafascynowany opowieścią O'Meary, ale z wielkim trudem powstrzymywał ciężące powieki.

- Powstaje oczywiste pytanie: gdzie Sigler zamelinował złotą kobietę?

- Gdybym to ja wiedział - westchnął O'Meara.

- Niczym się nie zdradził!

- Pielęgniarsce wydawało się, że powiedział, iż tratwa się rozleciała i statua wpadła do wody kilkaset jardów od miejsca, gdzie znaleźli go amerykańscy inżynierowie. Ale nie podniecaj się. Bredził. Łowcy skarbów przez wiele lat kursowali w górę i w dół tej rzeki z wykrywaczami metalu i nie zarejestrowali choćby jednego tyknięcia.

Pitt wprawił kostki lodu w ruch wirowy wokół wewnętrznych ścianek swojej szklanki. Wiedział, **wiedział**, co się stało z Ralphem Morehousem Siglerem i La Doradą.

- Amerykański konsul generalny - wycodził powoli - był ostatnią osobą, która widziała Siglera żywego?

- W tym miejscu łamigłówka staje się niekompletna, ale o ile się orientuję, to odpowiedź brzmi: tak.

- Zobaczmy, czy uda mi się wypełnić brakujące miejsca. Miało to miejsce w styczniu i lutym 1918 roku. Zgadza się?

O'Meara skinął głową, po czym spojrzał dziwnie na Pitta.

- A konsul generalny to Alfred Gottschalk, ten sam, który kilka tygodni później poszedł na dno wraz z *Cyklopem*. Zgadza się?

- Ty to wiesz? - W oczach O'Meary malowało się wyraźne zaskoczenie.

- Gottschalk usłyszał pewnie o misji Siglera od swojego odpowiednika z konsulatu brytyjskiego. Kiedy dowiedział się od geodetów wytyczających linię kolejową, że Sigler żyje, zachował informację dla siebie i uprzedzając Brytyjczyków wybrał się w głąb łądu z zamiarem wypymania podróżnika i przekazania wszelkich cennych informacji swemu rządowi. To, czego się dowiedział, musiało doprowadzić do złamania wszelkich barier etycznych, jakie w nim jeszcze pozostały. Gottschalk postanowił zagarnąć skarb dla siebie.

Odnalazł złotą statuetkę, wydobył ją z dna rzeki i przetransportował wspólnie z Siglerem do Rio de Janeiro. Zacierał za sobą ślady przekupując każdego, kto mógłby rozpowiadać o Siglerze i, jeśli prawidłowo rozumiem, mordując ludzi, którzy pomagali mu wyłowić statuetkę. Potem, wykorzystując swe wpływy w marynarce, przeschmugłował siebie i Siglera na pokład *Cyklopa*. Statek zatonął, a wraz z nim poszła na dno tajemnica.

Oczy O'Meary pociemniały z budzącego się zainteresowania.

- Tak, ale tego nie możesz przecież wiedzieć na pewno - powiedział.

- Aż jakiegoż innego powodu LeBaron szukałby czegoś, co w jego przekonaniu było La Doradą?

- To dobry argument - przyznał O'Meara. - Ale wiele pytań pozostawiłeś bez odpowiedzi. Dlaczego po odnalezieniu statuy Gottschalk nie zabił po prostu Siglera? Dlaczego pozostawił go przy życiu?

- To oczywiste. Konsula generalnego opętała gorączka złota. Pragnął zarówno La Dorady, jak i szmaragdowego miasta. Sigler był jedyną żyjącą osobą, która mogła wskazać mu drogę.

- Podoba mi się tok twojego rozumowania, Dirk. Trzeba oblać tę zwariowaną teorię.

- Za późno, bar jest już zamknięty. Wydaje mi się, że czekają tylko, aż wyjdziemy i sprzątaczką będzie wreszcie mogła pójść do domu spać.

O'Meara wykrzywił twarz w grymasie strapienia.

- Prymitywne kultury mają jedną wielką zaletę. Nie liczą godzin, nie trąbią capstrzyku. - Wychylił ostatni łyk ze swojej szklanki. - No i co w tej sprawie zamierzasz?

- Nic szczególnego - odparł z uśmiechem Pitt. - Zamierzam odnaleźć *Cyklopa*.

ROZDZIAŁ 11

Prezydent należał do rannych ptaszków. Budził się około szóstej, gimnastykował przez trzydzieści minut, po czym brał prysznic i jadł lekkie śniadanie. Odprawiając codzienny rytuał cofania się pamięcią do wczesnego okresu swego małżeństwa, zsunął się ostrożnie z łóżka i ubrał cicho, uważając, by nie obudzić śpiącej jeszcze żony. Ona była z kolei nocnym markiem i nie mogła się przemóc do wstawania przed wpół do ósmej.

Ubrał się w dres, po czym z szafy ściiennej w sąsiadującym z sypialnią salonie wyjął mały skórzany neseser. Złożywszy na półeczku żony czuły pocałunek zszedł tylnymi schodami do sali gimnastycznej, mieszczącej się pod zachodnim tarasem Białego Domu.

W przestronnym pomieszczeniu wyposażonym w najrozmaitszy sprzęt do ćwiczeń nie było nikogo poza tęgim mężczyzną leżącym na plecach na ławeczce i wyciskającym w górę solidnie obciążoną sztangę. Mężczyzna ten przy każdym prostowaniu ramion stękał jak rodząca kobieta. Z jego okrągłej głowy ściekał pot zraszając gęstą szczecinę przyciętych na jeża włosów barwy kości słoniowej. Brzuch miał ogromny i obficie owłosiony, a wyrastające z niego ręce i nogi przypominały konary grubego drzewa. Wyglądał na cyrkowego zapaśnika, który szczyt kariery ma już dawno za sobą.

- Dzień dobry, Ira - pozdrowił go prezydent. - Cieszę się, że jesteś w formie.

Grubas opuścił sztangę na dwa wsporniki nad głową, wstał z ławki i uściśnął dłoń prezydenta.

- Miło znów cię widzieć, Vince.

Prezydent uśmiechnął się. Żadnych ukłonów, żadnych umizgów, żadnego tytułowania w rodzaju "panie prezydencie". Twardy, opanowany Ira Hagen, pomyślał. Odważny, doświadczony agent, który nigdy przed nikim nie zginał karku.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci spotkanie w tych warunkach?

Hagen zarechotał chrapliwie i jego śmiech odbił się echem od ścian sali gimnastycznej.

- Zdarzały mi się już odprawy w gorszych miejscach.

- Jak tam restauracja?

- Od kiedy przerzuciłem się z kontynentalnych frykasów na zwyczajną amerykańską kuchnię, przynosi niezłe dochody. Wykańczały nas koszty zakupu produktów. Marnowało się mnóstwo dań z drogimi sosami i przyprawami. No a teraz zamiast dwudziestu mamy tylko pięć pozycji menu i to takich, których restauracje wyższej kategorii nie prowadzą - szynka, kurczak, potrawka rybna, gulasz i klops.

- To może być coś - powiedział prezydent. - Od czasów dzieciństwa nie miałem w ustach dobrego klopsa.

- Naszym klientom to odpowiada, zwłaszcza od kiedy wprowadziliśmy elegancką obsługę i stworzyliśmy intymną atmosferę. Wszyscy moi kelnerzy noszą fraki, świece na stołach, stylowe meble, dania podawane są na sposób kontynentalny. A co najważniejsze, konsumenci jedzą szybciej, a więc mamy większą rotację stolików.

- I jeśli nawet stracisz na jedzeniu, to odbijesz sobie na winie i mocniejszych trunkach, prawda?

Hagen znowu się roześmiał.

- Równy z ciebie gość, Vince. Nie dbam o to, co wygadują o tobie środki masowego przekazu. Jak na starość przestaniesz być politykiem, przyjdź do mnie i wspólnie zorganizujemy sieć jadłodajni z prawdziwego zdarzenia.

- Nie tęsknisz za pracą w kryminalistyce, Ira?

- Czasami.

- Byłeś najlepszym tajnym agentem operacyjnym, jakiego kiedykolwiek miał departament sprawiedliwości - powiedział prezydent. - Dopóki nie umarła Martha.

- Zbieranie dla rządu dowodów w brudnych sprawach chyba już nie odgrywa takiej roli jak kiedyś. Poza tym miałem do wychowania trzy córki, a obowiązki służbowe wyciągały mnie z domu na całe tygodnie.

- Dziewczyny dobrze się mają?

- Świetnie. Wiesz, że wszystkie trzy twoje siostrzeniczki wyszły szczęśliwie za mąż i obdarzyły mnie pięciorgiem wnucząt.

- Szkoda, że Martha tego nie doczekała. Z całego rodzeństwa, czterech sióstr i dwóch braci, ją najbardziej lubiłem.

- Nie ściągnąłeś mnie tutaj samolotem z Denver tylko po to, żeby pogawędzić o starych dobrych czasach - powiedział Hagen. - O co chodzi?

- Straciłeś swój węch?

- A ty zapomniałeś, jak się jeździ na rowerze?

Teraz roześmiał się prezydent.

- Głupie pytanie...

- Refleks mam gorszy, ale szare komórki pracują jeszcze na pełnych obrotach.

Prezydent rzucił mu neseser.

- Przejrzyj to sobie, a ja tymczasem przespaceruję się parę mil w kieracie.

Hagen, otarłszy rękami spocone czoło, usiadł na rowerze treningowym, którego rama ugięła się niebezpiecznie pod jego ciężarem. Otworzył skórzany neseser i oderwał się od lektury znajdujących się tam materiałów dopiero wtedy, kiedy prezydent przeszedł 1,6 mili.

- I co ty na to? - spytał prezydent.

Hagen wzruszył ramionami i powrócił do lektury.

- Wspaniały scenariusz serialu telewizyjnego. Prywatne fundusze, ścisła konspiracja, zakamufLOWANA działalność na ogromną skalę, tajna baza na Księżycu. H.G. Wells byłby zachwycony.

- Uważasz, że to mistyfikacja?

- Powiedzmy, że chcę w to wierzyć. Który z wymachujących flagą podatników by nie chciał? W tym świetle cały nasz wywiad wygląda na zbieraninę głuchych i ślepych mutantów. Jeśli to jednak mistyfikacja, to gdzie motyw?

- Do głowy przychodzi mi tylko wielki spisek mający na celu zdyskredytowanie rządu.

- Daj mi doczytać do końca. Ostatnia część jest spisana odręcznie.

- To konspekt tego, co zapamiętałem z rozmowy na polu golfowym. Przepraszam, że bazgrzę jak kura pazurem, ale nigdy nie nauczyłem się pisać na maszynie.

Hagen popatrzył na niego pytająco.

- Nikomu o tym nie mówiłeś, nawet swojej radzie bezpieczeństwa?

- Może jestem paranoikiem, ale ten "Joe" prześlizgnął się przez kordon moich tajnych służb jak lis przez dziurę w płocie. I utrzymywał, że członkowie "jądra" piastują wysokie stanowiska w NASA i Pentagonie. Wypada założyć, że spenetrowali również agencje wywiadowcze i mój personel Białego Domu.

Hagen studiował uważnie prezydencką relację ze spotkania na polu golfowym, wracając co rusz do dokumentu traktującego o Kolonii Jersey, by porównać fakty. W końcu dźwignął swe cielsko z roweru, usiadł na ławeczce i spojrzał na prezydenta.

- Czy na tym zdjęciu człowiek siedzący obok ciebie na wózku golfowym to Joe?

- Tak. Kiedy wracaliśmy do budynku klubowego, zauważyłem reportera z "Washington Post". Fotografował mnie podczas gry w golfa przez teleobiektyw. Poprosiłem go, żeby wyświadczył mi przysługę i przesłał do Białego Domu powiększenie tego ujęcia, bo chcę je podpisać i podarować na pamiątkę mojemu koszowemu.

- Nieźle pomyślane. - Hagen przyjrzał się dokładnie fotografii, po czym odłożył ją na bok. - Co mam dla ciebie zrobić, Vince?

- Wyszperaj mi nazwiska członków “jądra”.

- Tylko tyle? Nie interesują cię żadne informacje o Kolonii Jersey ani dowody na istnienie całego projektu?

- Kiedy będę wiedział, kim są - odparł prezydent przygaszonym głosem - zgarnie się ich i przesłucha. Wtedy się przekonamy, jak głęboko sięgają ich macki.

- Jeśli interesuje cię moja opinia, to ja osobiście przypiąłbym medal każdemu z tych facetów.

- Może to właśnie uczynię - odparł prezydent z chłodnym uśmiechem. - Ale najpierw muszę ich powstrzymać od rozpętania krwawej wojny o Księżyc.

- A więc w i tak trudnej sytuacji prezydentowi dochodzi jeszcze i to. Nie możesz zaufać nikomu z oficjalnych kręgów wywiadowczych, a więc zatrudniasz mnie w charakterze osobistego agenta operacyjnego.

- Tak.

- Ile mam czasu?

- Za dziewięć dni rosyjski pojazd kosmiczny ma wylądować na powierzchni Księżyca. Muszę wykorzystać każdą godzinę, by nie dopuścić do zbrojnego starcia pomiędzy ich kosmonautami a naszymi księżycowymi kolonistami, gdyż mogłoby się ono przerodzić w kosmiczny konflikt, którego nikt z nas nie byłby już w stanie powstrzymać. Trzeba nakłonić Jądro” do wycofania się. Muszę mieć ich na widelcu, Ira, przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny przed wylądowaniem Rosjan.

- Osiem dni to niewiele, by odszukać dziewięciu ludzi.

Prezydent wzruszył bezradnie ramionami.

- Nic nie przychodzi łatwo.

- Dokument stwierdzający, że jestem twoim szwagrem, nie wystarczy, by przebić się przez bariery prawne i biurokratyczne. Potrzebna mi konkretna przykrywka.

- Pozostawiam to tobie. Przepustka Alfa Dwa powinna ci otworzyć większość furtek.

- Nieźle - stwierdził Hagen. - Wiceprezydent dysponuje tylko Trójką.

- Podam ci numer bezpiecznej linii telefonicznej. Melduj mi wszystko o każdej porze dnia i nocy. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem.

- Jakieś pytania?

- Raymond LeBaron żyje w końcu, czy zginął?

- Nie wiadomo. Żona nie rozpoznała ciała znalezionej w sterowcu. Miała rację. Zwróciłem się z prośbą do dyrektora FBI, Sama Emmetta, żeby przejął zwłoki od okręgu Dade na Florydzie. Znajdują się teraz w szpitalu wojskowym Waltera Reeda i są poddawane badaniom.

- Czy mogę zobaczyć raport koronera okręgowego?

Prezydent potrząsnął z podziwem głową.

- Nigdy niczego nie zaniedbasz, co, Ira?

- Naturalnie, musi w tym być jakiś haczyk.

- Dopilnuję, żebyś otrzymał kopię.

- I wyniki badań laboratoryjnych przeprowadzonych u Waltera Reeda.

- To też dostaniesz.

Hagen wepchnął dokumenty z powrotem do neseseru, ale zostawił sobie fotografię z pola golfowego. Przyjrzał się jej uważnie chyba po raz czwarty.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że Raymond LeBaron może nie zostać nigdy odnaleziony?

- Rozwazałem tę możliwość.

- Dziewięciu małych Indian, z których zostało ośmiu... no, powiedzmy, siedmiu.

- Siedmiu?

Hagen podsunął fotografię prezydentowi pod nos.

- Nie poznajesz go?

- Prawdę mówiąc nie. Ale powiedział, że znaliśmy się przed laty.

- Przypomnij sobie naszą szkolną drużynę baseballową. Ty grałeś na pierwszej bazie. Ja byłem lewoskrzydłowym, a Leonard Hudson łapał.

- Hudson! - wykrztusił z niedowierzaniem prezydent. - Joe, to Leo Hudson. Ale przecież Leo był za młodu gruby. Ważył co najmniej dwieście funtów.

- Dostał bzika na punkcie zdrowia. Zrzucił sześćdziesiąt funtów i biegał w maratonach. Nigdy nie miałeś sentymentu do starej paczki. Ja nadal jestem z nimi w kontakcie. Nie pamiętasz? Leo był szkolnym geniuszem. Zdobył wszystkie rodzaje nagród za swoje prace naukowe. Później ukończył z

wyróżnieniem Stanford i został dyrektorem Narodowego Laboratorium Fizycznego Harveya Pattendena w Oregonie. Prowadził pionierskie prace z zakresu systemów raketowych i kosmicznych, kiedy jeszcze nikt się tym nie interesował.

- Znajdź mi go, Ira. Hudson jest kluczem do pozostałych.

- Potrzebowałbym łopaty.

- Chcesz przez to powiedzieć, że się ukrywa?

- W grobie.

- Kiedy to się stało?

- W 1965. Zginął w katastrofie małego, prywatnego samolotu nad rzeką Columbia.

- No to kim jest Joe?

- Leonardem Hudsonem.

- Ale przecież powiedziałaś...

- Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Wygodne, co?

- Upozorował własną śmierć - mruknął prezydent doznając olśnienia. - Ten skubaniec upozorował własną śmierć, żeby móc zejść do podziemia i spokojnie doglądać realizacji projektu Kolonii Jersey.

- Swoją drogą genialna zagrywka. Nikt nie zadaje pytań. Nikt go nie przyłapie na angażowaniu się w jakiś potajemnie realizowany program. Wcielił się w kogoś, kto zapewniał mu swobodę działania. Bezimienna osoba może dokonać o wiele więcej od przeciętnego podatnika, którego nazwisko, znaki szczególne i złe nawyki zapisane są na dyskach tysiąca komputerów.

Przez chwilę trwało milczenie, potem prezydent odezwał się ponurym głosem:

- Odszukaj Leonarda Hudsona, Ira, i przyprowadź go do mnie, zanim rozpęta się piekło.

Sekretarz stanu, Douglas Oates, w okularach do czytania na nosie, przebiegał wzrokiem ostatnią stronę trzydziestostronicowego listu. Analizował dokładnie konstrukcję stylistyczną każdego akapitu, starając się czytać między wierszami. W końcu spojrzął na swojego zastępcę, Victora Wykoffa.

- Wygląda mi na autentyk.

- Nasi eksperci są tego samego zdania - powiedział Wykoff. - Charakterystyczna semantyka,

chaotyczność, oderwane zdania, wszystko pasuje do schematu.

- Tak, nie ma wątpliwości, że autorem jest Fidel - przyznał cicho Oates. - Niepokoi mnie jednak ton listu. Odnosi się wrażenie, że jest niemal błagalny.

- Wcale tak nie uważam. On raczej usiłuje podkreślić absolutną tajność wtrącając w tekst pewną dawkę natarczywości.

- Konsekwencje jego oferty są wstrząsające.

- Mój personel dokładnie je przeanalizował - powiedział Wykoff. - Castro nic nie zyskuje montując mistyfikację.

- I mówi pan, że uciekł się do dziwacznych środków, aby złożyć ten dokument na pańskie ręce.

Wykoff skinął głową.

- Brzmi to nieprawdopodobnie, ale dwaj kurierzy, którzy dostarczyli go do naszego biura terenowego w Miami, twierdzą zgodnie, że przedostali się z Kuby do Stanów Zjednoczonych na pokładzie sterowca.

ROZDZIAŁ 12

Anastazy Rykow przytknął oczy do wziernika dwuobiektywowego stereoskopu i spojrzał na poszarpane pasmo górskie i cieniste krawędzie księżycowych kraterów. Przed oczyma sowieckiego geofizyka roztoczył się w trzech wymiarach i naturalnych barwach posępny księżycowy krajobraz. Szczegóły fotografowane z wysokości trzydziestu czterech mil były uderzająco ostre. Widać było wyraźnie nawet pojedyncze kamyki o średnicy niespełna cala.

Rykov przywarł twarzą do miękkiej wyściółki wziernika studiując zmontowany obraz fotograficzny przesuwający się powoli pod stereoskopem na dwóch szerokich rolkach. Przypominało to przegląd nakręconego materiału filmowego, tyle że przeprowadzany w bardziej komfortowych warunkach. Dłonie Rykova spoczywały na małym urządzeniu sterującym, którym mógł zatrzymać rolki i powiększyć dowolny fragment oglądanego obrazu.

Fotografie przekazane zostały przez skomplikowane urządzenia zainstalowane na rosyjskim statku kosmicznym krążącym wokół Księżyca. Działające na zasadzie lustra skanery odbijały obraz księżycowej powierzchni kierując go na pryzmat, który rozszczepiał widmo świetlne na poszczególne długości fal przetwarzane następnie cyfrowo na 263 różne odcienie szarości: otwierała je przyporządkowana poziomowi 263 czerń, która jaśniała stopniowo, by ostatecznie przejść w biel oznaczoną jako poziom 0. Komputer statku kosmicznego przetwarzał je potem w mrowie elementów obrazu utrwalanych na wysokorozdzielczej taśmie. Po odebraniu tych danych z orbitującego statku kosmicznego, przenoszono je za pośrednictwem lasera na czarno-biały negatyw i przepuszczano przez filtry dla długości fal odpowiadających błękitowi, czerwieni i zieleni. Potem komputer nanosił kolorowy już obraz na dwie taśmy papieru fotograficznego nakładane następnie na siebie dla uzyskania efektu trójwymiarowości.

Rykov zsunął okulary na czoło i przetarł przekrwione oczy. Zerknął na zegarek. Była 23.57. Od dziewięciu dni i nocy, z kilkoma tylko przerwami na krótką drzemkę, analizował księżycowe szczyty i doliny. Zsunął okulary z powrotem na nos i przeczesał obiema dłońmi gęstą szopę tłustych, czarnych włosów. Dopiero teraz uświadomił sobie, że od chwili przystąpienia do prac nad projektem nie kąpał się ani nie zmieniał ubrania.

Przewyciężył ogarniające go zmęczenie i powrócił do skrupulatnych oględzin niewielkiego rejonu pochodzenia wulkanicznego na odwrotnej stronie Księżyca. Do przejrzania pozostały już tylko dwa cale, kiedy ni stąd, ni zowąd nawinięta na rolkę taśma fotograficzna się urwała. Zwierzchnicy nie poinformowali go o przyczynie tego przedwczesnego końca, założył więc, że to wina wadliwie działającego systemu skanującego.

Księżycowa powierzchnia była podziobana i pomarszczona niczym pryszczata skóra oglądana przez silne szkło powiększające, a jej barwa okazała się nie szara, lecz orzechowa. Trwające od wieków

nieustanne bombardowanie meteorytami pozostawiło po sobie krater na kraterze, bliźnię nakładającą się na bliźnię.

Rykwom omal tego nie przeoczył. Jego oczy zarejestrowały co prawda niezgodną z naturą osobliwość, ale znużony mózg prawie zignorował ten sygnał. Cofnął bez przekonania obraz i powiększył wycinek grani stromego urwiska wyrastającego z dna małego krateru. Wyregulował ostrość i jego oczom ukazały się trzy małe obiekty.

To, na co patrzył, było niewiarygodne. Rykwom odsunął się od stereoskopu i odetchnął głęboko, żeby rozproszyć lepka mgłę spowijającą mózg. Potem spojrzał jeszcze raz.

Obiekty nadal tam widniały, z tym że w jednym z nich rozpoznał teraz skałę. Pozostałe dwa były postaciami ludzkimi.

Widok ten sparaliżował Rykova. Potem przyszedł szok i ręce zaczęły mu drżeć, a żołądek podszedł do gardła. Dygocząc na całym ciele podźwignął się od aparatu, podszedł do biurka i otworzył mały notesik z prywatnymi numerami telefonów wojskowego dowództwa kosmicznego. Pomylił się dwa razy przy wykręcaniu, zanim wreszcie udało mu się połączyć z właściwym numerem.

- Co jest? - rozległ się w słuchawce zmieniony od wódki głos.

- Czy rozmawiam z generałem Maksymem Jesieninem?

- Tak, kto mówi?

- My się nie znamy. Nazywam się Anastazy Rykwom. Jestem geofizykiem i pracuję przy kosmicznym programie księżycowym.

Dowódca sowieckiej wojskowej misji kosmicznej nie próbował nawet ukryć swej irytacji wywołanej zakłóceniem przez Rykova jego prywatności.

- Dlaczego, u diabła, telefonujecie do mnie o tej porze?

Rykwom w pełni zdawał sobie sprawę z przekroczenia swoich kompetencji, ale nie zawahał się.

- Analizowałem właśnie zdjęcia wykonane przez *Selenos 4* i natknąłem się na coś niewiarygodnego. Pomyślałem sobie, że najpierw trzeba o tym powiadomić pana.

- Piliście, Rykwom?

- Nie, generale. Jestem zmęczony, ale trzeźwy jak Sybirak.

- Jeśli nie jesteście kompletnym durniem, to musicie wiedzieć, w co wdeptujecie zawracając głowę swoim przełożonym.

- To zbyt poważna sprawa, by zwracać się z nią do kogoś niższego rangą, generale.

- Prześpijcie się z tym i do rana trochę ochłoniecie - poradził mu Jesienin. - Pójdę wam na rękę i zapomnę o całej sprawie. Dobranoc.

- Chwileczkę! - krzyknął Rykow rezygnując z ostrożności. - Jeśli zlekceważycie mój telefon, generale, nie będę miał innego wyjścia, jak tylko zwrócić się z moim odkryciem do Władimira Polewoja.

Oświadczenie Rykowa przywitane zostało lodowatym milczeniem. W końcu Jesienin odezwał się:

- Skąd ta pewność, że szef bezpieczeństwa państwowego będzie chciał słuchać bredzenia jakiegoś wariata?

- Kiedy zajrzy do moich akt, stwierdzi, że jestem szanowanym członkiem partii i naukowcem, któremu daleko do obłądu.

- O? - mruknął Jesienin, a jego irytacja przerodziła się w zaciekawienie. Postanowił przyprzeć Rykova do muru. - No dobrze. Słucham was. Cóż to za ważna dla Mateńki Rosji sprawa, której nie można nadać biegu zwykłą drogą służbową?

- Mam dowód na to, że na Księżycu ktoś jest - powiedział spokojnie Rykow.

Czterdzieści pięć minut później generał Jesienin wkraczał do laboratorium fotoanalizy Geofizycznego Centrum Kosmicznego. Generał był wielkim, muskularnym mężczyzną o czerwonej twarzy, ubranym w wygnieciony, błyszczący od odznaczeń mundur. Włosy miał jasnopozielate, spojrzenie władcze i twarde. Stąpił cicho wyciągając w przód szyję jak drapieżnik podchodzący ofiarę.

- To wy jesteście Rykow? - zapytał bez wstępów.

- Tak - odparł Rykow skromnie, ale śmiało.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem nie podając sobie rąk. W końcu Rykow odchrząknął i wskazał na stereoskop.

- Tędy, generale - powiedział. - Proszę się oprzeć na skórzanej wyściółce i spojrzeć przez wziernik.

- Czego mam szukać? - zapytał Jesienin pochylając się nad zmontowanym obrazem.

- Proszę się skupić na małym obszarze, który obwiodłem kółkiem - poinstruował go Rykow.

Generał z beznamiętnym wyrazem twarzy wyregulował po swojemu ostrość i spojrzął w dół. Po minucie poderwał głowę, popatrzył dziwnie i znowu pochylił się nad stereoskopem. W końcu wstał i wlepił w Rykova szklisty wzrok wyrażający bezbrzeżne zdumienie.

- Czy to jakiś trik fotograficzny? - spytał oszołomiony.

- Nie, generale. To, co tam widać, jest realne. Dwie ludzkie postaci w hermetycznych skafandrach kosmicznych celują jakimś urządzeniem w *Selenos 4*.

Umysł Jesienina nie potrafił zaakceptować tego, co widziały jego oczy.

- To niemożliwe. Skąd by się tam wzięli?

Rykov wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem. Jeśli nie są astronautami Stanów Zjednoczonych, to mogą być tylko przybyszami z innej planety.

- Nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone.

- Ale jak Amerykanie zdołaliby wysłać ludzi na Księżyc w tajemnicy przed światowymi środkami masowego przekazu i naszymi agentami?

- Przypuśćmy, że zostawili tam swoich ludzi i gromadzili materiały podczas realizacji programu *Apollo*. To byłoby wykonalne.

- Ich ostatnie oficjalne lądowanie na Księżycu miało miejsce w 1972 roku podczas misji *Apollo 17* - przypomniał Rykov. - Bez stałego uzupełniania zapasów żaden człowiek nie przetrwałby w nieprzyjaznym środowisku księżycowym przez siedemnaście lat.

- Nie widzę innego wytłumaczenia - obstawał przy swoim Jesienin.

Odwrócił się z powrotem do stereoskopu i zaczął pilnie studiować ludzkie postaci stojące w kraterze. Słoneczny blask padał od prawej rzucając ich cienie w lewo. Mieli na sobie białe skafandry i odróżniał ciemnozielone szybki hełmów o nie znanej mu konstrukcji. Widział wyraźnie ślady stóp prowadzące w czarny jak smoła cień u podnóża ścian krateru.

- Wiem, czego pan tam szuka, generale - odezwał się Rykov - ale obejrzałem już skrupulatnie powierzchnię dna krateru i nie mogę znaleźć żadnego śladu ich statku.

- Może spuścili się na dół z grani?

- To pionowe urwisko o wysokości przekraczającej tysiąc stóp.

- Nie potrafię znaleźć na to żadnego wytłumaczenia - przyznał cicho Jesienin.

- Proszę przyjrzeć się dokładniej urządzeniu, które obaj trzymają mierząc z niego w *Selenos 4*. Wygląda to na wielką kamerę z niezmiernie długim teleobiektywem.

- Nie - burknął Jesienin. - Teraz wkraczacie na moje podwórko. To nie kamera, tylko jakaś broń.

- Laser?

- Nie aż tak nowoczesna. Przypomina mi przenośną wyrzutnię pocisków ziemia-powietrze produkcji amerykańskiej. Powiedziałbym nawet, że to lariat typ 40. Wyposażona w wiązkę naprowadzającą, zasięg na ziemi dziesięć mil, prawdopodobnie większy w rozrzedzonej atmosferze Księżyca. Wprowadzona na wyposażenie sił NATO przed około sześciu laty. I to tyle w sprawie waszej teorii z przybyszami z obcej planety.

Rykw stał zdjęty grozą.

- W locie kosmicznym liczy się każdy gram wagi. Po co zabierać ze sobą coś tak ciężkiego i bezużytecznego jak wyrzutnia raket?

- Ci z krateru znaleźli dla niej zastosowanie. Użyli jej przeciwko *Selenos 4*.

Rykw zastanawiał się przez chwilę.

- To by wyjaśniało, dlaczego w minutę później przestały działać skanery. Zostały uszkodzone.

- Na skutek trafienia rakietą - dokończył za niego Jesienin.

- Mieliśmy szczęście, że zanim w nie rąbnęła, zdążyły przekazać na Ziemię dane cyfrowe.

- Szkoda, że załoga nie miała tyle szczęścia.

Rykw spojrzął na generała, niepewny, czy dobrze usłyszał.

- Przecież *Selenos 4* była statkiem bezzałogowym - wykrztusił. Jesienin wyjął z kieszeni marynarki płaskie, złote pudełeczko, wyciągnął z niego papierosa i przypalił zapalniczką wmontowaną w wieczko. Potem wsunął pudełeczko z powrotem w kieszonkę na piersi.

- Tak, oczywiście, *Selenos 4* **była** statkiem bezzałogowym.

- Ale powiedzieliście...

Jesienin uśmiechnął się chłodno.

- Niczego nie powiedziałem.

Znaczenie jego słów było jasne. Rykw zbyt cenił sobie swoją pozycję, by drążyć dalej ten temat. Ograniczył się do skinienia głową.

- Mam sporządzić raport z tego, co tu dziś wieczorem zaobserwowaliśmy? - spytał.

- Jutro o dziesiątej rano chcę go mieć na moim biurku, ale tylko w jednym egzemplarzu, żadnych kopii. I jeszcze jedno, Rykw, uważajcie to za tajemnicę państwową najwyższej wagi.

- Nikt poza panem się o tym nie dowie, generale.

- Grzeczny chłopczyk. Może dostanie pan za to odznaczenie partyjne.

Rykwow nie zamierzał czekać z zapartym tchem na ten dowód uznania, poczuł jednak niepohamowaną dumę z dobrze spełnionego obowiązku.

Jesienin, przyciągany widokiem intruzów na Księżycu, wrócił do stereoskopu.

- No i zaczynają się osławione gwiazdne wojny - mruknął do siebie. - A pierwszy cios wyprowadzili Amerykanie.

ROZDZIAŁ 13

Pitt odpędził od siebie wszelkie myśli o lunchu i zadowolili się jednym z kilku baloników, które trzymał w szufladzie biurka. Rozdzierając na ślepo opakowanie nad koszem do śmieci, by pozbyć się od razu ewentualnych okruchów, nie odrywał wzroku od wielkiej mapy morskiej rozpostartej na blacie. Jej tendencję do zwijania się poskramiał notatnik i dwie książki o historycznych wrakach otwarte na rozdziałach poświęconych *Cyklopom*. Mapa obejmowała wielki obszar Starego Kanału Bahamskiego zamykanego od południa Archipelagiem De Camaguey - grupą rozproszonych wysepek u wybrzeży Kuby - i płytkimi wodami Wielkiej Ławicy Bahamskiej od północy. W lewym górnym rogu mapy ciągnął się Cal Say Bank, którego południowoschodni cypel zachodził na Anguilla Cays.

Pitt wyprostował się w fotelu i odgryzł kęs batonu, po czym znowu pochylił się nad mapą, zaostrzył ołówek i wziął w rękę cyrkielprzenośnik. Przyłożywszy ostrza obu igieł przenośnika do podziałki wydrukowanej u dołu mapy, odmierzył dwadzieścia mil morskich i zaznaczył precyzyjnie tę odległość od cypla Anguilla Cays kropką naniesioną ołówkiem. Następnie wbił w kropkę igłę cyrkla i nakreślił krótki łuk pięćdziesiąt mil na południowy wschód od niej. U góry, przy kropce, napisał *Crogan Castle*, a u dołu, przy łuku, *Cyklop* ze znakiem zapytania.

Gdzieś powyżej tego łuku zatonął *Cyklop*, rozumował. Logiczne założenie, uwzględniając pozycje drewnowca podczas nadawania przezeń sygnału SOS i odległość dzielącą oba statki, podaną w odpowiedzi *Cyklopa*.

Jedynie element z Raymondem LeBaronem nie pasował do tej układanki.

Pitt wiedział, że LeBaron miał doświadczenie w poszukiwaniu wraków zatopionych statków. Musiał więc przeprowadzić te same pomiary ze sto razy, tylko prawdopodobnie dokładniej analizował prądy, warunki pogodowe w czasie katastrofy i przypuszczalną szybkość węglowca marynarki wojennej. Ale tak czy inaczej *Cyklop* powinien pójść na dno pośrodku kanału, gdzie głębokość wynosi 260 sążni, czyli ponad 1500 stóp. Na takiej głębokości tylko ryby mogły go dostrzec.

Pitt poprawił się w fotelu i popatrzył na znaki naniesione na mapę. Być może LeBaron dysponował jakimiś dodatkowymi informacjami. A jeśli nie, to czego szukał? Na pewno nie *Cyklopa* i na pewno nie ze sterowca. W tym wypadku praktyczniej byłoby prowadzić obserwacje z nawodnej jednostki pływającej albo z łodzi podwodnej przystosowanej do dużych zanurzeń.

Poza tym główny obszar poszukiwań leżał zaledwie dwadzieścia mil od wybrzeży Kuby. Trudno było go nazwać odpowiednim miejscem do swobodnego szybowania zeppelinem. Tak łatwy cel jak nic sprowokowałby kutry patrolowe Castra do otwarcia sezonu polowań.

Kiedy siedział tak, obracając w palcach nadgryziony baton i usiłując znaleźć w poczynaniach

LeBarona sens, który mu umykał, z zadumy wyrwał go nagle dźwięk brzęczyka biurkowego interkomu. Wcisnął klawisz odbioru.

- Tak?

- Tu Sandecker. Możesz wpaść do mojego gabinetu?

- Za pięć minut, admirale.

- Postaraj się za dwie.

Admirał James Sandecker piastował funkcję dyrektora Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Był niskim mężczyzną pod sześćdziesiątkę, o ciele chudym i żylastym, ale twardym niczym pancerna płyta. Miał płomiennorude, proste włosy i bródkę w stylu van Dycka. Będąc fanatykiem na punkcie sprawności fizycznej, narzucał sobie ścisły rygor ćwiczeń gimnastycznych. W marynarce wojennej dał się poznać raczej jako służbista niż zdolny taktyk. I chociaż nie cieszył się zbyt dużą popularnością w waszyngtońskich kręgach towarzyskich, politycy szanowali go za prawość i zdolności organizacyjne.

Admirał przywitał wchodzącego do gabinetu Pitta sztywnym skinieniem głowy i wskazał na kobietę siedzącą naprzeciw niego w skórzanym fotelu.

- Mniemam, że znasz już panią Jessie LeBaron, Dirk.

Kobieta podniosła wzrok i uśmiechnęła się przymilnie. Pitt skłonił się lekko i uściśnął jej rękę.

- Przykro mi - powiedział obojętnie - ale wolałbym zapomnieć, że znam panią LeBaron.

Sandecker ściągnął brwi.

- Czyżbym coś przeoczył?

- To moja wina - odezwała się Jessie patrząc Pittowi w oczy i dostrzegając tam tylko lodowatą zieleń. - Wczoraj wieczorem zachowałam się bardzo nieuprzejmie w stosunku do pana Pitta. Mam nadzieję, że przyjmie moje przeprosiny i wybaczy mi gafę.

- Nie musi być pani taka oficjalna, pani LeBaron. Ponieważ jesteśmy już starymi kumplami, nie wścieknę się, jeśli będzie się pani do mnie zwracać per Dirk. A co do wybaczenia, to ile ma mnie ono kosztować?

- Zamierzałam pana zatrudnić - odparła ignorując szyderstwo w jego tonie.

Pitt rzucił Sandeckerowi ogłupiałe spojrzenie.

- Dziwne, a mnie się wydawało, że pracuję już w NUMA.

- Admirał Sandecker zgodził się łaskawie zwolnić pana na kilka dni, ma się rozumieć pod

warunkiem, że i pan wyrazi zgodę - dorzuciła.

- A co mam robić?

- Odszukać mojego męża.

- Nie da rady.

- Mogę wiedzieć dlaczego?

- Mam inne plany.

- Nie chce pan dla mnie pracować, bo jestem kobietą. Czy tak?

- Płeć nie ma żadnego wpływu na moją decyzję. Powiem prosto z mostu: nie pracuję dla kogoś, kogo nie darzę szacunkiem.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Pitt spojrzał na admirała. Usta Sandeckera wygięły się surowo ku dołowi, ale jego oczy wręcz się śmiały. Tego starego sukinsyna to bawi, pomyślał.

- Źle mnie pan ocenił, Dirk. - Twarz Jessie spłonęła rumieńcem zmieszania, ale jej oczy pozostały twarde jak stal.

- Przestańcie, proszę. - Sandecker podniósł ręce. - Ogłośmy zawieszenie broni. Moglibyście umówić się na któryś wieczór i wybrać na kolację.

Pitt i Jessie mierzyli się przez dłuższą chwilę wzrokiem. Potem usta Pitta rozciągnęły się w szerokim, zaraźliwym uśmiechu.

- Zgoda, pod warunkiem, że ja stawiam.

Wbrew sobie samej Jessie nie wytrzymała i też się uśmiechnęła.

- Niech mnie pan nie pozbawia poczucia własnej godności. Zapłaćmy po połowie.

- Stoi.

- Teraz możemy przejść do sedna sprawy - powiedział Sandecker kategorycznym tonem. - Czekając na ciebie, Dirk, analizowaliśmy rozmaite hipotezy dotyczące zniknięcia pana LeBarona.

Pitt spojrzał na Jessie.

- Nie ma pani żadnych wątpliwości, że ciała ze sterowca nie były zwłokami pana LeBarona i jego załogi?

Jessie potrząsnęła przecząco głową.

- Żadnych.

- Widziałem je. Niewiele tam pozostało do identyfikacji.

- Trup leżący w kostnicy był bardziej muskularny od Raymonda - wyjaśniła Jessie. - Oprócz tego miał na rękę imitację zegarka marki Cartier. Jedną z tych tanich replik wytwarzanych masowo na Tajwanie. Na pierwszą rocznicę naszego ślubu podarowałam mężowi cenny oryginał.

- Ze swej strony przeprowadziłem kilka rozmów telefonicznych - dorzucił Sandecker. - Koroner z Miami poparł opinię Jessie. Cechy fizyczne ciała z kostnicy nie odpowiadają rysopisom trzech mężczyzn, którzy wystartowali *Prosperteerem*.

Pitt przeniósł wzrok z Sandeckera na Jessie LeBaron uświadamiając sobie, że zaczyna się angażować w coś, czego pragnął uniknąć: w emocjonalny związek komplikujący każde przedsięwzięcie, którego powodzenie zależy od solidnego przygotowania teoretycznego, zaplecza technicznego i perfekcyjnej organizacji.

- Podmienione ciała i ubrania - powiedział. - Osobista biżuteria zastąpiona falsyfikatami. Przychodzi pani do głowy jakiś motyw, pani LeBaron?

- Nie wiem, co o tym myśleć.

- Czy orientuje się pani, że w tak długim okresie, jaki upłynął od zniknięcia sterowca do chwili jego ponownego pojawienia się nad zatoką Biscayne, nie mogło się obejść bez uzupełnienia helem komór gazowych znajdujących się w kadłubie?

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej chusteczkę higieniczną i byle tylko zając czymś ręce, delikatnie przyłożyła ją sobie do nosa.

- Po wydaniu *Prosperteera* przez policję, szef obsługi naziemnej mojego męża dokładnie sprawdził statek cal po calu. Jeśli pan chce, mogę panu pokazać jego raport. Jest pan bardzo spostrzegawczy. Podczas tej kontroli rzeczywiście stwierdził, że ubytki gazu z komór gazowych były uzupełniane. Tylko że nie helem, lecz wodorem.

Pitt spojrzał na nią zaskoczony.

- Wodorem? Nie stosuje się go w sterowcach od czasu, kiedy spłonął *Hindenburg*.

- Nie ma obawy - wtrącił Sandecker. - Komory gazowe *Prosperteera* dopełniono helem.

- No to o co chodzi? - spytał ostrożnie Pitt.

Sandecker posłał mu twarde spojrzenie.

- Doszły mnie słuchy, że chcesz wszcząć poszukiwania *Cyklopa*.

- To żadna tajemnica.

- Będziesz je musiał prowadzić na własną rękę nie korzystając z ludzi ani sprzętu NUMA. Kongres

pożarłby mnie żywcem, gdyby się dowiedział, że wyraziłem zgodę na poszukiwanie skarbu za rządowe pieniądze.

- Wiem o tym.

- Wysłuchasz jeszcze jednej propozycji?

- Wysłucham.

- Nie muszę ci mówić, że wyświadczysz mi wielką przysługę zachowując naszą rozmowę dla siebie. Gdyby to się rozniosło, poszedłbym w odstawkę, ale to już mój problem. Zgadzasz się ze mną?

- Chyba wiesz, co mówisz.

- Zgodnie z harmonogramem, w przyszłym miesiącu masz kierować pomiarami dna morskiego na Morzu Beringa, w rejonie Aleutów. Ściągnę tam w zastępstwie Jacka Harrisa z projektu eksploatacji głębinowych złóż oceanicznych. Żeby stłumić w zarodku wszelkie pytania i zabezpieczyć się przed ewentualną kontrolą, przetniemy wszystkie twoje związki z NUMA. Od tej chwili aż do odnalezienia Raymonda LeBarona jesteś na urlopie.

- Odnaleźć Raymonda LeBarona - powtórzył sarkastycznie Pitt. - Niezły pasztet. Trop stygnie od dwóch tygodni i z każdą godziną staje się zimniejszy. Żadnego motywu, żadnego punktu zaczepienia i żadnych sugestii, dlaczego zniknął, kto za tym stoi i jak to się odbyło. Niemożliwe to mało powiedziane.

- Może przynajmniej spróbujesz? - spytał Sandecker.

Pitt patrzył na parkiet z drewna lękowego pokrywający podłogę gabinetu admirała, a oczyma wyobraźni widział tam odległe o dwa tysiące mil tropikalne morze. Nie lubił brać się do rozwikływania zagadki, nie będąc w stanie przewidzieć choćby tylko prawdopodobnego rozwiązania. Zdawał sobie sprawę, iż Sandecker wie, że podejmie wyzwanie. Pitt nigdy nie potrafił się oprzeć pokusie pogoni za nieznanym.

- Jeśli miałbym się tego podjąć, to potrzebowałbym najlepszego zespołu naukowego, jakim dysponuje NUMA, do obsadzenia najnowocześniejszego statku badawczego. Poza tym funduszy i poparcia politycznego. W razie potrzeby również wsparcia wojskowego.

- Dirk, ja mam związane ręce. Nie mogę ci nic zaoferować.

- Co takiego?

- Słyszałeś. Sytuacja wymaga prowadzenia poszukiwań z zachowaniem jak najdalej posuniętej dyskrecji. Będziesz sobie musiał radzić sam, bez jakiegokolwiek pomocy ze strony NUMA.

- Czy ty masz wszystkich w domu? - wybuchnął Pitt tracąc panowanie nad sobą. - Oczekujesz ode mnie, żebym sam jeden, bez niczyjej pomocy, dokonał tego, z czym nie dały sobie rady marynarka wojenna, lotnictwo wojskowe i straż przybrzeżna razem wzięte? Dlaczego, do wszystkich diabłów,

nie potrafili odnaleźć stu pięćdziesięciostopowego sterowca, dopóki sam się nie objawił? Z czego niby mam korzystać, z usług różdżkarza i z kajaka?

- Jest propozycja - odparł spokojnie Sandecker - żebyś poleciał na *Prosperteerze* ostatnim znanym kursem LeBarona.

Pitt osunął się powoli na stojącą w gabinecie sofę.

- To najidiotyczniejszy plan, jaki w życiu słyszałem - wykrztusił z niedowierzaniem. Spojrzał na Jessie. - Pani to popiera?

- Zrobię wszystko, by odnaleźć męża - odpowiedziała bez zajknięcia.

- Jasny gwint - mruknął ponuro Pitt. Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju składając i rozkładając ręce. - Po co ta tajność? Pani mąż był ważną figurą, osobistością, powiernikiem sławnych i bogatych, finansowym guru dla prezesów największych korporacji. Miał powiązania z wysoko postawionymi urzędnikami państwowymi. Dlaczego, na miłość boską, jestem jedynym człowiekiem w kraju, który może go szukać?

- Dirk - powiedział cicho Sandecker. - Z imperium finansowym Raymonda LeBarona związane są losy setek tysięcy ludzi. W tej chwili jest ono zawieszona w próżni, bo LeBarona nadal uważa się za zaginionego. Nie da się kategorycznie stwierdzić, czy on żyje, czy nie. Rząd odwołał dalsze poszukiwania prowadzone przez wojsko i ekipy ratunkowe, bo pochłonęły już pięć milionów dolarów i nie przyniosły żadnego rezultatu, nie dały nawet przybliżonej odpowiedzi na pytanie, gdzie mógł zniknąć. Jeśli z państwowej kasy wyda się pieniądze na kolejną bezowocną akcję, odpowiedzialni za budżet kongresmani zaczną żądać skalpów.

- A sektor prywatny i wspólnicy samego LeBarona?

- Wielu czołowych biznesmenów poważy LeBarona, ale większość z nich została przy różnych okazjach obsmarowana przezeń w jego czasopiśmie. Nie wydadzą na jego poszukiwania złamanego centa i nie kiwną w tej sprawie palcem. Co do ludzi z jego najbliższego otoczenia, to więcej zyskują na jego śmierci.

- Jak na przykład obecna tu Jessie - zauważył Pitt obrzucając panią LeBaron znaczącym spojrzeniem.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Nie mogę temu zaprzeczyć. Z tym że testament przeznacza większość majątku mego męża na cele charytatywne i do podziału między innych członków rodziny. Otrzymam jednak pokaźny spadek.

- Z pewnością ma pani jacht, pani LeBaron. Dlaczego więc nie zwerbujecie pani na własną rękę ekspedycji ratunkowej i sama nie poszuka męża?

- Istnieją pewne przyczyny, dla których pragnę uniknąć rozgłosu. Nie mogę więc prowadzić przedsięwzięcia na wielką skalę. Nie musi pan znać moich motywów. Jesteśmy z admirałem zdania, że istnieje szansa, bardzo nikła szansa, by troje ludzi, nie wzbudzając sensacji, zdołało przelecieć

szlakiem *Prosperiteera* w tych samych co wtedy warunkach i ustalić, co się stało z Raymondem.

- I po co? - zapytał Pitt. - Podczas pierwszej akcji przeszukano wszystkie wyspy i rafy znajdujące się w zasięgu sterowca. Wydeptywałbym tylko przetarty już szlak.

- Mogli coś przeoczyć.

- Dajmy na to Kubę?

Sandecker potrząsnął głową.

- Castro podniósłby krzyk, że LeBaron naruszył przestrzeń powietrzną Kuby na polecenie CIA. Roztrąbiłby fakt przechwycenia sterowca na cały świat. Nie, musi istnieć inna odpowiedź.

Pitt podszedł do narożnikowych okien i zapatrzył się tęsknie na flotę małych żaglówek odbywających w dole regaty na rzece Anacostia. Na tle ciemnozielonej wody połyskiwały białe żagle łodzi mknących ku bojom pozycyjnym.

- Skąd mamy wiedzieć, na czym się koncentrować? - spytał nie odwracając głowy. - Mamy przecież do przeszukania tysiąc mil kwadratowych. Dokładne przeczesanie takiego obszaru zajęłoby kilka tygodni.

- Mam wszystkie notatki i mapy męża - powiedziała Jessie.

- Nie zabrał ich ze sobą?

- Nie, znaleziono je w sterowcu.

Pitt, skrzyżowawszy na piersi ramiona, obserwował w milczeniu żaglówki. Próbował wydedukować motywy, przejrzeć intrygę, przewidzieć niezbędne środki ostrożności. Próbował to wszystko poszufladkować.

- Kiedy zaczynamy? - spytał w końcu.

- Jutro o wschodzie słońca - odparł Sandecker.

- Nadal oboje nalegacie, żebym to ja stanął na czele ekspedycji?

- Tak - powiedziała stanowczo Jessie.

- Chcę zwerbować do załogi dwóch starych wyjadaczy. Figurują na liście płac NUMA. Albo ich dostanę, albo odpadam.

Twarz Sandeckera spochmurniała.

- Tłumaczyłem już...

- Wóz albo przewóz, admirale. Wystarczająco długo jesteśmy przyjaciółmi, żeby pan wiedział, że nigdy nie działałam na wariata. Niech pan tę dwójkę, o której mówię, też urlopuje. Nie obchodzi mnie, jak pan to załatwi.

Sandecker nie był zły, nie był nawet zirytowany. Jeśli istniał w tym kraju ktoś, kto potrafiłby dokonać rzeczy niemożliwej, to tym kimś był Pitt. Admirał nie miał więcej asów w rękawie, ustąpił więc.

- W porządku - powiedział cicho. - Masz ich.

- Jest jeszcze jeden mały problem.

- Mianowicie? - zapytał Sandecker.

Pitt odwrócił się z bladym uśmiechem na ustach. Przesunął wzrok z Jessie na admirała. Potem wzruszył ramionami i powiedział:

- Nigdy nie leciałem sterowcem.

ROZDZIAŁ 14

- Odnoszę wrażenie, że kombinujesz coś za moimi plecami - powiedział Sam Emmett, szef Federalnego Biura Śledczego, człowiek, który miał zwyczaj rąbać prawdę w oczy.

Prezydent spojrział nań zza swojego biurka w Gabinetcie Ovalnym i uśmiechnął się łagodnie.

- Masz absolutną rację, Sam. Dokładnie tak się sprawy mają.

- Doceniam twoją szczerłość.

- Nie denerwuj się, Sam. To wcale nie oznacza, że jestem niezadowolony z ciebie czy z FBI.

- To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - spytał Emmett tłumiąc oburzenie.

- Po pierwsze, jest to przede wszystkim sprawa o zasięgu międzynarodowym.

- Czy konsultowano się z Martinem Broganem z CIA?

- Martin nie został w to wprowadzony. Masz na to moje słowo.

- No, a po drugie?

Prezydent nie życzył sobie, by go naciskano.

- Po drugie, to mój interes.

Emmett zeszywniał.

- Jeśli prezydent życzy sobie mojej rezygnacji...

- Niczego takiego sobie nie życzę - przerwał mu prezydent. - Jesteś najodpowiedniejszą osobą i masz najlepsze kwalifikacje do kierowania biurem. Wspaniale dajesz sobie radę i zawsze byłem jednym z twoich najgorętszych zwolenników. Jeśli jednak chcesz pozbierać zabawki i iść sobie do domu, bo uważasz, że urażona została twoja duma, to cię nie zatrzymuję. Będzie to znaczyło, że się co do ciebie myliłem.

- Ale jeśli nie masz zaufania...

- Cholera, Sam, zamilcz chociaż na minutę. Nie mówmy czegoś, czego będziemy jutro żałowali. Nie kwestionuję ani twojej lojalności, ani uczciwości. Nikt nie knuje za twoimi plecami. Nie

rozmawiamy o przestępczości ani o szpiegostwie. Ta sprawa nie dotyczy bezpośrednio FBI ani żadnych innych agencji wywiadowczych. Na początek to ty musisz zaufać mnie, przynajmniej do końca przyszłego tygodnia. Zrobisz to?

Emmett został chwilowo ugłaskany. Wzruszył ramionami i zmiękł.

- Wygrał pan, panie prezydencie, status quo. Jestem na pańskie rozkazy.

Prezydent westchnął ciężko.

- Obiecuję, że cię nie zawiodę, Sam.

- Doceniam to.

- Dobrze. Zaczniemy teraz od początku. Co ustaliłeś w związku ze zwłokami z Florydy?

Z twarzy Emmetta zniknął pełen napięcia niepokój i szef FBI wyraźnie się rozluźnił. Otworzył neseser i wręczył prezydentowi oprawny w skórę skoroszyt.

- Tu jest szczegółowy raport z laboratorium patologii kliniki

Waltera Reeda. Wyniki ich badań bardzo nam pomogły w ustaleniu tożsamości denatów.

Prezydent spojrzał na niego zaskoczony.

- Zidentyfikowaliście ich?

- Przełomowa okazała się analiza pasty barszczowej.

- Barszczowego czego?

- Przypominasz sobie, że koroner okręgu Dade stwierdził, iż przyczyną śmierci była hipotermia, czyli zamarznięcie?

- Tak.

- No więc pasta barszczowa to obrzydliwe uzupełnienie jadłospisu rosyjskich kosmonautów. Żołądki tych trzech trupów były pełne tego obrzydlistwa.

- Chcesz mi powiedzieć, że w miejsce Raymonda LeBarona i członków jego załogi podstawiono trzech martwych rosyjskich kosmonautów?

Emmett skinął głową.

- Dzięki naszemu informatorowi jesteśmy nawet w stanie ustalić ich nazwiska. Był chirurgiem medycyny lotniczej i pracował przy rosyjskim programie kosmicznym. Badał kilkakrotnie każdego z nich.

- Kiedy nawiązał z nami kontakt?

- Przeszedł na naszą stronę w sierpniu osiemdziesiątego siódmego.

- Nieco ponad dwa lata temu.

- Zgadza się - przytaknął Emmett. - Nazwiska kosmonautów znalezionych w sterowcu LeBarona brzmią: Siergiej Zoszczenko, Aleksander Judenicz i Iwan Roński. Judenicz był nowicjuszem, ale Zoszczenko i Roński to weterani. Mieli na koncie po dwa loty kosmiczne.

- Oddałbym wszystkie pieniądze, byle się dowiedzieć, skąd się wzięli w tym cholernym sterowcu.

- Niestety, od tej strony nie udało nam się niczego ustalić. W tej chwili jedynymi Rosjanami krążącymi wokół Ziemi są czterej kosmonauci w stacji kosmicznej *Salut 9*. Ale ludzie z NASA, którzy śledzą ten lot, mówią, że wszyscy cieszą się dobrym zdrowiem.

Prezydent pokiwał głową.

- A więc odpadają wszyscy sowieccy kosmonauci przebywający aktualnie w przestrzeni kosmicznej, a pozostają tylko ci, którzy znajdują się na Ziemi.

- I to właśnie jest dziwne - ciągnął Emmett. - Ludzie z patologii sądowej kliniki Waltera Reeda są zdania, że trzech mężczyzn, których badali, prawdopodobnie zamazali na śmierć w kosmosie.

Brwi prezydenta powędrowały w górę.

- Potrafią to udowodnić?

- Nie, ale wymieniają kilka czynników potwierdzających tę hipotezę; do pasty barszczowej można dodać wyniki analizy innych skondensowanych produktów żywnościowych. Wiadomo nam, że takie właśnie produkty są spożywane przez Sowietów podczas lotów kosmicznych. Ponadto pewne objawy fizjologiczne ewidentnie świadczyły o tym, że mężczyźni ci oddychali powietrzem o dużej zawartości tlenu i pozostawali dłuższy czas w stanie nieważkości.

- Nie byłby to pierwszy przypadek. Zdarzało się już, że Sowieci wysyłali ludzi w kosmos, a nie byli w stanie pomyślnie sprowadzić ich z powrotem na Ziemię. Mogli tam krążyć ze trzy lata i spaść przed kilkoma tygodniami na skutek zejścia z wyznaczonej orbity.

- Ja wiem tylko o dwóch sowieckich wypadkach z ofiarami w ludziach - mruknął Emmett. - O tym kosmonaucie, którego statek przy wchodzeniu w atmosferę zaplątał się w linki spadochronu hamującego i wyrznął w ziemię z prędkością pięciuset mil na godzinę gdzieś na terytorium Syberii, i o trzech członkach załogi *Sojuza*, którzy udusili się na skutek wycieku tlenu przez nieszczelną pokrywę włazu.

- Tych katastrof nie byli w stanie ukryć - powiedział prezydent. - Od początku ich misji kosmicznych CIA odnotowała co najmniej trzydzieści ofiar śmiertelnych wśród kosmonautów. Z tego dziewięciu wciąż jeszcze dryfuje w kosmosie wokół Ziemi. My ze swej strony nie możemy nadać sprawie

rozgłosu, bo w ten sposób narażalibyśmy informatorów współpracujących z naszym wywiadem.

- Czyli sprawa z rodzaju my-wiemy-ale-oni-nie-wiedzą-że-my-wiemy.

- W samej rzeczy.

- I w ten sposób wracamy do trzech kosmonautów, których mamy tutaj, w Waszyngtonie - zauważył Emmett zaciskając dłonie na trzymanym na kolanach neserze.

- I do setki pytań, poczynając od tego, skąd się wzięli.

- Powęszyłem trochę w Centrum Dowodzenia Obrony Powietrznej. Ich technicy twierdzą, że nie licząc promów zaopatrujących sowiecką stację orbitalną jedynymi statkami kosmicznymi Rosjan, które ze względu na rozmiary nadawałyby się do obsadzenia załogą, były sondy księżycowe *Selenos*.

Na dźwięk słowa "księżycowe" prezydentowi zaświtało coś w głowie.

- Co z tymi sondami *Selenos*?

- Wysłali trzy i żadna nie powróciła. Chłopcy z Dowództwa Obrony uważają, że to bardzo podejrzane. Sowietom na ogół się nie zdarza trzy razy pod rząd sfuszerować prostych lotów wokół orbity Księżyca.

- Sądziś, że były to statki załogowe?

- Tak właśnie sędzę - przyznał Emmett. - Sowietci tkwią po uszy w kłamstwie. Jak sam zasugerowałeś, prawie nigdy nie przyznali się do porażki w kosmosie. A utrzymywanie w ścisłej tajemnicy przygotowań do bliskiego lądowania na Księżycu było rzeczą całkowicie normalną.

- No dobrze, jeśli nawet przyjmiemy hipotezę, że te trzy trupy pochodzą z jednego ze statków kosmicznych *Selenos*, to gdzie on wylądował? Na pewno nie korzystał z ich normalnego korytarza wtargnięcia w atmosferę przebiegającego nad stepami Kazachstanu.

- Osobiście przypuszczam, że lądowanie nastąpiło gdzieś na terytorium Kuby lub w jej sąsiedztwie.

- Kuba. - Prezydent przesylabizował to słowo, po czym pokręcił głową. - Rosjanie nigdy by nie dopuścili do posłużenia się ich bohaterami narodowymi - czy to żywymi, czy martwymi - w jakiejś pokrętej intrydze szpiegowskiej.

- Może o niczym nie wiedzą.

Prezydent spojrzał na Emmetta.

- Nie wiedzą?

- Załóżmy, że ich statek kosmiczny miał awarię i wszedłszy w atmosferę ziemską spadł na Kubę albo w jej okolicy. Mniej więcej w tym samym czasie pojawia się tam na swoim sterowcu Raymond

LeBaron poszukujący wraku ze skarbem. Zostaje ujęty. Potem, z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu, Kubańczycy umieszczają w sterowcu trzy trupy w miejsce LeBarona i jego załogi i wypuszczają statek z powrotem w kierunku Florydy.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi?

Emmett roześmiał się.

- Naturalnie, ale kiedy kojarzę fakty, tylko to przychodzi mi do głowy.

Prezydent odchylił się na oparcie fotela i zapatrzył w ozdobny sufit.

- Wiesz, może i masz rację.

Przez twarz Emmetta przemknął cień zakłopotania.

- Jak to?

- Spróbuj się zastanowić nad następującą hipotezą. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że Fidel Castro usiłuje nam w ten sposób coś przekazać.

- Obrął sobie dziwną metodę dania nam tego do zrozumienia.

Prezydent wziął do ręki pióro i zaczął nim machinalnie bazgrać po kartce papieru.

- Fidel nigdy nie przywiązywał wagi do dyplomatycznych podchodów.

- Mam kontynuować dochodzenie? - spytał Emmett.

- Nie - odparł krótko prezydent.

- Nadal obstaje pan przy utrzymywaniu biura w błogiej nieświadomości?

- To nie jest sprawa wewnętrzna i w związku z tym nie leży w kompetencjach departamentu sprawiedliwości, Sam. Jestem ci wdzięczny za pomoc, ale nie możesz iść dalej w tym kierunku.

Emmett zatrzasnął neseser i wstał.

- Mogę panu zadać drażliwe pytanie?

- Wal, nie krępuj się.

- Dlaczego teraz, kiedy ustaliliśmy wreszcie jakiś motyw, nieważne, że mało przekonujący, przypuszczalnego uprowadzenia Raymonda LeBarona przez Kubańczyków, dlaczego właśnie teraz prezydent Stanów Zjednoczonych nabiera wody w usta i zakazuje swoim agencjom wywiadowczym pójścia tym tropem?

- Trafne pytanie, Sam. Być może za kilka dni obaj poznamy odpowiedź.

W kilka chwil po opuszczeniu przez Emmetta Gabinetu Ovalnego, prezydent okręcił się w swym fotelu obrotowym i zapatrzył w okno. Zaszło mu w ustach i spocił się pod pachami. Prześladowało go przeczucie, że istnieje jakiś związek pomiędzy Kolonią Jersey a katastrofami sowieckich sond księżycowych.

ROZDZIAŁ 15

Ira Hagen zatrzymał wynajęty wóz przed strzeżoną bramą i okazał rządową przepustkę. Strażnik połączył się telefonicznie z recepcją Narodowego Laboratorium Fizycznego Harveya Pattendena, po czym gestem pokazał, że droga jest wolna.

Ira dojechał do końca wewnętrznej alejki i znalazł wolne miejsce na rozległym parkingu zalanym przez morze różnokolorowych samochodów. Terenom otaczającym laboratorium malowniczości dodawały kępy sosen i omszałe głązy pośród obłych trawiastych pagórków. Budynek był typowy. W podobnych obiektach mieściły się rozsiane po całym kraju placówki naukowo-badawcze. Nowoczesna architektura, dużo brązowego szkła i zaokrąglone narożniki ceglanych ścian.

Kiedy wkraczał do holu, atrakcyjna recepcjonistka siedząca za biurkiem w kształcie końskiej podkowy z uśmiechem podniosła na niego wzrok.

- Czym mogę służyć?

- Thomas Judge do doktora Mooneya.

Dziewczyna odbyła rutynową rozmowę przez telefon i skinęła głową.

- Tak, panie Judge. Proszę udać się do wartowni. Wejście jest za mną. Tam wskażą panu drogę.

- Czy zanim tam wejdę, mogę skorzystać z toalety?

- Naturalnie - odparła wskazując mu kierunek. - Drzwi po prawej, pod freskiem.

Hagen podziękował i przemaszerował pod monumentalnym futurystycznym malowidłem wyobrażającym kosmolot przemykający pomiędzy dwoma upiornymi, błękitnozielonymi planetami. Wszedł do kabiny, zamknął za sobą drzwi i usiadł na sedesie. Otworzywszy neseser wyjął żółty notatnik i otworzył go pośrodku. Następnie, zaczynając od góry lewej stronicy, poczynił maczkiem szereg zaszyfrowanych, ilustrowanych szkicami notatek na temat systemów alarmowych, jakie zaobserwował wchodząc do budynku. Dobry tajny agent nigdy niczego nie przelewa na papier, ale Hagen mógł sobie pozwolić na taki luksus, wiedząc, że w razie wpadki poręczy za niego sam prezydent.

Po kilku minutach wyszedł jak gdyby nigdy nic z toalety i wkroczył do oszklonego pomieszczenia, gdzie czterej umundurowani strażnicy wpatrywali się w baterię dwudziestu telewizyjnych monitorów zajmujących całą ścianę naprzeciw wejścia. Jeden ze strażników wstał od konsoli i podszedł do kontuaru.

- Słucham pana?

- Jestem umówiony z doktorem Mooneyem.

Strażnik przesunął wzrokiem po liście gości.

- Zgadza się, sir. Pan Thomas Judge, o ile się nie mylę. Czy mogę prosić o jakiś dowód tożsamości?

Hagen pokazał mu swoje prawo jazdy i przepustkę rządową. Potem poproszono go grzecznie o otwarcie neseseru. Dokonawszy pobieżnych oględzin zawartości, strażnik bez słowa dał Hagenowi znak, że może zamknąć neseser, podsunął mu do podpisania przepustkę wewnętrzną z godziną wejścia i wyjścia i wydał plastikową plakietkę, którą należało przypiąć do kieszonki na piersi.

- Gabinet doktora Mooneya znajduje się za podwójnymi drzwiami w samym końcu korytarza.

Znalazłszy się w korytarzu, Hagen przystanął, założył na nos okulary do czytania i zerknął na dwie mosiężne tabliczki wiszące na ścianie. Na obu widniał profil mężczyzny. Pierwsza dedykowana była doktorowi Harveyowi Pattendenowi, założycielowi laboratorium, i zawierała zwięzły opis jego dokonań na polu fizyki. Ale Hagen zaintrygowała ta druga. Głosiła ona:

Pamięci

Dr. Leonarda Hudsona

1926 – 1965

którego twórczy geniusz jest

inspiracją dla wszystkich

idących jego śladem.

Niezbyt oryginalne, pomyślał Hagen. Musiał jednak przyznać, że Hudson dopracował swoje rzekome odejście w zaświaty w najdrobniejszych szczegółach.

Wszedł do poczekalni i uśmiechnął się ciepło do sekretarki - sztywnej, starszej kobiety w granatowym kostiumie przypominającym męski garnitur.

- Proszę od razu wejść, panie Judge - powiedziała. - Doktor Mooney oczekuje pana.

- Dziękuję.

Earl J. Mooney miał trzydzieści sześć lat i wyglądał młodziej, niż spodziewał się tego Hagen

studiując akta personalne doktora. Jego biografia zadziwiająco przypominała karierę Hudsona: ten sam błyskotliwy umysł, te same wybitne wyniki w nauce, nawet ten sam uniwersytet. Grubas, który schudł i został dyrektorem laboratorium Pattendena. Patrzył na Hagenę szarozielonymi oczyma spod krzaczastych brwi, a znad wąsa a la Pancho Villa. Ubrany w zwykły biały sweter i niebieskie dżinsy, zdawał się być daleki od intelektualnego rygoryzmu.

Wyszedł zza biurka zawalonego papierami, notatnikami i pustymi butelkami po pepsi i potrząsnął ręką Hagenę.

- Niech pan siada, panie Judge, i powie, czym mogę służyć.

Hagen opuszczył masę swego cielska na krzesło z prostym oparciem i oznajmił:

- Jak już wspominałem przez telefon, pracuję w Głównym Urzędzie Finansowym. Otrzymaliśmy odgórne polecenie przejrzania waszych ksiąg rachunkowych oraz sprawdzenia wydatków z funduszu na badania naukowe.

- Kto wydał takie polecenie?

- Senator Henry Kaltenbach.

- Mam nadzieję, że nie podejrzewa laboratorium Pattendena o defraudację - powiedział ostrożnie Mooney.

- Ależ skąd. Zapewne orientuje się pan, że senator słynie z tropienia przypadków niezgodnego z przeznaczeniem wykorzystywania rządowych funduszy. Te polowania na czarownice przynoszą reklamę jego kampanii wyborczej. Tak między nami, w GUF-ie wielu jest takich, którzy życzą mu, żeby poszedł do diabła i przestał wreszcie szukać dziury w całym. Nie da się jednak ukryć, i tu muszę oddać senatorowi sprawiedliwość, że w innych przybytkach wiedzy stwierdziliśmy pewne niedociągnięcia.

Mooney pospieszył natychmiast ze sprostowaniem.

- Wolimy się uważać za placówkę naukowo-badawczą.

- Oczywiście. Tak czy inaczej, przeprowadzamy wyrywkowe kontrole.

- Musi się pan orientować, że prace, które tutaj prowadzimy, są ściśle tajne.

- Projektowanie rakiet z głowicami nuklearnymi i broni nuklearnej trzeciej generacji o sile rażenia skupionej w cienką wiązkę promieniowania, która mknie z szybkością światła i może niszczyć cele zlokalizowane w przestrzeni kosmicznej.

Mooney spojrzał pytająco na Hagenę.

- Jest pan bardzo dobrze poinformowany.

Hagen skwitował to wzruszeniem ramion.

- To tylko bardzo ogólne dane, których dostarczył mi mój zwierzchnik. Jestem księgowym, doktorze, nie fizykiem. Mój umysł nie potrafi się poruszać w sferze abstrakcji. Rachunek różniczkowy i całkowy w szkole średniej był dla mnie czarną magią. Pańskie tajemnice są bezpieczne. Moim zadaniem jest sprawdzenie, co dzieje się z pieniędzmi podatnika wydatkowanymi na finansowane przez rząd programy.

- Jak mogę panu pomóc?

- Chciałbym porozmawiać z głównym księgowym i dyrektorem administracyjnym. Ponadto z personelem prowadzącym księgi rachunkowe. Mój zespół rewizyjny przybędzie z Waszyngtonu za dwa tygodnie. Gdyby się dało zainstalować nas gdzieś na uboczu, najlepiej w pobliżu miejsca, gdzie trzymane są księgi, byłbym zobowiązany.

- Może pan liczyć na naszą pełną współpracę. Naturalnie, muszę wydać panu i członkom pańskiego zespołu przepustki.

- Naturalnie.

- Oprowadzę pana osobiście i przedstawię w dziale księgowości i administracyjnym.

- I jeszcze jedna sprawa - powiedział Hagen. - Czy zezwala pan na pracę po godzinach?

Mooney uśmiechnął się.

- W odróżnieniu od urzędników pracujących od dziewiątej do siedemnastej, fizycy i inżynierowie nie mają sztywno ustalonych godzin pracy. Wielu z nas siedzi tu po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ja sam często haruję przez trzydzieści godzin bez przerwy. Sprzyja to bardziej efektywnemu wykorzystywaniu naszych komputerów.

- Czy istniałaby możliwość niezwłocznego przystąpienia do pewnych wstępnych czynności kontrolnych? Potrwałoby to gdzieś do, powiedzmy, dziesiątej wieczorem.

- Nie widzę przeszkód - zapewnił go Mooney. - Gdyby chciał pan coś przegryźć, mamy tu na parterze całonocną kafenię. A gdzieś w pobliżu zawsze kręci się strażnik, który wskaże panu drogę.

- I nie wpuści tam, gdzie nie upoważnionym wstęp jest wzbroniony - roześmiał się Hagen.

- Jestem pewien, że zna się pan na ochronie obiektów.

- To prawda - przyznał Hagen. - Byłbym bogatym człowiekiem, gdybym dostawał dziesięć centów za każdą godzinę, jaką spędziłem na kontrolach rozmaitych wydziałów Pentagonu.

- Proszę za mną - powiedział Mooney kierując się do drzwi.

- A tak dla ciekawości - rzucił za nim Hagen nie wstając z krzesła. - O Harveyu Pattendenie

słyszałem. Wydaje mi się, że pracował z Robertem Goddardem.

- Tak, doktor Pattenden był wynalazcą kilku naszych wczesnych silników raketowych.

- Ale nazwisko Leonarda Hudsona nic mi nie mówi.

- O, to był genialny facet - oświecił go Mooney. - Przetarł drogę projektując i opracowując od strony konstrukcyjnej większość naszych statków kosmicznych na wiele lat przed ich zbudowaniem i wysłaniem w kosmos. Trudno przewidzieć, czego jeszcze mógłby dokonać, gdyby nie odszedł w kwiecie wieku.

- Jak umarł?

- Zginął w katastrofie małego samolotu. Leciał z doktorem Gunnarem Eriksenem na seminarium do Seattle. Maszyna eksplodowała w powietrzu, a jej szczątki spadły do rzeki Columbia.

- A kim był ten Eriksen?

- Tęga głowa. Chyba najwybitniejszy astrofizyk, jakiego kiedykolwiek wydał ten kraj.

W głowie Hageny odezwał się cichutki sygnał alarmowy.

- Czy zajmował się czymś szczególnym?

- Tak, geolunarną morfologią synoptyczną dla potrzeb uprzemysłowionego osadnictwa.

- Może pan to przetłumaczyć?

- Proszę bardzo - zaśmiał się Mooney. - Eriksen miał obsesję na punkcie idei założenia kolonii na Księżycu.

ROZDZIAŁ 16

Z dziesięciogodzinnym wyprzedzeniem, czyli o drugiej nad ranem czasu moskiewskiego, wokół kominka ogrzewającego mały salonik na Kremlu siedziało czterech mężczyzn. Pomieszczenie było duszne i słabo oświetlone. Dym papierosowy mieszał się z dymem jedyne go cygara.

Prezydent Związku Radzieckiego, Grigorij Antonow, patrzył w zadumie na tańczące płomienie. Po lekkiej kolacji zdjął marynarkę i zastąpił ją starym rybackim swetrem. Zsuł buty i siedział rozluźniony, opierając stopy w samych skarpetkach o haftowaną otomanę.

Władimir Polewoj, szef Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, i Siergiej Korniłow, kierujący sowieckim programem kosmicznym, nosili ciemne wełniane garnitury szyte na miarę w Londynie, natomiast generał Jesienin miał na sobie mundur z pełną gamą orderów.

Polewoj, rzuciwszy raport i fotografie na niski stolik, potrząsnął ze zdumieniem głową.

- Nie mogę zrozumieć, jak udało im się tego dokonać w całkowitej tajemnicy.

- Taki nadzwyczajny postęp wydaje się niepojęty - zgodził się z nim Korniłow. - Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę więcej dowodów.

- Ewidentny dowód znajduje się na tych fotografiach - powiedział Jesienin. - Raport Rykowa nie pozostawia cienia wątpliwości. Przyjrzyjcie się dokładnie temu powiększeniu. Te dwie postaci stojące na Księżycu są prawdziwe. To nie żadna iluzja powstała na skutek specyficznego układu cieni czy wywołana uszkodzeniem systemu skanującego. Ci ludzie naprawdę istnieją.

- Amerykańscy astronauta nie używają takich skafandrów kosmicznych - zripostował Korniłow. - Hełmy też mają inną konstrukcję.

- Nie będę się spierał o błahostki - odparował Jesienin. - Ale przynajmniej jeśli chodzi o broń, którą trzymają w rękach, nie ma mowy o żadnej pomyłce. Jestem pewien, że rozpoznaję wyrzutnię pocisków raketowych ziemia-powietrze produkcji amerykańskiej.

- No to gdzie ich statek kosmiczny? - nie ustępował Korniłow. - Gdzie ich pojazd księżycowy? Nie mogli się tam zmaterializować znikąd.

- Podzielani wasze wątpliwości - odezwał się Polewoj. - Jest rzeczą absolutnie niemożliwą, żeby Amerykanie zdołali przetransportować na Księżyc ludzi i sprzęt ukrywając tę operację przed naszą siatką wywiadowczą. Nasze stacje kontrolne wykryłyby każdy nie zidentyfikowany obiekt wzlatający w kosmos bądź powracający z niego i wchodzący w atmosferę.

- A jeszcze dziwniejsze jest to - wtrącił Antonow - że Amerykanie nie ogłosili tak doniosłego osiągnięcia. Co zyskują utrzymując go w tajemnicy?

Korniłow skinął lekko głową.

- Jeszcze jeden powód, by zakwestionować raport Rykowa.

- Zapominacie wszyscy o jednym ważnym fakcie - powiedział spokojnie Jesienin. - *Selenos 4* umilkła zaraz po tym, jak jej skanery zarejestrowały te postaci z fotografii. Moim zdaniem nasza sonda kosmiczna została uszkodzona przez rakietę, która przebiła kadłub, rozhermetyzowała kapsułę i uśmierciła naszych kosmonautów.

Polewoj zwrócił na niego pełen zdumienia wzrok.

- Jakich kosmonautów?

Jesienin i Korniłow wymienili zakłopotane spojrzenia.

- Są na świecie sprawy, o których nawet KGB się nie śniło - mruknął generał.

Polewoj popatrzył Korniłowowi prosto w oczy.

- *Selenos 4* była sondą załogową?

- *Selenos 5* i *6* również. Na pokładzie każdego statku znajdowało się trzech ludzi.

Polewoj zwrócił się teraz do Antonowa, który wypuszczał spokojnie kłęby dymu z hawańskiego cygara.

- Wiedzieliście o tym?

Antonow skinął głową.

- Tak, zreferowano mi sprawę. Musisz jednak pamiętać, Władimirze, że nie wszystko, co dotyczy kosmosu, wiąże się z bezpieczeństwem państwa.

- Ale wszyscy przybiegliście do mnie w te pędy, kiedy wasza drogocenna sonda księżycowa spadła w Indiach Zachodnich i zaginęła - warknął gniewnie Polewoj.

- To był nieprzewidziany wypadek - wyjaśnił cierpliwie Jesienin. - Po powrocie *Selenos 4* Księżycy kontrola naziemna nie zdołała nawiązać z nią kontaktu i sprowadzić jej bezpiecznie na Ziemię. Inżynierowie z naszego dowództwa kosmicznego spisali ją na straty jako uszkodzoną sondę księżycową. Krążyła po orbicie blisko półtora roku, zanim podjęto kolejną próbę przejęcia nad nią kontroli. Tym razem systemy sterowania zareagowały, ale manewr wejścia w atmosferę powiódł się tylko częściowo. *Selenos 4* spadła dziesięć tysięcy mil przed wyznaczonym rejonem lądowania. Sprawą najwyższej wagi było utrzymanie w tajemnicy śmierci naszych bohaterskich kosmonautów. Naturalnie nie mogło się obejść bez pomocy KGB.

- Ilu w sumie kosmonautów zginęło? - spytał Polewoj.
- Wypełnianie radzieckiego posłannictwa wymaga ofiar - mruknął filozoficznie Antonow.
- I tuszowania potknięć w realizacji naszego programu kosmicznego - zauważył zgryźliwie Polewoj.
- Nie kłóćmy się, towarzysze - ostrzegł Antonow. - *Selenos 4*, zanim runęła do Morza Karaibskiego, wniosła wielki wkład w nasze dzieło.
- Trzeba jeszcze ustalić, gdzie spadła - dodał Polewoj.
- Zgoda - powiedział Jesienin. - Ale dzięki niej uzyskaliśmy dane o powierzchni Księżyca. To było głównym celem tej misji.
- Nie sądzicie, że amerykańskie systemy monitorowania przestrzeni kosmicznej mogły śledzić jej drogę schodzenia ku powierzchni i wyznaczyć dokładnie miejsce upadku? Jeśli postanowili odzyskać *Selenos 4*, to może już ją mają i trzymają w jakimś bezpiecznym miejscu.
- Ma się rozumieć, że śledzili trajektorię opadania - powiedział Jesienin. - Ale analitycy ich służb wywiadowczych nie mają żadnego powodu, by sądzić, że *Selenos 4* była czymś więcej niż naukową sondą kosmiczną zaprogramowaną na lądowanie w obrębie kubańskich wód terytorialnych.
- W waszym precyzyjnie obmyślonym planie jest jednak pewna rysa - nie dawał za wygraną Polewoj.
- Zaledwie kilka dni po zejściu *Selenos 4* z orbity, ekipy ratownicze Stanów Zjednoczonych prowadziły mniej więcej w tym samym rejonie zakrojone na szeroką skalę poszukiwania zaginionego kapitalisty, Raymonda LeBarona. Podejrzewam, że był to tylko pretekst. W rzeczywistości zależało im na odszukaniu i wyłowieniu naszego statku kosmicznego.
- Czytałem wasz raport i analizę okoliczności zniknięcia LeBarona - powiedział Korniłow. - Nie zgadzam się z waszymi wnioskami. Nie natrafiłem na żadną wzmiankę o tym, że Amerykanie prowadzili poszukiwania podwodne. Akcję ratowniczą wkrótce odwołano. LeBaron i jego załoga są nadal uważani przez amerykańską prasę za zaginionych i przypuszczalnie martwych. To był tylko zbieg okoliczności, nic więcej.
- Jesteśmy zatem zgodni co do tego, że *Selenos 4* i znajdujący się na jej pokładzie kosmonauci spoczywają gdzieś na dnie morza. - Antonow urwał, żeby wydmuchnąć kółko z dymu. - Musimy sobie jeszcze odpowiedzieć na dwa pytania: czy uznajemy za prawdopodobne, że Amerykanie mają bazę na Księżycu, a jeśli tak, to co w tej sytuacji robimy?
- Moim zdaniem baza istnieje - powiedział z przekonaniem Jesienin.
- Nie możemy wykluczyć takiej możliwości - przyznał Polewoj.

Antonow spojrzał spod przymrużonych powiek na Korniłowa.

- A co ty na to, Siergieju?

- Za siedem dni wypada termin startu *Selenos 8*, naszej pierwszej załogowej wyprawy, której zadaniem jest lądowanie na powierzchni Księżyca - odpowiedział powoli Kornilow. - Nie możemy odwołać tej misji, tak jak to uczyniliśmy, kiedy Amerykanie wyprzedzili nas ze swoim programem *Apollo*. Ponieważ nasi przywódcy nie dostrzegali niczego chwalebego w tym, że bylibyśmy drugim narodem, który postawił stopę na Księżycu, podwinęliśmy wtedy ogon pod siebie i daliśmy za wygraną. Stawianie ideologii ponad zdobycze nauki było wielkim błędem. Teraz mamy wypróbowaną raketę nośną o dużym udźwigu, zdolną do przeniesienia na powierzchnię Księżyca całej stacji kosmicznej wraz z załogą liczącą ośmiu ludzi. Korzyści propagandowe... reperkusje militarne są niewymierne. Jeśli naszym ostatecznym celem jest osiągnięcie trwałej dominacji w przestrzeni kosmicznej i wyprzedzenie Amerykanów w wyścigu do Marsa, musimy uczynić ten krok. Opowiadam się za zaprogramowaniem systemów kierowania *Selenos 8* na wysadzenie załogi w miejscu, skąd będzie można dotrzeć pieszo do krateru, w którym stoją ci astronauty, i zlikwidować ich.

- Zgadzam się całkowicie z Kornilowem - podchwycił Jesienin. - Fakty mówią same za siebie. Amerykanie są aktywnie zaangażowani w imperialistyczną agresję w kosmosie. Przystudiowane przez nas fotografie dowodzą, że zniszczyli już jeden nasz statek kosmiczny i zamordowali jego załogę. I podejrzewam, że ten sam los spotkał kosmonautów z sond *Selenos 5* oraz *6*. Przenieśli swoje kolonialne zapędy na Księżyc i uważają go za swoją własność. Dowody są niepodważalne. Kiedy nasi kosmonauci będą próbowali zatknąć w księżycowym gruncie czerwoną gwiazdę, zostaną zaatakowani i zabici.

Zaległa długa cisza. Nikt nie kwapił się do wyrażenia głośno własnych myśli.

Pełne zadumy milczenie przerwał Polewoj.

- A zatem proponujecie z Kornilowem, żebyśmy uderzyli pierwsi.

- Tak - przyznał Jesienin ożywiając się. - Pomyśl tylko, cóż to za okazja. Zajmując amerykańską bazę księżycową wraz z nietkniętą aparaturą naukową, jaka się w niej znajduje, popchnęlibyśmy nasz własny program podboju kosmosu o dobre dziesięć lat do przodu.

- Biały Dom rozpętałby bez wątpienia potężną kampanię propagandową i potępiłby nas przed całym światem, jak to miało miejsce po wypadku z samolotem rejsowym Koreańskich Linii Lotniczych KAŁ 007 - zaprotestował Polewoj.

- Będą siedzieli cicho - zapewnił go Jesienin. - Jak mogą rozgłaszać zajęcie czegoś, o czym nawet nie wiadomo, że istnieje?

- Generał ma rację - stwierdził Antonow.

- Zdajecie sobie sprawę, że możecie rozpętać wojnę w kosmosie? - ostrzegł Polewoj.

- Stany Zjednoczone uderzyły pierwsze. Zastosowanie środków odwetowych jest naszym świętym obowiązkiem. - Jesienin zwrócił się do Antenowa. - Decyzja należy do was.

Prezydent Związku Radzieckiego znowu utkwiał wzrok w palenisku. Po chwili odłożył hawańskie cygaro do popielniczki i ze zdziwieniem spojrział na swoje drżące dłonie. Twarz, zazwyczaj czerstwa, teraz mu poszarzała. Wyraźny omen. Demony przeważyły nad siłami dobra. Kiedy raz nada sprawie bieg, wszystko potoczy się z szybkością reakcji łańcuchowej i wymknie spod jego kontroli. Nie mógł jednak pozwolić, by kraj biernie znosił policzek wymierzony przez imperialistów. Spojrział w końcu na pozostałych mężczyzn znajdujących się w saloniku i ze znużeniem skinął głową.

- Za Matkę Rosję i partię - powiedział uroczyście. - Uzbroić kosmonautów i wydać im rozkaz uderzenia na Amerykanów.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy Hagen poznał doktora Mooneya, został przedstawiony ośmiu innym osobom i odbył trzy męczące rozmowy, zainstalował się w małym gabinecie i siedział tam waląc z zapalem w klawisze sumatora. Naukowcy nie widzą świata poza komputerami, inżynierowie hołubią cyfrowe kalkulatory, ale księgowi to konserwatywna gromadka. Nadal preferują tradycyjne sumatory z radełkowanymi pokrętkami, wypluwające taśmy z wydrukami kolumn cyfr.

Główny księgowy był absolwentem Texas School of Business i eksmarynarzem. Dowodziły tego tabliczki z wygrawerowanymi stopniami naukowymi i fotografie okrętów, na których służył, wyeksponowane na wyłożonej dębową boazerią ścianie jego gabinetu. Hagen zauważył w oczach tego mężczyzny lekki niepokój, całkiem zrozumiały u dyrektora finansowego, który ma na karku rządową kontrolę.

Nie spotkał się z żadnym podejrzliwym spojrzeniem ani nie wyczuł chwili zawahania, kiedy poprosił o wykaz rozmów telefonicznych z ostatnich trzech lat. Chociaż jego doświadczenie z zakresu finansów wyniesione z departamentu sprawiedliwości ograniczało się do fotografowania w głuchą noc ksiąg rachunkowych, znał żargon ekonomiczny wystarczająco dobrze, by uchodzić za fachowca. Nikt, kto zajrzałby do pomieszczenia i zobaczył go, jak notuje coś zerkając co chwila na taśmę z wydrukiem sumatora, nie miałby wątpliwości, że to profesjonalista całą gębą.

Liczby na taśmie były dokładnie tym, czym były - liczbami. Ale sporządzanie notatek sprowadzało się w istocie do tworzenia rzetelnego schematu rozmieszczenia kamer na odcinku między pomieszczeniem, w którym się znajdował, a gabinetem Mooneya. Zapisał też sobie kilka nazwisk, a przy każdym po parę uwag. Na pierwszym miejscu tej listy figurował Raymond LeBaron, na drugim Leonard Hudson. Ale teraz miał już trzecie nazwisko: Gunnara Eriksena.

Był pewien, że Eriksen i Hudson upozorowali swoją śmierć i zaszyli się gdzieś, by pracować nad projektem Kolonii Jersey. Wiedział również, że Eriksen nigdy nie zerwałby całkowicie swoich więzi z laboratorium Pattendena. Ośrodek ten, ze swoją wysoko kwalifikowaną kadrą młodych naukowców, przedstawiał zbyt wielką wartość, by z niego rezygnować. Musiał tu istnieć jakiś tajny kanał łączności z "jądrem".

Rejestry rozmów telefonicznych przeprowadzonych w ośrodku zatrudniającym trzy tysiące pracowników zajmowały kilka kartonowych segregatorów. Kontrola była ścisła. Każdy, kto w jakimkolwiek celu, służbowym czy prywatnym, korzystał z telefonu, musiał prowadzić dziennik rozmów. Hagen ani myślał sprawdzać wszystkich po kolei. Zagrzebałby się tu na kilka tygodni. Interesowały go tylko wpisy w miesięcznych dziennikach Mooneya, zwłaszcza te dotyczące połączeń zamiejscowych.

Hagen nie był jasnowidzem, nie był też szczególnie dokładny; znał ludzi mających większy talent do wykrywania odstępstw od reguły. Miał jednak oko i wrodzony instynkt, które rzadko go zawodziły.

Przepisał sobie sześć numerów, z którymi przez ostatnie dziewięćdziesiąt dni Mooney łączył się więcej niż raz. Dwie rozmowy wyszczególniono jako prywatne, cztery jako służbowe. Wszystkie były zamiejskowe. Tylko w ten sposób mógł uchwycić trop prowadzący do kolejnego członka "jądra".

Zgodnie z przyjętą tu procedurą podniósł słuchawkę, połączył się z centralką laboratorium Pattendena, poprosił o wolną linię i obiecał, że będzie zapisywał wszystkie swoje rozmowy. Godzina była późna, a z kodów kierunkowych na jego liście wynikało, że są to numery aparatów zainstalowanych na Środkowym Zachodzie bądź na Wschodnim Wybrzeżu. W tamtych strefach czasowych występowało, odpowiednio, godzinne i dwugodzinne wyprzedzenie i pewnie dzień pracy już się zakończył. Mimo to postanowił spróbować.

- Centennial Supply - odezwał się w słuchawce znudzony męski głos.

- Tak, halo, czy zastałem jeszcze kogoś o tej porze?

- Biuro jest zamknięte. Tu dział zamówień czynny całą dobę.

- Moje nazwisko Judge. Jestem z władz federalnych. - Hagen przedstawił się swoim kryptonimem, na wypadek gdyby aparat znajdował się na podsłuchu. - Przeprowadzamy właśnie kontrolę finansową laboratorium fizycznego Pattendena w Bend w stanie Oregon.

- Będzie pan musiał zadzwonić jeszcze raz jutro rano, kiedy otworzą biuro.

- Tak, zrobię to. Ale czy mógłby mnie pan poinformować, czym dokładnie zajmuje się firma Centennial Supply?

- Dostarczamy specjalizowane podzespoły i elektronikę sterującą do systemów rejestracji danych.

- Gdzie się to stosuje?

- Przeważnie w biznesie. Kamery wideo do rejestracji posiedzeń zamkniętych, eksperymentów laboratoryjnych, systemów alarmowych. Oraz interkomy dla sekretariatów. No, wie pan, tego rodzaju sprzęt.

- Ilu ludzi zatrudniacie?

- Około dwunastu.

- Stokrotne dzięki - powiedział Hagen. - Bardzo mi pan pomógł. Ach, i jeszcze jedno. Czy dostajecie dużo zamówień z laboratorium Pattendena?

- Raczej nie. Co dwa miesiące zamawiają jakiś podzespół do unowocześnienia albo modyfikacji swoich systemów wideo.

- Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Hagen wykreślił ten numer i wybrał kolejny. Na następne dwa telefony odpowiedziały automatyczne sekretarki. Jedna z laboratorium chemicznego Uniwersytetu Brandeis w Waltham, a druga z nie zidentyfikowanego gabinetu Krajowej Fundacji Nauki z siedzibą w Waszyngtonie. Zaznaczył sobie te numery, żeby połączyć się z nimi rano, i przeszedł do telefonów prywatnych.

- Halo?

Hagen spojrział na nazwisko w dzienniku Mooneya.

- Czy rozmawiam z doktorem Donaldem Fremontem?

- Tak.

Hagen powtórzył swoje rutynowe zagajenie.

- Czego chciałby się pan dowiedzieć, panie Judge? - Głos Fremonta brzmiał starczo.

- Przeprowadzam wyrywkową kontrolę zamiejscowych rozmów telefonicznych. Czy w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu dni dzwonił do pana ktoś z laboratorium Pattendena? - spytał Hagen zerkając na daty rozmów i udając głupiego.

- Owszem, doktor Earl Mooney. Był moim studentem w Stanford. Pięć lat temu przeszedłem na emeryturę, ale nadal pozostajemy w kontakcie.

- Czy nie miał pan przypadkiem studenta o nazwisku Hudson? Leonard Hudson?

- Leonard Hudson - powtórzył tamten, jakby próbował sobie przypomnieć. - Spotkałem go dwukrotnie. Nie był jednak w mojej grupie. Zanim rozpocząłem pracę, a właściwie należałoby powiedzieć kadencję, w Stanford. Kiedy on był studentem, wykładałem w USC.

- Dziękuję, doktorze. Nie będę już pana zanudzał.

- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Czwarty skreślony. Następne nazwisko z dziennika brzmiało: Anson Jones. Spróbował jeszcze raz, dobrze wiedząc, że nic nie przychodzi łatwo i trzeba mieć sporo szczęścia, by trafić w środek tarczy.

- Halo?

- Dzień dobry panie Jones, moje nazwisko Judge.

- Kto mówi?

- Thomas Judge. Jestem urzędnikiem władz federalnych. Przeprowadzamy kontrolę laboratorium fizycznego Pattendena.

- Nie znam żadnego Pattendena. Musiał pan wykręcić zły numer.
- Czy nazwisko doktora Earla Mooneya nic panu nie mówi?
- Nigdy o nim nie słyszałem.
- W ciągu ostatnich sześćdziesięciu dni dzwonił pod pański numer trzy razy.
- To pewnie pomyłka towarzystwa telefonicznego.
- Czy rozmawiam z panem Ansonem Jonesem, kod kierunkowy trzy-zero-trzy, numer pięć-cztery-siedem...
- Nie to nazwisko, nie ten numer.
- Niech pan nie odkłada słuchawki, chcę panu coś przekazać.
- Co takiego?

Hagen zawiesił głos, po czym strzelił w ciemno:

- Niech pan powie Leo, że Gunnar chce mu zwrócić za samolot. Zrozumiał pan?

Po drugiej stronie linii przez kilka chwil panowała cisza. Potem głos odezwał się znowu.

- Czy to jakiś dowcip?
- Do widzenia, panie Jones.

Trafiony.

Dla spokoju sumienia zadzwonił jeszcze pod szósty numer z listy. Odpowiedziała mu automatyczna sekretarka firmy maklerskiej. Pudło.

Czuł się, jakby mu przypięto skrzydła. Wrażenie to wzrosło jeszcze, kiedy przystąpił do uzupełniania swoich notatek. Mooney nie należał do "jądra", ale miał z nim powiązania - był jednym z oficerów na rozkazach wyższego dowództwa.

Hagen wystukał numer aparatu w Chicago i czekał. Po czwartym sygnale odezwał się słodki kobiecy głos.

- Hotel Drake.
- Nazywam się Thomas Judge. Chciałbym potwierdzić rezerwację pokoju na jutrzejszą noc.
- Jedną chwileczkę, połączę pana z rezerwacjami.

Hagen powtórzył dyżurnej recepcjonistce prośbę o potwierdzenie. Spytany o numer karty kredytowej,

podał numer telefonu Ansona Jonesa.

- Rezerwacja potwierdzona, sir.

- Dziękuję.

Która to godzina? Rzuciwszy okiem na zegarek stwierdził, że jest za osiem minut północ. Zamknął neseser i włożył płaszcz. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i wysunął jej wnętrze z obudowy. Następnie, z wąskiego tuneliku pod klapą płaszcza wydobyl długi metalowy pręcik z dentystycznym lusterkiem na końcu.

Podszedł do drzwi. Zatrzymał się w progu, wziął neseser między kolana i wystawiwszy maleńkie lusterko poza obrys framugi przechylił je w prawo i w lewo. W korytarzu nie było nikogo. Manipulował lusterkiem dopóty, dopóki nie uchwycił w nim odbicia kamery telewizyjnej z końca korytarza. Teraz ustawił zapalniczkę tak, by ledwie wystawała za framugę, i nacisnął dźwignię zapłonu.

Ekran jednego z monitorów w dyżurce straży przemysłowej na tyłach holu głównego pokrył śnieg zakłóceń. Strażnik za konsolę spojrzal natychmiast na lampki kontrolne obwodu.

- Coś się dzieje z dwunastką - oznajmił.

Dowódca zmiany wyszedł z za swego biurka i spojrzal na monitor.

- Jakies zakłócenia. To pewnie znowu ci jajogłowi z laboratorium elektrofizyki.

Zakłócenia nagle znikły, by zaraz pojawić się na innym monitorze.

- Dziwna sprawa - mruknął dowódca. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby wariowały jeden po drugim.

Po kilku sekundach ekran oczyścił się i wypełnił wyraźnym obrazem pustego korytarza. Dwaj strażnicy popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami.

Hagen wyłączył miniaturowe elektroniczne urządzenie zakłócające, gdy tylko znalazł się za progiem gabinetu Mooneya i zamknął za sobą drzwi. Podszedł cicho do okna i zasunął kotary. Wsunął na dłonie parę cienkich plastikowych rękawiczek i włączył górne światło.

Był mistrzem w sztuce przeszukiwania pomieszczeń. Nie zawracał sobie głowy oczywistymi miejscami - szufladami, skoroszytami, wykazami adresów i numerów telefonów. Podszedł od razu do półki na książki i w niecałe siedem minut znalazł to, czego szukał.

Mooney mógł się cieszyć opinią czołowego fizyka w kraju, ale Hagen czytał w nim jak w otwartej księdze. Mały notatnik ukryty był w tomie zatytułowanym *Mechanika niebieska w ujęciu praktycznym* autorstwa Horacego DeLiso. Zawartość była zaszyfrowana i przetykana gęsto wzorami matematycznymi. Dla Hageny była to czarna magia, ale nie załamywał się. Normalnie sfotografowałby poszczególne strony i odłożył notatnik na miejsce, teraz jednak, zdając sobie w pełni

sprawę, że nie da się tego na czas odszyfrować, wsunął go do kieszeni.

Kiedy podchodził do kontuaru, strażnicy majstrowali jeszcze przy monitorach.

- Mam się podpisać w książce wyjść? - zapytał z uśmiechem.

Dowódca zmiany podszedł do niego ze zdziwioną miną.

- Idzie pan prosto z działu finansowego?

- Tak.

- Nie widzieliśmy pana na monitorach.

- Nic na to nie poradzę - odparł niewinnie Hagen. - Wyszedłem drzwiami i idąc korytarzami dotarłem aż tutaj. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

- Widział pan kogoś po drodze? Coś niezwykłego?

- Nikogo. Ale kilka razy światła zamrugały i przygasły.

Strażnik pokiwał głową.

- Zakłócenia elektryczne z laboratorium elektrofizyki. Tak właśnie myślałem.

Hagen złożył swój podpis na liście i wyszedł w bezchmurną noc nucąc pod nosem.

CZEŚĆ II

Cyklop

ROZDZIAŁ 18

25 października 1989 Key West, Floryda

Pitt leżał na wznak czując pod plecami zimny beton pasa startowego i patrzył w górę na *Prosperteera*. Słońce gramoliło się zza horyzontu i z wolna oblewało sfatygowany kadłub sterowca bladopomarańczowym całunem. Wokół unosiła się osobliwa aura niesamowitości, a przynajmniej Pittowi statek wydawał się aluminiowym upiorem niepewnym jeszcze, gdzie przyjdzie mu straszyć.

Podczas lotu z Waszyngtonu do Key West nie zmrużył niemal oka, tylko ślęczał nad mapami Starego Kanału Bahamskiego stanowiącymi własność Bucka Caesara i śledził starannie wykreślony kurs, którym leciał Raymond LeBaron. Zamknął oczy próbując sobie wyobrazić astralne wędrówki *Prosperteera*. Po odrzuceniu mało prawdopodobnej hipotezy, która zakładała, że komory gazowe sterowca dopełniono ze statku, stwierdził, iż obecnego miejsca pobytu LeBarona należy szukać tylko na Kubie.

Coś nie dawało mu spokoju, jakaś myśl natrętnie kołatała się w głowie, chociaż podświadomie odpędzał ją od siebie, mglisty fragment obrazu, który zaczynał nabierać kształtu, kiedy poświęcał mu uwagę. I nagle się skryształizował.

Lot śladem LeBarona miał swój ukryty cel.

Racjonalne i logiczne wytłumaczenie pozostawało niewyraźnym zarysem w gęstej mgle. Sztuka polegała na dopasowaniu go do reszty szablonu. Kiedy Pitt gorączkowo szukał w myślach właściwego tropu, wyczuł na sobie czyjś cień.

- Proszę, proszę - rozległ się znajomy głos. - Wygląda na to, że Królowa Śnieżka znowu padła ofiarą ogranego chwytu z zatrutym jabłuszkiem.

- Albo to, albo poddano go hibernacji - dorzucił inny głos, który Pitt również rozpoznał.

Otworzył oczy, osłonił je dłonią przed słońcem i spojrzał w górę na dwóch stojących nad nim, uśmiechniętych od ucha do ucha osobników. Niższy z tej dwójki, muskularny, barczysty typ o kędzierzawych, czarnych włosach i nieustępliwym spojrzeniu człowieka, który nigdy nie daje za wygraną, był starym przyjacielem Pitta i zastępcą dyrektora programowego NUMA. Nazywał się Al Giordino.

Al chwycił wyciągniętą dłoń Pitta i poderwał go na nogi z łatwością, z jaką dozorca parku podnosi rzuconą w trawę pustą puszkę po piwie.

- Odlot za dwanaście minut.

- Zjawiał się już nasz bezimienny pilot? - spytał Pitt.

Drugi mężczyzna, nieco wyższy i szczuplejszy od Giordina, pokręcił głową.

- Ani widu, ani słychu.

Rudi Gunn spoglądał na Pitta parą błękitnych oczu powiększanych przez grube szkła okularów. Wyglądał na młodszego księgowego, który odejmuje sobie od ust, bo ciuła na złoty zegarek. To wrażenie było bardzo mylące. Gunn był koordynatorem oceanograficznych prac prowadzonych przez NUMA. Podczas gdy admirał Sandecker staczał zażarte boje z Kongresem i federalną biurokracją, Gunn kierował bieżącą działalnością agencji. Wydębienie Gunna i Giordina od Sandeckera było wielkim zwycięstwem Pitta.

- Jeśli chcemy wystartować dokładnie o tej samej porze co LeBaron, będziemy musieli sami poderwać toto w górę - powiedział flegmatycznie Giordino.

- Chyba damy sobie radę - odparł Pitt. - Przestudiowałeś podręczniki pilotażu?

Giordino skinął głową.

- Żeby zakwalifikować się do egzaminu na licencję pilota, trzeba zaliczyć piętnaście godzin instruktażu i lotów ćwiczebnych. Podstawowe zasady latania nie są skomplikowane, ale utrzymanie tego gazowego worka na wodzy przy silnej bryzie jest sztuką i wymaga sporej praktyki.

Pitt nie mógł powstrzymać uśmiechu słuchając słów Giordina.

- Sprzęt już na pokładzie?

- Załadowany i zabezpieczony - zapewnił go Giordino.

- No to chyba możemy odbijać.

Gdy szli w kierunku *Prosperteera*, z gondoli nawigacyjnej zszedł po drabince szef obsługi naziemnej LeBarona. Rzucił kilka słów jednemu ze swych ludzi i pomachał przyjaźnie na powitanie zbliżającym się mężczyznom.

- Ster owiec gotów do lotu, panowie.

- Jak się mają aktualne warunki pogodowe do tych, jakie panowały w poprzednim locie? - spytał Pitt.

- Pan LeBaron leciał pod południowo-wschodni wiatr wiejący z szybkością pięciu mil na godzinę. Wy będziecie mieli od dzioba ósemkę, weźcie więc odpowiednią poprawkę. Znad wysp Turks i Caicos nadciąga późnojesienny huragan. Faceci od meteorologii ochrzcili go *Mała Ewa*, bo to niewielki podmuch. Średnica nie przekracza sześćdziesięciu mil. Synoptycy przewidują, że skręci na północ w kierunku Karolin. Jeśli zawrócicie nie później niż o czternastej, zewnętrzna bryza *Małej Ewy* da wam porządnego dubla w zadek i dopcha do domu.

- A jeśli nie?

- Co jeśli nie?

- Jeśli nie zawrócimy do czternastej?

Szef obsługi naziemnej uśmiechnął się niepewnie.

- Nie radziłbym się pakować w tropikalny sztorm o prędkości wiatru dochodzącej do pięćdziesięciu mil na godzinę, a przynajmniej nie na sterowcu, który liczy już sobie sześćdziesiąt lat.

- Chyba ma pan rację - przyznał Pitt.

- Mając wiatr od dzioba - odezwał się Gunn - nie dotrzemy do rejonu poszukiwań wcześniej niż o 10.30. W tej sytuacji nie pozostanie nam wiele czasu na rozejrzenie się po okolicy.

- Tak - powiedział Giordino - ale znając trasę przelotu LeBarona powinniśmy trafić na miejsce jak po sznurku.

- Trudna sprawa - mruknął Pitt właściwie sam do siebie. - Bardzo trudna.

Trzej pracownicy NUMA już mieli się wspiąć na pokład, kiedy obok sterowca zatrzymała się limuzyna LeBarona. Zza kierownicy wyskoczył Angelo i z wprawą otworzył tylne drzwiczki. Jessie wysiadła w słoneczny blask, podeszła do drabinki. Ubrana w stylizowany strój safari, w jasnej chustce na głowie, wyglądała jak szykowna dama z lat trzydziestych. Niosła zamszową torbę lotniczą.

- Jesteśmy gotowi? - spytała promiennie, przemykając się między nimi i wspinając się zwinnie po drabince do gondoli nawigacyjnej.

Gunn posłał Pittowi ponure spojrzenie.

- Nic nie mówiłeś, że wybieramy się na piknik.

- Mnie też nikt nie powiedział - odparł Pitt zadzierając głowę i patrząc w osłupieniu na Jessie, która dotarwszy już do szczytu drabinki, odwróciła się w drzwiach.

- To moja wina - zawołała. - Zapomniałam powiedzieć, że to ja jestem waszym pilotem.

Giordino i Gunn wyglądali tak, jakby połknęli właśnie żywą kałamarnicę. Twarz Pitta wyrażała rozbawienie.

- Wolne żarty - powiedział.

- Raymond nauczył mnie pilotować *Prosperteera* - odparła. - Mam na koncie ponad osiemdziesiąt godzin za sterami i licencję pilota.

- Wolne żarty - powtórzył Pitt, coraz bardziej zaintrygowany. Giordino nie dostrzegął w tym nic

śmiesznego.

- Czy potrafi pani również nurkować, pani LeBaron?

- W skafandrze czy z akwalungiem? Mam patent na jedno i drugie.

- Nie możemy zabrać kobiety - oświadczył stanowczo Gunn.

- Proszę panią, pani LeBaron - odezwał się błagalnym głosem szef obsługi naziemnej. - Nie wiemy, co się stało z pani mężem. Lot może być niebezpieczny.

- Przyjmujemy ten sam system komunikowania się, jaki był stosowany podczas lotu Raymonda - powiedziała jakby go nie słysząc. - Jeśli znajdziemy coś interesującego, zgłosimy to kanałem otwartym. Tym razem nie bawimy się w żadne szyfry.

- To śmieszne - warknął Gunn.

Pitt wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Jestem za tym, żeby leciała.

- Chyba sam nie wiesz, co mówisz!

- A czemu by nie? - odparł Pitt z sardonicznym uśmiechem. - Jestem gorącym zwolennikiem równouprawnienia. Ma takie samo prawo dać się zabić, jak my.

Ludzie z obsługi naziemnej stali w grobowym milczeniu odprowadzając wzrokiem stary sterowiec wznoszący się w rozplamione wschodem słońca niebo. Nagle *Prosperteer* zaczął opadać. Wstrzymali oddechy, kiedy koło ładownicze musnęło grzbiet fali. Ale statek odbił się, wzniósł w powietrze i zaczął z mozołem nabierać wysokości.

- Dźwigaj się, malutki, dźwigaj! - mruknął ktoś z niepokojem.

Prosperteer straszliwie powoli, stopa za stopą, piął się w górę, aż wreszcie wyrównał lot na bezpiecznej wysokości. Obsługa naziemna, nie śmiać się poruszyć, obserwowała sterowiec, dopóki nie zmałał do rozmiarów maleńkiej ciemnej kropki nad cichym horyzontem. Stali tak jeszcze, podświadomie zachowując milczenie, kiedy zniknął już z oczu. Lęk ścisnął im serca. Tego dnia nie będą grali w siatkówkę. Stłoczą się wszyscy w wozie warsztatowym przy radiu, przeciążając instalację klimatyzacyjną.

Pierwszy meldunek nadszedł o siódmej rano. Pitt wyjaśnił przyczyny niepewnego manewru startu. Giordino i Gunn umieścili na pokładzie dodatkowy ładunek, a Jessie przy wznoszeniu statku nie wzięła na to wystarczającej poprawki.

Od tej pory aż do godziny czternastej Pitt nie wyłączał nadajnika i prowadził na bieżąco dialog, porównując swoje obserwacje z meldunkami zarejestrowanymi podczas lotu LeBarona.

Mikrofon przejął szef obsługi naziemnej.

- *Prosperteer*, tu domek babci, odbiór.

- Mów, babciu.

- Możesz mi podać swój aktualny namiar pozycji satelity VIKOR?

- Zrozumiałem. Odczyt współrzędnych VIKOR-a H3608 na T8090.

Szef obsługi naziemnej naniósł szybko tę pozycję na mapę.

- *Prosperteer*, idziesz dobrze. Mam cię pięć mil na północ od Guinchos Cay na Ławicy Bahamskiej. Odbiór.

- U mnie to samo, babciu.

- Jaki macie wiatr?

- Sądząc po grzbietach fal, bryza wzmogła się gdzieś do 6 w skali Beauforta.

- Posłuchaj mnie, *Prosperteer*. Straż Przybrzeżna podała właśnie uaktualniony komunikat o *Małej Ewie*. Huragan podwoił szybkość i skręcił na wschód. Ostrzeżenia o jego zbliżaniu nadawane są na całych południowych Bahamach. Jeśli utrzyma obecny kurs, to mniej więcej wieczorem dotrze do wschodniego wybrzeża Kuby. Powtarzam, *Mała Ewa* skręciła na wschód i posuwa się w waszym kierunku. Skończ na dzisiaj, *Prosperteer*, i wejdź na kurs powrotny.

- Przestań, babciu. Zmieniam kurs na Keys.

Przez następne pół godziny Pitt się nie odzywał. O 14.35 szef obsługi naziemnej znowu go wywołał.

- *Prosperteer*, zgłoś się, proszę. Odbiór.

Nie było odpowiedzi.

- Zgłoś się, *Prosperteer*. Tu domek babci. Czy mnie słyszysz?

Nadal nic.

Ludzi stłoczonych w dusznej ciężarówce przeniknął nagle chłód. Czekali pełni lęku i niepokoju. Sekundy wlokły się w żółtym tempie, a minuty ciągnęły w nieskończoność, kiedy szef bezskutecznie usiłował wywołać sterowiec.

Ale *Prosperteer* nie odpowiadał.

Szef obsługi naziemnej rzucił w końcu mikrofon na blat stołu i przecisnąwszy się przez zbity tłum swoich otumanionych podwładnych wypadł z ciężarówki. Podbiegi do zaparkowanej w pobliżu limuzyny i jednym szarpnięciem otworzył tylne drzwiczki.

- Gdzieś przepadli! Zgubiliśmy ich tak samo jak zeszłym razem.

Mężczyzna siedzący samotnie na tylnym siedzeniu skinął tylko głową.

- Próbujcie dalej ich wywoływać - powiedział cicho.

Szef obsługi naziemnej pognął z powrotem do radiostacji, a admirał James Sandecker podniósł słuchawkę telefonu ukrytego w lakierowanej szafeczce i wybrał numer.

- Panie prezydencie.

- Tak, admirale?

- Zaginęli.

- Zrozumiałem. Rozmawiałem z admirałem Clyde 'em Monfortem z Karaibskich Połączonych Sił Operacyjnych. Postawił już w stan gotowości okręty i samoloty znajdujące się w rejonie Bahamów. Gdy tylko skończymy rozmowę, wydam mu rozkaz wszczęcia akcji poszukiwawczo-ratowniczej.

- Proszę uświadomić Monfortowi konieczność szybkiego działania. Poinformowano mnie również, że *Prosperteer* zaginął gdzieś na przewidywanej trasie nadciągającego huraganu.

- Niech pan bez obawy wraca do Waszyngtonu, admirale. Za kilka godzin pańscy ludzie i pani LeBaron zostaną odnalezieni i sprowadzeni z powrotem.

- Spróbuję dzielić pański optymizm, panie prezydencie. Dziękuję.

Jeśli istniała jakaś maksyma, w którą Sandecker wierzył z całego serca, to brzmiała ona: "Nigdy nie ufaj słowu polityka". Wybrał jeszcze jeden numer z klawiatury zainstalowanego w limuzynie telefonu.

- Mówi admirał Sandecker. Chciałbym rozmawiać z admirałem Monfortem.

- Już łączę, sir.

- Jim, to naprawdę ty?

- Cześć, Clyde. Miło znowu cię słyszeć.

- Cholera, to już blisko dwa lata. Co ci leży na sercu?

- Powiedz mi, Clyde, czy dostałeś polecenie wszczęcia akcji ratowniczej na Bahamach?

- Kto ci to powiedział?

- Poczta pantoflowa.

- Pierwsze słyszę. Większa część naszych sił karaibskich bierze udział w manewrach i ćwiczy desant morski na Jamajce.

- Na Jamajce?

- To taka rozgrzewająca demonstracja siły militarnej obliczona na zdenerwowanie Sowietów i Kubańczyków. Spędza sen z powiek Castrowi, który spodziewa się, że lada dzień dokonamy na niego inwazji.

- A dokonamy?

- A po kiego licha? Kuba to nasza najlepsza kampania propagandowa, demaskująca komunizm jako jeden wielki ekonomiczny krach. Poza tym niech lepiej Związek Radziecki topi miliony dolarów dziennie w toalecie Castra, a nie my.

- A więc nie polecono ci uważać na sterowiec, który wzbił się dziś rano do lotu z Keys?

Po drugiej stronie linii zaległa złowieszcza cisza.

- Prawdopodobnie nie powinienem ci tego mówić, Jim, ale dostałem ustny rozkaz dotyczący tego sterowca. Kazano mi usunąć nasze okręty i samoloty z okolic Ławicy Bahamskiej i nie reagować na żadne sygnały pochodzące z tamtego rejonu.

- Czy ten rozkaz przyszedł bezpośrednio z Białego Domu?

- Nie przeciągaj struny, Jim.

- Dziękuję za upomnienie, Clyde.

- Nie ma za co. Spotkajmy się, kiedy będę w Waszyngtonie.

- Z przyjemnością.

Sandecker odłożył słuchawkę. Twarz poczerwieniała mu z gniewu, a w oczach płonęła furia.

- Boże, miej ich w swojej opiece - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Wszystkich nas wpuszczono w maliny.

ROZDZIAŁ 19

Gładką twarz Jessie ściągał wysiłek wkładany w walkę z porywami wichru i zacinającymi falami deszczu bębniącego o kadłub sterowca. Ramiona i nadgarstki drętwiały jej już od szarpaniny z dźwigniami przepustnic i steru wysokości. Zwiększony ciężar nasiąkniętej wilgocią powłoki niemal uniemożliwiał utrzymanie szamoczącego się statku powietrznego w poziomie i na kursie. Zaczynała odczuwać lodowatą pieśczołość strachu.

- Będziemy się musieli skierować do najbliższego lądu - powiedziała wreszcie drżącym głosem. - Przy tych turbulencjach nie utrzymam go długo w powietrzu.

Pitt spojrzał na nią.

- Najbliższy ląd to Kuba.

- Lepiej trafić do aresztu, niż zginąć.

- Jeszcze nie teraz - zdecydował Pitt siedzący w cofniętym nieco fotelu po jej prawej ręce. - Wytrzymaj jeszcze troszkę. Burza zepchnie nas z powrotem w stronę Key West.

- Radio nie działa i jeśli zostaniemy zmuszeni do wodowania, nie będą wiedzieli, gdzie nas szukać.

- Trzeba się było zastanowić, zanim wylałaś kawę na nadajnik i spowodowałaś zwarcie w obwodach.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Boże, pomyślała, można zwariować. Pitt, wychylony przez okienko prawej burty, patrzył nonszalancko przez lornetkę na falujące pod nimi morze. Giordino prowadził obserwacje z lewej strony, natomiast Gunn odczytywał wskazania komputera nawigacyjnego VIKOR i wykreślał kurs na mapie. Raz po raz Gunn zerkał z niewzruszonym spokojem na znaczniki stawiane przez pisak gradiometru Schonstedta - przyrządu do wykrywania metali w drodze pomiaru natężenia pola magnetycznego. Wszyscy trzej mężczyźni sprawiali wrażenie zupełnie obojętnych na to, co się dzieje na zewnątrz.

- Nie słyszeliście, co powiedziałam? - spytała z rozdrażnieniem.

- Słyszeliśmy - odparł Pitt.

- Przy tym wietrze tracę nad nim kontrolę. Jest za ciężki. Musimy zrzucić balast albo lądować.

- Resztę balastu zrzuciliśmy przed godziną.

- No to pozbadźmy się tego złomu, który wtaszczyliście na pokład - zaproponowała wskazując na małą górę aluminiowych skrzyń umocowanych pasami do podłogi.

- Przykro mi. Ten złom, jak go nazwałaś, może się jeszcze przydać.

- Ale tracimy wysokość.

- Rób, co możesz.

Jessie pokazała palcem za przednią szybę.

- Ta wyspa po prawej to Cayo Santa Maria. Łąd za nią to Kuba. Zmienię kurs na południowy i zaryzykujemy z Kubańczykami.

Pitt odwrócił się gwałtownie od okna. W jego zielonych oczach malowała się stanowczość.

- Nikt cię nie zmuszał, żebyś z nami leciała - przypomniał jej szorstko. - Chciałaś pokazać, że nie jesteś gorsza od chłopaków. Teraz bądź cicho i steruj.

- Zastanów się, Pitt - parsknęła. - Jeszcze pół godziny zwłoki i huragan rozerwie nas na strzępy.

- Chyba coś mam - zawołał Giordino.

Pitt zerwał się ze swojego fotela i przeskoczył na lewą stronę kabiny.

- Gdzie?

Giordino pokazał palcem.

- Przed chwilą nad tym przelecieliśmy. Jest teraz jakieś dwieście jardów za rufą.

- Duża sztuka - wykrzyknął z podnieceniem Gunn. - Znaczniki wykraczają poza zakres podziałki.

- Zwrot przez lewą burtę - krzyknął Pitt do Jessie - i z powrotem tym samym kursem.

Jessie nie oponowała. Ogarnięta nagle gorączką dokonanego właśnie odkrycia zapomniała o zmęczeniu. Pchnęła energicznie w przód dźwignie przepustnic kładąc sterowiec na lewą burtę i wykonując przy sprzyjającym wietrze zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. W aluminiową powłokę uderzył gwałtowny podmuch wichury wprawiając sterowiec w drzenie, które rozkołysało gondole nawigacyjną. Po chwili, kiedy rufa z ośmioma płetwami ogonowymi zatoczyła pełne półkole, napór zelżał i sterowiec, pchany wiatrem od tyłu, wyrównał lot.

We wnętrzu gondoli było cicho jak w krypcie katedry. Opuszczony przez Gunna na lince czujnik gradiometru kołysał się czterysta stóp pod brzuchem sterowca i muskał spienione grzywacze. Gunn skierował teraz swą uwagę na rejestrator i czekał, aż pisak zacznie się przemieszczać w poziomie po skalowanym papierze. Wkrótce zaczął się wychylać tam i z powrotem kreśląc krzywą.

- Nachodzimy na cel - zakomunikował Gunn.

Giordino i Pitt, nie bacząc na silny prąd powietrza, wychylili się jeszcze dalej przez swe okienka. Morze było wzburzone i bryzgi piany odrywającej się od grzbietów fal utrudniały obserwację przejrzystej głębi. Jessie miała teraz ciężką przeprawę ze sterami, usiłując złagodzić gwałtowne zrywy i przechyły sterowca, który zachowywał się jak wieloryb walczący z bystrym nurtem na progach rzeki Colorado.

- Mam go! - wrzasnął nagle Pitt. - Leży na dnie jakieś sto jardów na północny wschód od naszej prawej burty.

Giordino przebiegł na drugą stronę gondoli nawigacyjnej i spojrzał w dół.

- W porządku, też go widzę.

- Zauważyliście jakieś ślady żurawi ładunkowych? - spytał Gunn.

- Zarysy kadłuba widać wyraźnie, ale nie odróżniam szczegółów. Na moje oko spoczywa na głębokości jakichś osiemdziesięciu stóp.

- Raczej dziewięćdziesięciu - skorygował Pitt.

- Czy to *Cyklop!* - spytała z niepokojem Jessie.

- Jeszcze nie wiadomo - odparł Pitt i zwrócił się do Gunna. - Zaznacz pozycję na podstawie danych z VIKOR-a.

- Pozycja zaznaczona - zameldował Gunn.

Pitt skinął Jessie głową.

- W porządku, pilocie, zrobmy jeszcze jeden nawrót. I tym razem, kiedy wiatr nas tu dopcha, postaraj się zawisnąć nad celem.

- Dlaczego mnie od razu nie poprosisz, żebym zamieniła ołów w złoto? - odburknęła.

Pitt podszedł i pocałował ją lekko w policzek.

- Świetnie się spisujesz. Wytrzymaj jeszcze trochę, a potem zastąpię cię przy sterach.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie - odparła z gniewem, ale w jej oczach zalśnił ciepły blask i wygładziły się bruzdy napięcia wokół ust. - Powiedz mi tylko, kiedy zatrzymać ten balon.

Co za charakter, pomyślał Pitt. Po raz pierwszy poczuł, że zazdrości Raymondowi LeBaronowi. Wrócił na rufę i położył rękę na ramieniu Gunna.

- Weź klinometr i spróbuj zdjąć orientacyjne pomiary wielkości tego wraku.

Gunn skinął głową.

- Zrobi się.

- Jeśli to *Cyklop* - powiedział uradowany Giordino - to twoje domysły były cholernie trafne.

- Dużo szczęścia i szczypta intuicji - przyznał Pitt. - No i jeszcze wskazówki Raymonda LeBarona i Bucka Caesara, które zaprowadziły nas prosto na miejsce. Pozostaje jednak zagadką, dlaczego *Cyklop* leży z dala od głównego szlaku żeglugowego.

Giordino bezradnie przechylił głowę.

- Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy.

- Wracamy nad cel - zameldowała Jessie.

Gunn ustawił na klinometrze odległość i spojrzał przez wziernik mierząc długość ledwo widocznego pod wodą obiektu. Udało mu się trzymać przyrząd nieruchomo, kiedy Jessie toczyła po mistrzowsku bitwę z wiatrem.

- Szerokości nie da się dokładnie zmierzyć, bo nie widać, czy wrak spoczywa na stępce, czy przechylony na bok - zawyrokował sprawdzając kalibrację przyrządu.

- A długość całkowita? - spytał Pitt.

- W przedziale od pięciuset trzydziestu do pięciuset pięćdziesięciu stóp.

- Wygląda obiecująco - stwierdził Pitt z wyraźną ulgą. - *Cyklop* miał pięćset czterdzieści dwie stopy.

- Gdybyśmy zeszli trochę niżej, mógłbym to zmierzyć dokładniej - powiedział Gunn.

- Jeszcze raz, Jessie - zawołał Pitt.

- Zdaje się, że nic z tego. - Oderwała rękę od sterów i wskazała na przednie okno. - Komitet powitalny.

Twarz miała spokojną, niemal za spokojną, podczas gdy mężczyźni jak zaczarowani wpatrywali się w helikopter, który zmaterializował się z chmur tysiąc stóp nad sterowcem. Przez kilka sekund wisiał tam nieruchomo niczym jastrząb obserwujący gołębia, potem zaczął rosnać w oczach i wszedł na kurs równoległy do kierunku lotu *Prosperteera*. Przez lornetkę widzieli wyraźnie posępne twarze obu pilotów i dwie pary rąk zaciskających się na pistoletach automatycznych wystawionych przez otwarte drzwi boczne.

- Sprowadzili kolegów - stwierdził krótko Gunn. Kierował lornetkę na kubański kuter patrolowy, który pruł fale w odległości około czterech mil i wyrzucał w górę wielkie skrzydła piany.

Giordino nie odzywał się. Oddarł taśmy uszczelniające z pudeł i tak szybko, jak tylko potrafił, zaczął

wyrzucać ich zawartość na podłogę. Gunn rzucił się mu na pomoc, a Pitt przystąpił do montażu dziwnie wyglądającego parawanu.

- Wywiesili transparent z poleceniem w języku angielskim - zakomunikowała Jessie.

- Co tam napisane? - spytał Pitt nie podnosząc wzroku.

- "Lećcie za nami i nie używajcie radia" - przeczytała na głos. - Co mam robić?

- Radia i tak nie możemy używać, a więc uśmiechnij się i pomachaj im ręką. Miejmy nadzieję, że nie zaczną strzelać, kiedy rozpoznają w tobie kobietę.

- Ja bym na to nie liczył - mruknął Giordino.

- I wiś dalej nad wrakiem - dorzucił Pitt.

Jessie nie podobała się krzątania w gondoli nawigacyjnej. Pobladła wyraźnie.

- Lepiej zastosujmy się do ich poleceń - powiedziała.

- Niech nas pocałują w nos - powiedział spokojnie Pitt. Odpiął jej pas bezpieczeństwa i wyniósł zza sterów. Wziął od Giordina parę butli powietrza i przytroczył je szelkami do jej ramion. Gunn podał jej maskę do nurkowania, płetwy i kamizelkę z kompensacją pływalności.

- Włóż to - powiedział. - Pospiesz się. Stała jak ogłuszona.

- Co wy robicie?

- Myślałem, że wiesz - powiedział Pitt. - Idziemy popływać.

- Gdzie idziemy? - Jej ciemne, cygańskie oczy rozwarły się szeroko nie tyle ze strachu, ile ze zdziwienia.

- Obrona nie ma czasu na dyskusje - oznajmił spokojnie Pitt. - Nazwij to desperackim planem utrzymania się przy życiu, bo do tego się wszystko sprowadza. Teraz rób, co ci kazano, i połóż się na podłodze za ekranem.

Giordino patrzył z powątpiewaniem na grubą na całą ekran.

- Miejmy nadzieję, że spełni swoje zadanie. Wolałbym nie być w pobliżu, jeśli pocisk trafi w butlę powietrza.

- Nic się nie bój - odparł Pitt, gdy trzech mężczyzn mocowali na sobie w pośpiechu sprzęt do nurkowania. - To tworzywo sztuczne o wysokiej wytrzymałości. Gwarantują, że wytrzyma wszystko, do dwudziestomilimetrowego pocisku włącznie.

Sterowiec, pozbawiony pilota, przechylił się gwałtownie na bok pod uderzeniem nowego porywu

wichury i zanurkował dziobem w dół. Wszyscy padli instynktownie na podłogę chwytając się czego kto mógł. Skrzynie na sprzęt zjechały raptownie po pokładzie i wyrznęły w fotele pilotów.

Bez chwili wahania, nie podejmując już prób nawiązania kontaktu, dowódca kubańskiego helikoptera, biorąc konwulsyjny manewr sterowca za próbę ucieczki, nakazał otwarcie ognia. O lewą burzę *Prosperteera* zabębnił grad pocisków wystrzeliwanych z odległości nie większej niż trzydzieści jardów. Gondola poszła natychmiast w strzępy. Stare, pożółkłe szybki okien stopniały w roju odłamków, który rozprysł się po pokładzie. Stery i tablicę przyrządów skrzyło w bezładną kupę złomu i zrujnowaną kabinę wypełnił dym z pozwieranych obwodów elektrycznych.

Pitt, nakryty ciałami Gunna i Giordina, leżał twarzą do dołu na Jessie nasłuchując werbla stalowych pocisków siekących kuloodporny ekran. Strzelcy z helikoptera obrali sobie po chwili inny cel. Niszczący ogień dopóty rozdzierał i szarpał aluminiowe osłony silników, dopóki nie odpadły i porwane prądem powietrza nie poszybowały w tył. Silniki zakrzuszyły się i, parsknąwszy po raz ostatni, umilkły. Z odstrzelonych głowic cylindrów poprzez kłęby czarnego dymu tryskał olej.

- Zbiorniki paliwa! - Jessie usłyszała swój krzyk wzbijający się ponad piekielny harmider. - Wybuchną!

- To akurat najmniejsze zmartwienie - odkrzyknął jej do ucha Pitt. - Kubańczycy nie używają pocisków zapalających, a zbiorniki są wykonane z samozasklepiającej się gumy neoprenowej.

Giordino podpełzł do stosu podziurawionych i pogiętych skrzyń na sprzęt i wyciągnął stamtąd coś, co wyglądało Jessie na jakiś rodzaj cylindrycznego pojemnika. Pchając go przed sobą zaczął się czołgać pod górę po stromo przechylonej podłodze.

- Pomóc ci? - wrzasnął Pitt.

- Gdyby Rudi mógł mi przytrzymać nogi... - Jego głos zginął w ogłuszającym zgiełku.

Gunn nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zaparł się stopami o grodz i wprawnym chwytem objął nogi Giordina na wysokości kolan.

Martwy sterowiec sunął teraz po niebie zupełnie samopas, pikując pod kątem czterdziestu pięciu stopni w kierunku powierzchni morza. Utracił całą sterowność i spadał z nieba, a Kubańczycy zasypywali pociskami jego sflaczałą powłokę. Płetwy stabilizujące czepiały się jeszcze chmur, ale stary *Prosperteer* przeżywał swoje ostatnie chwile.

Nie umrze sam.

Giordino otworzył z trudem cylinder, wyciągnął z niego wyrzutnię pocisków M72 i załadował ją 66-milimetrową rakieta. Powoli, wykonując wszystkie ruchy bardzo precyzyjnie, wysunął ryj podobnej do bazooki broni przez postrzępione kawałki szkła sterczące z ramy wybitego okienka i wycelował.

Ku zdumieniu odległych niespełna o milę ludzi z kutra patrolowego, helikopter jakby się rozplątał w ogromnej kuli ognia. Huk eksplozji przetoczył się przez powietrze niczym grom, a zaraz potem spadł do morza ognisty deszcz poskręcanych strzępów metalu sycząc i parując w zetknięciu się z wodą.

Kolebiąc się leniwie na boki, sterowiec nadal dryfował nad falami. Hel uchodził z sykiem przez ziejące w kadłubie dziury. Okrągłe wręgi szkieletu pękały z trzaskiem jak suche patyki. Wydając jakby ostatnie tchnienie, *Prosperteer* skurczył się, zapadł do środka niczym skorupka jajka i runął bezwładnie w spienione grzywacze.

Od tej chwili dzieło zniszczenia postępowało błyskawicznie. W niecałe dwadzieścia sekund potem oba silniki wyleciały ze swoich zamocowań, a rozpory podtrzymujące gondolę nawigacyjną zwichrowały się ze zgrzytem przypominającym wycie zwiastuna śmierci. Jak w kruchej zabawce ciśniętej przez krnąbrne dziecko na trotuar, puściły nity i wewnętrzny szkielet ster owca zaskrzeczał w agonii rozpadu.

Przez wybite szyby zanurzającej się coraz głębiej gondoli nawigacyjnej wdzierała się do wnętrza woda. Wyglądało to tak, jakby czyjaś gigantyczna łapa wciskała sterowiec pod wodę, dopóki ten nie wślizgnął się w końcu pod powierzchnię i nie zniknął z oczu. Wtedy gondola nawigacyjna oderwała się od kadłuba i poleciała w dół niczym spadający liść, ciągnąc za sobą płataninę drutów i kabli. W ślad za nią sunęły strzepy duraluminiowej powłoki trzepocząc dziko jak skrzydła pijanego nietoperza.

Na chwilę przed uderzeniem nurkującej masy o dno morza wyprysnęła spod niej ławica żółtoogoniastych rybek, a siła uderzenia wzbiła w górę tumany miążkiego piasku.

Potem zapadła grobowa cisza zakłócana jedynie przez ledwie słyszalny bulgot uchodzącego powietrza.

Oniemiała załoga kutra patrolowego zaczęła przeczesywać wzburzoną powierzchnię morza w miejscu upadku w poszukiwaniu rozbitków. Znaleźli tylko plamy paliwa i oleju.

Siła wiatru wzrosła do 8 w skali Beauforta zwiastując nadciągający huragan. Wysokość fal sięgała osiemnastu stóp uniemożliwiając dalsze poszukiwania. Kapitan kutra nie miał innego wyjścia, jak tylko obrać kurs wiodący do bezpiecznego portu na Kubie i pozostawić za sobą rozkołysane, gniewne morze.

ROZDZIAŁ 20

Zawieszona chmura mułu przesłaniająca poszarpane szczątki *Prosperteera* odpływała powoli, unoszona słabym dennym prądem. Pitt dźwignął się w górę i na czworakach rozejrzał po ruinie, która jeszcze niedawno była gondolą nawigacyjną. Gunn siedział prosto na podłodze oparty plecami o wypaczoną grodz. Spuchnięta kostka jego lewej nogi przypominała orzech kokosowy, trzymał jednak w zębach ustnik i unosił dłoń z rozczapierzonymi w kształt litery V palcami.

Giordino podciągnął się z trudem do pozycji stojącej i pomacał ostrożnie prawą stronę klatki piersiowej. Jedna pęknięta kostka i prawdopodobnie kilka złamanych żeber, pomyślał Pitt. Mogło być gorzej. Pochylił się nad Jessie i uniósł jej głowę. Przez szybką maski ujrzał nie widzące oczy. Głuchy syk wydobywający się z jej regulatora oraz falująca pierś świadczyły jednak, że oddycha normalnie, no, może trochę za szybko. Przesunął palcami po jej ramionach i nogach, ale nie wyczuł żadnego złamania. Nie licząc wysypki błękitnoczarnych sińców, które w ciągu dwudziestu czterech godzin nabiorą soczystszej barwy, nic jej chyba nie było. Jakby chcąc go o tym zapewnić, wyciągnęła rękę i uścisnęła jego dłoń.

Uspokojony Pitt zajął się teraz sobą. Wszystkie stawy zginały się prawidłowo, mięśnie funkcjonowały, nie dostrzegał żadnych deformacji. Nie wyszedł jednak bez szwanku. Na czole rósł mu fioletowy guz, a poza tym czuł dziwną sztywność szyi. Pocięchę przyniosło mu stwierdzenie, że przynajmniej nie widać, by ktoś krwawił. Dziś już raz otarliśmy się o śmierć, pomyślał. Teraz brakowałoby tylko ataku rekinów.

Jego uwagę zaprzętnął następny problem: było nim wydostanie się z gondoli nawigacyjnej. Drzwi się zacięły - nic dziwnego po tym, co oberwały. Usiadł, chwycił się obiema rękami pociętej framugi i kopnął. Kopnął to zbyt szumnie powiedziane. Ciśnienie wody osłabiło impet. Miał wrażenie, że usiłuje kopać znajdując się na dnie ogromnego gara z klejem. Przy szóstej próbie, kiedy podeszwy i pięty jego stóp miały już dosyć, metalowa uszczelka ustąpiła i drzwi majestatycznie otworzyły się na zewnątrz.

Pierwszy, z głową w otoczce pęcherzyków powietrza wydobywających się z regulatora aparatu oddechowego, wypłynął Giordino. Wsunął ręce z powrotem do środka, zarył się stopami w piasek, przygotował psychicznie na pewny nawrót bólu w klatce piersiowej i pociągnął z całych sił. Wielki, ciężki toból pchany dodatkowo od środka przez Pitta i Gunna przecisnął się opornie przez drzwi i opadł na piasek. Za nim w wyciągnięte ręce Giordina wyleciało osiem stalowych butli zawierających 104 stopy sześciennie powietrza.

Jessie, nadal w zdemolowanym wnętrzu gondoli, próbowała wyrównać ciśnienie w uszach. W skroniach jej dudniło, a głowę rozsadzał przesywający ból przyćmiewający potłuczenia, jakich doznała na skutek upadku. Zacisnęła palcami nos i dmuchała energicznie. Za piątym razem bębni

odskoczyły, a ulga, jaką to przyniosło, była tak cudowna, że do oczu napłynęły jej łzy. Zacisnęła zęby na ustniku regulatora i wciągnęła w płuca potężny haust powietrza. Jak rozkosznie byłoby teraz obudzić się we własnym łóżku, pomyślała. Coś dotknęło jej dłoni. Była to inna dłoń, silna i szorstka. Uniosła głowę i zobaczyła oczy Pitta patrzące na nią zza szybki maski; wydało jej się, że są zmrużone w uśmiechu. Dał jej głową znak, żeby płynęła za nim.

Wyprowadził ją w ogromną, płynną otchłań. Spojrzała w górę na wirujący rój pęcherzyków powietrza unoszących się z sykiem ku wzburzonej powierzchni. Pomimo szalejącego tam sztormu, widoczność na dnie sięgała dwustu stóp i dostrzegała cały kadłub sterowca spoczywający nie opodal gondoli nawigacyjnej. Gunna i Giordina nie było w zasięgu wzroku.

Pitt pokazał jej na migi, żeby zaczekała obok butli z powietrzem złożonych przy dziwnym tobole. Spojrzał na kompas zapięty na przegubie lewej ręki i odpłynął w błękitną mgiełkę. Jessie unosiła się nieważka, z głową lekką od łagodnej azotowej narkozy. Owładnęło ją przytłaczające poczucie samotności, które jednak szybko się rozwiało na widok wracającego Pitta. Dał jej znak, żeby płynęła za nim, po czym zawrócił i przebijając płetwami ruszył przodem. Pokonując opór wody silnymi wymachami nóg, dopędziła go szybko.

Białe, piaszczyste dno ustąpiło kępom koralu zamieszkiwanym przez rozmaite gatunki ryb o dziwnych kształtach. Ich naturalne żywe barwy redukowało do jasnej szarości zjawisko rozpraszania i absorpcji światła przez cząsteczki wody, które odfiltrowywały czerwienie oraz barwy o odcieniu pomarańczowym i żółtym, przepuszczając jedynie przytłumione zielenie i błękity. Machając miarowo płetwami sunęli zaledwie na długość ramienia nad niesamowitą, egzotyczną podwodną dżunglą, obserwowani ciekawie przez ławice małych mieszkańców głębin. To zabawne audytorium przypominało Pittowi dzieci gapiące się z rozdziawionymi buziami na nadmuchiwane postaci z filmów rysunkowych sunące Broadwayem podczas parady w Święto Dziękczynienia.

Wtem Jessie zacisnęła palce na nodze Pitta i wskazała za siebie w górę. W odległości zaledwie dwudziestu stóp przepływała tam z leniwą apatią ławica barakud. Musiało ich być ze dwieście; ani jedna nie mierzyła sobie mniej niż cztery stopy długości. Zakręciły jak jedna i zaczęły okrążyć nurków okazując im wyłupiastookie zainteresowanie. Potem, dochodząc do wniosku, że Pitt i Jessie nie są warci dalszej zwłoki, oddaliły się błyskawicznie, znikając im z oczu.

Odwróciwszy głowę, Pitt zobaczył Gunna i Giordina materializujących się z matowobłękitnej kurtyny. Gunn zatrzymał się i przywołał ich machnięciem ręki, po czym ułożył palce w V - znak sukcesu.

Znaczenie tego gestu było oczywiste. Wierzgając energicznie jedną płetwą Gunn wznosił się szybko po skosie na wysokość około trzydziestu stóp ponad koralowy krajobraz, a Pitt z Jessie podążyli natychmiast jego śladem.

Przełynęli tak prawie sto jardów, kiedy Gunn nagle zwolnił, zawisł w wodzie w pozycji pionowej i wyciągając pobielającą jak u kostuchy rękę wskazał coś lekko zgiętym palcem.

Niczym nawiedzany przez duchy zamek majaczący pośród oparów mgły nad moczarami Yorkshire, w wodnym mroku piętrzył się widmowy zarys *Cyklopa*, złowieszczy i ponury, jakby w jego trzewiach

czaiła się jakaś niewysłowiona siła.

ROZDZIAŁ 21

Pitt nurkował już do wielu wraków i był pierwszym człowiekiem, który ujrzał zatopionego *Titanica*, ale widok zaginionego statku widma z legendy wzbudził w nim niemal zabobonną grozę. Świadomość, że ma przed sobą grobowiec ponad trzystu ludzi, pogłębiała jeszcze to niesamowite odczucie.

Zatopiony statek leżał na prawej burcie pod kątem około dwudziestu pięciu stopni, dziobem na północ. Nie wyglądał na coś, co powinno spoczywać na dnie morza, matka natura przystąpiła więc do pracy przykrywając stalowego intruza całunem osadów i morskich organizmów.

Cały kadłub i nadbudówkę pokrywała skorupa morskiej flory i fauny wszelkich gatunków, jakie tylko można sobie wyobrazić - gąbki, pąkle, podobne do kwiatów anemony, strzępiaste morskie paprocie i smukłe wodorosty falujące wdzięcznie z prądem niczym ramiona tancerzy. Nie licząc zniekształconego dziobu i trzech przewróconych żurawi ładunkowych, statek był w zadziwiająco dobrym stanie.

Giordina zastali przy zdrapywaniu narośli z niewielkiego skrawka burty, poniżej rufowego relingu. Odwrócił się, kiedy podpłynęli, i odsłonił swoje dzieło. Widniały tam wypukłe litery układające się w słowo CYKLOP.

Pitt zerknął na pomarańczową taśmę swojej wodoszczelnej doxy. Mieli wrażenie, że katastrofa sterowca nastąpiła całą wieczność temu, ale w rzeczywistości upłynęło dopiero dziewięć minut od chwili, kiedy wypłynęli z gondoli nawigacyjnej. Musieli bezwzględnie oszczędzać powietrze. Mieli przed sobą przeszukanie wraku, a w dodatkowych butlach trzeba było przecież pozostawić niezbędny zapas na dekompresję podczas wynurzania. Margines bezpieczeństwa będzie niepokojąco wąski.

Sprawdził wskazanie manometru Jessie i spojrzał jej w oczy. Były pogodne i błyszczące. Oddychała powoli, spokojnym rytmem. Pokazała mu uniesiony w górę kciuk i kokieteryjnie zmrużyła oko. Na razie zapomniała, że przed chwilą otarła się o śmierć.

Pitt też do niej mrugnął. Jej się to naprawdę podoba, pomyślał.

Komunikując się między sobą na migi, cała czwórka ruszyła gęsiego nad eliptyczną rufą i rozpoczęła myszkowanie po wraku. Drzwi rufowej pokładówki przegniły, a pokład z drewna tekowego stoczyły robaki. Każda płaska powierzchnia pokryta była osadem przypominającym z wyglądu zakurzony całun.

Drzewce rufowe sterczało gołe, flaga Stanów Zjednoczonych dawno zgniła. Dwa rufowe działa celowały w tył nieme i opuszczone. Dwa kominy przeżyły się niczym strażnicy nad niszczącym lasem nawietrzników, pachołków i relingów, skorodowane zwoje drutów i kabli owijały się nadal

wokół bębnow rdzewiejących wyciągarek. Wszystko to przypominało małe miasto, każdy zakamarek tego złomu zaadaptowany został na gniazdo przez kolczaste uchryny, kraby i inne morskie stworzenia.

Pitt przestudiował wcześniej plan wnętrza *Cyklopa* i wiedział, że przeszukiwanie sekcji rufowej to strata czasu. Kominy znajdowały się nad maszynownią i kajutami jej załogi. Jeśli mieli znaleźć statwę La Dorady, to najpewniej będzie się ona znajdowała w ładowni drobnicy, położonej pod mostkiem i dziobówką. Skinął na pozostałych, żeby przenieśli się w kierunku dzioba.

Płynęli wolno i ostrożnie wzdłuż pomostu ciągnącego się nad pokrywami ładowni węgla, omijając wielkie dwuszczkowe czerpaki ładunkowe i przemykając pod skorodowanymi żurawiami wyciągającymi smętnie ramiona ku promieniom rozproszonego światła przesączającego się z powierzchni. Stawało się dla nich jasne, że *Cyklop* zginął śmiercią nagłą i gwałtowną. Gnijące szczątki szalup ratunkowych zastygły na zawsze na swoich żurawikach, spora część nadbudówki wyglądała jak zmiażdżona monstrialną pięścią.

Z błękitnozielonego mroku wyłaniał się z wolna dziwny, pudełkowaty kształt mostka. Dwa wsporniki od strony lewej burty wygięły się, ale przechył kadłuba na prawą burtę kompensował ten kąt. Kłóćąc się osobliwie z położeniem reszty statku, mostek zastygł w idealnie horyzontalnej płaszczyźnie.

Mrok za drzwiami sterówki wyglądał złowieszczo. Pitt włączył latarkę głębinową i wpłynął wolno do środka, uważając, by nie wzburzyć płetwami mułu zaścielającego podłogę. Przez pokryte osadem iluminatory przedniej ściany przesączało się przyćmione światło. Starł brud z szybki zegara okrętowego. Zaśniedziałe wskazówki zastygły na 12.21. Sprawdził również wskazanie pionowego kompasu. Zachował swoją szczelność i igła unosiła się swobodnie w nafcie wskazując rzetelnie magnetyczną północ. Pitt zarejestrował, że w chwili tragedii statek płynął kursem 340 stopni.

Po obu stronach kompasu, pokryte kolonią gąbek, które w świetle latarki Pitta przybrały jaskrawoczerwoną barwę, wyrastały z pokładu dwie rozszerzone od góry kolumnienki. Zaciekawiony Pitt otarł osad z prawej i ujrzał szybkę, pod którą widniały ledwie czytelne słowa NAPRZÓD: CAŁA, PÓŁ, MAŁA, WOLNO, STOP oraz MASZYNY STOP. Był to telegraf do przekazywania komend z mostka do maszynowni. Zwrócił uwagę, że mosiężna strzałka ustawiona była w położenie CAŁA. Przepłynął na drugą stronę i oczyścił szybkę lewego telegrafu. Strzałka stała na poleceniu MASZYNY STOP.

Jessie znajdująca się osiem stóp za jego plecami wydała nagle zduszony okrzyk, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie. Odwrócił się gwałtownie, porażony myślą, że zaatakował ją rekin, ale ona pokazywała gorączkowo na dwa obiekty sterczące z mułu.

Dwie ludzkie czaszki zagrzebane po otwory nosowe w szlamie patrzyły pustymi oczodołami. Pitta naszło deprymujące uczucie, że jest obserwowany. Przy podstawie steru spoczywały kości innego członka załogi z piszczelem ręki wkliniowanym wciąż w szprychy koła sterowego. Pittowi przyszło do głowy, że któreś z tych żalonych szczątków mogą być tym, co pozostało z kapitana Worleya.

Nie było tu nic więcej do oglądania, tak więc Pitt wypłynął przed Jessie ze sterówki i skierował się zejściówką do kabin pasażerskich i kajut załogi. Niemal w tym samym momencie Gunn z Giordinem zniknęli w luku prowadzącym do małej ładowni drobnicowej.

Warstwa mułu była w tej części statku cienka i nie przekraczała jednego cala. Zejściówką prowadziła do długiego korytarza z małymi kabinami po obu stronach. W każdej znajdowały się koje, porcelanowe zlewy, rozrzucone rzeczy osobiste i szkielety lokatorów. Pitt szybko stracił rachubę trupów. Zatrzymał się na chwilę i dopuścił powietrza do kompensatora pływalności, żeby utrzymać swoje ciało w równowadze, w swobodnej, horyzontalnej pozycji. Najmniejszy ruch płetwą wzbijał w górę ogromne tumany przesłaniającego widok mułu.

Pitt popukał Jessie w ramię i skierował światło latarki do wnętrza małego pomieszczenia z wanną i dwiema toaletami. Wykonał pytający gest. Uśmiechnęła się nie wypuszczając z zębów ustnika i komicznie zaprzeczyła.

Przypadkowo uderzył latarką głębinową w przewód pary przebiegający pod sufitem i niechcący przesunął wyłącznik. Królestwo nieprzeniknionych ciemności, jakie nagle zapadły, było tak porażające, jakby wpadli do trumny i zatrzasnęło się za nimi jej wieko. Pitt nie miał najmniejszej ochoty pozostawać dłużej wśród wiecznej czerni panującej w grobie *Cyklopa* i natychmiast zapalił ponownie latarkę, oświetlając jaskrawożółte i czerwone kolonie gąbek czepiających się ściany korytarza.

Niebawem stało się oczywiste, że nie znajdą tutaj śladów posągu La Dorady. Wycofali się korytarzem śmierci i wypłynęli z powrotem na pokład dziobówki. Czekający tam na nich Giordino wskazał na luk, który zastygł w półotwartym położeniu. Pitt precyzyjnie przesunął się przez otwór z brzękiem butli powietrza obijających się o obramowanie i opadł w dół przytrzymując się fatalnie skorodowanej drabinki.

Przeplątał przez pomieszczenie wyglądające na ładownię bagażową. Lawirował wśród rozkładającego się rumowiska w kierunku nieziemskiego blasku głębinowej latarki Gunna. Minał stos rozsypanych po podłodze kości szkieletu; lada chwila spodziewał się usłyszeć upiorny wrzask przerażenia wydobywający się z rozdziawionej czaszki.

Zastał Gunna pochłoniętego oględzinami przegniłego wnętrza wielkiej skrzyni transportowej. Między skrzynią a ścianą wklinowały się makabryczne szkielety dwóch ludzi.

Serce Pitta zabiło przez chwilę żywiej z podniecenia i radości. Był pewien, że oto znaleźli najcenniejszy spośród bezcennych skarbów morza. Potem Gunn podniósł głowę i Pitt dostrzegł w jego oczach gorzkie rozczarowanie.

Skrzynia była pusta.

Frustrujące przeszukiwanie ładowni zaowocowało zaskakującym odkryciem. W mrocznych cieniach leżał niczym sflaczała gumowa lalka skafander do głębokiego nurkowania. Rękawy były rozpostarte, stopy tkwiły w obciążonych frankensteinowskich butach. Zaśniedziały mosiężny hełm nurka i napierśnik osłaniały głowę i szyję. Z boku, zwinięty niczym zdechły, szary wąż, leżał kabel, którym biegły przewód powietrza i linka sygnałowa. Odcięto je w odległości jakichś sześciu stóp od złącza hełmu.

Warstwa mułu i szlamu pokrywająca skafander świadczyła o tym, że spoczywa on tu od lat. Pitt

wydobył nóż przytroczonej do kostki prawej nogi i podważył nim motylkową nakrętkę dociskającą szybkę hełmu. Z początku stawiała opór, potem poluzowała się na tyle, że można ją było odkręcić palcami. Pitt otworzył szybkę i skierował do wnętrza promień światła latarki. Dzięki gumowemu skafandrowi i zaworom bezpieczeństwa destrukcyjne formy morskiego życia nie miały dostępu do wnętrza hełmu nurka. Zachowały się jeszcze włosy i resztki ciała.

Pitt i jego towarzysze nie byli pierwszymi, którzy zgłębiali makabryczne sekrety *Cyklopa*. Ktoś tu już przed nimi zawitał i odpłynął ze skarbem La Dorady.

ROZDZIAŁ 22

Pitt spojrział na swoją starą doxę i zaplanował postoje dekompresyjne. Na każdy postój doliczył dodatkową minutę jako margines bezpieczeństwa mający na celu dokładne usunięcie pęcherzyków gazu z ich krwi i tkanek, by nie dopuścić do bolesnych skurczy występujących przy zbyt gwałtownym wynurzeniu.

Po opuszczeniu *Cyklopa* wymienili puste już prawie butle powietrzne na rezerwowe, ukryte przy gondoli nawigacyjnej *Prosperteera*, i rozpoczęli powolny powrót na powierzchnię. Gunn i Giordino, krzątający się kilka stóp dalej przy nieporęcznym pakunku, dopuścili powietrza do swoich kompensatorów, żeby utrzymać się na właściwej głębokości.

W wodnym mroku pod sobą pozostawiali opuszczonego i skazanego na zapomnienie *Cyklopa*. Nim upłynie kolejne dziesięciolecie, rdzewiejące płyty poszycia zaczną się zapadać do środka, a za sto lat niespokojne dno morza przykryje całunem mułu to, co zostanie ze statku, pozostawiając tylko kilka sztuk obrosniętych koralami szczątków, by znaczyły miejsce jego spoczynku.

Powierzchnia morza nad ich głowami przypominała wrzącą rtęć. Na następnym postoju dekompresyjnym zaczęli odczuwać miazdzący impet wielkich jak góry fal i unosząc się pośród otchłani z trudem trzymali się razem. Nie było mowy o zarządzaniu postojem na poziomie dwudziestu stóp. Zapas powietrza był już na wyczerpaniu, a w głębinach czekała ich tylko śmierć. Nie mieli innego wyboru, jak wynurzyć się i szukać szansy ocalenia mimo szalejącego na powierzchni sztormu.

Jessie wyglądała na spokojną i opanowaną. Pitt zdawał sobie sprawę, że nie podejrzewa nawet niebezpieczeństwa, jakie zagraża im na powierzchni. Myślała tylko o ponownym ujrzeniu nieba.

Pitt sprawdził po raz ostatni czas i pokazał kciukiem w górę. Zaczęli się wznosić jednocześnie. Jessie trzymała Pitta za nogę, Gunn i Giordino wlekli za sobą tobół. Rozjaśniło się i spojrzawszy w górę Pitt zobaczył ze zdziwieniem spiralę piany zaledwie kilka stóp nad sobą.

Wynurzył się przebijając ją głową i został uniesiony przez ogromną, pochyłą ścianę zieleni, która wywindowała go w górę i przerzuciła przez grzbiet wysokiej fali z taką łatwością, jakby był plastikową zabawką w wannie. Wiatr gwizdał mu w uszach, a mokry prysznic siekł policzki. Zsunął maskę na czoło i zamrugał oczyma. Niebo na wschodzie zasnuwały ciemne, wirujące chmury, które stawały się czarne jak węgiel, gdy pędziły nad szarozielonym morzem. Szybkość, z jaką zbliżał się sztorm, była niewiarygodna. Zdawał się być w trakcie skoku z jednego horyzontu na drugi.

Jessie wynurzyła się obok niego i patrzyła szeroko rozwartymi oczyma na gnającą na nich poczerniałą pokrywę chmur. Wypluła ustnik.

- Co to jest?

- Huragan - wrzasnął Pitt przekrzykując wycie wichru. - Nadciąga szybciej, niż przewidywano.

- O Boże! - wykrztusiła.

- Odepnij pas obciążnikowy i zrzuć butle z powietrzem - polecił.

Pozostałych nie trzeba było instruować. Pozbyli się już swego sprzętu do nurkowania i rozdzielali pospiesznie tobół. Chmury nasunęły się już nad nich i znaleźli się raptem w nierealnym, wypranym z barw świecie. Ogłuszyła ich ta gwałtowna demonstracja atmosferycznej potęgi. Wiatr nagle przybrał w dwójnasób na sile wypełniając powietrze pianą, wzbijając w górę wodny pył i szarpiąc na strzępy grzbiety fal.

W pewnym momencie tobół, który tak ofiarnie holowali za sobą z *Prosperteera*, rozłożył się z impetem w nadmuchiwaną łódź wyposażoną w mały dwudziestokonny silnik zewnętrzny w wodoodpornej, plastikowej osłonie. Giordino wgramolił się do środka, Gunn poszedł w jego ślady i obaj rzucili się natychmiast do gorączkowego zdzierania z silnika osłony. Rozszalały wicher szybko odpychał łódź od Pitta i Jessie. Odległość rosła w zastraszającym tempie.

- Dryfkotwa! - zawył Pitt. - Rzućcie dryfkotwę!

Gunn ledwie dosłyszał Pitta poprzez wycie huraganu. Dźwignął i przerzucił przez burtę brezentowy worek w kształcie stożka przytrzymywany w stanie otwartym przez żelazną obręcz rozpierającą wylot. Następnie opuścił go na linie, której koniec umocował do pachołka na dziobie. Pod wpływem oporu stawianego przez dryfkotwę łódź wykręciła pod wiatr i zwolniła.

Podczas gdy Giordino mozolił się z silnikiem, Gunn cisnął linę Pittowi, a ten obwiązał Jessie pod pachami. Gunn pociągnął ją w kierunku łodzi, a Pitt ruszył za nią wpław walcząc z załamującymi się nad głową falami. Zerwało mu maskę z głowy i słony prysznic siekł go po oczach. Widząc, że rozkołysane morze unosi łódź szybciej, niż on płynie, zdwoił wysiłki.

Muskularne ręce Giordina zanurzyły się w wodzie, zwały na przegubach Jessie i wciągnęły ją do łodzi z taką łatwością, jak dziesięciofuntową rybę. Pitt zmrużył oczy w szparki. Raczej poczuł, niż zobaczył linę spadającą mu na ramię. Zdołał jeszcze dostrzec uśmiechniętą twarz Giordina wychylającego się przez burtę i jego wielkie dłonie zwijające linę. Potem leżał już na dnie kołyszącej się dziko łodzi sapiąc ciężko i mrugając oczyma, by pozbyć się z nich soli.

- Jeszcze chwila i znalazłbyś się poza zasięgiem liny - wrzasnął Giordino.

- Przy dobrej zabawie czas szybko mija - odkrzyknął Pitt.

Słyszając pewną siebie odpowiedź Pitta, Giordino wzniosł oczy do nieba i zajął się znowu silnikiem.

Bezpośrednim niebezpieczeństwem, jakie teraz nad nimi wisiało, była możliwość wywrotki. Dopóki silnik nie zostanie uruchomiony i nie zapewni im minimum stabilności, napierające fale mogły w każdej chwili przewrócić łódź do góry dnem. Pitt z Gunnem wyrzucili za burtę torby balastowe na uwięzi, które chwilowo oddaliły to niebezpieczeństwo.

Siła wiatru była piekielna. Szarpał włosy i ciała, wodna mgiełka szorująca skórę zdawała się pochodzić z miotacza piasku. Mała nadmuchiwana łódka wyginała się pod naporem rozszalałego morza i zataczała w porywach wiatru, ale się jakoś nie przewracała.

Pitt, ściskając w prawej dłoni linkę ratunkową, ukląkł na twardych gumowych listwach podłogi i odwrócił się do wiatru plecami. Następnie wyciągnął lewą rękę. Była to stara żeglarska sztuczka udająca się zawsze na północnej półkuli. Jego lewa ręka będzie wskazywała środek sztormu.

Ocecił, że znajdują się w pewnej odległości od środka. Nie ma co liczyć na chwilę wytchnienia we względnym spokoju oka cyklonu. Jego główna trasa przebiegała dobre czterdzieści mil na północ od nich. Najgorsze mieli jeszcze przed sobą.

Zwalila się na nich fala, potem następna; dwie, jedna po drugiej, z których każda z osobna mogła przetrącić kręgosłup większej, solidniejszej jednostce. Ale mocny, drobny ponton otrząsnął się z wody i jak korek wychynął z powrotem na powierzchnię. Wszyscy zdołali się w porę czegoś złapać i nikogo nie zmyło za burtę.

Giordino dał wreszcie znak, że uruchomił silnik. Nikt nie słyszał jego warkotu ginącego w wyciu wiatru. Pitt z Gunnem wciągnęli szybko dryfkotwę i torby balastowe.

Pitt osłonił ręką usta i krzyknął Giordinowi do ucha:

- Płyń z wiatrem!

Posuwanie się kursem poprzecznym było niemożliwe. Przewróciłyby ich połączone siły wiatru i wody. Skierowanie dziobu pod wiatr groziłoby łomotem, którego by nie przetrwali. Jedyłą nadzieją było posuwanie się po drodze najmniejszego oporu.

Giordino skinął ponuro głową i pchnął dźwignię przepustnicy. Łódź wykręciła ostro w dolinie fali i pognąła przed siebie morzem, które pobielało już całkowicie od ubijanej wichrem piany. Wszyscy, prócz Giordina, rozciągnęli się na płask na listwach podłogi. Giordino zaś siedział z owiniętą wokół ramienia linką ratunkową i wolną ręką ściskał dźwignię sterującą silnika.

Światło dnia gasło powoli i do zapadnięcia nocy pozostała jeszcze godzina. W parnym i dusznym powietrzu trudno było oddychać. Wyglądająca niemal solidnie ściana wzbijanej wiatrem wody ograniczała widoczność do niecałych trzystu jardów. Pitt pożyczyl od Gunna maskę do nurkowania i wystawił głowę nad dziób. Przypominało to stanie z zadartą w górę głową pod wodospadem Niagara.

Cyklon wyładowywał teraz na nich całą swą wściekłość i Giordina ogarniała czarna rozpacz. To, że przetrwali do tej pory, graniczyło z cudem. Jego walka z kołującym się morzem przypominała coś w rodzaju kontrolowanego szału. Desperacko próbował uchronić ich kruchą oazę przed zatopieniem. Zmieniał bez przerwy nastawy przepustnicy usiłując utrzymać się tuż za wypiętrzającymi się masami wody. Co kilka sekund zerkał z niepokojem przez ramię na odległe o trzydzieści stóp doliny ścigające rufę.

Wiedział, że od końca dzielą ich minuty, przy dużej dozie szczęścia na pewno nie więcej niż godzina. Tak łatwo byłoby skierować łódź po trawersie i zakończyć to od razu. Poświęcił jedno spojrzenie pozostałym i zobaczył szeroki uśmiech zachęty na ustach Pitta. Jeśli nawet jego przyjaciel, którego znał od blisko trzydziestu lat, przeczuwał zbliżającą się śmierć, to nie dawał tego po sobie poznać. Pitt przeczekał szarżującą falę i znowu wystawił głowę nad dziób. Giordino nie potrafił sobie wytłumaczyć, czego tam wypatruje.

A Pitt obserwował fale. Wypiętrzały się teraz wyżej i były bardziej strome, wiatr zrywał pienne, białe grzywy ze szczytów i ciskał je w następną dolinę. Ocenił na oko odległość między sąsiednimi grzbietami i stwierdził, że zbliżyły się do siebie niczym przednie szeregi maszerującej kolumny, która zwalnia kroku.

Dno się podnosiło. Nawałnica gnała ich na płytsze wody.

Wyteżył oczy, żeby przebić wzrokiem skłębioną ścianę wody. Powoli, jak na wywoływanej czarno-białej fotografii, zaczęły się tam wyłaniać ciemne zarysy. Pierwsze skojarzenie, jakie przemknęło mu przez myśl, to zaniedbane zęby, poczerniałe pieńki szorowane białą pastą do zębów. Obraz wyostrzył się przybierając kształt ciemnych skał i fal walących w nie z wielkimi, nie mającymi końca erupcjami bieli. Patrzył na wodę strzelającą w niebo na skutek kolizji cofającego się morza z następną pędzącą ku brzegowi falą. Potem, kiedy przybój uspokoił się na chwilę, dostrzegł niską rafę, która ciągnęła się równoległe do skał i tworzyła naturalny falochron przed szeroką, rozległą plażą. Doszedł do wniosku, że to pewnie należąca do Kuby wyspa Cayo Santa Maria.

Nie miał żadnych problemów z wyobrazeniem sobie prawdopodobieństwa nowego koszmaru: ciała rozerwane na strzępy na koralowej rafie albo nadziane na postrzępione skały. Otarł sól z szybki maski i spojrzał znowu. I wtedy zobaczył go - wir dający jedną na tysiąc szansę ocalenia.

Giordino też go zauważył - mały przesmyk między skałami. Skręcił ku niemu zdając sobie sprawę, że łatwiej by mu poszło nawleczenie igły w działającej pralce automatycznej.

W ciągu następnych trzydziestu sekund silnik ze sztormem pospołu popchnęły łódź o sto jardów do przodu. Morze kipiało na rafie pokrywając się brudną pianą, a szybkość wiatru wzrosła tak, że wodna mgiełka i zapadające ciemności redukowały widoczność prawie do zera. Twarz Jessie pobladła, ciało zeszywniało. Jej przestraszone, ale ufne oczy spotkały się na chwilę z oczami Pitta. Otoczył ją ramieniem w pasie i przytrzymał mocno.

Wielki grzywacz runął na nich niczym schodząca z wysokiej góry lawina. Śruba silnika przyspieszyła, dziko młóćąc powietrze nad grzbietem fali, lecz jej protestujący wizg utonął w ogłuszającym łomocie przyboju. Gunn otworzył usta do ostrzegawczego krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mknąca fala podwinęła się nad łodzią i runęła na nich z fantastyczną siłą. Wydarła Gunnowi z rąk linkę ratunkową i Pitt ujrzał go, jak wirując wylatuje w powietrze niczym urwany ze sznurka latawiec.

Łódź przefrunęła nad skąpaną w pianie rafą. Koral przeciął gumowane płótno komór powietrznych; nie dokonałoby tego skuteczniej całe pole żyłek. Grubo impregnowane dno wytrzymało. Na chwilę znaleźli się pod wodą. Potem, z wielkim móżolem, wierny, mały ponton wygramolił się na

powierzchnię za rafą. Od majaczących w mroku, ociekających wilgocią, urwistych skał dzieliło ich już tylko pięćdziesiąt jardów wody.

Gunn wypłynął zaledwie kilka stóp od burty chwytając łapczywie powietrze w płuca. Pitt wyciągnął rękę, złapał go za szelkę kompensatora pływalności i wciągnął do łodzi. Uczynił to w samą porę. Nad rafą, z rykiem stada oszalałych zwierząt umykających przed pożarem lasu, załamywała się już następna fala.

Giordino tkwił ponuro przy silniku, który pomrukiwał wytrwale, dając z siebie wszystko, co były w stanie wydusić jego tłoki. Nie trzeba było fachowca, by zdawać sobie sprawę, że kruchy ponton jest rozdzierany na strzępy. Na wodzie unosił się do tej pory tylko dzięki powietrzu uwięzionemu jeszcze w komorach.

W chwili porwania przez falę znajdowali się tuż przed wyłomem w skałach. Poprzedzająca dolina wślizgnęła się pod podstawę fali zwiększając dwukrotnie jej wysokość. Szybkość pędzącego w stronę skalistego brzegu grzywacza gwałtownie rosła.

Pitt zerknął w górę. Nad nimi piętrzyły się złowrogie szczyty, woda u ich podnóży wrzała jak w kotle. Potężna siła pchnęła łódź na front fali i przez mgnienie oka Pitt miał jeszcze nadzieję, że może przelecać przez grzbiet, zanim ten się załamie. Ale fala podwinęła się nagle i pognęła przed siebie, waląc z trzaskiem pioruna w skały naprzeciwko przesmyku, wyrzucając postrzępioną łódź i jej pasażerów w powietrze, ciskając ich w wir.

Pitt usłyszał dobiegający z dala krzyk Jessie. Ledwie dotarł do jego otępiełej świadomości. Próbował nań odpowiedzieć, ale wtedy wszystko się rozmazało. Łódź runęła na wodę z tak druzgocącą siłą, że wyrwany z zamocowań silnik wystrzelił jak z procy i poszybował na plażę.

Od tej chwili Pitt nie pamiętał już niczego. Otworzył się przed nim czarny wir i wessał go w siebie.

ROZDZIAŁ 23

Mężczyzna będący główną sprężyną projektu Kolonii Jersey leżał na kanapie w biurze centrum koordynacyjnego tego tajnego przedsięwzięcia. Dawał chwilę wytchnienia swoim oczom i rozmyślał o spotkaniu z prezydentem na polu golfowym.

Leonard Hudson cholernie dobrze wiedział, że prezydent nie zamierza siedzieć i cierpliwie czekać na następne niespodziewane spotkanie. Szeft rządu był człowiekiem energicznym, który nie zdawał się nigdy na szczęśliwy zbieg okoliczności. Chociaż informatorzy z Białego Domu i agencji wywiadowczych meldowali, że nic nie wskazuje na wszczęcie jakiegokolwiek dochodzenia, Hudson był pewien, że prezydent obmyśla jakiś sposób uchylecia kurtyny zapuszczonej wokół “jądra”.

Niemal czuł zarzucaną sieć.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął sekretarz.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale pan Steinmetz jest na linii wideo i chce z panem rozmawiać.

- Zaraz tam będę.

Zawiązując krawat Hudson przestawił swe myśli na inne tory. Niczym komputer odesłał aktualnie rozważany problem do pamięci, a wywołał stamtąd inny. Wolał nie wojować ze Steinmetzem, nawet jeśli ten człowiek znajduje się teraz ćwierć miliona mil stąd.

Eli Steinmetz był typem inżyniera, który przewycięża przeszkodę projektując teoretyczne rozwiązanie, a następnie sam sprawdza je w praktyce. Hudson wybrał tego właśnie człowieka na kierownika Kolonii Jersey ze względu na jego talent do improwizacji. Jako absolwent Caltech legitymujący się dyplomem MIT, sprawował nadzór nad budowami prowadzonymi w połowie krajów świata, nawet w Rosji.

Kiedy “jądro” zwróciło się do niego z propozycją wybudowania pierwszego ludzkiego osiedla na Księżycu, Steinmetz blisko tydzień oswajał się psychicznie z tą niesamowitą koncepcją i oszałamiającą logistyką tego rodzaju przedsięwzięcia. W końcu zgodził się, ale tylko na własnych warunkach.

On i tylko on będzie dobierał ludzi, którzy mają przebywać na Księżycu. Nie będzie wśród nich miejsca dla żadnych pilotów ani primadonnastronautów. Wszystkie loty kosmiczne odbywać się będą pod nadzorem kontroli naziemnej albo komputerów. Pod uwagę brani będą tylko ludzie o specjalistycznych kwalifikacjach niezbędnych przy budowie bazy. Poza Steinmetzem w skład pierwszej trójki kładącej podwaliny pod kolonię wchodził inżynier energetyk specjalizujący się w wykorzystaniu energii słonecznej i inżynier budowlany. Po kilku miesiącach dokooptowali doktora

biologii, geochemika i ogrodnika. Inni naukowcy i technicy dołączali w miarę zapotrzebowania na ich specjalistyczną wiedzę i doświadczenie.

Z początku uważano, że Steinmetz jest za stary. Stawiając po raz pierwszy stopę na Księżycu Uczyl sobie pięćdziesiąt trzy lata, a teraz miał pięćdziesiąt dziewięć. Ale Hudson i inni członkowie "jądra" nad wiek przedkładali doświadczenie i jak dotąd nie żalowali dokonanego wyboru.

Teraz Hudson patrzył na ekran monitora, na którym widniał Steinmetz trzymający butelkę z ręcznie wymalowaną etykietą. W odróżnieniu od innych kolonistów, Steinmetz nie zapuścił brody, a na dodatek golił sobie głowę. Cerę miał śniadą, harmonizującą z matowoczarnymi oczyma. Steinmetz był amerykańskim Żydem w piątym pokoleniu, ale mógł spokojnie spacerować po muzułmańskim meczecie nie zwracając na siebie uwagi.

- Co pan powie na taką samowystarczalność? - spytał Steinmetz. - Chateau Lunar Chardonnay, 1989. Rocznik nie najlepszy. Winogron wystarczyło tylko na cztery butelki. Właściwie należałoby wyleżakować je z rok w cieplarniach, żeby dojrzało, ale zabrakło nam cierpliwości.

- Widzę, że sporządziliście sobie nawet butelki - zauważył Hudson.

- Tak, nasz pilotowy zakład chemiczny pracuje już pełną parą. Zwiększyliśmy jego wydajność, tak że jesteśmy teraz w stanie w ciągu piętnastu dni przetwarzać prawie dwie tony księżycowych kopalin na dwieście funtów nie oczyszczonego metalu albo pięćdziesiąt funtów szkła.

Steinmetz siedział na długim, płaskim stole pośrodku małej jaskini. Miał na sobie cienką, bawełnianą koszulkę i spodenki gimnastyczne.

- Widzę, że czujesz się swobodnie - stwierdził Hudson.

- Pamiętasz nasze priorytetowe zadanie zaraz po wylądowaniu? - zapytał z uśmiechem Steinmetz.

- Hermetyczne uszczelnienie wejścia do jaskini i wytworzenie w niej atmosfery pod odpowiednim ciśnieniem, żeby można było pracować bez niewygodnych skafandrów.

- Nie wyobrażasz sobie, co za ulgę odczuliśmy wskakując z powrotem w normalne ubrania po spędzeniu ośmiu miesięcy w tych cholernych opakowaniach.

- Murphy skrupulatnie kontroluje temperaturę i twierdzi, że zwiększa się absorpcja ciepła przez ściany jaskini. Radzi, żebyście wysłali kogoś na zewnątrz z zadaniem zmniejszenia o pół stopnia kąta nachylenia kolektorów słonecznych.

- Dopilnuję tego.

Hudson milczał przez chwilę.

- Już niedługo, Eli.

- Dużo zmieniło się na Ziemi, od kiedy ją opuściłem?

- Właściwie jest tak samo, z tym że więcej smogu, większy ruch na drogach i więcej ludzi.

Steinmetz roześmiał się.

- Próbujesz mnie namówić na jeszcze jedną turę, Leo?

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Kiedy zstąpisz z niebios, będziesz największym człowiekiem od czasów Lindbergha.

- Wszystkie nasze dokumenty będę miał spakowane i zabezpieczone na promie księżycowym dwadzieścia cztery godziny przed startem.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz odkorkować swojego księżycowego wina w drodze powrotnej.

- Nie, nasze pożegnalne przyjęcie urządzimy na tyle wcześnie, żeby do odlotu pozbyć się z organizmu wszelkich pozostałości alkoholu.

Hudson próbował dojść do sedna sprawy okreśną drogą, ale w końcu zdecydował, że lepiej będzie, jeśli powie prosto z mostu.

- Tuż przed odlotem będziecie mieli przeprawę z Rosjanami - powiedział beznamiętnie.

- Już to omawialiśmy - odparł pewnie Steinmetz. - Nie ma powodu przypuszczać, że wylądują bliżej niż dwa tysiące mil od Kolonii Jersey.

- Gdyby jednak stało się inaczej, wytropcie ich i wyeliminujcie. Macie broń i sprzęt niezbędny do takiego polowania. Ich naukowcy nie będą uzbrojeni. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewają, jest atak ze strony ludzi znajdujących się już na Księżycu.

- Chłopcy i ja z ochotą staniemy w obronie swojego podwórka, ale nie zamierzamy stąd wychodzić i strzelać do bezbronnych ludzi, ze strony których nic nam nie zagraża.

- Posłuchaj mnie, Eli - powiedział błagalnym tonem Hudson. - Zagrożenie istnieje, i to bardzo realne. Jeśli Sowieci odkryją w jakiś sposób istnienie Kolonii Jersey, mogą do niej wkroczyć. Skoro ty i twoi ludzie wracacie na Ziemię w niecałe dwadzieścia cztery godziny po wylądowaniu ich kosmonautów, zastaną kolonię opuszczoną i wszystko, co się w niej znajduje, padnie ich łupem.

- Zdaję sobie z tego sprawę tak samo dobrze jak ty - odburknął Steinmetz - i jeszcze bardziej mi się to nie podoba. Ale niestety faktem jest, że nie możemy odłożyć naszego odlotu. Znajdujemy się już u kresu wytrzymałości, a nawet i gorzej. Nie mogę nakazać ludziom, żeby zostali jeszcze sześć miesięcy czy rok albo dopóki twoi przyjaciele nie raczą przysłać tu na górę innej rakiety, która zabierze nas z kosmosu i zwiezie bezpiecznie na Ziemię. Wiń za to pecha i Rosjan, którzy ogłosili swój program lądowań na Księżycu, kiedy było już za późno, żebyśmy zdążyli zmienić termin lotu powrotnego.

- Księżyc należy do nas prawem zasiedzenia - zaproponował ze złością Hudson. - Obywatele Stanów Zjednoczonych pierwsi postawili stopę na jego powierzchni i my go pierwsi skolonizowaliśmy. Na

miłość boską, Eli, nie oddawaj go tej złodziejskiej bandzie komunistów.

- Do cholery, Leo, Księżyc wystarczy dla wszystkich. Poza tym nie jest to, prawdę mówiąc, rajski ogród. Różnica temperatur za dnia i w nocy na zewnątrz tej jaskini może dochodzić do dwustu pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Wątpię, czy nawet kasyna gry zbiłyby tutaj majątek. Pomyśl, nawet jeśli ci kosmonauci natkną się na naszą kolonię, to nie będzie to dla nich kopalnia informacji. Wszystkie dane, jakie zebraliśmy, wrócą z nami na Ziemię. To, co zostawiamy, możemy zniszczyć.

- Nie gadaj głupstw. Dlaczego mamy niszczyć coś, co może się przydać następnym kolonistom, stałym osadnikom, którym będzie potrzeba dosłownie wszystkiego.

Patrząc na swój monitor, Steinmetz zauważył rumieniec na twarzy oddalonego o 240 000 mil Hudsona.

- Jasno określiłem swoje stanowisko, Leo. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy bronili Kolonii Jersey, ale nie oczekuj od nas utworzenia bojówki i mordowania niewinnych kosmonautów. Co innego strzelać do bezzałogowej sondy kosmicznej, a zupełnie co innego zabijać istotę ludzką za wkroczenie na teren, po którym ma wszelkie prawo stąpać.

Po tym oświadczeniu zapadło nieprzyjemne milczenie, ale tego właściwie spodziewał się Hudson po Steinmetzu. Ten człowiek nie był tchórzem. Daleko mu było do tego. Hudson słyszał wiele opisów jego bójek i awantur. Steinmetza można było popchnąć i przewrócić na podłogę, ale kiedy wstał i jego wściekłość osiągnęła punkt wrzenia, potrafił walczyć jak dziesięć wcielonych diabłów. Piewcy jego legendy tracili rachubę bywalców spelunek, których zdrowo poturbował.

Milczenie przerwał Hudson.

- A przypuścimy, że sowieccy kosmonauci wylądują w odległości nie większej niż piętnaście mil? Czy to cię przekona, że noszą się z zamiarem zajęcia Kolonii Jersey?

Steinmetz poprawił się na swoim wykutym z kamienia siedzeniu, nieskory do ustępstw.

- Będziemy musieli poczekać i zobaczyć.

- Nikt nigdy nie wygrał bitwy przechodząc do defensywy - pouczył go Hudson. - Czy pójdziesz na kompromis i uderzysz pierwszy, jeśli miejsce ich lądowania znajdzie się w odległości umożliwiającej atak i wszystko będzie wskazywało na to, że zamierzają zbliżyć się do kolonii?

Steinmetz skinął ogoloną głową.

- Ponieważ starasz się koniecznie przyprzeć mnie do muru, nie pozostawiasz mi wielkiego wyboru.

- Stawki są za wysokie - powiedział Hudson. - Wyboru nie masz żadnego.

ROZDZIAŁ 24

Opar spowijający mózg Pitta podniósł się i jeden po drugim, jak lampki na tablicy rozdzielczej, wracały do życia zmysły. Uczynił wysiłek, by unieść powieki i skupić wzrok na najbliższym obiekcie. Przez dobre pół minuty przypatrywał się pomarszczonej skórze swojej lewej dłoni, a potem, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, pomarańczowej tarczy swojego głębinowego zegarka.

Wskazówki jarzące się w szarym przedświcie wskazywały 6.34. Zaledwie przed dwoma godzinami wydostali się ze zniszczonej gondoli nawigacyjnej. Wydało mu się, że minęła raczej cała wieczność i że nic w niej nie było realne.

Wiatr przeorywał wciąż morze z szybkością pociągu ekspresowego i wodna mgiełka pospołu z zacinającym deszczem siekła go po plecach. Spróbował stanąć na czworakach, ale nogi miał jak zalane betonem. Odwrócił głowę i spojrzał w dół. Żłobiące działanie cofającej się granicy przyboju zagrzebało je do połowy w piasku.

Wyczerpany leżał jeszcze przez kilka chwil zbierając siły. Czuł się sponiewierany niczym szczątek zatopionego statku wyrzucony na brzeg. Po obu stronach piętrzyły się głazy przypominające kamienice wzdłuż alei. Zaświtała mu pierwsza świadoma myśl, że Giordinowi się udało, że przeprowadził ich przez ucho igielne skalnej bariery.

Potem, poprzez wycie wichru usłyszał dolatujące skądś słabnące wołanie Jessie. Wyszarpnął nogi z piasku i uklęknął z wysiłkiem, chwiejąc się w podmuchach wichury, wymiotując słoną wodą, która wdarła mu się do nosa, do ust i spłynęła przełykiem do żołądka.

Na wpół się czołgając, na wpół brnąc przez szorstki piasek znalazł wreszcie siedzącą w otępieniu Jessie. Mokre, pozlepiane włosy opadały jej kosmykami na ramiona, na kolanach trzymała głowę Gunna. Spojrzała na Pitta pustym wzrokiem i nagle jej oczy rozszerzyły się z niezmiernej ulgi.

- O, dzięki ci, Boże - wymamrotała, a jej słowa utonęły w nawałnicy.

Pitt otoczył rękami ramiona Jessie i uściskiem dodał jej otuchy. Potem zainteresował się Gunnem.

Gunn był półprzytomny. Złamana kostka spuchła mu do rozmiarów piłki futbolowej. Powyżej linii włosów ciągnęło się paskudne rozcięcie, całe ciało miał pokaleczone koralami, ale żył i oddychał głęboko i miarowo.

Pitt osłonił oczy i rozejrzał się po plaży. Giordina nie było nigdzie widać. W pierwszej chwili Pitt nie chciał dopuścić do siebie tej myśli. Mijały sekundy, a on stał zaryty stopami w piasku stawiając czoło porywom nawałnicy i usiłował rozpaczliwie przebić wzrokiem ciemną kurtynę ulewy. W wirze

zdychającego grzywacza dostrzegł przez moment pomarańczową plamkę i natychmiast rozpoznał w niej rozszarpany kadłub nadmuchiwanej łodzi. Porwana przez cofający się żywioł odpłynęła w morze, by po chwili powrócić na grzbiecie kolejnej fali.

Pitt wbiegł po pas w wodę nie bacząc na huczące wokół fale przyboju. Zanurkował pod zmaltretowaną łódź i wyciągając przed siebie ręce zaczął macać dookoła jak ślepiec. Jego palce napotykały tylko porwaną tkaninę. Popchnięty jakimś wewnętrznym nakazem zyskania absolutnej pewności, pociągnął łódź za sobą w kierunku plaży.

Dopędziła go niezauważenie i grzmotnęła w plecy olbrzymia fala. Zdołał jakoś utrzymać się na nogach i wywlec łódź na płyciznę. Gdy wiatr rozniósł na wszystkie strony pokrywę opadającej piany, ujrzał parę nóg sterczących spod wywróconej do góry dnem łodzi. Szok, niedowierzanie i fanatyczny sprzeciw wobec przyjęcia do wiadomości śmierci Giordina poraziły mu umysł. Gorączkowo, niepomny szalejącego huraganu, rozdarł strzepy pontonu odsłaniając unoszące się pionowo w wodzie ciało Giordina z głową ukrytą w komorze pływakowej. Najpierw Pitt poczuł iskierkę nadziei, potem pewność, porażającą niczym cios w żołądek.

Giordino mógł jeszcze żyć.

Pitt oddarł wewnętrzną wykładzinę łodzi i pochylił się nad twarzą Giordina. Nie straciła barwy i oddech nie zanikł - był nierówny i płytki, ale nie zanikł. Niewiarygodne, ale krzepki, mały Włoch przeżył dzięki powietrzu uwięzionemu w komorze pływakowej.

Pitt poczuł nagle skrajne wyczerpanie. Był wykończony fizycznie i emocjonalnie. Słaniał się bezradnie w podmuchach wichury, która usiłowała zbić go z nóg. Tylko niezłomna wola ratowania towarzyszy nie pozwalała mu skapitulować. Zesztywniały od niezliczonych skaleczeń i sińców, wsunął powoli ręce pod Giordina i dźwignął go z ziemi. Odniósł wrażenie, że Giordino waży nie swoje sto siedemdziesiąt pięć funtów, lecz tonę.

Gunn przyszedł już do siebie w ramionach Jessie. Spojrzał pytająco na Pitta, który uginając się pod ciężarem bezwładnego ciała Giordina brnął mozolnie w ich kierunku przez smaganą wiatrem plażę.

- Musimy znaleźć jakąś osłonę przed wiatrem - wrzasnął Pitt głosem ochryplym od łykania słonej wody. - Możesz chodzić?

- Ja mu pomogę - odkrzyknęła Jessie. Objęła Gunna obiema rękami w pasie, wbiła stopy w piasek i dźwignęła go na nogi.

Dyszac ciężko pod swoim brzemieniem, Pitt ruszył w stronę rzędu palm rosnących na skraju plaży. Co dwadzieścia stóp oglądał się przez ramię. Jessie udało się zachować maskę do nurkowania, więc tylko ona jedna mogła iść z otwartymi oczyma patrząc przed siebie. Przejęła na swoje barki niemal połowę ciężaru Gunna, który dzielnie kuśtykał obok niej, zaciskając powieki przed siekącymi ziarenkami piasku i wlokąc za sobą spuchniętą jak bania stopę.

Udało im się dobrnąć do drzew, ale nie znaleźli tam schronienia przed huraganem. Wichura przyginała wierzchołki palm niemal do samej ziemi, a ich liście szły w strzepy jak papier w maszynie

do niszczenia dokumentów. Orzechy kokosowe odrywające się od kiści rąbały w ziemię z impetem armatnich kul i równą im siłą rażenia. Jeden, spadając tuż obok, otarł się o Pitta zdzierając mu szorstką łupiną skórę z obnażonego ramienia. Przypominało to forsowanie pasa ziemi niczyjej na jakimś polu bitwy.

Pitt brnął z pochyloną nisko głową obserwując grunt pod stopami i zerkając co chwila na boki. Zanim zdążył się zorientować, nadzieją się na ogrodzenie z metalowej siatki. Jessie z Gunnem dobili do niego i przystanęli. Spojrzał w prawo, potem w lewo, ale nie dostrzegł w siatce żadnej przerwy. Przelezenie górą nie wchodziło w rachubę. Ogrodzenie miało co najmniej dziesięć stóp wysokości i zwieńczone było drutem kolczastym rozciągniętym na sterczących pod kątem wysięgnikach. Pitt zauważył również mały porcelanowy izolator, co oznaczało, że siatka jest pod napięciem.

- Którędy teraz? - krzyknęła Jessie.

- Ty prowadź - wrzasnęła jej do ucha Pitt. - Ja nic nie widzę.

Wskazała ruchem głowy na lewo i ruszyła przodem podtrzymując kuśtykającego u jej boku Gunna. Parli przed siebie krok za krokiem, walcząc z bezlitosną potęgą wichru.

W ciągu następnych dziesięciu minut pokonali zaledwie pięćdziesiąt jardów. Pitt nie miał już siły. Giordino wysuwał mu się ze zdrętwiałych rąk. Zamknął oczy i zaczął iść na ślepo, licząc kroki. Kierunek utrzymywał szorując ramieniem o ogrodzenie, pewny, że huragan musiał pozrywać przewody doprowadzające prąd.

Usłyszał krzyk Jessie i uchylił nieco jedną powiekę. Pokazywała z ożywieniem przed siebie. Pitt osunął się na kolana, delikatnie złożył ciało Giordina na ziemi i spojrzał we wskazywanym przez Jessie kierunku. Zobaczył, jak palma, wyrwana z korzeniami przez obłąkańczy wiatr, wylatuje w powietrze niczym monstrualny oszczep, spada na ogrodzenie i przygniata je do piasku.

Zatrważająco gwałtownie zapadła noc i niebo stało się smoliście czarne. Po omacku jak krety, zataczając się i padając, przeleźli przez wywrócone ogrodzenie pchani instynktem i jakąś wewnętrzną dyscypliną, która nie pozwalała im spocząć i dać za wygraną. Jessie parła wytrwale przodem. Pitt przerzucił sobie Giordina przez ramię i złapał się pasa spodenek kąpielowych Gunna nie tyle po to, by się na coś wesprzeć, ile uniknąć rozdzielenia.

Sto jardów, jeszcze sto jardów i nagle Gunn i Jessie jakby zapadli się pod ziemię. Pitt puścił się spodnek Gunna i runąwszy na wznak stęknął pod ciężarem Giordina, który zwałił mu się na klatkę piersiową wyduszając powietrze z płuc. Wygramolił się spod Giordina i wyciągnąwszy rękę zaczął macać przed sobą, dopóki nie natrafił na pustkę.

Jessie z Gunnem zsunęli się po stromej, wysokiej na osiem stóp skarpie na przebiegającą dołem drogę. Ledwie odróżniał majaczące w dole splecione zarysy ich leżących postaci.

- Nic się wam nie stało? - zawołał.

- Już przedtem byliśmy tak poobijani, że teraz trudno powiedzieć. - Wycie wiatru tłumilo słowa

Gunna, ale nie aż tak, by Pitt nie zorientował się, że są wypowiedziane przez zaciśnięte zęby.

- Jessie?

- Nic mi nie jest... chyba.

- Możesz mi pomóc z Giordinem?

- Spróbuję.

- Spuść go tutaj - powiedział Gunn. - Damy sobie radę.

Pitt dotaszczył bezwładne ciało Giordina na skraj skarpy i trzymając je za ręce zsunął ostrożnie po pochyłości. Jessie z Gunnem przytrzymali nieprzytomnego za nogi, dopóki Pitt sam do nich nie zlął i nie przejął na siebie jego ciężaru. Kiedy Giordino leżał już rozciągnięty wygodnie na ziemi, Pitt rozejrzał się dookoła, żeby zorientować się w sytuacji.

Skarpa, której podnóżem biegła droga, dawała osłonę przed szalejącą wichurą. Gnane wiatrem tumany piasku opadły i Pitt mógł wreszcie otworzyć oczy. Droga, której nawierzchnię stanowiły pokruszone muszle morskie, okazała się dobrze utwardzona i mało używana. Jak okiem sięgnąć nie widać było najmniejszego światełka. Pitt uznał, że najpewniej zanim huragan uderzył z całą furją, wszyscy ewentualni tubylcy wycofali się w głąb lądu.

Jessie i Gunn byli oboje u kresu sił. Łapali powietrze chrapliwie, małymi haustami. Pitt zauważył, że jego oddech też jest przyspieszony i ciężki, a serce łomocze mu w piersiach jak silnik parowy pod pełnym obciążeniem. Zaświtała mu nagle myśl, że chociaż tak zmordowani i sponiewierani, czują się jednak jak w raju leżąc za osłoną, która o połowę redukuje główny napór nawałnicy.

Dwie minuty później Giordino zaczął jęczeć. Potem usiadł powoli i rozejrzał się dookoła, ale niczego nie zobaczył.

- Jezu, ale ciemno - mruknął do siebie. Jego świadomość wypełzała stopniowo z wełnistej mgły.

Pitt ukląkł obok niego.

- Witamy z powrotem w krainie żywych trupów - powiedział.

Giordino podniósł rękę i dotknął w ciemnościach twarzy Pitta.

- Dirk?

- We własnej osobie.

- A Jessie i Rudi?

- Są tu oboje.

- Tu, to znaczy gdzie?

- Jakąś milę od plaży. - Pitt nie kwapił się teraz do wyjaśniania, w jaki sposób przeżyli lądowanie ani jak dotarli do drogi. Przyjdzie na to czas później. - Gdzie cię boli?

- Wszędzie. Pali mnie w klatce piersiowej. Lewe ramię mam chyba wywichnięte, jedną nogę, zdaje się, skręconą w kolanie i łupie mnie jak diabli u podstawy czaszki. - Zaklął z rozgoryczeniem. - Cholera, ja chromolę. Myślałem, że uda mi się przeprowadzić łódź przez te skały. Przepraszam, że spieprzyłem robotę.

- A uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że gdyby nie ty, żarłyby nas teraz rybki? - Pitt uśmiechnął się i delikatnie pomacał kolano Giordina stwierdzając, że kontuzja sprowadza się prawdopodobnie do zerwanego ścięgna. Następnie zajął się ramieniem. - Nie jestem ci w stanie pomóc, jeśli chodzi o żebra, kolano ani potylicę, ale masz jeszcze wywichnięte ramię i jeśli jesteś w nastroju, mogę je nastawić.

- Chyba robiłeś mi to kiedyś w szkole po meczu futbolowym. Lekarz drużyny wydzierał się potem, że powinieneś to zostawić jemu.

- Bo był sadystą - powiedział Pitt chwytając Giordina za ramię. - Gotowy?

- Raz kozie śmierć, ciągnij.

Pitt szarpnął i staw wskoczył na miejsce ze słyszalnym pyknięciem. Jęk Giordina przeszedł w pełne ulgi westchnienie. Pitt pomacał w ciemnościach wokół siebie, znalazł na poboczu drogi grubą gałąź odłamaną od niskiej, karłowatej sosny i wręczył ją Gunnowi w charakterze laski. Jessie wzięła Gunna pod ramię, żeby się nie przewrócił, a Pitt pomógł Giordinowi stanąć na zdrowej nodze i podtrzymał go obejmując ręką w pasie.

Tym razem, zdając się na los szczęścia i kierując drogą w prawo, przodem ruszył Pitt. Posuwali się tuż przy wysokiej skarpie, która chroniła ich przed nie słabnącą furią sztormu. Szło się teraz łatwiej. Nie trzeba było brnąć przez głęboki piasek, nie wpadało się na powalone drzewa, nie torturował ich nawet zacinający deszcz, który przelatywał górą krawędź skarpy. Pod nogami mieli tylko równą wstęgę drogi prowadzącej w nieprzeniknione ciemności.

Po godzinie Pitt oszacował, że przekuśtykali około mili. Miał już zarządzić postój na odpoczynek, kiedy Giordino zeszywniał nagle i zatrzymał się tak niespodziewanie, że Pitt nie zdążył go przytrzymać i Włoch przewrócił się na drogę.

- Pieczeń wieprzowa! - wrzasnął. - Czujecie? Ktoś piecze wieprzowinę.

Pitt pociągnął nosem. Aromat był słaby, ale był. Pomógł się podnieść Giordinowi i ruszyli dalej. Zapach pieczonych na rożnie steków z każdym krokiem przybierał na sile. Po przejściu kolejnych pięćdziesięciu jardów stanęli przed masywną żelazną bramą z prętów pospawanych w kształt delfinów. Od niej w obydwie strony odchodził w mrok mur posypany z wierzchu tłuczonym szkłem, a z boku znajdowała się wartownia. Nic dziwnego, że była pusta, jeśli wziąć pod uwagę huragan.

Brama, wznosząca się na dobre dwanaście stóp w hebanowe niebo, była zamknięta, ale wewnętrzne i zewnętrzne drzwi wartowni stały otworem, a więc przez nie przeszli. Kawałek dalej droga kończyła się okrężnym podjazdem, który prowadził przed front czegoś, co w sztormowych ciemnościach wyglądało na wielki kopiec. Gdy podeszli bliżej, kopiec nabrał kształtów podobnej do zameczyska budowli o dachu i trzech bokach przysypanych piaszczystą ziemią i obsadzonych karłowatymi palmami oraz lokalną krzewiastą roślinnością. Odślonięty był tylko zupełnie nagi, pozbawiony okien fronton budynku, w którym widniały jedne ogromne, mahoniowe drzwi ozdobione profesjonalnie wykonaną, realistyczną rzeźbą w kształcie ryby.

- To mi przypomina pogrzebaną egipską świątynię - zauważył Gunn.

- Gdyby nie te zdobione drzwi - dorzucił Pitt - pomyślałbym, że to jakiś wojskowy skład.

Oświeciła ich Jessie.

- To budynek izolowany. Gleba zapewnia idealną izolację przed zmianami temperatury i warunków atmosferycznych. Tę samą zasadę wykorzystywano w ziemiankach na dawnej amerykańskiej prerii. Znam architekta, który specjalizuje się w projektowaniu takich budowli.

- Wygląda na opuszczony - zauważył Giordino.

Pitt spróbował przekręcić gałkę u drzwi. Obróciła się. Uchylił drzwi. Gdzieś z mrocznego wnętrza nadleciał aromat posiłku.

- Nie pachnie jak opuszczony - stwierdził Pitt.

Hol wyłożony był płytkami z hiszpańskim motywem dekoracyjnym i oświetlony kilkoma wielkimi świecami osadzonymi w wysokim stojaku. Ściany wzniesiono z ociosanych bloków czarnej skały pochodzenia wulkanicznego, a jedyną ich ozdobą był wzbudzający grozę obraz przedstawiający człowieka zwisającego z zębatej paszczy podobnego do węża morskiego potwora. Weszli do środka i Pitt zamknął za sobą drzwi.

Z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu wycie huraganu szalejącego na zewnątrz i ciężki oddech każdego z nich zdawały się pogłębiać wrażenie grobowej ciszy panującej we wnętrzu.

- Jest tu kto? - zawołał Pitt.

Powtórzył to pytanie jeszcze dwa razy, lecz jedyną odpowiedzią była upiorna cisza. Mroczny korytarz zapraszał do wejścia, ale Pitt wahał się. Jego nozdrza zaatakowała teraz inna woń. Dym tytoniowy. Silniejszy od niemal zabójczego gazu wydzielanego przez cygara admirała Sandeckera. Pitt nie był w tej dziedzinie ekspertem, wiedział jednak, że drogie cygara cuchną gorzej od tanich. W jego mniemaniu dym musiał pochodzić z hawan najlepszego gatunku.

Odwrócił się do reszty.

- Co wy na to?

- A mamy jakiś wybór? - spytał tępo Giordino.

- Są dwie możliwości - odparł Pitt. - Albo stąd wychodzimy, dopóki jeszcze możemy, i dalej stawiamy czoło huraganowi, a potem, kiedy zacznie słabnąć, kradniemy jakąś łódź i wracamy na Florydę...

- Albo zdajemy się na łaskę i niełaskę Kubańczyków - dokończył za niego Gunn.

- Tak to właśnie wygląda.

Jessie potrząsnęła głową i spojrzała na niego łagodnymi, czułymi oczami.

- Nie możemy wracać - powiedziała spokojnie nie okazując najmniejszych oznak strachu. - Sztorm potrwa kilka dni, a wszyscy jesteśmy w takim stanie, że nie przeżylibyśmy na zewnątrz nawet czterech godzin. Jestem za podjęciem ryzyka i oddaniem się w ręce władz Castra. Najgorsze, co mogą nam zrobić, to wtrącić do więzienia do czasu, kiedy departament stanu wynegocjuje warunki naszego zwolnienia.

Pitt spojrzał na Gunna.

- Rudi, a co ty radzisz?

- Wpadliśmy, Pitt. Propozycja Jessie jest logiczna.

- A jak ty to widzisz, Al?

Giordino wzruszył ramionami.

- Jedno twoje słowo, stary, a popłynę do Stanów wpływ. - I Pitt wiedział, że Giordino nie przesadza.
- Ale prawda jest taka, że jesteśmy u kresu sił. Przykro mi to mówić, ale chyba lepiej będzie, jeśli wywiesimy białą flagę.

Pitt powiódł po nich wzrokiem i pomyślał, że trafił na najlepszy zespół ludzi, jaki można sobie wymarzyć w trudnej sytuacji. A nie trzeba było jasnowidza, by dostrzec, że sprawy przybierają bardzo nieprzyjemny obrót.

- W porządku - powiedział z niewesołym uśmiechem. - Ładujmy się na to przyjęcie.

Ruszyli korytarzem i wkrótce przeszli pod łukiem prowadzącym do ogromnego salonu udekorowanego hiszpańskimi antykami. Ze ścian zwisały gigantyczne gobeliny przedstawiające galeony żeglujące po morzach w blasku zachodzącego słońca albo pędzone na rafy przez szalejące sztormy. W salonie tchnęło morską atmosferą; oświetlały go starodawne latarnie okrętowe z miedzi i kolorowych szybek. Na kominku trzaskał ogień ogrzewający pomieszczenie do cieplarnianej temperatury.

Nigdzie nie było widać żywego ducha.

- Upiornie tu - mruknęła Jessie. - Nasz gospodarz ma najwyraźniej zły gust.

Pitt uniósł rękę nakazując ciszę.

- Jakies glosy - powiedzial cicho. - Dochodza zza tamtego drugiego luku pomiedzy dwiema zbrojami.

Weszli w drugi korytarz oświetlony słabo świecami zatkniętymi w rozmieszczone co dziesięć stóp uchwyty. Śmiechy i przekleństwa wyrzaskiwane męskimi i kobiecymi głosami przybrały na sile. Zza kotary przed nimi sączyło się przyćmione światło. Przystanęli na chwilę, po czym odsunęli zasłonę i wkroczyli do znajdującego się za nią pomieszczenia.

Była to długa sala jadalna zapełniona przez blisko czterdzieści osób, które przerwały w pół słowa prowadzone rozmowy i z ogłupiałymi minami wieśniaków spotykających po raz pierwszy przybyszów z kosmosu, wytrzeszczyły oczy na Pitta i jego towarzyszy.

Kobiety miały na sobie eleganckie, wieczorowe suknie, natomiast połowa mężczyzn ubrana była we fraki, a druga połowa tkwiła w wojskowych mundurach. Kilku kelnerów podających do stołu zamarło w bezruchu niczym postacie aktorów na stopklatce zatrzymanego nagle filmu. Pełna konsternacji cisza aż dzwoniła w uszach. Wypisz wymaluj scena z hollywoodzkiego melodramatu z początku lat trzydziestych.

Pitt zdawał sobie sprawę, że wszyscy czworo przemoczeni do nitki, w podartych na strzępy ubraniach, posiniaczeni i pokaleczeni, z pozrywanymi mięśniami i połamanymi kośćmi muszą przedstawiać sobą szokujący widok. Z mokrymi, przylegającymi do czaszek włosami wyglądali pewnie jak podtopione szczury, które wygramoliły się na brzeg z zanieczyszczonej rzeki.

- Jak się mówi "przepraszamy za najście" po hiszpańsku? - spytał Pitt spoglądając na Gunna.

- Nie mam zielonego pojęcia. W szkole uczyłem się francuskiego.

I nagle do Pitta dotarło. Spośród umundurowanych biesiadników większość stanowili wysokiej rangi sowieccy oficerowie. Tylko jeden wyglądał na przedstawiciela armii kubańskiej.

Jessie była w swoim żywiole. W odczuciu Pitta, pomimo że modny strój safari wisiał na niej w strzępach, nie mogła wyglądać dostojniej.

- Czy jest wśród państwa dżentelmen, który zaoferuje damie krzesło? - zapytała.

Zanim doczekała się reakcji, do sali wpadło dziesięciu mężczyzn o rosyjskim typie urody, z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi, i otoczyło ich ciasnym kręgiem; wszyscy mieli miny sfinksów, lodowaty wzrok i wargi zaciśnięte w wąską linię, a ich broń wymierzona była w brzuchy czwórki intruzów. Pitt nie żywił większych wątpliwości, że są doskonale wyszkoleni w sztuce zabijania na rozkaz.

Giordino, wyglądający jak ktoś, kto przed chwilą wpadł pod śmieciarkę, wyprostował się z wysiłkiem i spojrzał niewinnie na pozostałych.

- Widzieliście kiedy tyle roześmianych buź? - spytał tonem pogawędki.

- Ostatni raz pod Little Big Horn - odparł Pitt z zakwitającym na ustach uśmiechem.

Jessie nie słyszała ich. Przepchnęła się jak w transie przez kordon uzbrojonych strażników i zatrzymała u szczytu stołu spoglądając z góry na wysokiego, siwowłosego mężczyznę w eleganckim wieczorowym garniturze, który gapił się na nią wstrząśnięty, z niedowierzaniem w oczach.

Odgarnęła z czoła mokre kosmyki włosów i przyjęła wystudiowaną zalotną pozę. Następnie odezwała się cichym, rozkazującym tonem:

- Bądź tak miły, Raymondzie, i nalej swojej żonie kieliszek wina.

ROZDZIAŁ 25

Przejechawszy autostradą 94 dziewiętnaście mil na wschód od śródmieścia Colorado Springs, Hagen dotarł do Enoch Road. Tam skręcił w prawo i zatrzymał się przed główną bramą wjazdową do Kosmicznego Centrum Operacyjnego.

Kompleks ten, wzniesiony za dwa miliardy dolarów na 640 akrach ziemi i obsadzony pięciotysięcznym personelem mundurowym i cywilnym, sprawował kontrolę nad wszystkimi lotami wojskowych statków kosmicznych i wahadłowców, jak również nad krążącymi w przestrzeni wokółziemskiej satelitami. Wokół centrum skupiał się cały światek związany z programem podboju kosmosu. Tysiące akrów ziemi pokrywały osiedla mieszkaniowe, zakłady naukowe i przemysłowe, placówki badawcze i wytwórcze oraz eksperymentalne obiekty sił powietrznych. W ciągu krótkich dziesięciu lat ta odludna niegdyś kraina pastwisk, na których skubały trawę małe stadka bydła, stała się kosmiczną stolicą świata.

Hagen mignął strażnikowi przed nosem przepustką, wjechał na parking i zatrzymał się naprzeciwko wejścia do masywnego budynku. Nie wysiadając z wozu otworzył neseser i wyjął z niego swój podniszczony notatnik. Otworzył go na stronie z trzema nazwiskami i dopisał do nich czwarte.

Raymond LeBaron.....Miejsce pobytu nieznane

Leonard HudsonJak wyżej

Gunnar EriksenJak wyżej

Generał Clark Fisher.....Colorado Springs

Telefon Hagen z laboratorium Pattendena do hotelu Drake był sygnałem dla jego starego przyjaciela z FBI, który na podstawie numeru Ansona Jonesa ustalił, że aparat, podłączony do zastrzeżonej linii telefonicznej, zainstalowany jest w rezydencji oficerskiej na terenie bazy sił powietrznych Petersona, niedaleko Colorado Springs. Dom ten zamieszkiwał generał major Clark Fisher, szef Połączonego Dowództwa Sił Kosmicznych.

Hagen, podając się za specjalistę od dezynsekcji, został oprowadzony po domu przez żonę generała. Miał szczęście. Pani domu uznała jego nie zapowiedzianą wizytę za zrządzenie losu i poskarżyła się na armię pajaków, która dokonała inwazji na nieruchomość. Wysłuchawszy jej z uwagą obiecał zaatakować insekty wszelką bronią, jaką posiada w swym arsenale. Następnie, kiedy generałowa

krzątała się w kuchni, wypróbując z kucharką nowy przepis na ślimaki w morelowej zasmażce, Hagen przetrząsnął generalski gabinet.

Poszukiwania ujawniły tylko, że Fisher jest pedantem w kwestii bezpieczeństwa. Ani w szufladach biurka, ani w teczkach na dokumenty, ani w tajnych skrytkach Hagen nie znalazł nic, co mogłoby zainteresować sowieckiego agenta bądź jego samego. Postanowił poczekać do wieczora, kiedy generał skończy służbę, i przeszukać jego gabinet w centrum kosmicznym. Gdy wychodził tylnymi drzwiami, pani Fisher rozmawiała przez telefon i tylko pomachała mu na do widzenia. Przystanawszy na chwilę w progu, podsłuchał, że generałowa każe generałowi zatrzymać się po drodze do domu i kupić butelkę sherry.

Hagen włożył notatnik z powrotem do neseseru i wyjął stamtąd puszkę dietetycznej coli oraz grubą kanapkę z salami i plasterkami kiszzonego ogórka zawiniętą w papier śniadaniowy z obustronnym nadrukiem reklamowym delikatesów. Temperatura w Kolorado spadła znacznie, kiedy słońce skryło się za Górami Skalistymi. Cień Pike's Peak położył się na równiny okrywając mrocznym całunem bezdrzewny krajobraz.

Hagen nie zwracał uwagi na teatralne piękno scenerii roztaczającej się za przednią szybą samochodu. Nie dawało mu teraz spokoju, że nie ma jeszcze w garści żadnej z osób związanych z Jądrem". Bóg raczy wiedzieć, gdzie się ukrywają trzy osoby z listy, a czwartej trudno było coś zarzucić przed udowodnieniem winy. Żadnych konkretnych faktów, tylko numer telefonu i przecucie, że Fisher ma coś wspólnego z zakonspirowaną Kolonią Jersey. Musiał zyskać absolutną pewność i, co najważniejsze, rozpaczliwie potrzebował złapać nić wiodącą do następnego człowieka.

Hagen przerwał te rozważania i skupił uwagę na lusterku wstecznym. Boczny wyjściem opuszczał gmach mężczyzna w granatowym oficerskim mundurze, a drzwi przytrzymał mu pięciopaskowy sierżant, czy jakie tam specjalistyczne rangi nadają teraz w siłach powietrznych swoim etatowcom. Oficer był wysoki, atletycznie zbudowany i miał na ramionach cztery gwiazdki. Całkiem przystojny gość, taki w stylu Gregory'ego Pecka. Sierżant odprowadził go do krawężnika, przy którym czekał granatowy służbowy sedan, i zgrabnie otworzył przed nim tylne drzwiczki wozu.

Coś w tej scenie poruszyło strunę w podświadomości Hagen. Usiadł prosto i odwróciwszy się spojrzął beczelnie przez boczną szybę. Fisher, trzymając w rękę teczkę, schylał się właśnie, żeby wsiąść na tylne siedzenie wozu. To było to. Generał nie trzymał teczki za rączkę, tak jak normalnie się ją nosi. Trzymał ją jak piłkę futbolową pod pachą i przyciskał do piersi.

Hagen nie miał żadnych oporów przed zmianą swojego dokładnie obmyślonemu planu w trakcie jego realizacji. Z miejsca zaczął improwizować, zapominając szybko o zamiarze przeszukania służbowego gabinetu Fishera. Jeśli jego nagły twórczy pomysł spali na panewce, będzie mógł zawsze wrócić. Zapуścił silnik i ruszył przez parking za samochodem generała.

Kierowca Fishera zwolnił przed skrzyżowaniem i skręcił na żółtym świetle w autostradę 94. Hagen zaczekał, aż ruch na przecznicy zmaleje, potem skręcił na czerwonym świetle w prawo i przyspieszał, dopóki nie zbliżył się do granatowego wozu sił powietrznych na tyle, żeby widzieć twarz kierowcy w jego wstecznym lusterku. Zachowywał tę odległość obserwując, czy kierowca nie pochwycił jego spojrzenia. Ale nie. Sierżant nie należał do podejrzliwych i nie sprawdzał, czy ktoś

mu nie siedzi na ogonie. Hagen przyjął słuszne założenie, że ten człowiek nie przeszedł szkolenia w zakresie defensywnej taktyki prowadzenia pojazdu na wypadek ataku terrorystów.

Zza łagodnego zakrętu autostrady wyłoniły się światła centrum handlowego. Hagen zerknął na szybkościomierz. Sierżant jechał o pięć mil na godzinę wolniej, niż dozwalał znak ograniczenia szybkości. Hagen zjechał na lewy pas i wyprzedził go. Przyspieszył nieco, potem zwolnił i skręcił w uliczkę dojazdową do centrum handlowego zakładając w ciemno, że generał Fisher nie zapomniał o otrzymanym od żony poleceniu nabycia butelki sherry i że w centrum znajduje się dział z napojami alkoholowymi.

Wóz minął centrum handlowe i pojechał dalej.

- Cholera! - mruknął pod nosem Hagen. Dopiero teraz dotarło do niego, że każdy wojskowy będzie przecież kupował alkohol w kantynie swojej jednostki, gdzie jest on o wiele tańszy, a nie w sieci sklepów detalicznych.

Hagen utknął na kilka sekund za kobietą usiłującą wyjechać tyłem ze swojego stanowiska parkingowego. Ominął ją wreszcie i z piskiem opon wypadł z podjazdu na szosę. Na szczęście na następnym skrzyżowaniu kierowcę Fishera zatrzymało czerwone światło i Hagen bez trudu dogonił go ponownie i wyprzedził.

Docisnął do deski pedału gazu starając się wysforować jak najdalej do przodu. Przejechawszy dwie mile skręcił w wąską drogę prowadzącą do głównej bramy wjazdowej bazy sił powietrznych Petersona. Pokazał przepustkę przełazącemu się na posterunku wartownikowi z żandarmerii sił powietrznych w białym hełmie na głowie, tego samego koloru jedwabnej chustce na szyi i z czarną skórzaną kaburą u boku, z której sterczała wysadzana masą perłową rękojeść pistoletu.

- Którędy do kantyny? - zapytał Hagen.

Żandarm wskazał na drogę.

- Prosto do drugiego znaku stop. Potem w lewo, w kierunku wieży ciśnień. Duży, szary budynek. Nie może go pan przeoczyć.

Hagen podziękował mu i ruszył, kiedy z tyłu podjeżdżał akurat do bramy samochód wiozący Fishera. Zaobserwował we wstecznym lusterku, jak wartownik przepuszcza go wdzięcznym machnięciem ręki nie próbując nawet sprawdzać dokumentów. Hagen prowadził wóz bez pośpiechu, stosując się do ograniczenia szybkości obowiązującego na terenie bazy, i wjeżdżając na parking przed kantyną wyprzedzał Fishera o zaledwie pięćdziesiąt stóp. Zaparkował między jeepem a półciężarówką dodge z plandeką, która skutecznie zasłaniała prawie cały jego samochód. Wysunął się zza kierownicy wyłączając światła, ale nie gasząc silnika.

Wóz generała stanął i Hagen ruszył niespiesznie w jego kierunku zastanawiając się, czy Fisher wysiadzie, żeby osobiście kupić sherry, czy też wysła po nią sierżanta.

Uśmiechnął się sam do siebie. Skąd przyszło mu do głowy, że może być inaczej? Generał posłał,

rzecz jasna, sierżanta.

Hagen znalazł się przy samochodzie mniej więcej w tej samej chwili, kiedy sierżant przekraczał próg kantyny. Jeden szybki, lustrujący obrót głowy dla upewnienia się, czy jakaś znudzona dusza czekająca w zaparkowanym samochodzie nie patrzy akurat bezmyślnie w tym kierunku albo czy jakiś klient kantyny nie przepycha gdzieś w pobliżu wózka z zakupami. Przez głowę przemknęło mu stare określenie: "teren czysty".

Bez chwili zawahania, nie tracąc czasu na zbędne ruchy, Hagen wysunął ze specjalnej kieszeni wszytej pod ramieniem swojej wiatrówki ciężką, gumową pałkę, jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki i wziął krótki zamach. Żadnych słów powitania, żadnej trywialnej odżywki. Pałka trafiła Fishera dokładnie w podbródek.

Hagen porwał teczkę z kolan generała, zatrzasnął drzwiczki i skierował się jak gdyby nigdy nic do swojego samochodu. Cała akcja, od jej rozpoczęcia do zakończenia, trwała nie więcej niż cztery sekundy.

W drodze spod kantyny do bramy głównej Hagen wyliczał sobie w myślach sekwencję czasową zdarzeń, jakie teraz nastąpią. Fisher będzie nieprzytomny przez dwadzieścia minut, może nawet przez godzinę. Znalezienie półki z sherry, zapłacenie za butelkę i powrót do samochodu zajmą sierżantowi cztery do sześciu minut. Do chwili wszczęcia alarmu upłynie kolejne pięć minut, jeśli sierżant w ogóle zauważy, że rozparty na tylnym siedzeniu generał został obrabowany.

Hagen był z siebie zadowolony. Zanim żandarmeria sił powietrznych zorientuje się, co zaszło, on minie spokojnie bramę główną i będzie już w połowie drogi na lotnisko Colorado Springs.

Tuż po północy nad południowym Kolorado zaczął prószyć wczesny śnieg. Z początku topniał od razu, ale niebawem na ziemi utworzyła się lodowa warstewka i biała pokrywa zaczęła grubieć. Dalej na wschód zerwał się wiatr i służby drogowe stanu Kolorado zamknęły mniej ważne boczne drogi z uwagi na zamieć śnieżną.

Hagen siedział przy biurku w małym, nie oznakowanym samolocie odrzutowym typu Lear zaparkowanym na końcu pasa startowego, i studiował zawartość teczek generała Fishera. Były to w większości ściśle tajne materiały dotyczące bieżącej działalności centrum kosmicznego. Jeden z plików dokumentów odnosił się do lotu promu kosmicznego *Gettysburg* wystrzelonego zaledwie przed dwoma dniami z bazy sił powietrznych Vandenberg w Kalifornii. Hagen ubawił znaleziony w jednej z przegródek teczeki magazyn pornograficzny. Ale najcenniejszym łupem okazał się oprawny w czarną skórę notatnik zawierający w sumie trzydzieści dziewięć nazwisk i numerów telefonów. Żadnych adresów, żadnych dopisków, tylko nazwiska i numery podzielone na trzy grupy. Pierwsza grupa zawierała ich czternaście, druga siedemnaście, a trzecia osiem.

Żadne z tych nazwisk z niczym się Hagenowi nie kojarzyło. Możliwe, że byli to po prostu znajomi i

współpracownicy Fishera. Wpatrywał się w trzecią listę. Zmęczenie sprawiało, że litery zaczynały mu się zamazywać przed oczyma.

Nagle jego wzrok przykuło imię pierwszej osoby. Nie nazwisko, lecz imię.

Wstrząśnięty, nie pojmując, jak mógł przeoczyć coś tak oczywistego, szyfr tak trywialny, że nikt nie uznałby go za szyfr, przepisał listę do swojego notatnika poprawiając trzy nazwiska na właściwe.

Gunnar Monroe/Eriksen

Irwin Dupuy

Leonard Murphy/Hudson

Daniel Klein

Steve Larson

Ray Sampson/LeBaron

Dean Beagle

Clyde Ward

Osiem nazwisk, a powinno ich być dziewięć. I nagle Hagen potrząsnął głową nie rozumiejąc, dlaczego dopiero teraz na to wpadł: trudno przecież wymagać od generała Clarka Fishera, żeby umieszczał własne nazwisko w swoim spisie telefonów.

Był już prawie w domu, ale zmęczenie tłumilo euforię; od dwudziestu czterech godzin nie zmrużył oka. Zuchwała akcja porwania generalskiej teczki opłacała się z nawiązką. Zamiast jednej nici niespodziewanie uchwycił pięć, pięć nici prowadzących do wszystkich pozostałych członków, jądra”. Teraz wystarczyłoby dopasować imiona do numerów telefonów i miałby na widelcu całą paczkę.

Były to jednak tylko pobożne życzenia. Telefonując z laboratorium Pattendena do generała Clarka Fishera, alias Ansona Jonesa, i wdając się z nim w dyskusje, popełnił amatorski błąd. Usiłował wmówić sobie, że było to sprytne zagranie obliczone na wyprowadzenie konspiratorów z równowagi i sprowokowanie ich do popełnienia jakiegoś nieprzemyślanego ruchu, którym by się przed nim odsłonili. Teraz jednak uświadamiał sobie, że nie było to nic innego jak tylko buta zmieszana z końską dawką głupoty.

Fisher ostrzeże “jądro”, jeśli już tego nie uczynił. Hagen nic nie mógł na to poradzić. Stało się. Nie pozostawało mu nic innego, jak iść za ciosem.

Patrzył tak nie widzącym wzrokiem w przestrzeń, kiedy z kokpitu do kabiny głównej wszedł pilot.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Hagen, ale prognozy przewidują nasilenie się burzy śnieżnej. Wieża kontrolna powiadomiła mnie właśnie, że noszą się z zamiarem zamknięcia lotniska. Jeśli zaraz nie wystartujemy, możemy tu utknąć do jutrzejszego popołudnia.

Hagen skinął głową.

- Nie ma sensu dłużej zwlekać.

- Dokąd lecimy?

Hagen przez chwilę ociągał się z odpowiedzią spoglądając na odręczne notatki, jakie poczynił w swoim zeszycie. Postanowił zostawić sobie Hudsona na koniec. Poza tym telefony Eriksena, Hudsona i Daniela Kleina, czy jak mu tam było, miały ten sam strefowy numer kierunkowy. Rozpoznał numer kierunkowy widniejący przy nazwisku Clyde'a Warda i zdecydował się wziąć go na pierwszy ogień po prostu dlatego, że miejsce, któremu odpowiadał, leżało zaledwie kilkaset mil na południe od Colorado Springs.

- Albuquerque - powiedział w końcu.

- Tak jest, sir - odparł pilot. - Zechciałby pan zapiąć pasy. Startujemy za kilka minut.

Gdy tylko pilot zniknął w kabine nawigacyjnej, Hagen rozebrał się do szortów i zwałił na miękkie łóżko. Kiedy koła odrywały się od przysypanego śniegiem pasa startowego, spał już jak zabity.

ROZDZIAŁ 26

Respekt, jaki wzbudzał w Białym Domu szef kancelarii prezydenckiej, Dan Fawcett, był ogromny. Fawcett piastował jedno z najwyższych stanowisk w Waszyngtonie. Był kapłanem świętego przybytku. Przez jego ręce przechodził praktycznie każdy dokument czy notatka przesyłane do prezydenta. I nikt, nawet członkowie gabinetu i liderzy Kongresu, nie dostał się do Gabinetu Owalnego bez zgody Fawcetta.

Nie zdarzało się, by ktokolwiek, wysoki czy niski rangą, ważył się zakwestionować jego odpowiedź odmowną, więc spoglądając zza biurka w czarne oczy admirała Sandeckera nie bardzo wiedział, jak zareagować. Nie przypominał sobie tego człowieka, a wyczuwał przecież, że kipiący złością admirał mobilizuje całą siłę woli, by nad sobą zapanować.

- Przykro mi, admirale - powiedział Fawcett - ale program zajęć prezydenta jest bardzo napięty. Nie ma mowy, żebym gdzieś pana upchnął.

- Proszę mnie wpuścić - wycedził przez zaciśnięte zęby Sandecker.

- To niemożliwe - odparł stanowczo Fawcett.

Sandecker powoli i z namaszczeniem wsparł dłonie na papierach rozrzuconych po biurku Fawcetta i zaczął się pochylać, dopóki ich nosy nie zbliżyły się do siebie na odległość zaledwie kilku cali.

- Powiedz temu sukinsynowi - warknął - że właśnie zabił moich trzech najlepszych przyjaciół. I jeśli nie wyjawi mi jakiegoś diabła przekonującego powodu, dla którego to zrobił, wyjdę stąd, zwołam konferencję prasową i wyjawię tyle brudnych sekretów, że wystarczy na udupienie jego drogocennej administracji do końca kadencji. Czy jasno się wyrażam, Dan?

Fawcett siedział jak trusia, a narastający w nim gniew nie był w stanie wziąć góry nad szokiem.

- Zniszczysz tylko swoją karierę. Po co ci to?

- Nie uważasz. Wyłuszcę ci to jeszcze raz. Prezydent ponosi odpowiedzialność za śmierć moich trzech najdroższych przyjaciół. Jednego z nich znałeś. Nazywał się Dirk Pitt. Gdyby nie Pitt, prezydent zamiast siedzieć w Białym Domu spoczywałby teraz na dnie morza. Chcę się dowiedzieć, za co Pitt oddał życie. I jeśli ma mnie to kosztować moją karierę szefa NUMA, to diabli z nią.

Twarz Sandeckera znajdowała się tak blisko, że Fawcett mógłby przysiąc, iż ruda broda admirała żyje własnym życiem.

- Pitt nie żyje? - spytał tępo. - Nic nie wiedziałem...

- Powiedz tylko prezydentowi, że tutaj jestem - przerwał mu Sandecker stalowo twardym tonem. - Przyjmie mnie.

Rewelacje te spadły na Fawcetta tak nagle, tak niespodziewanie, że go zamurowało.

- Powiadomię prezydenta o śmierci Pitta - wykrztusił powoli.

- Nie trudź się. Jeśli ja o tym wiem, on wie również. Jesteśmy nastroszeni na tę samą falę.

- Potrzebuję trochę czasu na ustalenie, o co w tym wszystkim chodzi - powiedział Fawcett.

- Nie masz czasu - oznajmił twardo Sandecker. - Jutro w Senacie idzie pod głosowanie prezydencki projekt ustawy o wykorzystaniu energii nuklearnej. Pomyśl, do czego może dojść, jeśli senator George Pitt dowie się, że prezydent przyłożył rękę do zamordowania jego syna. Nie muszę roztaczać przed tobą wizji tego, co się stanie, kiedy senator zaprzestanie rzucania na szalę swego autorytetu w obronie polityki prezydenta i przejdzie do opozycji.

Fawcett był wystarczająco chytry, by właściwie ocenić tę groźbę. Odepchnął się od biurka, złożył dłonie i wpatrywał się w nie przez kilka chwil. Potem wstał i ruszył w stronę drzwi prowadzących na korytarz.

- Proszę za mną, admirale. Prezydent jest na spotkaniu z sekretarzem obrony Jessem Simmonsem. O tej porze powinni już kończyć.

Sandecker zczekał przed drzwiami Gabinetu Owalnego, Fawcett zaś wszedł tam, przeprosił, po czym szepnął prezydentowi na ucho kilka słów. Po dwóch minutach Jess Simmons wyszedł na korytarz i przywitał się przyjaźnie z admirałem, a za nim w progu pojawił się Fawcett, skinieniem ręki przywołując Sandeckera.

Prezydent wyszedł zza biurka i uściśnął dłoń Sandeckera. Twarz miał obojętną, był rozluźniony i spokojny, a jego inteligentne oczy nie umykały przed twardym, rozognionym spojrzeniem gościa.

- Czy byłbyś łaskaw zostawić nas samych, Dan? - zwrócił się prezydent do Fawcetta. - Chciałbym porozmawiać z admirałem w cztery oczy.

Fawcett, wycofawszy się bez słowa, zamknął za sobą drzwi.

Prezydent z uśmiechem wskazał Sandeckerowi krzesło.

- Niech pan usiądzie i odpręż się.

- Lepiej postoję - odparł bezbarwnym głosem Sandecker.

- Jak pan woli. - Prezydent zagłębił się w przepastnym fotelu i założył nogę na nogę. - Przykro mi z powodu Pitta i pozostałych - zaczął bez wstępów. - Nikt nie chciał, żeby do tego doszło.

- Czy mogę uprzejmie zapytać, co tu, u diabła, jest grane?

- Proszę mi powiedzieć, admirale, czy uwierzyłby pan, że kiedy poprosiłem pana o współpracę przy wysłaniu obsadzonego załogą sterowca, szło o coś wykraczającego daleko poza poszukiwania zaginionej osoby?

- Tylko pod warunkiem, że poparłby pan to wiarygodnym wyjaśnieniem.

- A czy dałby pan wiarę również temu, że szukająca swego męża pani LeBaron grała jednocześnie rolę w starannie przygotowanej intrydze mającej na celu ustanowienie bezpośredniego kanału łączności pomiędzy mną a Fidelem Castro?

Sandecker wybałuszył oczy na prezydenta zapominając nagle o rozpierającym go gniewie. Głowa państwa nigdy nie wzbudzała w admirale nabożnego respektu. Zbyt wielu widział już prezydentów, którzy przychodzili i odchodzili, napatrzył się dość na ich ludzkie słabostki. Żaden nie wydawał mu się godny wyniesienia na piedestał.

- Nie, panie prezydencie, nie mogę tego kupić - powiedział sarkastycznym tonem. - Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, w osobie Douglasa Oatesa ma pan bardzo zdolnego sekretarza stanu wspieranego przez czasami działający sprawnie departament stanu. Według mnie raczej oni powinni się porozumieć z Castrem zwykłymi kanałami dyplomatycznymi.

Prezydent uśmiechnął się krzywo.

- Bywa, że negocjacje pomiędzy nieprzyjawnymi sobie państwami muszą odbiegać od przyjętych w polityce norm. W to z pewnością pan uwierzy.

- Uwierzę.

- Nie angażuje się pan w politykę, sprawy państwowe, waszyngtońskie życie towarzyskie, koterie i kliki, prawda, admirale?

- To prawda.

- Ale gdybym wydał panu rozkaz, wykonałby go pan.

- Tak jest, sir, wykonałbym - odparł bez wahania Sandecker. - Ma się rozumieć, pod warunkiem, że nie byłby niezgodny z prawem, niemoralny albo sprzeczny z konstytucją.

Prezydent zastanowił się nad tą odpowiedzią, potem pokiwał głową i wskazał ręką fotel.

- Proszę, admirale. Czasu nie mam za wiele, ale wyjaśnię panu pokrótce, w czym rzecz. - Zawiesił głos czekając, aż Sandecker usiądzie. - No więc tak... Pięć dni temu do naszego departamentu stanu dotarł ściśle tajny dokument pisany ręką Fidela Castro i przesznułowany z Hawany. W ogólnym zarysie, była to propozycja przygotowania gruntu pod nawiązanie dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy Kubą a Ameryką.

- I co w tym takiego zaskakującego? - spytał Sandecker. - Castro zabiega o ustanowienie ściślejszych więzi, od kiedy prezydent Reagan wykopał go z Grenady.

- To prawda - przyznał prezydent. - Jak dotąd jedyne porozumienie, do jakiego doszliśmy przy stole negocjacyjnym, dotyczyło podniesienia norm imigracyjnych dla kubańskich dysydentów przybywających do Ameryki. Ta nowa propozycja sięga jednak dalej. Castro prosi nas o pomoc w zrzućeniu rosyjskiego jarzma.

Sandecker popatrzył na niego sceptycznie.

- Castro żywi obsesyjną nienawiść do Stanów Zjednoczonych. Dlaczego, u diabła, wciąż przeprowadza ćwiczenia na wypadek inwazji? Rosjanie ani myślą się stamtąd usunąć. Kuba to ich jedyny punkt zaczepienia na półkuli zachodniej. Gdyby coś ich napadło i zawiesiliby swoją pomoc choćby na krótko, wyspa utonąłaby w ekonomicznym bagnie. Kuba nie może stanąć na własnych nogach, nie ma żadnych bogactw naturalnych. Nie brałbym na serio posunięcia Castra, nawet gdyby patronował mu sam Chrystus.

- To przebiegły człowiek - przyznał prezydent. - Ale niech pan nie lekceważy jego intencji. Sowietci sami grzęzną w ekonomicznym bagnie. Paranoiczna nieufność Kremla wobec świata zewnętrznego wywindowała ich budżet wojskowy do astronomicznych sum, na które już ich nie stać. Standard życia ich obywateli jest niższy niż w jakimkolwiek innym uprzemysłowionym kraju. Ich rolnictwo, przemysł i eksport ropy naftowej przeżywają głęboki kryzys. Nie mają już środków na pompowanie potężnej pomocy w kraje bloku wschodniego. A jeśli chodzi o Kubę, Rosjanie doszli do punktu, w którym więcej żądają, niż dają. Minęły czasy idących w miliardy dolarów bezzwrotnych pożyczek, tanich kredytów i półdarmowych dostaw broni. Skończyło się beztrioskie życie.

Sandecker pokręcił głową.

- Gdybym jednak był w skórze Castra, uznałbym to za kiepski interes. Bez importu towarów dwanaście milionów wyspiarzy ledwie mogłoby egzystować, a nie ma co marzyć, żeby Kongres przegłosował miliardy dolarów na pomoc dla Kuby.

Prezydent spojrział na zegar stojący na kominku.

- Mam jeszcze tylko dwie minuty. Tak czy inaczej, największe obawy Castra nie dotyczą groźby chaosu ekonomicznego czy wybuchu kontrrewolucji. Wzbudza je w nim raczej powolne, nieprzerwane przenikanie sowieckich wpływów do każdego pionu administracji. Ludzie z Moskwy tu coś uszczkną, tam skubną, a decydujący ruch zostawiają sobie na moment, kiedy zdominują już rząd i uzyskają kontrolę nad zasobami kraju. Castro przejrzał wreszcie. Zrozumiał, że jego przyjaciele z Kremla chcą wysadzić go z siodła i przejąć władzę w państwie. Jego brat, Raul, złapał się za głowę, kiedy poinformowano go, jak wielu Kubańczyków z kadry oficerskiej pozostaje na usługach Związku Radzieckiego.

- Przyznam, że to mnie dziwi. Kubańczycy nienawidzą Rosjan. Ich poglądy na życie zasadniczo się różnią.

- Kuba z pewnością nigdy nie zamierzała stać się pionkiem w rękach Kremla, ale od czasu rewolucji na rosyjskich uniwersytetach studiowało tysiące Kubańczyków. Wielu z nich mając w perspektywie powrót do kraju i wykonywanie pracy narzuconej przez państwo, pracy, która mogła im nie

odpowiadać albo pozbawionej perspektyw, dało się skusić rosyjskim ofertom prestiżowych i dobrze płatnych posad. Ci bardziej wyrachowani, którzy ponad patriotyzm stawiali własną karierę, wyrzekli się Castra i przysięgli wierność Związkowi Radzieckiemu. Rosjanom trzeba oddać sprawiedliwość. Dotrzymali obietnic. Wykorzystując wpływy w kubańskich władzach, osadzili swoich nowych ludzi na eksponowanych stanowiskach.

- Castro jest nadal uwielbiany przez naród kubański - powiedział Sandecker. - Nie wyobrażam sobie tych ludzi patrzących spokojnie na to, jak Moskwa całkowicie zniewala ich przywódcę.

Prezydent sposepniał na twarzy.

- Istnieje bardzo realna groźba, że Rosjanie zamordują braci Castro i zrzucą całą odpowiedzialność na CIA. Nie przyszłoby im to trudno, bo wiadomo, że w latach sześćdziesiątych agencja dokonała kilku nieudanych prób zamachu na ich życie.

- I wtedy Kreml wchodzi otwartymi drzwiami i instaluje w Hawanie marionetkowy rząd.

Prezydent skinął głową.

- I tu dochodzimy do paktu USA - Kuba, którego zawarcie proponuje Fidel. Castro chce się pozbyć Rosjan z Karaibów, ale nie chce ich wystraszyć i sprowokować do działania, zanim uzyska amerykańskie poparcie swojego planu. Niestety, od momentu wykonania pierwszego ruchu, pozostawał głuchy na wszystkie próby nawiązania kontaktu, jakie podejmował Doug Gates i ja osobiście.

- To mi wygląda na starą metodę kija i marchewki, która ma wzmóc wasze apetyty.

- Ja też tak to odbieram.

- No, a jaka jest w tym wszystkim rola LeBaronów?

- Wplątali się w to przypadkowo - odparł prezydent z nutką ironii w głosie. - Zna pan tę historię. Oficjalnie Raymond LeBaron wyruszył swym antycznym sterowcem na poszukiwanie statku ze skarbem. Rzeczywisty cel jego wyprawy był zupełnie inny, ale o tym nie musiała wiedzieć ani NUMA, ani pan osobiście. Tak się złożyło, że kiedy kubańskie służby obrony wybrzeża namierzyły LeBarona, Raul Castro wizytował właśnie terenowe dowództwa obrony wyspy. Przyszło mu do głowy, że ten kontakt może się okazać przydatny. Wydał więc swoim siłom straży przybrzeżnej rozkaz przechwycenia sterowca i sprowadzenia go pod eskortą na lotnisko w pobliżu miasta Cardenas.

- Reszty się domyślam - powiedział Sandecker. - Kubańczycy dopompowali *Prosperteera* gazem, ukryli na pokładzie swojego wysłannika z dokumentem zawierającym projekt paktu USA - Kuba, i wypuścili sterowiec, kalkulując, że wiatry wiejące w tym rejonie zagnają go do wybrzeży Stanów Zjednoczonych.

- Jest pan blisko - przyznał z uśmiechem prezydent. - Tylko że oni nie zdali się na kapryśne wiatry. Na pokład prześlizgnęli się z dokumentem bliski przyjaciel Fidela i pilot. Doprowadzili sterowiec

do Miami, kilka mil od brzegu skoczyli do wody i zostali wyłowieni przez oczekujący na nich jacht.

- Bardzo chciałbym wiedzieć, skąd się wzięły trzy ciała znalezione w kabinie nawigacyjnej - zaryzykował Sandecker.

- To melodramatyczna demonstracja Castra mająca dowieść szczerości jego intencji, a w którą nie miałem się czasu wgłębiać.

- Rosjanie nie powzięli żadnych podejrzeń?

- Jak na razie nie. Poczucie wyższości wobec Kubańczyków przeszkadza im w dostrzeganiu wszelkich przejawów latynoskiego geniuszu.

- A więc Raymond LeBaron zdrowy i cały przebywa gdzieś na Kubie.

Prezydent rozłożył ręce.

- Mogę tylko przypuszczać, że tak właśnie jest. Źródła CIA donoszą, że wywiad sowiecki zażądał wydania im LeBarona celem przesłuchania. Kubańczycy chcąc nie chcąc musieli na to przystać i odtąd słuch po LeBaronie zaginął.

- Nie zamierza pan podjąć choćby próby wynegocjowania jego zwolnienia? - spytał Sandecker.

- Sytuacja i tak jest drażliwa. Nie mam wątpliwości, że gdybyśmy zdołali doprowadzić do podpisania paktu USA - Kuba, Castro odebrałby LeBarona Rosjanom i przekazał go nam.

Prezydent urwał, popatrzył na zegar stojący na kominku.

- Spóźniłem się już na konferencję w sprawach budżetu. - Ruszył ku drzwiom. W progu zatrzymał się i odwrócił do Sandeckera. - Szybko się z tym uwinę. Jessie LeBaron została wprowadzona w sprawę i zapamiętała naszą odpowiedź dla Castra. Plan przewidywał powrót sterowca z LeBaronem na pokładzie. Przekazano Castrowi sygnał, że moja odpowiedź została wysłana tą samą drogą co jego propozycja. Coś nie wypaliło. Wchodząc tutaj minął się pan z Jessem Simmonsem. Pokazywał mi fotografie wykonane przez nasz zwiad lotniczy. Zamiast zatrzymać sterowiec i odprowadzić go pod eskortą do Cardenas, kubański helikopter patrolowy otworzył do niego ogień. Potem, z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu, helikopter eksplodował w powietrzu i oba runęły do morza. Musi pan sobie uświadomić, admirale, że ze względu na delikatny charakter misji nie mogłem wysłać ekspedycji ratunkowej. Przykro mi z powodu Pitta. Miałem wobec niego dług wdzięczności, którego nie udało mi się spłacić. Mogę się tylko modlić, żeby on, Jessie LeBaron i pańscy przyjaciele jakoś wyszli z tego cało.

- Nikt nie mógłby wyjść cało z katastrofy, która wydarzyła się na drodze huraganu - mruknął zgryźliwie Sandecker. - Pan wybaczy, panie prezydencie, ale nawet Myszka Miki lepiej by zaplanowała tę operację.

Wyraz bólu porwał zmarszczkami twarz prezydenta. Chciał coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił i otworzył drzwi.

- Przepraszam, admirale, ale spóźniłem się już na konferencję.

Prezydent nie powiedział nic więcej. Wyszedł z Gabinetu Owального pozostawiając zmieszanego Sandeckera samego.

ROZDZIAŁ 27

Huragan *Mała Ewa* otarł się o brzegi wyspy i skręcił na północny wschód w kierunku Zatoki Meksykańskiej. Szybkość wiatru spadła do czterdziestu mil na godzinę, ale miały minąć jeszcze dwa dni, zanim ustąpił pasatom wiejącym z południa.

Na Cayo Santa Maria nie było widać ani zwierząt, ani ludzi. Wyspa zdawała się pozbawiona wszelkiego życia. Przed dziesięciu laty, w okresie kwitnącej przyjaźni, Fidel Castro przekazał wyspę w geście dobrej woli swoim komunistycznym sprzymierzeńcom. Wymierzył wtedy policzek Białemu Domowi proklamując jej obszar terytorium Związku Radzieckiego.

Tubylców po cichu, ale bez przebierania w środkach, przeniesiono na główny ląd, a na ich miejsce wprowadziły się jednostki inżynieryjne GRU (Głównego Razwiedywatielnego Uprawienija czyli Głównego Zarządu Wywiadowczego sowieckiego sztabu generalnego), zbrojnego ramienia KGB, i przystąpiły do budowy ściśle tajnej podziemnej instalacji. Prace prowadzone były etapami, wyłącznie pod osłoną nocy. Pod piaskami i palmami nabierał z wolna kształtu imponujący kompleks wojskowy. Samoloty szpiegowskie CIA monitorowały co prawda wyspę, ale analizy wywiadowcze nie doprowadziły do wykrycia żadnych instalacji obronnych ani dostaw sprzętu drogą morską bądź powietrzną. Poddane drobiazgowym oględzinom zdjęcia lotnicze ujawniły zaledwie kilka zaniedbanych dróg, które najwyraźniej wiodły donikąd. Wyspa dla zasady znajdowała się pod obserwacją, ale nigdy nie stwierdzono na niej niczego, co można by uznać za zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Pitt obudził się gdzieś pod powierzchnią smaganej wiatrami wyspy, w małej, pustej klitce, na łóżku wymoszczonym pierzyną, pod palącą się bez przerwy świetlówką. Nie przypominał sobie, żeby spał kiedyś w piernatach, ale teraz miał dowód, że zapewniają najwyższy komfort i zakonotował sobie, że kiedy, i jeśli w ogóle, znajdzie się z powrotem w Waszyngtonie, musi się za czymś takim rozejrzeć.

Pomijając stłuczenia, obolałe stawy i lekkie łupanie w głowie, czuł się stosunkowo nieźle. Leżał na wznak, wpatrując się w pomalowany na szaro sufit, i odtwarzał w pamięci wypadki ostatniego wieczora: odnalezienie męża Jessie; droga z eskortą straży do lazaretu, gdzie rosyjska lekarka o posturze kręgla opatrzyła rany Pitta, Giordina i Gunna; posiłek składający się z baraniego gulaszu spożywany w stołówce, która u Pitta dostałaby o sześć punktów mniej od przydrożnej jadłodajni dla kierowców ciężarówek we wschodnim Teksasie; i w końcu zamknięcie w pomieszczeniu wyposażonym w sedes, umywalkę, łóżko i wąską, drewnianą szafę na ubrania.

Wsunął ręce pod kołdrę i obmacał się. Był całkiem nagi, jeśli nie liczyć kilku jardów plastra i gazy. Nigdy nie mógł się nadziwić powszechnemu wśród lekarzy fetyszyzowaniu bandaży. Usiadł na łóżku opuszczając bose stopy na betonową posadzkę i zaczął obmyślać swój następny ruch. Sygnał z pęcherza przypominał mu, że wciąż jest człowiekiem, podszedł więc do sedesu marząc o filizance

kawy. Ci, którzy go tu wsadzili, nie zabrali mu doxy. Wskazywała 11.55. Ponieważ nigdy w życiu nie spał dłużej niż dziewięć godzin, założył, że to już ranek.

Chwilę później pochylił się nad umywalką i opłukał twarz zimną wodą. Wiszący obok ręcznik był szorstki i źle wchłaniał wilgoć. Podszedł do szafy, otworzył ją i znalazł na wieszaku koszulę i spodnie khaki, a na dnie sandały. Przed włożeniem tego na siebie odwinął bandaże z kilku ran, które zaczynały się już pokrywać strupem, i wypróbował odzyskaną dzięki temu swobodę ruchu. Ubrawszy się, chciał otworzyć ciężkie, żelazne drzwi. Były zamknięte na klucz, załomotał więc pięścią w grubą metalową płytę. Dudnienie odbiło się głuchym echem od betonowych ścian.

Chłopak w sowieckich wojskowych spodniach, który otworzył drzwi, na oko najwyżej dziesiętnastolatek, cofnął się zaraz mierzając w brzuch Pitta z pistoletu maszynowego wielkości zwyczajnego młotka.

Wskazał ręką w lewo, w głąb długiego korytarza i Pitt posłuchał. Kiedy mijali po drodze jeszcze kilkoro żelaznych drzwi, Pitt pomyślał, że być może za którymiś z nich siedzą Gunn i Giordino.

Zatrzymali się przy windzie, której drzwi przytrzymywał inny strażnik. Weszli do kabiny i kiedy ruszyła, Pitt poczuł lekki nacisk na stopy, co znaczyło, że jadą w górę. Zerknąwszy na wskaźnik pięter nad drzwiami naliczył na nim pięć lampek przyporządkowanych poszczególnym poziomom. Spory budynek, pomyślał. Winda stanęła i rozsunęły się automatyczne drzwi.

Po wyjściu z kabiny Pitt z eskortującym go strażnikiem znaleźli się w pomieszczeniu o sklepionym łukowato suficie i przykrytej dywanem posadzce. Wzdłuż dwóch bocznych ścian ciągnęły się półki zastawione setkami książek. Większość była w języku angielskim, a wśród nich wiele bestsellerów najlepszych amerykańskich autorów. Całą ścianę naprzeciwko zajmowała ogromna mapa Ameryki Północnej. Pomieszczenie wyglądało Pittowi na prywatny gabinet. Stało tam duże, staromodne, rzeźbione biurko z marmurowym blatem zarzuconym aktualnymi egzemplarzami “Washington Post”, “New York Timesa”, “Wall Street Journal” i “USA Today”. Na stołach po obu stronach drzwi piętrzyły się stosy czasopism technicznych, a wśród nich “Computer Technology”, “Science Digest” oraz “Air Force Journal”. Dywan był czerwony jak burgundzkie wino, a na jego puszystej powierzchni w równych odstępach rozstawiono sześć foteli obitych zieloną skórą.

Nie odzywając się nadal ani słowem, strażnik wszedł z powrotem do windy i zostawił Pitta samego w pustym pomieszczeniu.

- Chcą się przypatrzeć małpie - mruknął Pitt pod nosem. Nie zawracał sobie głowy wypatrywaniem na ścianach zamaskowanych obiektywów kamer wideo. Nie miał większych wątpliwości, że są tu gdzieś ukryte i rejestrują jego poczynania. Postanowił sprawdzić, jak działają. Przez chwilę chwiał się jak pijany wywracając oczy, a potem osunął na dywan.

Nie minęło piętnaście sekund, jak otworzyły się zamaskowane drzwi, których obrys pokrywał się idealnie z równoleżnikami i południkami gigantycznej ściennej mapy, i do pomieszczenia wkroczył niski, schludny mężczyzna w elegancko skrojonym sowieckim mundurze wojskowym. Przykląkł i spojrzał w półprzymknięte oczy Pitta.

- Słyszysz mnie pan? - spytał po angielsku.

- Słyszę - wymamrotał Pitt.

Rosjanin podszedł do stolika i przechylił kryształową karafkę nad szklanką od kompletu. Wrócił z nią do Pitta i uniósł mu głowę.

- Niech pan to wypije - polecił.

- Co to jest?

- Koniak courvoisier o ostrym, szczypiącym smaku - odparł rosyjski oficer z nieskazitelnym amerykańskim akcentem. - Dobry na to, co panu dolega.

- Wolę bardziej aromatyczny, łagodniejszy w smaku remy martin - powiedział Pitt podnosząc do ust szklaneczkę. - Zdrówko.

Wysączył koniak do dna, po czym podniósł się zwinnie z dywanu, podszedł do fotela i usiadł.

Oficer uśmiechnął się rozbawiony.

- Widzę, że szybko doszedł pan do siebie, panie...

- Snodgrass, Elmer Snodgrass z Moline w stanie Illinois.

- Miłe środkowozachodnie miasteczko - powiedział Rosjanin obchodząc biurko i zajmując za nim miejsce. - Jestem Piotr Wielikow.

- Generał Wielikow, jeśli nie zawodzi mnie moja znajomość rosyjskich insygniów wojskowych.

- Nie zawodzi - przyznał Wielikow. - Jeszcze koniaku?

Pitt potrząsnął przecząco głową i przyjrzał się uważnie człowiekowi siedzącemu za biurkiem. Oceniał wzrost Wielikowa na ponad pięć stóp i siedem cali, jego wagę na jakieś sto trzydzieści funtów, a wiek na gdzieś pod pięćdziesiątkę. Emanowała z niego podnosząca na duchu życzliwość, a jednak Pitt wyczuwał pod nią chłód. Generał włosy miał krótkie i czarne, lekko przyprószone na skroniach siwizną i przerzedzone nad czołem, oczy błękitne niczym alpejskie jezioro, a w jego klasycznej twarzy o jasnej cerze zaznaczyły się raczej romańskie niż słowiańskie wpływy. Ubrać go w togę, nasadzić wieniec na głowę, fantazjował Pitt, i Wielikow mógłby pozować do marmurowego popiersia Juliusza Cezara.

- Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że zadam kilka pytań - powiedział grzecznie Wielikow.

- Zupełnie nic. Nie mam dziś do załatwienia żadnych palących spraw. Mój czas należy do pana.

W oczach Wielikowa zaiskrzył się na chwilę lód, ale zaraz stajał.

- Przypuśćmy, że powie mi pan, w jaki sposób znalazł się na Cayo Santa Maria.

Pitt rozłożył ręce w geście bezradności.

- Nie ma sensu, żeby marnował pan czas. Wyłożę od razu karty na stół. Jestem dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Mojej radzie i mnie przyszedł do głowy wspaniały pomysł akcji promocyjnej polegającej na wyczarterowaniu sterowca i rozrzucaniu z niego nad terytorium całej Kuby kartek uprawniających do zakupu papieru toaletowego. Słyszałem, że występują tu dotkliwie braki w tym asortymencie. Niestety, Kubańczykom nie przypadła do gustu nasza strategia marketingowa i zestrzelili nas.

Generał Wielikow posłał Pittowi wyrozumiałe, ale rozdrażnione spojrzenie. Nasadził na nos okulary do czytania i otworzył leżącą przed nim na biurku teczkę.

- Widzę z pańskiego dossier, panie Pitt - panie Dirku Pitt, jeśli prawidłowo to wymawiam - że w pańskiej charakterystyce wspomina się o skłonności do sarkazmu.

- Czy jest tam również napisane, że jestem patologicznym łgarzem?

- Nie, ale wygląda na to, że ma pan niezmiernie fascynujący życiorys. Szkoda, że nie jest pan po naszej stronie.

- Niech pan nie żartuje, generale, jakiej przyszłości mógłby oczekiwać nonkonformista w Moskwie?

- Niestety, krótkiej.

- Doceniam pańską szczerłość.

- Dlaczego nie powie mi pan prawdy?

- Powiedziałbym, gdyby tylko był pan skłonny w nią uwierzyć.

- Sądzi pan, że nie jestem?

- Nie, jeśli cierpi pan na komunistyczną manię upatrywania spisku CIA pod każdym kamieniem.

- Wygląda na to, że ma pan bardzo niepoehlebne zdanie o Związku Radzieckim.

- Proszę mi wymienić choćby jedno takie dokonanie waszego kraju w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat, które zasługiwałyoby na poklask ludzkości. Nie można się nadziwić, dlaczego do Rosjan nie dociera, że są pośmiewiskiem świata. Wasze imperium to najpatetyczniejszy żart historii. Dwudziesty pierwszy wiek za pasem, a wasz rząd zachowuje się tak, jakby nadal tkwił w latach trzydziestych.

Wielikowowi nawet nie drgnęła powieka, ale Pitt zauważył lekki rumieniec na jego twarzy. Jasne było, że generał nie nawykł do wysłuchiwania krytycznych uwag z ust człowieka, którego uważał za wroga państwa. Mierzył Pitta wzrokiem sędziego, który rozważa orzeczenie kary śmierci w sprawie

o morderstwo mając niezbite dowody winy oskarżonego. Potem w jego spojrzeniu pojawił się wyraz zastanowienia.

- Dopilnuję, aby pańskie komentarze dotarły do Biura Politycznego - powiedział oschle. - Teraz, skoro mamy już ten wykład za sobą, panie Pitt, chciałbym usłyszeć, jak się pan tu dostał.

Pitt wskazał ruchem głowy na stolik z karafką.

- Jednak napiłbym się jeszcze koniaku.

- Proszę sobie nalać.

Pitt napełnił swoją szklaneczkę do połowy i wrócił na fotel.

- To, co zaraz panu opowiem, jest szczerą prawdą. Chcę, aby pan zrozumiał, że nie mam powodu kłamać. O ile mi wiadomo, nie wykonuję żadnej szpiegowskiej misji z ramienia mojego rządu. Czy rozumiemy się, generale?

- Tak.

- Czy włączył pan już ukryty magnetofon?

Wielikow uprzejmie skinął głową.

- Włączyłem.

I Pitt zrelacjonował szczegółowo pojawienie się sterowca widma, spotkanie z Jessie LeBaron w gabinecie admirała Sandeckera, ostatni lot *Prosperteera* i na koniec dramatyczną ucieczkę przed huraganem, pomijając milczeniem fakt zestrzelenia przez Giordina helikoptera patrolowego i nurkowanie do wraku *Cyklopa*.

Kiedy Pitt skończył, Wielikow nie podniósł wzroku. Przeglądał jego dossier z ledwie zauważalną zmianą w wyrazie twarzy. Zachowywał się tak, jakby błędził myślami w rejonach odległych o lata świetlne i nie słyszał słowa z opowiadania Pitta.

Pitt też potrafił w to grać. Wstał z fotela ze szklaneczką koniaku w ręku. Wziął z biurka egzemplarz "Washington Post" i ze zdumieniem stwierdził, że nosi aktualną datę.

- Musicie dysponować bardzo sprawnym systemem kurierskim - mruknął z uznaniem.

- Przepraszam?

- Macie gazety sprzed zaledwie kilku godzin.

- Sprzed pięciu, jeśli mamy być dokładni.

Koniak rozpląwał się rozkosznym ciepłem po pustym żołądku Pitta. Po trzecim drinku zaczął widzieć

swoją sytuację w jaśniejszych barwach. Przeszedł do ataku.

- Gdzie trzymacie Raymonda LeBarona? - zapytał.

- Jest w tej chwili naszym gościem.

- To dlaczego jego ocalenie było przez dwa tygodnie utrzymywane w tajemnicy?

- Nie muszę panu niczego wyjaśniać, panie Pitt.

- Jak to jest, że LeBaron uczestniczy w wystawnych kolacjach odziany w wizytowy garnitur, podczas gdy ja i moi przyjaciele zmuszeni jesteśmy jeść i ubierać się jak pospolici więźniowie?

- Bo nimi właśnie jesteście, panie Pitt, pospolitymi więźniami. Pan LeBaron to bardzo bogaty i wpływowy człowiek, z którym wspaniale się rozmawia, a wy sprawiacie tylko kłopot. Czy to zaspokaja pańską ciekawość?

- To niczego nie zaspokaja - odparł Pitt ziewając.

- W jaki sposób zniszczyliście helikopter patrolowy? - spytał zniecka Wielikow.

- Rzucaliśmy w niego butami - odparował gniewnie Pitt. - A czego pan się spodziewał po czwórce cywili, w tym jednej kobiecie, lecących czterdziestoletnim dmuchawcem?

- Helikoptery nie eksplodują w powietrzu bez przyczyny.

- Może piorun go trafił.

- No dobrze, panie Pitt, jeśli odbywał pan zwyczajną misję poszukiwawczą mającą na celu wyjaśnienie zniknięcia pana LeBarona i zlokalizowanie skarbu, to jak pan wyjaśni raport kapitana kutra patrolowego, który twierdzi, że gondola nawigacyjna sterowca była tak posiekana pociskami, że nikt w niej nie mógł ocaleć, że na chwilę przed eksplozją helikoptera ze sterowca trysnęła struga światła i że skrupulatne przeczesanie miejsca katastrofy nie doprowadziło do natrafienia na jakikolwiek ślad rozbitków? A mimo to pojawiacie się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na wyspie w samym środku huraganu, kiedy patrole wartownicze schroniły się przed wiatrem. Przyzna pan sam, że w najodpowiedniejszej chwili.

- A pan jak by to wytłumaczył?

- Albo sterowiec był zdalnie sterowany, albo strzelcy pokładowi helikoptera zabili inną załogę. Pan i pani LeBaron zostaliście wysadzeni w pobliżu brzegu przez łódź podwodną, ale podczas lądowania fale rzuciły was na skały i odnieśliście rany.

- Ma pan troję za wyobraźnię, generale, ale dwóję za niedopracowanie szczegółów. Zgadza się tylko część dotycząca lądowania. Zapomniał pan o najważniejszym, o motywie. Po co czworo nie uzbrojonych rozbitków miałoby przypuszczać atak na to, co tu macie?

- Nie mam jeszcze odpowiedzi - odparł Wielikow z rozbijającym uśmiechem.

- Ale zamierza ją pan znaleźć?

- Nie należę do ludzi, którzy potrafią pogodzić się z porażką, panie Pitt. Pańska opowieść, chociaż bardzo poruszająca, nie trzyma się kupy. - Nacisnął klawisz biurkowego interkomu. - Wkrótce sobie pogawędzimy.

- Kiedy można się spodziewać nawiązania kontaktu z władzami amerykańskimi, aby mogły one podjąć negocjacje w sprawie naszego zwolnienia?

Wielikow spojrzał na Pitta protekcjonalnie.

- O, przepraszam. Zapomniałem wspomnieć, że wasze władze zostały powiadomione już godzinę temu.

- Że żyjemy?

- Nie, że zginęliście.

Przez długą chwilę sens tych słów nie docierał do Pitta. Potem zaczął powoli pojmować i oniemiał. Wwiercił się wzrokiem w Wielikowa.

- Jak to, generale?

- To bardzo proste - odparł Wielikow tonem tak przyjacielskim, jakby gawędził z listonoszem. - Czy to przypadkowo, czy z rozmysłem natknęliście się na naszą najważniejszą instalację wojskową poza granicami Związku Radzieckiego. Nie możecie stąd odejść. Po wydobyciu od was prawdy wszyscy umrzecie.

ROZDZIAŁ 28

Hagen, który lubił dobrze podjeść i w czasie wolnym z upodobaniem dogadzał swemu podniebieniu, wykradł godzinkę na uraczenie się meksykańskim lunchem złożonym z płaskich enchilad z sadzonym jajkiem i grzankami, polanych tekilą. Zapłacił rachunek, wyszedł z restauracji i pojechał pod adres widniejący przy nazwisku Clyde'a Warda. Jego informator z towarzystwa telefonicznego ustalił, że numer z czarnego notesu generała Fishera przyporządkowany jest aparatowi publicznemu zainstalowanemu na pewnej stacji benzynowej. Sprawdził czas. Za sześć minut jego pilot zadzwoni pod ten numer ze stojącego na lotnisku samolotu.

Stację benzynową znalazł w przemysłowym rejonie miasta, niedaleko bocznic kolejowej. Była samoobsługowa i sprzedawała paliwo niewiadomego pochodzenia. Podjechał pod czerwony dystrybutor pokryty grubą warstwą brudu i wsunął końcówkę węża w otwór wlewu paliwa wozu, unikając przy tym skrupulatnie spoglądania w kierunku automatu wrzutowego wiszącego na ścianie w kantorku stacji.

Zaraz po wylądowaniu na lotnisku w Albuquerque Hagen wynajął samochód, po czym odciągnął ze zbiornika dziesięć galonów paliwa, żeby jego wizyta na stacji benzynowej nosiła wszelkie cechy autentyczności. Zabulgotały ostatnie pęcherzyki powietrza uwięzionego w zbiorniku. Hagen zakręcił bak i odwiesił wąż. Wszedł do kantorka i kiedy grzebał w portfelu, zaterkotał dzwonek zamontowanego na ścianie automatu.

Jedyny pracownik na zmianie, zajęty naprawą sflaczałej opony, wytarł dłonie w szmatę i podniósł słuchawkę. Hagen wsłuchał się w jednostronną konwersację.

- Stacja obsługi Mela... Kogo?... Nie ma tutaj żadnego Clyde'a... Tak, jestem pewny. Wykręcił pan zły numer... Tak, to ten numer, ale pracuję tu już sześć lat i nigdy nie słyszałem o żadnym Clydzie.

Pracownik stacji odwiesił słuchawkę, podszedł do kasy i uśmiechnął się do Hagen.

- Ile pan nabrał?

- Dziesięć i dwie dziesiąte galona. Trzydzieści dolarów i pięćdziesiąt siedem centów.

Korzystając z tego, że mężczyzna szuka drobnych, by wydać resztę z dwudziestki, Hagen rozejrzał się po stacji. Nie mógł się oprzeć uczuciu uznania dla profesjonalizmu, z jakim stworzono scenografię, bo była to właśnie scenografia. Posadzki kantorka i warsztatu nie widziały miotły od lat. Z sufitów zwieszały się pajęczyny, na narzędziach więcej było rdzy niż oleju, a dłonie i paznokcie pracownika wyglądały tak, jakby w życiu nie zetknęły się ze smarem. Najbardziej zdumiał go jednak system bezpieczeństwa. Jego wprawne oko wyłowiło misterną instalację elektryczną, zbędną w całodobowej stacji benzynowej. Bardziej wyczuwał niż dostrzegał urządzenia podsłuchowe i

kamery.

- Mógłby mi pan wyświadczyć przysługę? - spytał Hagen pracownika stacji odbierając resztę.

- O co chodzi?

- Coś mi dziwnie stuka w silniku. Czy zechciałby pan zajrzeć pod maskę i zobaczyć, co mogło nawalić?

- Jasne, czemu nie. I tak nie mam wiele do roboty.

Hagen zwrócił uwagę na wymodelowaną fryzurę pracownika i śmiał wątpić, by tych włosów kiedykolwiek dotykała ręka fryzjera z sąsiedztwa. Dostrzegł też niewielkie wybrzuszenie na nogawce spodni po zewnętrznej stronie łydki, tuż nad kostką.

Hagen zaparkował wóz po przeciwnej stronie drugiego, licząc od budynku stacji, rzędu dystrybutorów. Uruchomił teraz silnik i odciągnął dźwignię zatrasku maski. Pracownik oparł stopę o przedni zderzak i pochylił się nad chłodnicą.

- Nie słyszę nic szczególnego.

- Niech pan podejdzie z tej strony - powiedział Hagen. - Tu lepiej słyszać. - Stał plecami do ulicy, zasłonięty przed wszelką elektroniczną obserwacją korpusami pomp, samochodem i podniesioną maską.

Kiedy pracownik przechyliwszy się przez błotnik wsunął głowę nad silnik, Hagen wyciągnął pistolet z kabury za plecami i wcisnął lufę pomiędzy pośladki mężczyzny.

- Masz wbite w dupę wojskowe magnum 0,357 z dwuipółcalową lufą naładowane ślepakami. Rozumiesz?

Pracownik zeszywniał, ale nie okazał strachu.

- Tak, rozumiem, przyjacielu.

- I orientujesz się, co mogą ślepaki z małej odległości?

- Wiem, co to są ślepaki.

- To dobrze, czyli wiesz, że jeśli naciśnę spust, przebiją ci taki śliczny tunel od odbytu po mózg.

- Czego chcesz, przyjacielu?

- Gdzie się podział twój podrobiony, małomiasteczkowy akcent? - zapytał Hagen.

- Raz jest, raz go nie ma.

Hagen schylił się i wolną ręką wyciągnął spod nogawki spodni pracownika stacji mały automat kalibru 0,38 typu Beretta.

- No dobra, **przyjacielu**, gdzie mogę znaleźć Clyde'a?

- Nigdy o takim nie słyszałem.

Hagen dźgnął mężczyznę lufą magnum w podstawę kręgosłupa z taką siłą, że tamtemu spodnie pękły na siedzeniu i nieszczęśnik stęknął z bólu.

- Dla kogo pracujesz? - wydusił z siebie.

- Dla "jądra" - odparł Hagen.

- To niemożliwe.

Hagen ponownie dźgnął ku górze ściętą lufą pistoletu. Twarz mężczyzny wykrzywiła się, zajęczał z bólu przeszywającego mu dolną połowę ciała.

- Kto to jest Clyde? - warknął Hagen.

- Clyde Booth - wymamrotał mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

- Nie słyszę cię, przyjacielu.

- Nazywa się Clyde Booth.

- Opowiedz mi coś o nim.

- Uważają go za swego rodzaju geniusza. Konstruuje i wytwarza przyrządy naukowe wykorzystywane potem w kosmosie. Tajne systemy dla rządu. Nie wiem dokładnie, jestem tylko członkiem ochrony.

- Gdzie teraz jest?

- Zakład znajduje się dziesięć mil na zachód od Santa Fe. Nazywa się QB-Tech.

- Co znaczy to QB?

- Skrót od Quarter Back - wyjaśnił pracownik. - Booth grał w futbol amerykański w drużynie stanu Arizona.

- Wiedziałeś, że się tu zjawię?

- Kazano nam uważać na grubasa.

- Ilu jeszcze czatuje na stacji? - spytał Hagen.

- Trzech. Jeden na ulicy w ciężarówce holowniczej, jeden na dachu magazynu za stacją, jeden w

czerwonej furgonetce zaparkowanej przed barem tuż obok.

- Dlaczego nie interweniują?

- Mamy cię tylko śledzić.

Hagen cofnął pistolet i wsunął go z powrotem do kabury. Następnie wysypał naboje z automatu pracownika stacji, upuścił broń na ziemię i posłał ją kopniakiem pod samochód.

- W porządku - powiedział. - Teraz idź, nie biegnij, tylko idź z powrotem do kantoru.

Zanim pracownik zdążył przebyć połowę drogi przez podjazd stacji, Hagen był już przecznicę dalej i skręcał za róg. Wziął na pełnym gazie jeszcze cztery zakręty, żeby zgubić ciężarówkę i furgonetkę, po czym pognął w kierunku lotniska.

ROZDZIAŁ 29

Leonard Hudson wyszedł z windy, która zwiozła go do serca centrum operacyjnego projektu Kolonii Jersey. Niósł parasol ociekający padającym na zewnątrz deszczem i luksusową teczkę z wypolerowanej do połysku, orzechowej skóry.

Nie spoglądał ani w lewo, ani w prawo, a na pozdrowienia swoich podwładnych odpowiadał zdawkowym skinieniem ręki. Hudson nie należał do ludzi nerwowych ani strachliwych, ale teraz dręczył go niepokój. Napływające od innych członków "jądra" meldunki ostrzegały o niebezpieczeństwie. Ktoś ich metodycznie rozpracowywał. Człowiek z zewnątrz zdemaskował precyzyjnie obmyślane działania kamuflujące.

Ten anonimowy intruz zagroził teraz całemu wysiłkowi włożonemu w budowę bazy księżycowej - koncepcji, projektowi, poświęceniom, pieniądzom i ludzkiemu wysiłkowi, dzięki którym powstała Kolonia Jersey.

Hudson wszedł do wielkiego, skromnie urządzonego gabinetu i zastał tam czekającego nań Gunnara Eriksena.

Eriksen siedział na kanapie popijając z filiżanki gorącą kawę i paląc wygiętą fajkę. Na jego okrągłej, nie poznaczonej zmarszczkami twarzy malował się wyraz powagi, a oczy lekko mu błyszczały. Ubrany był niewyszukanie, ale schludnie, w drogą, sportową marynarkę z kaszmiru i brązowy sweter z wycięciem w serek wypuszczony na dopasowane kolorystycznie wełniane spodnie. W takim stroju mógłby z powodzeniem sprzedawać jaguary albo ferrari.

- Rozmawiałeś z Fisherem i Boothem? - spytał bez wstępów Hudson wieszając parasol i stawiając teczkę obok biurka.

- Rozmawiałem.

- Domyślają się, kto to mógł być?

- Nie.

- Dziwne, że nigdy nie pozostawia odcisków palców - mruknął Hudson sadowiąc się na kanapie obok Eriksena i nalewając sobie kawy ze szklanego dzbanka.

Eriksen wydmuchnął w sufit kłęb dymu.

- Jeszcze dziwniejsze, że na wszystkich ujęciach zarejestrowanych kamerami wideo jego sylwetka jest rozmazana.

- Musi nosić przy sobie jakieś elektroniczne urządzenie zakłócające.
- Jasne, że to nie jakiś zwyczajny prywatny detektyw - zachnął się Eriksen. - To najwyższej klasy profesjonalista, za którym stoi ktoś ważny.
- Wie, gdzie szukać, legitymuje się autentycznymi dokumentami stwierdzającymi tożsamość i przepustkami. Ta bajeczka, którą uraczył Mooneya, że jest jakoby wizytatorem z Głównego Urzędu Finansowego, była pierwszorzędna. Sam się na nią nabrałem.
- Co o nim wiemy?
- Mamy tylko plik sprzecznych ze sobą portretów pamięciowych, w których nie pokrywa się nic poza tuszą. Wszyscy określają go zgodnie jako grubasa.
- Możliwe, że to prezydent nasłał na nas agencję wywiadowczą.
- Gdyby tak było - powiedział z powątpiewaniem Hudson - mielibyśmy do czynienia z całą zgrają tajnych agentów. Wszystko wskazuje na to, że ten człowiek pracuje sam.
- A nie przyszło ci do głowy, że prezydent mógł po cichu wynająć agenta spoza służb rządowych? - spytał Eriksen.
- Zastanawiałem się nad tą możliwością, ale nie trafia mi ona zbytnio do przekonania. Nasz przyjaciel z Białego Domu ma Gabinet Owalny pod ścisłą obserwacją. Wiemy o każdym, kto telefonuje do skrzydła administracyjnego, wchodzi do niego bądź stamtąd wychodzi. Oczywiście, jest jeszcze prezydencka linia prywatna, ale nie sądzę, aby tego rodzaju misję można było zlecić przez telefon.
- Interesujące - mruknął Eriksen. - Grubas rozpoczął swoje dochodzenie od zakładu, w którym zrodziła się idea Kolonii Jersey.
- To prawda - przyznał Hudson. - Przetrzęsnał gabinet Earla Mooneya w laboratorium Pattendena i znalazł numer generała Fishera, a rozmawiając z nim przez telefon wspomniał nawet coś, że chcesz mi zwrócić za samolot.
- To wyraźna aluzja do naszej upozorowanej śmierci - powiedział w zadumie Eriksen. - To by znaczyło, że wiąże nas ze sobą.
- Potem zjawił się w Kolorado i napadł Fishera kradnąc mu notes z adresami i numerami elity projektu Kolonii Jersey, z członkami Jądra” włącznie. Następnie musiał zwęszyć pułapkę, jaką zastawiliśmy w Nowym Meksyku, by podjąć jego trop, bo udało mu się wymknąć. Nadarzyła się pewna szansa, kiedy jeden z naszych agentów ochrony obserwujący lotnisko w Albuquerque zwrócił uwagę na grubego mężczyznę, który przyleciał nie oznakowanym prywatnym odrzutowcem i wystartował ponownie zaledwie w dwie godziny później.
- Musiał wynająć samochód, posłużyć się jakimś dowodem tożsamości.

Hudson pokręcił głową.

- Nic, co dałoby się wykorzystać. Okazał prawo jazdy i kartę kredytową na nazwisko nie istniejącego George'a Goodfly'a z Nowego Orleanu.

Eriksen wytrząsnął popiół z fajki na szklany talerzyk.

- Dziwne, że nie zjawił się w Santa Fe i nie próbował się dobrać do Clyde'a Booth'a.

- Moim zdaniem on szuka tylko faktów.

- Ale kto mu za to płaci? Rosjanie?

- Na pewno nie KGB - orzekł Hudson. - Oni nie przekazują poufnych informacji przez telefon ani nie podróżują po kraju prywatnym odrzutowcem. Nie, ten człowiek działa w pośpiechu. Powiedziałbym, że stara się zdążyć przed upływem jakiegoś nieprzekraczalnego terminu.

Eriksen wpatrywał się w swoją filiżankę.

- Za pięć dni na Księżycu ma wylądować sowiecka wyprawa załogowa. To musi być ten nieprzekraczalny termin.

- Sądzę, że możesz mieć rację.

Eriksen spojrzał na niego.

- Widzisz teraz, że siłą, która stoi za tym intruzem, musi być prezydent - powiedział cicho.

Hudson pokiwał powoli głową.

- Nie dopuszczałem do siebie tej możliwości - powiedział jakby do siebie. - Pragnąłem uwierzyć, że podejmie kroki zabezpieczające Kolonię Jersey przed rosyjską penetracją.

- Z tego, co mi opowiadałeś o waszym spotkaniu, wynika, że nie był skłonny do popierania bitwy między naszymi ludźmi i sowieckimi kosmonautami na Księżycu. Nie byłby też zachwycony dowiadując się, że Steinmetz zniszczył trzy sowieckie statki kosmiczne.

- Mnie nie daje spokoju pytanie - powiedział Hudson - dlaczego prezydent, zakładam, że to jego interwencja, dysponując tyloma środkami, wysłał tylko jednego człowieka?

- Bo kiedy zaakceptował fakt istnienia Kolonii Jersey, zdał sobie sprawę, że nasi współpracownicy znają każde jego posunięcie, i słusznie założył, że stać nas na sprowadzenie na fałszywe tropy każdego dochodzenia. Ten prezydent to mądry człowiek. Zanim zdążyliśmy się zorientować, wprowadził do gry zawodnika, który przełamał naszą obronę.

- Może jest jeszcze czas, żeby skierować go na fałszywy trop.

- Za późno. Grubas ma notes Fishera - zawyrokował Eriksen. - Wie, kim jesteśmy i gdzie nas szukać. Stanowi bardzo realne zagrożenie. Zaczął od ogona i posuwa się teraz w kierunku głowy. Kiedy przekroczy próg tego pokoju, prezydent na pewno uczyni wszystko, by nie dopuścić do konfrontacji z sowieckimi kosmonautami w Kolonii Jersey.

- Dajesz do zrozumienia, że należy wyeliminować grubasa? - spytał Hudson.

- Nie - odparł Eriksen. - Lepiej nie zadzierać z prezydentem. Wyłączymy go tylko na parę dni z gry.

- Zastanawiam się, gdzie teraz zawita - zamyślił się Hudson.

Eriksen metodycznie nabił fajkę nową porcją tytoniu.

- Swoje polowanie na czarownice rozpoczął w Oregonie, stamtąd przeniósł się do Kolorado, a potem do Nowego Meksyku. Moim zdaniem jego celem będzie teraz Teksas, a konkretnie biuro naszego człowieka zatrudnionego w NASA w Houston.

Hudson wystukał numer na klawiszach stojącego na biurku telefonu.

- Szkoda, że nie mogę być przy tym, jak ten sukinsyn będzie wpadał w nasze sidła.

ROZDZIAŁ 30

Następne dwie godziny Pitt przeleżał na wznak na łóżku w celi nasłuchując odgłosów otwierania i zamykania metalowych drzwi i kroków rozbrzmiewających na korytarzu. Młody strażnik przyniósł lunch i czekał, aż Pitt zje, a wychodząc sprawdził, czy nie brakuje żadnego ze sztucców. Tym razem strażnik był jakby w lepszym humorze i nie miał przy sobie broni. Na czas posiłku pozostawił też drzwi otwarte stwarzając Pittowi okazję do dyskretnych oględzin zamka.

Pitt z zaskoczeniem stwierdził, że nie jest to jakiś masywny zamek z solidną zasuwą, tylko zwyczajny zatrzask drzwiowy. Cella, w której go umieszczono, nigdy nie miała służyć za więzienie. Najprawdopodobniej było to pomieszczenie przeznaczone na magazynek.

Zamieszał łyżką cuchnący gulasz z ryby i oddał miskę z powrotem, bardziej zainteresowany sposobem, w jaki zamykają się drzwi, niż jedzeniem podanej brei. Wiedział, że jest ona pierwszym krokiem na drodze do stopniowego osłabiania mechanizmów obronnych jego psychiki. Strażnik wycofał się na korytarz i zamknął za sobą z hukiem metalowe drzwi. Pitt nastawił ucha i wyłowił pojedynczy, wyraźny trzask, który nastąpił po zatrzaśnięciu drzwi.

Ukląkł i delikatnie zbadał szczelinę pomiędzy drzwiami a zastawką zamka. Miała ze cztery milimetry szerokości. Potem przetrząsnął celę szukając przedmiotu dostatecznie cienkiego, by dało się go wepchnąć w tę szparę i podważyć zatrzask.

Rama łóżka, na której ułożono materac, wykonana była z desek łączonych na wpusty. Nie było w niej niczego z metalu, niczego twardego i płaskiego. Kurki w umywalce były porcelanowe, a rury odprowadzające pod nią i pod rezerwuarem sedesu nie oferowały nic, co można by wymodelować w rękach. Szczęście uśmiechnęło się do niego z szafy na ubrania. Do jego celów nadawał się idealnie każdy z zawiasów, tylko że nie mógł wykręcić wkretów paznokciami.

Kiedy rozważał ten problem, otworzyły się niespodziewanie drzwi i w progu stanął strażnik. Przez chwilę wodził wzrokiem po celi. Potem obcesowym gestem dał Pittowi do zrozumienia, że ma wyjść, i poprowadził go labiryntem szarych, betonowych korytarzy zatrzymując się w końcu przed drzwiami oznaczonymi numerem 6.

Pitt, pchnięty bez ceregieli, znalazł się w małej klitce, w której unosił się mdlący odór. Pośrodku cementowej podłogi widniał otwór ściekowy. Ściany miały ponury odcień czerwieni złowieszczo współgrający z deseniem plam, którymi były zachlapane. Jedyne źródło oświetlenia stanowiła tu słaba, żółta żarówka zwisająca na przewodzie z sufitu. Było to najbardziej przygnębiające pomieszczenie, do jakiego kiedykolwiek wchodził Pitt.

Stało tam jedynie proste, straszliwie obdrapane drewniane krzesło. Ale wzrok Pitta przyciągnęła

postać siedzącego na tym krześle mężczyzny. W oczach, które odwzajemniły jego spojrzenie, było tyle wyrazu co w kostkach lodu. Pitt nie podejmował się oszacować wzrostu nieznanego, ale jego klatka piersiowa i ramiona były tak rozrośnięte, że wyglądały na zdeformowane, jak u kulturysty, który spędził tysiące godzin na kształtowaniu w znoju i pocie swojego ciała. Głowę miał wygoloną do gołej skóry, a twarz można by właściwie uznać za przystojną, gdyby nie wielki, niewydarzony nochal zupełnie nie pasujący do reszty. Mężczyzna był ubrany jedynie w parę gumowców i tropikalne szorty. Wydał się Pittowi dziwnie znajomy; wrażenie to psuł tylko wąs a la Bismarck.

Nie podnosząc wzroku, mężczyzna przystąpił do odczytywania listy zbrodni, o jakie oskarżano Pitta. Otwierał ją zarzut pogwałcenia kubańskiej przestrzeni powietrznej, zestrzelenie helikoptera, zamordowanie jego załogi, praca na rzecz Centralnej Agencji Wywiadowczej, nielegalne przekroczenie granicy kraju. Padały dalsze odczytywane monotonnym głosem oskarżenia, a kończył je zarzut bezprawnego wtargnięcia do zamkniętej strefy wojskowej. Mężczyzna miał czysto amerykańską wymowę ze śladem zachodniego akcentu.

- Co ma pan do powiedzenia?

- Winny jak cholera.

W kierunku Pitta wyciągnęła się ogromna łapa trzymająca arkusz papieru i pióro.

- Proszę podpisać przyznanie się do winy.

Pitt wziął pióro i przykładając dokument do ściany podpisał go nie czytając treści.

Przesłuchujący popatrzył w zadumie na podpis.

- Chyba się pan pomylił - powiedział.

- Jak to?

- Pan się nie nazywa Benedict Arnold.

Pitt pstryknął palcami.

- O Boże, ma pan rację. To nazwisko nosiłem w zeszłym tygodniu. W tym nazywam się Miliard Fillmore.

- Bardzo zabawne.

- Ponieważ generał Wielikow powiadomił już władze amerykańskie o mojej śmierci - odparł poważnie Pitt - nie widzę większego sensu w przyznawaniu się do winy. To tak jakby szkieletowi zrobić zastrzyk z penicyliny. Po co to komu?

- Tu chodzi o zabezpieczenie przed nieprzewidzianymi wypadkami, o względy propagandowe, nawet o pozycję przetargową - wyjaśnił poważnie przesłuchujący. - Powodów można wyliczać wiele. - Urwał i zagłębił się w lekturze akt z kartonowej teczki. - Z dossier, które otrzymałem od generała

Wielikowa, widzę, że kierował pan akcją podnoszenia z dna wraku *Empress of Ireland* na Rzecze Świętego Wawrzyńca.

- Zgadza, się.

- Uczestniczyłem w tej akcji.

Pitt spojrział na mężczyznę. Zdecydowanie było w nim coś znajomego, ale nie potrafił sobie uzmysłwić co. Potrząsnął głową.

- Nie przypominam sobie, żeby pracował pan w moim zespole. Jak się pan nazywa?

- Foss Gly - powiedział powoli mężczyzna. - Wspólnie z Kanadyjczykami usiłowałem pokrzyżować wasze plany.

Z pamięci Pitta wykrystalizował się nagle obraz holownika przycumowanego w doku portu Rimouski w prowincji Quebec. Ocalił tam życie agentowi angielskiego wywiadu waląc Gly'ego w głowę kluczem francuskim. Przypomnił sobie również wielką ulgę, jaką odczuł stwierdzając, że Gly jest odwrócony plecami i nie widzi, że się do niego podkrada.

- A więc nigdy nie spotkaliśmy się twarzą w twarz - powiedział spokojnie. Wypatrywał najmniejszego błysku rozpoznania w oczach Gly'ego, ale ten nie mrugnął nawet powieką.

- Prawdopodobnie nie.

- Jest pan daleko od domu.

Gly wzruszył potężnymi ramionami.

- Pracuję dla tego, kto najwięcej płaci za moje specjalne usługi.

- W tym wypadku maszynka do pieniędzy pluje rublami.

- Przemienionymi w złoto - dodał Gly. Westchnął, wstał powoli z krzesła i przeciągnął się. Skórę miał tak napiętą, a żyły tak nabrzmiałe, że sprawiało to groteskowe wrażenie. Kiedy stał, gładka kopała jego głowy znajdowała się na jednym poziomie z brodą Pitta. - Z przyjemnością kontynuowałbym tę miłą pogawędkę o starych, dobrych czasach, panie Pitt, ale niestety, muszę wyciągnąć od pana odpowiedzi na kilka ważnych pytań oraz podpis pod przyznaniem się do winy.

- Będę rozmawiał na każdy temat, jaki pana interesuje, kiedy uzyskam zapewnienie, że państwu LeBaron i moim przyjaciołom nic nie grozi.

Gly nie odpowiedział, a wyraz jego oczu graniczył z obojętnością.

Pitt wyczuł zbliżający się cios i wyprężył ciało do amortyzującego skłonu. Ale Gly nie uderzył. Zamiast tego wyciągnął powoli rękę i chwycił Pitta za szyję, tam gdzie przechodzi ona w ramiona i gdzie ciało jest miękkie. Z początku naciskał lekko, ledwie wyczuwalnie, potem coraz silniej, aż w

końcu ból buchnął płomieniem.

Pitt ucapił obiema rękami nadgarstek Gly'ego i usiłował uwolnić szyję z tych żelaznych kleszczy, ale z równym powodzeniem mógłby próbować wyrwać z korzeniami wysoki na dwadzieścia stóp dąb. Zaciśnął zęby tak, że omal mu nie popękały. Poprzez kanonadę strzelających w mózgu fajerwerków docierał doń z oddali głos Gly'ego.

- W porządku, Pitt, możesz tego uniknąć. Powiedz mi tylko, kto ci kazał przedostać się na tę wyspę i po co. Nie ma sensu tak cierpieć, chyba że jesteś zawodowym masochistą. To nie żarty, wierz mi. Powiedz generałowi, co chce wiedzieć. Cokolwiek ukrywasz, nie zmieni to biegu historii. Szali nie przeważą i tysiące ludzkich istnień. Po co masz patrzeć, jak twoje ciało dzień po dniu zamienia się w miążgę dopóty, dopóki nie zostanie skruszona ostatnia kość, nie pęknie ostatni staw, a mięśnie nie przyjmą konsystencji tłuczonych ziemniaków. Bo to cię właśnie czeka, jeśli nie puścisz farby. Zrozumiałeś?

Gly zwolnił uścisk i nieludzki ból zelżał. Pitt zatoczył się i spojrzał spod na wpół przymkniętych powiek na swego oprawcę, masując jedną ręką paskudnego sińca wykwitającego na ramieniu. Zdawał sobie sprawę, że jakkolwiek opowie historię, prawdziwą czy zmyśloną, nigdy mu nie uwierzą. Tortury będą trwały, dopóki nie opuszczą go siły fizyczne i nie zobojętnieje na wszystko.

- Dostajesz premię za każde wymuszenie przyznania się do winy? - spytał grzecznie.

- Nie pracuję na akord - odparł Gly z przyjaznym rozbawieniem.

- Wygrałeś - powiedział lekko Pitt. - Mam niski próg wytrzymałości na ból. Do czego mam się przyznać, do próby zamachu na życie Fidela Castro czy do spisku mającego na celu przekabacenie rosyjskich doradców i zrobienie z nich demokratów?

- Chcemy tylko prawdy, panie Pitt.

- Powiedziałem już ją generałowi Wielikowowi.

- Tak, mam tu zapis pańskiego zeznania.

- A więc wie pan, że pani LeBaron, Al Giordino, Rudi Gunn i ja próbowaliśmy natrafić na ślad Raymonda LeBarona, zaginionego w trakcie poszukiwania wraku statku, na którym przypuszczalnie znajdował się skarb. Co w tym zdrożnego?

- Generał Wielikow widzi w tym parawan dla bardziej poufnej misji.

- Na przykład?

- Na przykład próby skontaktowania się z braćmi Castro.

- Pierwsze słowo, jakie przychodzi mi do głowy, to bzdura. Istnieją na pewno prostsze sposoby kontaktowania się naszych rządów.

- Gunn wszystko nam wyznał - powiedział Gly. - Mieliście tak pokierować akcją, żeby niby to przypadkiem zapuścić się na kubańskie wody terytorialne, dać się tam przechwycić jakiejś jednostce patrolowej i pod jej eskortą dotrzeć na główny ląd. Znalazłszy się tam mieliście przekazać ważne informacje dotyczące tajnych rozmów amerykańsko-kubańskich.

Pitt był szczerze zaskoczony. Słuchał tego wszystkiego jak tureckiego kazania.

- To na pewno największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem.

- To dlaczego byliście uzbrojeni i zestrzeliliście kubański helikopter patrolowy?

- Nie mieliśmy przy sobie żadnej broni - zełgał Pitt. - Helikopter eksplodował ni stąd, ni zowąd na naszych oczach. Nie mam pojęcia, co było przyczyną.

- Proszę więc wyjaśnić, dlaczego kubański kuter patrolowy nie mógł znaleźć rozbitków na miejscu katastrofy?

- Znajdowaliśmy się w wodzie. Panowały ciemności, a morze było wzburzone. Nie zauważyli nas.

- Zdołaliście, nie rozdzielając się, przepłynąć sześć mil wśród szalejącego huraganu i wylądować bezpiecznie całą czteroosobową grupą na Cayo Santa Maria. Jak to było możliwe?

- Chyba szczęście nam sprzyjało.

- I kto teraz opowiada bzdury?

Pitt nie miał nawet okazji odpowiedzieć. Bez najmniejszego ostrzeżenia Gly wykonał półobrót i władował pięść w bok Pitta w okolicach lewej nerki.

Ból i nagły przebłysk zrozumienia eksplodowały w nim jednocześnie. Tonąc w czarnej studni nieświadomości wyciągnął rękę do Jessie, ale ta roześmiała się i nie uczyniła najmniejszego wysiłku, by podać mu pomocną dłoń.

ROZDZIAŁ 31

Niski, dźwięczny głos mówił coś niemal tuż przy jego uchu. Słowa były niezrozumiałe i odległe. Zza krawędzi łóżka wypełzła armia skorpionów i zaczęła wbijać mu w bok swoje jadowite, kolczaste ogony. Otworzył oczy. Oślepiło go jasne fluorescencyjne światło, zamknął je więc z powrotem. Poczł wilgoć na twarzy i podejrzewając, że może pływa, rozrzucił ramiona. I wtedy głos przemawiający gdzieś z boku stał się bardziej wyraźny.

- Leż spokojnie, kolego. Przemynam ci tylko twarz.

Pitt ponownie otworzył oczy i skupił wzrok na miłej, inteligentnej twarzy starszego, siwowłosego mężczyzny o łagodnych, zatroskanych oczach. Ich spojrzenia się spotkały i mężczyzna uśmiechnął się.

- Bardzo pana boli?

- Trochę.

- Wody?

- Tak, poproszę.

Kiedy mężczyzna wstał, jego włosy dotknęły niemal sufitu. Wydobył kubek z małej brezentowej torby i napełnił go wodą z miski.

Pitt, z dłonią przyciśniętą do boku, uniósł się bardzo powoli do pozycji siedzącej. Czuł się całkiem rozbity i wściekle głodny. Kiedy ostatnio jadł? Był tak otumaniony, że nie mógł sobie tego przypomnieć. Przyjął z wdzięcznością kubek z wodą i wychylił go łapczywie. Potem spojrzał na swojego dobroczyńcę.

- Stary, nadziany i niezmordowany Raymond, jeśli się nie mylę.

LeBaron uśmiechnął się sztywno.

- Nie lubię tych przydomków.

- Niełatwo pana znaleźć.

- Żona opowiedziała mi, jak ocalił jej pan życie. Chciałem panu podziękować.

- Jeśli wierzyć generałowi Wielikowowi, to ocalenie jest tylko tymczasowe.

Uśmiech spełził z ust LeBarona.

- Co on panu powiedział?

- Powiedział, cytuję, "Wszyscy musicie umrzeć".

- Podał panu powód?

- Z jego słów wynika, że przypadkowo natknęliśmy się na najtajniejszą sowiecką instalację wojskową.

LeBaron zamyślił się.

- Wielikow skłamał - stwierdził po chwili. - Kompleks ten budowano początkowo z przeznaczeniem na centrum zbierania danych przesyłanych przez nadajniki mikrofalowe rozmieszczone wokół USA, ale szybki rozwój w dziedzinie satelitów nasłuchowych uczynił cały obiekt przestarzałym jeszcze przed ukończeniem.

- Skąd pan to wie?

- Zezwolili mi na spacer po wyspie. Byłoby to nie do pomyślenia w strefie objętej najściślejszą tajemnicą. Nie zauważyłem nigdzie żadnych śladów skomplikowanego sprzętu łącznościowego ani anten. Zaprzyjaźniłem się też z wieloma kubańskimi gośćmi. Niektórym z nich wymknęły się w rozmowie strzępy informacji. Z tego co wydedukowałem, miejsce to jest czymś w rodzaju schronienia dla ludzi interesu, ustroniem, do którego przybywają dyrektorzy przedsiębiorstw, by omawiać i planować strategię marketingu na nadchodzący rok. Z tą różnicą, że tutaj spotykają się nie biznesmeni, lecz wysokiej rangi sowieccy i kubańscy urzędnicy państwowi, aby uzgadniać ze sobą kierunki współpracy politycznej i wojskowej.

Pitt miał trudności z koncentracją. Lewa nerka bolała go jak diabli i odczuwał senność. Doczłapał jakoś do muszli klozetowej. Jego uryna była wprawdzie trochę różowa od krwi, ale miał wrażenie, że nerka nie została poważnie uszkodzona.

- Lepiej nie przeciągajmy tej rozmowy - powiedział. - Moja cela jest prawdopodobnie na podsłuchu.

LeBaron pokręcił głową.

- Nie, nie sędzę. Projekt kompleksu nie przewidywał wprowadzania na tym poziomie szczególnych środków bezpieczeństwa, bo i tak nie ma stąd wyjścia. To coś w rodzaju francuskiej kolonii karnej na Czarciej Wyspie; ucieczka jest niemożliwa. Od kubańskiego głównego lądu dzieli nas dwadzieścia mil. Wody roją się od rekinów, a prąd znosi na otwarte morze. Najbliższy ląd w przeciwnym kierunku to Bahamy leżące sto dziesięć mil na północny wschód. Jeśli myśli pan o ucieczce, to radzę wybić ją sobie z głowy.

Pitt bardzo ostrożnie usiadł z powrotem na swoim łóżku.

- Widział się pan z innymi?

- Tak.

- W jakim są stanie?

- Giordino i Gunn przebywają w jednym pomieszczeniu parę kroków stąd. Ze względu na odniesione obrażenia oszczędzono im wizyty w pokoju numer sześć. Na razie są traktowani zupełnie przyzwoicie.

- A Jessie?

Przez twarz LeBarona przemknął nieznaczny skurcz.

- Generał Wielikow przydzielił nam wspaniałomyślnie pokój dla ważnych osobistości. Możemy nawet jadać z oficerami.

- Dobrze słyszeć, że i państwu również oszczędzono wizyty w pokoju sześć.

- Tak, oboje jesteśmy szczęśliwi, że traktują nas po ludzku.

LeBaron mówił jakoś nieprzekonująco, bezbarwnie. Oczy miał przygaszone. Trudno było rozpoznać w nim beztroskiego awanturnika, słynącego z sukcesów i porażek w świecie biznesu, człowieka, który był istnym wulkanem energii i którego rady szukali finansiści i przywódcy tego świata. Sprawiał wrażenie załamane go farmera przepędzonego z własnej ziemi przez bezwzględne go bankiera.

- A co z Buckiem Caesarem i Joem Cavilla? - spytał Pitt.

LeBaron wzruszył ze smutkiem ramionami.

- Buck zmylił strażników podczas ćwiczeń na zewnątrz kompleksu i usiłował odpłynąć z wyspy na pniu przewróconej palmy. W trzy dni później morze wyrzuciło na brzeg jego ciało, a właściwie to, co z niego zostało po przeprawie z rekinami. Co do Joego, to po kilku przesłuchaniach w pokoju sześć zapadł w śpiączkę i zmarł. Wielka szkoda. Nie miał żadnych powodów, by odmawiać współpracy z generałem Wielikowem.

- A pan nigdy nie złożył wizyty Fossowi Gly'emu?

- Nie, oszczędzono mi tego. Dlaczego - trudno powiedzieć. Może generał Wielikow uważa, że jestem zbyt cenny jako narzędzie przetargowe.

- I tak padło na mnie - mruknął ponuro Pitt.

- Chciałbym panu pomóc, ale generał Wielikow zignorował już wszystkie moje błagania, by oszczędzić Joego. W pańskim przypadku jest równie nieustępliwy.

Uwagi Pitta nie uszło, że wspominając o Wielikowie, LeBaron tytułuje zawsze Rosjanina jego stopniem wojskowym.

- Nie pojmuję brutalności tych przesłuchań. Jaką korzyść przyniosło zamęczenie Cavilli? Co mają nadzieję wyciągnąć ze mnie?

- Prawdę - powiedział z prostotą LeBaron.

Pitt spojrzał na niego ostro.

- Prawda, jaką znam ja, jest taka, że pan i pańscy ludzie zaginęliście w trakcie poszukiwań *Cyklopa*. Pańska żona i my trzej również wyruszyliśmy na poszukiwania tego wraku w nadziei, że uda nam się w ten sposób ustalić, jaki los was spotkał. Niech mi pan powie, gdzie tu pobrzmiewa fałsz?

LeBaron otarł rękawem z czoła świeży pot.

- Nie mnie należy o to pytać, Dirk. Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze. Rosyjska mentalność każe tym ludziom wszędzie dopatrywać się kłamstwa.

- Rozmawiał pan z Jessie. Na pewno opowiedziała panu, jak doszło do tego, że znaleźliśmy *Cyklopa* i wylądowaliśmy na tej wyspie.

Słyszac w ustach Pitta nazwę *Cyklop*, LeBaron wyraźnie się wzdrygnął. Odskoczył szybko od Pitta, chwycił swoją brezentową torbę i załomotał pięścią w drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast i już go nie było.

Foss Gly czekał na LeBarona w pokoju numer sześć. Siedział tam niczym pogrążony w zadumie diabeł, maszyna do zabijania w ludzkiej skórze, niewrażliwa na cierpienie i śmierć. Cuchnął rozkładającym się mięsem.

LeBaron stanął drżący przed oprawcą i bez słowa podał mu brezentową torbę. Gly poszperał w niej, wyciągnął mały magnetofon i przewinął taśmę do początku. Przesłuchał kilka sekund nagrania upewniając się, czy głosy są wyraźne.

- Zwierzył się panu? - spytał LeBarona.

- Tak, nie próbował niczego ukrywać.

- Pracuje dla CIA?

- Nie sędzę. Jego lądowanie na wyspie to zwyczajny przypadek. Gly wyszedł zza biurka, chwycił LeBarona za fałd skóry w pasie i tym samym flegmatycznym ruchem ścisnął ją w garści i wykręcił. Wydawcy oczy wyszły z orbit i stęknął z bólu, który przeszył mu ciało. Osunął się powoli na kolana klękając na betonowej posadzce.

Gly pochylił się i z odległości paru cali z lodowatą złośliwością spojrzał LeBaronowi w oczy.

- Nie wciskaj mi kitu, łajzo - warknął z groźbą w głosie - bo następną osobą, która zapłaci okaleczeniem ciała, będzie twoja słodka żonka.

ROZDZIAŁ 32

Ira Hagen przechytrzył Hudsona i Eriksena i nie poleciał do Houston. Nie było takiej potrzeby. Komputer pokładowy odrzutowca dostarczył mu wszystkich potrzebnych danych. Numer teksaskiego telefonu z czarnego notesu generała Fishera pozwolił ustalić abonenta. Był nim dyrektor działu kontroli lotów NASA, Irwin Mitchell, alias Irwin Dupuy. Po sprawdzeniu innego nazwiska z listy, Steve'a Larsona, okazało się, że chodzi o Steve'a Busche'a, dyrektora Centrum Badawczego Lotów NASA z siedzibą w Kalifornii.

“Dziwięciu małych Indian, a zostało tylko czterech...”

Zestawienie członków “jądra” sporządzone przez Hageną miało teraz następującą postać:

Raymond LeBaronwidziany ostatnio na Kubie

Generał Clark Fisher.....Colorado Springs

Clyde BoothAlbuquerque

Irwin MitchellHouston

Steve BuscheKalifornia

Dean Beagle (?)Filadelfia(tożsamość i miejsce pobytu nie ustalone)

Daniel Klein (?).....Waszyngton D.C. (jak wyżej)

Leonard Hudson..... Maryland (miejsce pobytu nie ustalone)

Gunnar Eriksen.....Maryland (jak wyżej)

Termin mijał za sześć godzin. Hagen informował na bieżąco prezydenta o postępach śledztwa i ostrzegł go, że może nie zdążyć. Prezydent montował już zespół zaufanych ludzi. Mieli oni zgarnąć członków “jądra” i dostarczyć ich na miejsce, którego prezydent jeszcze nie wskazał. Kartą atutową Hageną była zbieżność miejsc pobytu ostatnich trzech osób z listy. Przypuszczał, że wszyscy oni siedzą w tej samej norze.

Hagen zmienił taktykę i po wylądowaniu w Międzynarodowym Porcie Lotniczym w Filadelfii nie musiał już tracić czasu na wynajmowanie samochodu. Pilot porozumiał się wcześniej z ziemią i kiedy Hagen zstępował po schodkach, na płycie lotniska czekała na niego limuzyna marki Lincoln. Podczas dwudziestoczworomilowej drogi brzegiem rzeki Schuylkill do parku stanowego Valley Forge, Hagen opracowywał raport dla prezydenta i formułował plan przyspieszenia poszukiwań Hudsona i Eriksena. Wcześniej już zdążył ustalić, że wspólny obu mężczyznom numer telefonu należy do odłączonego od sieci aparatu w opuszczonym domu pod Waszyngtonem.

Kiedy samochód przejeżdżał przez park, w którym zimą z roku 1777 na 1778 obozowała armia Jerzego Waszyngtona, Hagen zamknął swój neseser. Na wielu drzewach wisiały jeszcze złote liście, a faliste pagórki zaczynały dopiero brązowieć. Kierowca skręcił w drogę, która biegnąc kamiennym wąwozem okrążała górujące nad parkiem wzniesienie.

Historyczny zajazd Artylerii Konnej, skryty w cieniu kępy drzew i otoczony rozległymi łąkami, wzniesiono w roku 1790 jako stację dyliżansów pocztowych i gospodę dla wędrujących osadników. Był to malowniczy, dwupiętrowy budynek z niebieskimi okiennicami i okazałym gankiem od frontu. Zajazd stanowił oryginalny przykład wczesnej architektury farmerskiej, a tabliczka na ścianie informowała, że obiekt ten figuruje w Krajowym Spisie Zabytków.

Hagen wysiadł z limuzyny, wszedł po stopniach na ganek i mijając rozstawione tam staromodne fotele na biegunach wkroczył do holu umeblowanego antykami stłoczonymi wokół przytulnego kominka, na którym płonął z trzaskiem kłoc drewna. Do stolika w sali jadalnej podprowadziła go dziewczyna w stroju z okresu kolonizacji.

- Jest tu gdzieś Dean? - spytał od niechcienia Hagen.

- Tak, proszę pana - odparła promiennie dziewczyna. - Pan senator jest w kuchni. Chciałby się pan z nim zobaczyć?

- Byłbym wdzięczny, gdyby poświęcił mi parę minut.

- Czy zechce pan przejrzeć tymczasem menu?

- Tak, poproszę.

Hagen przebiegł wzrokiem dosyć kuszącą listę dawnych amerykańskich dań. Jego myśli nie krążyły jednak wokół jedzenia. Czy to możliwe, zastanawiał się, aby Dean Beagle był senatorem Deanem Porterem, tym samym, który przewodniczył kiedyś potężnemu Komitetowi Spraw Zagranicznych i tylko o włos przegrał z George'em McGovernem przedbiegi do wyborów prezydenckich? Tym Porterem, który zasiadał przez blisko trzydzieści lat w Senacie, a przed dwoma laty odszedł na zasłużoną emeryturę pozostawiając po sobie trwałe ślady w polityce amerykańskiej?

Z kuchni przez wahadłowe drzwi wyszedł łysy, dobiegający osiemdziesiątki mężczyzna, wycierając dłonie o skraj fartucha. Niepozorna postać o twarzy dziadka. Zatrzymał się przy stoliku Hagen i spojrzał na niego obojętnie.

- Chciał się pan ze mną widzieć?

- Senator Porter - powiedział Hagen wstając z krzesła.

- Tak.

- Nazywam się Ira Hagen. Ja również jestem restauratorem i specjalizuję się w daniach amerykańskich, ale nie aż tak twórczych, jak pana propozycje.

- Leo uprzedził mnie, że może pan zawitać w moje progi - powiedział szorstko Porter.

- Nie usiądzie pan?

- Zostaje pan na obiedzie, panie Hagen?

- Taki miałem zamiar.

- A więc niech pan pozwoli, że zaproponuję mu butelkę miejscowego wina na koszt zakładu.

- Dziękuję.

Porter przywołał kelnerkę i wydał jej polecenie. Potem odwrócił się z powrotem do Hageny.

- Ilu z nas udało się już panu rozszyfrować? - spytał patrząc mu życzliwie w oczy.

- Pan jest szósty - odparł Hagen.

- Ma pan szczęście, że nie udał się do Houston. Leo powołał komitet powitalny, który tam na pana czeka.

- Czy był pan członkiem "jądra" od początku, senatorze?

- Wszedłem w jego skład w roku 1964 i pomagałem w organizowaniu utajonego systemu finansowania.

- Gratuluję pierwszorzędnej roboty.

- Jak rozumiem, pracuje pan dla prezydenta.

- Zgadza się.

- Jakie ma względem nas zamiary?

- Chce was w końcu uhonorować, tak jak wszyscy na to zasługujecie. Ale przede wszystkim pragnie powstrzymać waszych ludzi przebywających na Księżycu przed rozpętaniami wojny.

Porter nie odpowiedział, bo w tym właśnie momencie do stolika podeszła kelnerka z butelką schłodzonego białego wina. Senator z wprawą wyciągnął korek i napełnił jeden kieliszek. Upił

wielki łyk, przytrzymał wino w ustach i skinął głową.

- Niezłe - pochwalił. Dopiero teraz napełnił kieliszek Hagen. - Przed piętnastu laty, panie Hagen, nasz rząd popełnił głupi błąd i zdradził najnowsze osiągnięcia amerykańskiej techniki kosmicznej dając się nabrać na podstępna zabawę, którą ochrzczono szumnym mianem "uścisku dłoni w kosmosie". Jak pan sobie zapewne przypomina, było to okrzyczane przez środki masowego przekazu wspólne przedsięwzięcie programów kosmicznych obu mocarstw, polegające na zorganizowaniu na orbicie spotkania amerykańskich kosmonautów ze statku *Apollo* z rosyjskimi ze statku *Sojuz*. Od początku się temu sprzeciwiałem, ale przeżywaliśmy w tym czasie tak zwany okres odprężenia i moje protesty były jak głos wołającego na puszczy. Nie ufałem Rosjanom wtedy i nie ufam im teraz. Cały ich program badania przestrzeni kosmicznej zbudowany był głównie na propagandzie, przy cholernie znikomym udziale rzeczywistych osiągnięć technicznych. Wyjawiliśmy Rosjanom technologię wyprzedzającą o dobre dwadzieścia lat to, czym podówczas dysponowali. W porównaniu z naszym sowiecki sprzęt kosmiczny to złom. Wywaliliśmy czterysta milionów dolarów na naukową darowiznę. Fakt, że całowaliśmy tyłek Rosjan, kiedy oni obrabiali nasz, dowodzi tylko prawdziwości powiedzonka, że "głupich nie sieją". Postanowiłem, że nigdy już do takiego czegoś nie dopuszczę. I dlatego właśnie nie będę stał z założonymi rękami i patrzył, jak Rosjanie kradną dorobek Kolonii Jersey. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdyby to oni byli lepsi od nas technicznie, wyparliby nas z Księżyca bez skrępułów.

- A zatem zgadza się pan ze zdaniem Leo, że pierwszych Rosjan, którzy wylądują na Księżycu, trzeba wyeliminować.

- Oni uczynią wszystko, aby zagarnąć z naszej bazy księżycowej co tylko nawinie im się pod rękę. Niech pan spojrzysz prawdzie w oczy, panie Hagen. Nie widać jakoś, żeby nasi tajni agenci kupowali najnowsze osiągnięcia rosyjskiej techniki i szmuglowali je na zachód. Sowietci muszą się zdawać na nasze osiągnięcia naukowo-techniczne, bo sami są za głupi i zbyt krótkowzroczni, żeby tworzyć własne.

- Nie ma pan zbyt wielkiego mniemania o Rosjanach - zauważył Hagen.

- Kiedy Kreml, zamiast dzielić i rządzić, zdecyduje się na budowę lepszego świata, może zmienię zdanie.

- Pomoże mi pan odszukać Leo?

- Nie - odparł krótko senator.

- "Jądro" mogłoby przynajmniej wysłuchać racji prezydenta, kiedy ten o to prosi.

- Czy po to pana przysłał?

- Miał nadzieję, że zdołam odnaleźć was wszystkich, póki nie jest jeszcze za późno.

- Za późno na co?

- Za niespełna cztery dni na Księżycu wylądują pierwsi rosyjscy kosmonauci. Jeśli wasi ludzie z

Kolonii Jersey wymordują ich, rząd sowiecki może się poczuć upoważniony do zestrzelenia któregoś z naszych wahadłowców albo stacji orbitalnej.

Senator spojrział na Hagenę lodowatym wzrokiem.

- Interesująca hipoteza. Czy nie sądzi pan, że życie wkrótce ją zweryfikuje?

ROZDZIAŁ 33

Wykorzystując zatrzask od bransolety zegarka w charakterze śrubokręta, Pitt odkręcił zawiasy szafy na ubrania. Następnie wsunął płaską połowę jednego z zawiasów pomiędzy zatrzask a zastawkę. Pasowała niemal idealnie. Teraz wystarczyło tylko czekać, aż pojawi się strażnik z kolacją.

Pitt ziewnął i położył się na łóżku powracając myślami do Raymonda LeBarona. Jego wyobrażenia na temat słynnego magnata prasowego poszły w gruzy. LeBaron nie pasował do przypisywanej mu opinii twardego człowieka. Sprawiał wrażenie przestraszonego. Ani razu nie wspomniał o tym, co mówili Jessie, Al albo Rudi. Na pewno prosili, żeby przekazał mu jakieś słowa otuchy. W zachowaniu LeBarona było coś bardzo podejrzanego.

Pitt usiadł słysząc szcęk otwieranego zamka. Do celi wszedł strażnik z tacą w ręku. Podał ją Pittowi, a ten postawił ją sobie na kolanach.

- Co tam dziś pysznego przyniosłeś? - spytał pogodnie.

Strażnik skrzywił się z niesmakiem i obojętnie wzruszył ramionami. Pitt nie mógł mieć do niego pretensji. Na tacy leżała mała kromka zakalcowatego, pozbawionego smaku chleba i stała miska wstrętnej polewki z kurczaka.

Pitt był głodny, ale co ważniejsze, musiał zachować siły. Przemógł się i zmusił do jedzenia, choć żołądek podchodził mu do gardła. Skończywszy, oddał tacę strażnikowi, który wziął ją bez słowa i wyszedł na korytarz zamykając za sobą drzwi.

Pitt zerwał się z łóżka, opadł na kolana i wsunął jeden z zawiasów szafy pomiędzy zatrzask a framugę, blokując w ten sposób drogę ryglowi poprzez zastawkę do zapadki. Niemal jednocześnie docisnął ramię do płyty drzwi i stuknął w nią drugim zawiasem imitując trzask zaskakującego zamka.

Gdy tylko kroki strażnika ścichły w głębi korytarza, uchylił lekko drzwi, oddał kawałek plastra przytrzymującego opatrunek na rozciętym ramieniu i upchnął go w otworze framugi, żeby drzwi nie mogły się już zatrzaskać.

Zdjąwszy sandały i zatknąwszy je sobie za pas zamknął po cichu drzwi, umocował włos w poprzek szczeliny i na bosaka ruszył bezszelestnie korytarzem tuż przy samej ścianie. Nic nie wskazywało na to, że są tu jacyś strażnicy albo urządzenia alarmowe.

Pierwszym celem Pitta było odnalezienie przyjaciół i zaplanowanie ucieczki, ale pokonawszy dwadzieścia jardów korytarza odkrył wąski, okrągły szyb awaryjny z drabiną niknącą w zalegającym wyżej mroku. Postanowił sprawdzić, dokąd prowadzi ta droga. Wspinaczka zdawała się nie mieć końca i wyczuwał intuicyjnie, że mija wyższe poziomy tej podziemnej budowli. Posuwając się wciąż

w nieprzeniknionych ciemnościach natrafił wreszcie wyciągniętymi nad głowę rękoma na drewnianą klapę przykrywającą szyb od góry. Podsunął pod nią kark i naparł powoli. Unosząca się klapa zatrzeszczała głośno.

Pitt wstrzymał oddech i znieruchomiał. Upłynęło pięć minut i nic się nie wydarzyło, nikt nie krzyknął. Kiedy w końcu odważył się unieść klapę wystarczająco wysoko, jego oczom ukazała się betonowa posadzka garażu, w którym stało kilka wojskowych pojazdów i maszyn budowlanych. Pomieszczenie było wielkie, miało wymiary osiemdziesiąt na sto stóp i chyba z piętnaście stóp do sufitu podpieranego przez rząd stalowych dźwigarów. Strefa parkowania była zaciemniona, ale pod przeciwległą ścianą znajdowała się jasno oświetlona pakamera. Dwaj Rosjanie w wojskowych mundurach siedzący tam przy stole grali w szachy.

Pitt wyślizgnął się z szybu wyjściowego, przebiegł za zaparkowanymi pojazdami i przeczołgawszy się pod oknem pakamery dopadł do głównej bramy. Dotarcie z celi aż tutaj przyszło mu zadziwiająco łatwo, ale teraz, kiedy najmniej się tego spodziewał, doznał porażki. Drzwi były zamykane elektrycznie. Nie dałby sobie rady z ich uruchomieniem nie zwracając na siebie uwagi szachistów.

Trzymając się cały czas cienia, ruszył wzdłuż ścian w poszukiwaniu innego wyjścia. Uświadamiał sobie w duchu, że sprawa jest przegrana. Jeśli budynek stoi na powierzchni, to prawdopodobnie jest zamaskowanym ziemią kopcem i jedyna droga do środka i na zewnątrz wiedzie przez wielką bramę wjazdową.

Posuwając się wzdłuż ścian zatoczył pełne koło i znalazł się z powrotem w miejscu, z którego wyruszył. Zniechęcony, miał już dać za wygraną, kiedy nagle, spojrzawszy w górę, dostrzegł zamontowany w suficie wywietrznik. Na oko był chyba wystarczająco duży, by można się tamtędy precyzyjnie przesuwać.

Pitt wdrapał się szybko na dach ciężarówki, sięgnął w górę i podciągnął się na rękach na jeden z dźwigarów. Następnie, cal po calu, przesunął się po nim do odległego o trzydzieści stóp wywietrznika i wygramolił na zewnątrz. Powiew świeżego, wilgotnego powietrza podziałał na niego orzeźwiająco. Stwierdził, że huragan słabnie i szybkość wiatru spadła do mniej więcej dwudziestu mil na godzinę. Niebo było tylko częściowo zasłane chmurami i widniała na nim ćwiartka księżyca rozpraszająca mroki nocy na tyle, by zapewnić jaką taką widoczność w promieniu stu stóp.

Następnym problemem, jaki musiał rozwiązać, było pokonanie wysokiego muru okalającego kompleks. W wartowni przy bramie czuwał teraz strażnik, nie było więc mowy o wydostaniu się na zewnątrz tą samą drogą, którą weszli tu dwie doby temu.

W sukurs znowu przyszło mu szczęście. Natrafił w końcu na mały otwór kanału odpływowego przebiegającego pod murem. Wsadził tam głowę, ale utknął zatrzymany przez rząd żelaznych prętów. Na szczęście zdążyły już paskudnie przerdzewieć w tropikalnym powietrzu i rozgiął je bez większego trudu.

Trzy minuty później Pitt był już daleko od kompleksu i kłusował między palmami rosnącymi wzdłuż drogi biegnącej podnóżem skarpy. Nigdzie nie było śladu strażników ani kamer elektronicznego nadzoru, a dzięki niskim zaroślom jego sylwetka nie odcinała się od jasnego piasku. Biegł po skosie

ku plaży, dopóki nie dotarł do zelektryfikowanego ogrodzenia.

Odcinek uszkodzony przez huragan został już naprawiony. Pitt rozpoznał jednak to miejsce po powalonej palmie, która spowodowała wyłom i nadal tam leżała. Padł na kolana i zabrał się do rycia podkopu pod ogrodzeniem. Im głębiej kopał, tym bardziej obsuwały się zwały wydobytego piachu wypełniając z powrotem dno. Minęła blisko godzina, nim zdołał uformować dół wystarczająco głęboki, by dało się nim przeczołgać na plecach na drugą stronę.

Bolały go ramiona i nerki i spływał potem niczym nasiąknięta wodą gąbka. Starał się wrócić po własnych śladach na miejsce lądowania przy skałach na plaży. W mdłym świetle księżyca krajobraz wydawał mu się zupełnie obcy, z tym że i tak nie bardzo sobie przypominał, jak wyglądało tu wtedy, kiedy huraganowy wiatr przygniatał go prawie do ziemi i zmuszał do zaciskania powiek.

Kręcił się tam i z powrotem po plaży myszkując między skałami. Miał już dać za wygraną, kiedy w oko wpadł mu odbłask księżycowej poświaty na jakimś przedmiocie zarytym w piachu. Wyciągnął rękę i dotknął zbiornika paliwa silnika przyczepnego łodzi pneumatycznej. Wał i śruba leżały zagrzebane w piasku trzydzieści stóp od linii przyływu. Gołymi dłońmi wykopał silnik z mokrego piachu, zarzucił go sobie na ramię i ruszył plażą oddalając się od rosyjskiego kompleksu.

Nie miał pojęcia, dokąd idzie ani gdzie ukryje silnik. Stopy grzęzły mu w piasku, a sześćdziesięciofuntowe brzemie utrudniało marsz. Co kilkaset jardów musiał przystawać i odpoczywać.

Przebrnąwszy tak dobre dwie mile natrafił wreszcie na zarośniętą zielskiem drogę biegnącą między kilkoma rzędami opuszczonych, walących się chat. Większość z nich standardem niewiele odbiegała od zwyczajnych szałasów, a wszystkie przycupnęły wokół małej laguny. Pitt domyślił się, że musiała to być kiedyś wioska rybacka. Nie mógł wiedzieć, że ma przed sobą jedną z tych osad, których mieszkańców siłą przesiedlono na główny ląd podczas przejmowania wyspy przez Sowieców.

Z ulgą zrzucił z ramion silnik i zaczął myszkować w chatach. Ściany i dachy wykonane były z arkuszy blachy falistej i odpadków drewna. Z umeblowania mało co pozostało. Znalazł wyciągniętą na brzeg łódź, ale nie było nawet co marzyć o jej wykorzystaniu. Dno miała całkowicie przegniłe.

Przyszło mu do głowy, żeby sklecić tratwę, ale trwałoby to zbyt długo, a poza tym wołał nie podejmować ryzyka budowy czegoś takiego po ciemku i bez narzędzi. Produkt finalny nie zapewniałby żeglarzom spokoju ducha na wzburzonej wodzie.

Fosforyzujące wskazówki zegarka wskazywały 1.30. Jeśli chciał odnaleźć Giordina i Gunna i porozmawiać z nimi, musiał już wracać. Potrzebował jeszcze paliwa do silnika, ale nie było już czasu go szukać. Szacował, że powrót do celi zajmie mu dobrą godzinę.

Pod ścianą zapadniętej chałupy znalazł starą żeliwną wannę. Położył silnik na ziemi, nakrył go przewróconą do góry dnem wanną, rzucił na wierzch kilka opon i przegniłych materaców, a następnie wycofał się tyłem na odległość dobrych siedemdziesięciu pięciu stóp, zacierając swoje ślady gałęzią palmy.

Zakradł się z powrotem do kompleksu. Poszło to łatwiej niż droga w tamtą stronę. Musiał tylko pamiętać o naprostowaniu metalowych prętów w otworze kanału ściekowego. Dopiero teraz zastanowiło go, dlaczego wokół kompleksu na wyspie nie roi się od strażników, ale zaraz przypomniał sobie, że rejon ten jest bez przerwy patrolowany przez amerykańskie samoloty zwiadowcze wyposażone w kamery zdolne do wykonywania z wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy stóp fotografii, na których można odczytać nazwę piłki golfowej.

Sowieci musieli dojść do wniosku, że lepiej zrezygnować ze ścisłego dozoru na rzecz nadania wyspie wyglądu bezludnej i opuszczonej. Nie będą jej wtedy brali pod uwagę kubańscy dysydenci uchodzący przed rządem Castra, a ewentualni komandosi rekrutujący się spośród kubańskich uchodźców ominą ją w drodze ku głównemu lądowi. Skoro nikt tu nie lądował ani stąd nie uciekał, Rosjanie nie mieli się przed kim pilnować.

Pitt opuścił się wywietrznikiem, przemknął ukradkiem przez garaż i zszedł szybem wyjściowym na dół. W korytarzu nadal panowała cisza. Obejrzał drzwi swojej celi i stwierdził, że włos znajduje się na swoim miejscu.

Zamierzał teraz odszukać Giordina i Gunna, ale bał się przeciągać strunę. Chociaż nie pilnowano ich tu zbyt sumiennie, istniało zawsze niebezpieczeństwo wpadki. Gdyby przyłapano go teraz poza celą, byłby to koniec. Wielikow i Gly już by zadbali o to, żeby dobrze go zamknąć, jeżeli od razu by z nim nie skończyli.

Czuł, że mimo to musi zaryzykować. Druga taka okazja może się już nie nadarzyć. W tym betonowym korytarzu roznosił się echem każdy dźwięk. Jeśli tylko nie oddali się zbyt od swej celi, usłyszy odgłos kroków z wyprzedzeniem dostatecznym, by zdążyć do niej wrócić.

W pomieszczeniu sąsiadującym z jego celą znajdował się magazynek na farby. Szperał w nim przez parę minut, ale nie znalazł niczego, co mogłoby mu się przydać. Dwa pomieszczenia po drugiej stronie korytarza stały puste. W trzecim przechowywano akcesoria hydrauliczne. Otworzył kolejne drzwi i ujrzał przed sobą zaskoczone twarze Giordina i Gunna. Wślizgnął się szybko do środka uważając, by nie zatrzasnąć drzwi za sobą.

- Dirk! - krzyknął Giordino.

- Ciszej - szepnął Pitt.

- Miło, że wpadłeś, stary.

- Sprawdziliście, czy ściany nie mają tu uszu? - spytał Pitt.

- Trzydzieści sekund po tym, jak nas tu zapuszkowali - odparł Gunn. - Lokal jest czysty.

Dopiero teraz Pitt zauważył ciemnofioletowe cienie wokół oczu Giordina.

- Widzę, że miałeś spotkanie z Fossem Glym w pokoju numer sześć.

- Odbiliśmy bardzo interesującą rozmowę. Tyle że w przeważającej części jednostronną.

Pitt spojrział na Gunna, ale nie dostrzegł na jego twarzy żadnych śladów złego traktowania.

- A ty?

- Ten facet jest za sprytny, żeby mnie walić po gębie - odparł Gunn uśmiechając się z przymusem. Wskazał na swoją złamaną kostkę. Zdjęto z niej opatrunek. - Znajduje przyjemność w wykręcaniu mi stopy.

- Co z Jessie?

Gunn i Giordino wymienili ponure spojrzenia.

- Obawiamy się najgorszego - powiedział Gunn. - Późnym popołudniem, wychodząc z windy, słyszeliśmy z Alem kobiece krzyki.

- Wracaliśmy z przesłuchania od tego obleśnego sukinsyna Wielikowa.

- To ich taktyka - wyjaśnił Pitt. - Generał obchodzi się z tobą w rękawiczkach, a potem przekazuje Gly'emu na obróbkę żelazną pięścią. - Przechadzał się zdenerwowany po malutkiej klitce. - Musimy odnaleźć Jessie i spieprzać stąd.

- Jak? - spytał Giordino. - LeBaron złożył nam wizytę i podkreślił bezsens snucia jakichkolwiek planów ucieczki z tej wyspy.

- Nie ufam temu nadzianemu i niezmordowanemu Raymondowi - powiedział cierpko Pitt. - Wydaje mi się, że Gly stłukł go na kwaśne jabłko.

- Zgadzam się z tobą.

Gunn przekręcił się na prycy na bok uważając, by nie urazić złamanej kostki.

- Jak zamierzasz wydostać się z wyspy?

- Odnalazłem i zamelinowałem nasz silnik, na wypadek gdyby udało nam się zwędzić jakąś łódź.

- Co takiego? - Giordino gapił się z niedowierzaniem na Pitta. - Byłeś na zewnątrz?

- No, nie była to właściwie przechadzka po ogrodzie - odparł Pitt - ale przetałem trasę ucieczki aż do plaży.

- Kradzież łodzi nie wchodzi w rachubę - powiedział stanowczo Gunn.

- To znaczy, że wiesz coś, o czym nie wiem ja.

- Przydała się moja znajomość rosyjskiego. Zacząłem podsłuchiwać rozmowy strażników. Udało mi się też rzucić okiem na kilka dokumentów w biurze Wielikowa - wyczytałem między innymi interesującą informację, że wyspa jest zaopatrywana nocami przez łódź podwodną.

- Po co to tak komplikować? - mruknął Giordino. - Mnie się zdaje, że wydajniejszy byłby transport nawodny.

- To wymagałoby instalacji dokowych, które można by zauważyć z powietrza - wyjaśnił Gunn. - Nie wiem, co się tu dzieje, wiem tylko, że oni pragną utrzymać to w jak największym sekrecie.

- Masz rację - poparł go Pitt. - Rosjanie zadali sobie wiele trudu, żeby nadać wyspie wygląd bezludnej.

- Nic dziwnego, że byli tak wstrząśnięci, kiedy wparowaliśmy frontowymi drzwiami - powiedział w zadumie Giordino. - To by wyjaśniało te przesłuchania i tortury.

- Tym bardziej należy wydostać się stąd i ratować skórę.

- I powiadomić nasze agencje wywiadowcze - dorzucił Gunn.

- Kiedy chcesz wiać? - zapytał Giordino.

- Jutro wieczorem, jak tylko strażnik rozniesie kolację.

Gunn posłał Pittowi przeciągłe, smutne spojrzenie.

- Będziesz musiał iść sam, Dirk.

- Przyszliśmy tu razem i razem się stąd wyniesiemy.

Giordino pokręcił głową.

- Nie możesz wynieść Jessie i nas na plecach.

- On ma rację - wtrącił Gunn. - Al i ja nie damy. rady przeczłgać się nawet pięćdziesięciu stóp. Bez nas będziesz miał większe szansę. Zabieraj LeBaronów i pruj na złamanie karku do Stanów.

- Nie mogę ryzykować wtajemniczenia Raymonda LeBarona. Jestem pewien, że doniósłby na nas. Łgał bezczelnie twierdząc, że wyspa jest zwyczajnym azylem dla ludzi interesu.

Gunn potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- A kto słyszał o azylu prowadzonym przez wojsko, które torturuje swoich gości?

- Zostaw LeBarona. - Oczy Giordina pociemniały z furii. - Ale, na miłość boską, ratuj Jessie, zanim ten skurwiel Gly ją zakatuje.

Pitt stał niezdecydowany.

- Nie mogę tak po prostu odejść i zostawić was dwóch na pewną śmierć.

- Jeżeli tego nie zrobisz - powiedział ponuro Gunn - sam też zginiesz i nie pozostanie nikt, kto by

opowiedział, co się tu wyprawia.

ROZDZIAŁ 34

Spory upływ czasu złagodził posępny nastrój uroczystości. Zebrała się tu zaledwie setka ludzi. Pomimo udziału prezydenta, swoją ekipę przysłała tylko jedna sieć telewizyjna. Mały tłumek zgromadzony wczesnym rankiem w ustronnym zakątku Rock Creek Park słuchał końcowych słów krótkiego przemówienia prezydenta:

- ...tak więc zebraliśmy się tego ranka, by złożyć zasłużony hołd ośmiuset Amerykanom, którzy zginęli na transportowcu *Leopoldville* storpedowanym u wejścia do francuskiego portu Cherbourg w Wigilię świąt Bożego Narodzenia 1944 roku.

Nigdy przedtem ofiary wojennej tragedii nie zostały tak całkowicie pozbawione należnego im hołdu. Nigdy też wojenna tragedia nie spotkała się z taką obojętnością.

Prezydent zamilkł, skierował wzrok na okryty płachtą materiał pomnik i dał znak głową. Spod ściągniętego całunu wyłoniła się samotna postać żołnierza w mundurze szeregowca, stojącego dumnie w pełnym rynsztunku bojowym i z karabinem M1 przewieszonym przez ramię. Odlana z brązu, naturalnej wielkości statua walczącego człowieka miała w sobie jakąś bolesną godność i ponurą determinację podkreślaną jeszcze przez sfalowaną wodę omywającą stopy żołnierza.

Kiedy ścichły trwające pięć minut oklaski, prezydent, który służył jako porucznik w kompanii artylerii piechoty morskiej w Korei, zaczął wymieniać uściski dłoni z ocalałymi z *Leopoldville* i innymi weteranami Dywizji Panther. Przesuwając się krok za krokiem w kierunku prezydenckiej limuzyny zeszywniał naraz trzymając w dłoni rękę dziesiątego w szeregu mężczyzny.

- Wzruszające przemówienie, panie prezydencie - powiedział znajomy głos. - Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Wargi Leonarda Hudsona rozciągały się w ironicznym uśmiechu. Nie przypominał teraz w niczym pracownika pola golfowego Reggie'ego Salazara. Miał gęste, siwe włosy i taką samą czarcią bródkę. Ubrany był w wełniany golf, tweedową marynarkę i flanelowe spodnie w kolorze czarnej kawy, a jego angielskie skórkowe buty były wypolerowane do połysku. Wyglądał jak żywcem wyjęty z reklamy koniaku w magazynie "Town & Country".

Prezydent odwrócił się do stojącego w pobliżu agenta tajnych służb i powiedział:

- Ten człowiek będzie mi towarzyszył w drodze powrotnej do Białego Domu.

- To dla mnie wielki zaszczyt, sir - skłonił się Hudson.

Prezydent patrzył na niego przez chwilę, po czym postanowił podjąć grę. Jego twarz ułożyła się w

życzliwy grymas.

- Nie przepuszcze okazji do powspominania wojennych przygód ze starym kumplem, co, Joe?

Kawalkada prezydenckich limuzyn skręciła w Massachusetts Avenue błyskając czerwonymi światłami i zagłuszając syrenami odgłosy komunikacyjnego szczytu. Przez blisko dwie minuty żaden z mężczyzn nie odezwał się słowem. W końcu rozmowę zagał Hudson.

- Przypomniał pan już sobie, skąd się znamy?

- Nie - skłamał prezydent. - Nie mam najmniejszych skojarzeń w związku z pańską osobą.

- Spotyka pan tak wielu ludzi...

- Szczerze mówiąc, mam na głowie o wiele ważniejsze sprawy.

Hudson zlekceważył wyraźną niechęć przebijającą ze słów prezydenta.

- Na przykład wtrącenie mnie do więzienia?

- Myślałem o czymś bardziej zbliżonym do ścieku.

- Nie jest pan pająkiem, panie prezydencie, a ze mnie nie mucha. Mogłoby się wydawać, że wpadłem w pułapkę, w tym przypadku jest nią samochód otoczony całą armią tajniaków, ale bezpieczny odwrót mam mimo wszystko zagwarantowany.

- Znowu ta sztuczka z fałszywą bombą?

- Mała modyfikacja. Pod blatem stolika jednej z miejskich czterogwiazdkowych restauracji znajduje się bomba. Dokładnie przed ośmioma minutami przy stoliku tym usiedli senator Adrian Gorman i sekretarz stanu Douglas Gates, by porozmawiać przy śniadaniu.

- Blefuje pan.

- Być może, ale jeśli jest inaczej, to dla ujęcia mnie nie byłoby chyba warto ryzykować rzezi w pełnej ludzi restauracji.

- Czego pan chce tym razem?

- Niech pan odwoła swojego psa gończego.

- Do rzeczy, na miłość boską.

- Niech mi pan zdejmie z karku Irę Hagena, dopóki jeszcze oddycha.

- Kogo?

- Irę Hagen, pańskiego starego kumpla ze szkoły, który swego czasu pracował w departamencie sprawiedliwości.

Prezydent spojrział nie widzącym wzrokiem przez okno, jak gdyby szukając czegoś w pamięci.

- Mam wrażenie, że upłynęła już cała wieczność, od kiedy ostatni raz rozmawiałem z Irą Hagenem.

- Po co te kłamstwa, panie prezydencie? Zaangażował go pan, żeby wytropił "jądro".

- Co zrobiłem? - Prezydent udał szczerze zaskoczonego. Potem roześmiał się. - Zapomina pan, kim jestem. Jeden telefon i mogę nasłać na pana całą machinę FBI, CIA i co najmniej pięciu innych służb wywiadowczych.

- To dlaczego pan tego nie zrobił?

- Bo skonsultowałem się z moimi doradcami naukowymi i zasięgnąłem opinii kilku autorytetów zajmujących się naszym programem podboju kosmosu. Ich opinia była jednomyślna. Kolonia Jersey to mrzonka. Niby mówisz do rzeczy, Joe, ale jesteś tylko szarlatanem, który sprzedaje kit.

Hudson był poruszony.

- Przysięgam na Boga, Kolonia Jersey istnieje naprawdę.

- Tak, gdzieś między krainą Oz a Shangrila.

- Uwierz mi, Vince, kiedy nasi pierwsi koloniści powrócą z Księżyca, twoje oświadczenie w tej sprawie rozpali wyobraźnię świata.

Prezydent udał, że nie zwrócił uwagi na poufale nazwanie go po imieniu.

- Żąda pan ode mnie, abym wydał oświadczenie o fikcyjnej bitwie z Rosjanami na Księżycu. O co panu chodzi? Przyjechałeś pan z Hollywood, żeby rozreklamować jakiś film z gatunku wojen gwiazdnych, czy uciekłeś ze szpitala wariatów?

Hudson nie potrafił stłumić przyływu wściekłości.

- Ty idioto! - warknął. - Nie możesz odwrócić się plecami do największego w dziejach osiągnięcia nauki.

- Nie zadzieraj ze mną. - Prezydent podniósł słuchawkę samochodowego interkomu. - Roger, zwolnij i zatrzymaj się. Mój gość wysiada.

Funkcjonariusz tajnych służb siedzący za kierownicą po drugiej stronie szyby działowej uniósł rękę i skinieniem głowy potwierdził przyjęcie polecenia. Następnie powiadomił pozostałe pojazdy o rozkazie prezydenta. Minutę później kawalkada skręciwszy w ustronną boczną uliczkę willowej

dzielnicy, zatrzymała się przy krawężniku.

Prezydent sięgnął do klamki i otworzył drzwiczki.

- Dojechaliśmy, Joe. Nie mam pojęcia, co sobie ubzdurałeś z tym Irawą Hagenem, ale jeśli usłyszę o jego śmierci, to pierwszy zeznam przed sądem, że mu groziłeś. Ma się rozumieć, jeśli nie zostaniesz do tego czasu stracony za popełnienie morderstwa w zatłoczonej restauracji.

Zaślepiiony wściekłością Hudson wygramolił się z limuzyny. Stanąwszy na chodniku zawahał się i zgiął w pół wsuwając głowę do wozu.

- Popęlniasz straszny błąd - syknął oskarżycielsko.

- Nie po raz pierwszy - odparł prezydent dając mu ręką znak, że jest wolny.

Prezydent z uśmiechem zadowolenia rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu samochodu. Mistrzowskie przedstawienie, pomyślał. Hudson wyprowadzony z równowagi wznosi barykady nie tam, gdzie trzeba. Przyspieszenie o tydzień odsłonięcia pomnika poległych na transportowcu *Leopoldville* było chytrym posunięciem. Być może niedogodnym dla uczestniczących w ceremonii weteranów, ale bezcennym dla takich starych wyjadaczy jak Hagen.

Hudson, zmieszany i skołowany, stał na trawiastym poboczu alejki patrząc za oddalającą się kawalkadą, dopóki sznur samochodów nie skręcił w następną przecznicę i nie zniknął mu z oczu.

- Przeklęty, twardogłowy biurokrata! - krzyknął rozczarowany.

Kobieta spacerująca po chodniku z psem obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

Przy krawężniku zatrzymała się nie oznakowana furgonetka marki Ford i Hudson wsiadł do środka. Wnętrze zapchane było skórzanymi fotelami rozstawionymi wokół zrobionego na wysoki połysk sekwojowego stolika. Kiedy sadowił się zniechęcony w jednym z nich, przypatrywało mu się wyczekująco dwóch mężczyzn w nieskazitelnym garniturach.

- Jak poszło? - spytał jeden.

- Ten tępak mnie wyrzucił - wybuchnął Hudson rozdrażniony. - Twierdzi, że od lat nie widział się z Hagenem i jest mu obojętne, czy go zabijemy, czy nie i czy wysadzimy w powietrze restaurację.

- To mnie wcale nie dziwi - stwierdził energiczny z wyglądu mężczyzna o grubo ciosanej, czerwonej twarzy i orlim nosie. - Ten facet jest cholernie pragmatyczny.

Gunnar Eriksen siedział w milczeniu z wygasłą fajką w zębach.

- Co jeszcze? - spytał.

- Powiedział, że jego zdaniem Kolonia Jersey to mistyfikacja.

- Rozpoznał cię?

- Nie sądzę. Nadal zwracał się do mnie per "Joe".

- Mógł udawać.

- Nie wydaje mi się.

Eriksen zwrócił się do drugiego mężczyzny.

- Co ty na to?

- Hagen to zagadka. Obserwowałem prezydenta dokładnie i nie stwierdziłem, aby się w jakikolwiek sposób kontaktowali.

- A nie sądzisz, że Hagen został nasłany przez któregoś z dyrektorów agencji wywiadowczych? - podsunął Eriksen.

- Na pewno nie odbyło się to normalnymi kanałami. Poza rozmową, jaką prezydent odbył z Samem Emmettem z FBI, nie spotykał się z nikim z wywiadu. Nie udało mi się zajrzeć do raportu, ale rozmowa musiała mieć związek z trzema ciałami znalezionymi w sterowcu LeBarona. Poza tym nie zrobił nic.

- O nie, on na pewno coś jeszcze zrobił. - Głos Hudsona był cichy, ale pewny siebie. - Obawiam się, że nie doceniliśmy jego przebiegłości.

- Jak to?

- On wiedział, że ponownie się z nim skontaktuję i zażądam odwołania Hagen.

- Z czego to wnioskujesz? - spytał Orli Nos.

- Z zachowania Hagen - odparł Hudson. - Żaden dobry tajny agent nie będzie demonstracyjnie zwracał na siebie uwagi. A Hagen był jednym z najlepszych. Musiał mieć ważny powód, aby rozgłaszać wszem i wobec swoją obecność telefonując do generała Fishera, a potem ucinając sobie pogawędkę w cztery oczy z senatorem Porterem.

- Ale po co prezydent miałby nas zmuszać do odkrycia kart, skoro nie wysuwa żadnych żądań, o nic nie pyta? - zdziwił się Eriksen.

Hudson pokręcił głową.

- To właśnie napawa mnie lękiem, Gunnarze. Za nic nie potrafię odgadnąć, do czego on zmierza.

W dyskretnej odległości za furgonetką, nie rzucając się w oczy w śródmiejskim ruchu, sunął stary, zakurzony samochód campingowy z tablicami rejestracyjnymi stanu Georgia. Ira Hagen, siedzący z tyłu za małym stołem ze słuchawkami na uszach i mikrofonem przy ustach, odkorkował butelkę Martin Ray Cabernet Sauvignon. Zostawił otwartą butelkę, żeby się ustała, a sam w tym czasie podregulował siłę głosu gałką mikrofalowego odbiornika podłączonego do magnetofonów szpulowych. Następnie uniósł jedną ze słuchawek odslaniając ucho.

- Gubię ich. Podjedź bliżej.

- Wepchnęła mi się przed maskę taksówka i musiałem przyhamować - odpowiedział nie odwracając głowy kierowca ze sztuczną, zmierzwioną brodą, w baseballowej czapce drużyny Atlanta Braves. - Nadrobię dystans przed następną przecznicą.

- Staraj się nie tracić ich z oczu, dopóki nie zaparkują.

- O co tu chodzi, jakaś obława na handlarzy narkotyków?

- O nic aż tak niezwykłego - odparł Hagen. - Są podejrzani o prowadzenie objazdowego salonu gry w pokera.

- Też mi coś - mruknął kierowca kupując bez zastrzeżeń to wyjaśnienie.

- Hazard nadal jest nielegalny.

- Tak samo prostytutka, a to o wiele rajcowniejsze.

- Nie spuszczaaj tej furgonetki z oka. - Hagen przeszedł na oficjalny ton. - I nie daj jej się oddalić bardziej niż o jedną przecznicę.

Zatrzeszczało radio.

- Kotlet, tu Garkuchnia.

- Słyszę cię, Garkuchnia.

- Mamy Połudwicę w zasięgu wzroku, ale wolelibyśmy zejść niżej. Gdyby wjechała z innym pojazdem podobnego koloru pod drzewa albo za jakiś budynek, moglibyśmy ją zgubić.

Hagen odwrócił się i spojrzał przez tylną szybę wozu campingowego na unoszący się w górze helikopter.

- Jak wysoko jesteście?

- Najmniejsza dopuszczalna wysokość przelotu nad tą częścią miasta wynosi tysiąc trzysta stóp. Ale to jeszcze nie wszystko. Połudwica kieruje się na Kapitol. Nad tym rejonem w ogóle nie wolno nam latać.

- Zaczekajcie, Garkuchnia. Załatwię wam zezwolenie.

Hagen połączył się za pośrednictwem sieci telefonii komórkowej z pewnym numerem i nim minęła minuta, ponownie wywołał pilota helikoptera.

- Garkuchnia, tu Kotlet. Masz pozwolenie na przemieszczanie się nad całym miastem na dowolnej wysokości, byle tylko nie stwarzało to zagrożenia dla życia. Zrozumiałeś?

- Człowieku, musisz mieć niewąską siłę przebicia.

- Mój szef zna wszystkich ważnych ludzi. Nie spuszcza Polędwicy z oka.

Hagen uniósł pokrywkę eleganckiego piknikowego koszyka od Abercombe'go i Fitcha, po czym zerwał wieczko puszek pasztetu z gęsich wątróbek. Potem nalał sobie wina i skupił się ponownie na podsłuchiwaniu rozmowy prowadzonej w jadącej przodem furgonetce.

Nie ulegało wątpliwości, że jednym z jej pasażerów jest Leonard Hudson. Padło tam też imię Gunnara Eriksena. Tajemnicą pozostawała jednak tożsamość trzeciego mężczyzny.

Ta zagadka nie dawała Hagenowi spokoju. Rozszyfrował już ośmiu członków "jądra", ale dziewięty nadal krył się we mgle. Mężczyźni w furgonetce jechali... właśnie, dokąd jechali? Gdzie mieścił się sztab operacyjny projektu Kolonii Jersey? Idiotyczna nazwa, Kolonia Jersey. Do czego nawiązywała? Czyżby wskazywała na jakiś związek ze stanem New Jersey? Musiało istnieć coś, co mogłoby naprowadzić na właściwy trop, co mogłoby wyjaśnić, jak to się stało, że najwyższe władze państwowe nie miały najmniejszego pojęcia o założeniu bazy księżycowej. Kluczem musiał być tu ktoś o wiele bardziej wpływowy od Hudsona czy Eriksena. Być może był nim ostatni człowiek z listy członków "jądra".

- Tu Garkuchnia. Polędwica skręciła na północny wschód, w Rhode Island Avenue.

- Zrozumiałem - odparł Hagen.

Rozpostarł na stole plan dystryktu Columbia i rozłożył mapę stanu Maryland. Zaczął wykreślać czerwoną kredką linię, przedłużając ją, kiedy wyjechali z dystryktu i znaleźli się na terenie okręgu Księcia Jerzego. Rhodeisland Avenue przeszła w autostradę numer 1 i skręciła na północ, w kierunku Baltimore.

- Domyśla się pan, dokąd mogą jechać? - spytał kierowca.

- Nie - odparł Hagen. - Chyba że... - mruknął pod nosem. Uniwersytet stanu Maryland. Niecałe dwanaście mil od centrum Waszyngtonu. Hudson z Eriksenem muszą mieć bliskie powiązania z jakimś ośrodkiem akademickim, żeby zapewnić sobie dostęp do aparatury badawczej.

- Garkuchnia - rzucił Hagen do mikrofonu - obserwuj teraz uważnie. Polędwica może się kierować na uniwersytet.

- Zrozumiałem, Kotlet.

Pięć minut później furgonetka zjechała z autostrady i minęła małe miasteczko College Park. Milę dalej wtoczyła się przed wielkie centrum handlowe oflankowane z obu stron przez popularne domy towarowe. Kilkuakrowy parking zapchany był samochodami klientów. Rozmowa w furgonetce zamarła zupełnie i Hagen dał się zaskoczyć.

- Cholera! - zaklął.

- Tu Garkuchnia - rozległ się głos pilota helikoptera.

- Słyszę cię.

- Połudwica wjechała właśnie pod duży występ nad głównym wejściem. Straciłem kontakt wzrokowy.

- Czekaj, dopóki się spod niego nie wyłoni - poleciał Hagen - a potem wsiądź jej na ogon. - Wstał od stołu, podszedł do kierowcy i zatrzymał się za jego plecami. - Podjedź mu do samego tyłka.

- Nie mogę. Dzieli nas od niego co najmniej sześć wozów.

- Czy któryś z nich wysiadał i wchodził do sklepów?

- Taki tu młyn, że trudno powiedzieć. Ale wydawało mi się, że widziałem dwie albo i trzy głowy wystawione z furgonetki.

- Dobrze się przypatrzyłeś temu facetowi, którego zabrali z miasta? - spytał Hagen.

- Siwe włosy i broda. Szczupły, około pięciu stóp dziewięciu cali. Golf, tweedowa marynarka, brązowe spodnie. Tak, rozpoznałbym go.

- Okrąż parking i wypatruj go. Mógł się przesiąść z kumplami do innego samochodu. Ja wchodzę do sklepu.

- Połudwica odjeżdża - zameldował pilot helikoptera.

- Nie zgub jej, Garkuchnia - powiedział Hagen. - Ja schodzę na chwilę z anteny.

- Zrozumiałem.

Hagen wyskoczył z wozu campingowego i przecisnął się przez tłum klientów stłoczonych przed wejściem do domu towarowego. Było to jak szukanie trzech igieł w stogu siana. Wiedział, jak wygląda Hudson, i miał fotografie Gunnara Eriksena, ale obaj mogli pozostać w furgonetce. A przynajmniej mógł tam być jeden z nich.

Przebiegał w pośpiechu od stoiska do stoiska zaglądając ludziom w twarze, wyławiając wzrokiem z morza damskiej klienteli każdą męską głowę. Dlaczego to musiał być akurat weekend? W dzień roboczy o tak wczesnej godzinie mógłby strzelić w hali domu towarowego z działa i nie trafić nikogo. Po blisko godzinnych bezowocnych poszukiwaniach wyszedł na zewnątrz i zatrzymał krążący

po parkingu samochód campingowy.

- Zauważyłeś ich? - spytał, z góry znając odpowiedź.

Kierowca pokręcił głową.

- Pełne okrążenie zajmuje prawie dziesięć minut. Ruch jest za duży, a kierowcy szukając miejsca na zaparkowanie prowadzą przeważnie jak lunatycy. Pańscy podejrzani mogli spokojnie wyjechać z innej strony i oddalić się, kiedy ja byłem po drugiej stronie budynku.

Zawiedziony Hagen rąbnął pięścią w karoserię samochodu campingowego. Był tak blisko i potknął się przed samą linią mety.

ROZDZIAŁ 35

Pitt rozwiązał problem zasypiania w blasku nieustannie włączonych jarzeniówek wdrapując się po prostu na szafę ubraniową i odłączając przewody. Obudził go dopiero strażnik, który przyniósł śniadanie. Pitt czuł się wypoczęty i pałaszował gęstą papkę, jakby to było jego ulubione danie. Strażnik sprawiał wrażenie zdenerwowanego widokiem ciemnej oprawy oświetleniowej, ale Pitt rozłożył tylko ręce w bezradnym geście ignorancji i dokończył spokojnie posiłek.

Dwie godziny później zaprowadzono go pod eskortą do gabinetu generała Wielikowa. Tam został poddany łatwej do przewidzenia próbie wyczekiwania, która miała ostatecznie go załamać. Boże, jacyż ci Rosjanie byli łatwi do rozszyfrowania. Podjął grę i zaczął przechadzać się tam i z powrotem, udając zdenerwowanego.

Nadchodzące dwadzieścia cztery godziny miały być, skromnie mówiąc, przełomowe. Był pewien, że potrafi ponownie wydostać się z kompleksu, nie mógł jednak przewidzieć nowych przeszkód, jakie mogą przed nim wyrosnąć, ani tego, czy będzie zdolny do wysiłku fizycznego po kolejnym spotkaniu z Fossem Glym.

Nie było mowy o odłożeniu ucieczki, o rezygnacji z niej. W jakiś sposób musiał opuścić wyspę, i to dzisiejszej nocy.

Wielikow wszedł wreszcie do pokoju. Przez chwilę w milczeniu mierzył Pitta badawczym wzrokiem. Emanował z niego wyraźny chłód, a z oczu wyzierała mu skrywana wrogość. Dał Pittowi znak głową, żeby usiadł na twardym krześle, którego nie było w gabinecie podczas ich ostatniej rozmowy. Kiedy się odezwał, z jego głosu przebijała groźba.

- Podpisze pan formalne przyznanie się do prowadzenia działalności szpiegowskiej?

- Jeśli to pana uszczęśliwi.

- Nie radzę zgrywać w mojej obecności wesołka, panie Pitt.

Pitt nie potrafił już zapanować nad gniewem przyćmiewającym mu zdrowy rozsądek.

- Nie znoszę szumowin, które torturują kobiety - wyrzucił z siebie.

Brwi Wielikowa powędrowały w górę.

- Wyjaśnij to.

Pitt powtórzył własnymi słowami to, co usłyszał od Gunna i Giordina.

- W tych betonowych korytarzach dźwięki niosą się daleko. Słyszałem krzyki Jessie LeBaron.

- No widzi pan? - Wielikow wystudiowanym gestem przyglądał włosy. - Wydaje mi się, że powinien pan teraz dostrzegać korzyści płynące ze współpracy. Jeśli powie mi pan prawdę, mogę uznać, że nic nie stoi na przeszkodzie, by ulżyć doli pańskich przyjaciół.

- Pan zna prawdę. To dlatego właśnie zabrnął pan w ślepy zaułek. Czwooro ludzi opowiedziało panu identyczne historie. Czy takiemu specjalście od przesłuchań nie daje to do myślenia? Czwooro ludzi torturowanych fizycznie na osobnych sesjach udziela tych samych odpowiedzi na te same pytania. Całkowity brak głębi w rosyjskiej mentalności dorównuje waszemu archaicznemu upodobaniu do wymuszania zeznań. Gdybym podpisał przyznanie się do uprawiania działalności szpiegowskiej, zażądałby pan z kolei przyznania się do zbrodni przeciwko waszemu drogocennemu państwu, a potem do plucia na chodnik w miejscu publicznym. Wasza taktyka jest tak samo prostacka, jak wasza architektura i przepisy kulinarne. Prawda? Pan nie zaakceptowałby prawdy, nawet gdyby wyrosła z ziemi i ugryzła pana w jaja.

Wielikow siedział milcząc i przyglądając się Pittowi z pogardą, z jaką tylko Słowianin może patrzeć na Mongoła.

- Poproszę pana jeszcze raz, żeby wyraził pan chęć do współpracy.

- Jestem tylko specem od inżynierii wodnej. Nie znam żadnych tajemnic wojskowych.

- Mnie interesuje tylko to, co powiedzieli panu o tej wyspie przełożeni i jak się pan tu znalazł.

- I po co? Dał pan już do zrozumienia, że moi przyjaciele i ja umrzemy.

- Być może da się przedłużyć pańską egzystencję.

- Na jedno wychodzi. Powiedzieliśmy już panu wszystko, co wiemy.

Wielikow zabębnił palcami o blat biurka.

- Nadal więc twierdzi pan, że wylądowaliście na Cayo Santa Maria przez czysty przypadek?

- Tak.

- I każe mi pan uwierzyć, że przy tylu wyspach i tylu plażach Kuby, los rzucił panią LeBaron akurat na ten brzeg, na którym przebywał jej mąż - o czym wcześniej nie wiedziała?

- Szczerze mówiąc, mnie z początku też trudno było w to uwierzyć. Ale tak właśnie było.

Wielikow przewiercał Pitta wzrokiem, ale zdawał się jakby wbrew sobie wyczuwać w nim uczciwość.

- Mamy mnóstwo czasu, panie Pitt. Jestem przekonany, że ukrywa pan jakieś ważne informacje. Porozmawiamy jeszcze, kiedy pozbędzie się pan tej arogancji. - Nacisnął przycisk na biurku

wzywając strażnika. Na jego twarzy widniał uśmiech, ale nie było na niej satysfakcji, nie było śladu zadowolenia. Uśmiech ten, jeśli w ogóle cokolwiek wyrażał, to smutek.

- Musisz mi wybaczyć tę gwałtowność - powiedział Foss Gly. - Doświadczenie nauczyło mnie, że dzięki zaskoczeniu uzyskuje się lepsze efekty niż przez stopniowe urabianie.

Kiedy Pitt wchodził do pokoju sześć, nie padło ani jedno słowo. Ledwie zdążył przestąpić próg, Gly, stojący za uchylonymi do połowy drzwiami, uderzył go w plecy tuż nad nerką. Pitt jęknął z bólu i omal nie zemdlał, zdołał jednak utrzymać się jakoś na nogach.

- A więc teraz, panie Pitt, kiedy zwróciłem już na siebie pańską uwagę, może ma mi pan coś do powiedzenia.

- Czy ktoś kiedyś panu powiedział, że ma pan odchylenia od normy? - wymruczał przez zaciśnięte zęby Pitt.

Tak jak się tego spodziewał, ujrzał pędzącą w swoim kierunku pięść, zatoczył się od ciosu wpadając tyłem na ścianę i osunął się po niej na posadzkę udając, że stracił przytomność. Czuł w ustach smak krwi i drętwość ogarniającą lewą stronę twarzy. Leżał bezwładnie nie otwierając oczu. Musiał wypracować sobie sposób na tę sadystyczną górę mięsa, przeanalizować reakcje Gly'ego na odpowiedzi i zachowania, a następnie przewidzieć, kiedy i gdzie nastąpi kolejny cios. Tej brutalności nie da się powstrzymać. Jedynym celem pozostawało teraz przetrwanie śledztwa bez okaleczających obrażeń.

Gly pochylił się nad brudnym zlewem, napełnił do wiadra wody i chlusnął nią na Pitta.

- No, dalej, panie Pitt. O ile znam się na ludziach, to powinien pan lepiej przyjąć ten cios.

Pitt stanął z trudem na czworakach, splunął krwią na cementową posadzkę i jęknął przekonująco, niemal żałośnie.

- Nie mogę ci powiedzieć nic ponad to, co już powiedziałem - wymamrotał.

Gly postawił go na nogi jak małe dziecko i upuścił na krzesło. Pitt dostrzegł kącikiem oka prawą pięść Gly'ego zbliżającą się po zamaszystym łuku. Zamortyzował wstrząs najlepiej, jak umiał, przyjmując cios na część głowy poniżej skroni, tuż nad kością policzkową. Przez kilka chwil absorbował otępiający ból, po czym ponownie zamarkował omdlenie.

Kolejne wiadro wody i kolejna demonstracja jęków. Gly pochylił się tak nisko, że ich twarze niemal się ze sobą zetknęły.

- Dla kogo pracujesz?

Pitt podniósł ręce i złapał się za pulsującą bólem głowę.

- Zaangażowała mnie Jessie LeBaron, żeby ustalił, co się stało z jej mężem.

- Wysadziła cię łódź podwodna?

- Wylecieliśmy z Florydy sterowcem.

- Celem waszej wyprawy było zebranie informacji na temat przejmowania władzy na Kubie.

Pitt zmarszczył brwi nie rozumiejąc.

- Przejmowania władzy? Nie wiem, o czym mówisz.

Tym razem Gly uderzył Pitta w klatkę piersiową nad żołądkiem wybijając mu do ostatniego cala sześciennego powietrze z płuc. Potem usiadł jak gdyby nigdy nic i obserwował skutki.

Pitt zeszywniał usiłując złapać oddech. Odniosł wrażenie, że serce mu stanęło. W gardle napęczniała mu wielka gula, czuł występujący na czoło pot, a płuca miał jakby splątane w supły. Ściany pomieszczenia zafalowały i odpłynęły. Gly zdawał się uśmiechać złośliwie z końca długiego tunelu.

- Z jakimi rozkazami przybyłeś na Cayo Santa Maria?

- Nie miałem żadnych rozkazów - wycharczał Pitt.

Gly wstał i podszedł bliżej, by uderzyć jeszcze raz. Pitt podniósł się nieprzytomnie z posadzki, przez chwilę stał chwiejnie jak pijany, potem głowa opadła mu na bok i nogi zaczęły się pod nim uginać. Miał już sposób na Gly'ego. Wykrył jego słaby punkt. Jak większość sadystów, Gly był z natury tchórzem. Zawaha się i straci pewność siebie, napotykać na zdecydowany opór.

Gly złożył ciało do sierpowego, ale nagle zastygł w ogłupiałym zdumieniu. Podrywając pięść z podłogi i zginając ramię, Pitt wyprowadził prawy prosty z całą siłą, jaką zdołał zmobilizować. Wylądował on na nosie Gly'ego miażdżąc chrząstkę i łamiąc kość. Poparł cios dwoma lewymi krótkimi i potężnym hakiem na korpus. Z równym powodzeniem mógłby boksować narożnik Empire State Building.

Kto inny padłby jak długi na wznak. Gly zatoczył się tylko kilka stóp do tyłu i zatrzymał z twarzą czerwieniejącą powoli z wściekłości. Krew lała mu się z nosa strumieniem, ale on nie zwracał na to uwagi. Podniósł pięść i pogroził nią Pittowi.

- Zatłukę cię za to - wysyczał.

- Mam cię gdzieś - odparł flegmatycznie Pitt. Chwycił za krzesło i cisnął nim przez pokój. Gly bez wysiłku odbił je w bok ręką. Pitt przechwycił ruch oczu oprawcy i uświadomił sobie, że jego błyskawiczną szybkość zastąpi zaraz brutalna siła.

Gly wyrwał ze ściany zlew, dosłownie oderwał go od rur, i uniósł nad głowę. Postąpił trzy kroki i

zamierzył się nim na Pitta. Pitt odskoczył w bok i zrobił rozpaczliwy unik. Widząc jak zlew szybuje w jego kierunku niczym sejf spadający z wysokiego budynku, wiedział już, że zareagował za późno. Instynktownie poderwał w górę ręce w beznadziejnej próbie odepchnięcia od siebie nadlatującej masy żeliwa i porcelany.

Ocaliły go drzwi. Główny impet przyjęła na siebie klamka, o którą zlew zahaczył rogiem, wrywając cały zamek. Drzwi odskoczyły i Pitt wyleciał przez nie tyłem na korytarz waląc się u stóp zaskoczonego strażnika. Przeszywający ból w kroczu i w prawym ramieniu dopełnił cierpienia, jakie sprawiały mu już bok i głowa. Poszarzały na twarzy, targany falami mdłości, odpędził od siebie pokusę ucieczki w omdlenie i wstał niepewnie na nogi opierając się szeroko rozstawionymi rękami o ścianę.

Gly wyrwał zaklinowany w drzwiach zlew i wwiercił się w Pitta wzrokiem pełnym żądy mordy.

- Już nie żyjesz, Pitt. Będziesz umierał powoli, minuta po minucie, błagając, żeby skrócić ci męki. Kiedy spotkamy się następnym razem, połamię ci wszystkie kości i wydrę serce z piersi.

Pitt nie okazywał strachu. Ból gdzieś odpłynął i jego miejsce zajęło uniesienie. Przetrwał. Mocno oberwał, ale droga ucieczki stała otworem.

- Kiedy spotkamy się następnym razem - powiedział mściwie - będę miał ze sobą wielką maczugę.

ROZDZIAŁ 36

Wróciwszy z pomocą strażnika do celi, Pitt zasnął. Obudził się trzy godziny później. Leżał jeszcze przez kilka minut, dopóki jego umysł stopniowo nie zaczął pracować. Całe ciało i twarz miał dotkliwie potłuczone, ale żadna kość nie była złamana. Przetrwał.

Usiadł na łóżku, spuścił stopy na posadzkę i zaczekał kilka chwil, aż minie zawrót głowy. Potem dźwignął się na nogi i zaczął gimnastykę, żeby rozruszać zeszywniałe członki. Spłynęła na niego fala słabości, przewyciężył ją jednak siłą woli i kontynuował ćwiczenia, dopóki mięśnie i stawy nie zaczęły pracować elastycznie.

Strażnik przyniósł kolację i kiedy wychodził, Pitt znowu wprawnie zablokował zatrzask. Czynność tę opanował do perfekcji, żeby w decydującym momencie nie sfuszerować roboty. Odczekał jeszcze chwilę i, nie słysząc żadnych kroków ani głosów, wyszedł na korytarz.

Liczyła się każda minuta. Tyle miał do zrobienia, a godzin ciemności nie starczało, żeby się ze wszystkim uwinąć. Żałował, że nie może pożegnać się z Giordinem i Gunnem, ale każda minuta stracona wewnątrz obiektu pomniejszała szansę powodzenia ucieczki. W pierwszej kolejności musiał odszukać i zabrać ze sobą Jessie.

Znalazł ją dopiero za piątymi drzwiami. Leżała na brudnym kocu rozpostartym na betonowej posadzce. Na jej nagim ciele nie było żadnych śladów obrażeń, ale ładną jeszcze niedawno twarz miała groteskowo spuchniętą i pokrytą fioletowymi sińcami. Gły wspiał się na szczyty swej nikkczemności upokarzając ją i wyzywając się na tym, co dla pięknej kobiety jest najcenniejsze - na twarzy.

Pitt pochylił się i z czułością, ale z obłądną wściekłością w oczach, ujął jej głowę w dłonie. Zżerała go żądza odwetu. Dygotał cały rwąc się do straszliwej zemsty przekraczającej wszystko, czego do tej pory doświadczył. Zacisnął zęby i rozbudził ją delikatnie.

- Jessie, Jessie, słyszysz mnie?

Spojrzała na niego półprzytomnie i rozchyliła drżące usta.

- Dirk - jęknęła. - To ty?

- Tak, zabieram cię stąd.

- Zabierasz... jak?

- Znalazłem drogę ucieczki z kompleksu.

- Ale wyspa. Raymond powiedział, że z tej wyspy nie można uciec.

- Mam schowany silnik od łodzi. Jeśli zdołam sklecić małą tratwę...

- Nie! - wyszeptała twardo.

Chciała usiąść i przez spuchniętą maskę, która była jej twarzą, przemknął wyraz wysiłku. Przytrzymał lekko jej ramiona.

- Nie ruszaj się - powiedział.

- Musisz iść sam - wymamrotała.

- Nie zostawię cię w tym stanie.

Pokręciła słabo głową.

- Nie. Naraziłabym cię tylko na schwywanie.

- Przykro mi - powiedział stanowczo Pitt. - Chcesz czy nie, idziesz ze mną.

- Czy nie rozumiesz - szepnęła błagalnie. - Jesteś jedyną nadzieją na ocalenie nas wszystkich. Jeśli uda ci się wrócić do Stanów i powiedzieć prezydentowi, co się tutaj stało, Wielikow będzie musiał zachować nas przy życiu.

- Co ma z tym wspólnego prezydent?

- Więcej, niż ci się wydaje.

- A więc Wielikow miał rację. To jakaś tajna operacja.

- Nie trać czasu na domysły. Idź, proszę cię, idź. Ratując siebie możesz uratować nas wszystkich.

Pitt poczuł, że zawładnęło nim uczucie. Jessie wyglądała teraz jak porzucona, sponiewierana i bezsilna lalka, ale nie ulegało wątpliwości, że jej urodzie dorównuje piękno wewnętrzne, na które składały się odwaga i stanowczość. Pochylił się i pocałował ją lekko w napuchnięte i popękane wargi.

- Uda mi się - powiedział z przekonaniem. - Obiecuj mi, że będziesz się trzymać, dopóki nie wrócę.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale usta nie posłuchały.

- Ty zwariowany pajacu. Nie możesz wrócić na Kubę.

- Zobaczymy.

- Powodzenia - wymruczała cicho. - Wybacz, że skomplikowałam ci życie.

Pitt uśmiechnął się, ale w oczach miał łzy.

- To właśnie pociąga mężczyzn w kobietach. Nigdy nie dają nam się nudzić.

Pocałował ją jeszcze raz w czoło i odszedł z pięściami zaciśniętymi tak mocno, że od ogorzałej skóry odcinały się wyraźnie pobielające knykcie.

Od wspinaczki po drabince szybu awaryjnego rozboleły Pitta ramiona, kiedy więc dotarł na samą górę, odpoczął chwilę i dopiero potem odsunął pokrywę wjazdu i przykucnął w ciemnościach zalegających w garażu. Dwaj żołnierze wciąż zajęci byli grą w szachy. Była to chyba conocna rozrywka pomagająca przetrwać nudne godziny służby. Z rzadka tylko zerkali na pojazdy zaparkowane na zewnątrz ich dyżurki. Nie mieli powodu spodziewać się kłopotów. Zdaniem Pitta, byli prawdopodobnie mechanikami, a nie strażnikami z ochrony obiektu.

Pitt rozejrzał się po garażu: stoły warsztatowe, półki na smary, magazynek oleju i części zamiennych, ciężarówka i sprzęt budowlany. Do ram ciężarówek przymocowane były zapasowe, pięciogalonowe zbiorniki paliwa. Opukując je lekko Pitt znalazł jeden pełny. Pozostałe były do połowy albo i bardziej opróżnione. Macając w ciemnościach po stole warsztatowym, natrafił wreszcie na gumową rurkę i za jej pomocą ściągnął benzynę napełniając drugi zbiornik. Unieść mógł tylko dwa pięciogalonowe kanistry. Stał teraz przed problemem wywindowania ich przez wywietrznik na dach.

Zdjął z haka tkwiącego w jednej ze ścian linę holowniczą i przywiązał jej końce do rączek kanistrów z benzyną. Trzymając ją w połowie długości wdrapał się na dźwigary podtrzymujące strop. Powoli, zerkając co i rusz, czy strażnicy nie odrywają wzroku od szachownicy, kolejno wciągnął kanistry na górę i wypchnął przez wywietrznik na dach.

Dwie minuty później taszczył je już przez plac do otworu pod murem. Rozgiął szybko pręty i wyczołgał się na zewnątrz.

Niebo było czyste, a w morzu gwiazd unosił się księżyc w pierwszej kwadrze. Pitt modlił się żarliwie w duchu, by morze było spokojne.

Tym razem, bez żadnego określonego powodu, wybrał drugą stronę drogi. Szło mu się powoli. Prawie od początku miał wrażenie, że lada moment odpadną mu obciążone kanistrami ręce. Stopy grzęzły w sybkim piasku i co dwieście jardów musiał przystawać, żeby zaczerpnąć tchu i odczekać, aż złagodnieje narastający ból w dłoniach i barkach.

Potknął się i rozciągnął jak długi na skraju rozległej polany otoczonej gęstym lasem palm rosnących tak blisko siebie, że zdawały się stykać pniami. Wyciągnął ręce i pomacał przed sobą. Dłonie natrafiły na zlewającą się z piaskiem, prawie niewidoczną metalową sieć.

Zaciekawiony, zostawił kanistry z benzyną i popęzł wokół polany. Na całej jej powierzchni, na

wysokości dwóch cali ponad ziemią, rozpięto metalową siatkę, która zapadała się pośrodku tworząc jakby wklęsłą czaszę. Obmacał pnie palm okalających polanę.

Były sztuczne. Palmy wykonano z aluminiowych rurek i pokryto przekonującą imitacją pni i liści z matowego tworzywa sztucznego. Było ich ponad pięćdziesiąt, pomalowanych farbą maskującą, by oszukać amerykańskie samoloty zwiadowcze i ich wścibskie kamery fotograficzne.

Czasza stanowiła gigantyczną talerzową antenę radiotelewizyjną, a fałszywe palmy spełniały funkcję hydraulicznych podnośników, które ją unosiły i opuszczały. Pitt był oszołomiony implikacjami tego przypadkowego odkrycia. Wiedział teraz, że pod piaskami wyspy kryje się ogromne centrum łączności.

Ale jakim celem właściwie służyło?

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany był stąd zbiec. Ruszył dalej pod osłoną ciemności. Do wioski było dalej, niż mu się wydawało. Kiedy wtoczył się wreszcie na podwórko, gdzie wcześniej ukrył pod wanną silnik łodzi, spływał cały potem i dyszał ciężko z wyczerpania. Z ulgą pozbył się ciężaru kanistrów z benzyną, runął na stary materac i uciął sobie godzinną drzemkę.

Chociaż stracił trochę czasu, ten krótki odpoczynek pokrzepił jego siły. Pozwolił również zebrać myśli. Do głowy przyszedł mu pomysł tak nieprawdopodobnie prosty, że nie mógł uwierzyć, iż nie wpadł na to wcześniej.

Przeniósł kanistry z benzyną na brzeg laguny i wrócił po silnik. Przeszukując kupę gruzu znalazł krótką deskę nie wykazującą oznak przegnicia. Najtrudniejsze było ostatnie zadanie, jednak i tutaj potrzeba okazała się matką wynalazku.

Nim minęło kolejne czterdzieści pięć minut, włókł już starą wannę drogą z jej miejsca spoczynku na podwórku w kierunku plaży.

Zamocował silnik z tyłu wanny wykorzystując deskę w charakterze poprzecznicy. Następnie oczyścił filtr paliwa i przedmuchał przewody. Kawałek blachy ocynkowanej zwinięty w stożek posłużył za lejek do napełniania zbiornika paliwa. Zatykając kciukiem otwór mógł też lejek wykorzystywać jako czerpak. Ostatnią czynnością przed zapchaniem otworu spustowego wanny szmacianym korkiem było obtłuczenie żelaznym prętem czterech fantazyjnie wygiętych nóżek.

Silnik prychnął, zakaszłał i zaskoczył dopiero po dwunastym szarpnięciu za linę rozruchową. Pitt zepchnął wannę na głębszą wodę i wgramolił się do niej. Balast składający się z ciężaru jego ciała i dwóch pełnych kanistrów z benzyną zapewnił jej zadziwiająco stabilność. Zanurzył w wodzie wał śruby i pchnął dźwignię zmiany biegów w położenie Naprzód.

Dziwna jednostka pływająca odbiła wolno od brzegu kierując się ku głównemu kanałowi łączącemu lagunę z oceanem. Powierzchnia morza połyskująca w snopie księżycowej poświaty była spokojna, powybrzuszana nie bardziej niż na dwie stopy w górę. Pitt skoncentrował się na przyboju. Musiał przepłynąć przez linię załamujących się fal i do wschodu słońca pozostawić wyspę jak

najdalej za sobą.

Zwolnił obroty silnika i zaczął liczyć fale przyboju. Nadpłynęło, jeden po drugim, dziewięć grzywaczy, po których nastąpiła długa dolina oddzielająca je od dziesiątego. Pitt maksymalnie otworzył przepustnicę i usadowił się na rufie wanny. Następna fala była niska i załamała się tuż przed nim. Przyjął na dziób uderzenie spienionej kipieli i przeorał ją. Wanna zakołysała się, ale śruba zaczęła zaraz mieć wodę i stateczek przeskoczył przez grzbiet kolejnej fali, zanim ten zdążył się podwinąć pod spód.

Pitt wydał ochrypły okrzyk tryumfu. Był wolny. Najgorsze miał za sobą. Wiedział, iż teraz tylko przypadek może sprawić, że zostanie odkryty. Wanna była zbyt małym obiektem, by wykrył ją radar. Przymknął trochę przepustnicę, by oszczędzić silnik i paliwo. Zanurzając dłoń w wodzie ocenił, że szybkość wynosi około czterech węzłów. Do rana powinien być daleko od kubańskich wód terytorialnych.

Spojrzał w niebo, żeby zorientować się w stronach świata, wybrał sobie gwiazdę, według której będzie sterował, i obrał kurs na Kanał Bahamski.

CZEŚĆ III

Selenos 8

ROZDZIAŁ 37

30 października 1989 Kazachstan, ZSRR

Z ognistej kuli jaśniejszej od syberyjskiego słońca wzniosła się w przejmująco błękitne niebo *Selenos 8*, wynosząc w górę załogową stację księżycową o wadze 110 ton. Ta superrakieta nośna i cztery silniki pomocnicze dające w sumie czternaście milionów ton ciągu wlokły za sobą pomarańczowożółty płomień długi na 1000 i szeroki na 300 stóp. Wyrzutnię spowiły kłęby białego dymu, a od ryku silników zatrzęsły się szyby w oknach w promieniu dwunastu mil. Z początku rakietę pięła się w górę tak ociężale, że wydawało się, iż zawisła w miejscu. Potem przyspieszyła i pomknęła w niebo.

Prezydent Związku Radzieckiego, Antonow, znajdował się w bunkrze i zza szyby ze zbrojonego szkła obserwował start przez wielką lornetę zainstalowaną na trójnogu. Obok niego stali Siergiej Korniłow i generał Jesienin, wsłuchując się z napięciem w dialog pomiędzy kosmonautami a centrum kontroli lotów.

- Imponujący widok - mruknął zachwycony Antonow.

- Start jak z podręcznika - powiedział Korniłow. - Za cztery minuty osiągną prędkość ucieczki.

- Czy wszystko przebiega jak należy?

- Tak jest, towarzyszu prezydencie. Wszystkie systemy funkcjonują normalnie. I są dokładnie na kursie.

Antonow wpatrywał się w długi język płomieni, dopóki ten w końcu nie znikł. Dopiero wtedy odetchnął i odstąpił od lornety.

- Tak, panowie, to kosmiczne widowisko odwróci uwagę świata od następnego lotu amerykańskiego wahadłowca do ich stacji orbitalnej.

Jesienin pokiwał potakująco głową i ucisnął ramiona Korniłowa.

- Moje gratulacje, Siergieju. Pozbawiłeś Jankesów tryumfu i zapewniłeś zwycięstwo Związkowi Radzieckiemu.

- To nie moja zasługa - powiedział Korniłow. - Tylko dzięki mechanice lotów orbitalnych nasze okno startowe zapewniające optymalne warunki do wysłania rakiety na Księżyc otworzyło się kilka godzin przed wyznaczonym terminem startu ich promu.

Antonow wpatrywał się w niebo jak zahipnotyzowany.

- Zakładam, że wywiad amerykański nie odkrył faktu, iż nasi kosmonauci nie są tymi ludźmi, za których się ich uważa.

- To był genialny fortel - powiedział z przekonaniem Jesienin. - Podstawienie na krótko przed startem specjalnie wyszkolonych żołnierzy zamiast pięciu naukowców odbyło się bez zgrzytów.

- Mam nadzieję, że możemy powiedzieć to samo o ryzykownym planie zastąpienia aparatury naukowej bronią - powiedział Korniłow. - Naukowcy, których eksperymenty w ostatniej chwili odwołano, omal nie podnieśli buntu. Inżynierom kazano przeprojektować wnętrze stacji tak, by spełniało nowe wymagania wytrzymałościowe i umożliwiało przechowywanie broni. Nie zostali jednak poinformowani o przyczynie tych zmian i to ich zdenerwowało. Niezadowolenie tych ludzi na pewno się rozniesie.

- Możesz spać spokojnie - roześmiał się Jesienin. - Amerykanie nic nie będą podejrzewać, dopóki nie utracą łączności ze swoją bezcenną bazą księżycową.

- Kto dowodzi naszą grupą szturmową? - spytał Antonow.

- Major Grigorij Lewczenko. Ekspert w dziedzinie wojny partyzanckiej. Major ma na swoim koncie wiele zwycięstw w walkach z afgańskimi rebeliantami. Mogę osobiście ręczyć za jego lojalność.

Antonow pokiwał w zadumie głową.

- Dobry wybór, generale. Warunki księżycowe nie powinny mu się wydać zbyt odbiegające od tego, z czym miał do czynienia w Afganistanie.

- Nie ma wątpliwości, że major Lewczenko wzorowo pokieruje tą operacją.

- Zapomina pan, generale, o amerykańskich kosmonautach - wtrącił Korniłow.

- A co?

- Fotografie świadczą o tym, że oni też dysponują bronią. Modłę się, żeby nie byli fanatykami, którzy rzucą się do walki w obronie swojej siedziby.

Jesienin uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Modlisz się, Siergieju? A do kogóż to? Bo na pewno nie do Boga. I on nie pomoże Amerykanom, kiedy Lewczenko ze swoimi ludźmi ruszy do ataku. Wynik jest sprawą przesądzoną. Naukowcy nie są w stanie przeciwstawić się zawodowym żołnierzom zaprawionym w zabijaniu.

- Nie lekceważ ich. Tyle tylko ci powiem.

- Dostyc! - powiedział głośno Antonow. - Nie chcę więcej słyszeć tych defetystycznych komentarzy. Major Lewczenko ma za sobą podwójną przewagę wynikającą z zaskoczenia i lepszego uzbrojenia.

Za niespełna sześćdziesiąt godzin rozpocznie się pierwsza prawdziwa bitwa kosmiczna. I nie przypuszczam, by Związek Radziecki ją przegrał.

W siedzibie KGB przy placu Dzierżyńskiego w Moskwie siedział za biurkiem Władimir Polewoj i czytał raport generała Wielikowa. Nie podniósł nawet wzroku na Lwa Majskiego, który wkroczył do gabinetu i usiadł nie czekając na zaproszenie. Twarz, podobnie jak osobowość, Majski miał pospolitą, płaską i pozbawioną wyrazu. Sprawował funkcję zastępcy Polewoja, szefa Pierwszego Wydziału KGB do spraw operacji zagranicznych. Stosunki Majskiego z Polewojem były napięte, ale uzupełniali się wzajemnie.

Oczy Polewoja wwierciły się wreszcie w Majskiego.

- Oczekuję wyjaśnień.

- Pojawienia się LeBaronów nie można było przewidzieć - oświadczył zwięźle Majski.

- Pani LeBaron z jej bandą poszukiwaczy skarbów może i nie, ale nie da się tego powiedzieć o jej mężu. Po co Wielikow odebrał go Kubańczykom?

- Generał sądził, że Raymond LeBaron może być użytecznym pionkiem w negocjacjach z Departamentem Stanu USA po usunięciu Castra.

- Z jego dobrych intencji wynikła niebezpieczna gra - powiedział Polewoj.

- Wielikow zapewnia mnie, że LeBaron jest trzymany pod ścisłą strażą i karmiony fałszywymi informacjami.

- Ale mimo to istnieje pewna szansa, że LeBaron może odkryć prawdziwą rolę Cayo Santa Maria.

- Wtedy zostałby po prostu wyeliminowany.

- A Jessie LeBaron?

- Osobiście uważam, że ona i jej przyjaciele spełnią użyteczną rolę kozłów ofiarnych, które pomogą rzucić na CIA odpowiedzialność za planowany przez nas zamach.

- Czy Wielikow albo nasi rezydenci z Waszyngtonu odkryli jakieś plany amerykańskiego wywiadu dotyczące infiltracji wyspy?

- Nie - odparł Majski. - Prześwietliliśmy członków załogi sterowca i nic nie wskazuje na to, że którykolwiek z nich ma aktualnie jakieś powiązania z CIA albo wojskiem.

- Nie życzę sobie żadnych potknięć - powiedział stanowczo Polewoj. - Jesteśmy zbyt bliscy sukcesu.

Przekaż moje słowa Wielikowowi.

- Zostanie poinstruowany.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszła sekretarka Polewoja. Bez słowa wręczyła mu kartkę i wyszła. Twarz Polewoja poczerwieniała raptem ze złości.

- Cholera! My tu o zagrożeniu, a ono staje się faktem.

- Jak to?

- Priorytetowy sygnał od Wielikowa. Zbiegł jeden z jego więźniów.

Majski poruszył nerwowo rękami.

- To niemożliwe. Na Cayo Santa Maria nie ma żadnych łodzi, a jeśli był na tyle głupi, żeby uciekać wpław, to albo utonie, albo pożrą go rekiny. Ktokolwiek to jest, nie ucieknie daleko.

- Nazywa się Dirk Pitt i Wielikow twierdzi, że jest najgroźniejszy z całej paczki.

- Groźny czy nie...

Polewoj uciszył go machnięciem ręki i zaczął się przechadzać tam i z powrotem po dywanie z twarzą zdradzającą głębokie poruszenie.

- Nie możemy ryzykować. Trzeba przyspieszyć o tydzień termin rozpoczęcia naszej akcji na Kubie.

Majski pokręcił przecząco głową.

- Okręty nie zdążą dopłynąć na czas do Hawany. Nie możemy też zmienić daty obchodów. Fidel i wszyscy wysokiej rangi członkowie jego rządu mają wygłaszać przemówienia. Kółka maszyny zostały puszczony w ruch. Nie da się już zmienić terminarza. Albo trzeba odwołać *Rum z Colą*, albo kontynuować przygotowania do akcji zgodnie z harmonogramem.

Polewoj składał i rozkładał dłonie w męce podejmowania decyzji.

- *Rum z Colą*, idiotyczny kryptonim dla operacji o takiej wadze.

- To jeszcze jeden powód, żeby brnąć dalej. Ruszył już nasz program dezinformacji i rozsiewane są pogłoski o planowanej przez CIA akcji dywersyjnej na Kubie. Zwrot "rum z colą" jest czysto amerykański. Rząd żadnego państwa nie poweźmie podejrzeń, że ukuto go w Moskwie.

Polewoj wzruszył z rezygnacją ramionami.

- No dobrze, ale wolę nie myśleć o konsekwencjach, jeśli temu Pittowi uda się jakimś cudem przeżyć i wrócić do Stanów Zjednoczonych.

- On już nie żyje - zawyrokował Majski. - Jestem tego pewien.

ROZDZIAŁ 38

Prezydent zajrzał do gabinetu Daniela Fawcetta i machnął ręką.

- Nie wstawaj. Chciałem ci tylko powiedzieć, że idę na górę i zjem spokojnie lunch. Żona dotrzyma mi towarzystwa.

- Proszę pamiętać, że za czterdzieści pięć minut ma pan spotkanie z szefami wywiadu i Douglasem Oatesem - przypomniał mu Fawcett.

- Słowo, że się nie spóźnię.

Prezydent odwrócił się i wszedł do windy, by wjechać do swego prywatnego mieszkania na piętrze Białego Domu. W gabinecie Lincolna czekał na niego Ira Hagen.

- Wyglądasz na zmęczonego, Ira.

Hagen uśmiechnął się.

- Latka lecą.

- Jak stoimy?

- Ustaliłem tożsamość wszystkich dziewięciu członków "jądra". Siedmiu zlokalizowałem. Poza siecią pozostają jeszcze tylko Leonard Hudson i Gunnar Eriksen.

- Nie podjąłeś ich tropu z centrum handlowego?

Hagen zawahał się.

- Nie wyszło.

- Przed ośmioma godzinami Sowieci wystrzelili swoją stację księżycową - powiedział prezydent. - Nie mogę dłużej zwlekać. Dziś po południu wydam rozkaz zdjęcia tylu członków "jądra", ilu się da.

- Armii czy FBI?

- Ani jednym, ani drugim. Zaszczytu tego dostąpi pewien mój stary kumpel z piechoty morskiej. Dostarczyłem mu już twoją listę nazwisk i adresów. - Prezydent urwał i popatrzył na Hagenę. - Powiedziałeś, że ustaliłeś tożsamość dziewięciu ludzi, Ira, ale w swoim raporcie podajesz tylko osiem nazwisk.

Hagen sięgnął z wyraźną niechęcią do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął złożony arkusik papieru.

- Oszczędzałem tego ostatniego, dopóki nie nabiorę absolutnej pewności. Analizator głosu potwierdził moje podejrzenia.

Prezydent wyjął z dłoni Hagen karteczkę, rozłożył ją i przeczytał wypisane wielkimi literami nazwisko. Zdjął okulary i ze znużeniem przetarł szkła, jakby nie dowierzał własnym oczom. Potem wsunął karteczkę do kieszeni.

- Chyba od początku to wiedziałem, ale odsuwałem od siebie tę myśl.

- Nie sądz pochopnie, Vince. Ci ludzie to nie zdrajcy, lecz patrioci. Ich jedynym przestępstwem jest milczenie. Weź na przykład Hudsona i Eriksena. Przez wszystkie te lata udawali martwych. Pomyśl, ile cierpień musiało to przysporzyć ich przyjaciołom i rodzinom. Kraj nigdy nie zrekompensuje im tego poświęcenia ani nie doceni w pełni wagi ich dzieła.

- Pouczasz mnie, Ira?

- Tak, pouczam.

Prezydent uświadomił sobie nagle wewnętrzne opory Hagen. Zrozumiał, że jego stary przyjaciel nie jest rzecznikiem konfrontacji. Lojalność Hagen wobec niego wisiała na włosku.

- Nie mówisz mi wszystkiego, Ira.

- Nie chcę cię okłamywać, Vince.

- Wiesz, gdzie ukrywają się Hudson i Eriksen.

- Powiedzmy, że mam cholernie mocne podejrzenia.

- Mogę ci zaufać, że ich do mnie przyprowadzisz?

- Tak.

- Dobry z ciebie wywiadowca, Ira.

- Gdzie mam ich dostarczyć i kiedy?

- Do Camp David - odparł prezydent. - Jutro rano o ósmej.

- Będziemy tam.

- Ciebie nie mogę zaprosić, Ira.

- Postaraj się, Vince. Nazwij to swego rodzaju zapłatą. Należy mi się udział w ostatnim akcie.

Prezydent rozważył jego słowa.

- Masz rację. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Martin Brogan, szef CIA, Sam Emmett z FBI i sekretarz stanu Douglas Gates wstali na widok wkraczającego do sali konferencyjnej prezydenta, któremu deptał po piętach Dan Fawcett.

- Siadajcie, panowie - powiedział z uśmiechem prezydent.

Kilka minut wypełniła pogawędka na tematy ogólne. Przerwało ją przybycie Alana Merciera, doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa krajowego.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział wchodząc szybkim krokiem do sali i sadowiąc się od razu w fotelu. - Nie miałem nawet czasu na wymyślenie stosownej wymówki.

- Szczery człowiek - roześmiał się Brogan. - I jaki bezpośredni.

Prezydent przygotował pióro i otworzył notes.

- Jak wygląda sprawa paktu z Kubą? - zapytał spoglądając na Oatesa.

- Odkładamy ją na bok do momentu nawiązania poufnych rozmów z Castrem.

- Jest jakaś szansa, że Jessie LeBaron udało się przedrzeć z informacją od nas?

Brogan pokręcił głową.

- Moim zdaniem jest rzeczą bardzo wątpliwą, by zdołała nawiązać kontakt. Od chwili zestrzelenia sterowca nasi informatorzy nic o niej nie słyszeli. Wszyscy podzielają opinię, że zginęła.

- Są w ogóle jakieś wiadomości od braci Castro?

- Żadnych.

- A co słysząc na Kremlu?

- Niewiele brakuje, aby wyszły na jaw wewnętrzne przepychania pomiędzy Castrem i Antonowem - powiedział Mercier. - Nasi ludzie z kubańskiego ministerstwa wojny twierdzą, że Castro zamierza wycofać swoich żołnierzy z Afganistanu.

- To zaostrzy sytuację - mruknął Fawcett. - Antonow nie będzie siedział z założonymi rękami i biernie się temu przyglądał.

Emmett pochylił się i złożył dłonie na blacie stołu.

- A wszystko zaczęło się przed czterema laty, kiedy to Castro wyblażał od Związku Radzieckiego umorzenie dziesięciu miliardów dolarów długu, na który złożyły się pożyczki zaciągane bez przerwy od lat sześćdziesiątych. Dał się zapędzić w ekonomiczny kozł róg i musiał ulec, kiedy Antonow zażądał od niego wysłania żołnierzy do Afganistanu. Nie jakichś tam paru marnych kompanii, ale blisko dwudziestu tysięcy ludzi.

- Jak CIA szacuje liczbę ofiar? - spytał prezydent zwracając się do Brogana.

- Nasze dane mówią o około tysiącu sześciuset zabitych, dwóch tysiącach rannych i ponad pięciuset zaginionych.

- O Boże, to ponad dwadzieścia procent stanu.

- Jeszcze jeden powód, by naród kubański znenawidził Rosjan - ciągnął Brogan. - Castro jest jak tonący, jak idący na dno między przeciekającą łodzią, której załoga trzyma go na muszce, a luksusowym jachtem, którego pasażerowie wymachują butelkami szampana. Jeśli rzucimy mu linę, załoga z Kremla otworzy do niego ogień.

- Prawdę mówiąc i tak zamierzają go sprzątnąć - dorzucił Emmett. V

- Czy wiadomo coś o terminie planowanego zamachu na jego życie albo sposobie, w jaki zostanie przeprowadzony? - spytał prezydent.

Brogan poprawił się niespokojnie w fotelu.

- Nasze źródła nie zdołały dotrzeć do terminarza.

- Objęli ten temat tak ścisłą tajemnicą, że chyba jeszcze nie widziałem podobnych środków ostrożności - powiedział Mercier. - Nasze komputery nie potrafiły zdekodować żadnych sygnałów zebranych przez nasze kosmiczne systemy nasłuchowe. Zaledwie parę strzępów informacji, które nie dają nam żadnego konkretnego poglądu na ich plany.

- Wiecie, kto tym kieruje? - naciskał prezydent.

- Generał Piotr Wielikow z GRU uważany za kogoś w rodzaju czarodzieja w dziedzinie infiltracji i manipulowania rządami trzeciego świata. Był architektem przewrotu w Nigerii sprzed dwóch lat. Na szczęście marksistowski rząd, który tam ustanowił, nie przetrwał długo.

- Działa z Hawany?

- Maskuje się jak diabli - odparł Brogan. - Idealny przykład człowieka, którego nie ma. Przez ostatnie cztery lata Wielikow nie pokazywał się publicznie. Jesteśmy stuprocentowo pewni, że kieruje całą operacją z jakiegoś ukrytego miejsca.

Oczy prezydenta pociemniały.

- A więc wszystko, czym dysponujemy, to mgliste przypuszczenia, że Kreml planuje zgładzić Fidela i

Raula Castro, zrzucić winę na nas, a następnie, posługując się swoimi kubańskimi fagasami otrzymującymi rozkazy prosto z Moskwy, przejąć władzę. Zastanówcie się, panowie, ja nie mogę działać na podstawie domysłów. Mnie są potrzebne fakty.

- To jest teoria wysnuta ze znanych faktów - wyjaśnił ponuro Brogan. - Mamy nazwiska Kubańczyków będących na sowieckim żołdzie, którzy stoją z boku i tylko czekają na to, by dorwać się do władzy. Nasze informacje w pełni potwierdzają podejrzenie, że Kreml nosi się z zamiarem zamordowania braci Castro. CIA jest idealnym kozłem ofiarnym, bo naród kubański nie zapomniał jeszcze Zatoki Świń ani przygotowanej przez Agencję podczas prezydentury Kennedy'ego intrygi, której celem miało być nakłonienie mafii do zamordowania Fidela. Zapewniam pana, panie prezydencie, że nadałem tej sprawie pełny priorytet. Sześćdziesięciu agentów różnych szczebli, rozmieszczonych na terytorium Kuby i poza jej granicami, koncentruje się na skruszeniu muru tajemnicy wzniesionego przez Wielikowa.

- A mimo to nie jesteśmy w stanie dotrzeć do Castra, by nawiązać z nim otwarty dialog w kwestii przyścia sobie wzajemnie z pomocą.

- Nie, sir - powiedział Oates. - Odmawia jakichkolwiek kontaktów oficjalnymi kanałami.

- Nie zdaje sobie sprawy, że być może jego czas się kończy? - spytał prezydent.

- Jest zawieszony w próżni - odparł Oates. - Z jednej strony czuje się bezpiecznie wiedząc, że jest idolem wielkich mas Kubańczyków. Niewiele głów państwa może się poszczycić takim uwielbieniem i czcią, jakie on zaskarbił sobie u swego narodu. Z drugiej strony jednak nie potrafi w pełni pojąć śmiertelnej powagi zagrożenia, jakie dla jego życia i władzy stanowią Sowieci.

- A zatem twierdzi pan - powiedział ponuro prezydent - że jeśli nasz wywiad nie zdoła dokonać wyłomu, albo jeśli nie wprowadzimy do kryjówki Castra kogoś, kto potrafi przemówić mu do rozsądku, to możemy tylko siedzieć i patrzeć, jak Kuba tonie pod totalną sowiecką dominacją.

- Tak, panie prezydencie - przyznał Brogan. - To właśnie chciałem panu uświadomić.

ROZDZIAŁ 39

Hagen wybrał się na rozpoznanie terenu. Spacerował pasażami centrum handlowego oglądając ostentacyjnie towary wystawione w stoiskach. Woń prażonych orzeszków przypomniła mu, że jest głodny. Zatrzymał się przy pomalowanej w wesołe kolory budce i kupił torebkę prażonej kukurydzy.

Dając krótki odpoczynek nogom, usiadł na kanapie w sklepie z wyposażeniem wewnątrz i zapatrzył się w ścianę dwudziestu nastawionych na ten sam kanał odbiorników telewizyjnych. Emitowano akurat retransmisję startu promu kosmicznego *Gettysburg*, który wystrzelono przed godziną w Kalifornii. Od lotu pierwszego wahadłowca, czyli od roku 1981, w kosmos wyniesiono już w ten sposób trzysta osób, i nie licząc środków masowego przekazu nikt się tym już specjalnie nie interesował.

Hagen przechadzał się tam i z powrotem przystając co chwila, by pogapić się przez wielką szybę na żonglującego płytami disc jockeya stacji radiowej zlokalizowanej w holu. Przeciskał się przez tłumy robiących zakupy kobiet, ale koncentrował się na mężczyznach, którzy trafiali się od czasu do czasu. Większość z nich wpadła tu chyba podczas przerwy na lunch. Przeglądali lady i półki, kupując przeważnie to, co pierwsze wpadło im w oko, w odróżnieniu od kobiet, które wołały trochę poprzebierać w towarze w złudnej nadziei, że wynajdą coś lepszego i tańszego.

Dostrzegł dwóch mężczyzn jedzących sandwicze z rybą w barze szybkiej obsługi. Nie mieli przy sobie toreb z zakupami ani nie byli ubrani jak sprzedawcy. Nosili się tak samo swobodnie jak doktor Mooney z laboratorium Pattendena.

Hagen poszedł za nimi do wielkiego domu towarowego. Zjechali ruchomymi schodami do podziemi, minęli halę sklepową i weszli do korytarzyka na zapleczu opatrzonego wywieszką: "Nie zatrudnionym wstęp wzbroniony".

W głowie Hagena zabręczał ostrzegawczy dzwonek. Wrócił do stoiska zawałonego prześcieradłami, zdjął płaszcz i wetknął sobie za ucho ołówek. Zaczekał chwilę, aż sprzedawca zajmie się klientem, po czym dźwignął stosik prześcieradeł i skierował się z powrotem w stronę korytarzyka.

Troje drzwi w korytarzyku prowadziło do magazynów, dwoje do toalet, a na jednych wisiała tabliczka z napisem: "Uwaga, wysokie napięcie". Otworzył jednym szarpnięciem te ostatnie i wparował do środka. Zaskoczony strażnik siedzący za biurkiem podniósł na niego wzrok.

- Hej, tu nie wolno...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, zanim Hagen cisnął w niego stosem prześcieradeł i zdzielił go fachowo w kark kantem dłoni. Za drugimi drzwiami służbę pełniło dwóch strażników i Hagen unieszkodliwił obu w niecałe cztery sekundy. Przykucnął i rozejrzał się szybko wkoło, gotowy na odparcie kolejnego zagrożenia.

W niemym zdumieniu wpatrywało się weń sto par oczu.

Znajdował się w sali, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Od ściany do ściany pełna była ludzi, gabinetów, sprzętu komputerowego i łącznościowego. Przez długą chwilę stał oszołomiony ogromem tego wszystkiego. Potem postąpił krok przed siebie, schwycił za ramię przerażoną sekretarkę i poderwał ją z krzesła.

- Leonard Hudson! - warknął. - Gdzie go znajdę?

Strach bił z jej oczu jak snopy światła z pary reflektorów. Przechyliła głowę w prawo.

- Gggabinet zzz niebieskimi dddrzwiemi - wyjąkała.

- Dziękuję bardzo - powiedział Hagen uśmiechając się od ucha do ucha.

Puścił dziewczynę i ruszył szybko przez cichą jak makiem zasiał salę. Twarz miał wykrzywioną w złowrogim grymasie, żeby nikomu nie przyszło do głowy stawać mu na drodze.

Nikt nawet tego nie próbował. Hagen kroczył zdecydowanie głównym przejściem, a rosnący tłum rozstępował się przed nim niczym wody Morza Czerwonego.

Przed niebieskimi drzwiami zatrzymał się, odwrócił i omiół wzrokiem trust mózgow i centrum łączności programu Kolonii Jersey. Poczul podziw dla Hudsona. Przykrywka była genialna. Podziemne pomieszczenia zbudowane podczas wznoszenia centrum handlowego nie ściągały na siebie żadnych podejrzeń. Naukowcy, inżynierowie i sekretarki mogli tu wchodzić i wychodzić stąd niezauważenie, wmieszani w tłum kupujących, a ich samochody stapiały się po prostu na parkingu z setkami innych. Stacja radiowa była również genialnym pomysłem. Kto by podejrzewał, że wysyła i odbiera sygnały z Księżyca nadając jednocześnie nagrania z listy przebojów dla okolicznej społeczności akademickiej.

Hagen pchnął otwierające się do wewnątrz drzwi i wszedł do pomieszczenia, które wyglądało jak reżyserka studia telewizyjnego.

Hudson i Eriksen siedzieli plecami do niego, wpatrzeni w wielki ekran monitora. Widniała na nim twarz i wygolona głowa jakiegoś mężczyzny. Ten ostatni przerwał w pół zdania swoją wypowiedź i zapytał:

- Kim jest ten człowiek za wami?

Hudson zerknął od niechcienia przez ramię.

- Cześć, Ira. - Ton jego głosu pasował do wyrazu oczu; Hagenowi wydawało się, że słyszy w nich chrzęst kruszonego lodu. - Ciekaw byłem, kiedy wreszcie wpadniesz.

- Wejdz - powiedział Eriksen równie oziębłym tonem. - Trafiłeś akurat na rozmowę z naszym człowiekiem z Księżyca.

ROZDZIAŁ 40

Pitt zostawił za rufą kubańskie wody terytorialne i zapuścił się już spory kawał w głąb głównego szlaku żeglugowego przebiegającego przez Kanał Bahamski. Ale szczęście zaczęło go opuszczać. Nieliczne statki przepływające w zasięgu wzroku nie dostrzegły go. Wielki tankowiec pod panamską banderą przedefilował niespełna milę od niego. Pitt stanął w wannie, wyprostował się, jak mógł, nie ryzykując wywrotki i zaczął wymachiwać zapamiętałe koszulą. Ale załoga nie zauważyła stateczka.

Jaka była szansa na to, że oficer wachtowy stojący na mostku skieruje lornetkę na właściwe miejsce dokładnie w chwili, gdy wanna wyniesiona z doliny znajdzie się przez moment na grzbiecie fali, by zaraz ponownie zniknąć z oczu? Takiego zakładu nie przyjąłby żaden szanujący się bukmacher. Do Pitta docierała okropna prawda: stanowił zbyt mały obiekt.

Ruchy Pitta stawały się mechaniczne. Od siedzenia przez blisko dwadzieścia godzin w kołyszącej się na falach wannie zdrętwiały mu nogi, a na pośladkach trących bez przerwy o twarde dno porobiły mu się bolesne pęcherze. Paliło go tropikalne słońce, ale dzięki opaleniznie, której już wcześniej się dorobił, groźba podrażnienia skóry stanowiła w tej chwili najmniejszy problem.

Morze było wciąż spokojne, ale utrzymanie dziobu wanny prostopadle do fal przy jednoczesnym wybieraniu wody z dna wymagało i tak nieustającego wysiłku. Przełał już ostatnią kroplę paliwa do zbiornika silnika, po czym napełnił opróżnione kanistry wodą morską, by służyły jako balast.

Jeszcze piętnaście do dwudziestu minut - tyle tylko pozostawało do chwili, kiedy silnik znowu złagodnieje i zażąda kolejnej porcji benzyny. Wtedy będzie po wszystkim. Pozbawiona napędu wanna szybko nabierze wody i zatonie.

Myśli zaczęły mu się mącić; nie zmrużył oka od trzydziestu sześciu godzin. Walczył z sennością sterując jak w transie i machinalnie wybierając wodę ołowianymi rękami o pomarszczonych od wilgoci dłoniach. Godziny ciągnęły się jak wieczność, a jego oczy przepatrywały horyzont nie dostrzegając tam nic, co kierowałoby się na jego maciupki kawałek morza. O dno poruszającej się wolno wanny walił co rusz grzbietem jakiś rekin; jeden popełnił błąd zbliżając się z nadto do wirującej śruby i pokiereszowało mu płetwę. Pitt obserwował potwory z zapartym tchem. Pomyślał półprzytomnie, że pozbawi je posiłku otwierając usta i tonąc od razu, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to idiotyczny pomysł i odpędził tę myśl.

Wiatr zaczął przybierać z wolna na sile. Górą przeszedł szkwał, pozostawiając po sobie cal wody na dnie wanny. Nie była najczystsza, ale lepsze to niż nic. Zacerpnął kilka garści i z rozkoszą zwilżył gardło. To go trochę orzeźwiło.

Skierował wzrok na połyskujący zachodni horyzont. Za godzinę zapadnie noc. Z zachodem słońca

zgaśnie ostatnia iskierka nadziei. Nawet jeśli ktoś będzie tędy przepływał, to i tak nie zauważy go w ciemnościach.

Spóźniony refleks, pomyślał tępo. Że też wcześniej nie przyszło mu do głowy, żeby zwędzić latarkę.

Nagle silnik zakrzusił się, ale zaraz ponownie zaskoczył. Pitt przymknął przepustnicę, ile się dało, mając świadomość, że tylko o minutę, najwyżej dwie, oddała to, co nieuniknione.

Odgonił od siebie czarne myśli i zmobilizował się do wybierania wody, dopóki ręce nie odmówią mu posłuszeństwa albo fala nie uderzy w bok dryfującej, bezradnej wanny i nie zatopi jej. Wylał wodę morską z jednego z kanistrów. Kiedy wanna zatonie, kombinował, użyje kanistra jako pływaka. Nie zamierzał się poddawać, dopóki będzie w stanie poruszyć choć jednym mięśniem.

Wierny, mały silnik zakrzusił się raz, drugi i zdechł. Przyzwyczajony do trwającego od poprzedniej nocy warkotu Pitt poczuł się przytłoczony ciszą, jaka raptem zapadła. Siedział jak skamieniały w skazanym na zagładę, małym stateczku pośród ogromnego, obojętnego morza, pod czystym, bezchmurnym niebem.

Utrzymywał wannę na wodzie jeszcze przez godzinę, do zmierzchu. Był tak skonany, tak wyczerpany psychicznie, że nie zauważył nieznacznego poruszenia w odległości kilkuset jardów.

Kapitan Kermit Fulton oderwał oczy od okularów peryskopu z wyrazem zaintrygowania na twarzy. Spojrzał przez centralę szturmowej łodzi podwodnej "Denver" na swego zastępcę.

- Mamy jakiś kontakt na czujnikach?

Zastępca rzucił coś do jednego z mikrofonów zainstalowanych w centrali.

- Na radarze nic, kapitanie. Sonar coś miał, ale kontakt urwał się przed minutą.

- Co to według nich było?

Odpowiedź długo nie nadchodziła i trzeba było powtórzyć pytanie.

- Sonar twierdzi, że to brzmiało jak mały silnik doczepny o mocy nie większej niż dwadzieścia koni.

- Mam tu coś bardzo szczególnego - powiedział Fulton. - Muszę to sprawdzić. Zredukować szybkość do jednej trzeciej i ster pięć stopni w lewo.

Przycisnął ponownie czoło do okularów persykopu i dał większe powiększenie. Powoli, z namysłem, cofnął głowę.

- Niech pan wyda rozkaz wynurzenia.

- Zobaczył pan coś? - spytał zastępca.

Fulton kiwnął w milczeniu głową.

Wszyscy obecni w centrali utkwili w nim pytające spojrzenia. Inicjatywę przejął zastępca.

- Czy zechciałby nas pan wtajemniczyć, kapitanie?

- Dwadzieścia trzy lata na morzu - mruknął Fulton - to i myślałem, że już chyba nic mnie nie zadziwi. Ale niech mnie diabli, jeśli tam na górze, prawie sto mil od najbliższego lądu, nie pływa w wannie jakiś gość.

ROZDZIAŁ 41

Od chwili zniknięcia sterowca admirał Sandecker rzadko opuszczał swe biuro. Zagrzebał się w pracy, która wkrótce utraciła wszelki sens. Rodzice, chociaż już starzy, żyli jeszcze, tak samo zresztą siostra i brat. Sandecker właściwie nigdy dotąd nie posmakował osobistej tragedii.

Swoją służbę w marynarce wojennej pełnił z poświęceniem. Niewiele było czasu na poważniejszy związek z jakąś kobietą, a przyjaciół, w większości znajomych z marynarki, mógł policzyć na palcach. Obwarował się murem, który dzielił go zarówno od przełożonych, jak i podwładnych i poruszał się tylko w jego obrębie. Dosłużył się najwyższej rangi jeszcze przed pięćdziesiątką, ale później przestał awansować.

Kiedy Kongres zatwierdził jego nominację na szefa Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, w skrócie NUMA, odżył. Nawiązał bliskie przyjaźnie z trzema wyjątkowymi ludźmi, którzy patrzyli na niego z szacunkiem, ale traktowali całkiem jak faceta zajmującego sąsiedni stołek przy barze.

Zbliżyły ich wyzwania, przed jakimi stawała NUMA. Al Giordino, ekstrawertyk z dziwnym upodobaniem do podejmowania się na ochotnika najtrudniejszych zadań i podkradania Sandeckerowi drogich cygar. Rudi Gunn opętany manią dążenia we wszystkim do perfekcji, obdarzony wrodzonymi zdolnościami organizacyjnymi, nie będący w stanie narobić sobie wrogów, choćby się nawet starał. I wreszcie Pitt, który bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do odrodzenia twórczego ducha Sandeckera. Szybko stali się sobie bliscy jak ojciec i syn.

Beztroskie podejście do życia i sarkastyczny humor Pitta wlokły się za Sandeckerem niczym warkocz komety. Nie mógł wejść do pokoju, nie ożywiając tych wspomnień. Sandecker usiłował bezskutecznie wymazać je z pamięci, odciąć się od przeszłości. Odchylił się na oparcie fotela, przymknął oczy i poddał się smutkowi. Strata wszystkich trzech naraz niewypowiedzianie nim wstrząsnęła.

Myślał właśnie o Pilcie, kiedy zamigotała lampka prywatnej linii telefonicznej i rozległ się stłumiony brzęczyk aparatu. Rozmasował szybko skronie i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- To ty, Jim? Zdobyłem twój prywatny numer od naszego wspólnego przyjaciela z Pentagonu.

- Przepraszam. Jestem trochę rozkojarzony. Nie poznaję głosu.

- Mówi Clyde. Clyde Monfort.

Sandecker zamarł.

- Co się stało, Clyde?

- Przez moje biurko przeszedł właśnie meldunek z jednej z naszych szturmowych łodzi podwodnych powracającej do bazy z ćwiczeń desantu morskiego na Jamajce.

- Co ja mam do tego?

- Dowódca tej łodzi melduje, że nie dalej niż dwadzieścia minut temu wyłowił z morza rozbitka. Brania obcych na pokład naszych nuklearnych łodzi podwodnych regulamin właściwie nie przewiduje, ale ten facet utrzymywał, że pracuje dla ciebie i bardzo się zdenerwował, kiedy kapitan nie pozwolił mu się z tobą skontaktować drogą radiową.

- Pitt!

- Trafiłeś - przytaknął Monfort. - Takie właśnie podał nazwisko. Dirk Pitt. Skąd wiedziałeś?

- Dzięki Ci, Boże!

- To twój człowiek?

- Tak, tak, to na pewno on - rzucił niecierpliwie Sandecker. - A co z pozostałymi?

- Nikogo więcej nie było. Tylko ten Pitt w wannie.

- Powtórz.

- Kapitan przysięga, że to była wanna z silnikiem doczepnym.

Znając Pitta, Sandecker ani przez sekundę nie wątpił w tę historię.

- Kiedy możecie wysłać po niego helikopter i podrzucić go na najbliższe lotnisko, żeby jak najszybciej znalazł się w Waszyngtonie?

- Wiesz przecież, Jim, że to niemożliwe. Mogę go sprawdzić i wypuścić dopiero, kiedy łódź podwodna znajdzie się w dokach bazy w Charleston.

- Nie odkładaj słuchawki, Clyde. Zadzwoń z drugiego aparatu do Białego Domu i załatwię upoważnienie.

- To ty masz takie chody? - spytał z niedowierzaniem Monfort.

- Takie i jeszcze większe.

- Możesz mi zdradzić, o co tu chodzi, Jim?

- Uwierz mi na słowo. Nie chciałbyś się w to wplątywać.

Zebrali się w Białym Domu na uroczystej kolacji wydanej na cześć premiera Indii Radziwa Gandhiego składającego kurtuazyjną wizytę w Stanach Zjednoczonych. Aktorzy i liderzy partii, sportowcy i miliarderzy, wszyscy dzielili się opiniami, wyrażali swoje poglądy i tasowali się jak sąsiedzi na niedzielnym przyjęciu.

Byli prezydenci Ronald Reagan i Jimmy Carter rozmawiali i zachowywali się zupełnie tak, jakby nigdy nie opuścili Zachodniego Skrzydła. Sekretarz stanu Douglas Gates zaszył się w pełnym kwiatów kącie i wymieniał wojenne wspomnienia z Henrym Kissingerem, podczas gdy zdobywca Superpucharu, rozgrywający drużyny Houston Oilers, stał przy kominku i gapił się bez żenady na biust podpory stacji telewizyjnej ABC, Sandry Malone.

Prezydent wznosił toast na cześć premiera Gandhiego, po czym przedstawił go Charlesowi Murphy'emu, który niedawno przeleciał nad Antarktydą w balonie wypełnionym ogrzonym powietrzem. Do prezydenta podeszła żona, wzięła go pod rękę i odciągnęła w kierunku parkietu tanecznego sali jadalnej.

Pracownik Białego Domu przechwycił spojrzenie Dana Fawcetta i ruchem głowy wskazał na drzwi. Fawcett podeszedł do niego, wysłuchał, po czym zbliżył się do prezydenta. Łańcuszek hierarchii był dobrze naoliwiony.

- Bardzo przepraszam, panie prezydencie, ale przybył właśnie kurier z opracowanym przez Kongres projektem ustawy, pod którym przed północą musi się znaleźć pański podpis.

Prezydent skinął ze zrozumieniem głową. Żaden projekt ustawy do podpisania nie istniał. Był to kod oznaczający pilną wiadomość. Prezydent przeprosił żonę i przeszedł przez hol do małego, prywatnego gabinetu. Zaczekał, aż Fawcett zamknie drzwi, i dopiero wtedy podniósł słuchawkę telefonu.

- Tu prezydent.

- Mówi admirał Sandecker, sir.

- Tak, admirale, o co chodzi?

- Mam na drugiej linii szefa sił morskich na Karaibach. Poinformował mnie właśnie, że łódź podwodna wyłowila z morza jednego z moich ludzi, którzy zaginęli wraz z Jessie LeBaron.

- Zidentyfikowano go?

- To Dirk Pitt.

- Ten człowiek albo jest niezniszczalny, albo musi mieć niesamowite szczęście - powiedział prezydent z nutką ulgi w głosie. - Kiedy będziemy go tu mieli?

- Admirał Clyde Monfort czeka na linii na upoważnienie do priorytetowego przerwania.

- Może mnie pan z nim połączyć?

- Chwileczkę, sir. - Nastąpił moment ciszy, a potem rozległ się trzask.

- Admirale Monfort - powiedział prezydent - słyszy mnie pan?

- Słyszę.

- Mówi prezydent. Rozpoznaje pan mój głos?

- Tak jest, sir. Rozpoznaję.

- Chcę mieć Dirka Pitta w Waszyngtonie najszybciej, jak tylko jest pan w stanie go tu dostarczyć. Zrozumiano?

- Zrozumiałem, panie prezydencie. Dopilnuję osobiście, żeby samolot marynarki wojennej wysadził go jeszcze przed brzaskiem w bazie sił powietrznych Andrews.

- Należy przedsięwziąć w tej sprawie specjalne środki ostrożności, admirale. Przytrzymać łódź podwodną na pełnym morzu oraz zastosować wobec pilotów i każdego, kto znajdzie się w promieniu stu jardów od Pitta, trzydniową kwarantannę.

Nastąpił króciutki moment zawahania.

- Pańskie rozkazy zostaną wykonane.

- Dziękuję. Teraz proszę mi dać admirała Sandeckera.

- Jestem tutaj, panie prezydencie.

- Słyszał pan? Admirał Monfort dostarczy Pitta przed świtem do bazy Andrews.

- Będę tam, by osobiście go powitać.

- Dobrze. Proszę go przetransportować helikopterem do centrali CIA w Langley. Będzie was tam oczekiwać Martin Brogan z przedstawicielami mojej kancelarii i departamentu stanu, żeby wysłuchać jego relacji.

- Nie wiadomo, czy jego zeznania rzucą na cokolwiek światło.

- Prawdopodobnie ma pan rację - powiedział ze znużeniem prezydent. - Zbyt wiele się spodziewam. Chyba zawsze moje oczekiwania były wygórowane.

Przerwał połączenie i westchnął ciężko. Przez chwilę zbierał myśli, potem odsunął je od siebie z zamiarem rozważenia w innym momencie. Jest to metoda, którą prędzej czy później opanowuje do

perfekcji każdy prezydent. Umiejętność przestawiania się z kryzysu na normalność i z powrotem na kryzys, tak jakby się pstrykało wyłącznikiem światła, jest przy tego rodzaju zajęciach niezbędna.

Fawcett rozpoznawał każdy nastrój prezydenta, czekał więc cierpliwie. W końcu się odezwał.

- Może nie byłoby źle, gdybym uczestniczył w tym przesłuchaniu?

Prezydent popatrzył na niego ze smutkiem.

- O wschodzie słońca jedziesz ze mną do Camp David.

Fawcett zrobił wielkie oczy.

- Nie mam w pańskim rozkładzie zajęć nic, co wiązałoby się z wyprawą do Camp David. Większą część ranka wypełniają rozmowy z liderami Kongresu w sprawie proponowanego budżetu.

- Będą musieli zaczekać. Mam jutro ważniejszą konferencję.

- Czy jako szef pańskiego personelu mogę zapytać, z kim?

- Z grupą ludzi, którzy nazywają siebie "jądrem".

Fawcett patrzył na prezydenta, a jego usta z wolna się zaciskały.

- Nie rozumiem.

- A powinieneś, Dan. Jesteś jednym z nich.

Zanim oszołomiony Fawcett zdążył odpowiedzieć, prezydent wyszedł z gabinetu i wrócił na przyjęcie.

ROZDZIAŁ 42

Wstrząs, z jakim koła ładującego samolotu zetknęły się z ziemią, wyrwał Pitta ze snu. Za oknami dwusilnikowego odrzutowca lotnictwa morskiego dostrzegł pierwsze pomarańczowe smugi zwiastujące nowy dzień.

Pęcherze powstałe na skutek tarcia pośladkami o dno wanny uniemożliwiały niemal siedzenie, spał więc w niewygodnej pozycji na boku. Czuł się doszczętnie rozbity i spragniony czegoś poza sokami owocowymi wlewany mu do żołądka siłą i w ogromnych ilościach przez nadgorliwego lekarza z łodzi podwodnej.

Zastanawiał się, co by zrobił, spotkawszy jeszcze kiedyś Fossa Gly'ego. Wszelkie wyrafinowane sposoby zemsty, jakie przychodziły mu do głowy, wydawały się niewystarczające. Prześladowała go myśl o cierpieniu, jakie Gly zadał Jessie, Giordinowi i Gunnowi. Własna ucieczka napawała go poczuciem winy.

Wizg odrzutowych silników ścichł i otworzono drzwi. Zszedł sztywno po schodach i trafił prosto w objęcia Sandeckera. Admirał rzadko wymieniał nawet uściski dłoni i ten niespodziewany przejaw uczucia zaskoczył Pitta.

- Chyba jednak jest trochę prawdy w tym, że złego diabli nie biorą - powiedział chrapliwie Sandecker, z trudem dobierając słowa. Wziął Pitta pod ramię i poprowadził do czekającego helikoptera.

- W centrali CIA w Langley czekają, żeby cię przesłuchać.

Pitt zatrzymał się raptownie.

- Oni żyją - oznajmił zwięźle.

- Żyją? - powtórzył Sandecker oszołomiony tą wiadomością. - Wszyscy?

- Są więzieni przez Rosjan i torturowani przez zdrajcę.

Na twarzy Sandeckera pojawiła się konsternacja.

- Wracasz z Kuby?

- Z jednej z zewnętrznych wysepek - odparł Pitt. - Musimy jak najszybciej dać Rosjanom znać o moim ocaleniu, żeby powstrzymać ich przed...

- Wolniej - przerwał mu Sandecker. - Nie nadążam za tobą. A jeszcze lepiej, to się wstrzymaj. Opowiesz wszystko, kiedy znajdziemy się w Langley. Coś mi się widzi, że wpadłeś do potoku i wyszedłeś z tego z wielkim pstrągiem w kieszeni.

Gdy przelatywali nad miastem, zaczęło padać. Pitt patrzył w zadumie przez przednią szybę na 219 zalesionych akrów otaczających niezgrabną budowlę z marmuru i betonu stanowiącą siedzibę amerykańskiej armii płaszcza i sztyletu. Oglądana z powietrza sprawiała wrażenie opuszczonej, na ziemi nie było widać ani jednego człowieka. Nawet parking zapełniony był tylko w jednej czwartej. Jedyнным ludzkim kształtem, jaki udało się wypatrzeć Pittowi, był pomnik najslawniejszego szpiega kraju, Nathana Hale'a, który popełnił ten błąd, że dał się złapać i został powieszony.

Na lądowisku helikopterów czekało dwóch wyższych funkcjonariuszy z parasolami.

Wszystkim spieszo było do budynku i kiedy się tam wreszcie znaleźli, Pitta z Sandeckerem wprowadzono od razu do wielkiej sali konferencyjnej. Zastali w niej sześciu mężczyzn i jedną kobietę. Do Pitta podszedł Martin Brogan, uściśnął mu dłoń i przedstawił go pozostałym. Pitt skłaniał tylko głowę i zaraz zapominał ich nazwiska.

- Słyszałem, że miał pan okropną podróż - powiedział Brogan.

- Nie życzyłbym takiej turystom - odparł Pitt.

- Podać panu coś do jedzenia albo do picia? - spytał łaskawie Brogan. - Filiżankę kawy, może śniadanie?

- Gdyby znalazła się butelka zimnego piwa...

- Oczywiście. - Brogan podniósł słuchawkę telefonu i coś do niej powiedział. - Będzie za minutkę.

Sala konferencyjna była urządzona skromnie jak na biurowe standardy. Ściany pomalowano na neutralny beżowy kolor, dywan był taki sam, a meble wyglądały tak, jakby pochodziły z przeceny. Nie ożywiały jej żadne obrazy, żadnego rodzaju dekoracje. Była to sala, której jedyną funkcją było służyć za miejsce pracy.

Pittowi wskazano krzesło w końcu stołu, ale podziękował. Wolał nie używać jeszcze tylnej części ciała do siadania. Spoczywały na nim oczy wszystkich obecnych osób i zaczynał się czuć jak mieszkaniec zoo w niedzielne popołudnie.

Brogan posłał mu zachęcający uśmiech.

- Proszę opowiedzieć nam od początku wszystko, co pan usłyszał i zaobserwował. Pańska relacja zostanie zarejestrowana i powielona. Potem przejdziemy do pytań i odpowiedzi. Zgoda?

Przyniesiono piwo. Pitt pociągnął zdrowy łyk z butelki, odprężył się i zaczął relacjonować wypadki od startu z Key West poczynając, a na radosnym widoku łodzi podwodnej wynurzającej się kilka jardów od jego tonącej wanny kończąc. Nie pominął niczego i nie spiesząc się wymienił każdy szczegół, choćby najdrobniejszy, jaki potrafił sobie przypomnieć. Zabrało mu to blisko półtorej godziny, ale słuchano go z uwagą, nie zadając pytań ani nie przerywając. Kiedy wreszcie skończył, opuścił ostrożnie swoje obolałe ciało na krzesło i spokojnie patrzył, jak reszta przegląda poczynione notatki.

Brogan zaproponował krótką przerwę na zapoznanie się z dostarczonymi zdjęciami lotniczymi wyspy Cayo Santa Maria, dossier Wielikowa i Gly'ego oraz z kopiami zapisu zeznań Pitta. Po czterdziestu pięciu minutach wertowania tych materiałów Brogan zagaił przesłuchanie.

- Na wyprawę sterowcem zabraliście broń. Dlaczego?

- Aproksymacja miejsca spoczynku *Cyklopa* wykazała, że znajduje się ono na kubańskich wodach terytorialnych. Uznaliśmy za stosowne zaopatrzyć się na wszelki wypadek w kuloodporną osłonę i wyrzutnię pocisków.

- Zdaje pan sobie, oczywiście, sprawę, że wasz nie usprawiedliwiony niczym atak na kubański śmigłowiec patrolowy stanowił pogwałcenie prawa międzynarodowego? - Pytanie to zadał mężczyzna, który, o ile pamięć Pitta nie myliła, pracował w departamencie stanu.

- Postępowałem zgodnie z ważniejszym prawem - odparł Pitt z sardonicznym uśmiechem.

- A cóż to za prawo, jeśli wolno wiedzieć?

- Pochodzi z Dzikiego Zachodu i nazywano go działaniem w obronie własnej. Kubańczycy pierwsi otworzyli ogień. I w mojej ocenie zanim Al Giordino wypalił, było tego z tysiąc pocisków.

Brogan uśmiechnął się. Pitt mu się podobał.

- W tej chwili najbardziej interesuje nas pański opis rosyjskich instalacji na wyspie. Twierdzi pan, że wyspa nie jest strzeżona.

- Jedyne strażnikami, których widziałem na powierzchni, byli ci przy bramie kompleksu. Dróg i plaż nikt nie patroluje. Jedyne zabezpieczeniem jest ogrodzenie pod napięciem.

- To by wyjaśniało, dlaczego fotografie robione w podczerwieni nie wykazały tam żadnych śladów ludzkiej działalności - powiedział analityk wpatrując się w zdjęcia.

- To niepodobne do Rosjan - mruknął inny funkcjonariusz CIA. - Prawie zawsze zdradzali swoje tajne bazy, przesadzając ze środkami bezpieczeństwa.

- Ale nie tym razem - powiedział Pitt. - Popadli w drugą skrajność i dobrze na tym wyszli. Generał Wielikow stwierdził, że to najważniejsza instalacja wojskowa poza granicami Związku Radzieckiego. I o ile się orientuję, aż do tej pory żadna z waszych agencji nie miała pojęcia o jej istnieniu.

- Przyznaję, być może daliśmy się nabrać - powiedział Brogan. - Zakładając, że to, co nam pan opisuje, istnieje naprawdę.

Pitt posłał Broganowi chłodne spojrzenie. Potem wstał z trudem z krzesła i ruszył do drzwi.

- W porządku, niech wam będzie. Kłamałem. Dziękuję za piwo.

- Wolno zapytać, dokąd pan idzie?

- Zwołać konferencję prasową - odparł Pitt, zwracając się bezpośrednio do Brogana. - Tracę z wami cenny czas. Im wcześniej podam moją ucieczkę do publicznej wiadomości i zażądani zwolnienia LeBaronów, Giordina i Gunna, tym szybciej Wielikow będzie zmuszony zaprzestać ich torturowania i odwołać egzekucję.

Zaległa pełna konsternacji cisza. Nikt z obecnych przy stole konferencyjnym nie mógł uwierzyć, że Pitt naprawdę wychodzi, nikt z wyjątkiem Sandeckera. Admirał zaś siedział uśmiechając się niczym właściciel wygrywającego klubu piłkarskiego.

- Lepiej się zdecyduj, do czego zmierzasz, Martin - powiedział. - Nadziałeś się przed chwilą na mistrzowską gardę i jeśli nikt na tej sali jeszcze na to nie wpadł, to radzę wam wszystkim zastosować inne podejście.

Brogan był może szorstkim egotystą, ale nie głupcem. Wstał szybko i zatrzymał Pitta w progu.

- Wybacz staremu Irlandczykowi, który sparzył się już więcej razy, niż potrafi zliczyć. Trzydzieści lat w tym interesie i nie ma siły, żeby nie stać się niewiernym Tomaszem. Pomóż nam, proszę, poskładać tę łamigłówkę. Potem zastanowimy się, co trzeba zrobić w sprawie twoich przyjaciół i LeBaronów.

- To będzie was kosztowało jeszcze jedno piwo - powiedział Pitt.

Brogan i reszta wybuchnęli śmiechem. Lody zostały przełamane i ze wszystkich stron stołu zaczęły padać pytania.

- Czy to Wielikow? - spytał analityk pokazując fotografię.

- Tak, to generał Piotr Wielikow. Jego angielski z amerykańskim akcentem był bez zarzutu. Zapomniałem powiedzieć, że miał moje dossier obejmujące również charakterystykę osobowości.

Sandecker spojrzał na Brogana.

- Wyglądałoby na to, że Sam Emmett ma kreta w swoim archiwum FBI.

Brogan uśmiechnął się sarkastycznie.

- Sam nie będzie zachwycony, kiedy się o tym dowie.

- Moglibyśmy napisać książkę o wyczynach Wielikowa - powiedział potężnie zbudowany mężczyzna

zwracając się do Pitta. - Chciałbym, żeby później scharakteryzował mi pan jego sposób bycia.

- Zrobię to z przyjemnością - obiecał Pitt.

- A to ten śledczy z ciężką łapą, Foss Gly?

Pitt skinieniem głowy potwierdził tożsamość człowieka z drugiej fotografii.

- Jest teraz o dobre dziesięć lat starszy niż na tym zdjęciu, ale to na pewno on.

- Amerykański najemnik urodzony w Arizonie - stwierdził analityk. - Wspomniał pan, że już kiedyś się spotkaliście?

- Tak, podczas akcji związanej z *Empress of Ireland*, kiedy szukaliśmy traktatu północnoamerykańskiego. Chyba powinien pan pamiętać.

Brogan skinął głową.

- Tak, pamiętam.

- Wracając do rozkładu instalacji - powiedziała kobieta. - Ile poziomów ma kompleks?

- Sądząc po wskaźniku pięter w windzie, pięć. Wszystkie poniżej poziomu gruntu.

- Orientuje się pan, na jakiej przestrzeni się rozciąga?

- Widziałem tylko swoją celę, korytarz, gabinet Wielikowa i garaż. Ach tak, i wejście do kwater mieszkalnych na górnym poziomie, urządzone w stylu hiszpańskiego zamku.

- Grubość ścian?

- Około dwóch stóp.

- Stan konstrukcji?

- Dobry. Żadnych przecieków ani rzucających się w oczy pęknięć betonu.

- Rodzaj pojazdów w garażu?

- Dwie wojskowe ciężarówki. Reszta to maszyny budowlane - buldożer, koparka przedsiębiorna i żuraw samojezdny.

Kobieta podniosła wzrok znad swych notatek.

- Pan wybaczy. Co to było to ostatnie?

- Żuraw samojezdny - wyjaśnił Pitt. - Taki specjalny pojazd z teleskopowym wysięgnikiem, na którego końcu znajduje się platforma do pracy na wysokościach. Korzystają z niego między innymi

ekipy przycinające konary drzew i monterzy linii telefonicznych.

- Przybliżone wymiary czaszy anteny?

- Trudno je było ocenić w ciemnościach. Mniej więcej trzysta jardów długości na dwieście szerokości. Do położenia roboczego unoszą ją hydrauliczne podnośniki tak zamaskowane, że wyglądają na palmy.

- Lity materiał, czy siatka?

- Siatka.

- Okablowanie, skrzynki rozdzielcze, przekaźniki?

- Nie zauważyłem niczego takiego, co wcale nie znaczy, że ich tam nie było.

Brogan przysłuchiwał się dotąd pytaniom i odpowiedziom nie wtrącając się. Teraz podniósł rękę i popatrzył na mężczyznę o wyglądzie intelektualisty, siedzącego w połowie długości stołu.

- Co ty na to, Charlie?

- Za mało szczegółów technicznych, by dokładnie określić przeznaczenie. Ale istnieją trzy możliwości. Możliwość pierwsza: może to być stacja nasłuchowa zdolna do przechwytywania sygnałów telefonicznych, radiowych i radarowych z całego obszaru Stanów Zjednoczonych. Możliwość druga: jest to potężne urządzenie zagłuszające, przeznaczone do wykorzystania w jakimś decydującym momencie, na przykład podczas pierwszego uderzenia nuklearnego, kiedy to, nagle uruchomione, mogłoby sparaliżować pracę wszystkich naszych podstawowych systemów łączności zarówno wojskowych, jak i komercyjnych. Możliwość trzecia: instalacja ta może być zdolna do emitowania fałszywych informacji i wprowadzania ich do naszych systemów łączności. Najbardziej niepokojące jest to, że antena tej wielkości i o tym stopniu skomplikowania może spełniać wszystkie te trzy funkcje naraz.

Mięśnie na twarzy Brogana stężały. Fakt zmontowania takich supertajnych urządzeń szpiegowskich niespełna dwieście mil od wybrzeży Stanów Zjednoczonych właściwie nie wstrząsnął szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Jeśli by założyć najgorszą ewentualność, to z czym mamy do czynienia?

- Obawiam się - odparł Charlie - że jest to potężne urządzenie skonstruowane z wykorzystaniem najnowszych osiągnięć elektroniki, zdolne do przechwytywania rozmów prowadzonych przez radio i przez telefon, by następnie, przy zastosowaniu techniki opóźniania sygnałów, dać czas skomputeryzowanemu syntezerowi mowy nowej generacji na podrobienie głosów rozmówców i wprowadzenie modyfikacji do toczącej się między nimi rozmowy. Nie uwierzyłbyś, jak można manipulować tym, co mówisz do kogoś przez telefon, i to tak, że się w ogóle nie zorientujesz. Prawdę mówiąc, Agencja Bezpieczeństwa Krajowego dysponuje sprzętem tego typu zainstalowanym na pokładzie pewnego statku.

- A więc Rosjanie zrównali się z nami - mruknął Brogan.

- Ich technika jest prawdopodobnie prymitywniejsza od naszej, ale wygląda na to, że posunęli się o krok dalej i zbudowali instalację na większą skalę.

Funkcjonariuszka wywiadu spojrzała na Pitta.

- Powiedział pan, że wyspa jest zaopatrywana przez łódź podwodną.

- Tak mi powiedział Raymond LeBaron - wyjaśnił Pitt. - A z tego, co zdążyłem zaobserwować, wzdłuż linii brzegowej nie ma żadnej przystani.

Sandecker bawił się cygarem, ale nie przypalał go. Teraz wycelował jeden koniec w Brogana.

- Wynika z tego, Martin, że Rosjanie zadali sobie wiele trudu, by zmylić nasze służby prowadzące obserwację Kuby.

- Podczas przesłuchań wyczuwało się wyraźnie ich strach przed wykryciem - powiedział Pitt. - Wielikow był przekonany, że jesteśmy agentami na waszych usługach.

- Właściwie to nie ma się co dziwić temu sukinsynowi - stwierdził Brogan. - Wasze pojawienie się musiało nim wstrząsnąć jak diabli.

- Panie Pitt, czy potrafiłby pan opisać ludzi obecnych na przyjęciu, na które trafiliście? - spytał mężczyzna w swetrze wyglądający na naukowca.

- Z grubsza licząc, było tam szesnaście kobiet i ze dwa tuziny mężczyzn.

- Powiedział pan "kobiet"?

- Tak.

- Jakiego rodzaju? - spytała kobieta.

- A jakie są rodzaje? - chciał wiedzieć Pitt.

- No, wie pan - wyjaśniła z powagą - żony, miłe samotne panie albo dziwki.

- Zdecydowanie nie były to dziwki. Większość nosiła mundury, prawdopodobnie należały do personelu Wielikowa. Te, które miały ślubne obrączki, były chyba żonami obecnych tam cywili i oficerów kubańskich.

- Co, u diabła, kombinuje ten Wielikow? - mruknął Brogan, nie kierując tego pytania do nikogo konkretnego. - Kubańczycy z żonami w ściśle tajnym obiekcie? Nie widzę w tym żadnego sensu.

Sandecker wpatrywał się w zadumie w blat stołu.

- To miałoby sens, gdyby Wielikow wykorzystywał Cayo Santa Maria do czegoś jeszcze poza prowadzeniem szpiegostwa elektronicznego.

- Co masz na myśli, Jim? - spytał Brogan.

- Wyspa stanowiłaby idealną bazę operacyjną dla obalenia rządu Castra.

Brogan spojrział na niego zaskoczony.

- Skąd o tym wiesz?

- Prezydent mi powiedział - odparł uroczyście Sandecker.

- Rozumiem. - Ale było jasne, że Brogan nie rozumie.

- Słuchajcie, zdaję sobie sprawę, że to wszystko jest bardzo ważne - zniecierpliwił się Pitt - ale z każdą minutą poświęconą na spekulacje Jessie, Al i Rudi są bliżsi śmierci. Oczekuję od was, że zrobicie wszystko, by ich ocalić. Możecie zacząć od powiadomienia Rosjan, że dowiedzieliście się ode mnie o ich pojmaniu.

Żądanie Pitta zostało przyjęte dziwnym milczeniem. Nie spojrział na niego nikt prócz Sandeckera. Jego wzroku unikali zwłaszcza ludzie z *CIA*.

- Pan wybacz - odezwał się Brogan - ale nie wydaje mi się, aby było to rozsądne posunięcie.

Oczy Sandeckera zapłonęły nagle gniewem.

- Uważaj, co mówisz, Martin. Wiem, że lęgnie ci się w głowie jakaś makiawelska intryga. Ale ostrzegam cię, przyjacielu. Będziesz miał do czynienia ze mną, a ja nie mam zamiaru dopuścić do tego, by moi przyjaciele zostali dosłownie rzućeni na pożarcie rekinom.

- Mamy do czynienia z grą o wysokie stawki - powiedział Brogan. - Trzymanie Wielikowa w niepewności może się okazać bardzo dla nas korzystne.

- I w imię jakichś szpiegowskich kombinacji mamy poświęcić życie kilku ludzi? - spytał cierpko Pitt.
- Nie ma mowy.

- Proszę mnie przez chwilę wysłuchać - powiedział Brogan. - Zgodzę się na rozpowszechnienie pogłoski, że wiemy, iż LeBaronowie i wasi ludzie z NUMA żyją. Następnie oskarżymy Kubańczyków o uwięzienie ich w Hawanie.

- Jak można liczyć na to, że Wielikow nabierze się na taką oczywistą lipę?

- Wcale nie oczekuję, że da się na to nabrać. Nie jest kretyńcem. Wyczuje podstęp i zacznie się zastanawiać, ile wiemy o jego wyspie. I tylko to mu pozostanie - zastanawiać się. Zamącimy mu jeszcze w głowie utrzymując, że wywnioskowaliśmy to na podstawie zdjęcia lotniczego, na którym widać wasz ponton wyrzucony przez morze na brzeg głównej wyspy Kuby. To powinno wpłynąć na

poprawę traktowania naszych jeńców i utrzymać Wielikowa w niepewności. *Piece de resistance* będzie znalezienie ciała Pitta przez bahamskiego rybaka.

- Więc co, u diabła, proponujesz? - zaperzył się Sandecker.

- Jeszcze tego do końca nie przemyślałem - przyznał Brogan. - Ale wszystko sprowadza się do przemycenia Pitta z powrotem na tę wyspę.

Zaraz po zakończeniu przesłuchiwania Pitta, Brogan wrócił do swego gabinetu i podniósł słuchawkę telefonu. Jak zwykle musiał się przebić przez szereg ogniw pośrednich, ale wreszcie usłyszał głos prezydenta.

- Tylko szybko, Martin, proszę cię. Właśnie wyjeżdżam do Camp David.

- Przed chwilą zakończyliśmy przesłuchiwanie Dirka Pitta.

- Dowiedzieliście się od niego czegoś istotnego?

- Pitt podarował nam przełomowe informacje wywiadowcze w sprawie, o której wcześniej rozmawialiśmy.

- Chodzi o kwaterę główną Wielikowa?

- Naprowadził nas prosto na główną żyłę.

- Dobra robota. Teraz twoi ludzie mogą rozpocząć infiltrację.

- Sądzę, że właściwsze byłoby trwalsze rozwiązanie.

- Chcesz zneutralizować zagrożenie ujawniając je prasie światowej?

- Nie. Zamierzam przystąpić do akcji i usunąć je raz na zawsze.

ROZDZIAŁ 43

Po dotarciu do Camp David prezydent zjadł lekkie śniadanie. Było ciepło jak na tę porę roku, w powietrzu unosiło się babie lato i prezydent miał na sobie bawełniane spodnie i sweter z krótkimi rękawami.

Siedział w przepastnym fotelu z kilkoma teczkami na akta na kolanach i studiował dane personalne członków Jądra”. Przeczytawszy materiał z ostatniej teczki zamknął oczy i zaczął obmyślać taktykę, zastanawiać się, co ma powiedzieć mężczyznom czekającym w głównej sali jadalnej.

Hagen, który wszedł tymczasem do gabinetu, nie odzywał się, dopóki prezydent nie otworzył oczu.

- Jeśli jesteś gotów, Vince, to my też.

Prezydent uniósł się powoli z fotela.

- No to zaczynajmy.

Czekali tak, jak to zaaranżował prezydent, siedząc wokół długiego stołu. Na sali nie było ani jednego strażnika, nie byli tu potrzebni. Wszyscy obecni zaliczali się do ludzi poważnych i nie musiał się z ich strony niczego obawiać. Wstali z szacunkiem na widok wchodzącego prezydenta, ale ten gestem ręki kazał im siadać.

Na spotkanie stawilo się ich ośmiu: generał Fisher, Booth, Mitchel i Busche siedzieli po jednej stronie stołu, Eriksen, senator Porter i Dan Fawcett naprzeciwko nich. Hudson zajął miejsce u szczytu stołu. Brakowało tylko Raymonda LeBarona.

Ubrani byli swobodnie i siedzieli rozluźnieni niczym golfiści w budynku klubowym, pewni siebie i nie okazujący po sobie najmniejszego śladu napięcia.

- Dzień dobry, panie prezydencie - powitał go radośnie senator Porter. - Czemu zawdzięczamy zaszczyt tego tajemniczego wezwania?

Prezydent odchrząknął.

- Wszyscy wiecie, po co was tu ściągnąłem, a więc nie bawmy się w podchody.

- Nie chce nam pan pogratulować? - spytał sarkastycznie Clyde Booth.

- Wyrazy uznania może będą, a może nie - odparł chłodno prezydent. - To będzie zależało.

- Od czego? - spytał bez ogródek Gunnar Eriksen.

- Sądzę, że prezydentowi chodzi o nasze błogosławieństwo względem podzielenia się z Rosjanami Księżycem - powiedział Hudson.

- O to i o przyznanie się do popełnienia masowego mordu.

Na sali zaległa cisza. Wszyscy zastygli na swoich miejscach wpatrując się tępo w prezydenta wzrokiem ryb wyjętych przed chwilą z zamrażarki.

Pierwszy przypuścił swój atak senator Porter, który najszybciej doszedł do siebie.

- Mowa o egzekucji w gangsterskim stylu czy o truciznie w herbacie, tak jak w *Arszeniku i starych koronkach!* Jeśli wolno zapytać, panie prezydencie, to o czym, u diabła, pan mówi?

- O błahej sprawie dziewięciu martwych kosmonautów sowieckich.

- Tych, którzy zginęli podczas pierwszych misji statków *Sojuz*? - spytał Dan Fawcett.

- Nie - odparł prezydent. - Mówię o dziewięciu Rosjanach zabitych w sondach księżycowych typu *Selenos*.

Hudson zacisnął dłonie na krawędzi stołu. Wyglądał jak porażony prądem elektrycznym.

- Sondy księżycowe *Selenos* były statkami bezzałogowymi.

- Rosjanie pragnęli, aby świat tak myślał, ale w rzeczywistości na każdej z nich znajdowało się trzech ludzi. Gdybyście wyrażali chęć obejrzenia zwłok, to jedną z załóg trzymamy w lodzie w kostnicy kliniki Waltera Reeda.

Żadnemu nie uśmiechało się tego oglądać. Uważali się za prawomyślnych obywateli pracujących dla dobra swego kraju. Ostatnia rzecz, jakiej by oczekiwali, to ujście w lustrze twarzy bezwzględnego mordercy. Że prezydent miał zebranych w rękę, to mało powiedziane.

Hagen siedział zafascynowany. To była dla niego rewelacja.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu - ciągnął prezydent - to pozwolę sobie opowiedzieć wam pewną historię mieszając fakty ze spekulacjami. Na początek powiem, że wy i wasi księżycowi koloniści dokonaliście rzeczy niewiarygodnej. Wyrażam swój podziw dla waszej wytrwałości i geniuszu, a w nadchodzących tygodniach uczyni to samo cały świat. Popełniliście jednak nieumyślnie straszny błąd, który może położyć się cieniem na waszym osiągnięciu.

W swoim zapale do wymachiwania flagą narodową zignorowaliście traktat o międzynarodowym prawie kosmicznym, którego postanowienia regulują działalność poszczególnych państw na Księżycu i który w roku 1984 ratyfikowały Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i trzy inne kraje. Następnie samowolnie ogłosiliście Księżyc swoją wyłączną własnością, mówiąc obrazowo, zatknęliście na nim tabliczkę z napisem: "Wstęp wzbroniony pod groźbą użycia broni". Z tym, że wy

zrealizowaliście tę groźbę w praktyce, niszcząc w jakiś sposób trzy sowieckie sondy księżycowe. Jedna z nich, *Selenos 4*, zdołała powrócić na Ziemię, wokół której orbitowała potem przez osiemnaście miesięcy, dopóki nie udało się przejąć nad nią kontroli. Sowieccy specjaliści od techniki kosmicznej próbowali ściągnąć ją na dół na stepy Kazachstanu, ale statek był uszkodzony i nie spadł tam, gdzie planowano, lecz u wybrzeży Kuby.

Pod pretekstem poszukiwania skarbów wysłaliście Raymonda LeBarona, żeby odszukał go, nim zrobią to Rosjanie. Trzeba było zatrzeć wymowne ślady uszkodzeń zadanych przez waszych kolonistów. Ale w wyścigu do strąconego statku zarówno Rosjan, jak i was uprzedzili Kubańczycy i wydobyli go. Wy nie wiedzieliście o tym aż do tej pory, a Rosjanie nadal nie wiedzą. Chyba że...

Prezydent zawiesił głos.

- Chyba że Raymond LeBaron wyznał na torturach wszystko, co wie o Kolonii Jersey. Mam pochodzące z wiarygodnych źródeł informacje, że został ujęty przez Kubańczyków i przekazany sowieckiemu wywiadowi wojskowemu GRU.

- Raymond nie będzie mówił - powiedział gniewnie Hudson.

- Może nie będzie musiał - odparował prezydent. - Przed kilkoma godzinami analitycy wywiadu, których poprosiłem o ponowne przestudiowanie sygnałów odbieranych przez Sowietów z sondy *Selenos 4*, kiedy ta orbitowała wokół Ziemi po powrocie z misji księżycowej, ustalili, że zebrane przez nią dane dotyczące powierzchni Księżyca przekazywane były do naziemnej stacji śledzącej zlokalizowanej na wyspie Sokotra niedaleko Jemenu. Czy rozumiecie, co to oznacza, panowie?

- Rozumiemy, do czego pan zmierza. - Powiedział to refleksyjnym tonem generał Fisher. - Sowietci mogą mieć namacalny dowód istnienia Kolonii Jersey.

- Tak, a w takim wypadku dodadzą prawdopodobnie dwa do dwóch i wyjdzie im, że z katastrofami sond serii *Selenos* mają coś wspólnego wasi ludzie przebywający tam na górze. Możecie być pewni, że zastosują środki odwetowe. Nie będzie żadnych rozmów gorącą linią, żadnych protestów przekazanych drogą dyplomatyczną, żadnych oskarżycielskich oświadczeń agencji TASS czy dziennika "Prawda". Bitwa o Księżyc pozostanie tajemnicą obu stron. Kiedy podsumujecie to wszystko, panowie, okaże się, że rozpętaliście konflikt, którego być może nie da się już powstrzymać.

Mężczyźni zasiadający wokół stołu byli wstrząśnięci i zmieszani, oszołomieni i źli. Ale ich złość wynikała tylko z faktu, że mając zbyt mało danych źle ocenili sytuację. Trzeba było kilku chwil, żeby dotarła do nich ta straszliwa prawda.

- Mówi pan o sowieckim odwecie, panie prezydencie - powiedział Fawcett. - Domyśla się pan, na czym on może polegać?

- Postawcie się w sytuacji Sowietów. Namierzili was na dobry tydzień przed wystrzeleniem stacji księżycowej *Selenos 8*. Gdybym był prezydentem Antonowem, poleciłbym zmianę charakteru misji z naukowego na militarny. Nie mam większych wątpliwości, że kiedy za dwadzieścia godzin od tej chwili *Selenos 8* wyląduje na Księżycu, specjalna grupa sowieckich komandosów otoczy i zaatakuje

Kolonie Jersey. Powiedźcie mi teraz, czy baza może obronić się sama?

Generał Fisher spojrział na Hudsona, po czym skierował wzrok na prezydenta i wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Nigdy nie opracowywaliśmy planów na wypadek zbrojnego napadu na kolonię. O ile sobie przypominam, na cały ich arsenał składają się dwie sztuki ręcznej broni palnej i wyrzutnia pocisków.

- A nawiasem mówiąc, kiedy wasi koloniści mieli opuścić Księżyc?

- Powinni stamtąd wystartować za mniej więcej trzydzieści sześć godzin - odparł Hudson.

- Ciekawi mnie - ciągnął prezydent - jak zamierzają wrócić poprzez atmosferę ziemską? Ich pojazd księżycowy z pewnością się do tego nie nadaje.

Hudson uśmiechnął się.

- Wylądują w porcie lotniczym Kennedy'ego na przylądku Canaveral na pokładzie wahadłowca.

Prezydent westchnął.

- *Gettysburg*. Że też o tym nie pomyślałem. Przycumował już do naszej stacji kosmicznej.

- Jego załoga nie została jeszcze poinstruowana - powiedział Steve Busche z NASA - ale kiedy otrząsną się z szoku spowodowanego widokiem pojawiającego się niespodziewanie pojazdu księżycowego z kolonistami na pokładzie, na pewno z ochotą zabiorą dodatkowych pasażerów.

Prezydent nie odzywał się przez chwilę i z nieprzeniknioną twarzą przesuwiał wzrokiem po członkach "jądra".

- Palące pytanie, przed którym nie możemy się uchylić, panowie, brzmi: czy koloniści z Jersey dożyją chwili, kiedy będą mogli wyruszyć w tę podróż.

ROZDZIAŁ 44

- Naprawdę uważa pan, że temu podoła? - spytał Pitt.

Pułkownik w stanie spoczynku Ramon Kleist z piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych zakołysał się na obcasach i podrapał swoją laseczką po swędzących plecach.

- O ile uda nam się wycofać w całości zabierając ze sobą swoich rannych i zabitych, to tak, sądzę, że misja może się zakończyć sukcesem.

- Coś tak skomplikowanego nie może udać się idealnie - zaproponował Pitt. - Zniszczenie kompleksu i anteny plus zabicie Wielikowa i całej jego załogi. Wygląda mi to na odgryzanie większego kęsa, niż jest się w stanie przeżuć.

- Pańskie obserwacje naoczego świadka i nasze zdjęcia lotnicze wykonane z niewykrywalnego dla radaru samolotu zwiadowczego potwierdzają słabość systemu obrony.

- Z ilu ludzi składa się pański zespół? - spytał Pitt.

- Z trzydziestu jeden, wliczając w to mnie.

- Rosjanie na pewno będą chcieli ustalić, kto im zdemolował tajną bazę. Poruszycie gniazdo szerszeni.

- To też uwzględniono w planie - powiedział beztrąsko Kleist i wyprężył pierś, co zagroziło rozerwaniem przodu kwiecistej koszuli. Pitt oceniał jego wiek na niespełna sześćdziesiąt lat. Kleist był Mulatem. Urodził się w Argentynie jako jedyne dziecko byłego oficera SS, który po wojnie uciekł z Niemiec, i córki liberyjskiego dyplomaty. Wysłany do prywatnej szkoły w Nowym Jorku postanowił rzucić naukę i zrobić karierę w marines.

- Wydawało mi się, że pomiędzy CIA a KGB istnieje niepisane porozumienie: nie będziemy wylapywać waszych agentów, jeśli wy dacie spokój naszym.

Pułkownik obrzucił Pitta niewinnym spojrzeniem.

- A skąd przyszło panu do głowy, że to nasza strona wykona tę brudną robotę?

Pitt nie odpowiedział i patrzył wyczekująco na Kleista.

- Misja zostanie przeprowadzona przez Kubańskie Specjalne Siły Bezpieczeństwa - wyjaśnił pułkownik. - Ich odpowiednik naszego SEALs. W rzeczywistości będą to doskonale wyszkoleni

uchodźcy kubańscy ubrani w autentyczne kubańskie wojskowe mundury polowe. Nawet bieliznę i skarpetki będą mieli ze standardowego wyposażenia kubańskiej armii. Broń, zegarki i pozostałe wyposażenie będzie produkcji sowieckiej. No i, żeby zachować pozory, desant wylądował po kubańskiej stronie wyspy,

- A więc wszystko zapięte na ostatni guzik.

- Staramy się działać skutecznie.

- Czy pan dowodzi misją?

Kleist uśmiechnął się.

- Nie, jestem już trochę za stary, żeby brnąć w wodach przyboju na plażę. Grupę szturmową poprowadzi major Angelo Quintana. Pozna go pan w naszym obozie w San Salvador. Ja będę stacjonował na naszym PTZSie.

- Może pan powtórzyć?

- Na Podwodnym Transportowcu do Zadań Specjalnych - odparł Kleist - jednostce pływającej zbudowanej specjalnie z myślą o tego rodzaju misjach. Większość ludzi nie ma pojęcia o jej istnieniu. Na pewno bardzo pana zainteresuje.

- Nie jestem kimś, kogo można by nazwać wyszkolonym do walki.

- Pańska rola sprowadza się tylko do wprowadzenia grupy na teren kompleksu i pokazania im wejścia przez wywietrznik do garażu. Potem może pan wracać na plażę i czekać tam w ukryciu do momentu zakończenia zadania.

- Ma pan jakiś harmonogram tego napadu?

Kleist zrobił zbolalą minę.

- Wolimy nazywać to tajną operacją.

- Przepraszam, nigdy nie czytałem waszych biurokratycznych podręczników semantyki.

- A co się tyczy pańskiego pytania, to lądowanie zaplanowano na drugą w nocy za cztery dni.

- Za cztery dni może być za późno, by ocalić moich przyjaciół.

Kleist sprawiał wrażenie szczerze zafrasowanego.

- Pracujemy już nad skróceniem tego terminu i ograniczeniem do niezbędnego minimum ćwiczeń przygotowawczych. Potrzeba nam czasu na przeanalizowanie wszelkich ewentualności, każdego nieprzewidzianego zwrotu sytuacji. Plan musi być dopracowany w najdrobniejszych szczegółach z wykorzystaniem pełnych możliwości naszych taktycznych programów komputerowych.

- A czy ten wasz plan uwzględnia ludzką ułomność?

Z twarzy Kleista spęłzył wyraz przyjaznego ciepła ustępując miejsca zimnemu, twardemu spojrzeniu.

- Jeśli jest w nim miejsce na czynnik ludzki, panie Pitt, to tym czynnikiem jest pan. Jeśli pominąć interwencję opatrności, to sukces lub porażka misji będą zależały głównie od pana.

Ludzie z CIA byli sumienni. Pitta przeprowadzano z pokoju do pokoju, z rozmowy na rozmowę z zegarmistrzowską precyzją. Plany zneutralizowania Cayo Santa Maria powstawały z szybkością rozprzestrzeniającego się pożaru prairii. Rozmowa z pułkownikiem Kleistem miała miejsce zaledwie trzy godziny po przesłuchaniu prowadzonym przez Martina Brogana. Pitt dochodził do wniosku, że ci ludzie muszą mieć tysiące gotowych planów inwazji na każdą wyspę wchodzącą w skład Karaibów, jak również na każdy kraj w Ameryce Środkowej i Południowej. Skomputeryzowane gry wojenne wygenerowały szereg wariantów. Rola ekspertów od tajnych operacji sprowadzała się tylko do wyboru programu, który najwierniej odzwierciedlał rzeczywistość, a następnie udoskonalenia go.

Pitt, zanim pozwolono mu zjeść lunch, przeszedł skrupulatne badania lekarskie. Lekarz stwierdził, że jest zdrowy, naszpikował go wzmacniającymi organizm witaminami i zalecił wczesne udanie się na spoczynek.

Wysoka kobieta o wydatnych kościach policzkowych i włosach splecionych w warkocz, przydzielona mu w charakterze niańki, przeprowadzała go o właściwej porze do właściwego pokoju. Przedstawiła się jako Alice - żadnych nazwisk, żadnych tytułów. Ubrana była w jasnobieżowy kostium i koronkową bluzkę. Pitt uznał, że jest raczej ładna i przyłapał się na wyobrażaniu sobie, jak by wyglądała w atłasowej pościeli.

- Pan Brogan załatwił panu posiłki w sali jadalnej kierownictwa - oznajmiła tonem przewodniczki turystycznej. - Pojedziemy tam windą.

Pitt nagle coś sobie przypomniał.

- Chciałbym skorzystać z telefonu.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego?

- Już pan zapomniiał, że ma pan uchodzić za martwego? - spytała trzeźwo Alice. - Jeden telefon do przyjaciela czy kochanki i pogrzebie pan całą operację.

- Bez przesady - odparł Pitt. - Potrzebne mi pewne informacje od zupełnie obcego człowieka. Podam mu fałszywe nazwisko.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Pittowi przyszła na myśl zarysowana płyta gramofonowa.

- Proszę mi udostępnić telefon albo zrobię coś paskudnego.

Spojrzała na niego pytająco.

- Na przykład co?

- Pójdę sobie do domu - odparł.

- To rozkazy pana Brogana. Nie wolno panu opuszczać budynku aż do chwili odlotu do naszego obozu w San Salvador. Znalazłby się pan w kaftanie bezpieczeństwa, zanim zdążyłby pan dotrzeć do drzwi frontowych.

Pitt wyłączył się i szli korytarzem w milczeniu. Nagle skręcił w drzwi, na których nie było żadnej wywieszki, i znalazł się w jakimś sekretariacie. Przeszedłszy spokojnie obok zaskoczonej sekretarki wkroczył do wewnętrznego gabinetu. Niski mężczyzna o krótko przystrzyżonych siwych włosach, z papierosem zwisającym z kącika ust, nanoszący dziwne znaczki na jakiś wykres, podniósł na niego zdumiony wzrok.

Pitt posłał mu najbardziej przekonujący spośród swych uśmiechów i spytał:

- Przepraszam, czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu?

- Jeżeli pan tu pracuje, to wie pan zapewne, że przepisy zabraniają korzystania z telefonu bez upoważnienia.

- No to mnie to nie dotyczy - odparł Pitt - bo ja tu nie pracuję.

- Nie uzyska pan wyjścia na zewnątrz - powiedział siwowłosy.

- No to niech pan patrzy.

Pitt podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę z centrali o połączenie z gabinetem Martina Brogana. Po kilku sekundach zgłosiła się osobista sekretarka Brogana.

- Nazywam się Dirk Pitt. Proszę powiadomić pana Brogana, że jeśli w ciągu jednej minuty nie uzyskam upoważnienia do korzystania z telefonu, urządzę straszną scenę.

- Kto mówi?

- Już się przedstawiłem.

Pitt zawziął się. Uporczywie odmawiał przyjęcia do wiadomości odpowiedzi negatywnej i po dwudziestu minutach przekleństw, krzyków i w ogóle nieprzyjemności Brogan wyraził wreszcie

zgodę pod warunkiem, że Alice będzie stała obok i kontrolowała jej przebieg.

Alice zaprowadziła go do małego, prywatnego gabinetu i wskazała na aparat.

- Niech pan poda telefonistce z centrali numer, pod który chce pan zatelefonować, a ona pana połączy.

- Pani telefonistko - powiedział Pitt do słuchawki - jak się pani nazywa?

- Jennie Murphy - odpowiedział seksowny głos.

- Jennie, zacznijmy od informacji w Baltimore. Chciałbym dostać numer firmy Weehawken Marine Products.

- Sekundkę. Zaraz się dowiem.

Jennie uzyskała numer od telefonistki z informacji w Baltimore i połączyła rozmowę.

Po wyjaśnieniu swojego problemu czterem różnym osobom, Pitt został w końcu połączony z przewodniczącym rady zakładowej - tytuł ten przysługiwał zazwyczaj starym kierownikom firm zepchniętym na boczny tor.

- Tu Bob Conde. Czym mogę służyć?

Pitt spojrzał na Alice i mrugnął do niej okiem.

- Panie Conde, moje nazwisko Jack Farmer. Pracuję w federalnym instytucie badań archeologicznych i we wraku zatopionego statku znalazłem hełm nurka, który mógłby pan może zidentyfikować.

- Zrobię, co będę mógł. Mój dziadek rozkręcał ten interes przed blisko osiemdziesięciu laty. Prowadzimy dosyć dokładne rejestry. Czy ma pan numer seryjny?

- Tak, był na tabliczce z danymi przymocowanej do napierśnika. - Pitt przymknął oczy i przywołał z pamięci obraz hełmu tkwiącego na głowie trupa z wraku *Cyklopa*. - Było tam napisane: "Weehawken Products, Inc., typ V, numer seryjny 5867C".

- Standardowy hełm nurka z wyposażenia marynarki wojennej - powiedział bez wahania Conde. - Wytwarzamy je od roku 1916. Wykonany jest z miedzi, a złączki ma z brązu. Posiada cztery uszczelnione szklane szybki.

- Sprzedawaliście je marynarce wojennej?

- Większość naszych zamówień pochodziła od marynarki wojennej. A właściwie to nadal tak jest. Typ V, model 1 jest wciąż używany w pewnego typu pracach podwodnych z dostarczaniem powietrza z powierzchni. Ale ten konkretny hełm sprzedany został klientowi cywilnemu.

- Proszę mi wybaczyć, ale po czym pan to poznaje?

- Po numerze seryjnym. Pięćdziesiąt osiem to rok produkcji. Sześćdziesiąt siedem to numer wyprodukowanej sztuki, a C oznacza, że wyrób był przeznaczony do sprzedaży komercyjnej. Innymi słowy, był to sześćdziesiąty siódmy hełm, jaki opuścił naszą fabrykę w roku 1958 i został sprzedany komercyjnej firmie ratownictwa morskiego.

- Czy jest jakaś szansa, żeby ustalić nabywcę?

- To może zająć dobre pół godziny. Nie zawracaliśmy sobie głowy ładowaniem starych rejestrów na dyski komputerowe. Lepiej będzie, jak do pana oddzwonię.

Alice potrząsnęła przecząco głową.

- Rząd stać jeszcze na opłacanie usług telefonicznych, panie Conde. Zaczekam na linii.

- Jak pan woli.

Conde był człowiekiem słownym. Odezwał się znowu po trzydziestu jeden minutach.

- Panie Farmer, jeden z naszych księgowych znalazł to, o co panu chodziło.

- Tak, słucham.

- Hełm wraz ze skafandrem i węzłem został sprzedany osobie prywatnej. Tak się składa, że ją znałem. Nazwisko brzmiało Hans Kronberg. Nurek ze starej szkoły. Zachłanny jak mało kto. Był kaleką, ale to nigdy nie powstrzymało go przed nurkowaniem.

- Wie pan, co się z nim stało?

- O ile sobie przypominam, nabył ten sprzęt z zamiarem nurkowania gdzieś w okolicach Kuby. Krąży pogłoski, że ta zachłanność w końcu go zgubiła.

- Nie pamięta pan, kto go zaangażował?

- Nie, to było tak dawno - odparł Conde. - Zdaje się, że znalazł sobie współnika z gotówką. Sprzęt do nurkowania Hansa był stary i zużyty. Jego skafander musiał mieć już z pięćdziesiąt lat. Żył z dnia na dzień i ledwo zarabiał na jakie takie utrzymanie. Aż tu pewnego dnia wchodzi do nas, kupuje nowiutki sprzęt i płaci gotówką.

- Bardzo dziękuję za pomoc - powiedział Pitt.

- Nie ma za co. Miło, że pan zadzwonił. Czy mogę spytać, gdzie pan znalazł ten hełm?

- W starym, stalowym wraku niedaleko Bahamów.

Conde przez chwilę w milczeniu trawił tę informację. Potem powiedział:

- A więc stary Hans został pod wodą. No cóż, chyba wolał to niż śmierć w łóżku.

- Czy przychodzi panu do głowy jeszcze ktoś, kto mógłby pamiętać Hansa?

- Raczej nie. Nie ma już żadnego ze starych nurków głębinowych. Jedyne trop, jaki mogę panu podać, to wdowa po Hansie. Wciąż jeszcze przysyła mi kartki z życzeniami na Boże Narodzenie. Mieszka w domu starców.

- Zna pan nazwę tego domu albo jego adres?

- To chyba w Leesburgu w Wirginii. Nazwy sobie nie przypominam. A ona ma na imię Hilda.

- Dziękuję panu, panie Conde. Bardzo mi pan pomógł.

- Jeśli będzie pan kiedyś w Baltimore, panie Farmer, niech pan wpadnie. Od kiedy moi synowie odsunęli mnie od steru firmy, mam wiele czasu na wspomnianie starych dobrych czasów.

- Z przyjemnością pana odwiedzę - obiecał Pitt. - Do widzenia.

Przerwał połączenie i wywołał ponownie Jennie Murphy. Poprosił ją, żeby dzwoniła do domów starców w okolicach Leesburga, dopóki nie znajdzie tego, w którym mieszka Hilda Kronberg.

- O co tutaj chodzi? - spytała Alice.

Pitt uśmiechnął się.

- Szukam Eldorado.

- Bardzo zabawne.

- Tak to już jest z ludźmi z CIA - powiedział Pitt. - Zupełnie nie znają się na żartach.

ROZDZIAŁ 45

Furgonetka marki Ford podjechała pod dom starców Winthrop Manor i zatrzymała się przed bocznym wejściem. Samochód pomalowany był na jasnoniebiesko, a jego burty zdobiły wzory kompozycji kwiatowych. Złote litery reklamowały Dom Kwiatów.

- Proszę się pospieszyć - powiedziała niecierpliwie Alice. - Za cztery godziny ma pan być w San Salvador.

- Postaram się - obiecał Pitt i wyskoczył z furgonetki. Miał na sobie uniform szofera i trzymał w ręku bukiet róż.

- Nadal pozostaje dla mnie tajemnicą, jak zdołał pan wymóc na panu Broganie zezwolenie na tę prywatną wycieczkę.

Pitt uśmiechnął się zatrząskując drzwiczki.

- To po prostu dar przekonywania.

Dom starców Winthrop Manor okazał się sielankowym miejscem dla spędzenia jesieni życia. Było tu dziewięciodołkowe pole golfowe, kryty basen pływacki, elegancka sala jadalna i ogrody z bujną roślinnością. Budynek główny zaprojektowano bardziej na wzór pięciogwiazdkowego hotelu niż szarego sanatorium.

To nie jakaś zdezelowana rudera dla zgrzybiałych nędzarzy, pomyślał Pitt, tylko dom w pierwszorzędnym stylu, przeznaczony dla zamożnych, posuniętych w latach obywateli. Zaczynał się zastanawiać, jak wdowę po nurku, który musiał się dobrze napocić, żeby związać koniec z końcem, stać było na dożywanie swych dni w takich luksusach.

Wszedł bocznymi drzwiami, zbliżył się do kontuaru recepcji i pokazał kwiaty.

- Mam przesyłkę dla pani Hildy Kronberg.

Recepcjonistka spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. Była dosyć atrakcyjną kobietą o ciemnorudych, długich i połyskliwych włosach oraz szaroniebieskich oczach osadzonych w pociągłej twarzy.

- Proszę zostawić kwiaty na kontuarze - powiedziała słodko. - Poproszę pielęgniarkę, żeby je zaniosiła.

- Muszę je dostarczyć do rąk własnych - powiedział Pitt. - Wraz z pewną informacją.

Recepcjonistka skinęła głową i wskazała boczne drzwi.

- Prawdopodobnie znajdzie pan panią Kronberg nad basenem. Niech pan nie oczekuje, że łatwo się z nią porozumie. Raz zachowuje się normalnie, kiedy indziej traci kontakt z rzeczywistością.

Pitt podziękował i z żalem odsunął od siebie pokusę umówienia się z dziewczyną na kolację. Minał drzwi i szedł w dół pochylnią. Basen znajdujący się w oszklonym pawilonie zaprojektowano na podobieństwo hawajskiego ogrodu z czarnymi, wulkanicznymi skałami i wodospadem.

Zapytawszy dwie starsze kobiety o Hildę Kronberg, znalazł ją siedzącą w fotelu na kółkach z oczyma utkwionymi w wodzie i zatopioną w myślach.

- Pani Kronberg?

Ośloniła oczy dłonią i spojrzała na niego.

- Tak?

- Nazywam się Dirk Pitt i chciałbym zadać pani kilka pytań.

- Pan Pitt, tak? - spytała cicho. Przyglądała się uważnie jego uniformowi i kwiatom. - Dlaczego chłopiec na posyłki z kwiaciarni chce zadawać mi pytania?

Pitt uśmiechnął się słysząc, że nazwano go "chłopcem" i wręczył jej bukiet.

- To dotyczy pani ostatniego męża, Hansa.

- Jest pan z nim? - zapytała podejrzliwie.

- Nie, jestem zupełnie sam.

Hilda była chorobliwie chuda, a skórę miała przezroczystą jak bibułka. Nosiła na twarzy gruby makijaż i miała fachowo ufarbowane włosy. Za jej pierścionki z diamentami można by nabyć małą flotyllę rollsroyce'ow. W rzeczywistości miała siedemdziesiąt pięć lat, lecz zdaniem Pitta wyglądała na młodszą o dobre piętnaście. Hilda Kronberg była kobietą czekającą na śmierć. Kiedy się jednak uśmiechnęła na dźwięk imienia męża, jej oczy zdawały się również uśmiechnąć.

- Wygląda pan za młodo, by znać Hansa - stwierdziła.

- Opowiedział mi o nim pan Conde z firmy Weehawken Marine.

- Bob Conde, no tak. Byli z Hansem dobrymi kumplami od pokera.

- Czy po jego śmierci wyszła pani ponownie za mąż?

- Tak, wyszłam.

- I mimo to nadal używa pani jego nazwiska?

- To długa historia, która by pana nie zainteresowała.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani Hansa?

- To był czwartek. Widziałam go, jak odpływał na parowcu *Monterey* do Hawany 10 grudnia 1958 roku. Hans zawsze gonił za szczęściem. Wyruszał razem ze swoim współnikiem na kolejną wyprawę po skarby. Przysięgał, iż tym razem znajdą tyle złota, że starczy na kupienie mi domu ze snów, takiego, o jakim zawsze marzyłam. Niestety, nigdy już nie wrócił.

- Przypomina sobie pani, kim był jego współnik?

Jej łagodne rysy nagle stężały.

- O co panu chodzi, panie Pitt? Kogo pan reprezentuje?

- Jestem dyrektorem od zadań specjalnych w Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych - odparł. - Podczas penetrowania wraku zatopionego statku o nazwie *Cyklop* natknąłem się na szczątki ludzkie, które w moim mniemaniu należą do pani męża.

- Znalazł pan Hansa? - zapytała zaskoczona.

- Nie dokonałem identyfikacji, ale ustalono, że hełm nurka, który miał na głowie denat, należał do niego.

- Hans był dobrym człowiekiem - powiedziała w zadumie. - Może nam się nie przelewało, ale dobrze nam było ze sobą, dopóki... dopóki nie zginął.

- Spytała mnie pani przed chwilą, czy jestem z nim? - przypomniał ostrożnie Pitt.

- Chodziło mi o dobrego ducha rodziny, panie Pitt. Dobrze tu o mnie dba. Czuwa nade mną. Nie uskarżam się. Ucieczka od świata jest moim własnym wyborem... - Głos się jej załamał, a wzrok zamglił.

Pitt musiał ją zatrzymać, zanim wycofa się do swojej muszli.

- Czy on powiedział pani, że Hans został zamordowany?

Oczy Hildy roziskrzyły się na chwilę, ale zaraz pokręciła w milczeniu głową.

Pitt ukląkł przy niej i wziął ją za rękę.

- Jego linka asekuracyjna i wąż doprowadzający powietrze zostały przecięte, kiedy pracował pod wodą.

Zadrżała wyraźnie.

- Dlaczego pan mi to mówi?

- Bo to prawda, pani Kronberg. Daję pani słowo. Ten, kto pracował z Hansem, zabił go, żeby zagarnąć przypadającą na niego część skarbu.

Hilda siedziała przez prawie minutę w przypominającym trans oszołomieniu.

- Pan wie o skarbie La Dorady - odezwała się w końcu.

- Tak - przyznał Pitt. - Wiem, jak znalazł się na *Cyklopie*. Wiem również, że wydobyli go Hans i jego wspólnik.

Hilda zaczęła się bawić jednym z diamentowych pierścionków zdobiących jej palce.

- W głębi ducha zawsze podejrzewałam, że Ray zabił Hansa.

Spóźniony wstrząs zrozumienia wypłynął z wolna na twarz Pitta. Odważył się zagrać w ciemno.

- Sądzi pani, że Hans został zamordowany przez Raya LeBarona?

Skinęła głową.

Ta rewelacja ogłuszyła Pitta i trzeba było kilku minut, żeby doszedł ponownie do siebie.

- Motywem był skarb? - spytał cicho.

- Nie, motywem byłam ja. - Potrząsnęła głową.

Pitt nic nie powiedział i czekał w milczeniu.

- Tak to już bywa - podjęła szeptem. - Byłam wtedy młoda i ładna. Uwierzy pan, że byłam kiedyś ładna, panie Pitt?

- Nadal jest pani ładna.

- Chyba powinien pan nosić okulary, ale dziękuję za komplement.

- Zachowała pani również bystrość umysłu.

Wskazała na główny budynek.

- Powiedzieli panu, że jestem trochę zbzikowana?

- Recepcjonistka sugerowała, że nie ma pani wszystkich w domu.

- To taki mały podstęp, który uwielbiam stosować. Trzyma wszystkich w niepewności. - Oczy roziskrzyły jej się na chwilę i znowu przyjęły ten mglisty wyraz. - Hans był sympatycznym mężczyzną, starszym ode mnie o siedemnaście lat. Moja miłość do niego mieszała się ze

współczuciem dla jego kalectwa. Byliśmy małżeństwem już od około trzech lat, kiedy pewnego wieczoru przyprowadził do domu na kolację Raya. Zostaliśmy wkrótce trójką przyjaciół, przy czym oni współpracowali na zasadach partnerstwa przy wydobywaniu dzieł sztuki z wraków statków i sprzedawaniu ich handlarzom antyków i kolekcjonerom marynistyki. Ray był wówczas przystojnym i zuchwałym mężczyzną i niebawem nawiązaliśmy ze sobą romans. - Zawahała się i spojrzała na Pitta. - Czy kiedykolwiek kochał pan głęboko dwie kobiety naraz, panie Pitt?

- Niestety, ominęło mnie to doświadczenie.

- Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że zupełnie nie poczuwałam się do winy. Zwodzenie Hansa stało się dla mnie podniecającą przygodą. Nie chodzi o to, że byłam osobą wyrachowaną. Ja po prostu nigdy przedtem nie oszukiwałam kogoś bliskiego sobie i nie wiedziałam, co to wyrzuty sumienia. Teraz dziękuję Bogu, że Hans przed śmiercią niczego nie odkrył.

- Czy może mi pani opowiedzieć o skarbie La Dorady?

- Po ukończeniu uniwersytetu Stanforda, Ray spędził kilka lat na włóczędze po dżunglach Brazylii w poszukiwaniu złota. On pierwszy usłyszał o La Doradzie od amerykańskiego mierniczego. Nie przypominam sobie szczegółów, ale był pewien, że skarb znajdował się na pokładzie zaginionego *Cyklopa*. Hans i Ray poświęcili dwa lata na przemierzanie wzdłuż i wszerz Karaibów z jakimś przyrzędem do wykrywania metali. W końcu odnaleźli wrak. Ray pożyczył od matki trochę pieniędzy na zakup sprzętu do nurkowania i małej łodzi ratowniczej. Pierwszy popłynął na Kubę, żeby założyć tam bazę wypadową, a tymczasem Hans kończył zleconą pracę u wybrzeży New Jersey.

- Czy po odplynięciu na pokładzie *Monterey* Hans pisał do pani albo telefonował?

- Zadzwoił raz z Kuby. Powiedział wtedy tylko, że nazajutrz wyruszają z Rayem na miejsce spoczynku wraka. Dwa tygodnie później Ray wrócił i powiadomił mnie, że Hans zmarł od kurczy spowodowanych zmianą ciśnienia i został pochowany w morzu.

- A skarb?

- Ray opisał go jako ogromną statwę ze złota - odparła. - Zdołał ją jakoś wciągnąć na łódź ratowniczą i dopłynąć z nią do Kuby.

Pitt wstał, przeciągnął się i ponownie ukląkł obok Hildy.

- Dziwne, że nie przywiózł ze sobą statuy z powrotem do Stanów.

- Bał się, że Brazylia, stan Floryda, władze federalne, inni łowcy skarbów i archeolodzy morscy skonfiskują La Doradę albo uwikłają go w gąszcz roszczeń sądowych i w rezultacie zostanie z pustymi rękami. Poza tym był jeszcze, ma się rozumieć, Państwowy Urząd Skarbowy. Ray nie widział sensu w wyrzucaniu milionów dolarów na podatki, skoro mógł się od nich wykręcić. Tak więc o odkryciu nie powiedział nikomu poza mną.

- Co się stało ze znaleziskiem?

- Ray wydułbał z serca statuy gigantyczny rubin, pocałował go na mniejsze kamienie i sprzedał po kawałku.
- I taki był początek finansowego imperium LeBarona - mruknął Pitt.
- Tak, ale zanim Ray zdążył odciąć szmaragdową głowę albo przetopić złoto, do władzy doszedł Castro i statwę trzeba było ukryć. Nigdy mi nie powiedział, gdzie ją schował.
- A zatem La Dorada nadal znajduje się w jakiejś kryjówce na Kubie.
- Jestem pewna, że Ray nigdy nie był w stanie tam wrócić, żeby ją odzyskać.
- Czy widywała pani potem LeBarona?
- Och, tak - odparła promiennie. - Byliśmy małżeństwem.
- To pani była pierwszą panią LeBaron? - spytał Pitt zaskoczony.
- Przez trzydzieści trzy lata.
- Ale w aktach zapisano, że imię pierwszej jego żony brzmiało Hillary i że zmarła jakiś czas temu.
- Ray, kiedy stał się bogaty, doszedł do wniosku, że imię Hillary bardziej mu się podoba niż Hilda. W jego mniemaniu miało większą klasę. Kiedy zachorowałam, moja śmierć stała się dla niego wygodnym wyjściem - rozwodzenie się z inwalidką uważał za coś niegodnego. Pochował więc Hillary LeBaron, podczas gdy Hilda Kronberg dogorywa tutaj.
- To przecież nieludzkie okrucieństwo.
- Mój mąż, choć nie znał litości, był jednak szczodry. Żyliśmy obok siebie. Aleja się nie uskarżam. Od czasu do czasu odwiedza mnie tu Jessie.
- Druga pani LeBaron?
- Bardzo czarująca i troskliwa osoba.
- Jak mogła za niego wyjść, skoro pani wciąż żyje?

Przez twarz Hildy Kronberg przemknął uśmiech.

- To był jedyny raz, kiedy Ray zrobił zły interes. Lekarze powiedzieli mu, że mam przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia. Ale wyprowadziłam wszystkich w pole i trzymam się już siedem lat.
- A więc będąc mordercą i złodziejem, stał się do tego bigamistą.

Hilda nie zaprotestowała.

- Ray jest skomplikowanym mężczyzną. Bierze o wiele więcej, niż daje.

- Będąc na pani miejscu przybiłbym go do najbliższego krzyża.

- Dla mnie już za późno, panie Pitt. - Spojrzała na niego z nagłym błyskiem w oku. - Ale pan może coś zrobić w moim imieniu.

- Proszę powiedzieć, co?

- Odnaleźć La Doradę - powiedziała gorączkowo. - Odnaleźć statwę i zwrócić ją światu. Dopilnować, aby została wystawiona na widok publiczny. To zabolaloby Raya bardziej, niż utrata magazynu. Ale co ważniejsze, pragnąłby tego Hans.

Pitt ujął w dłonie jej rękę i uścisnął ją.

- Hildo - powiedział cicho. - Stanę na głowie, żeby do tego doprowadzić.

ROZDZIAŁ 46

Hudson wyregulował ostrość obrazu i skinieniem głowy pozdrowił patrzącą z ekranu twarz.

- Eli, mam tu kogoś, kto chce z tobą porozmawiać.

- Widok nowych twarzy zawsze sprawiał mi przyjemność - odparł wesoło Steinmetz.

Miejsce Hudsona przed monitorem i kamerą wideo zajął inny mężczyzna. Zanim się odezwał, patrzył przez kilka chwil zafascynowany.

- Pan naprawdę jest na Księżycu? - spytał w końcu.

- Mogę zademonstrować - powiedział Steinmetz z pobłażliwym uśmiechem. Wyszedł poza kadr, zdjął ze statywu przenośną kamerę i nakierował ją na okno ze szkła kwarcowego, za którym rozciągał się księżycowy krajobraz. - Niestety nie mogę panu pokazać Ziemi, bo znajdujemy się nie po tej stronie globu.

- Wierzę panu.

Steinmetz umieścił kamerę z powrotem na statywie i ponownie zajął miejsce przed obiektywem. Pochylił się w przód i spojrzał uważniej w swój monitor. Uśmiech spłynął powoli z jego twarzy, a w oczach pojawił się wyraz zakłopotania.

- Czy jest pan tym, za kogo pana biorę?

- Poznaje mnie pan?

- Z wyglądu i głosu przypomina mi pan prezydenta.

Teraz uśmiechnął się prezydent.

- Nie byłem pewien, czy pan się zorientuje, bo kiedy opuszczał pan Ziemię, byłem jeszcze senatorem, a tam, gdzie pan się obecnie znajduje, gazety nie docierają.

- Kiedy Księżyc, krążąc po swojej orbicie wokół Ziemi, znajdzie się w odpowiednim położeniu, odbieramy sygnały z większości satelitów komunikacyjnych. Podczas ostatniej przerwy na odpoczynek załoga oglądała na kanale Home Box Office najnowszy film Paula Newmana. Jesteśmy spragnieni nowin i chłonimy jak gąbki wiadomości CNN.

- Kolonia Jersey jest nieprawdopodobnym osiągnięciem. Wdzięczny kraj pozostanie na zawsze

waszym dłużnikiem.

- Dziękuję, panie prezydencie, chociaż zaskakuje mnie to, że Leo wskoczył na działo i odtrąbił zwycięstwo, zanim zdążyliśmy wrócić na Ziemię. Nie tak to się miało odbyć.

- Opinia publiczna nie została jeszcze poinformowana - odparł prezydent. - Nie licząc pana i pańskich kolonistów, ja jestem jedyną osobą nie wchodzącą w skład "jądra", która wie o waszym istnieniu. No, może poza Rosjanami.

Steinmetz patrzył na niego zaskoczony poprzez 240000 mil kosmicznej pustki.

- Skąd Rosjanie mogliby się dowiedzieć o Kolonii Jersey?

Prezydent nie odpowiedział od razu i spojrzał na Hudsona, który stał poza kadrem. Hudson pokręcił głową.

- Przyczyniły się do tego sondy serii *Selenos* fotografujące powierzchnię Księżyca - wyjaśnił prezydent, pomijając milczeniem fakt, że sondy *Selenos* były statkami załogowymi. - Jednej udało się przesłać zebrane dane do radzieckiego centrum kontroli lotów. Sądzymy, że na ich podstawie wykryto istnienie Kolonii Jersey. Mamy również powody, by sądzić, że Rosjanie podejrzewają was o zniszczenie tych sond z powierzchni Księżyca.

W oczach Steinmetza pojawił się niepokój.

- Sądzi pan, że zamierzają nas zaatakować, tak?

- Tak, Eli, tak sądzę - przyznał prezydent. - Przed trzema godzinami na orbitę wokółksiężycową weszła sowiecka stacja księżycowa *Selenos* 8. Komputery NASA przewidują, że przeleci ona nad bezpiecznym miejscem lądowania na powierzchni i osiadzie po niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca w waszym bezpośrednim sąsiedztwie. To ryzykowne posunięcie, chyba że upatrzyli sobie konkretny cel.

- Kolonię Jersey?

- Ich ładownik księżycowy mieści siedem osób - ciągnął prezydent. - Do sterowania nim potrzebnych jest dwóch pilotów inżynierów. Czyli pozostaje pięciu ludzi do prowadzenia walki.

- Nas jest dziesięciu - powiedział Steinmetz. - Dwóch na jednego to niezła przewaga.

- Tak, tylko że za nimi przemawia siła ognia i wyszkolenie. Ci ludzie będą najgroźniejszym oddziałem dywersyjnym, jaki Rosjanie mogą wystawić do walki.

- Odmalowuje pan to w ponurych barwach, panie prezydencie - mruknął Steinmetz. - Co by nam pan proponował?

- Osiągnęliście o wiele więcej, niż mogliśmy tu wszyscy oczekiwać. Ale w tej konfrontacji nie macie większych szans. Zniszczcie kolonię i wycofajcie się, zanim poleje się krew. Pragnę, aby pan i

pańscy ludzie wrócili na Ziemię i odebrali należne im zaszczyty.

- Nie sądzę, aby zdawał pan sobie sprawę, ile wyrzeczeń nas kosztowało zbudowanie tego, co tu mamy.

- Czegokolwiek dokonaliście, nie jest to warte waszego życia.

- Od sześciu lat obcujemy tu wszyscy ze śmiercią na co dzień - powiedział powoli Steinmetz. - Kilka godzin więcej nie robi różnicy.

- Nie marnujcie ich na beznadziejną walkę - nie ustępował prezydent.

- Przykro mi, panie prezydencie, ale mówi pan do człowieka, który stracił tatę na małym spłachetku piasku noszącym nazwę Wake Island. Poddam pańską sugestię pod głosowanie, ale z góry znam wynik. Chłopaki, tak samo jak ja, nie będą chcieli stąd czmychać jak szczury z tonącego okrętu. Zostaniemy i będziemy walczyć.

Prezydent poczuł jednocześnie i dumę, i posmak porażki.

- Jaką bronią dysponujecie? - zapytał z rezygnacją.

- Nasz arsenał składa się z jednej używanej wyrzutni rakiet, do której amunicja została już wystrzelana do ostatniego pocisku, z karabinu M14 oraz z dwóch pistoletów sportowych kaliber dwadzieścia dwa. Zakupiliśmy je z myślą o serii eksperymentów grawitacyjnych.

- Stoicie na z góry straconej pozycji - stwierdził z przygnębieniem prezydent. - Czy nie zdajecie sobie z tego sprawy?

- Nie, sir. Zapomina pan o pewnej drobnostce.

- O jakiej drobnostce?

- Rosjanie są gośćmi.

- I co z tego?

- A to, że my gramy na własnym boisku - odparł chytrze Steinmetz. - A drużyna gospodarzy zawsze jest faworytem.

- Wylądowali! - krzyknął Siergiej Korniłow waląc pięścią w otwartą dłoń. - *Selenos 8* jest już na Księżycu!

Inżynierowie i technicy w sali na drugim poziomie sowieckiego centrum kontroli lotów kosmicznych,

poniżej pomieszczenia obserwacyjnego dla ważnych osobistości, poderwali się z miejsc wiwatując i klaszcząc jak opętani.

Prezydent Antonow wzniosł w górę kielich szampana.

- Za Związek Radziecki i partię.

Toast powtórzyli decydenci z Kremla i wyżsi oficerowie stłoczeni w pomieszczeniu.

- Za nasz pierwszy kamień milowy na drodze do podboju Marsa - zawołał generał Jesienin.

- Za Marsa, za Marsa - zakrzyknął chór donośnych głosów.

Antonow odstawił pusty kieliszek na tacę i poważniejąc nagle zwrócił się do Jesienina.

- Ile zajmie majorowi Lewczenko nawiązanie kontaktu wzrokowego z bazą księżycową? - zapytał.

- Uwzględniając czas potrzebny na zabezpieczenie systemów statku kosmicznego, na przeprowadzenie rozpoznania terenu i na rozmieszczenie ludzi na pozycjach, jakieś cztery godziny.

- Jak daleko jest z miejsca lądowania do bazy?

- *Selenos 8* została zaprogramowana na lądowanie za krótkim pasmem wzgórz, niecałe cztery kilometry od miejsca, w którym *Selenos 4* sfotografowała tamtych astronautów - wyrecytował generał.

- To całkiem blisko - powiedział Antonow. - Jeśli Amerykanie zauważyli nasze lądowanie, Lewczenko straci okazję do działania z zaskoczenia.

- Śmiem wątpić, czy Amerykanie zdają sobie sprawę, do czego zmierzamy.

- Nie żywi pan żadnych obaw?

- Na naszą korzyść przemawiają doświadczenie Lewczenki i przewaga w sile ognia, towarzyszu prezydencie. - Wyraz twarzy Jesienina przypominał minę trenera boksterskiego, który wystawił właśnie swego zawodnika do walki z jednorękim. - Amerykanie nie mają żadnych szans.

ROZDZIAŁ 47

Major Grigorij Lewczenko leżał rozciągnięty w miękkim, szarym pyłe Księżyca i patrzył na pustkowie roztaczające się pod czarnym jak smoła niebem. Ten cichy i widmowy krajobraz przypominał mu jałową afgańską pustynię. Kamieniste równiny i łagodne wzgórza w kształcie kopców nie sprzyjały orientacji w terenie. Kojarzyły mu się z wielkim gipsowym morzem, a jednak wydawały się dziwnie znajome.

Opanował falę mdłości. Jemu i wszystkim jego ludziom wciąż było niedobrze. Podczas podróży z Ziemi nie mieli czasu na trening w nieważkim środowisku, nie przechodzili trwającej zwykle tygodnie, a nawet miesiące zaprawy adaptacyjnej, której poddawano kosmonautów z misji *Sojuz*. Zorganizowano im tylko kilkugodzinny instruktaż obsługi systemów podtrzymania życia zainstalowanych w skafandrach kosmicznych, wysłuchali ogólnego wykładu na temat warunków, jakie zastaną na Księżycu i wzięli udział w odprawie, na której poinformowano ich o lokalizacji amerykańskiej kolonii.

Poczuł poprzez skafander kosmiczny czyjaś dłoń zaciskającą się na jego ramieniu. Nie oglądając się, rzucił do zainstalowanego w hełmie mikrofonu:

- Co tam macie?

Porucznik Dymitr Pietrow pokazał palcem na płaską dolinę rozciągającą się pomiędzy stromymi ścianami dwóch kraterów jakieś dwa tysiące metrów po lewej.

- Ślady pojazdów i stóp niknące w tamtym cieniu pod granią lewego krateru. Widzę tam trzy, może cztery małe budynki.

- To hermetyczne cieplarnie - stwierdził Lewczenko. Umieścił podobną do pudełka lornetę na małym trójnogu, a na płytę czołową swego hełmu nasunął szeroki wzornik. - Tak jakby para unosiła się ze ściany krateru. - Zamilkł, żeby wyregulować ostrość. - Tak, teraz wyraźnie widzę. Jest tam wejście w skałę, prawdopodobnie śluza powietrzna zapewniająca im dostęp do pomieszczeń wewnętrznych. Żadnego śladu życia. Na zewnątrz nikogo nie ma.

- Może siedzą ukryci w zasadzce - podpowiedział Pietrow.

- Gdzie tu się kryć? - spytał Lewczenko patrząc na rozciągający się dokoła otwarty krajobraz. - Te porozrzucane wszędzie głazy są za małe, żeby zasłonić człowieka. Brak jakichkolwiek uskoków w ukształtowaniu terenu, nic nie wskazuje na to, żeby prowadzono tu jakieś prace fortyfikacyjne. Astronauta w pękatym skafandrze kosmicznym odcinałby się od otoczenia jak śniegowy bałwan od hałdy żużla. Nie, musieli się zabarykadować w grocie.

- Niezbyt korzystna pozycja obronna. Tym lepiej dla nas.
- Ale mają wyrzutnię rakiet.
- Dużo nią nie zwojują przeciwko oddziałowi nacierającemu w szyku rozproszonym.
- Fakt, ale będziemy się posuwali otwartym terenem, a nie wiadomo, czy nie dysponują jeszcze jakąś inną bronią.
- Silnie skoncentrowany ogień na wejście do groty mógłby ich zmusić do kapitulacji - zasugerował Pietrow.
- Rozkazy zabraniają nam powodowania jakichkolwiek uszkodzeń obiektu bez wyraźnej potrzeby - powiedział Lewczenko. - Będziemy musieli podejść...
- Coś się tam rusza! - krzyknął Pietrow.

Lewczenko spojrział przez lornetę. Zza jednej z ciepłarni wyłonił się osobliwie wyglądający, otwarty wehikuł i skręcił w ich stronę. Przymocowana do anteny biała flaga zwisała smętnie we wszechobecnej próżni. Lewczenko nie spuszczał oka ze zbliżającego się pojazdu, dopóki ten nie zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów od ich stanowisk i na księżycowy grunt nie zeskoczyła z niego jakaś postać.

- Ciekawe - wymruczał w zadumie Lewczenko. - Amerykanie chcą pertraktować.
- To może być podstęp. Próba wybadania naszych sił.
- Nie wydaje mi się. Gdyby działali z pozycji siły, nie nawiązywaliby kontaktu pod białą flagą. Wywiad i systemy śledzące na Ziemi uprzedziły ich na pewno o naszym przybyciu i muszą sobie zdawać sprawę, że mamy przewagę w uzbrojeniu. Amerykanie to kapitaliści. Patrzą na wszystko z punktu widzenia interesu. Jeśli nie mają szans w walce, próbują pertraktować.
- Idziecie do niego? - spytał Pietrow.
- Pogadać nie zaszkodzi. Wygląda na nie uzbrojonego. Może da im się wyperswadować, żeby w zamian za darowanie życia przekazali nam nietkniętą kolonię.
- Rozkazy zakazują nam brania jeńców.
- Pamiętam - odparł w napięciu Lewczenko. - Będziemy się tym martwić, kiedy osiągniemy swój cel. Każcie ludziom trzymać Amerykanina na muszce. Jeśli podniosę lewą rękę, wydajcie rozkaz "pal".

Oddał swój automat Pietrowowi i bez wysiłku stanął w pozycji wyprostowanej. W skafandrze kosmicznym, z karabinem i tornistrem z systemami podtrzymania życia, w których skład wchodziły zespoły dozowników tlenu i wody chłodzącej, Lewczenko ważył o 194 funty więcej niż normalnie, czyli w sumie 360 ziemskich funtów. Ale w warunkach księżycowych wynosiło to zaledwie 60 funtów.

Ruszył w kierunku pojazdu księżycowego w sposób charakterystyczny dla przemieszczania się w warunkach małego przyciągania grawitacyjnego, czyli ni to idąc, ni to skacząc. Pokonawszy szybko dzielącą go od łoża odległość, zatrzymał się pięć metrów przed nim.

Amerykański kolonista księżycowy stał przez cały czas oparty niedbale o przednie koło. Teraz wyprostował się, przykląkł na jedno kolano i nagryzmolił jakąś liczbę w ołowianoszarym pyłe.

Lewczenko zrozumiał, o co mu chodzi, nastroił swój odbiornik radiowy na wskazaną częstotliwość i kiwnął głową.

- Słyszysz mnie? - spytał Amerykanin po rosyjsku straszliwie kalecząc wymowę.

- Znam angielski - odparł Lewczenko.

- To się dobrze składa. Oszczędzimy sobie ewentualnych przekłamań. Nazywam się Eli Steinmetz.

- To pan jest dowódcą bazy księżycowej Stanów Zjednoczonych?

- Tak, ja kieruję tą misją.

- Major Grigorij Lewczenko. Związek Radziecki.

Steinmetz zbliżył się i obaj mężczyźni uścisnęli sobie sztywno ręce.

- Wygląda na to, że mamy problem, majorze.

- I to taki, przed którym żaden z nas nie ucieknie.

- Pan może się odwrócić i odmaszerować z powrotem do swojego ładownika księżycowego - zauważył Steinmetz.

- Wykonuję rozkazy - oświadczył stanowczym tonem Lewczenko.

- Macie zaatakować i zająć moją kolonię?

- Tak.

- I nie ma żadnego wyjścia, które zapobiegłoby rozlewowi krwi?

- Możecie się poddać.

- Zabawne - powiedział Steinmetz. - To samo miałem właśnie zaproponować wam.

Lewczenko był pewien, że Steinmetz blefuje, ale wyraz twarzy Amerykanina skrytej za lustrzaną szybą hełmu pozostawał wielką niewiadomą. Lewczenko widział tam tylko swoje własne odbicie.

- Musi pan sobie zdawać sprawę, że pańscy ludzie nie są dla moich równorzędnym przeciwnikiem.

- W zaciętym, długotrwałym pojedynku ogniowym bylibyście górą - przyznał Steinmetz. - Ale możecie pozostawać tylko kilka godzin poza swoim ładownikiem, po czym musicie do niego wrócić, żeby uzupełnić zapas powietrza. O ile się nie mylę, dwie już wykorzystaliście.
- Pozostało nam wystarczająco dużo czasu, by wykonać zadanie - zapewnił go Lewczenko.
- Muszę pana ostrzec, majorze. Dysponujemy tajną bronią. Pan i pańscy ludzie zginiecie.
- Kiepski blef, panie Steinmetz. Spodziewałbym się czegoś oryginalniej szego po amerykańskim naukowcu.
- Inżynierze, a to różnica.
- Wszystko jedno - warknął zniecierpliwiony Lewczenko. Będąc żołnierzem, nie czuł się dobrze w szermierce na słowa. Rwał się do czynu. - Nie ma sensu przeciągać tej rozmowy. Postąpi pan rozsądnie usuwając stąd swych ludzi i przekazując nam obiekt. Gwarantuję wam bezpieczeństwo do chwili powrotu na Ziemię.
- Kłamie pan, majorze. Albo moich, albo pańskich ludzi czeka pewna śmierć. Nikt z pokonanych nie może ująć z życiem, bo powiedziałyby światu, co tu zaszło.
- Myli się pan, panie Steinmetz. Poddajcie się, a zostaniecie potraktowani przyzwoicie.
- Przykro mi, ale nic z tego.
- A więc nie możecie liczyć na łaskę.
- Wcale na nią nie liczyliśmy - odparł ponuro Steinmetz. - Wy tu jesteście stroną atakującą i na wasze barki spadnie wina za ofiary w ludziach.

Lewczenko zapalał gniewem.

- Będąc odpowiedzialnym za śmierć dziewięciu radzieckich kosmonautów, panie Steinmetz, nie ma pan chyba moralnego prawa pouczać mnie o wartości ludzkiego życia.

Lewczenko nie miał pewności, ale przysięgłby, że Steinmetza zamurowało. Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i oddalił długimi skokami. Obejrząwszy się przez ramię stwierdził, że Steinmetz stoi jeszcze kilka sekund, po czym wraca powoli do pojazdu księżycowego i odjeżdża w kierunku kolonii wlokąc za tylnymi kołami mały obłoczek szarego pyłu.

Lewczenko uśmiechnął się do siebie. Za dwie, najwyżej trzy, godziny jego misja zostanie uwieńczona sukcesem. Znalazłszy się ponownie między swymi ludźmi, powrócił do studiowania przez lornetę skalistego przedpola bazy księżycowej. W końcu, kiedy upewnił się już, że między głazami nie czają się żadni amerykańscy koloniści, wydał rozkaz rozwinięcia się w tyralierę i atakowania. Elitarny sowiecki oddział szturmowy ruszył do natarcia nieświadomy, że czeka nań pomysłowa pułapka zastawiona przez Steinmetza.

ROZDZIAŁ 48

Podjechawszy pod wejście do podziemnych pomieszczeń Kolonii Jersey, Steinmetz zaparkował bez pośpiechu pojazd księżycowy i powłócząc nogami wszedł wolnym krokiem do środka. Ociągał się celowo, czując niemal na sobie śledzący każdy jego ruch wzrok Lewczenki. Zniknąwszy wreszcie Rosjanom z pola widzenia zatrzymał się nie dochodząc do śluzy powietrznej i skręcił szybko w mały boczny tunel wznoszący się łagodnie w zboczu wnętrza krateru. Każdy jego krok wzbijał małe obłoczki pyłu, który wypełniał wąski korytarz, i żeby coś widzieć, Steinmetz musiał bez przerwy przecierać szybką hełmu.

W chwilę później, przeszedłszy pięćdziesiąt kroków, przykucnął i wczołgał się w otwór prowadzący na małą skalną półkę, zamaskowaną wielką płachtą szarego materiału, który zlewał się idealnie z otoczeniem. Z okiem przytkniętym do teleskopowego celownika karabinu leżała tam na brzuchu druga postać w skafandrze.

Willie Shea, geofizyk kolonii, nie zauważył Steinmetza, dopóki ten nie położył się ostrożnie obok niego.

- Nie wydaje mi się, żebyś wywarł na nich większe wrażenie - powiedział Shea ze zdecydowanie bostońskim akcentem. - Słowianie szykują się do ataku.

Ze swego górującego nad okolicą punktu obserwacyjnego Steinmetz widział wyraźnie majora Lewczenkę i jego ludzi zbliżających się doliną. Posuwali się jak myśliwi podchodzący ofiarę, nie próbując nawet szukać osłony pod ścianami krateru. Luźne łupki ilaste spowalniałyby tam zbytnio marsz. Zamiast tego poruszali się skokami po płaskim terenie zygzakując, padając co trzydzieści, czterdzieści stóp, wykorzystując w charakterze osłony każdy gład, każde zagłębienie gruntu. Trafienie któreś z tych kluczących, pozostających w ciągłym ruchu sylwetek graniczyłoby z cudem nawet dla wytrawnego strzelca wyborowego.

- Poślij kulkę pod nogi prowadzącego - powiedział Steinmetz. - Chcę zobaczyć ich reakcję.

- Jeśli prowadzą nasłuch na naszej częstotliwości, będziemy się zdradzali z każdym swoim zamiarem - zaprotestował Shea.

- Nie mają czasu na łowienie naszej częstotliwości. Zamknij się i strzelaj.

Shea wzruszył tkwiącymi w skafandrze ramionami, naprowadził krzyż nitek celownika na zadany punkt i nacisnął spust. Padł dziwnie bezgłośnie strzał, bo pod nieobecność powietrza na Księżycu nie ma medium, które przenosiłoby fale dźwiękowe.

Przed Lewczenką wykwitł obłoczek pyłu i major natychmiast przypadł do ziemi. To samo uczynili jego ludzie i patrząc przez celowniki swoich automatycznych karabinów czekali w napięciu na dalszy ogień. Ale nic takiego nie nastąpiło.

- Zauważył któryś, skąd to było? - zapytał Lewczenko.

Wszyscy zaprzeczyli.

- Wstrzeliwują się - stwierdził sierżant Iwan Ostrowski. Był zaprawionym w bojach weteranem wojny afgańskiej i jeszcze teraz nie mógł uwierzyć, że naprawdę bierze udział w walce na Księżycu.
- A co sądzicie o tych kolorowych kamieniach, majorze? - spytał pokazując palcem przed siebie.

Dopiero teraz Lewczenko dostrzegł w odległości dwustu metrów nierówny rząd kilku ochlapanych jasnopomarańczową farbą głazów ciągnący się w poprzek doliny.

- Wątpię, żeby to miało coś wspólnego z nami - zawyrokował. - Rozmieścili je tu prawdopodobnie na potrzeby jakiegoś eksperymentu.

- Mnie się wydaje, że strzał padł z góry - powiedział Pietrow.

Lewczenko wydobyl z torby na biodrze lornetę, zamocował ją na trójnogu i uważnie przeczesał wzrokiem zbocze i grań krateru. Słońce było oślepiająco białe, ale ponieważ z braku powietrza światło nie ulegało rozproszeniu, astronauta stojący w cieniu rzucanym przez formację skalną byłby niemal niewidoczny.

- Nic tam nie widać - stwierdził w końcu.

- Jeśli czekają, aż podejdziemy bliżej, to znaczy, że krucho u nich z amunicją i nie chcą jej marnować.

- Jeszcze trzysta metrów i przekonamy się, jakie przyjęcie nam zgotowali - mruknął Lewczenko. - Kiedy dotrzemy pod osłonę cieplarni, przestaniemy być widoczni z wejścia do groty. - Uniósł się na jedno kolano i zamachem ręki wskazał przed siebie. - Rozsypać się w tyralierę i zachować czujność.

Pięciu sowieckich żołnierzy poderwało się na nogi i ruszyło zakosami naprzód. Kiedy przecinali linię pomarańczowych głazów, kolejny pocisk wzbil przed nimi fontannę miążskiego piasku i wszyscy przypadli do podłoża nieruchomiejąc w łamanej linii białych postaci z połyskującymi w ostrych promieniach słońca szybkami hełmów.

Do cieplarni mieli jeszcze tylko sto metrów, lecz mdłości odbierały im energię. Byli twardzi jak wszyscy ludzie walki na świecie, ale tu mieli przeciwko sobie chorobę kosmiczną pospołu z obcym środowiskiem. Lewczenko ani przez chwilę nie wątpił, że dadzą z siebie wszystko, przekraczając nawet granice ludzkiej wytrzymałości. Jeśli jednak w ciągu najbliższej godziny nie utworzą sobie siłą drogi do życiodajnej atmosfery panującej w pomieszczeniach kolonii, niewielka pozostanie szansa na to, że zdążą wrócić do swojego ładownika, zanim siądą im systemy podtrzymania życia. Dał im minutę na odpoczynek, a w tym czasie sam jeszcze raz zlustrował dokładnie rozciągający się przed

nimi teren.

Lewczenko był starym wygą i miał nos do wykrywania pułapek. Trzy razy o włos uniknął śmierci w zasadzkach zastawianych przez afgańskich rebeliantów na rosyjskie patrole i nauczył się subtelnej sztuki nieomylnego wyczuwania niebezpieczeństwa.

Ostrzegawczy dzwonek w jego głowie włączyło nie to, co widziały jego oczy; uczyniło to coś, czego one nie mogły dostrzec. Te dwa strzały nie były przypadkowe. Dotarło teraz do niego, że oddano je celowo. Bezceremonialne ostrzeżenie? Nie, to musiało być coś innego. Może jakiś sygnał?

Irytował go ten hełm i krępujący ruchy skafander. Zateęsknił za wygodnym i praktycznym mundurem polowym, ale zdawał sobie w pełni sprawę, że nie ochroniłby go on przed prażącym słońcem i promieniowaniem kosmicznym. Chyba po raz czwarty w krtani napęczniała mu gęła i zakrzusiał się usiłując ją przełknąć.

Diabelna sytuacja, pomyślał ze złością. Niemu się tu nie podobało. Jego ludzie tkwili w otwartym terenie widoczni jak na dłoni. Wywiad nie dostarczył mu żadnych informacji o uzbrojeniu Amerykanów i wiedział tylko, że dysponują wyrzutnią rakiet. Aktualnie prowadzono do nich ogień z broni małokalibrowej. Lewczenko mógł się pocieszyć tylko tym, że koloniści strzelają prawdopodobnie z karabinu, a może nawet z pistoletu. Gdyby dysponowali w pełni automatyczną bronią palną, przygwoździliby Sowieców dobre sto metrów wcześniej. No, a ta wyrzutnia rakiet. Dlaczego do tej pory nie próbowali jej użyć? Na co czekają?

Najbardziej zastanawiał go całkowity brak jakiegokolwiek aktywności ze strony kolonistów. Ciepłarnie, sprzęt i małe moduły laboratoriów rozmieszczone wokół wejścia do groty sprawiały wrażenie opuszczonych.

- Nie otwierać ognia, dopóki nie znajdziemy się pod osłoną zabudowań - polecił - chyba że któryś dostrzeże cel. Tam przegrupujemy się i przypuszczymy szturm na główne pomieszczenia we wnętrzu wzgórza.

Lewczenko zaczął, aż ostatni z czterech jego podkomendnych potwierdzi przyjęcie rozkazu, po czym dał im znak, by ruszali naprzód.

Kapral Michaił Juszcuk leżał mniej więcej trzydzieści metrów za swoim sąsiadem z lewej. Powstał teraz i schylony ruszył biegiem na ugiętych nogach. Zdażył zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy poczuł użądlenie w nerkę. Zaraz potem ten nieoczekiwany napad przeszywającego bólu powtórzył się. Nie odwracając głowy sięgnął za siebie i przycisnął dłoń do pleców tuż pod tornistrem mieszczącym systemy podtrzymania życia. Na skutek rozhermetyzowania skafandra zaczął tracić ostrość widzenia i spazmatycznie łapać powietrze. Osunął się na kolana i patrzył tępo na swoją dłoń. Rękawica była umazana krwią, która w piekących promieniach słońca parowała już i krzepła.

Juszcuk próbował ostrzec Lewczenkę, ale nie zdołał dobyć z siebie głosu. Zwalił się w szary pył, a jego oczy zarejestrowały jak przez mgłę stojącą nad nim postać w dziwnym skafandrze kosmicznym, trzymającą nóż. Potem jego świat zalała czerń.

Steinmetz widział śmierć Juszcuka ze swojego punktu obserwacyjnego i rzucił serię krótkich komend do mikrofonu hełmowego nadajnika.

- Uważaj, Dawson, twój klient jest dziesięć stóp na lewo i ma jeszcze osiem do ciebie. Gallagher, facet mija cię z prawej w odległości dwudziestu stóp i posuwa się naprzód. Spokojnie, spokojnie, biegnie prosto na Dawsona. Teraz, bierzcie go.

W tym samym momencie ujrzał dwóch kolonistów materializujących się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i napadających na jednego z Sowietów, który został nieco z tyłu za towarzyszami.

- Dwóch załatwionych, zostało jeszcze trzech - mruknął pod nosem Steinmetz.

- Mam na muszce prowadzącego - odezwał się Shea. - Ale nie mogę gwarantować, że go trafię, jeżeli się chociaż na sekundkę nie zatrzyma.

- Daj jeszcze raz ognia pod nogi, tylko tym razem bliżej, żeby znowu ich przydusić do gruntu. Potem weź go na cel. Gdyby się połapał, co jest grane, mógłby położyć naszych chłopaków, zanim zdążylibyśmy go dopaść. Jeśli zacznie odwracać głowę, rozwal go.

Shea złożył się bez słowa do strzału i posłał ze swojego M14 następną kulkę, która uderzyła w podłoże niespełna trzy stopy przed butami sadzącego przodem człowieka.

- Cooper! Snyder! - warknął Steinmetz. - Wasz człowiek leży rozciągnięty na ziemi dwadzieścia stóp przed wami i po waszej lewej. Bierzcie go, teraz! - urwał, żeby poszukać wzrokiem drugiego z pozostałych Rosjan. - Russell i Perry, to samo odnosi się do was. Trzydzieści stóp na wprost. Już!

Trzeci członek sowieckiego oddziału dywersyjnego nawet nie wiedział, skąd spadł cios. Umarł przywierając wciąż do gruntu i szukając tam osłony. Ośmiu kolonistów zamykało teraz kleszcze podchodząc od tyłu dwóch Rosjan, których cała uwaga skupiała się na kolonii.

Wtem Steinmetz zamarł. Człowiek znajdujący się za dowódcą odwrócił się gwałtownie, kiedy Russell z Perrym rzucali się na niego, niczym ofensywni łącznicy szarżujący na quarterbacka.

Porucznik Pietrow dostrzegł zbliżające się doń z dwóch stron cienie, kiedy zrywał się na nogi, by pokonać ostatni odcinek dzielący go od ciepłarni. Obrócił się instynktownie gwałtownym ruchem korkociągu w momencie, kiedy Russell z Perrym już na niego wpadali. Jako opanowany profesjonalista powinien był z miejsca otworzyć ogień i położyć obydwu trupem. Zaskoczenie sprawiło jednak, że wahał się o ułamek sekundy za długo. Wyglądało to tak, jakby Amerykanie

powstali z powierzchni Księżyca niczym demony. Zdołał jednak oddać strzał trafiając jednego z napastników w ramię. Potem błysnął nóż.

Lewczenko patrzył przed siebie na kolonię. Nie zdawał sobie sprawy z trwającej za jego plecami rzezi, dopóki nie usłyszał stłumionego, ostrzegawczego okrzyku Piętrowa. Odwrócił się na pięcie i skamieniał ze zgrozy.

Czterech jego ludzi leżało bez życia w księżycowym pyłe. Okrężało go pospiesznie ośmiu Amerykanów, którzy wyrosli jak spod ziemi. Zaślepiiony gwałtownym przyływem niepoahamowanej nienawiści poderwał broń do strzału.

W tym samym momencie zatoczył się trafiony pociskiem w udo. Stężały z niespodziewanego bólu nacisnął spust. Z serii dwudziestu pocisków większość poszybowała w księżycową pustynię nie czyniąc nikomu krzywdy, ale dwa odnalazły drogę do celu. Jeden z kolonistów upadł na wznak, drugi osunął się na kolana chwytając za ramię.

I wtedy drugi pocisk rozerwał Lewczenkę szyję. Rosjanin zacisnął konwulsyjnie palec na spuście i nie celując już opróżnił magazynek do ostatniego naboju.

Z przekleństwem na ustach zwałił się bezwładnie na ziemię.

- Przekłęci Amerykanie! - wykrztusił w swoim hełmie. W jego przekonaniu byli diabłami i nie przestrzegali reguł gry. Leżał na plecach patrząc na stojące nad nim postacie bez twarzy.

Rozstąpiły się przepuszczając jeszcze jednego kolonistę, który zbliżył się do Lewczenki i przykląkł przy nim.

- Steinmetz? - wyszeptał zamierającym głosem Lewczenko. - Słyszysz mnie?

- Tak, jestem na twojej częstotliwości - odparł Steinmetz. - Słyszę cię.

- Ta twoja tajna broń... jak to urządziłeś, że twoi ludzie pojawili się znikąd?

Steinmetz zorientował się, że jeszcze kilka sekund, a będzie mówił do martwego.

- Za pomocą zwyczajnej łopaty - odparł. - Ponieważ wszyscy musimy tu nosić hermetyczne skafandry kosmiczne z samowystarczalnymi systemami podtrzymania życia, nie było żadnych problemów z zakopaniem ludzi w miękkim gruncie.

- Byli oznakowani pomarańczowymi kamieniami?

- Tak, siedząc na skalnej półce na zboczu krateru mogłem podpowiadać im, gdzie jesteście i kiedy mają wam spadać na plecy.

- Nie chcę być tutaj pochowany - wymamrotał Lewczenko. - Powiedz mojemu krajowi... przekaż im, żeby kiedyś sprowadzili nas stąd do domu.

Niewiele brakowało, a Steinmetz nie zdołałby się opanować.

- Wszyscy wróćcie do domu - powiedział. - Obiecuję.

W Rosji Jesienin odwrócił się z posępną twarzą do prezydenta Antenowa.

- Słyszeliście - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Zginęli.

- Zginęli - powtórzył mechanicznie Antonow. - Odnosiło się wrażenie, że ostatnie słowa Lewczenki wypowiedane są w tym pokoju.

- Rozmowy, które prowadzili, przekazywane były przez dwóch członków załogi z ładownika księżycowego bezpośrednio do naszego centrum łączności kosmicznej - pospieszył z wyjaśnieniem Korniłow.

Antonow odszedł od okna wychodzącego na salę kontroli lotów i opadł ciężko na fotel. W tym skurczonym i przybitym mężczyźnie nikt by nie poznał wielkiego chłopiska o posturze niedźwiedzia. Spuścił wzrok na swoje dłonie i potrząsnął ze smutkiem głową.

- Błędy w planowaniu - odezwał się cicho. - Wysłaliśmy majora Lewczenkę i jego ludzi na pewną śmierć nie zyskując nic w zamian.

- Nie było czasu na rzetelne zaplanowanie akcji - bąknął niepewnie Jesienin.

- Uczyniliśmy wszystko, co w tych okolicznościach było możliwe - dorzucił Korniłow. - Mimo wszystko pozostaje nam jeszcze satysfakcja ze spaceru pierwszych ludzi radzieckich po Księżycu.

- Jej blask już przygasł. - Głos Antenowa nosił brzemień klęski. - Nieprawdopodobny wyczyn Amerykanów przyćmi całą propagandową wartość naszego osiągnięcia.

- Może uda nam się jeszcze temu zapobiec - powiedział cierpko Jesienin.

Korniłow spojrzał na generała.

- Poprzez wysłanie lepiej przygotowanego oddziału dywersyjnego?

- Właśnie.

- Czy nie lepiej poczekać na ich powrót?

Antonow zwrócił na Korniłowa zaciekawiony wzrok.

- Co sugerujecie?

- Rozmawiałem z Władimirem Polewojem. Poinformował mnie, że centrum nasłuchowe GRU na Kubie przechwyciło i zidentyfikowało telewizyjne seanse łączności amerykańskiej bazy księżycowej z pewnym ośrodkiem pod Waszyngtonem. Polewoj wysłał przez kuriera kopie zarejestrowanych rozmów. Jedna z nich dotyczy planowanego terminu powrotu kolonistów z Księżyca na Ziemię.

- To oni wracają? - spytał Antonow.

- Tak - odparł Korniłow. - Polewoj donosi, że za czterdzieści sześć godzin mają się połączyć z amerykańską stacją orbitalną, a następnie wylądować w porcie kosmicznym Kennedy'ego na przylądku Canaveral na pokładzie wahadłowca *Gettysburg*.

Twarz Antenowa pojaśniała.

- A więc mamy jeszcze szansę ich powstrzymać?

Jesienin skinął głową.

- Można ich zlikwidować w otwartym kosmosie, zanim przycumują do stacji orbitalnej. Amerykanie nie wazyliby się podejmować środków odwetowych, gdybyśmy przedstawili im listę zbrodni, jakich się przeciwko nam dopuścili.

- Lepsza byłaby zemsta, która zarazem przyniesie korzyść - mruknął Korniłow.

- Korzyść?

Korniłow uśmiechnął się enigmatycznie,

- Amerykanie zwykli mawiać: "dopóki piłka w grze". To oni są teraz w defensywie. Prawdopodobnie w tej chwili Biały Dom i departament stanu przygotowują gorączkowo projekt odpowiedzi na naszą notę protestacyjną, której wystosowania się spodziewają. Proponuję zaniechanie przyjętej procedury i zachowanie milczenia. Nie zniżajmy się do roli poszkodowanego narodu. Zamiast tego mszcząc się stwórzmy jednocześnie fakt dokonany.

- Jakiego rodzaju fakt dokonany? - spytał Antonow prostując się z zainteresowaniem.

- Przechwycenie ogromnych ilości danych przewożonych przez powracających z Księżyca kolonistów.

- Ale jak tego dokonać? - zapytał Jesienin.

Uśmiech spłynął z twarzy Korniłowa ustępując wyrazowi śmiertelnej powagi.

- Zmusimy *Gettysburg* do awaryjnego lądowania na terytorium Kuby.

CZEŚĆ IV

Gettysburg

ROZDZIAŁ 49

3 listopada 1989 wyspa San Salvador

Pitt odchodził od zmysłów. Te dwa dni beczynności były najgorszą torturą, jaką do tej pory przechodził. Poza jedzeniem, gimnastykowaniem się i spaniem niewiele miał do roboty. Czekąło go jeszcze wezwanie do udziału w ćwiczeniach polowych. Co godzina wyklócał się z pułkownikiem Kleistem, który ze stoickim spokojem znosił jego napady wściekłości i z niezachwianą cierpliwością tłumaczył, że szkolona przezeń grupa Kubańskich Sił Specjalnych nie może zaatakować Cayo Santa Maria, dopóki on nie uzna, że są do tego gotowi. I nie ma mowy, nie będzie skracał programu przygotowań.

Pitt rozładowywał swoją frustrację długimi kursami wplaw do zewnętrznej rafy i wspinaczką na strome skalne urwisko, z którego szczytu roztaczał się widok na morze.

San Salvador, najmniejsza z wysp archipelagu bahamskiego, znana była starym wilkom morskim pod nazwą Wyspy Różg, upamiętniającej pewnego gorliwego bukaniera, który karał chłostą nie przestrzegających szabasu członków swojej załogi. Uważa się ją też za wyspę, na której Kolumb po raz pierwszy dotknął stopą lądu Nowego Świata. Widząc malowniczy port, błękitne wody jezior i bujną roślinność porastającą interior, niewielu turystów podziwiających piękno wyspy odgadłoby, że znajduje się tu ogromny wojskowy kompleks szkoleniowy i instalacja obserwacyjna obrony antyrakietowej.

CIA wykroiła sobie działkę w okolicach południowego cypla wyspy, na ustronnej plaży nazywanej Zatoką Francuską. Tego tajnego centrum szkoleniowego nie łączyła z miasteczkiem Cockburn i głównym portem lotniczym żadna droga. Na teren centrum dostać się było można tylko małą łodzią, po pokonaniu pasma przybrzeżnych raf, lub helikopterem.

Trzeciego dnia swojego pobytu na wyspie Pitt wstał tuż przed wschodem słońca, przepłynął forsownym tempem pół mili, po czym zawrócił w kierunku brzegu nurkując po drodze co rusz między formacje koralu. Dwie godziny później wyszedł z ciepłej wody, wyciągnął się na plaży i z przytłaczającym poczuciem bezsilności patrzył na morze w kierunku Kuby.

Poczuwszy na swym ciele jakiś cień, usiadł. Stał nad nim ciemnoskóry mężczyzna ubrany w luźną koszulę i szorty. Jego połyskliwe, czarne jak noc włosy dobrze harmonizowały z sumiastym wąsem. Z twarzy zoranej długotrwałym działaniem wiatru i słońca patrzyły smutne oczy i kiedy mężczyzna się uśmiechnął, jego usta ledwie drgnęły.

- Pan Pitt?

- Tak.

- Nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni, ale jestem major Angelo Quintana.

Pitt wstał i obaj mężczyźni podali sobie ręce.

- To pan dowodzi akcją?

Quintana skinął głową.

- Pułkownik Kleist skarży mi się, że nie daje mu pan żyć.

- Zostawiłem tam przyjaciół, którzy być może walczą o przetrwanie.

- Ja również zostawiłem na Kubie przyjaciół, panie Pitt. Z tym, że oni już przegrali swoją batalię o przetrwanie. Mój ojciec i brat umarli w więzieniu tylko dlatego, że jeden z członków komitetu blokowego oskarżył ich o działalność kontrrewolucyjną. Ten człowiek był winien mojej rodzinie pieniądze. Współczuję panu, ale nie ma pan monopolu na żalobę.

Pitt nie złożył kondolencji. Quintana zrobił na nim wrażenie człowieka, który nie rozpamiętuje nieszczęść, jakie go spotkały.

- Jeśli chodzi o moich przyjaciół, to jest jeszcze nadzieja - powiedział stanowczo. - Nie zamierzam zaprzestać nacisku.

Quintana uśmiechnął się do niego pogodnie. Podobało mu się to, co widzi w oczach Pitta. Na tym człowieku można było polegać w podbramkowej sytuacji. Twardziel, który nie wie, co to porażka.

- A więc to pan dokonał tej kuriozalnej ucieczki z warowni Wielikowa.

- Miałem kupę szczęścia.

- Jak oceniłby pan morale żołnierzy strzegących obiektu?

- Jeśli chodzi panu o stan psychiczny, to uważam, że byli śmiertelnie znudzeni. Rosjanie nie są przyzwyczajeni do wycieńczającej wilgotności tropików. Mówiąc krótko, sprawiali wrażenie rozleniwionych.

- Ilu ludzi patroluje wyspę?

- Ja nie widziałem żadnego.

- A ilu pełni służbę w wartowni przy bramie głównej?

- Tylko dwóch.

- Cwany gość z tego Wielikowa.

- Jak rozumiem, jego zabiegi, dzięki którym wyspa wygląda na bezludną, wzbudzają w panu uznanie.

- Owszem. Osobiście spodziewałbym się małej armii strażników i środków bezpieczeństwa stosowanych zazwyczaj przez Sowietów. Ale Wielikow nie rozumuje jak typowy Rosjanin. On planuje po amerykańsku, dopracowuje swoje koncepcje z japońską skrupulatnością i realizuje je sumiennie jak Niemiec. Ten człowiek to wytrawny dowódca.

- Tak słyszałem.

- Mówiono mi, że pan się z nim spotkał.

- Rozmawialiśmy dwukrotnie.

- Jakie wywarł na panu wrażenie?

- Czyta "Wall Street Journal".

- I to wszystko?

- Mówi po angielsku lepiej ode mnie. Paznokcie ma czyste i starannie przycięte. I jeśli przeczytał chociaż połowę książek i czasopism ze swojej biblioteki, to wie o Stanach Zjednoczonych więcej niż podatnicy i połowa polityków z Waszyngtonu.

- Jest pan prawdopodobnie jedynym pozostającym na wolności człowiekiem z Zachodu, który spotkał się z nim twarzą w twarz.

- Nie było to przyjemne, niech mi pan wierzy.

Quintana dłużej pracowicie w piasku wielkim palcem u nogi.

- Pozostawienie tak ważnej instalacji bez należytej ochrony jest otwartym zaproszeniem do infiltracji.

- Wcale nie, jeśli Wielikow wie, że nadchodzicie - zauważył Pitt.

- No dobrze, kubańska sieć radarowa i rosyjskie satelity szpiegowskie potrafią wykryć każdy samolot i łódź w promieniu pięćdziesięciu mil. Desant z powietrza czy lądowanie z morza byłyby w tej sytuacji niemożliwe. Ale podpływając do wyspy pod wodą można z łatwością prześlizgnąć się przez ich systemy ostrzegawcze. - Quintana urwał i uśmiechnął się. - W pana przypadku jednostka pływająca była zbyt mała, by zamaniestować się na ekranie radaru.

- Nie miałem pod ręką ani jednego jachtu oceanicznego - odparł żartobliwie Pitt, ale zaraz spoważniał. - Przeoczył pan coś.

- Co takiego?

- Inteligencję Wielikowa. Sam go pan nazwał wytrawnym do wódca. Nie wzniósł fortecy naszpikowanej minami lądowymi i betonowymi bunkrami z jednego prostego powodu: nie musiał. Pan i pułkownik Kleist jesteście niepoprawnymi optymistami, jeśli sądzicie, że łódź podwodna albo

wasz PTZS, czy jak go tam nazywacie, zdoła się przemknąć przez ich sieć ochronną.

Quintana ściągnął brwi.

- Niech pan mówi dalej.

- Podwodne czujniki - wyjaśnił Pitt. - Wielikow musiał otoczyć wyspę pierścieniem zainstalowanych na dnie morza czujników wykrywających ruchy mas wodnych spowodowane przez kadłub łodzi podwodnej oraz turbulencje wywołane jej śrubami.

- Konstrukcja naszego PTZS-a umożliwia mu przenikanie przez takie systemy.

- Nic z tego, jeśli inżynierowie Wielikowa upakowali zespoły czujnikowe co sto jardów. Nie przedostanie się przez nie nic prócz ławicy rybek. W garażu kompleksu widziałem ciężarówkę. Wielikow może przerzucić na plażę swoje siły bezpieczeństwa w ciągu dziesięciu minut od chwili wszczęcia alarmu i wybić do nogi waszych ludzi, zanim ci zdołają postawić stopę na suchym lądzie. Radzę panu i Kleistowi przeprogramować wasze elektroniczne gry wojenne.

Quintana nie odzywał się. Precyzyjny, obmyślony we wszystkich szczegółach plan lądowania zaczynał się rysować i kruszyć na jego oczach.

- Nasze komputery powinny wziąć to pod uwagę - powiedział z goryczą.

- Komputery nie wymyślą same czegoś, czego ich wcześniej nie nauczono - odparł filozoficznie Pitt.

- Zdaje pan sobie, naturalnie, sprawę, że w tej sytuacji musimy odwołać akcję. Bez elementu zaskoczenia nie ma najmniejszych szans na zniszczenie instalacji ani uwolnienie pani LeBaron i pozostałych.

- Nie zgadzam się z panem.

- Uważa się pan za mądrzejszego od naszych komputerów?

- Uciekłem z Cayo Santa Maria nie wykryty. Mogę w ten sam sposób przeprowadzić tam waszych ludzi.

- Ma pan na myśli flotyllę wanien? - spytał sarkastycznie Quintana.

- Przychodzi mi do głowy uwspółcześniona modyfikacja.

Quintana patrzył na Pitta zaintrygowany.

- Ma pan pomysł na dokonanie takiej sztuki?

- Z całą pewnością.

- A zmieścimy się w czasie?

- Tak.

- I są szansę powodzenia?

- Czułby się pan bezpieczniejszy, gdybym podpisał polisę ubezpieczeniową?

Quintana wyczuł w głosie Pitta niezachwianą pewność siebie. Odwrócił się i ruszył w stronę głównego obozu.

- Proszę za mną, panie Pitt. Czas, żebyśmy włączyli pana do przygotowań.

ROZDZIAŁ 50

Fidel Castro siedział przygarbiony w obrotowym fotelu wędkarskim i patrzył w zadumie na morze rozciągające się za rufą czterdziestostopowego motorowego jachtu kabinowego. Ramiona miał przypięte szelkami do oparcia, a w chronionych rękawiczkami dłoniach trzymał swobodnie masywną wędkę z włókna szklanego, której linka odwijając się z ogromnego kołowrotka niknęła w roziskrzonej kipieli znaczącej ślad łodzi. Delfina-przynętę porwała przepływająca barakuda, ale Castro zdawał się tego nie zauważyć. Nie w głowie mu były marliny.

Muskularne ciało, któremu zawdzięczał niegdyś tytuł “najlepszego szkolnego atlety Kuby”, straciło z wiekiem na jędrności i sflaczało. Kędzierzawe włosy i gęstą brodę przyprószyła siwizna, ale rewolucyjny ogień płonął wciąż w jego ciemnych oczach takim samym blaskiem, jak przed trzydziestu laty, kiedy schodził z gór Sierra Maestra.

Na cały jego przydziejek składały się baseballowa czapeczka, spodenki kąpielowe, stare trampki i okulary przeciwsłoneczne. Z kącika ust zwisał mu wygasły niedopałek hawańskiego cygara. Odwrócił się i osłonił dłonią oczy przed rażącym tropikalnym słońcem.

- A więc żądasz ode mnie, żebym zrezygnował z *intemacionalismol* - zapytał przekrzykując stłumiony ryk dwóch dieslowskich motorów. - Żebym wyrzekł się naszej polityki rozszerzania kubańskich wpływów poza granicami państwa? O to ci chodzi?

Raul Castro siedział na krzeselku pokładowym z butelką piwa.

- Nie wymagam od ciebie, żebyś się czegośkolwiek wyrzekł. Wystarczy, że opuścisz kurtynę na nasze zagraniczne zobowiązania.

- I to mówi mój brat, nieugięty rewolucjonista. Co spowodowało ten zwrot w zapatrywaniach?

- Czasy się zmieniają - odparł zwyczajnie Raul.

Młodszy brat Fidela, oficjalnie chłodny i pełen rezerwy, był w życiu prywatnym człowiekiem dowcipnym i sympatycznym. Włosy miał czarne, proste i krótko przycięte nad uszami. Patrzył na świat ciemnymi, paciorkowatymi oczyma osadzonymi w twarzy chochlika. Nad jego górną wargą ciągnął się cienki wąsik, którego spiczaste końce wypadały dokładnie nad kącikami ust.

Fidel otarł grzbietem dłoni kilka kropel potu, które zwisały mu z brwi.

- Nie mogę spisać na straty ogromnych nakładów finansowych i ofiary krwi naszych żołnierzy. A co z naszymi przyjaciółmi z Afryki i obu Ameryk? Wyprę się ich tak samo, jak naszych poległych w Afganistanie?

- Cena, jaką zapłaciła Kuba za swoje zaangażowanie w ruchy rewolucyjne, jest niewspółmierna do uzyskanych korzyści. Zaprzyjaźniliśmy się na przykład z Angolą i Etiopią. A co oni będą kiedykolwiek w stanie zaoferować nam w zamian? Obaj wiemy, że nic. Musimy to sobie powiedzieć, Fidelu, popełnialiśmy błędy. Będę pierwszym, który przyzna się do swoich. Na miłość boską, machnijmy ręką na poniesione straty i weźmy się znowu do budowania na Kubie wielkiego socjalistycznego społeczeństwa, które stanie się obiektem zazdrości całego trzeciego świata. Osiągniemy daleko więcej dając im dobry przykład, a nie krew naszych obywateli.

- Prosisz mnie, żebym wyrzekł się honoru i zasad.

Raul przewałkował zimną butelkę po spoconym czole.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, Fidelu. Zasad pozbyliśmy się, kiedy było to w najlepszym interesie rewolucji. Jeśli szybko nie wrzucimy wyższego biegu i nie ożywimy naszej pogrążającej się w stagnacji ekonomii, niezadowolenie ludu, pomimo całej miłości, jaką cię darzy, może przerodzić się w niepokoje społeczne.

Fidel wypluł niedopałek cygara przez nadburcie i skinął na marynarza, żeby podał mu następne.

- Kongres Stanów Zjednoczonych byłby zachwycony widokiem powstającego przeciwko mnie ludu.

- Kongresem nie przejmuję się nawet w połowie tak, jak Kreml - odparł Raul. - Gdzie tylko spojrzę, znajduję zdrajcę siedzącego w kieszeni Anionowa. Nie mogę już nawet ufać ludziom z mojej własnej ochrony.

- Kiedy dojdziemy z amerykańskim prezydentem do porozumienia w sprawie paktu Kuba - USA i podpiszemy go, nasi niestali w uczuciach sowieccy przyjaciele będą zmuszeni cofnąć macki, którymi nas omotali.

- W jaki sposób zamierzasz cokolwiek sfinalizować, skoro nie chcesz sięść z nim do negocjacji?

Fidel milczał przez chwilę przypalając świeże cygaro podane mu przez marynarza.

- Do tej pory przekonał się już pewnie, że moja propozycja zerwania więzi ze Związkiem Radzieckim w zamian za ekonomiczną pomoc Stanów Zjednoczonych jest szczerą. Jeśli będę zbyt natarczywie dopominał się spotkania, zyskam tylko tyle, że postawi niemożliwe do spełnienia warunki wstępne. Niech się trochę podenerwuje. Kiedy uświadomi sobie, że nie czołgam się pokornie na wycieraczkę Białego Domu, spuści z tonu.

- Prezydent będzie jeszcze bardziej skory do pójsicia na ustępstwa, kiedy dowie się o nieustannym przenikaniu fagasów Antonowa do naszych władz.

Fidel uniósł rękę z cygarem, by podkreślić wagę tego, co zamierzał powiedzieć.

- I dlatego siedzę spokojnie i przemykam na to oczy. Granie na amerykańskich obawach przed sowieckim pionkiem stojącym na czele marionetkowego reżimu wychodzi nam tylko na dobre.

Raul dopił piwo i wyrzucił butelkę za burzę.

- Tylko nie przeciągaj tego zbyt długo, wielki bracie, bo znajdziemy się bez pracy.

- Do tego nigdy nie dojdzie. - Twarz Fidela sfałdowała się w pewnym sobie uśmiechu. - Jestem klejem, który spaja rewolucję. Wystarczy, że stanę przed ludem i wskażę zdrajców oraz ujawnię sowiecki spisek zmierzający do pozbawienia nas naszej świętej suwerenności. A potem ty, jako przewodniczący Rady Ministrów, obwieścisz zerwanie wszystkich więzi łączących nas z Kremlem. Miejsce nastrojów niezadowolenia zajmie ogólnonarodowa euforia. Za jednym zamachem uwolnię się od ogromnego długu wobec Moskwy i zniósę embargo Stanów Zjednoczonych na handel z naszym krajem.

- Lepiej się z tym pośpiesz.

- Mam już stosowne przemówienie, które wygłoszę w Dniu Edukacji.

Raul sprawdził datę w kalendarzyku przymocowanym do paska zegarka.

- To za pięć dni.

- Idealna okazja.

- Czuję się pewniej, gdybyśmy mogli wysondować stosunek prezydenta Stanów Zjednoczonych do twojej propozycji.

- Skontaktowanie się z Białym Domem i zaaranżowanie spotkania z jego przedstawicielami podczas obchodów Dnia Edukacji pozostawiam tobie.

- Przed twoim przemówieniem, jak mniemam.

- Oczywiście.

- Nie kuszysz czasem losu, zwlekając do ostatniej chwili?

- On na to pójdzie - powiedział Fidel wydmuchując chmurę dymu. - Nie ma obawy. Mój podarunek z tych trzech sowieckich kosmonautów powinien być go przekonaniem co do szczerości moich intencji.

Raul skrzywił się.

- Całkiem możliwe, że już wysłał nam odpowiedź.

Fidel odwrócił się i spojrzał na niego bacznie.

- To dla mnie nowina.

- Nie powiadomiłem cię, bo to były tylko niepoparte faktami przypuszczenia - powiedział nerwowo Raul. - Ale podejrzewam, że prezydent użył sterowca LeBarona do przeszmuglowania swojego

wysłannika pod nosem sowieckiego wywiadu.

- Wielki Boże, czy nie zniszczył go czasem jeden z naszych patroli?

- To było głupie nieporozumienie - przyznał Raul. - Nikt się nie uratował.

Na twarzy Fidela odmalowała się konsternacja.

- To dlaczego departament stanu oskarża nas o uwięzienie pani LeBaron i jej załogi?

- Nie mam pojęcia.

- Dlaczego nie jestem w tej sprawie informowany na bieżąco?

- Dostałeś raport, ale nie przeczytałeś go, podobnie zresztą jak wielu innych. Stałeś się trudno dostępnym człowiekiem, wielki bracie. Twoja dbałość o szczegóły nie jest już taka, jak kiedyś.

Fidel ze złością zwinął żyłkę i odpiął się od fotela.

- Każ kapitanowi zawrócić do portu.

- Co chcesz zrobić?

Fidel uśmiechnął się szeroko nie wypuszczając cygara z ust.

- Zapolować na kaczki.

- Teraz? Dzisiaj?

- Jak tylko dobijemy do brzegu. Zamierzam zaszyć się w mojej wiejskiej posiadłości pod Hawanę, a ty jedziesz ze mną. Będziemy pozostawać tam w izolacji, nie przyjmując żadnych telefonów i z nikim się nie spotykając, aż do Dnia Edukacji.

- Sądzisz, że to rozsądne utrzymywać prezydenta w niepewności, zdejmować rękę z pulsu wobec wewnętrznego zagrożenia ze strony Sowietów?

- A co to może zaszkodzić? Trybiki amerykańskiej dyplomacji obracają się jak koła wozu drabiniastego. Jeśli jego wysłannik zginął, prezydent może tylko patrzeć w ścianę i czekać na moje następne posunięcie. Co się tyczy Rosjan, to nie jest to jeszcze dla nich odpowiednia okazja do wykonania swojego ruchu. - Szturchnął lekko Raula w ramię. - Głowa do góry, mały bracie. Co takiego mogłoby się wydarzyć w ciągu najbliższych pięciu dni, czego nie byłbym w stanie kontrolować?

Raulowi też nic takiego nie przychodziło właściwie do głowy. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego pod prażącym karaibskim słońcem jest mu zimno jak w grobie.

Minęła właśnie północ. Rozsunęły się drzwi windy i generał Wielikow wyprężył się na baczność obok biurka na widok wkraczającego do gabinetu Lwa Majskiego.

- Towarzysz Majski. Cóż za niespodzianka - powitał chłodno gościa.

- Witam, towarzyszu generale.

- Może coś orzeźwiającego?

- Szlag by trafił tę wilgoć - wysapał Majski ocierając dłonią czoło i spoglądając na mokre od potu palce. - Wypiłbym szklaneczkę zmrożonej wódki.

Wielikow podniósł słuchawkę telefonu i wydał zwięzłe polecenie. Potem wskazał gestem fotel.

- Proszę, rozgośćcie się.

Majski opadł ciężko na miękki, obity skórą fotel i ziewnął głośno.

- Przykro mi, że nie uprzedzono was o mojej wizycie, generale, ale towarzysz Polewoj uznał, że lepiej nie ryzykować przechwycenia i rozszyfrowania przez Amerykanów przeznaczonych dla was nowych instrukcji.

Wielikow wystudiowanym ruchem uniósł brwi i spojrzał ze zdziwieniem na Majskiego.

- Nowe instrukcje?

- Tak, dotyczą bardzo skomplikowanej operacji.

- Mam nadzieję, że szef KGB nie każe mi odstąpić od realizacji planu zamachu na Castra.

- Nic podobnego. Poproszono mnie nawet o poinformowanie was, że statki z ładunkami niezbędnymi do realizacji zadania zawiną do portu w Hawanie na pół dnia przed zaplanowanym terminem.

Wielikow skinął z zadowoleniem głową.

- Potrafimy wykorzystać ten dodatkowy czas.

- Czy natknęliście się na jakieś trudności? - spytał Majski.

- Wszystko przebiega bez zakłóceń.

- Wszystko? - powtórzył za nim Majski. - Towarzysz Polewoj nie był zachwycony wiadomością o ucieczce jednego z waszych więźniów.

- Nie ma powodu do niepokoju. Jakiś rybak znalazł w swoich sieciach ciało zbiega. Tajemnica tej instalacji jest nadal bezpieczna.

- A co z pozostałymi? Wiecie pewnie, że departament stanu żąda od władz kubańskich ich uwolnienia.

- To blef grubymi nićmi szyty - odparł Wielikow. - CIA nie ma ani strzępka dowodu na to, że oni jeszcze żyją. Zresztą Waszyngton zwraca się z żądaniem ich zwolnienia do Kubańczyków, nie do nas, a to potwierdza fakt, że strzelają w ciemno.

- Pozostaje pytanie, do czego strzelają. - Majski zawiesił głos i z kieszonki na piersi wydobył platynową papierośnicę. Przypalił sobie długiego papierosa bez filtra i wydmuchnął dym w sufit. - Nic nie może opóźnić *Rumu z Colą*.

- Castro będzie przemawiał, tak jak obiecał.

- Jesteście pewni, że nie rozmyśli się w ostatniej chwili?

- Jeśli historia się powtarza, to stoimy na pewnym gruncie. *El jefe maxima*, wielki szef, nigdy jeszcze nie zaprzepaścił okazji do wygłoszenia przemówienia.

- Chyba żeby jakiś wypadek, choroba albo huragan.

- Na pewne rzeczy człowiek nie ma wpływu, ale ja nie zamierzam przegrać.

Do gabinetu wszedł umundurowany strażnik z butelką schłodzonej wódki w kubelku z lodem i ze szklanką.

- Tylko jedna szklaneczka, generale? Nie napijecie się ze mną?

- Może później brandy.

Wielikow czekał cierpliwie, dopóki Majski nie opróżnił jednej trzeciej butelki, i dopiero wtedy odważył się na skok na głęboką wodę.

- Czy mogę prosić zastępcę szefa Zarządu Głównego, by oświecił mnie co do istoty tej nowej operacji?

- Naturalnie - odparł przyjacielsko Majski. - Wykorzystując wszelkie elektroniczne środki, jakimi tu dysponujecie, macie zmusić wahadłowiec Stanów Zjednoczonych do lądowania na terytorium Kuby.

- Czy ja dobrze usłyszałem? - spytał zdębiały Wielikow.

- Na osobisty rozkaz towarzysza prezydenta Antenowa macie się włamać do skomputeryzowanego systemu pokładowych czujników kontroli lotu wahadłowca *Gettysburg* gdzieś na trasie między punktem jego wejścia w atmosferę ziemską a podejściem do przylądka Canaveral i tak nim pokierować, żeby wylądował na wojskowym lotnisku w Santa Clara.

Zbity z tropu Wielikow spoglądał spod ściągniętych brwi na zastępcę szefa KGB Majskiego jak na wariata, wcale się z tym nie kryjąc.

- Jeśli wolno wyrazić mi swoją opinię, jest to najbardziej szalony pomysł, jaki kiedykolwiek wyklął się w zarządzie.

- Tak czy inaczej, nasi specjaliści od lotów kosmicznych rozpracowali już szczegółowo plan operacji - powiedział beztrząsowo Majski. Postawił stopę na wielkiej urzędniczej teczce. - Tutaj są wszystkie dane do zaprogramowania waszych komputerów i przeszkolenia personelu.

- Moi ludzie to inżynierowie łączności. - Wielikow wyglądał na zupełnie zdezorientowanego i to samo przebiegało z jego głosu. - Nic nie wiedzą o dynamice lotów kosmicznych.

- I nie muszą. Wyręczą ich komputery. Najważniejsze jest to, czy sprzęt, jaki macie tu, na wyspie, jest w stanie zagłuszyć Centrum Kontroli Lotów w Houston i przejąć sterowanie wahadłowcem.

- Kiedy ta akcja ma się odbyć?

- Zgodnie z komunikatem NASA, *Gettysburg* rozpoczyna manewr wchodzenia w atmosferę ziemską za mniej więcej dwadzieścia dziewięć godzin.

Wielikow kiwnął tylko głową. Szok szybko minął i generał odzyskał panowanie nad sobą; znowu był beznamiętnym, kalkulującym na chłodno profesjonalistą w każdym calu.

- Możecie, oczywiście, liczyć na moją pełną współpracę, ale nie waham się zauważyć, że i cudu będzie mało, żeby udało się coś tak nieprawdopodobnego.

Majski wychylił kolejną szklankę wódki i zbył pesymizm Wielikowa machnięciem ręki.

- Wiary, generale, i to nie w cuda, tylko w mózgi radzieckich naukowców i inżynierów. Właśnie one sprowadzą najnowocześniejszy pojazd kosmiczny Ameryki na pas startowy na Kubie.

Giordino gapił się z niedowierzaniem na talerz spoczywający na jego kolanach.

- Najpierw karmili nas pomyjami, a teraz podają stek z krzyżówki i jajecznicę. Nie ufam tym sukinsynom. Pewnie naszpikowali to arsenikiem.

- Tani chwyt, żeby nas trochę wzmocnić przed następną rundą łomotu - mruknął Gunn, zachłannie wbijając zęby w mięso. - Ale ja to zignoruję.

- To już trzeci dzień jak się nas nie czepia ten troglodyta z izolatki. Coś tu cuchnie.

- Wolałbyś, żeby ci złamał jeszcze jedno żebro? - wymamrotał Gunn pomiędzy kolejnymi kęsami.

Pogmerawszy widelcem w jajkach, Giordino przemógł się i spróbował.

- Pewnie tuczą nas na rzeź.
- W Bogu pokładam nadzieję, że i Jessie dali spokój.
- Takich sadystów jak Gly rajcuje bicie kobiet.
- Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego Wielikow nigdy nie jest obecny przy bokerskich popisach Gly'ego?
- To typowe dla Rosjan zostawiać brudną robotę obcokrajowcom. A może nie znosi widoku krwi? Skąd mam wiedzieć?

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do celi wparował Foss Gly. Jego grube, wydatne wargi rozchyłały się w ironicznym uśmiechu, a źrenice były głębokie, czarne i puste.

- Obiadek smakuje, panowie?
- Zapomnieliście o winie - stwierdził z namaszczaniem Giordino. - A poza tym, ja wolę stek średnio wysmażony.

Gly zbliżył się i zanim Giordino zdołał odgadnąć jego intencje, z zamaszystego bekhendu walnął go pięścią w klatkę piersiową.

Giordino stracił oddech, a całym ciałem wstrząsnął konwulsyjny spazm. Twarz mu spopieliała, po porośniętej szczecinę brodzie, z miejsca, gdzie przygryzł sobie zębami dolną wargę, ciekła krew, a mimo to, nie do wiary, uśmiechał się krzywo.

Leżący na pryczy Gunn uniósł się na łokciu i cisnął talerzem z resztkami posiłku w głowę Gly'ego. Jajka rozprysnęły się oprawcy na policzku, a nie dojedzona porcja mięsa trafiła w dziesiątkę, czyli w usta.

- Durna reakcja - wycedził nienawistnym szeptem Gly. - I pożałujesz jej. - Schylił się, chwycił Gunna za nadwerżoną kostkę i przekręcił ją gwałtownym ruchem.

Gunn zacisnął pięści, oczy zasły mu z bólu łzami, ale nawet nie pisnął. Gly cofnął się i popatrzył na niego z wyraźną fascynacją.

- Twardy jesteś, bardzo twardy jak na takiego konusa.
- Spływaj do swojego rynsztoka, szumowino - jęknął Giordino nadal nie mogąc złapać tchu.
- Oj, uparciuszek, uparciuszek - westchnął refleksyjnie Gly. Na krótką chwilę w jego oczach pojawiła się melancholia, ale zaraz wyparła ją stamtąd znowu czarna pustka, tak zimna i diabelska, jak u kamiennej statuy. - A, właśnie, byłbym przez was zapomniany, przyszedłem podzielić się z wami najświeższymi wieściami o waszym przyjacielu Dirku Pitcie.

- Co z nim?

- Próbował uciekać i utonął.

- Łżesz - powiedział Gunn.

- Znalazł go bahamski rybak. Konsulat amerykański zidentyfikował już zwłoki, a raczej to, co z nich zostało, kiedy rekiny już się nażarły. - Gly otarł twarz z jajek, stracił stek z talerza Giordina na podłogę i rozgniół go buciorem. - *Bon appetit*, panowie.

Wyszedł z celi i zamknął za sobą drzwi.

Giordino i Gunn długo patrzyli na siebie, w milczeniu trawiając to, co przed chwilą usłyszeli. Potem ich twarze rozjaśnił szeroki uśmiech, który szybko przeszedł w głośny rechot.

- Udało mu się! - krzyknął Giordino, z radości zapominając o bólu. - Dirkowi udało się wrócić bezpiecznie do domu!

ROZDZIAŁ 51

Nowatorskie eksperymenty przeprowadzone na stacji kosmicznej *Columbus* obejmowały głównie wytwarzanie rzadkich leków, hodowlę czystych kryształów do produkcji półprzewodnikowych układów scalonych stosowanych w komputerach oraz obserwację kosmicznego promieniowania gamma. Ale do codziennych obowiązków załogi tego czterdziestotonowego przyczółka cywilizacji należały również naprawa i konserwacja satelitów.

Kiedy przemówił głośnik centralny, Jack Sherman, dowódca stacji, przebywał akurat w cylindrycznym przedziale konserwacyjnym i pomagał grupie techników w łowieniu satelity do kołyski naprawczej.

- Jesteś tam, Jack?

- Jestem.

- Możesz przyjść do modułu dowodzenia?

- A co?

- Jakiś zgrywus wszedł na nasz kanał łączności.

- Przełącz to tutaj.

- Lepiej, żebyś przyszedł na górę.

- Za parę minut.

Po zabezpieczeniu satelity i zamknięciu śluzy powietrznej Sherman ściągnął skafander kosmiczny, wsunął podeszwy butów w dwie wyżłobione szyny i szurając nogami ruszył krokiem narciarza przez nieważkie środowisko w kierunku serca stacji.

Przebywający tam szef łączności i technik elektronik skinęli mu tylko głowami.

- Posłuchaj tego - zwrócił się ten ostatni do Shermana, a potem przysunął usta do mikrofonu wbudowanego w pulpit sterowniczy. - Podaj jeszcze raz swoje dane identyfikacyjne.

Nastąpiła krótka przerwa, po czym jakiś głos powiedział:

- *Columbus*, tu Kolonia Jersey. Prosimy o zezwolenie na przycumowanie do waszej stacji.

Technik odwrócił się i spojrział na Shermana.

- Co ty na to? To pewnie jakiś czubek z Ziemi.

Sherman pochylił się nad pulpitem.

- Kolonia Jersey, czy jak tam się nazwałś, korzystasz z zastrzeżonego kanału NASA. Zakłócasz procedury łączności kosmicznej. Przejdź, proszę, na inne pasmo.

- Nic z tego - odparł obcy głos. - Nasz prom księżycowy podejdzie za dwie godziny do waszej stacji. Proszę nam podać procedury dokowania.

- Księżycowe co? - Twarz Shermana stężała ze złości. - Kontrola w Houston, słyszycie to?

- Słyszemy - rozległ się głos z Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych w Houston.

- I co z tego rozumiecie?

- Próbuje go namierzyć, *Columbus*. Nie wyłączaj się.

- Nie wiem, kim jesteś, koleś - warknął Sherman - ale masz przechlapane.

- Nazywam się Eli Steinmetz. Proszę przygotować pomoc medyczną. Mam na pokładzie dwóch rannych.

- To idiotyczne. - Sherman rąbnął pięścią w oparcie fotela technika.

- Z kim rozmawiam? - spytał Steinmetz.

- Tu Jack Sherman, dowódca *Columbusa*.

- Przepraszam za to niespodziewane najście, Sherman, ale sądziłem, że zostaliście uprzedzeni o naszym przybyciu.

Zanim Sherman zdążył odpowiedzieć, odezwała się znowu kontrola z Houston.

- *Columbus*, jego sygnały nie pochodzą z Ziemi, powtarzam, nie pochodzą z Ziemi. Są nadawane z kosmosu zza waszej orbity.

- W porządku, chłopaki, co to za zgrywy?

Do rozmowy włączył się głos dyrektora działu lotów NASA.

- To nie zgrywy, Jack. Mówi Irwin Mitchell. Przygotuj załogę na przyjęcie Steinmetza i jego kolonistów.

- Jakich kolonistów?

- Nareszcie ktoś z “jądra” - ucieszył się Steinmetz. - A już myślałem, że będziemy musieli taranować bramę wjazdową.
- Przepraszam, Eli. Prezydent uważał, że najlepiej będzie zachować tajemnicę, dopóki nie dotrzecie do *Columbusa*.
- Czy ktoś mi łaskawie zdradzi, co tu jest grane? - upomniał się wyprowadzony z równowagi Sherman.
- Eli wszystko wyjaśni, kiedy się spotkacie - odparł Mitchell. Następnie zwrócił się do Steinmetza. - Co z rannymi, Eli?
- Leżą sobie wygodnie, ale u jednego nie obejdziesz się bez poważnej operacji chirurgicznej. Pocisk utkwiał w okolicach podstawy czaszki.
- Słyszałeś, Jack - powiedział Mitchell. - Postaw załogę wahadłowca w stan gotowości. Będą musieli przyspieszyć swój powrót na Ziemię.
- Zajmę się tym - zapewnił go Sherman. Opanował się już i mówił spokojnie, ale był zbyt inteligentny, żeby przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. - Tylko skąd, u diabła, przyplątała się tutaj ta... ta Kolonia Jersey?
- A uwierzyłbyś, że z Księżyca? - odparł pytaniem na pytanie Mitchell.
- Nie - przyznał zgaszonym tonem Sherman. - Na pewno bym nie uwierzył.

Pokój Teodora Roosevelta w Zachodnim Skrzydle Białego Domu nazywano kiedyś Pokojem Rybim, bo znajdowały się w nim akwaria i wędkarskie trofea Franklina Delano Roosevelta. W dniach prezydentury Richarda Nixona pokój umeblowano w stylu królowej Anny i chippendale i odbywały się tam zebrania personelu oraz od czasu do czasu konferencje prasowe.

Ściany i dywan utrzymane były w jasnych i ciemnych odcieniach terakoty. Na wschodniej ścianie, nad rzeźbioną, drewnianą półką kominka, wisiał obraz *Deklaracja Niepodległości*. Ze ściany południowej lustrował pokój surowym spojrzeniem dosiadający konia Teddy Roosevelt, sportretowany w Paryżu przez Tadeusza Stykę. Prezydent wolał prowadzić ważne rozmowy w tym przytulnym pokoju, zamiast w oficjalnej sali konferencyjnej, między innymi dlatego, że nie było tu okien.

Siedział teraz u szczytu stołu konferencyjnego i pisał coś w notatniku. Miejsce po jego lewej stronie zajmował sekretarz obrony Jess Simmons. Dalej zasiadali dyrektor CIA Martin Brogan, Dan Fawcett i Leonard Hudson. Sekretarz stanu Douglas Gates siedział po prawej ręce prezydenta, mając po swojej prawej doradcę do spraw bezpieczeństwa krajowego Alana Merciera i generała Sił Powietrznych USA Allana Posta, który kierował wojskowym programem kosmicznym.

Hudson od ponad godziny referował ludziom prezydenta historię Kolonii Jersey. Z początku siedzieli ogłuszeni i milczący. Potem ogarnęło ich podniecenie i zasypali Hudsona lawiną pytań, której ten dzielnie stawiał czoło, dopóki prezydent nie polecił pójść do pokoju obiada.

Kompletne zaskoczenie ustąpiło miejsca entuzjastycznym pochwałom dla Hudsona i "jądra", ale euforia opadła z wolna, kiedy referent poruszył sprawę konfliktu z sowieckimi kosmonautami.

- Kiedy koloniści z Jersey powrócą już bezpiecznie na przylądek Canaveral - powiedział prezydent - uda mi się może udobruchać Antonowa, proponując mu dostęp do części ogromnego materiału naukowego zebranego przez Steinmetza i jego zespół.

- Dlaczego mielibyśmy im cokolwiek udostępniać? - zapytał Simmons. - I tak dosyć już nakradli naszej techniki.

- Temu nie da się zaprzeczyć - odparł prezydent. - Ale gdyby nasze role uległy odwróceniu, nie puściłbym im płazem zabicia czternastu naszych astronautów.

- Zgadzam się z panem, panie prezydencie - powiedział sekretarz stanu Oates.

- A jakie środki odwetowe by pan podjął, będąc na ich miejscu?

- To proste - odezwał się generał Post. - Gdybym ja był Antonowem, wydałbym rozkaz zniszczenia *Columbusa*.

- Pomysł sam w sobie odrażający, ale musimy go potraktować serio - powiedział Brogan. - Sowieccy przywódcy są zapewne przekonani, że w tych okolicznościach mają moralne prawo do zniszczenia stacji i wszystkiego, co znajduje się na jej pokładzie.

- Albo wahadłowca wraz z załogą - dorzucił Post.

Prezydent spojrzał na generała.

- Czy *Columbusowi* i *Gettysburgowi* można dać jakąś osłonę?

Post pokręcił lekko głową.

- Nasz system obrony laserowej oddany zostanie do użytku najwcześniej za czternaście miesięcy. Pozostając w przestrzeni kosmicznej zarówno stacja, jak i wahadłowiec są całkowicie bezbronne wobec radzieckich satelitów niszcycieli serii *Kosmos 1400*. Skuteczną ochronę możemy zapewnić tylko *Gettysburgowi*, ale dopiero wtedy, gdy wejdzie w atmosferę.

- A co ty o tym myślisz, Martin? - zwrócił się prezydent do Brogana.

Nie sądzę, żeby obrali sobie za cel *Columbusa*. Daliby nam w ten sposób powód do zastosowania środków odwetowych wobec ich nowej stacji *Salut 10*. Moim zdaniem wezmą się do wahadłowca.

Wszyscy obecni pograżyli się w ponurych rozważaniach; w pokoju Roosevelta zaległa lodowata

cisza. I nagle Hudson z wyrazem olśnienia na twarzy postukał piórem o blat stołu.

- Przeoczyliśmy coś - oznajmił beznamiętnie.

- Na przykład, co? - spytał Fawcett.

- Rzeczywisty cel ich ataku na Kolonię Jersey.

- Chcieli zachować twarz niszcząc wszelkie ślady przełomu, jakiego dokonaliśmy w podboju kosmosu - powiedział Brogan wzruszając ramionami.

- Nie niszcząc, tylko kradnąc - zaperzył się Hudson. - Wymordowanie kolonistów nie miało być zemstą oko za oko. Wpadł na to Jess Simmons. Jeśli dobrze interpretuję sposób myślenia Kremla, to chodziło im przede wszystkim o przejęcie bazy w stanie nienaruszonym, żeby dorwać się do najnowszej techniki, do danych i do tego, co osiągnęliśmy kosztem miliardów dolarów i dwudziestu pięciu lat pracy. Taki cel im przyświecał. Zemsta była czymś wtórnym.

- Przekonująca hipoteza - powiedział Oates. - Ale skoro koloniści są w drodze na Ziemię, to Kolonia Jersey stoi teraz otworem dla szabrowników.

- Wykorzystując nasz prom księżycowy możemy w ciągu dwóch tygodni przerzucić na Księżyc nową załogę - powiedział Hudson.

- A ci dwaj kosmonauci, którzy siedzą w *Selenos 8*? - spytał Simmons. - Kto im przeszkodzi wejść do opuszczonej kolonii i zająć ją?

- Przepraszam - pospieszył z wyjaśnieniem Hudson. - Zapomniałem powiedzieć, że Steinmetz przetransportował ciała pięciu poległych Rosjan do ich ładownika i załadował je na pokład. Potem, grożąc pilotom rozpyleniem po powierzchni Księżyca ostatnią rakieta z swojej wyrzutni, zmusił ich do wystartowania i powrotu na Ziemię.

- Niczym szeryf oczyszczający miasto - stwierdził z uznaniem Brogan. - Nie mogę się doczekać, kiedy poznam tego faceta.

- Nie obyło się bez ofiar - podjął cicho Hudson. - Steinmetz wiezie z powrotem dwóch ciężko rannych ludzi i jednego zabitego.

- Jak nazywa się poległy? - spytał prezydent.

- To doktor Kurt Perry, wybitny biochemik.

Prezydent dał znak głową Fawcettowi.

- Zadbajmy, żeby pochowano go z należnymi honorami.

Milczenie, jakie zapadło, przerwał po chwili Post.

- No dobrze, jeśli Rosjanom nie udało się przejąć Kolonii Jersey, to co im pozostaje?
- *Gettysburg* - odparł Hudson. - Rosjanie wciąż mają szansę zagrabienia skarbu, jakim są dane naukowe.
- Przechwytyjąc prom w powietrzu? - spytał z nutką sarkazmu Simmons. - Nie wiedziałem, że mają po swojej stronie Bucka Rogersa.
- Nie potrzebują go - zripostował Hudson. - Zdalne wprowadzanie zmian w zaprogramowanych parametrach systemu kontroli lotu jest technicznie możliwe. Komputer można nakłonić do wysyłania fałszywych sygnałów do sterów wysokości, do silników manewrowych i innych urządzeń wykonawczych, i w ten sposób kierować *Gettysburgiem*. Istnieje tysiące rozmaitych sposobów zepchnięcia promu o kilka stopni z wyznaczonego wcześniej kursu. Zależnie od odległości, w jakiej rozpocznie się taka interwencja, wahadłowiec można odciągnąć nawet na tysiąc mil od portu kosmicznego Kennedy'ego na przylądku Canaveral.
- Ale przecież piloci mogą wyłączyć automatykę i lądować przechodząc na sterowanie ręczne - zaproponował Post.
- Nie uczynią tego, bo są przeświadczeni, że nad torem ich lotu powrotnego czuwa kontrola naziemna w Houston.
- Czy to możliwe? - spytał z niedowierzaniem prezydent.

Alan Mercier skinął głową.

- Pod warunkiem, że Sowieci posiadają lokalny nadajnik zdolny do zdominowania pokładowych systemów elektronicznych wahadłowca i zagłuszenia wszystkich sygnałów przesyłanych doń przez kontrolę w Houston.

Prezydent wymienił z Broganem ponure spojrzenia.

- Cayo Santa Maria - mruknął z przygnębieniem Brogan.
- To wyspa na północ od Kuby, na której znajduje się potężne urządzenie nadawczo-nasłuchowe spełniające wszystkie warunki niezbędne do przeprowadzenia takiego zadania - wyjaśnił pozostałym prezydent.
- Może się nie zorientowali, że nasi koloniści opuszczają Księżyc - bąknął z nadzieją Fawcett.
- Wiedzą - odparł Hudson. - Od kiedy nakierowali swoje satelity podsłuchowe na Kolonię Jersey, przechwytyją wszystkie nasze seanse łączności z Ziemią.
- Trzeba będzie opracować plan zneutralizowania urządzeń zainstalowanych na tej wyspie - zasugerował Post.

Brogan uśmiechnął się.

- Tak się składa, że trwają właśnie przygotowania do pewnej operacji.

Post odwzajemnił jego uśmiech.

- Jeśli planujecie to, o czym myślę, to chciałbym tylko wiedzieć, **kiedy**.

- Mówi się - takie tam plotki - że kubańskie siły zbrojne zamierzają wysadzić tam oddział szturmowo-dywersyjny jutro po północy.

- A godzina odlotu wahadłowca na Ziemię? - spytał Alan Mercier.

- Jutro o piątej rano - poinformował go Post.

- No, to wszystko jasne - zawyrokował prezydent. - Trzeba poinformować dowódcę *Coltanbusa*, żeby przytrzymał *Gettysburg* na platformie dokowej do chwili, kiedy będziemy w stanie zagwarantować mu bezpieczny powrót.

Wszyscy zasiadający za stołem zdawali się chwilowo usatysfakcjonowani. Tylko Hudson miał taką minę, jakby miejscowy rakaż porwał mu właśnie ulubionego pieska.

- Życzyłbym sobie tylko - mruknął nie zwracając się do nikogo konkretnego - żeby to naprawdę było takie proste.

ROZDZIAŁ 52

Wielikow i Majski stali na balkonie trzy poziomy nad elektronicznym centrum nasłuchowym i spoglądali w dół na małą armię mężczyzn i kobiet obsługujących skomplikowany sprzęt odbiorczy. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ogromne anteny zainstalowane na Kubie przechwytywały cywilne rozmowy telefoniczne prowadzone na terytorium Stanów Zjednoczonych oraz wojskowe sygnały radiowe i przekazywały je na Cayo Santa Maria, gdzie napływający materiał ładowano do komputerów celem zdekodowania i przeprowadzenia analizy.

- Wspaniała robota, generale - stwierdził Majski. - Raporty o waszej instalacji stanowczo grzeszyły zbytnią skromnością.

- Nie ma dnia, żebyśmy nie kontynuowali rozbudowy - powiedział z dumą Wielikow. - Poza właściwą częścią kompleksu jest tu też dobrze zaopatrzona stołówka oraz sala gimnastyczna ze sprzętem do ćwiczeń fizycznych i sauną. Mamy też świetlicę i zakład fryzjerski.

Wzrok Majskiego powędrował ku dwóm ekranom, dziesięć na piętnaście stóp każdy, umieszczonym na przeciwległych ścianach. Na lewym pojawiały się generowane komputerowo obrazy, a na prawym rozmaite dane i ich interpretacja graficzna.

- Czy wasi ludzie ustalili już, co się dzieje z księżycowymi kolonistami?

Generał skinął głową, podniósł słuchawkę telefonu i nie odrywając wzroku od tętniącego życiem parteru rzucił do niej kilka słów. Operator siedzący za konsolą spojrział w górę i pomachał ręką. Oba ekrany na krótką chwilę pociemniały i zaraz ożyły wyświetlając nowe dane.

- Oto kompletny przegląd aktualnej sytuacji - powiedział Wielikow wskazując na prawy ekran. - Przechwytyjemy niemal wszystko, co jest przekazywane drogą radiową pomiędzy astronautami a kontrolą w Houston. Jak widzicie, prom księżycowy kolonistów przycumował przed trzema godzinami do stacji kosmicznej.

Majski z rosnącą fascynacją przebiegał oczyma wyświetlane informacje. Nie potrafił się zmusić do zaakceptowania faktu, że wywiad amerykański wiedział niewątpliwie tyle samo, jeśli nie więcej, o radzieckich poczynaniach w kosmosie.

- Czy nadają kodem? - spytał.

- Czasami, jeśli jest to misja wojskowa, ale NASA rozmawiając ze swoimi astronautami zwykle nie używa kodu.

- Z wyświetlonych danych wynika, że Centrum Kontroli Naziemnej w Houston poleciło

Gettysburgowi odłożenie planowanego terminu odbicia od stacji do jutra rana.

- To mi się nie podoba.

- Nie widzę w tym niczego podejrzanego. Prezydent potrzebuje pewnie czasu na zorganizowanie potężnej kampanii propagandowej, która rozreklamuje kolejny amerykański tryumf w kosmosie.

- Albo przejrzeni nasze zamiary.

Majski nie odpowiedział i zamyślił się. Nerwowo składał i rozkładał ręce, a w jego oczach malował się niepokój.

Wielikow patrzył na niego z rozbawieniem.

- Jeśli to w jakikolwiek sposób krzyżuje wam plany, mogę się włączyć na częstotliwość kontroli w Houston i przesłać fałszywy rozkaz.

- Potraficie to zrobić?

- Potrafię.

- Zasymulować polecenie nakazujące wahadłowcowi odbić od stacji kosmicznej i rozpocząć manewr wejścia w atmosferę już teraz?

- Właśnie.

- I to tak, żeby dowódcy stacji i wahadłowca byli przekonani, iż słyszą znajomy głos?

- Nie zauważą żadnej różnicy. Nasze skomputeryzowane syntezy mają w swojej pamięci wystarczającą bibliotekę przechwyconych transmisji, by idealnie imitować głos, akcent i nawyki językowe co najmniej dwudziestu różnych pracowników NASA.

- A co przeszkodzi kontroli z Houston w odwołaniu tego polecenia?

- Mogę tłumić nadawane przez nich sygnały do czasu, kiedy będzie już za późno, żeby zatrzymać wahadłowiec. Potem, jeśli instrukcje naszych specjalistów od lotów kosmicznych, które nam dostarczyliście, są prawidłowe, przeprogramujemy zdalnie pokładowe systemy kontroli lotu wahadłowca i sprowadzimy go na Ziemię w Santa Clara.

Majski patrzył na Wielikowa długo i poważnie.

- Zróbcie tak - powiedział w końcu.

Pogrążonego w kamiennym śnie prezydenta rozbudził cichy brzęczyk telefonu stojącego przy łóżku. Prezydent przekręcił się na drugi bok i spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. Dziesięć po pierwszej nad ranem.

- O co chodzi? - rzucił do słuchawki.

W odpowiedzi usłyszał głos Dana Fawcetta.

- Przepraszam, że pana budzę, panie prezydencie, ale zaszło coś, o czym, moim zdaniem, powinien pan zostać natychmiast powiadomiony.

- Słucham. Co się stało?

- Telefonował do mnie przed chwilą Irwin Mitchell z NASA. Powiedział, że *Gettysburg* odbił od *Columbusa* i orbituje przygotowując się do wejścia w atmosferę.

Prezydent usiadł na łóżku, niczym pchnięty sprężyną, budząc przy okazji śpiącą obok żonę.

- Kto wydał taki rozkaz?! - krzyknął.

- Mitchell nie wie. Jakies dziwne zakłócenia sparaliżowały całkowicie łączność pomiędzy Houston a stacją kosmiczną.

- No to skąd wie o oddzieleniu się wahadłowca od stacji?

- Od chwili opuszczenia przez Steinmetza Kolonii Jersey, *Columbusa* śledzi i monitoruje generał Fisher z Operacyjnego Centrum Kosmicznego w Colorado Springs. Wysokoczułe kamery, którymi dysponuje centrum, zarejestrowały ruch *Gettysburga* odbijającego od doku stacji.

Skonsternowany prezydent walnął pięścią w materac.

- Cholera!

- Pozwoliłem sobie powiadomić Jessa Simmonsa. Poderwał już w powietrze dwa dywizjony taktyczne sił powietrznych z zadaniem eskortowania i ochrony wahadłowca, od momentu zejścia w niższe warstwy atmosfery.

- Ile mamy czasu do lądowania *Gettysburga*?

- Około dwóch godzin od wstępnych przygotowań do manewru lądowania do momentu dotknięcia kołami Ziemi.

- Za tym stoją Rosjanie.

- Co do tego wszyscy są zgodni - przyznał Fawcett. - Nie mamy jeszcze pewności, ale jeśli chodzi o źródło zakłóceń radiowych zagłuszających Houston, to wszystko wskazuje na Kubę.

- O której oddział specjalny Brogana uderza na Cayo Santa Maria?

- O drugiej.

- Kto ich prowadzi?

- Chwileczkę, zerknę tylko do wczorajszego raportu CIA. - Nie minęło trzydzieści sekund, kiedy Fawcett odezwał się znowu. - Operacją dowodzi pułkownik piechoty morskiej Ramon Kleist.

- Znam to nazwisko. Kleist został niedawno odznaczony przez Kongres Medalem Honoru.

- Mam tu coś jeszcze.

- Co takiego?

- Przewodnikiem ludzi Kleista jest Dirk Pitt.

Prezydent westchnął niemal ze smutkiem.

- Ten człowiek dał już z siebie aż za wiele. Czy jego uczestnictwo jest absolutnie konieczne?

- Nie ma go kim zastąpić.

- Czy zdołają na czas zniszczyć to centrum zagłuszające?

- Szczerze mówiąc, to loteria.

- Powiedz lessowi Simmonsowi, żeby czuwał w Sali Operacji Militarnych - powiedział z powagą w głosie prezydent. - Obawiam się, że jeśli coś się nie uda, jedynym wyjściem gwarantującym, iż *Gettysburg* i jego ładunek nie wpadną w łapy Sowietów, będzie zestrzelenie go. Rozumiesz mnie, Dan?

- Rozumiem, sir - powiedział Fawcett blednąc. - Przekażę mu pańskie słowa.

ROZDZIAŁ 53

- Maszyny stop - rozkazał Kleist. Sprawdził jeszcze raz wskazania aparatury współpracującej z satelitą nawigacyjnym *Navstar* i postukał cyrklem w rozpostartą mapę. - Znajdujemy się siedem mil na wschód od Cayo Santa Maria. PTZSem nie możemy już bliżej podejść.

Major Quintana, ubrany w cętkowany, szaroczarny mundur polowy, wpatrywał się w żółty znak naniesiony na mapę.

- Dotarcie do południowego wybrzeża i wylądowanie od kubańskiej strony powinno nam zająć mniej więcej czterdzieści minut.

- Wiatr wieje umiarkowany, a wysokość fal nie przekracza dwóch stóp. Jeszcze jednym darem niebios jest bezksiężycowa noc. Na powierzchni ciemno jak w kominie.

- To dobrze i źle - westchnął ciężko Quintana. - Trudno nas będzie dostrzec, ale i my nie będziemy widzieć wałęsających się strażników. Według mnie, nasz główny problem to brak dokładnych namiarów na kompleks. Może być i tak, że wylądujemy wiele mil od niego.

Kleist odwrócił się i popatrzył na wysoką, majestatyczną postać opierającą się o grodz. Mężczyzna ubrany był w taki sam nocny mundur polowy jak Quintana. Jego przenikliwe, zielone oczy nie umknęły przed spojrzeniem Kleista.

- Na pewno nie potrafi pan określić dokładnie położenia?

Pitt wyprostował się, uśmiechnął swoim rozbrajającym, niewinnym uśmiechem i odpowiedział krótko:

- Nie.

- Nie jest pan zbyt skory do współpracy - zauważył uszczypliwie Quintana.

- Może i nie, ale przynajmniej jestem szczery.

- Przykro nam, panie Pitt, że podczas pańskiej ucieczki widoczność odbiegała od ideału - powiedział wyrozumiałym tonem Kleist - ale bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan być troszkę bardziej rzeczowy.

Uśmiech spełził z twarzy Pitta.

- Posłuchajcie, lądowałem w samym środku huraganu, a odpływałem w środku nocy. Obydwa

wydarzenia miały miejsce po przeciwległej stronie wyspy. Wy chcecie lądować od innej strony. Nie mierzyłem odległości ani nie znaczyłem swojej drogi okruchami chleba. Teren był płaski, bez wzgórz czy strumieni, które mogłyby posłużyć za punkty orientacyjne. Same tylko palmy, krzaki i piach. Antena była jakieś pół mili na zachód od wioski. Od anteny do kompleksu jest dobra mila. Kiedy natrafimy na drogę, to do kompleksu będzie w lewo. To wszystko, co wiem.

Quintana pokiwał z rezygnacją głową.

- W tych okolicznościach nie możemy wymagać więcej.

Do centrali wszedł przez właz w grodzi członek załogi ubrany w postrzępione dżinsy i podkoszulek. Wręczył Kleistowi rozszyfrowaną depeszę i wyszedł bez słowa.

- Lepiej, żeby to nie było odwołanie operacji w ostatniej chwili - powiedział ostro Pitt.

- Nic z tych rzeczy - mruknął Kleist. - Prędzej już nowe komplikacje.

Przeczytał depeszę po raz drugi i przez jego beznamiętną zazwyczaj twarz przemknął wyraz niezadowolenia. Wręczył karteczkę Quintanie, który przebiegł ją oczyma, po czym zacisnął ze złością usta i przekazał ją Pittowi. Treść brzmiała następująco:

WAHADŁOWIEC "GETTYSBURG" ODCUMOWAŁ OD STACJI I ORBITUJE PRZYGOTOWUJĄC SIĘ DO WEJŚCIA W ATMOSFERĘ. WSZELKI KONTAKT UTRACONY. WASZ DOCELOWY OBIEKT ELEKTRONICZNY PODPORZĄDKOWAŁ SOBIE POKŁADOWE KOMPUTERY NAWIGACYJNE WAHADŁOWCA I PRZEJĄŁ NAD NIM CAŁKOWITĄ KONTROLĘ. SPODZIEWANE ODCHYLENIE KURSU CELEM SPROWADZENIA STATKU DO LĄDOWANIA NA KUBIE O 3.40. MAKSYMALNE TEMPO DZIAŁANIA. NIEOBLICZALNE SKUTKI, JEŚLI KOMPLEKS NIE ZOSTANIE W PORĘ ZNISZCZONY. POWODZENIA.

- To ładnie z ich strony, że ostrzegają nas w ostatniej chwili - stwierdził ponuro Pitt. - Do 3.40 zostały niecałe dwie godziny.

Quintana spojrział bystro na Kleista.

- Czy Sowieci mogą rzeczywiście to zrobić i liczyć na bezkarność? Kleist nie słuchał. Pochylił się znowu nad mapą i wykreślił małym ołówkiem linię wyznaczającą kurs do południowego brzegu Cayo Santa Maria.

- Gdzie mniej więcej natknął się pan na tę antenę? - zwrócił się do Pitta.

Pitt wziął ołówek i naniósł maleńką kropkę u nasady ogona kaszalota, którego swym kształtem przypominała wyspa.

- To w najlepszym razie grube przybliżenie - zastrzegł się.

- Rozumiem. Wyposażymy was w mały wodoszczelny radionadajnik. Zakoduję tę pozycję z mapy i wprowadzę ją do komputera *Navstara*, a potem będę na bieżąco namierzał wasz sygnał i prowadził

was do tego miejsca.

- Nie będzie pan jedynym, który może nas namierzać.
- Pewne ryzyko istnieje, ale w ten sposób zaoszczędzimy wiele cennego czasu. Chodzi głównie o pozabawienie ich kontroli nad *Gettysburgiem*, a o wiele szybciej to załatwicie, jeśli zamiast wdzierać się do kompleksu, by zniszczyć jednostkę centralną systemu, rozwalicie od razu tę antenę.
- To niegłupie.
- Ponieważ widzę, że jesteście zgodni - powiedział cicho Kleist - proponuję panom, żebyście ruszali.

Podwodny Transporter do Zadań Specjalnych, w skrócie PTZS, w niczym nie przypominał żadnej łodzi podwodnej, jaką Pitt do tej pory widział. Jednostka mierzyła sobie nieco ponad trzysta stóp długości i miała kształt przewróconego na bok dłuta. Ścięty w poziomy klin krótki dziób rozszerzał się w praktycznie kwadratowy kadłub zakończony stromą, pudełkową rufą. Górny pokład był zupełnie gładki, pozbawiony jakichkolwiek występow.

Za sterem nie stał nikt. Jednostka była w pełni zautomatyzowana i napędzana energią nuklearną obracającą dwie śruby. W razie potrzeby mogła się poruszać dzięki pracującym bezgłośnie pompom, które pobierały wodę wykorzystując ruch okrętu do przodu i wyrzucały ją cicho poprzez otwory rozmieszczone wzdłuż burt.

PTZS skonstruowano specjalnie dla potrzeb CIA, z myślą o zakonspirowanych przerzutach broni, tajnych agentów oraz grup dywersyjnych. Rozwijał szybkość pięćdziesięciu węzłów przy zanurzeniu dochodzącym do ośmiuset stóp, a do tego mógł podpływać do samej plaży, rozwierać wrota dziobowe i wysadzać na brzeg desant o sile dwustu ludzi, wyposażony ponadto w kilka pojazdów.

Okręt przebił lustro wody. W stanie wynurzenia jego płaski pokład wystawał zaledwie dwie stopy ponad czarną powierzchnię morza. Oddział kubańskich uchodźców Quintany sprawnie wysypał się z luków i natychmiast przystąpił do wyciągania podawanych z dołu ślizgaczy.

Pitt szalał na takim ślizgaczu w pewnej miejscowości wypoczynkowej w Meksyku. Był to napędzany wodą pojazd produkowany we Francji dla celów nadmorskiej rekreacji. Maszyna miała opływowe linie, przypominała wyglądem dwie złączone ze sobą bokami torpedy, i nazywano ją morskim bolidem. Kierujący siedział w pozycji pólężącej, z nogami wsuniętymi w rury podwójnego kadłuba, i sterował podobną do samochodowej kierownicą. Energii zasilającej dysze wodne dostarczał silny akumulator, zapewniający śmiganie po gładkim morzu z szybkością dwudziestu węzłów przez trzy godziny bez doładowywania.

Kiedy Pitt zaproponował wykorzystanie tych łodzi do przemknięcia się przez kubańską sieć radarową, Kleist pospiesznie zawarł z fabryką umowę na specjalny zakup sprzętu i załatwił przetransportowanie nabytku samolotem Sił Powietrznych USA, tak że w niecałe piętnaście godzin

ślizgacze znalazły się na San Salvador.

Nocne powietrze było ciepłe, a przechodzący górą szkwał przesycił je mżawką. Każdego, kto wsunął się do swojego ślizgacza, spychano po śliskim, ledwie wystającym ponad powierzchnię pokładzie do morza. Przyćmione niebieskie światła zamontowane na rufach umożliwiały podążanie w ciemnościach tropem poprzednika.

Pitt zwlekał przez kilka chwil patrząc w kierunku skrytej w ciemnościach Cayo Santa Maria i pielęgnując w sobie desperacką nadzieję, że ratunek dla przyjaciół nie przybywa za późno. W górze krążyła z wrzaskiem pierwsza mewa, niewidoczna na tle mrocznego nieba.

Quintana chwycił go za ramię.

- Teraz pan. - Urwał i wybałuszył oczy, niepewny, czy dobrze widzi w ciemnościach. - A to co, u diabła?

Pitt dzierżył w dłoni drewnianą pałę.

- Kij baseballowy.

- Po co to panu? Wydano panu przecież AK-74.

- To prezent dla przyjaciela.

Zdezorientowany Quintana potrząsnął głową.

- Ruszajmy. Pan poprowadzi. Ja popłynę na końcu i będę zbierał maruderów.

Pitt kiwnął głową, wsunął się do swojego ślizgacza i wyregulował małe odbiornik radiowy wetknięty w ucho. W chwili gdy załoga PTZS-a spychała go już za burtę, pułkownik Kleist nachylił się i uściśnął mu dłoń.

- Niech pan ich doprowadzi szczęśliwie do celu - powiedział z przejęciem.

Pitt uśmiechnął się do niego uspokajająco.

- Taki mam zamiar.

I w tym momencie jego ślizgacz znalazł się w wodzie. Popchnął dźwignię mocy w położenie "Pół Naprzód" i odbił od burty. Oglądanie się, czy inni płyną za nim, nie miało sensu. I tak by ich nie zobaczył. Jedynym źródłem światła były gwiazdy, a te dawały go zbyt mało, by rozjaśnić powierzchnię morza.

Zwiększył szybkość i spojrzał na fosforyzującą tarczę kompasu przypiętego paskiem do przegubu. Utrzymywał kurs na wschód, dopóki w słuchawce tkwiącej w jego uchu nie rozległ się głos Kleista:

- Kurs 270 stopni.

Pitt dokonał korekty i płynął tym kursem przez dziesięć mil ze stałą szybkością o pięć węzłów mniejszą od maksymalnej, jaką mógł rozwinąć ślizgacz, żeby ci z podążających za nim gęsiego ludzi, którzy wyłamali się z szeregu, mogli wrócić do szyku. Nie miał wątpliwości, że czułe podwodne sensory wykryją zbliżanie się grupy dywersyjnej, ale liczył na to, że Rosjanie zlekceważą wskazania swojej aparatury rejestracyjnej uznając, że wywołała je ławica ryb.

Daleko na południe, od strony Kuby, w odległości dobrych czterech mil, rozbłysł reflektor łodzi patrolowej i rozcinając noc omiół powierzchnię morza w poszukiwaniu naruszających te wody jednostek pływających. Stłumiona dystansem poświata dosięgła ich co prawda, ale byli zbyt mali i zbyt mało wystawali ponad wodą, żeby dostrzeżono ich z tak wielkiej odległości.

Pitt odebrał nowe wytyczne od Kleista i skręcił na północ. Było ciemno jak w grobie i mógł tylko żywić nadzieję, że pozostałych trzydziestu ludzi trzyma się wciąż jego rufy. Podwójny dziób ślizgacza zanurkował w serię przybierających na sile fal pryskając mu w twarz wodnym pyłem i Pitt poczuł w ustach silnie słony smak morza.

Lekka turbulencja, spowodowana przez ślizgacz w momencie przebijania się przez wodę, wyrzuciła w powietrze chmurę roziskrzonych kropelek, które zabłysły na chwilę niczym armada ciem i zaraz zgasły za rufą. Pitt zaczął się wreszcie rozluźniać, kiedy w uchu rozbrzmiał mu znowu głos Kleista:

- Mam cię około dwustu jardów od linii brzegowej.

Pitt zredukował szybkość małej łodzi i wyęzając uwagę podpłynął jeszcze kawałek na wolnych obrotach. Po chwili zatrzymał się i dał ponieść prądowi. Czekał w napięciu, nasłuchując i starając się przebić wzrokiem ciemności. Po pięciu minutach niewyraźnie zamajaczyły przed nim czarne i złowieszcze zarysy Cayo Santa Maria. Przybój przy brzegu prawie nie występował; jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był cichy chlupot łagodnych fal liżących leniwie plażę.

Nacisnął delikatnie pedał gazu i ruszył bardzo wolno naprzód, gotów w każdej chwili wykonać zwrot przez rufę i pognać w morze, gdyby ich wykryto. Po kilku sekundach ślizgacz poszorował bezgłośnie po dnie. Pitt wyskoczył natychmiast na piasek i powlókł lekki stateczek plażą w stronę zarośli ciągnących się wzdłuż linii palm. Tam zaczął, aż Quintana i jego ludzie wdzięczni, że znowu czują pod stopami twarde gruntu, nadciągną jak duchy i otoczą go zwartą gromadką ledwie rozróżnialnych w mrokach nocy cieni.

Pomny praw Murphy'ego, Quintana poświęcił chwilę cennego czasu na policzenie wszystkich i pobieżne zlustrowanie ich ekwipunku. Usatysfakcjonowany zwrócił się do Pitta:

- Prowadź, *amigo*.

Pitt sprawdził wskazanie kompasu i ruszył przodem w głąb lądu kierując się w lewo. Badał drogę przed sobą kijem baseballowym jak ślepiec laską. Niecałe dwieście jardów od miejsca lądowania koniec kija natrafił na zelektryfikowane ogrodzenie. Pitt zatrzymał się jak wryty i idący za nim człowiek wpadł na niego.

- Spokojnie! - syknął Pitt. - Jesteśmy przy ogrodzeniu, przekaż dalej.

Z szeregu wyskoczyli dwaj ludzie z łopatami i przypuścili zajadły atak na sypki piasek. W mgnieniu oka wydrążyli dziurę wystarczająco dużą, by dało się przez nią przepchnąć niewielką baryłkę.

Pitt przeczołgał się pod drutami pierwszy. Przez chwilę nie bardzo wiedział, w którą stronę się skierować. Przystanął niezdecydowany, wężąc w koło. I wtem dotarło do niego, gdzie się dokładnie znajduje.

- Spartaczyliśmy - mruknął do Quintany. - Kompleks mamy zaledwie kilkaset metrów po lewej. Do anteny jest stąd dobra mila w przeciwnym kierunku.

- Skąd pan wie?

- Niech pan pociągnie nosem. Czuć smród spalin z silników dieslowskich napędzających generatory.

Quintana wciągnął w nozdrza solidny niuch powietrza.

- Ma pan rację. Bryza przynosi ten odór z północnego wschodu.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o szybkie rozwiązanie. Dotarcie do anteny i założenie ładunków zajmie pańskim ludziom dobre pół godziny.

- No to idziemy na kompleks.

- Lepiej zabezpieczyć się z dwóch stron. Niech pan wyśle najszybszych biegaczy, żeby wysadzili w powietrze antenę, reszta spróbuje z centralą elektroniczną.

Podjęcie decyzji zabrało Quintanie niecałą sekundę. Przebiegł wzdłuż szeregu i szybko wybrał pięciu ludzi. Wrócił z małą, niepozorną postacią, która głową ledwie sięgała Pittowi do ramienia.

- To jest sierżant López. Trzeba mu wskazać drogę do anteny. Pitt odpiął z przegubu kompas i wręczył go sierżantowi. López nie znał angielskiego i Quintana musiał tłumaczyć. Mały sierżant był pojętny. Bezbłędnie powtórzył instrukcje Pitta po hiszpańsku, po czym błysnął w uśmiechu zębami, wydał zwięzły rozkaz swoim ludziom i rozplynął się z nimi w mrokach nocy.

Pitt i reszta ludzi Quintany ruszyli biegiem w swoją stronę. Pogoda zaczynała się psuć. Chmury przesłoniły gwiazdy i o liście palm zabębniły dziwnym werblem krople deszczu. Lawirowali pomiędzy pniami powyginanymi wdzięcznie przez furie huraganowych wiatrów. Co kilka jardów ktoś się potykał i padał, ale inni natychmiast pomagali mu wstać. Wkrótce ich oddechy stały się cięższe, a po ciałach spływał pot, którym nasiąkały polowe mundury. Zdesperowany Pitt narzucał szybkie tempo gnany niepokojem o Jessie, Giordina i Gunna, niepewnością, czy zastanie ich żywych. Wyobrażając sobie cierpienia, jakich musiał im przysporzyć Foss Gly, nie zwracał uwagi na trudy marszu i rosnące wyczerpanie. Te ponure myśli opuściły go, kiedy wypadł z zarośli na drogę.

Skręcił w lewo i pognął w kierunku kompleksu nie próbując się nawet kryć, czy podkraść, wybierając płaską nawierzchnię, byle tylko zyskać na czasie. Teren wydał mu się teraz bardziej znajomy. Zwolnił, przeszedł w marsz i szeptem przywołał Quintane. Poczawszy na ramieniu czyjąś dłoń, wskazał na przytłumione światelko ledwo widoczne między drzewami.

- Wartownia przy bramie.

Quintana klepnął Pitta w plecy na znak, że zrozumiał, i wydał po hiszpańsku instrukcje następnemu w rzędzie człowiekowi, który odbiegł zaraz w stronę światła.

Pitt nie musiał o nic pytać. Dobrze wiedział, że wartownikom strzegącym bramy pozostały jeszcze dwie minuty życia.

Posuwając się wzdłuż muru odnalazł otwór kanału ściekowego i doznał ogromnej ulgi stwierdzając, że pręty są wciąż rozgięte, tak jak je zostawił. Przecisnęli się na drugą stronę i podpełzli do wywietrznika nad garażem kompleksu. Tu udział Pitta w akcji miał się zakończyć. Zgodnie ze stanowczymi instrukcjami Kleista, jego zadaniem było doprowadzenie sił Quintany tylko do wywietrznika. Wywiązawszy się z niego miał się wycofać, wrócić sam na plażę, na której wylądowali, i poczekać tam na resztę.

Kleist powinien był się domyślić, że brak słowa protestu ze strony Pitta oznacza, iż ten nie ma zamiaru podporządkować się jego rozkazom, ale pułkownik miał na głowie zbyt wiele problemów, by nabrać podejrzeń. A kutego na cztery nogi Pitta rozrysowującego z zaangażowaniem drogę prowadzącą do wnętrza kompleksu można było stawiać za wzór współpracy.

Zanim Quintana zdążył wyciągnąć rękę, żeby go powstrzymać, Pitt ześlizgnął się przez wywietrznik na belkę wsporczą biegnącą nad zaparkowanymi w garażu pojazdami i zniknął jak cień w szybie prowadzącym do znajdujących się głęboko pod ziemią cel.

ROZDZIAŁ 54

Dave Jurgens, pierwszy pilot *Gettysburga*, był trochę nieswój. Jemu też udzieliło się uniesienie, jakie zapanowało na stacji kosmicznej po niespodziewanym przybyciu Steinmetza i jego ludzi z Księżyca. I nie widział niczego podejrzanego w zaskakującym rozkazie przetransportowania kolonistów na Ziemię, kiedy tylko ich naukowy dorobek znajdzie się w ładowni wahadłowca.

Jego niepokój wzbudziła natomiast dziwna decyzja kontroli w Houston, by lądował na przylądku Canaveral w nocy. Jego prośba o oczekiwanie kilka godzin na wschód słońca spotkała się z chłodną odmową. Nie wyjaśniono mu, z jakiego powodu władze NASA po raz pierwszy od blisko trzydziestu lat odstąpiły nagle od ściśle przestrzeganej zasady, w myśl której lądowania odbywały się tylko za dnia.

Spojrzał na swego drugiego pilota, Carla Burkarta, weterana programu kosmicznego z dwudziestoletnim stażem.

- Nie popatrzymy sobie przy tym podejściu na florydzkie bagna.
- Jak widziałeś jednego aligatora, to tak, jakbyś widział je wszystkie - odparł lakonicznie Burkart.
- Pasażerowie upchani?
- Jak ziarnka kukurydzy w kolbie.
- Komputery zaprogramowane na wejście w atmosferę?
- Nakręcone i tykają.

Jurgens przebiegł szybko wzrokiem trzy monitory telewizyjne zamontowane pośrodku głównego pulpitu. Na jednym wyświetlane były informacje o stanie wszystkich urządzeń mechanicznych, a na pozostałych dwóch dane trajektorii i parametry systemów kontroli lotu. Razem z Burkartem przystąpili do realizacji procedur z listy czynności kontrolnych dla manewrów opuszczania orbity i wchodzenia w atmosferę.

- Jeśli wy jesteście gotowi, Houston, to my też.
- Okay, Don - odpowiedziała kontrola naziemna. - Możesz rozpoczynać manewr schodzenia z orbity.
- Co z oczu, to z serca - mruknął Jurgens. - Tak to się mówi?
- Nie zrozumieliśmy. Powtórz.

- Kiedy odlatywałem z Ziemi, miałem na imię Dave.

- Przepraszam, Dave.

- Z kim rozmawiam? - spytał zaintrygowany Jurgens.

- Tu Merv Foley. Nie poznajesz mojego dźwięcznego, melodyjnego głosu?

- I po tych wszystkich błyskotliwych rozmowach, jakie prowadziliśmy, zapominasz, jak mam na imię. Wstyd.

- To było przejęzyczenie - odparł znajomy głos Foley'a. - Może byśmy tak przerwali tę pogawędkę i wrócili do procedur?

- Jak sobie życzysz, Houston. - Jurgens wcisnął na moment klawisz swego interkomu. - No to wracamy do domu, panie Steinmetz?

- Nie możemy się już doczekać, kiedy wreszcie ruszymy - odparł Steinmetz.

Specjalistów z wahadłowca i kolonistów z Jersey upchano jak śledzie w beczce w spartańsko urządzonych kwaterach pod pokładem nawigacyjnym i kabiną pilotów, wykorzystując każdą stopę kwadratową przestrzeni. Znajdująca się za nimi długa na sześćdziesiąt stóp ładownia wypełniona była w dwóch trzecich dokumentacją naukową, próbkami geologicznymi, pudłami zawierającymi wyniki ponad tysiąca medycznych i chemicznych eksperymentów - jednym słowem, zgromadzonymi przez kolonistów skarbami, których pełna analiza zajmie uczonym ze dwie dekady. W ładowni umieszczono również zwłoki doktora Kurta Perry'ego.

W otwartym kosmosie *Gettysburg* leciał tyłem i do góry brzuchem z szybkością 15 000 węzłów na godzinę. Teraz odpalono małe silniczki odrzutowe, które przekreśliły wahadłowiec i zepchnęły go z orbity, po czym raketowe silniki manewrowe zadarły mu w górę dziób, żeby większość ciepła wydzielającego się na skutek tarcia podczas wchodzenia w atmosferę zaabsorbowana została przez izolowany brzuch. Nad Australią włączono na krótko silniki pomocnicze, żeby zredukować orbitalną szybkość promu przekraczającą dwadzieścia pięć razy prędkość dźwięku. W trzydzieści minut później wtargnęli w atmosferę tuż przed Hawajami.

W miarę gęstnienia atmosfery brzuch *Gettysburga* rozgrzewał się coraz bardziej, przybierając z czasem jaskrawopomarańczową barwę. W gęstszym powietrzu zaczynała maleć skuteczność silników raketowych, za to coraz lepiej reagowały stery wysokości i kierunku. Nad całym przebiegiem lotu czuwały komputery. Jurgens z Burkhartem, poza śledzeniem danych wyświetlanych na monitorach oraz obserwacją wskaźników systemów, niewiele mieli do roboty.

Wtem w ich słuchawkach rozległ się ton ostrzegawczy i zapłonęła lampka alarmu głównego. Jurgens zareagował natychmiast, wystukując na klawiaturze komputera polecenie podania szczegółów problemu, a tymczasem Burkhart powiadomił kontrolę naziemną.

- Houston, zapaliło nam się światełko ostrzegawcze.

- My tu nic nie rejestrujemy, *Gettysburg*. Wszystkie systemy wyglądają na sprawne.
- Coś się dzieje, Houston. - Nie dawał się zbyć Burkhart.
- To może być zwyczajny błąd komputera.
- Niemożliwe. Wszystkie trzy komputery systemów nawigacji i kierowania lotem są zgodne.
- Już mam - wtrącił się Jurgens. - Sygnalizuje nam zejście z kursu.
- Nie bierz tego na serio, Dave - odpowiedział beznamiętnie głos z Centrum Kosmicznego Johnsona.
- Idziesz jak po sznurku. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem, Foley, ale asekuruj mnie przez chwilę, a ja sprawdzę na komputerze rezerwowym.
- Jeśli cię to uszczęśliwi. Ale wszystkie systemy są na chodzie.

Jurgens wystukał szybko na klawiaturze polecenie wyświetlenia danych nawigacyjnych z komputera rezerwowego. Niecałe trzydzieści sekund później ponownie wywołał Houston.

- Merv, coś tu cuchnie. Nawet rezerwowy wyświetla, że schodząc' tak dalej wylądujemy czterysta mil na południe i pięćdziesiąt na wschód od Canaveral.
- Zaufaj mi, Dave - powiedział znudzonym tonem Foley. - Wszystkie stanowiska śledzące meldują, że jesteście na kursie.

Jurgens wyjrzał przez boczne okienko i zobaczył w dole tylko czerń. Wyłączył radio i zwrócił się do Burkarta:

- Nie dam złamanego centa za to, co mówi Houston. Zeszliśmy z kursu podejścia. Pod nami nie ma nic prócz wody, a powinniśmy przecież widzieć światła Półwyspu Kalifornijskiego.
- Nic nie rozumiem - bąknął Burkart poprawiając się niespokojnie w fotelu. - Co robimy?
- Przygotujemy się do przejścia na sterowanie ręczne. Gdybym nie wiedział, że to bez sensu, przysięgłbym, że Houston chciało nas posadzić na Kubie.

Idzie do nas jak po sznurku - stwierdził Majski z wilczym wyrazem twarzy.

Wielikow skinął głową.

- Jeszcze trzy minuty i *Gettysburg* minie punkt, spoza którego nie będzie już powrotu.
- Nie będzie powrotu? - powtórzył za nim Majski.

- Nawet gdyby zawrócili, nie dociągnie już lotem ślizgowym do pasa startowego w Centrum Kosmicznym Kennedy'ego.

Podniecony Majski zatarł nerwowo dłonie.

- Amerykański wahadłowiec w radzieckich rękach. To z pewnością wywiadowczy wyczyn stulecia.

- Waszyngton rozedrze się jak cała wioska gwałconych dziewic żądając jego zwrotu.

- Dostaną z powrotem swoją supermaszynę za miliardy dolarów. Ale dopiero wtedy, kiedy nasi inżynierowie zbadają i obfotografują każdy jej cal kwadratowy.

- A do tego dochodzi jeszcze bogactwo informacji zebranych przez ich księżycowych kolonistów - przypomniał mu Wielikow.

- Nieprawdopodobny wyczyn, generale. Nie ominie pana za to Order Lenina.

- Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu, towarzyszu Majski. Nie możemy przewidzieć reakcji prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Majski wzruszył ramionami.

- Jeśli zaproponujemy negocjacje, będzie miał związane ręce. Ja osobiście jednego problemu upatruję w Kubańczykach.

- Z nimi nie będzie kłopotu. Generał pułkownik Kolczak otoczył pas startowy w Santa Clara kordonem złożonym z półtora tysiąca radzieckich żołnierzy. A ponieważ w dowództwie kubańskich sił obrony przeciwlotniczej znajdują się nasi doradcy, wahadłowiec ma otwartą drogę lądowania.

- A więc tak jakbyśmy go już mieli.

Wielikow kiwnął głową.

- Sądzę, że spokojnie można tak powiedzieć.

Prezydent siedział w szlafroku przy biurku w Gabinetcie Ovalnym. Spuścił głowę, a łokcie oparł na poręczach fotela. Twarz miał zmęczoną i ściągniętą troską.

Podniósł nagle wzrok i zapytał:

- To pewne, że Houston nie może nawiązać łączności z *Gettysburgiem*?

Martin Brogan skinął głową.

- Tak twierdzi Irwin Mitchell z NASA. Ich sygnały toną w pochodzących z zewnątrz zakłóceniach.

- Czy Jess Simmons jest w Pentagonie i czeka tam w pogotowiu?

- Mamy go na gorącej linii - zameldował Dan Fawcett.

Prezydent wahał się przez chwilę, a kiedy się wreszcie odezwał, mówił prawie szeptem:

- No to lepiej mu powiedzcie, żeby postawił pilotów tych myśliwców w stan pełnej gotowości bojowej.

Fawcett kiwnął ponuro głową i podniósł słuchawkę.

- Masz jakieś wiadomości od swoich ludzi, Martin?

- Zgodnie z ostatnim meldunkiem, wylądowali właśnie na plaży - powiedział bez entuzjazmu Brogan.

- Nic więcej nie wiem.

Prezydent był zrozpaczony.

- Mój Boże, nie mamy wyjścia.

Zadzwonił jeden z czterech telefonów i Fawcett natychmiast poderwał słuchawkę.

- Tak, tak, jest tutaj. Tak, przekaże mu. - Z ponurą miną odłożył słuchawkę z powrotem na widełki. - To był Irwin Mitchell. *Gettysburg* zbczył za daleko na południe, by miał jakiegokolwiek szansę dotrzeć do przylądka Canaveral.

- Może jeszcze wodować - powiedział bez przekonania Brogan.

- Pod warunkiem, że się go w porę uprzedzi - dorzucił Fawcett.

Prezydent pokręcił głową.

- Nic z tego. Jego prędkość przy lądowaniu wynosi dwieście mil na godzinę. Rozleciałby się na kawałki.

Reszta stała w milczeniu nie wiedząc, co powiedzieć. Prezydent ze ściśniętym sercem okręcił się razem z fotelem twarzą do okna.

Po kilku chwilach odwrócił się z powrotem do czekających w napięciu ludzi zebranych wokół biurka.

- Boże, dodaj mi sił do podpisania wyroku śmierci na tych wszystkich dzielnych mężczyzn.

ROZDZIAŁ 55

Pitt wypadł z szybu i pognął co sił w nogach korytarzem. Nacisnął klamkę i szarpnął drzwi do celi Giordina i Gunna z taką siłą, że omal nie wyrwał ich z zawiasów.

Małeńkie pomieszczenie było puste.

Hałas go zdradził. Zza węgła, z bocznego korytarzyka, wybiegł strażnik. Na widok Pitta zatrzymał się jak wryty wybałuszając ze zdumienia oczy. Ten ułamek sekundy zawahania drogo go kosztował. Kij baseballowy Pitta trafił go w bok głowy, kiedy usiłował poderwać lufę karabinu. Pitt pochwycił pechowego strażnika w pasie, zanim ten zdążył zwalić się na posadzkę, a następnie wciągnął go do otwartej celi, rzucił tam na łóżko i dopiero teraz przyjrzał się twarzy. Był to ten sam młody Rosjanin, który eskortował go do gabinetu Wielikowa. Chłopak oddychał normalnie i Pitt uznał, że jest tylko nieprzytomny.

- Masz szczęście, dzieciaku. Z zasady nie strzelam do nikogo poniżej dwudziestego pierwszego roku życia.

Kiedy Pitt, zamknąwszy strażnika w celi, ruszał biegiem dalej, z szybu wyjściowego wyskakiwał właśnie Quintana. Pitt nie bawił się w podchody. Z radością powitałby okazję do zdzielenia w łeb kolejnego strażnika. Dopadł do drzwi celi Jessie i otworzył je kopniakiem.

Jej też nie było.

Spłynęła nań fala przerażenia. Gnał jak szalony korytarzami, dopóki nie znalazł się przed pokojem numer sześć. W środku nie było nic prócz fetoru tortur.

Miejsce przerażenia zajęła zimna, niepohamowana wściekłość. Pitt stał się kimś zupełnie innym, człowiekiem bez sumienia i kodeksu moralnego, nie kontrolującym już swoich emocji, człowiekiem, któremu niebezpieczeństwo dodawało tylko skrzydeł. Strach przed śmiercią przestał dla niego istnieć.

Quintana dopędził tymczasem Pitta i schwycił go za ramię.

- Szlag by cię trafił, wracaj na plażę! Był rozkaz...

Nie dokończył. Pitt wpakował serdelkowatą lufę swojego AK74 w brzuch Quintany, po czym odepchnął go powoli pod ścianę. Quintana nieraz już zaglądał śmierci w oczy, ale patrząc teraz w tę ogorzałą twarz ściągniętą lodem determinacji, widząc w tych zielonych oczach wyraz morderczej gotowości na wszystko, wiedział, że jest jedną nogą na tamtym świecie.

Pitt nic nie powiedział. Cofnął broń, zarzucił sobie na ramię kij baseballowy i przepchnął się przez ludzi Quintany. Niespodziewanie przystanął i odwrócił się.

- Tam jest winda - powiedział spokojnie.

Quintana skinął na swoich ludzi. Pitt sprawdził szybko stan liczebny oddziału. Razem z nim było ich dwudziestu pięciu. Ruszył biegiem w kierunku windy, którą można się było dostać na wyższe poziomy. Nie napotkali już po drodze żadnego strażnika. W korytarzach nie było żywego ducha. Skoro więźniowie nie żyją, rozumował Pitt, Wielikow nie widzi potrzeby wystawiania więcej niż jednego wartownika na dolnym poziomie magazynowym.

Dobiegli do windy i już miał wdusić przycisk oznaczony skierowaną do góry strzałką, kiedy zabuczały silniki. Dał pozostałym znak, żeby usunęli się pod ściany. Czekali nasłuchując. Winda zatrzymała się poziom wyżej. Do ich uszu doleciał gwar głosów i cichy śmiech. Stali w bezruchu wpatrzni w cienką linię światła przesączającego się z wnętrza zjeżdżającej niżej kabiny poprzez szparę między połówkami jej drzwi.

Wszystko to trwało dziesięć sekund. Drzwi się otworzyły, z windy wysiedli dwaj technicy w białych fartuchach i nie wydawszy jęku zginęli od noży wbitych w serca. Pitt był zdumiony sprawnością, z jaką przeprowadzona została ta akcja. W oczach żadnego z Kubańczyków nie widać było cienia skrpułów.

- Pora podjąć decyzję - powiedział Pitt. - Kabina mieści tylko dziesięciu ludzi.

- Do lądowania wahadłowca pozostało tylko czternaście minut - rzucił ponaglającym tonem Quintana. - Musimy znaleźć siłownię kompleksu i odciąć dopływ prądu.

- Nad nami są jeszcze cztery poziomy. Gabinet Wielikowa znajduje się na najwyższym. Kwatery mieszkalne też. Wy bierzcie jeden z trzech pozostałych.

- To jak gra w trzy karty.

- A co nam pozostaje - warknął Pitt. - A poza tym biegamy wszędzie kupą jak stado baranów. Proponuję rozdzielić się na trzy grupy, z których każda przeszuka jeden poziom. Przetrząsniecie większy obszar w krótszym czasie.

- Niezły pomysł - zgodził się pospiesznie Quintana. - Doszliśmy aż tutaj nie rzucając się nikomu w oczy. Nie będą się spodziewali, że jednocześnie w różnych miejscach pojawią im się w środku goście.

- Ja z pierwszymi ośmioma ludźmi wjadę na poziom drugi i spuszczę na dół windę następnej grupie, która zajmie się poziomem trzecim, i tak dalej.

- Niech będzie. - Quintana nie tracił czasu na dyskusje. Wybrał szybko ośmiu ludzi i kazał im wsiadać do windy z Pittem.

- Tylko nie dajcie się, cholera, pozabijać! - rzucił jeszcze przez zamykające się drzwi.

Jazda na górę zdawała się trwać całą wieczność. Nikt nie patrzył nikomu w oczy. Ten i ów rozmazywał strużki potu ściekające po twarzy. Kilku drapało się nerwowo. Żaden nie odrywał palca od spustu.

W końcu winda stanęła i drzwi się rozsunęły. Kubańscy wysypali się z kabiny wprost do pomieszczenia, w którym mieścił się sztab operacyjny kompleksu. Z miejsca otworzyli ogień do przebywających tam blisko dwudziestu oficerów sowieckiego GRU i czterech kobiet, które również miały na sobie mundury. Większość zginęła za swoimi biurkami zasypana gradem pocisków z broni maszynowej. Umierali z niedowierzaniem w oczach. Po kilku sekundach biuro zamieniło się w jatkę upstrzoną rozbryzgami krwi i strzępami mięsa.

Pitt nie patrzył na to dłużej. Wdusił przycisk poziomu I i wjechał sam na górę, do gabinetu Wielikowa. Zaparty plecami o przednią ścianę kabiny, z gotową do strzału bronią w ręku, rzucił jedno szybkie spojrzenie przez otwierające się drzwi. To, co zobaczył, poraziło go mieszaniną uniesienia i dzikiego gniewu.

W gabinecie siedziało półkolem siedmiu zafascynowanych oficerów GRU wpatrujących się z zachwytem w Fossa Gly'ego, który urządził tam swój sadystyczny seans. Zdawali się całkiem nieświadomi stłumionych odgłosów strzelaniny dochodzących z dołu i Pitt doszedł do wniosku, że zmysły przytępiła im zawartość kilku opróżnionych butelek wina.

Rudi Gunn z twarzą stłuczoną niemal na miążgę odpoczywał pod ścianą i wiedziony jakąś żarliwą dumą usiłował desperacko utrzymać w górze głowę wyrażając w ten sposób swą pogardę dla oprawcy. Jeden z oficerów mierzył z małego pistoletu automatycznego do zakrwawionego Ala Giordina, który siedział przywiązany do metalowego krzesła. Dzielny mały Włoch zwisał bezwładnie w przód dotykając niemal głową kolan i potrząsając nią wolno na boki, jak gdyby chciał w ten sposób spędzić mgłę z oczu i pozbyć się bólu. Jeden z obecnych uniósł nogę i kopnął Giordina w bok przewracając go razem z krzesłem na podłogę. Obok Gly'ego, ale nieco z tyłu siedział Raymond LeBaron. Ten dynamiczny jeszcze do niedawna finansista wyglądał teraz jak cień człowieka. Wydarto mu duszę z ciała. Z pozbawionej wyrazu twarzy wyzierały nie widzące oczy. Gly wycisnął go i wyżał zmieniając człowieka w gnijące warzywo.

Pośrodku pokoju klęczała Jessie LeBaron patrząc wyzywająco na Gly'ego. Pozlepiane w strąki włosy spadały jej na twarz. Otulała się zarzuconym na ramiona kocem. Wystające spod niego nagie nogi i ramiona pokrywały paskudne czerwone pręgi i ciemne sińce. Zdawała się nie cierpieć, jej umysł zubożał już na ból. Ten nadzwyczajny spokój i dumna postawa czyniły ją niewiarygodnie piękną pomimo żalosego wyglądu.

Na dźwięk rozsuwających się drzwi windy Foss i pozostali mężczyźni obejrzeli się, ale widząc pustąabinę, wrócili do swojej zabawy.

Gdy drzwi windy zaczęły się zasuwać, Pitt wkroczył z niemal nieludzkim, lodowatym spokojem do gabinetu, ziejąc ogniem z trzymanego na wysokości oka AK74.

Pierwsze, dokładnie wymierzone strzały dosięgły człowieka, który kopniakiem przewrócił Giordina na podłogę. Druga seria trafiła w pierś obwieszzonego medalami oficera siedzącego obok Gunna,

odrzucając go w tył na półkę z książkami. Trzecia i czwarta skosiły trzech mężczyzn siedzących w zbitej grupce. Pitt zatoczył lufą łuk naprowadzając ją na Fossa Gly'ego, ale potężnie zbudowany zdrajca zareagował szybciej od innych.

Gly poderwał Jessie na nogi i zasłonił się nią jak tarczą. Chwilę zawahania Pitta wykorzystał siódmy Rosjanin siedzący tuż obok niego. Wyrwał z kabury automatyczny pistolet i strzelił nie celując.

Pocisk strzaskał zamek karabinu Pitta i odbijając się rykoszetem trafił w sufit. Pitt poderwał bezużyteczną teraz broń i odskoczył, kiedy lufa pistoletu błyskała następnym strzałem. Od tej chwili wszystko zdawało się rozgrywać jak na zwolnionym filmie. Wolno pojawiał się nawet wyraz przerażenia na twarzy Rosjanina naciskającego spust, by oddać trzeci strzał, który jednak nie padł. Kolba AK74 przecięła powietrze i wgniotła mu do środka bok głowy.

W pierwszej chwili Pitt myślał, że drugi pocisk chybił, ale zaraz potem poczuł krew spływającą mu po szyi z bruzdy w lewym uchu. Stał jak wrośnięty w ziemię i płonąc wciąż furią patrzył, jak Gly brutalnie odpycha od siebie Jessie i jak ta pada na dywan.

Po okrutnej gębie Gly'ego rozlał się szatański uśmiech nadając jej wyraz piekielnej satysfakcji.

- Wróciłeś.

- Bardzoś spostrzegawczy - to znaczy jak na kretyna.

- Obiecałem ci, że jeśli się jeszcze spotkamy, będziesz umierał powoli - wycedził groźnie Gly. - Zapomniałeś już?

- Nie, nie zapomniałem - odparł Pitt. - Pamiętałem nawet, żeby przynieść z sobą solidną maczugę.

Pitt nie miał wątpliwości, że Gly zamierza wydusić z niego życie swoimi potężnymi łapskami. I wiedział, że jego jedyną prawdziwą bronią, poza kijem, jest zupełny brak strachu. Gly przywykł do oglądania swych ofiar bezsilnych i nagich, zastraszonych jego brutalną siłą. Wargi Pitta ułożyły się w taki sam szatański uśmiech i Pitt zaczął podchodzić ostrożnie do Gly'ego obserwując z zimną satysfakcją zmieszanie, jakie pojawiło się w oczach przeciwnika.

Nagle ugiął nogi w baseballowym przysiadzie, zamachnął się kijem jak do niskiej piłki i wyrzucił Gly'ego w kolano. Cios zgruchotał rzepkę i Gly jęknął z bólu, ale nie upadł. W mgnieniu oka doszedł do siebie, rzucił się na Pitta i sapnął boleśnie inkasując potężne uderzenie w klatkę piersiową, które wybiło mu z płuc całe powietrze. Stał przez chwilę obserwując czujnie Pitta, obmacując sobie połamane żebra i chwytając spazmatycznie hausty powietrza.

Pitt cofnął się i opuścił kij.

- Czy nazwisko Brian Shaw coś ci mówi? - spytał spokojnie.

Nienawiść wykrzywająca twarz Gly'ego ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

- Chodzi o tego brytyjskiego agenta? Znałeś go?

- Przed sześcioma miesiącami ocaliłem mu życie na holowniku na rzece Saint Lawrence. Pamiętasz? Miażdżyłeś go w swoim uścisku i nie wyszedłby z tego żywy, gdybym nie zaszedł cię od tyłu i nie zdzielił w łeb kluczem.

Pitt rozkoszował się dzikim blaskiem, jaki zapłonął w oczach Gly'ego.

- To byłeś ty?

- Zabierzesz tę informację do grobu - powiedział Pitt uśmiechając się diabelsko.

- Spowiedź nieboszczyka. - W głosie Gly'ego nie było pogardy, nie było buty, sama tylko niezachwiana pewność.

Nic już nie mówiąc obaj mężczyźni zaczęli krążyć wokół siebie jak dwa wilki - Pitt z uniesionym kijem, Gly wlokąc za sobą zranioną nogę. W pokoju zaległa pełna grozy cisza. Gunn, zmagając się z morzem bólu, podjął wysiłek sięgnięcia po leżący na dywanie pistolet automatyczny, ale Gly dostrzegł kątem oka poruszenie i kopniakiem odsunął broń dalej. Giordino, wciąż przywiązany do krzesła, szarpał się niezdarnie ze sznurami, sfrustrowany swoją bezradnością, podczas gdy Jessie leżała sztywno na podłodze i z chorobliwą fascynacją śledziła walkę.

Pitt postąpił krok w przód i biorąc zamach poślizgnął się na krwi martwego Rosjanina, w którą wdepnął jedną nogą. Kij miał spaść na bok głowy Gly'ego, ale na skutek skrócenia łuku minął cel o sześć cali. Gly poderwał instynktownie rękę i przyjął uderzenie na swe potężne bicepsy.

Drewniana pała zadygotała w dłoniach Pitta, zupełnie jakby grzmotnął nią w zderzak samochodu. Gly wyciągnął błyskawicznie wolną rękę, pochwycił koniec kija i podźwignął go w górę niczym ciężarówiec. Pitt, trzymający się kurczowo kija z drugiej strony, poderwany został w powietrze jak piórko i poszybował przez pół pokoju na ścianę z półkami na książki. Zjechał na podłogę wraz z lawiną oprawnych w skórę tomów.

Jessie i reszta ze smutkiem i z rozpaczą zdali sobie sprawę z tego, że Pitt nie otrząśnie się już ze skutków straszliwego uderzenia o ścianę. Nawet Gly odprężył się i nie spieszył z podejściem do rozciągniętego na podłodze ciała. Na jego wrednej gębie zajaśniał tryumf, usta rozciągnęły mu się jak u rekina pewnego rychłego unicestwienia zdobyczy.

Nagle zamarł i gapił się z niedowierzaniem na Pitta gramolącego się spod góry książek niczym quarterback oszołomiony po strąsnięciu z siebie chmary zawodników drużyny przeciwnej i nieco zdezorientowany, ale gotowy do dalszej gry. Bo, prócz Pitta, nikt z obecnych nie wiedział, że książki złagodziły wstrząs. Cały był poobijany, ale wyszedł z tego bez złamań i bez żadnych poważniejszych obrażeń. Unosząc kij ruszył na spotkanie zbliżającemu się człowiekowi o mięśniach z żelaza i z całych sił przyładował stępionym końcem w wykrzywioną szyderczo mordę.

Ale nie docenił piekielnej siły olbrzyma. Gly odskoczył, odbił kij w bok pięścią i wykorzystując fakt, że siła bezwładności pociągnęła Pitta do przodu, zacisnął żelazne ramiona wokół jego szyi. Pitt okręcił się gwałtownie wokół własnej osi i wpakował kolano w krocze Gly'ego. Ten barbarzyński cios zgiałby wpół każdego normalnego mężczyznę. Ale nie Gly'ego. Ten sapnął tylko cicho, zamrugał

oczyma, po czym wzmógł siłę zajadłego niedźwiedziego uścisku, z którego Pitt nie miał już wyjść żywy.

Gly bez mrugnięcia powiek patrzył w oczy Pitta z odległości czterech cali. Na jego twarzy nie było widać najmniejszej oznaki wkładanego w chwyt wysiłku. Malowało się tam tylko nieodłączne szyderstwo. Uniósł Pitta nad podłogę i ścisnął coraz mocniej wypatrując grymasu przerażenia, który powinien wykrzywić twarz ofiary tuż przed zgonem.

Pittowi powietrze uszło już zupełnie z płuc; rozpaczliwie walczył o oddech. Pokój zaczynał mu się rozmazywać przed oczyma, a piekący ból rozsadył piersi. Słyszał krzyk Jessie, wołającego coś Giordina, ale nie rozróżniał słów. Niesamowite było to, że mimo wszystko zachował sprawność i jasność umysłu. Nie zamierzał poddać się śmierci i na chłodno obmyślił prosty sposób wyprowadzenia jej w pole.

Jedną rękę miał wolną, natomiast druga, ta dzierżąca wciąż baseballowy kij, tkwiła w bezlitosnym uścisku Gly'ego. Ciemna kurtyna znów zaczęła mu opadać na oczy i przystępując do wprowadzenia w czyn swego ostatniego desperackiego planu miał świadomość, że od śmierci dzieli go już tylko sekundy.

Podniósł rękę do poziomu twarzy Gly'ego, wbił mu w oko kciuk, wepchnął do oporu w głąb czaszki i wraził głęboko w mózg.

Szok starł z twarzy Gly'ego szyderstwo, szok wywołany niewyobrażalnym bólem i zaskoczeniem. Jego ponura gęba wykrzywiła się w maskę udręki i Gly, rozplótłszy instynktownie ramiona, którymi otaczał Pitta, poderwał dłonie do oka wydając z siebie przeraźliwy wrzask.

Pomimo tej strasznej rany utrzymał się na nogach i miotał się po pokoju jak rozszalałe zwierzę. Pitt nie mógł uwierzyć, że ten potwór wciąż żyje, zaczynał już podejrzewać, że Gly jest niezniszczalny - ale w końcu ogłuszający ryk ścichł i przeszedł w bolesne skamlenie.

Raz, drugi, trzeci, spokojnie i z zimną krwią Jessie nacisnęła na spust bezpańskiego pistoletu trafiając Gly'ego w krocze. Pociski weszły weń jak w masło i Gly zatoczył się kilka kroków w tył, a potem znieruchomiał i stał przez parę chwil niczym podtrzymywana przez sznurki groteskowa kukła. W końcu kolana się pod nim ugięły i runął z łomotem na podłogę jak ścięte drzewo. Jedno oko, czarne i po śmierci tak samo diabelskie jak za życia, miał wciąż otwarte.

ROZDZIAŁ 56

Major Gus Hollyman, zawodowy pilot Sił Powietrznych USA z prawie trzystoma wylatanymi godzinami na koncie, był nie na żarty wystraszony. Dręczyły go ostre napady wątpliwości, a zwątpienie to jeden z najgorszych wrogów pilota. Brak zaufania do siebie samego, do swojego samolotu albo do ludzi pełniących służbę na ziemi mógł się okazać fatalny w skutkach.

Nie mógł uwierzyć, że powierzone mu zadanie zestrzelenia wahadłowca kosmicznego *Gettysburg* to coś więcej niż nedorzeczne ćwiczenie zrodzone w zwichrowanym umyśle jakiegoś jajogłowego generała z zacięciem do wydumanych gier wojennych. Symulacja, powtarzał sobie po raz dziesiąty, to na pewno symulacja, która w ostatniej chwili zostanie przerwana.

Hollyman spojrział w górę, na gwiazdy widoczne poprzez kopułę kabiny nocnego myśliwca szturmowego F15E, i spróbował odpowiedzieć sobie na pytanie, czy naprawdę wykonałby rozkaz zniszczenia wahadłowca wraz ze wszystkimi ludźmi znajdującymi się na jego pokładzie.

Opuścił wzrok na zegary jarzące się przed nim na tablicy przyrządów. Leciał na wysokości przekraczającej nieco 50 000 stóp. Przed odpaleniem naprowadzanego radarem pocisku Modoc będzie miał niecałe trzy minuty na zbliżenie się do gwałtownie wytracającego wysokość wahadłowca i wyjście na pozycję. Automatycznie przepowiedział sobie w myślach procedurę, żywiąc przez cały czas nadzieję, że cała sprawa skończy się na teorii.

- Masz już coś? - spytał żującego gumę porucznika nazwiskiem Regis Murphy, który obserwował ekran radaru.

- Wciąż poza zasięgiem - odparł Murphy. - Z aktualnych informacji z Centrum Kosmicznego w Kolorado wynika, że cel znajduje się na wysokości dwudziestu sześciu mil, leci z szybkością około sześciu tysięcy mil na godzinę i wyhamowuje. W nasz sektor wejdzie za pięć minut i czterdzieści sekund z szybkością tysiąca dwustu mil na godzinę.

Hollyman obejrzał się przez ramię i omiółł wzrokiem czarne niebo za ogonem myśliwca. Dostrzegł tam nikły blask gazów wylotowych dwóch samolotów podążających jego śladem.

- Słyszysz mnie, Lis Dwa?

- Roger, Lis Przewodnik.

- Lis Trzy?

- Słyszemy.

W głosie Hollymana wyczuwało się nastrój przygnębienia. To wszystko zdecydowanie mu się nie podobało. Nie po to poświęcił życie dla obrony kraju, nie po to spędził wiele lat na intensywnym szkoleniu, by teraz strącać z nieba nie uzbrojony samolot z niewinnymi naukowcami na pokładzie. Coś tu nie grało.

- Kontrola w Kolorado, tu Lis Przewodnik.

- Słucham cię, Lisie Przewodniku.

- Proszę o zezwolenie na zakończenie ćwiczenia, odbiór. Nastąpiła długa pauza. Potem Kolorado znowu się odezwało:

- Majorze Hollyman, tu generał Allan Post. Słyszysz mnie pan? To pewnie ten jajogłowy generał, pomyślał z przekąsem Hollyman.

- Tak, generale, słyszę pana.

- To nie są ćwiczenia. Powtarzam, to nie są ćwiczenia. Hollyman nie owijał w bawełnę.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, o co mnie pan prosi, sir?

- Ja nie proszę, majorze. Ja wydaję panu bezpośredni rozkaz zestrzelenia *Gettysburga*, zanim ten wyląduje na Kubie.

Rozkaz poderwania trzech maszyn zespołu Hollymana przyszedł tak nagle, że nie było czasu na porządną odprawę. Teraz Hollyman był ogłuszony i zdezorientowany tym, co usłyszał od Posta.

- Proszę wybaczyć, że pytam, generale, ale działa pan z upoważnienia najwyższego dowództwa? Odbiór.

- Czy uhonoruje pan polecenie pochodzące wprost od pańskiego głównodowodzącego z Białego Domu?

- Tak jest, sir - powiedział powoli Hollyman. - Chyba tak.

Boże, pomyślał z rozpaczą, a więc nie ma odwrotu.

- Wysokość dwadzieścia dwie mile, dziewięć minut do przyziemienia. - Burkhart odczytywał Jurgensowi wskazania przyrządów pokładowych. - Mamy światła z prawej.

- Co jest grane, Houston? - spytał Jurgens z twarzą zastygłą w wyrazie niepokoju. - Gdzie nas, do cholery, sprowadzacie?

- Nie denerwujcie się - odpowiedział beznamiętny głos głównego kontrolera lotu, Foleya. - Schodzisz wspañiale. Tak trzymaj, a my juŹ cię posadzimy.

- Ze wskazañ radaru i przyrzadów nawigacyjnych wynika, Źe lądujemy pośrodku Kuby. Sprawdzcie to, proszę, od swojej strony.

- Nie ma potrzeby, *Gettysburg*, jesteś w ostatniej fazie podchodzenia.

- Houston, my się chyba nie rozumiemy. Pytam jeszcze raz, gdzie nas sadzacie?

Nie było odpowiedzi.

- Słuchajcie - powiedział Jurgens bliski rozpaczcy. - Przechodzę na sterowanie ręczne.

- Nie róób tego, Dave. Pozostañ na automatycznym pilocie. Miejsce lądowania jest zaprogramowane we wszystkich systemach.

Jurgens zacisnął pięści z bezsilnej złości.

- Dlaczego? - zapytał. - Dlaczego to robicie?

Nie było odpowiedzi.

Jurgens spojrział na Burkarta.

- Daj reduktory szybkości z powrotem na zero procent. Przechodzimy na TAEM *.[* Terminal Area Energy Management - proces spowalniania wytracania szybkości i wysokości.] Będę utrzymywał ten statek w powietrzu tak długo, jak się da, dopóki nie uzyskamy rzetelnych odpowiedzi.

- Odwlekasz tylko o parę minut to, co nieuniknione - zauważył Burkart.

- To mamy położyć na wszystko łaskę i czekać z założonymi rękami?

- Nie mamy juŹ wyboru - odparł z przygnębieniem Burkart. - Nigdzie indziej nie dolecimy.

Prawdziwy Merv Foley siedział za pulpitem sterowniczym w Centrum Kontroli Lotów w Houston i skręcał się z bezsilnej wściekłości. Jego twarz koloru kredy wyrażała niedowierzenie. W pewnej chwili rąbnął w pulpit pięścią.

- Tracimy ich - mruknął załamany.

- Nasi łącznościowcy robią, co mogą, Źeby przywrócić kontakt - powiedział Irwin Mitchell, członek "jądra", stojący za jego plecami.

- Za późno, cholera! - wybuchnął Foley. - Są w ostatniej fazie podchodzenia. - Odwrócił się i chwycił Mitchella za ramię. - Irv, na miłość boską, ubłagaj prezydenta, żeby pozwolił im wylądować. Oddajmy wahadłowiec Rosjanom, niech sobie zabierają z niego, co chcą. Ale, na Boga, nie skazujmy tych ludzi na śmierć.

Mitchell spojrział tępo w górę na ekrany wypełnione danymi.

- Tak będzie lepiej - powiedział niezdecydowanie.

- Przecież ci księżycowi koloniści... oni są waszymi ludźmi. Po tym wszystkim, czego dokonali, po tych latach walki o przetrwanie w zabójczym środowisku, nie możecie spisać ich tak po prostu na straty, kiedy są już tak blisko domu.

- Nie znasz tych ludzi. Nigdy by nie pozwolili, żeby wyniki ich wysiłków wpadły w ręce wrogiego rządu. Gdybym ja był tam w górze, a Eli Steinmetz tu, na dole, on nie zawahałby się zetrzeć *Gettysburga* na proch.

Foley patrzył przez długą chwilę na Mitchella. Potem odwrócił się do niego plecami i, przybity, ukrył twarz w dłoniach.

Jessie uniosła głowę i wpatrywała się w Pitta zamglonymi, kawowobrazowymi oczami, a po jej posiniaczonych policzkach spływały łzy. Dygotała teraz; dygotała zarówno z szoku wywołanego wszechobecną śmiercią, jak i z niezmiernej ulgi. Pitt objął ją bez skrępowania i nic nie mówiąc wyjął jej z dłoni pistolet. Puściwszy ją zaraz, przeciął szybko więzy krępujące Giordina, uspokajająco uściśnął ramię Gunna i podszedł do wielkiej mapy ściennej.

Opukał ją knykciami oceniając na ucho grubość muru. Potem cofnął się i rąbnął podeszwą buta w sam środek Oceanu Indyjskiego. Zamaskowana płyta ustąpiła otwierając się do wewnątrz na zawiasach i wałąc tam z hukiem o ścianę.

- Zaraz wracam - rzucił Pitt do przyjaciół i zniknął w przejściu.

Było ono dobrze oświetlone i wyłożone dywanem. Gnał przed siebie z pistoletem w wyciągniętej dłoni nie zachowując żadnych środków ostrożności. W klimatyzowanym korytarzyku panował chłód, ale pot lał się z niego obficie niż kiedykolwiek. Otarł rękawem czoło, przesłaniając sobie na moment pole widzenia i omal nie przyplącił tego życiem.

Dopadał właśnie do skrzyżowania z innym korytarzem, gdy, jak w scenie ze starego filmu niemego z Maćkiem Sennettem, zderzył się z dwoma strażnikami, którzy wychodzili zza węgła.

Roztrącając żołnierzy przedarł się między nimi, odwrócił na pięcie i padł na podłogę. Efekt zaskoczenia stawiał go w korzystniejszej sytuacji. Strażnicy nie spodziewali się napotkać wroga tak blisko gabinetu Wielikowa. Pitt - wprost przeciwnie. Zanim oniemiałi strażnicy zdążyli pomyśleć o odbezpieczeniu broni, cztery razy huknął automat. Pitt zerwał się na równe nogi, kiedy tamci jeszcze padali.

Przez dwie, może trzy sekundy - a wydawało mu się, że to godzina - wpatrywał się w bezwładne ciała dziwnie obojętny na śmierć, jaką im zadał, ale oszołomiony szybkością, z jaką się to wszystko odbyło. Był wyczerpany psychicznie i emocjonalnie, fizycznie czuł się nieźle. Wciągał w płuca głębokie hausty powietrza, dopóki jego umysł nie otrząsnął się z mgły otępienia. Kiedy odzyskał jasność myśli, zaczął dedukować, który z korytarzy może prowadzić do elektronicznego centrum kompleksu.

Korytarz boczny miał betonową posadzkę, zdecydował się więc na ten wyłożony dywanem i popędził dalej. Przebiegł zaledwie pięćdziesiąt stóp, kiedy szare komórki wreszcie zaskoczyły i przekląły swoją ociężałość umysłową, przez którą nie przyszło mu do głowy, żeby zabrać jeden z karabinów zabitych strażników. Wyszarpnął magazynek automatu. Był pusty. Pozostał tylko jeden nabój w komorze. Machnął ręką na swój błąd i pobiegł dalej.

Niebawem ujrzał przed sobą odbłask światła i usłyszał głosy. Zwolnił, podkradł się jak duch do wylotu korytarza i wyjrzał z czujnością myszy wystawiającej łepkę ze swojej dziury, niepewnej, czy nie nadzieje się na kota.

Sześć stóp od niego biegła barierka pomostu górującego nad ogromną salą zastawioną równymi rzędami komputerów i pulpitów sterowniczych ciągnących się pod dwoma wielkimi ekranami, na których wyświetlane były jakieś dane. Siedziało tam co najmniej dziesięciu techników i inżynierów obsługujących z profesjonalnym spokojem nagromadzony w pomieszczeniu sprzęt elektroniczny, a dalsze pięć osób prowadziło na stojąco ożywioną dyskusję.

Pod jedną ze ścian sali czaiło się kilku umundurowanych strażników z gotowymi do strzału karabinami, wymierzonymi w masywne, stalowe drzwi. Z zewnątrz dochodziły odgłosy strzelaniny i Pitt nie miał wątpliwości, że za chwilę wdrze się tu Quintana ze swymi ludźmi. Teraz naprawdę pożałował, że nie odebrał broni zabitym strażnikom. Miał już zawrócić i pobiec po nią, kiedy nagle salę wypełnił potężny grzmot, a zaraz potem wielka chmura pyłu i grad odłamków z rozerwanych drzwi, które najpierw wyrzუსzyły się niebezpiecznie, a potem poszły w kawałki.

Zanim pył zdążył osiąść, Kubańczycy wpadli przez powstały otwór w ścianie, grzejąc w biegu seriami. Pierwsi trzej padli od kul strażników. Odnosiło się wrażenie, że wyparowali w morderczym ogniu. Hałas, jaki zapanował w betonowych ścianach pomieszczenia, był ogłuszający, ale mimo to Pitt słyszał krzyki rannych. Większość techników schowała się pod pulpitemi. Tych, którzy stawiali opór, bezlitośnie mordowano.

Pitt, przywierając plecami do ściany, posuwał się wzdłuż pomostu. Nagle, trzydzieści stóp przed sobą, dostrzegł dwóch mężczyzn patrzących z najwyższym przerażeniem na trwającą pod nimi rzeź. W jednym z nich rozpoznał generała Wielikowa i zaczął się ku niemu podsuwać niczym drapieżnik podchodzący swoją ofiarę. Nim zdążył zrobić kilka kroków, Wielikow cofnął się od barierki i odwrócił. Przez chwilę patrzył tępo na Pitta, potem jego oczy rozszerzyło zdumienie i, rzecz nieprawdopodobna, uśmiechnął się. Ten człowiek nie miał w ogóle nerwów.

Pitt uniósł pistolet i nie spiesząc się wycelował go w Wielikowa.

Wielikow zareagował z kocią szybkością, przyciągając do siebie jednym szarpnięciem towarzyszącego mu mężczyznę i zasłaniając się nim jak tarczą na ułamek sekundy przed tym, jak kurek spadł na spłonkę.

Pocisk ugodził Lwa Majskiego w pierś. Sparaliżowany szokiem zastępca szefa KGB stał przez chwilę z oczyma w słupek, a potem zatoczył się w tył, przeleciał przez barierkę i runął głową w dół.

Pitt machinalnie nacisnął spust po raz drugi, lecz magazynek był już pusty. W geście rozpaczy cisnął pistoletem w Wielikowa, ale ten zręcznie zasłonił się ręką.

Wielikow pokiwał głową, a jego twarz zdradzała nie tyle strach, co zaciekawienie.

- Zdumiewający z pana człowiek, panie Pitt.

Zanim Pitt zdążył odpowiedzieć albo postąpić choćby krok, generał skoczył w bok w otwarte drzwi i zatrzasnął je za sobą. Pitt dopadł drzwi jednym susem, ale było już za późno. Zamek znajdował się od wewnątrz i Wielikow nie omieszkął go zaryglować. O wyłamaniu go kopniakiem nie było mowy. Masywny rygiel tkwił solidnie w metalowej framudze. Pitt uniósł pięść, by zabębnić w drzwi, ale w ostatniej chwili rozmyślił się, odwrócił na pięcie i zbiegł schodami na dół.

Przeskakując leżące na podłodze trupy przedarł się przez pogrążoną w chaosie salę do Quintany zajętego opróżnianiem magazynka swojego AK-74 do ciągu komputerów.

- Zostaw to! - wrzasnął Quintanie do ucha. Wskazał na radiostację. - Jeśli twoi ludzie nie zniszczyli jeszcze anteny, to może uda mi się połączyć z wahadłowcem.

Quintana opuścił karabin i spojrzał na niego.

- Napisy są po rosyjsku. Potrafisz to obsługiwać?

- Nigdy się nie dowiem, jeśli nie spróbuję - powiedział Pitt. Usiadł przy pulpicie i ogarnął pospiesznie wzrokiem przyrządzone o zawrót głowy morze opisanych cyrylicą lampek i przełączników.

Quintana pochylił się i zajrzał Pittowi przez ramię.

- Nie da rady, nie znajdziesz na czas właściwej częstotliwości.

- Jesteś katolikiem?

- Tak, a co?

- To pomódl się do tego świętego od zbłąkanych duszyczek i błagaj go, żeby ten chłam był już nastrojony na częstotliwość wahadłowca.

Pitt założył na ucho małą słuchawkę i naciskając na wycucie klawisze uzyskał wreszcie ton kontrolny. Następnie wyregulował mikrofon i wdusił jeden z przycisków, który (tak przypuszczał i miał gorącą nadzieję, że się nie myli) służył do przełączania aparatury na nadawanie.

- Halo, *Gettysburg*, słyszysz mnie? Odbiór. - Teraz nacisnął klawisz odbioru, tego był już pewien.

Nic.

Powtórzył wezwanie naciskając inny, a potem jeszcze inny klawisz.

- *Gettysburg*, słyszysz mnie? Odbiór.

Wdusił czwarty z kolei przycisk.

- *Gettysburg*, *Gettysburg*, odezwij się, proszę - w jego głosie pojawił się błagalny ton. - Słyszysz mnie? Odbiór.

Cisza, a po chwili:

- Tu *Gettysburg*. Kto tam, do cholery? Odbiór.

Ten niespodziewany odzew, czysty i wyraźny, tak Pitta zaskoczył, że upłynęły prawie trzy sekundy, zanim odzyskał głos.

- Nazywam się Dirk Pitt, ale to w tej chwili najmniej ważne. *Gettysburg*, na miłość boską, zmień kurs. Powtarzam, zmień kurs. Schodzisz prosto na Kubę.

- Też mi nowina - prychnął Jurgens. - Nie utrzymam tego pudła w powietrzu dłużej niż kilka sekund, w związku z czym muszę lądować na najbliższym pasie startowym. Nie mamy już wyboru.

Pitt nie odpowiedział od razu. Przymknął oczy i starał się zebrać myśli. Nagle doznał olśnienia.

- *Gettysburg*, dasz radę dociągnąć do Miami?

- Nie dam. Odbiór.

- Spróbuj chociaż do bazy lotnictwa morskiego na Key West. To na samym czubku Keys.

- Zrozumieliśmy. Komputery pokazują, że to sto dziesięć mil na północ i trochę na wschód od nas. Nikła nadzieja. Odbiór.

- Lepiej utopić go w morzu, niż oddać Rosjanom.

- Łatwo ci mówić. Mamy na pokładzie dwanaście osób. Odbiór.

Pitt bił się z myślami, niepewny, czy wolno mu wziąć na siebie rolę Boga.

- *Gettysburg* - wydusił wreszcie - mimo wszystko spróbuj! Weź kurs na Keys.

Nie mógł tego wiedzieć, ale Jurgens zamierzał właśnie podjąć taką samą decyzję.

- Czemu nie? Co mamy do stracenia, nie licząc samolotu za miliard dolarów i siebie samych? Trzymaj kciuki.

- Kiedy teraz zejdziesz z anteny, będziesz mógł przywrócić łączność z Houston - powiedział Pitt. - Powodzenia, *Gettysburg*. Wracajcie bezpiecznie do domu. Koniec.

Pitt opadł na oparcie fotela. Był wykończony. W zdemolowanej sali panowała dziwna cisza, cisza podkreślana tylko słabymi jękami rannych. Podniósł wzrok na Quintana i uśmiechnął się blado. Jego rola w tej akcji dobiegła końca. Pozostawało tylko zabrać przyjaciół i wracać do domu.

I w tym momencie przypomniawszy mu się La Dorada.

ROZDZIAŁ 58

Gettysburg, sunący cicho lotem ślizgowym poprzez noc, stanowił wspaniały cel. Dysze jego wyłączonych silników nie jaśniały co prawda blaskiem, ale od dzioba po rufę oświetlały go błyskające światła pozycyjne. Hollyman widział go jak na dłoni zaledwie ćwierć mili przed sobą i nieco poniżej nosa swojego myśliwca szturmowego. Wiedział teraz, że dla wahadłowca i lecących nim ludzi nie ma już ratunku. Od ognistego końca dzieliły go już tylko sekundy.

Hollyman przystąpił mechanicznie do czynności związanych z przygotowaniem się do ataku. Wyświetlacze z tablicy przyrządów dostarczały niezbędne informacje o szybkości i dane nawigacyjne oraz stan i proponowane nastawy systemów odpalania pocisków. Lot wahadłowca śledził automatycznie komputer cyfrowy i Hollyman poza naciśnięciem guzika nie miał wiele do roboty.

- Kontrola w Kolorado, zająłem pozycję do ataku.

- Zrozumiałem, Lisie Przewodniku. Cztery minuty do przyziemienia. Atakuj.

Hollyman cierpiał męki niezdecydowania. Ogarnęła go taka fala odrazy do tego, co robi, że chwilowo nie był zdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Żywił jeszcze płonną nadzieję, że zaszła tu jakaś straszna pomyłka i *Gettysburg*, podobnie jak prowadzony na śmierć skazaniec z filmu, który kiedyś oglądał, zostanie w ostatniej chwili ułaskawiony z woli prezydenta.

Obiecująca kariera Hollymana w Siłach Powietrznych USA była skończona. Mimo że wykonywał tylko rozkazy, zostanie na zawsze naznaczony piętnem człowieka, który zestrzelił *Gettysburg* wraz z załogą. Odczuwał teraz strach i gniew, jakich dotąd nie doświadczał.

Nie potrafił się pogodzić z losem ani zrozumieć, dlaczego to właśnie jego wybrano na kata. Posłał pod nos soczystą wiązanek politykom, którzy podejmowali wojskowe decyzje i przez których znalazł się teraz w tym miejscu.

- Powtórz, Lisie Przewodniku. Źle cię było słychać.

- Nie, nic. Nieważne.

- Czemu zwlekasz? - zapytał generał Post. - Rozpoczynaj atak, natychmiast!

Palce Hollymana zawisły nad przyciskiem spustowym.

- Boże, przebacz mi - wyszeptał.

I nagle cyfry na wyświetlaczu aparatury śledzącej zaczęły się zmieniać. Zaintrygowany rzucił na nie okiem. Potem wlepił wzrok w wahadłowiec. Wyglądało na to, że *Gettysburg* zawraca.

- Kontrola w Kolorado! - wrzasnął do mikrofonu. - Tu Lis Przewodnik. *Gettysburg* zboczył z dotychczasowego kursu podchodzenia do lądowania. Słyszycie? *Gettysburg* skręca w lewo i kieruje się na północ.

- Zrozumieliśmy, Lisie Przewodniku - odparł Post z wyraźną ulgą w głosie. - Mamy tę zmianę kursu na naszym wyświetlaczu. Utrzymaj pozycję i pozostań z wahadłowcem. Ci faceci mogą potrzebować wszelkiego moralnego wsparcia, jakie możemy im zagwarantować.

- Z przyjemnością - przystał ochoczo Hollyman. - Z przyjemnością.

Salę koordynacji lotów Centrum Kosmicznego Johnsona spowijał całun milczenia. W zespole naziemnym składającym się z czterech kontrolerów oraz w gęstniejącym tłumie naukowców i urzędników z NASA wciąż panowało przygnębienie. Nikt z obecnych nie zdawał sobie sprawy z rozgrywanego przez siły powietrzne dramatu, który omal nie skończył się fatalnie. Sieć śledząca centrum wykazała nagły skręt wahadłowca na północ, ale mógł to być manewr związany z korektą kursu albo rozpoczęciem przygotowań do lądowania.

I raptem ciszę panującą w sali przerwał wyraźny głos Jurgensa.

- Houston, tu *Gettysburg*. Słyszycie mnie? Odbiór.

W sali operacyjnej rozpętało się istne pandemonium wiwatów i aplauzu. Merv Foley zareagował natychmiast.

- Zrozumiałem, *Gettysburg* - rzucił do mikrofonu. - Witaj na starych śmieciach.

- Czy rozmawiam z prawdziwym Mervem Foleyem?

- Jeśli jest nas dwóch, to mam nadzieję, że złapię tego drugiego, zanim zdąży podpisać naszym nazwiskiem górę czeków.

- W porządku, jesteś ten Foley.

- Jaka jest twoja sytuacja, Dave? Odbiór.

- Śledzicie mnie?

- Od kiedy oddzieliłeś się od stacji kosmicznej, wszystkie systemy, prócz łączności i kierowania lotem, działały bez zarzutu.

- No to wiecie, że jestem teraz na wysokości 44 000 stóp i lecę z szybkością 1100. Próbowujemy wylądować w bazie lotnictwa morskiego na Key West. Odbiór.

Foley spojrzał z napięciem na Irwina Mitchella.

Mitchell skinął głową i poklepał Foleya po ramieniu.

- Zrób, co w twojej mocy, i doprowadź tych chłopaków do domu.

- To dobre czterysta mil poza ich zasięgiem - stwierdził zgnębiony Foley. - Mamy do czynienia ze stutonowym samolotem, który schodzi lotem ślizgowym z szybkością 10 000 stóp na minutę po torze siedem razy bardziej stromym niż tor rejsowego odrzutowca. To się nigdy nie uda.

- Nigdy nie mów "nigdy" - upomniał go Mitchell. - Powiedz im teraz, że na to idziemy. I postaraj się nadać głosowi beztroskie brzmienie.

- Beztroskie? - Foley poświęcił kilka sekund na wzięcie się w karby, po czym wdusił przycisk nadawania.

- W porządku, Dave, rozpracujemy ten problem i doprowadzimy cię do Key West. Lecisz na TAEMie? Odbiór.

- Tak. Stosujemy wszystkie opisane w podręczniku chwyt, byle tylko spowolnić wytracanie wysokości. Będziemy musieli zrezygnować z normalnych procedur podchodzenia do lądowania na rzecz wydłużenia zasięgu. Odbiór.

- Zrozumiałem. W tej chwili stawiane są w stan pogotowia wszystkie pływające i latające jednostki ratownicze w tym rejonie.

- Nie zawadziłoby powiadomić marynarkę, że spadamy im na śniadanie.

- Zrobi się - powiedział Foley. - Nie wyłączaj się.

Wystukał na klawiaturze polecenie wyświetlenia danych śledzenia na monitorze. *Gettysburg* opadł już poniżej 39 500 stóp i miał jeszcze w zapasie osiem mil.

Podszedł Mitchell. Nie odrywając wzroku od trajektorii wahadłowca wyświetlanej na gigantycznym ekranie ściennym założył słuchawki i wywołał Jurgensa.

- Dave, tu Irwin Mitchell. Przejdź z powrotem na automatykę. Zrozumiałeś? Odbiór.

- Zrozumiałem, Irv, ale nie uśmiecha mi się to.

- Lepiej, żeby ten etap podejścia obsłużyły komputery. Będziesz mógł przejść na sterowanie ręczne na dziesięć mil przed przyziemieniem.

- Zrozumiałem, wyłączam się.

Foley spojrział pytająco na Mitchella.

- No i jak? - spytał tylko.

Mitchell odetchnął głęboko.

- Na styk.

- Dadzą radę?

- Jeśli wiatr się nie zmieni, mają minimalną szansę. Ale jak wykręci na poprzeczny i przyspieszy do pięciu węzłów, to po nich.

W kabinie *Gettysburga* nie było miejsca na strach. Brakowało na to czasu. Jurgens bardzo uważnie śledził trajektorię schodzenia na monitorach komputerów. Przebierał w powietrzu palcami jak pianista przed koncertem, z niecierpliwością wyczekując chwili, kiedy przejmie wreszcie stery wahadłowca, by przeprowadzić go przez ostatnią fazę lądowania.

- Mamy eskortę - zauważył Burkhart.

Jurgens po raz pierwszy oderwał oczy od przyrządów i spojrział przez okno. Ledwie odróżnił majaczącą tam sylwetkę myśliwca F15 lecącego równoległym kursem w odległości około dwustu jardów. Gdy tak patrzył, pilot włączył swoje światła pozycyjne i pomachał skrzydłami. To samo uczyniły dwa towarzyszące mu samoloty. Jurgens przełączył radio na kanał wojskowy.

- Skąd się tu wzięliście, chłopaki?

- A lataliśmy w okolicy za dziewczynami i zauważyliśmy waszą maszynę - odparł Hollyman. - Możemy w czymś pomóc? Odbiór.

- Macie może linkę holowniczą? Odbiór.

- Nowiutką.

- Dzięki, że tu jesteście. Koniec.

Jurgens poczuł się trochę pewniej. Jeśli nie dociągną do Key West i będą musieli wodować, to przynajmniej te myśliwce naprowadzą na nich ratowników. Skupił się znowu na przyrządach, zastanawiając się leniwie, dlaczego Houston nie łączy go jeszcze z bazą lotnictwa morskiego na Key West.

- Co to, u diabła, znaczy, że Key West jest zamknięte? - wrzasnął Mitchell do pobladłego inżyniera stojącego obok ze słuchawką telefonu w ręku. Wyrwał mu ją nie czekając na odpowiedź. - Z kim rozmawiam? - rzucił.

- Tu dowódca zmiany, porucznik Redfern.

- Jest pan w pełni świadomy powagi sytuacji?

- Wyjaśniono nam sytuację, sir, ale nic na to nie poradzimy.

Wczesnym wieczorem tankowiec powietrzny zahaczył o naszą linię energetyczną i lotnisko jest pozbawione prądu.

- A generatory awaryjne?

- Prądnica napędzana silnikiem dieslowskim pracowała bez zarzutu przez sześć godzin, a potem nawaliła. Jakaś mechaniczna awaria. Naprawiają ją teraz i za godzinę powinna już być sprawna.

- Za późno, cholera - warknął Mitchell. - *Gettysburg* będzie u was za dwie minuty. Macie jakieś możliwości prowadzenia ich w ostatniej fazie podejścia?

- Żadnych - odparł dowódca. - Nasz sprzęt nie działa.

- To ustawcie wzdłuż pasa startowego samochody i ciężarówki z pozapalonymi reflektorami, cokolwiek, byle tylko oświetlić powierzchnię.

- Zrobimy, co się da, sir, ale niewiele zdołamy, bo o tej porze mam na służbie tylko czterech ludzi. Przykro mi.

- Nie jest pan jedynym, któremu przykro - mruknął z wściekłością Mitchell i rzucił słuchawkę na widełki.

- Powinniśmy już mieć pas startowy w zasięgu wzroku - powiedział niespokojnie Burkhart. - Widzę światła miasta na Key West, ale ani śladu bazy lotniczej.

Na czole Jurgensa po raz pierwszy pojawił się nikły odblask potu.

- Cholernie dziwne, że nie słyszymy jeszcze ich wieży kontrolnej.

W tym momencie rozległ się napięty głos Mitchella:

- *Gettysburg*, baza Key West ma awarię zasilania. Starają się oświetlić pas startowy reflektorami samochodowymi. Kierujemy was na podejście od wschodu, tak że będziecie lądować idąc kursem zachodnim. Pas ma siedem tysięcy stóp długości. Jeśli nie zdążycie wyhamować, władujecie się w park rekreacyjny. Zrozumieliście? Odbiór.

- Jasne, Kontrola. Zrozumieliśmy.

- Mamy was na 11300 stopach, Dave. Szybkość 410. Jedna minuta dziesięć sekund i sześć mil do przyziemienia. Przechodź na pełne sterowanie ręczne. Odbiór.

- Zrozumiałem, przechodzę na ręczne.

- Widzisz już pas startowy?

- Jeszcze nie.

- Przepraszam, że przerywam, *Gettysburg*. - To Hollyman włączył się na częstotliwość NASA. - Ale pomyślałem sobie, że ja i moje chłopaki moglibyśmy podciągnąć twoje saneczki. Wysforujemy się naprzód i oświetlimy ci drogę. Odbiór.

- Jestem ci wielce zobowiązany, chłopcze - powiedział z wdzięcznością Jurgens i spojrzał przez okno.

Trzy F15 przyspieszyły, wyprzedziły go i opuściły nosy mierząc nimi w Key West. Po chwili utworzyły szyk torowy i lecąc już jeden za drugim włączyły reflektory lądowania. Z początku jasne snopy światła odbijały się tylko od wody, potem oświetliły przybrzeżne mielizny i w końcu wsunęły się na pas startowy bazy lotnictwa morskiego.

Twarz Jurgensa zdradzała wysiłek, jaki wkładał w koncentrację. Wahadłowiec leciał posłusznie tam, gdzie mu kazał, ale w żadnym wypadku nie był przystosowany do szybowania w powietrzu jak papierowy samolocik. Burkhart odczytywał na głos wskazania szybkościomierza i wysokościomierza, dzięki czemu Jurgens mógł skupić całą uwagę na sterowaniu lotem.

- *Gettysburg*, jesteś trzysta stóp poniżej minimum - poinformował Foley.

- Jak go podciągnę choćby o cal w górę, to stanie.

Zdawało się, że pas startowy będzie im rósł przed oczami całą wieczność. Wahadłowiec dzieliło od niego jeszcze tylko cztery mile, a wydawało się, że to sto. Jurgens nie dopuszczał do siebie myśli o porażce. Nie mogło się nie udać. Każdą komórką mózgu dopingował *Gettysburg* do utrzymania się w powietrzu.

- Szybkość 320, wysokość 1600, trzy mile do pasa - zameldował Burkhart. Głos miał lekko schrypnięty.

Jurgens dostrzegł teraz migotliwe światła ognisk i sprzętu awaryjnego. Myśliwce wisiały nad nim oświetlając swoimi reflektorami lądowania długą na 1,5 mili i szeroką na 200 stóp wstęgę betonu.

Wahadłowiec pożerał odległość dzielącą go od pasa schodząc stromo w dół. Jurgens nie ważył się zadrzeć mu bardziej nosa. Linia brzegowa połyskiwała w blasku reflektorów lądowania co najwyżej dziewięćdziesiąt stóp pod nim. Do ostatniej sekundy zwlekał z naciśnięciem klawisza i wypuszczeniem podwozia. Normalna procedura lądowania wymagała dotknięcia pasa startowego kołami dopiero w odległości 2760 stóp od jego początku, ale Jurgens, wstrzymując oddech, modlił się, żeby w ogóle dociągnęli do betonu.

Płycizny zamigotały pod brzuchem w oślepiających snopach światła i umknęły w tył znikając w zalegających tam ciemnościach. Burkhart, trzymając się kurczowo poręczy fotela, recytował monotonnym głosem malejące liczby.

- Szybkość 205. Podwozie główne dziesięć stóp... pięć stóp... trzy stopy... dwie stopy... jedna, kontakt.

Cztery ogromne opony podwozia głównego grzotnęły z głuchym łomotem o twardą powierzchnię i zaprotestowały przeciwko nagłemu oporowi tarcia obłoczkiem dymu. Później okazało się, że Jurgens posadził wahadłowiec zaledwie czterdzieści siedem stóp od początku pasa startowego. Jurgens opuszczał już łagodnie dziób, żeby doprowadzić do kontaktu przedniego kółka z podłożem, a potem nacisnął oba pedały hamulców naraz. Wahadłowiec toczył się po pasie wytracając szybkość i stanął z zapasem tysiąca stóp.

- Udało im się! - zawył przez radio Hollyman.

- *Gettysburg* do Kontroli w Houston - powiedział Jurgens ze słyszalnym westchnieniem ulgi. - Stoimy.

- Wspaniale! Wspaniale! - krzyknął Foley.

- Moje gratulacje, Dave - zawtórował mu Mitchell. - Nikt nie zrobiłby tego lepiej.

Burkhart spojrzał bez słowa na Jurgensa i pokazał mu tylko uniesiony w górę kciuk.

Jurgens siedział w fotelu odczuwając wciąż skutki wzmożonej podaży adrenaliny i rozkoszując się osiągniętym wbrew wszelkim przeciwnościom tryumfem. Jego znudzony umysł zaczął się odprężyć i dopiero teraz przyłapywał się na tym, że nawet nie wie, kto to taki ten Dirk Pitt. Wcisnął klawisz interkomu.

- Panie Steinmetz.

- Tak, kapitanie?

- Witamy z powrotem na Ziemi. Jesteśmy w domu.

ROZDZIAŁ 59

Wkraczając ponownie do gabinetu Wielikowa Pitt omiół pomieszczenie jednym przenikliwym spojrzeniem. Wszyscy klęczeli skupieni wokół Raymonda LeBarona, który leżał rozciągnięty na podłodze. Jessie trzymała męża za rękę i cicho coś do niego mówiła. Gunn, usłyszawszy kroki Pitta, podniósł nań wzrok i pokręcił głową.

- Co się stało? - spytał drewnianym głosem Pitt.

- Zerwał się, żeby ci pomóc i dostał tym samym pociskiem, który rozorał ci ucho - powiedział Giordino.

Pitt, zanim ukląkł, przyglądał się przez chwilę z góry śmiertelnie rannemu milionerowi. Koszulę na brzuchu barwiła mu poszerzająca się wciąż plama szkarłatu. W oczach utkwionych w twarzy Jessie tliło się jeszcze życie. Jego oddech przeszedł w urywaną, płytką zadyszkę. Spróbował unieść głowę i coś jej powiedzieć, ale wysiłek był zbyt wielki. Opadł z powrotem na znak.

Pitt przykląkł powoli na jedno kolano obok Jessie. Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Po jej wymizerowanych policzkach spływały łzy. Przez chwilę bez słowa patrzył jej w oczy. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa pocieszenia; w głowie miał pustkę.

- Raymond próbował cię ocalić - powiedziała ochryple. - Wiedziała, że nigdy nie dałby im się całkowicie zezmącić. W końcu stał się z powrotem sobą.

LeBaron zakaszłał; był to dziwnie suchy rodzaj kaszlu. Wpatrywał się bez przerwy zamglonymi oczyma w Jessie. Krew mu odbiegła z twarzy.

- Zaopiekuj się Hildą - wyszeptał. - Zdaję się we wszystkim na ciebie.

Zanim zdążył coś dodać, gdzieś głęboko w dole rozległ się huk eksplozji i pokój zadrżał; oddział Quintany przystąpił do niszczenia elektronicznego wyposażenia kompleksu. Wkrótce trzeba będzie stąd odejść i nie będzie mowy o zabraniu Raymonda LeBarona.

Pittowi przypomniały się wszystkie gazetowe relacje i artykuły w czasopiśmie, w których umierający teraz na dywanie mężczyzna wychwalany był pod niebiosa, nazywany graczem o nerwach jak postronki, człowiekiem, który ma wpływ zarówno na obsadzenie stanowisk dyrektorskich w gigantycznych korporacjach, jak i na karierę polityków z wysokich szczebli władzy. Okrzyknięto go mistrzem podejrzanych operacji w świecie finansów, miał opinię człowieka mściwego i bezwzględnie, który zawsze szedł po trupach i ma na sumieniu plajtę wielu konkurencyjnych firm i byt tysięcy ich wyrzuconych na bruk pracowników. Pitt czytał kiedyś to wszystko, ale teraz przed sobą widział tylko umierającego człowieka, który ukradł najlepszemu przyjacielowi żonę, a potem

zamordował go, żeby zagarnąć dla siebie cały skarb. Oto paradoks ludzkiej ułomności! Pitt nie potrafił współczuć takiemu człowiekowi, jego dramat nie wzbudzał w nim cienia emocji.

Cieniutka nic trzymająca jeszcze LeBarona przy życiu za chwilę pęknie. Pitt pochylił się i przytknął usta do ucha starego spekulanta.

- La Dorada - wyszeptał. - Co z nią zrobiłeś?

LeBaron przesunął na niego wzrok, a oczy zabłyśły mu na tę chwilę, kiedy otumaniony umysł spoglądał po raz ostatni w przeszłość. Zmobilizował wreszcie wszystkie siły, by przemówić ledwie dosłyszalnie, i z tymi słowami na ustach umarł.

- Co on powiedział? - spytał Giordino.

- Nie jestem pewien - odparł Pitt z ogłupiałą miną. - Coś jakby: "Szukajcie na miejscu po Maine".

Dla Kubańczyków z głównej wyspy po drugiej stronie zatoki detonacja brzmiała jak odległy grzmot wyładowania atmosferycznego i nie zwrócili na nią uwagi. Horyzontu nie rozświetlił żaden tryskający w górę czerwonopomarańczowy wulkan, ich wzroku nie przyciągnęła żadna ognista kolumna płomieni wzbijająca się na setki stóp w czarne niebo. Odgłosy towarzyszące niszczeniu kompleksu od wewnątrz dochodziły na powierzchnię dziwnie stłumione. Nawet wysadzenie poniewczasie w powietrze wielkiej anteny przeszło nie zauważone.

Pitt pomógł Jessie dojść do miejsca lądowania na plaży, a Kubańczycy donieśli tam za nimi na noszach Giordina i Gunna. Potem dołączył do nich Quintana, który lekceważąc wszelkie środki ostrożności poświecił Pittowi w twarz cieniutkim jak ołówek promieniem latarki.

- Lepiej opatrz sobie to ucho.

- Do PTZS-a jakoś przetrzymam.

- Musiałem zostawić dwóch ludzi. Pogrzebałem ich tam, gdzie nigdy ich nie znajdą. Ale i tak wyszło nas stamtąd więcej, niż weszło. Niektórzy będą musieli zabrać na swoje ślizgacze pasażera. Dirk, ty płyniesz z panią LeBaron. Pan Gunn może płynąć ze mną. Sierżant López...

- Sierżant może płynąć sam - wpadł mu w słowo Pitt.

- Sam?

- My też jednego zostawiliśmy - powiedział Pitt.

Quintana przesunął szybko cienkim snopem światła po pozostałych.

- A gdzie Raymond LeBaron?

- Nie popłynie.

Quintana uniósł lekko ramiona, schylił głowę przed Jessie i powiedział po prostu:

- Przykro mi. - Potem odwrócił się i zaczął zbierać swoich ludzi, by jak najszybciej wyruszyć wreszcie w drogę powrotną na okręt bazę.

Pitt przyciągnął do siebie Jessie i powiedział łagodnie:

- Prosił cię, żebyś się zaopiekowała jego pierwszą żoną, która wciąż żyje.

Nie mógł widzieć zdumienia, jakie odmalowało się na jej twarzy, ale poczuł, jak cała sztywnieje.

- Skąd to wiesz? - spytała z niedowierzaniem.

- Przed kilkoma dniami widziałem się z nią i rozmawialiśmy.

Chyba przyjęła to do wiadomości i nie zapytała, jak trafił do domu starców.

- Raymond i ja usankcjonowaliśmy nasz związek i graliśmy role męża i żony, ale on nigdy nie potrafił tak całkowicie zrezygnować z Hildy ani zdecydować się na rozwód.

- Mężczyzna, który kochał dwie kobiety.

- Każdą w inny, szczególny sposób. Raymond był tygrysem w interesach i jagnięciem w zaciszu domowym. Czuł się zagubiony, kiedy Hilda zaczęła zapadać na zdrowiu. Rozpaczliwie potrzebował kobiety, zdrowej na ciele i umyśle, kogoś, na kim mógłby się wesprzeć. Wykorzystał swoje wpływy, by upozorować jej śmierć i umieścić ją w domu starców pod nazwiskiem z poprzedniego małżeństwa.

- I tutaj ty wkroczyłaś na scenę. - Pitt nie lubił być obcesowy, ale w tym wypadku nie miał skrupułów.

- Znaczyłam już wtedy coś w jego życiu - odparła bez urazy. - Pracowałam u niego jako starsza redaktorka "Prosperteera". Romansowaliśmy z Raymondem od lat. Dobrze nam było ze sobą. Jego J oświadczyły graniczyły z kontraktem handlowym, było to typowe (małżeństwo z rozsądku, ale szybko przekształciło się w coś większego, i o wiele większego. Wierzysz mi?

- Nie mam daru do ferowania wyroków - odparł cicho Pitt. Quintana oddzielił się od grupy cieni i dotknął ramienia Pitta.

- Ruszamy. Ja wezmę radio i poprowadzę. - Zbliżył się do Jessie i dodał łagodniejszym tonem: - Za godzinę będzie pani (bezpieczna. Wytrzyma pani?

- Nic mi nie będzie. Dzięki za troskę.

Przecignięto przez plażę ślizgacze i zepchnięto je na wodę. Na rozkaz Quintany każdy dosiadł swojego stateczku i wypłynęli w czarny ocean. Tym razem Pitt zamykał pochód, a Quintana ze słuchawką w uchu płynął na czele naprowadzany na PTZS-a wskazówkami pułkownika Kleista.

Zostawili wyspę śmierci daleko za sobą. Ogromny kompleks zredukowany został do wielkich popękanych, zapadniętych do środka płyt betonu. Ogromna masa sprzętu elektronicznego i ozdobnych mebli dymiła głęboko pod wybielonymi przez słońce koralowymi piaskami niczym zamierający rdzeń wulkanu. Gigantyczna antena leżała rozerwana na tysiąc poskręcanych kawałków i nie nadawała się już zupełnie do naprawy. Nim minie kilka godzin, wśród ruin krzątać się będą pod wodzą agentów GRU setki rosyjskich żołnierzy, przekopując i przesypując piaski w poszukiwaniu dowodu demaskującego siły, które dokonały tego zniszczenia. Ale wszystkie mizerne owoce ich wysiłków będą wskazywać na to, że napad nie był dziełem CIA, tylko zrodził się w przebiegłym umyśle Fidela Castro.

Pitt nie odrywał oczu od nikłego niebieskiego światełka na rufie mknącego przed nim ślizgacza. Płynęli teraz pod prąd trwającego przyływu i małe stateczki nurkowało ostro w doliny między falami, to znów podskakiwał jak piłka na grzbietach. Ślizgacz obciążony dodatkowo wagą Jessie nie był w stanie rozwinąć nominalnej szybkości i żeby nie odstać od reszty, Pitt musiał dociskać do oporu pedały gazu. Pokonali tak niespełna milę, kiedy Pitt poczuł, że Jessie obejmująca go do tej pory obiema rękami w pasie odrywa jedną z nich.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Odpowiedzią było pchnięcie zimną lufą pistoletu w bok klatki piersiowej tuż pod pachą. Bardzo wolno opuścił głowę i spojrzał w to miejsce. Faktycznie zobaczył tam czarny zarys uciskającego mu żebra automatycznego pistoletu, 9milimetrowego makarowa, i trzymającą go pewnie dłoń.

- Wybacz śmiałość - mruknął szczerze zaskoczony - ale czy można wiedzieć, o co ci chodzi?

- O zmianę kursu - odparła cichym i napiętym głosem. - Wykonaliśmy zaledwie połowę zadania.

Podczas gdy wyciągano po kolei z morza dywersantów Quintany, przepychano pospiesznie przez wielki luk ich ślizgacze i spuszczano je po pochylni do przestronnej ładowni, Kleist spacerował nerwowo tam i z powrotem po pokładzie PTZS-a. Quintana krążył wokół okrętu zaganiając swoje stadko, dopóki z wody nie wyciągnięto ostatniego; dopiero wtedy wspiał się sam na ledwie wystający ponad fale pokład.

- Jak poszło? - spytał niespokojnie Kleist.

- Wystrzałowe przedstawienie, jak mawiają na Broadwayu. Wszystko rozwalone w drobny mak. Może pan zameldować w Langley, że GRU zeszło z anteny.

- Nieźła robota - pochwalił go Kleist. - Dostaniesz za to pokaźną premię i długi urlop. Z polecenia

samego Martina Brogana.

- Główna zasługa przypada Pittowi. Wprowadził nas prosto do salonu, zanim Rosjanie się obudzili. On też uruchomił radio i ostrzegł załogę wahadłowca.

- Nie przewidziano, niestety, odznaczeń dla niepełnoetatowców - mruknął wymijająco Kleist i zmienił temat: - A co z generałem Wielikowem?

- Chyba zginął pod gruzami.

- Są ofiary w ludziach?

- Straciłem dwóch - powiedział Quintana i urwał. - Poległ też Raymond LeBaron.

- Prezydent nie będzie zachwycony, kiedy się o tym dowie.

- Prawdę mówiąc stało się to przez przypadek. Podjął bardzo odważną, ale nie przemyślaną, próbę ratowania życia Pittowi i przyplącił to postrzałem.

- I tak ten stary sukinsyn wyszedł na bohatera. - Kleist podszedł na sam skraj pokładu i wbił wzrok w ciemność. - A co z Pittem?

- Lekko ranny, nic poważnego.

- A pani LeBaron?

- Kilka dni odpoczynku, trochę kosmetyków dla pokrycia sińców i będzie jak nowa.

Kleist odwrócił się gwałtownie.

- Gdzie ich ostatnio widziałeś?

- Kiedy odbijaliśmy od brzegu. Pitt wioził ją na swoim ślizgaczu. Płynąłem specjalnie wolno, żeby mogli za nami nadążyć.

Quintana nie mógł tego widzieć, ale w oczach Kleista pojawił się strach; strach wywołany nagłym przekonaniem, że coś jest zdecydowanie nie tak.

- Pitt ani pani LeBaron nie weszli na pokład.

- Musieli już wejść - bąknął niezdecydowanie Quintana. - Ja byłem ostatni.

- Nie doliczyłem się ani jego, ani jej - warknął Kleist. - Gdzieś tam jeszcze błądzą. A ponieważ w drodze powrotnej Pitt nie miał radia, nie możemy im podpowiedzieć, jak tu trafić.

Quintana przyłożył dłoń do czoła.

- To moja wina. Ja jestem za to odpowiedzialny.

- Może tak, może nie. Gdyby coś się stało, gdyby nawalił im Ślizgacz, Pitt by zawołał, a ty na pewno byś go usłyszała.

- Może da się ich złapać na radarze - zaproponował z nadzieją w głosie Quintana.

Kleist zacisnął pięści i stuknął nimi o siebie.

- Lepiej się pospieszmy. Dryfowanie tutaj przez dłuższy czas to samobójstwo.

Zbiegli z Quintana po pochylni do centrali. Operator radaru siedział przed ciemnym ekranem. Kiedy po bokach stanęli dwaj oficerowie, podniósł głowę i spojrział na ich ściągnięte twarze.

- Wysuń antenę - polecił bez wstępów Kleist.

- Namierzy nas każdy radar z kubańskiego wybrzeża - zaprotestował operator.

- Wysuwaj! - warknął niecierpliwie Kleist.

Na górze rozstąpił się wycinek pokładu, z powstałego otworu podniósł się na blisko pięćdziesiąt stóp w niebo teleskopowy maszt, a na jego szczycie rozłożyła się automatycznie antena kierunkowa. Na dole, pod pokładem, trzy pary oczu obserwowały w napięciu rozjarzający się ekran.

- Czego szukamy? - spytał operator.

- Brakuje dwojga naszych ludzi - wyjaśnił Quintana.

- Są za mali, żeby było ich widać na ekranie.

- No a podbicie komputerowe?

- Możemy spróbować.

- To próbuj.

Po trzydziestu sekundach operator pokręcił głową.

- Nic w promieniu dwóch mil.

- Rozszerz zasięg do pięciu.

- Nadal nic.

- Przejdź na dziesięć.

Operator ignorował zupełnie ekran radaru i wpatrywał się uważnie w podrasowany komputerowo obraz wyświetlany na wysokorozdzielczym monitorze.

- Okay, mam małego obiekt. To może być to. Dziewięć mil na południowy wschód, kurs dwa-dwa-dwa stopnie.

- Pewnie zabłądzili.

Operator radaru pokręcił głową.

- To musieliby być ślepi albo niedorozwinięci. Niebo czyste jak kryształ. Każdy początkujący skaut wie, gdzie szukać gwiazdy polarnej.

Quintana i Kleist wyprostowali się i popatrzyli na siebie w osłupieniu, niezdolni do objęcia umysłem prawdy, którą już znali. Pytanie, przed którym nie było ucieczki, pierwszy zadał Kleist.

- Ale dlaczego? - spytał tępo. - Dlaczego mieliby celowo skierować się na Kubę?

CZEŚĆ V

Amy Bigalow

ROZDZIAŁ 60

6 listopada 1989 północne wybrzeże Kuby

Pitt i Jessie zmylili węższą kubańską łódź patrolową i znajdowali się już w odległości tysiąca jardów od wybrzeży Kuby, kiedy siadł akumulator ślizgacza. Pitt wyciągnął korki spustowe i mały stateczek, zniknąwszy pod powierzchnią morza, poszedł na dno, a oni popłynęli dalej wpływ. Wojskowe buty Pitta były szczelnie dopasowane i prawie nie przepuszczały do środka wody, nie zrzucił ich więc z nóg wiedząc dobrze, że kiedy wyjdzie na brzeg, staną się nieodzowne.

Woda była rozkosznie ciepła, a fale niskie. Na dwie godziny przed wschodem słońca wypęzła ponad horyzont wczesnoporanna ćwiartka księżyca. Dzięki poświacie, jaka od niej padała, Pitt przestał mieć wreszcie trudności z dostrzeżeniem Jessie. Zakaszłała w pewnej chwili, zakrztusiwszy się chyba wodą, ale płynęła dalej bez widocznego wysiłku.

- A jak u ciebie z grzbietowym? - spytał.

- Nieźle. - Przez chwilę parskła i pluła, po czym dorzuciła: - W stanowych zawodach szkół średnich zajęłam trzecie miejsce.

- W jakim to było stanie?

- W Wyoming.

- Nie wiedziałem, że w Wyoming mają basen pływacki.

- Ale zabawne.

- Przyływ pracuje na naszą korzyść, prujmy więc ile sił w ramionach, dopóki się nie odwróci.

- Niedługo się rozwidni - zauważyła.

- Tym bardziej musimy jak najszybciej dotrzeć do brzegu i wyszukać sobie jakąś kryjówkę.

- A rekiny?

- Nigdy nie śniadają przed szóstą - odburknął niecierpliwie. - Teraz płynmy, dosyć już tych pogaduszek.

Ruszyli klasycznym grzbietowym wyrzucając za siebie ramiona szerokimi wymachami i pracując energicznie nogami. Przyływ pchał ich z szybkością bliską węłowi i zaliczali niezły czas. Jessie

była dobrą pływaczką. Wytrzymała narzucone przez Pitta tempo płynąc z nim cały czas łeb w łeb. Nie mógł wyjść z podziwu, że po tym wszystkim, co przeszła w ciągu ostatnich sześciu dni, stać ją jeszcze na taki wysiłek, i współczuł jej bólu i zmęczenia, jakie musiała znosić. Ale nie mógł jej teraz dać nawet chwili wytchnienia, dopóki nie dotrą do brzegu i nie zapewnią sobie choćby minimum bezpieczeństwa.

Nie podała przyczyny, dla której zmusiła go do skierowania się ku wybrzeżom Kuby, a Pitt o to nie zapytał. Nie musiał być jasnowidzem, żeby orientować się, iż przyświecał jej jakiś określony, graniczący z szaleństwem cel. Ta dama miewała bardzo szczególne pomysły i odznaczała się uporem, który umożliwiał jej wprowadzanie ich w czyn. Wykonując ostry skręt ślizgacza podczas zjeżdżania, po stoku fali i doprowadzając w ten sposób do wywrotki, mógł ją bez trudu rozbroić i był niemal w stu procentach pewien, że nie nacisnęłaby na spust, gdyby się jej sprzeciwił.

Ale dla Pitta był to jak zwykle interes. Nie był w Jessie zakochany - zauroczony, owszem, ale nie zaślepiony. Nad wszelkimi porywami namiętności brała w nim górę ciekawość. Nigdy nie potrafił się oprzeć pokusie przekroczenia progu drzwi wiodących w nieznaną. A skarb La Dorady wciąż wabił. Wskazówka LeBarona była mętna, ale nie ulegało wątpliwości, że statua musi się znajdować gdzieś na Kubie. Jedyne szkopyła polegał na tym, że próbę jej odnalezienia mógł łatwo przypłacić życiem.

Zatrzymał się i zanurkował do samego dna, by stwierdzić, że głębokość nie przekracza w tym miejscu dziesięciu stóp. Wynurzając się na powierzchnię, wyciągniętymi rękami dotknął przypadkowo nogi Jessie. Wrzasnęła przeraźliwie sądząc, że atakuje ją coś wielkiego z trójkątną płetwą, ślepiami krótkowidza i z paszczą, która uznanie mogłaby wzbudzić tylko u dentysty.

- Cicho! - wychrypiął Pitt. - Zaalarmujesz wszystkie patrole przybrzeżne w promieniu dziesięciu mil.

- O Boże, to byłeś ty! - jęknęła dygocząc jeszcze z przejęcia.

- Mów ciszej - mruknął jej do ucha. - Dźwięki niosą się po wodzie. Odpoczniemy troszkę i rozejrzemy się, czy ktoś się tu nie kręci.

Nie odpowiedziała, tylko na znak zgody lekko dotknęła dłonią jego ramienia. Unosili się przez kilka minut na wodzie w pozycji pionowej przebijając wzrokiem ciemności. W rozproszonej poświacie księżycy majaczyły zarysy kubańskiego wybrzeża - na pierwszym planie wąski pas białego piasku, a w tle mroczne cienie zarośli. Mniej więcej dwie mile po prawej widzieli światła samochodów przejeżdżających drogą biegnącą nad samym brzegiem. Pięć mil dalej rozlewała się po niebie luna świateł jarzeniowych zdradzając lokalizację małego portowego miasteczka.

Pitt nie dostrzegał na plaży najmniejszego poruszenia. Dał znak pokazując ręką w kierunku brzegu i zaczął znowu płynąć, tym razem żabką, żeby móc patrzeć przed siebie. W miarę jak zbliżali się do lądu, majaczące tam mgliste zarysy nabierały wysokości i kształtów, ukazywały się ostre kontury i załamania. Po przepłynięciu pięćdziesięciu jardów Pitt opuścił nogi i dotknął stopami piasku. Woda w tym miejscu sięgała mu do piersi.

- Możesz stanąć - powiedział cicho do Jessie.

Nie odpowiedziała od razu i dopiero po chwili doszedł go jej zdyszany szept.

- Dzięki Bogu, ramiona mam jak z ołowiu.

- Kiedy tylko dobrniemy na płytszą wodę, położysz się nieruchomo i odpoczniesz. Ja pójdę się rozejrzeć.

- Błagam, bądź ostrożny.

- Nie ma obawy - odparł uśmiechając się od ucha do ucha. - Zaczynam nabierać w tym wprawy. To już druga nieprzyjacielska plaża, na jakiej ląduję dzisiejszej nocy.

- Czy ty bywasz czasami poważny?

- Kiedy sytuacja tego wymaga. Na przykład teraz. Daj mi pistolet.

Zawahała się.

- Chyba go zgubiłam.

- Chyba?

- Kiedy wskoczyliśmy do wody...

- Upuściłaś go.

- Upuściłam - powtórzyła za nim z niewinną skruchą w głosie.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile zadowolenia przysparza praca z tobą - powiedział Pitt wyprowadzony zupełnie z równowagi.

Popłynęli dalej w milczeniu i niebawem, pokonawszy słaby przybój, znaleźli się na spokojnej wodzie, gdzie głębokość nie przekraczała kilku cali. Pitt dał Jessie na migi do zrozumienia, żeby tu została. Sam leżał jeszcze przez minutę w bezruchu, potem nagle bez słowa zerwał się na nogi, przeciął sprintem wstęgę piasku i zniknął w zalegających za nią cieniach.

Jessie walczyła z ogarniającą ją sennością. Z wyczerpania traciła czucie w całym ciele i z ulgą uświadomiła sobie teraz, że zniknął gdzieś ból po razach wymierzonych ciężką ręką Fossa Gly'ego. Woda obmywająca jej skąpo odziane ciało koiła ból i działała jak środek uspokajający.

I nagle zamarła wbijając palce w mokry piasek, a serce podeszło jej do gardła.

Jeden z krzaków się poruszył. Tuż za linią pływów, dziesięć, góra dwanaście jardów od miejsca, gdzie leżała, jakiś ciemny kształt oddzielił się od skrywających go do tej pory cieni i ruszył plażą.

To nie był Pitt.

Mdła poświata księżycyca wyłowiła z mroków nocy postać w mundurze i z karabinem. Jessie leżała jak sparaliżowana, dojmująco świadoma swej całkowitej bezbronności. Wtłoczyła ciało w piaszczyste dno i cal po calu zaczęła się zsuwać tyłem na głębszą wodę.

Po piasku, zaraz za linią wody, przesywając niespodziewanie ciemności, zatańczył snop światła z latarki i Jessie skuliła się w daremnej próbie pomniejszenia swej postaci. Kubański strażnik szedł w jej kierunku z pochyloną głową, systematycznie przemiatając przed sobą piasek świetlnym promieniem. Jessie uświadomiła sobie z paraliżującą pewnością, że mężczyzna podąża tropem odcisków stóp. Ogarnęła ją nagła złość na Pitta za to, że zostawił ją tu samą, że pozostawił ślady wiodące wprost ku niej.

Kubańczyk zbliżył się na odległość dziesięciu jardów i gdyby obrócił się teraz jeszcze trochę w jej stronę, zauważyłby wystający ponad wodę fragment zarysu jej postaci. Promień światła przestał się przesuwać i znieruchomiał na odcisku stopy Pitta. Strażnik wykonał zwrot w prawo i przykucnął kierując latarkę na porastające skraj plaży zarośla. Potem, nie wiadomo dlaczego, okręcił się w lewo i oślepił Jessie wiązką światła, które padło prosto na jej twarz.

Kubańczyk stał przez sekundę, zaskoczony, potem wolną ręką sięgnął za siebie po przewieszony przez ramię karabin i złożył się do strzału. Zbyt przerażona, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, zacisnęła tylko powieki, jakby w nadziei, że to przerwie horror i znieczuli ją na uderzenie pocisku.

Usłyszała głuchoe pacnięcie, a zaraz po nim konwulsyjny jęk. Strzał nie padł. Zaległa tylko dziwna cisza i po chwili wyczuła, że światło zgasło. Otworzyła oczy i w mroku nad swoją głową ujrzała dwie nogi stojące w rozkroku po kostki w wodzie, a między nimi nieruchome ciało kubańskiego strażnika rozciągnięte na piasku.

Pitt schylił się i ostrożnie pomógł Jessie wstać. Odgarnął jej z twarzy ociekające wodą włosy i powiedział:

- Wychodzi na to, że nie mogę się na moment odwrócić, bo zaraz wpadasz w tarapaty.
- Myślałam, że już po mnie - wykrztusiła. Tętno powracało jej stopniowo do normy.
- Od kiedy wylecieliśmy z Key West, musiało ci to już przychodzić do głowy ze sto razy.
- Do strachu przed śmiercią nie można się tak od razu przyzwyczaić.

Pitt podniósł z ziemi latarkę Kubańczyka, osłonił ją dłonią i przystąpił do ściągania ze strażnika munduru.

- Na szczęście drań jest niski, mniej więcej twojego wzrostu. Nogi będą ci chyba latały w jego butach, ale z dwojga złego lepsze już za duże niż za małe.
- Nie żyje?
- Tylko mały dołeczek w czaszce od kamienia. Za parę godzin dojdzie do siebie.

Chwytając ciśnięty jej mundur, zmarszczyła nos.

- On się chyba nigdy nie kąpał.

- Wypłucz to w morzu i włóż na siebie mokre - warknął. - I pospiesz się z tym. To nie pora na odstawianie modnej, bogatej flądry. Strażnik z następnego posterunku będzie się zastanawiał, dlaczego nie widać jego kołosa. Tylko patrzeć, jak zjawi się tu jego zmiennik z dowódcą patrolu.

Pięć minut później Jessie stała już w ociekającym wodą mundurze kubańskiego milicjanta ze służb ochrony pogranicza. Pitt miał rację - buty były o dwa numery za duże. Uniosła mokre włosy i upchnęła je pieczołowicie pod czapką. Odwróciwszy się zobaczyła Pitta wychodzącego właśnie pomiędzy drzew i zarośli z karabinem Kubańczyka i palmowym liściem.

- Co z nim zrobiłeś? - spytała.

- Zamelinowałem go w głębi lądu pod krzakiem. - W głosie Pitta pobrzmiwało ponaglenie. Wskazał palcem na cieniutki promyk światła sunący plażą mniej więcej ćwierć mili od nich. - Nadchodzą. Nie pogramy sobie w siatkówkę. Ruszajmy.

Popchnął ją bezceremonialnie w kierunku drzew, a sam zaczął się wycofywać tyłem zacierając za sobą ślady palmowym liściem. Przeszedłszy tak blisko siedemdziesiąt jardów, rzucił liść i oboje popędzili poprzez tropikalny gąszcz, by przed brzaskiem znaleźć się możliwie najdalej od plaży.

Kiedy niebo na wschodzie zaczynało jaśnieć zmieniając barwę z czarnej na pomarańczową, mieli już w nogach pięć mil. Z blednących ciemności wyrosło przed nimi pole trzciny cukrowej. Posuwając się jego skrajem dotarli do dwujezdniowej szosy, z którą graniczyło. Ani, z prawej, ani z lewej strony wstęgi asfaltu nie rozświetlały żadne reflektory samochodowe. Ruszyli poboczem kryjąc się w krzakach na widok każdej nadjeżdżającej ciężarówki czy samochodu osobowego. Pitt zauważył, że nogi Jessie zaczynają odmawiać posłuszeństwa i że chwyta spazmatycznie powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Zatrzymał się, owinął szkiełko latarki chusteczką i poświecił jej w twarz. Nie trzeba mu było uprawnień lekarza sportowego, by stwierdzić, że Jessie ma dosyć. Objął ją w talii i pomógł dojść do małego jaru o stromych ścianach.

- Odsapnij tu sobie, a ja zaraz wracam.

Zjechał po zboczu do koryta wyschniętego teraz strumienia, który płynąc tędy w okresie przyboru okręzał nieregularną linią niskie wzgórze usiane wielkimi głazami i porośnięte karłowatymi sosnami, a następnie betonową rurą o średnicy trzech stóp przepływał pod szosą i wylewał się po drugiej stronie nasypu na ogrodzone pastwisko. Pitt wdrapał się z powrotem na szosę, bez słowa wziął Jessie za rękę i sprowadził potykającą się i ślizgającą na żwirowate dno parowu. Poświecił latarką do rury drenażowej.

- Jedyne wolne pokój w mieście - oznajmił najbardziej czarującym głosem, na jaki było go stać w tych okolicznościach.

Nie był to żaden apartament, ale na zaokrąglonym dnie rury zebrała się gruba na dobre dwa cale

warstwa miękkiego piasku i było tam bezpieczniej, niż Pitt mógłby sobie wymarzyć. Każdy patrol, jaki ruszy w końcu za nimi i dotrze ich tropem do szosy, założy, że na grupę desantową oczekiwał tu umówiony wcześniej transport.

Udało im się jakoś w ciasnej ciemności przyjąć wygodne pozycje. Pitt położył karabin i latarkę w zasięgu ręki i nareszcie się odprężył.

- Okay, *milady* - powiedział, a jego głos poniósł się echem po rurze. - Wydaje mi się, że najwyższa już pora, abym się dowiedział, co my tu, do cholery, robimy.

Ale Jessie nie odpowiedziała.

Niepomna wilgotnego, nie dopasowanego munduru, niepomna nawet pościeranych stóp i obolałych stawów, spała kamiennym snem zwinięta w kłębek.

ROZDZIAŁ 61

- Nie żyją? Wszyscy nie żyją? - powtórzył ze złością szef Kremla Antonow. - Cały obiekt zniszczony i nikt nie ocalał, zupełnie nikt?

Polewoj skinął ponuro głową.

- Tak zameldował kapitan łodzi podwodnej, która wykryła eksplozję. Pułkownik dowodzący siłami bezpieczeństwa wysadzonymi na ląd celem przeprowadzenia rozpoznania potwierdza, że nie znaleźli nikogo żywego. Natrafili na ciało mojego zastępcy, Lwa Majskiego, ale los generała Wielikowa do tej pory nie jest znany.

- Czy zginęły tajne szyfry i dokumenty?

Polewoj nie miał zamiaru kłaść głowy pod topór i brać odpowiedzialności za katastrofę wywiadowczą. W zaistniałej sytuacji znajdował się o włos od utraty swego wysokiego stołka i znalezienia się w try miga na posadce marnego urzędniczyny zarządzającego obozem pracy.

- Ludzie generała Wielikowa, zanim polegli w walce, zniszczyli wszystkie tajne dokumenty.

Antonow zaakceptował to kłamstwo.

- To Q A - powiedział w zadumie. - To oni stoją za tą zuchwałą prowokacją.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli tym razem uczynić CIA kozłem ofiarnym. Dowody zebrane we wstępnej fazie dochodzenia świadczą o tym, że operacja została przeprowadzona przez Kubańczyków.

- Niemożliwe - warknął Antonow. - Nasi przyjaciele z kręgów armii i z otoczenia Castra ostrzegliby nas zawczasu o każdym ambitnym planie ataku na wyspę. Poza tym przygotowanie tak brawurowej i pomysłowej operacji, i to na taką skalę, przekracza możliwości latynoskiego intelektu.

- Być może, ale najtęższe głowy naszego wywiadu uważają, że CIA nawet nie podejrzewała istnienia centrum łączności na Cayo Santa Maria. Nie stwierdziliśmy najmniejszych oznak wzmożonej aktywności inwigilacyjnej. CIA jest dobra, ale to nie znaczy, że jej ludzie mogą wszystko. Nie byliby w stanie zaplanować, przeciwiczyć i przeprowadzić takiego wypadu w ciągu kilku zaledwie godzin, jakie upłynęły od oddzielenia się wahadłowca od stacji kosmicznej do momentu jego niespodziewanego zboczenia z zaprogramowanego przez nas toru lotu.

- To wahadłowiec też straciliśmy?

- Z nasłuchu rozmów prowadzonych między wahadłowcem a Centrum Kosmicznym Johnsona wynika, że wylądowali bezpiecznie na Key West.

- Z amerykańskimi kolonistami księżycowymi - odpowiedział apatycznie Antonow.

- Tak, znajdowali się na pokładzie.

Antonow, zbyt rozwścieczony, by zareagować od razu, siedział przez kilka sekund z zaciśniętymi ustami i nie mrugnawszy nawet powieką patrzył tępo w przestrzeń.

- Jak oni tego dokonali? - warknął wreszcie. - Jak udało im się ocalić w ostatniej chwili swój bezcenny wahadłowiec?

- Głupi ma zawsze szczęście - stwierdził Polewoj ponownie uciekając się do komunistycznego dogmatu nakazującego zrzucanie winy na wszystko i wszystkich, byle tylko nie obarczać nią siebie. - Uratowała im tyłki zdradziecka napaść braci Castro.

Oczy Antenowa poruszyły się nagle i spoczęły na Polewoju.

- Zapewnialiście mnie przecież co rusz, towarzyszu dyrektorze, że żaden z braci Castro nie może pójść do toalety, żeby KGB nie wiedziało, ile kawałków papieru zużył. A tu opowiadacie mi, jak to obaj ni z tego, ni z owego wleźli do łóżka z prezydentem Stanów Zjednoczonych pod nosem waszych pograżonych w błogiej nieświadomości agentów.

Polewoj wpadł niechcący w dołek, który sam wykopał, i teraz rozpaczliwie próbował się z niego wygramolić zmieniając pospiesznie temat rozmowy.

- Trwają przygotowania do operacji *Rum z Colą*. Mając w perspektywie całkowite przejęcie władzy na Kubie, możemy przeboleć stratę wahadłowca i bogatego źródła danych naukowych.

Antonow chwilę ważył w myślach słowa Polewoja i wreszcie połknął haczyk.

- Śmiem wątpić. Bez Wielikowa, który miał nadzorować całą operację, szansę jej powodzenia spadają o połowę.

- Udział generała nie jest już tak istotny. Przygotowania do *Rumu z Colą* są już w dziewięćdziesięciu procentach zakończone. Statki wpłyną do hawańskiego portu jutro wieczorem, a pojutrze rano Castro ma wygłosić swoje przemówienie. Generał Wielikow wspaniale się spisał przygotowując grunt. Na Zachodzie puszczono już w obieg pogłoski o nowym spisku CIA na życie Castra, spreparowaliśmy też dowód obciążający Amerykanów. Pozostało tylko nacisnąć guzik.

- Czy nasi ludzie w Hawanie i Santiago zostali postawieni w stan gotowości?

- Są gotowi do wkroczenia i sformowania nowego gabinetu, kiedy tylko nadejdzie informacja o powodzeniu zamachu.

- I kto stanie na czele państwa?

- Alicia Cordero.

Antonowowi opadła szczęka.

- Chcecie powiedzieć, że kobieta? Wyznaczamy kobietę, by rządziła Kubą po śmierci Fidela Castro?

- To idealny wybór - zapewnił z przekonaniem Polewoj. - Cordero sprawuje obecnie funkcję sekretarza Komitetu Centralnego i sekretarza Rady Państwa. A co najważniejsze jest bliską współpracowniczką Fidela. Naród ją uwielbia za sukces programów ekonomicznych wdrożonych przez jej rodzinę i za krasomówstwo. Urokiem osobistym i charyzmą dorównuje Fidelowi. Jej lojalność wobec Związku Radzieckiego nie podlega dyskusji, będzie miała także pełne poparcie kubańskich kół wojskowych.

- Które pracują dla nas.

- Które należą do nas - skorygował Polewoj.

- A więc klamka zapadła.

- Tak jest, towarzyszu prezydencie.

- A co potem? - drążył dalej Antonow.

- Potem przyjdzie kolej na Nikaraguę, Peru, Chile i, tak, na Argentynę - wyrecytował Polewoj, zapalając się do tematu. - Koniec z wyniszczającymi rewolucjami, koniec z krwawymi ruchami partyzanckimi. Infiltrujemy ich rządy i wykonujemy krecią robotę, byle się nie narazić Stanom Zjednoczonym. Obudzą się z ręką w nocniku. Ameryka Południowa i Środkowa staną się trwałą strefą wpływów Związku Radzieckiego.

- A nie partii? - spytał z wyrzutem w głosie Antonow. - Zapominacie, Polewoj, o chwale naszego komunistycznego dziedzictwa?

- Partia jest fundamentem tej budowli. Nie możemy jednak w nieskończoność trzymać się kurczowo archaicznej filozofii marksistowskiej, która po stu latach wdrażania okazała się prowadzić donikąd. Od dwudziestego pierwszego wieku dzieli nas zaledwie dekada. Pora już na chłodny realizm. Cytuję wasze własne słowa, towarzyszu prezydencie: "Widzę nową erę socjalizmu, która zetrze z powierzchni ziemi znienawidzone jarzmo kapitalizmu". Kuba to pierwszy krok na drodze ku urzeczywistnieniu waszej wizji światowego społeczeństwa pod dominacją Kremla.

- A Fidel Castro jest na tej drodze przeszkodą.

- Tak - przyznał Polewoj ze złowieszczym uśmiechem. - Ale jeszcze tylko przez czterdzieści osiem godzin.

Air Force One poderwał się z pasa startowego bazy sił powietrznych Andrews i nabierając wysokości wziął kurs na południe nad historycznymi wzgórzami Wirginii. Błękit i czystość wczesnoporanego nieba kalało tylko kilka burzowych chmur. Pułkownik lotnictwa, pilotujący tego odrzutowego boeinga pod rządami trzeciego już prezydenta, wyrównał lot na wysokości 34 000 stóp i przez interkom podał pasażerom w kabinie spodziewaną godzinę lądowania na przylądku Canaveral.

- Może śniadanie, panowie? - spytał prezydent wskazując znacząco na mały przedział jadalny wydzielony podczas ostatniej zmiany wystroju wnętrza samolotu. Nad stołem w stylu art deco żona prezydenta zawiesiła żyrandol od Tiffany'ego, który nadawał temu miejscu atmosferę ciepła i przytulności. - Jeśli któryś z panów chciałby wznieść toast, nasza kuchnia może podać szampana.

- Ja nie miałbym nic przeciwko filiżance gorącej kawy - zadeklarował się Martin Brogan. Usiadł i wsunął swój neseser pod stół wyjąwszy z niego uprzednio teczkę z dokumentami.

Miejsce obok niego zajął Dan Fawcett, Douglas Gates natomiast usiadł naprzeciwko, obok prezydenta. Pojawił się odziany w białą kurtkę sierżant lotnictwa z sokiem z owoców guavy, ulubionym napojem prezydenta, oraz kawą. Każdy z obecnych złożył zamówienie i spokojnie czekał, aż prezydent zagai rozmowę.

- Nie da się ukryć - zaczął z uśmiechem prezydent - że zanim wylądujemy na przylądku i pogratulujemy naszym bohaterom, musimy omówić wiele spraw. Zaczynamy zatem. Dan, zapoznaj nas z aktualną sytuacją *Gettysburga* i księżycowych kolonistów.

- Przez cały ranek wisiałem na telefonie rozmawiając z ludźmi z kierownictwa NASA - powiedział Fawcett z wyraźnym podnieceniem w głosie. - Jak wszyscy wiemy, Dave Jurgens cudem posadził wahadłowiec na Key West. Nadzwyczajny przypadek mistrzowskiego opanowania sztuki pilotażu. Baza lotnictwa morskiego została zamknięta dla wszelkiego ruchu zarówno powietrznego, jak i drogowego. Bramy i ogrodzenia znajdują się pod silną strażą oddziałów piechoty morskiej. Prezydent nakazał nałożenie czasowego embarga informacyjnego na wszystko, co ma związek z ostatnimi wydarzeniami. Ma ono obowiązywać do chwili, kiedy będzie mógł oficjalnie podać do wiadomości istnienie naszej nowej bazy księżycowej.

- Dziennikarze pewnie wylażą ze skóry, żeby się dowiedzieć, dlaczego wahadłowiec zszedł aż tak daleko z zaplanowanego kursu - zauważył Oates.

- To się rozumie samo przez się.

- Kiedy planuje pan wydać oświadczenie? - spytał Brogan.

- Za dwa dni - odparł prezydent. - Musimy się zastanowić nad wszelkimi następstwami obecnej sytuacji. Należy także przesłuchać Steinmetza i jego ludzi, zanim rzucimy ich na pożarcie środkom masowego przekazu. To wymaga czasu.

- Gdybyśmy zwlekali z tym dłużej - dorzucił Fawcett - któryś z dziennikarzy akredytowanych przy Białym Domu z pewnością i tak by coś wywęszył.

- Gdzie znajdują się obecnie księżycowi koloniści?

- Przechodzą badania w ośrodku medycznym Centrum Kosmicznego Kennedy'ego - odparł Fawcett. - Przewieziono ich tam z Key West wkrótce po wylądowaniu *Gettysburga*. Załogę Jurgensa też.

Brogan spojrział na Oatesa.

- Słyszeć coś z Kremla?

- Jak dotąd cisza.

- Ciekawe, jaka jest ich reakcja na śmierć rodaków.

- Antonow to szczywany lis - powiedział prezydent. - Oskarżając nas o zamordowanie jego kosmonautów uzyskałby chwilowy efekt propagandowy. Wolał jednak z tego zrezygnować na rzecz tajnych rozmów, podczas których zażąda zadośćuczynienia w formie dostępu do zebranych danych naukowych.

- A pan mu je udostępni?

- Prezydent jest moralnie zobowiązany do wyrażenia swojej i zgody - powiedział Oates.

Brogan sprawiał wrażenie poruszonego. Podobnie Fawcett.

- To niepolitycznie - powiedział cicho Brogan. - Nigdzie nie jest powiedziane, że musimy ujawniać tajemnice, od których w wielkim stopniu zależy bezpieczeństwo naszego kraju.

- Tym razem to my, nie Rosjanie, mamy nieczyste sumienia - zaperzył się Oates. - Jesteśmy o krok od podpisania porozumienia SALT IV, które w przyszłości zastępuje całkowicie rozmieszczanie pocisków nuklearnych. Gdyby prezydent zignorował roszczenia Antonowa, to na kilka godzin przed podpisaniem traktatu rosyjscy negocjatorzy udaliby się na jeden ze swoich osławionych spacerów.

- Może i masz rację - wtrącił się Fawcett - ale ci wszyscy ludzie związani z Kolonią Jersey harowali w pocie czoła przez dwadzieścia lat nie po to, żeby teraz oddawać wszystkie owoce swej pracy Kremlowi.

Prezydent przysłuchiwał się dotąd dyskusji nie zabierając głosu. Teraz uniósł rękę.

- Panowie, nie mam zamiaru wyprzedawać się z całego dobytku. Dysponujemy jednak bogactwem informacji, którymi w interesie ludzkości możemy podzielić się z Rosjanami i resztą świata. Odkrycia z zakresu medycyny, dane geologiczne i astronomiczne trzeba puścić w swobodny obieg. Ale możecie spać spokojnie. Ani mi w głowie narażać na szwank nasze programy podboju kosmosu i obrony. Te obszary pozostaną do naszej wyłącznej dyspozycji. Czy wyrażam się jasno?

Zjawił się steward z trzema parującymi talerzami jajeczniczy na szynce z grzankami i w przedziale jadalnym zapadło milczenie. Steward ponownie napełnił filiżanki kawą. Gdy się tylko oddalił w kierunku kuchni, prezydent westchnął głęboko i spojrział na stół przed Broganem.

- Nie jesz, Martin?

- Zazwyczaj odpuszczam sobie śniadanie. Rezerwuję miejsce na lunch.

- Nawet nie wiesz, co tracisz. Te grzanki są lekkie jak piórko.

- Nie, dziękuję. Pozostanę przy kawie.

- To może my będziemy się posilać, a ty zrelacjonujesz nam przebieg operacji na Cayo Santa Maria?

Brogan pociągnął łyk kawy, otworzył kartonową teczkę i w kilku zwięzłych zdaniach zreferował sprawę.

- Specjalna grupa desantowa pod dowództwem pułkownika Ramona Kleista, prowadzona przez majora Angela Quintane, wylądowała na wyspie dziś o 2.00 nad ranem. Do godziny 4.30 zniszczono sowiecką instalację zakłócająco-nasłuchową wraz z anteną i zlikwidowano personel. Nastąpiło to w samą porę, bo gdyby nie ostrzeżenie radiowe, które dotarło wreszcie do *Gettysburga*, wahadłowiec za kilka minut wylądowałby na terytorium Kuby.

- Kto nadał to ostrzeżenie? - przerwał mu Fawcett.

Brogan popatrzył przez stół i uśmiechnął się.

- Przedstawił się jako Dirk Pitt.

- Mój Boże, tego człowieka wszędzie pełno - wykrzyknął prezydent.

- Odbito Jessie LeBaron i dwóch ludzi admirała Sandeckera z NUMA - podjął Brogan. - Raymond LeBaron zginął.

Prezydent spoważniał.

- Czy to pewna informacja? - spytał.

- Tak, pewna.

- Wielka szkoda. Zasłużył sobie na uznanie za swój wkład w stworzenie Kolonii Jersey.

- Mimo to akcja zakończyła się wielkim sukcesem - zauważył cicho Brogan. - Major Quintana zdobył bogaty materiał wywiadowczy, włączając w to najnowsze szyfry Sowietów. Przesyłka dotarła do nas przed zaledwie godziną. Przekopują się teraz przez to analitycy z Langley.

- Należą wam się gratulacje - przyznał prezydent. - Twoi ludzie dokonali nieprawdopodobnego wyczynu.

- Lepiej niech się pan tak nie spieszy z pochwałami, panie prezydencie, dopóki nie wysłucha mnie pan do końca.

- Okay, Martin, słuchajmy dalej.

- Dirk Pitt i Jessie LeBaron... - Brogan urwał i z przygnębieniem wzruszył ramionami. - Nie wrócili na statek bazę z majorem Quintana i jego ludźmi.

- Polegli na wyspie razem z Raymondem LeBaronem?

- Nie, sir. Odbili od brzegu wraz z innymi, ale odłączyli się po drodze i skierowali na Kubę.

- Na Kubę - powtórzył cicho prezydent. Spojrzał na siedzących naprzeciwko Oatesa i Fawcetta, którzy również popatrzyli na niego z niedowierzaniem. - Dobry Boże, Jessie usiłuje mimo wszystko dostarczyć naszą odpowiedź na propozycję zawarcia paktu USA - Kuba.

- Czy ma jakieś szansę nawiązania kontaktu z Castrem? - spytał Fawcett.

Brogan potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- Wyspa roi się od sił bezpieczeństwa, jednostek policji i milicji, które patrolują każdą milę szosy. Zostaną aresztowani w przeciągu godziny, nawet jeśli przedostaną się przez patrole przeczesujące plaże.

- Może Pittowi dopisze szczęście - mruknął z nadzieją Fawcett.

- Na to nie ma co liczyć - powiedział ponuro prezydent z zatroskaną twarzą. - Ten człowiek wykorzystał już wszystkie swoje zapasy szczęścia.

Bob Thornburg, szef wydziału analizy dokumentów, siedział z nogami skrzyżowanymi na blacie biurka w małym pokoiku siedziby CIA w Langley i czytał stos materiałów, które dostarczono drogą powietrzną z San Salwador. Wydmuchując kłęby błękitnego dymu fajkowego tłumaczył na angielski tekst rosyjskiego maszynopisu.

Przejrzał szybko zawartość trzech teczek i wziął z kupki czwartą. Zaintrygował go tytuł na okładce. Brzmiał dziwnie z amerykańska. Był kryptonimem tajnej operacji kojarzącym się z nazwą mieszanego drinka. Przewertował pospiesznie znajdujące się w teczce kartki i przez chwilę siedział ogłuszony. Potem odłożył fajkę do popielniczki, zdjął nogi z blatu biurka i przeczytał zawartość teczek uważniej, zdanie po zdaniu, czyniąc notatki w żółtym notesie.

Blisko dwie godziny później Thornburg podniósł słuchawkę telefonu i nakręcił numer wewnętrzny. Kobietę, która się zgłosiła, poprosił o połączenie z zastępcą dyrektora.

- Eileen, mówi Bob Thornburg. Henry jest wolny?

- Rozmawia z drugiego aparatu.

- Powiedz mu, żeby do mnie przedzwonił, jak tylko będzie mógł. To pilne.

- Przekażę.

Thornburg porządkował swoje notatki studiując teczkę już po raz piąty, kiedy przerwał mu brzęczyk telefonu. Podniósł z westchnieniem słuchawkę.

- Bob, tu Henry. Co tam masz?

- Możemy się zaraz spotkać? Przeglądam właśnie porcję danych wywiadowczych pozyskanych podczas akcji na Cayo Santa Maria.

- Znalazłeś coś interesującego?

- Ja bym to nazwał bombą.

- Możesz uchylić rąbka tajemnicy?

- Dotyczy Fidela Castro.

- I cóż takiego knuje tym razem?

- Ma pojutrze zginąć.

ROZDZIAŁ 62

Obudzwszy się, Pitt zerknął natychmiast na zegarek. Była 12.18. Czuł się wypoczęty i usposobiony pogodnie, żeby nie powiedzieć optymistycznie.

Po chwili namysłu doszedł jednak do wniosku, że w swojej sytuacji nie widzi nic do śmiechu. Przyszłość nie rysowała się w jasnych barwach. Nie miał żadnych kubańskich pieniędzy ani żadnych dokumentów stwierdzających tożsamość. Znajdował się w komunistycznym kraju nie dysponując nawet kontaktem z choćby jedną życzliwą mu osobą ani wiarygodnym wytłumaczeniem swojej obecności. I miał na sobie niewłaściwy mundur. Będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli uda mu się przetrwać ten dzień nie ginąc od kuli pod zarzutem szpiegostwa.

Wyciągnął rękę i delikatnie potrząsnął Jessie za ramię. Potem wyczołgał się z rury drenażowej, czujnie zlustrował okolicę i zaczął się gimnastykować, żeby rozruszać zeszywniałe mięśnie.

Jessie otworzyła oczy i rozbudzała się powoli, z ociąganiem, z głębokiego, rozkosznego snu, przywykając stopniowo do widoku świata na jawie. Rozprostowała się i prężąc jak kot ręce i nogi jęknęła cicho z bólu. W głębi duszy była z tego zadowolona, bo cierpienie fizyczne pobudziło jej umysł.

Z początku przychodziły jej do głowy same banały - kogo zaprosić na następne przyjęcie, jakie menu zaplanować z szefem kuchni, że musi przypomnieć ogrodnikowi o przycięciu żywopłotów wzdłuż alejek - a potem przed oczyma zaczęły jej się przesuwac wspomnienia o mężu. Nie potrafiła pojąć, jak mogła przez dwadzieścia lat żyć i pracować z tym mężczyzną i mimo to nie przejrzeć go do końca. A jednak znała go lepiej niż ktokolwiek i widziała w nim po prostu zwykłą istotę ludzką, ani lepszą, ani gorszą od innych, obdarzoną umysłem, który potrafił na zawołanie przestawiać się ze współczucia na małostkowość, z błyskotliwości na bezwzględność, zależnie od potrzeby chwili.

Zacisnęła mocno powieki, by odpędzić od siebie wspomnienie jego śmierci. Myśl o kimś albo o czymś innym, nakazała sobie. Myśl o tym, jak przetrwać kilka najbliższych dni. Myśl o... Dirku Pitcie.

Kim jest? Jaki jest? Popatrzyła z rury drenażowej na gimnastykę Pitta i po raz pierwszy od chwili, kiedy go poznała, poczuła ku niemu pociąg seksualny. Niedorzeczne, zawyrokowała, jestem od niego o co najmniej piętnaście lat starsza. A poza tym on nie okazał jak dotąd, że czuje do niej pożądanie, ani razu nie uczynił żadnej aluzji w tym stylu, ani nie próbował się zalecać. Zdecydowała, że Pitt stanowi zagadkę, że jest typem mężczyzny, który zwraca na siebie uwagę kobiet, prowokuje je, ale nigdy nie da się usidlić ani zwieść ich babskim zabiegom.

Do rzeczywistości przywołała ją uśmiechnięta twarz zagląającego do rury Pitta.

- Jak się czujesz?

Zmieszana odwróciła wzrok.

- Sponiewierana, ale gotowa powitać ten dzień.

- Przepraszam, że śniadanie jeszcze nie gotowe - zadudnił głucho w rurze jego głos. - Obsługa pozostawia tu wiele do życzenia.

- Wszystko bym teraz oddała za filiżankę kawy.

- Jeśli wierzyć znakowi drogowemu, który widziałem kilkaset jardów stąd, do najbliższego miasteczka mamy dziesięć kilometrów.

- Która to godzina?

- Za dwadzieścia pierwsza.

- Pół dnia za nami - mruknęła przekręcając się na brzuch, stając z trudem na czworakach i ruszając niezdarne ku światłu. - Musimy się zbierać

- Nie wychodź.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział, tylko wpełzł z powrotem do rury i usiadł obok niej. Ujął delikatnie w dłoń jej twarz i pocałował ją w usta.

Jessie otworzyła szeroko oczy, ale zaraz oddała łapczywie jego pocałunek. Po długiej chwili Pitt cofnął głowę. Czekwała z drżeniem serca na to, co powinno teraz nastąpić, ale on nie posunął się już dalej i siedział tylko patrząc jej w oczy.

- Pragnę cię - powiedziała.

- Tak.

- Teraz.

Przyciągnął ją do siebie, przytulił mocno i pocałował jeszcze raz. Potem się odsunął.

- Najpierw obowiązek, potem przyjemność.

Posłała mu urażone, zaintrygowane spojrzenie.

- Co to znaczył

- To znaczy, że najpierw chcę się dowiedzieć, dlaczego uprowadziłaś mnie na Kubę?

- Masz osobliwe poczucie taktu.
- Nie uprawiam też zazwyczaj miłości w rurze kanalizacyjnej.
- Co chcesz wiedzieć?
- Wszystko.
- A jeśli ci nie powiem?

Roześmiał się.

- Uściśniemy sobie dłonie i rozstaniemy się.

Leżała przez kilka sekund wciśnięta w boczną powierzchnię rury rozważając, jak daleko by bez niego doszła. Prawdopodobnie nie dalej niż do najbliższego miasteczka, pierwszego podejrzliwego policjanta albo funkcjonariusza służby bezpieczeństwa. Pitt wydawał się człowiekiem o niewyczerpanej pomysłowości. Dowiódł już tego kilkakrotnie. Nie dało się ukryć, że ona potrzebuje go bardziej niż on jej.

Próbowała dobrać właściwe słowa, które by wszystko wyjaśniały, zrehabilitować w myślach jakiś wstęp, który trzymałby się kupy. W końcu dała za wygraną i wyrzuciła z siebie:

- Wysłał mnie prezydent z zadaniem skontaktowania się z Fidelem Castro.

Ciemnozielone oczy Pitta przypatrywały się jej z nieskrywanym zaciekawieniem.

- Dobry początek. Chciałbym usłyszeć resztę.

Jessie wzięła głęboki oddech i podjęła swą opowieść.

Opowiedziała o wysuniętej przez Castra całkiem poważnej propozycji zawarcia paktu i dziwnym sposobie, do jakiego się uciekł, by przesłać tekst oferty pod czujnym okiem sowieckiego wywiadu.

Opowiedziała, jak po niespodziewanym powrocie *Prosperteera* spotkała się potajemnie z prezydentem i jak ten, obmyśliwszy czytelną dla Castra aluzję poprosił ją, by przewiozła jego odpowiedź wyruszając sterowcem śladami męża.

Przyznała, że werbując do pomocy Pitta, Giordina i Gunna nie była z nimi szczerą, i poprosiła Pitta o wybaczenie, gdyż na skutek niespodziewanego ataku kubańskiego helikoptera plan nie wypalił.

A na koniec wyznała, ile nerwów kosztowała ją dociekliwość generała Wielikowa, który się domyślał prawdziwego celu tej sfuszerowanej próby dotarcia do Castra i usiłował uzyskać potwierdzenie swych podejrzeń dzięki drastycznym metodom Fossa Gly'ego.

Pitt wysłuchał całej opowieści bez komentarza.

Lękała się jego reakcji. Z obawą myślała o tym, co powie albo co uczyni, skoro już wie, że wykorzystano go, okłamano i wprowadzono w błąd, że kilkakrotnie został pobity do nieprzytomności i niemal załuczony na śmierć za coś, o czym nawet nie miał pojęcia. W jej odczuciu miał pełne prawo ją udusić.

- Przepraszam - powiedziała tylko, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Pitt nie udusił jej. Wyciągnął rękę. Chwyliła jego dłoń, a on przyciągnął ją do siebie.

- A więc przez cały czas mną sterowałaś - mruknął.

Boże, te zielone oczy, pomyślała. Pragnęła się w nich zanurzyć.

- Nie mogę mieć ci za złe, że jesteś wściekły.

Przez kilka chwil obejmował ją w milczeniu.

- No więc? - spytała niepewnie.

- Co "no więc"?

- Nic nie powiesz? Nie jesteś na mnie zły?

Rozpiął koszulę jej munduru i delikatnie dotknął nagiej piersi.

- Masz szczęście, że nie jestem z tych, co długo żywią urazę. Potem kochali się, a nad ich głowami dudniły przejeżdżające szosą samochody.

Jessie czuła się niewiarygodnie spokojna. Przez ostatnią godzinę, kiedy tak szli, nie kryjąc się, poboczem drogi, nie opuszczało jej uczucie ciepła. Rozpływało się po całym ciele jak środek znieczulający, zabijało strach i dodawało pewności siebie. Pitt zaakceptował jej opowieść i zgodził się pomóc w dotarciu do Castra, a teraz prowadził ją pewnie przez kubańskie bezludzie. Szła obok niego rozgrzewana niewygasłym jeszcze żarem ich zbliżenia.

Pitt zwędził trochę owoców mango, ananas i dwa pęknięte na pół pomidory. Jedli w marszu. Minęło ich kilka pojazdów, w większości ciężarówek wyładowanych trzcina cukrową i owocami cytrusowymi. Co jakiś czas przemykał szosą milicyjny radiowóz. Jessie tężała wtedy i spuszczała nerwowo wzrok na swoje ciasno zasznurowane buty, podczas gdy Pitt podrywał w górę karabin i wywijając nim nad głową wrzeszczał: *Saludos amigos!*

- Całe szczęście, że dobrze cię nie słyszą - zauważyła po kolejnym z tych jego popisów.

- A bo co? - spytał z udawanym oburzeniem.

- Twój hiszpański jest okropny.
- Na wyścigach psów w Tijuana jakoś mi wystarczał.
- Ale tu nie Tijuana. Lepiej chyba będzie, jeśli mnie pozostawisz zabieranie głosu.
- Uważasz, że twój hiszpański jest lepszy od mojego?
- Posługuję się nim jak tubylec. Potrafię też mówić płynnie po rosyjsku, francusku i niemiecku.
- Twoje talenty wciąż mnie zadziwiają - przyznał szczerze Pitt. - Czy Wielikow orientował się, że znasz rosyjski?
- Gdyby to wiedział, już byśmy wszyscy nie żyli.

Pitt zaczął coś mówić, ale nagle urwał i wskazał przed siebie. Na poboczu, za zakrętem szosy, który właśnie pokonywali, stał samochód. Uniesiona maska zasłaniała głowę i ramiona człowieka przechylnego przez błotnik i dłubiącego w silniku.

Jessie zawahała się, ale Pitt wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Dasz sobie radę - mówił do niej cicho. - Nie bój się. Jesteśmy oboje w wojskowych mundurach, a do tego mój należy do elitarnej formacji sił desantowych.
- Co mam mówić?
- Improvizuj. Może uda nam się załapać na łebka.

Zanim zdążyła zaprotestować, kierowca usłyszał chrzęst żwiru pod ich butami i odwrócił się, żeby zobaczyć, kto nadchodzi. Był niskim mężczyzną po pięćdziesiątce o gęstych, czarnych włosach i śniadej skórze. Był rozebrany do pasa i miał na sobie tylko szorty i sandały. Mundury wojskowe stanowiły na Kubie odzienie tak pospolite, że nawet nie zwrócił na nie uwagi. Na jego twarzy zakwitł szeroki uśmiech.

- Hola.
- Silnik się zepsuł? - spytała po hiszpańsku Jessie.
- Trzeci raz w tym miesiącu. - Kubańczyk wzruszył bezradnie ramionami. - Wziął i zgasł.
- Wie pan, co nawaliło?

Mężczyzna pokazał krótki odcinek przewodu przerwanego w trzech miejscach i ledwie trzymającego się na samej izolacji.

- Leci od cewki do rozdzielacza.

- Wypadałoby go wymienić.

Mężczyzna spojrzał na nią podejrzliwie.

- O znalezieniu części zamiennych do takich starych samochodów nawet nie ma co marzyć. Powinna to pani wiedzieć.

Jessie pokryła popełnioną gafę słodkim uśmiechem i zagrała na latynoskim poczuciu męskości.

- Jestem tylko kobietą. Nie znam się na mechanice.

- Ach - westchnął uśmiechając się łaskawie - ale za to bardzo ładną kobietą.

Pitt nie zwracał większej uwagi na tę wymianę zdań. Obchodził auto oceniając jego linie. Stanąwszy przed przednim zderzakiem pochylił się i przyglądał przez chwilę silnikowi. Potem wyprostował plecy i cofnął się o krok.

- Chevrolet rocznik pięćdziesiąt siedem - zawyrokował, zachwycony, po angielsku. - Cholernie dobry automobil. Spytaj go, czy ma nóż i kawałek taśmy izolacyjnej.

Jessie, porażona szokiem, zastygła z otwartymi ustami.

Kierowca spojrzał na Pitta niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Potem zapytał łamaną angielszczyzną:

- Ty nie mówić hiszpański?

- No i co z tego?! - huknął Pitt. - Nigdy nie widziałeś Irlandczyka?

- Ale dlaczego Irlander w kubański mundur?

- Major Paddy O'Hara, Irlandzka Armia Republikańska, odkomenderowany do służby w waszej milicji w charakterze doradcy.

Twarz Kubańczyka rozjaśniła się niczym lampa błyskowa i Pitt z zadowoleniem zauważył, że wywarł na tym człowieku niewąskie wrażenie.

- Herberto Figueroa - wybąkał kierowca wyciągając rękę. - Ja się uczył angielski dużo lat temu, jak tu byli Amerykanie.

Pitt uściśnął dłoń mężczyzny i ruchem głowy wskazał na Jessie.

- A to kapral Maria López, moja adiutantka i przewodniczka. Tłumaczy również mój kiepski hiszpański.

Figueroa schylił głowę w ukłonie i dostrzegł obrączkę ślubną na palcu Jessie.

- Senóra López. - Przechylił głowę i spojrzął na Pitta. - Ona rozumieć angielski? - spytał.

- Trochę - odparł Pitt. - No a teraz jak mi dacie nóż i kawałek taśmy, to chyba potrafię uruchomić ten wehikuł.

- Jasne, jasne - zaszcebiotał Figueroa. Wyciągnął scyzoryk ze schowka na rękawiczki, a w skrzynce z narzędziami, którą miał w bagażniku, znalazł rolkę taśmy izolacyjnej.

Pitt pochylił się nad silnikiem, wyciął parę odcinków drutu z przydługich przewodów biegnących do świec zapłonowych, po czym splótł z powrotem ich końce. Następnie zrobił to samo z wygosparowanymi odcinkami drutu i zesztukował z nich przewód, który przeciągnął od cewki do rozdzielacza.

- Okay, teraz spróbujmy.

Figueroa przekręcił kluczyk w stacyjce i wielki V8 o pojemności 283 cali sześciennych zakrzuszył się raz, drugi i zaniósł miarowo gardłowym rykiem.

- *Magnifico!* - krzyknął uszczęśliwiony Figueroa. - Podwieźć was?

- Dokąd jedziecie?

- Do Hawany. Ja tam mieszkać. Mąż mojej siostry umarł w Nuevitas. Ja pojechał jej pomóc z pogrzebem. Teraz ja wracać do domu.

Pitt skinął Jessie głową. To był szczęśliwy dzień. Spróbował odtworzyć w pamięci kształt Kuby i ze sporą dokładnością ocenił, że Hawana leży blisko dwieście mil na północny wschód w linii prostej, a szosą ta odległość urasta do prawie trzystu.

Pochylił przedni fotel, wpuszczając Jessie na tylne siedzenie.

- Jesteśmy wam wdzięczni, Herberto. W moim wozie służbowym nastąpił wyciek oleju i jakieś dwie mile stąd zatarł się silnik. Jechaliśmy właśnie do obozu szkoleniowego na wschód od Hawany. Jeśli możecie podrzucić nas do Ministerstwa Obrony, dopilnuję, żeby wam wynagrodzono waszą fatywę.

Jessie słuchała tego z otwartymi ustami patrząc na Pitta z klasycznym wyrazem niesmaku na twarzy, on zaś dobrze wiedział, że w duchu nazywa go zuchwałym sukinsynem.

- Wasz pech, a moje szczęście - zauważył Figueroa uradowany perspektywą zgarnięcia paru dodatkowych peso.

Ruszył z fasonem, w fontannach żwiru tryskającego spod kół skręcił ostro z pobocza na asfalt i zmieniając z wprawą biegi rozpędził chevroleta do godnej szacunku szybkości siedemdziesięciu mil na godzinę. Silnik pracował równo, ale karoseria klekotała, a przez dziury w przerdzewiałej podłodze przedostawały się do środka spaliny.

Pitt przyglądał się twarzy Jessie we wstecznym lusterku. Widać było, że czuje się nieswojo i jest nie

w sosie. Jazda limuzyną nie przypadła jej do gustu. Pitt zaś był w doskonałym nastroju. Przez chwilę jego miłość do starych samochodów zagłuszyła myśli o niebezpieczeństwie.

- Jaki ma przebieg? - spytał.

- Ponad sześćset osiemdziesiąt tysięcy kilometrów - odparł z dumą Figueroa.

- Nieźle jeszcze ciągnie.

- Jak Jankesi zdejmą kiedyś embargo handlowe, to może ja kupię nowe części i utrzymam go na chodzie. Ale nie będzie jeździć wiecznie.

- Macie jakieś trudności na rogatkach?

- Zawsze machają, żebym jechał dalej.

- Pewnie macie znajomości. Co robicie w Hawanie?

Figueroa roześmiał się.

- Jeżdżę na taksówce.

Pitt nawet nie próbował ukryć uśmiechu. Było lepiej, niż mógłby oczekiwać. Rozparł się wygodnie na przednim siedzeniu i odprężył się kontemplując krajobraz jak turysta. Usiłował skłonić umysł do rozwikłania tajemniczej wskazówki LeBarona prowadzącej do skarbu La Dorady, ale wyrzuty sumienia nie pozwalały mu się skupić.

Zdawał sobie sprawę, że być może w pewnym momencie będzie zmuszony przywłaszczyć sobie tę nędzną sumkę, jaką ma przy sobie Figueroa, i ukraść mu taksówkę. Miał nadzieję, że nie będzie musiał wtedy zabić tego sympatycznego człowieczka.

ROZDZIAŁ 63

Prezydent wrócił z Centrum Kosmicznego Kennedy'ego do Białego Domu późnym wieczorem i od razu skierował swe kroki do Gabinetu Owalnego. Po tajnym spotkaniu ze Steinmetzem i księżycowymi kolonistami oraz po wysłuchaniu entuzjastycznych raportów o ich dokonaniach przepełniało go radosne podniecenie. Wchodząc do swojego gabinetu nie myślał zupełnie o śnie, głowę pełną miał śmiałych planów podboju kosmosu.

Usiadł za swoim wielkim biurkiem i wysunął dolną szufladę. Otworzył wieczko pudełka z orzechowego drewna i wyjął ogromne cygaro. Obrął je z celofanu i przyglądając się przez chwilę ciasno zwiniętej zewnętrznej warstwie ciemnobrązowych liści wdychał mocny aromat tytoniu. Było to montecristo, najlepsze z cygar wytwarzanych na Kubie, obłożone zakazem importu do Stanów Zjednoczonych na mocy obowiązującego embarga handlowego na kubańskie towary.

Prezydent zwrócił się do starego zaufanego kumpla ze szkolnej ławy z prośbą o szmuglowanie mu jednego pudełka co dwa miesiące z Kanady. O tej skrytce nie wiedziała nawet żona ani najbliżsi współpracownicy. Obciął jeden koniuszek i z namaszczeniem przypalił drugi wyobrażając sobie przy tym, jak zawsze, cóż za krzyk by się podniósł, gdyby opinia publiczna odkryła jego potajemną i trochę nielegalną słabostkę.

Dzisiaj wieczorem guzik go to obchodziło. Był na fali. Gospodarka dobrze stała, a Kongres dał się w końcu przekonać do zaakceptowania niepopularnych cięć budżetowych oraz uchwalenia podatku od powierzchni mieszkalnej. Sytuacja międzynarodowa się ustabilizowała, co prawda chwilowo, i sondaże opinii publicznej wykazywały wzrost jego popularności o pięć punktów. A teraz czekało go jeszcze odcinanie politycznych kuponów od dalekowzroczności poprzedników. To samo przypadło w udziale Nixonowi po sukcesie programu *Apollo*. Oszałamiające osiągnięcia kolonii księżycowej staną się pomnikiem jego administracji.

Następnym celem, jaki sobie wytknął, było poprawienie własnego wizerunku na scenie latynoamerykańskiej. Swoją ofertą zawarcia traktatu Castro uchylił już drzwi. Teraz, jeśli tylko zdąży wsunąć stopę za próg, zanim drzwi znowu się zatrzasną, zyska być może niepowtarzalną szansę zneutralizowania marksistowskich wpływów w obu Amerykach.

Perspektywa ta wydawała się w chwili obecnej dosyć mglista. Pitta i Jessie LeBaron najprawdopodobniej zastrzelono już albo aresztowano. Jeśli nie, to jest to kwestią godzin. Jedynym sposobem ratowania sytuacji było znowu przerzucenie kogoś na Kubę z zadaniem nawiązania kontaktu z Castrem.

Odezwał się brzęczyk interkomu.

- Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezydencie - powiedziała telefonistka z centrali Białego Domu - ale dzwoni pan Brogan i mówi, że musi pilnie z panem porozmawiać.

- W porządku. Proszę go przełączyć.

W słuchawce cicho trzasnęło i Martin Brogan powiedział:

- Zostałem pana w łóżku?

- Nie, jeszcze się nie położyłem. Cóż to takiego ważnego, że nie może poczekać do jutrzejszej porannej odprawy?

- Jestem nadal na lotnisku bazy Andrews. Mój zastępca czekał tu na mnie z przetłumaczonym dokumentem, który wpadł w nasze ręce podczas akcji na Cayo Santa Maria. Zawiera dosyć sensacyjny materiał.

- Możesz mi go streścić?

- Rosjanie noszą się z zamiarem obalenia pojutrze Castra. Kryptonim operacji brzmi *Rum z Colą*. To dopracowany w najdrobniejszych szczegółach plan całkowitego przejęcia władzy na Kubie przez sowieckich agentów.

Prezydent obserwował z zajęciem unoszący się ku sufitowi kłęb błękitnego dymu z hawańskiego cygara.

- Wykonują swoje posunięcie wcześniej, niż przypuszczaliśmy - mruknął w zadumie. - W jaki sposób zamierzają wyeliminować Castra?

- To najbardziej bezwzględny fragment planu - powiedział Brogan. - GRU, zbrojne ramię KGB, zamierza go zgładzić bombardując miasto.

- Hawanę?

- Spory fragment.

- Jezu Chryste, masz na myśli bombę jądrową?

- Jeśli mam być szczery, to dokument nie precyzuje środków rażenia, ale wynika z niego jasno, że do portu przeszmuglowano statkiem jakiś ładunek wybuchowy, zdolny do zrównania z ziemią czterech mil kwadratowych.

Dobre samopoczucie prezydenta zniknęło bez śladu, skutecznie podkopane ogarniającym go przygnębieniem.

- Czy w dokumencie podano nazwę tego statku?

- Wspomina się w nim o trzech statkach, ale bez nazw.

- A kiedy ma nastąpić eksplozja?

- W trakcie obchodów Dnia Edukacji. Rosjanie liczą na to, że Castro bez zapowiedzi zaszczyca je swoją obecnością i jak zwykle wygłosi dwugodzinną orację.

- Nie mogę uwierzyć, że Antonow decyduje się na tak drastyczny krok. Dlaczego nie naśle po prostu na Castra miejscowej grupy zamachowców, żeby go zastrzelili? Co chce zyskać uśmiercając wraz z nim sto tysięcy niewinnych ofiar?

- Castro jest dla Kubańczyków obiektem kultu - wyjaśnił Brogan. - Dla nas może karykaturalną postacią komunisty, ale dla nich prawdziwym bożyszczem. Zwyczajne zabójstwo wyzwoliłoby potężną falę niechęci do popieranym przez Sowietów partii, które by go zastąpiły. Tragedia narodowa da nowym przywódcom pretekst do ronienia krokodylich łez i zapewni nowym władzom masowe poparcie społeczeństwa, zwłaszcza jeśli winą obarczy się Stany Zjednoczone, a konkretnie CIA.

- Nadal nie pojmuję, jak można było uknuć tak potworną intrygę.

- Zapewniam pana, panie prezydencie, że wszystko jest tu opisane czarno na białym. - Brogan zawiesił głos, żeby przerzucić kartkę dokumentu. - Dziwne, kwestię samej eksplozji potraktowano dość ogólnikowo, za to bardzo drobiazgowo, punkt po punkcie, omawiana jest kampania propagandowa mająca na celu zrzuć winę na nas. Zamieszczono nawet wykaz sowieckich oddziałów i pozycji, na jakie mają się przemieścić po przejęciu władzy. Zainteresuje pana pewnie, że nowym prezydentem ma zostać Alicia Cordero.

- Boże, miej nas w swojej opiece. Ona jest dwa razy większą fanatyczką od Fidela.

- Tak czy inaczej, zwyciężają Sowietci, my przegrywamy.

Prezydent odłożył cygaro do popielniczki i w zadumie przymknął oczy. Wciąż nowe problemy, jeden rodzi następny. Sukcesy gabinetu nie mają zbyt długiego żywota. Nieustanna presja i zawiedzione nadzieje.

- Czy nasza marynarka może zatrzymać te statki? - spytał.

- Zgodnie z harmonogramem operacji, dwa z nich już przycumowały w Hawanie - odparł Brogan. - Trzeci powinien wejść do portu lada godzina. Też o tym pomyślałem, ale niewiele już możemy zdziałać.

- Musimy ustalić nazwy tych statków.

- Zapędziłem już moich ludzi do sprawdzania wykazu wszystkich statków, jakie zawinęły ostatnio do hawańskiego portu. Za godzinę powinni je zidentyfikować.

- I akurat teraz Castro musiał gdzieś zniknąć - mruknął ze złością prezydent.

- Znaleźliśmy go.

- Gdzie?

- W jego wiejskiej rezydencji. Odciał się całkowicie od świata zewnętrznego. Nie mają do niego dostępu nawet najbliżsi doradcy i sowieckie szuchy.

- Mamy w naszym sektorze kogoś, kto mógłby się z nim spotkać twarzą w twarz?

Brogan chrząknął.

- Nikogo.

- Musi być ktoś, kogo moglibyśmy tam posłać.

- Gdyby Castro był w nastroju do rozmów, to mógłbym wymienić co najmniej dziesięciu ludzi z naszej listy płac, z których żaden nie miałby żadnych problemów z przedostaniem się za bramę. Ale nie w tej sytuacji.

Prezydent bawił się cygarem wyteżając umysł w poszukiwaniu inspiracji.

- Ilu Kubańczyków, którym ufasz, pracuje w hawańskim porcie i pływało kiedyś na statkach?

- Musiałbym sprawdzić.

- Mniej więcej.

- Tak na oko piętnastu, może dwudziestu.

- W porządku - powiedział prezydent. - Zbierz ich. Każ im dostać się w jakiś sposób na pokłady tych statków i ustalić, który z nich przewozi bombę.

- Będzie ją musiał rozbroić ktoś, kto zna się na rzeczy.

- Tym będziemy się martwić, kiedy już się dowiemy, gdzie ją ukryto.

- Półtora dnia to niewiele czasu - zauważył posępnie Brogan. - Skoncentrujmy się lepiej nad naszą polityką w okresie zamętu, jaki powstanie po zamachu.

- Nie kręć nosem, tylko bierz się do dzieła. Informuj mnie co dwie godziny. Zapręgnij do tej sprawy cały personel wydziału kubańskiego.

- A co z ostrzeżeniem Castra?

- Zostaw to mnie. Ja się tym zajmę.

- Powodzenia, panie prezydencie.

- Wzajemnie, Martin.

Prezydent się rozłączył. Cygaro zgasło. Przypalił je ponownie, a potem znowu podniósł słuchawkę i wybrał numer Iry Hageny.

ROZDZIAŁ 64

Strażnik był młody, co najwyżej szesnastoletni, pełen entuzjazmu, oddany Fidelowi Castro i wykazujący się rewolucyjną czujnością. Nachylając się buńczucznie do okna samochodu z karabinem przewieszonym przez ramię i żądając okazania dokumentów tożsamości, promieniał wprost poczuciem własnej ważności i urzędową arogancją.

- To się musiało stać - mruknął pod nosem Pitt.

Strażnicy z trzech poprzednich posterunków niedbałym machnięciem ręki przepuszczali Figueroę, kiedy ten pokazywał im swoją licencję taksówkarza. Byli to *campesinos*, ludzie, którzy wybrali rutynę wojskowej kariery, byle tylko nie być skazanym do końca życia na pracę na polach czy w fabrykach. I podobnie jak wszystkich żołnierzy każdej armii na świecie, służba wartownicza nudziła ich tak serdecznie, że w końcu wyzbyli się wszelkiej podejrzliwości, afiszując się nią tylko podczas inspekcji przełożonych.

Figueroa wręczył młodzieniaszkowi swoją licencję.

- To jest ważne tylko w granicach miasta Hawana. Co robicie na wsi?

- Umarł mi szwagier - wyjaśnił potulnie Figueroa. - Wracam z jego pogrzebu.

Wartownik schylił się i zajrzał przez otwarte okno od strony kierowcy.

- A ci to kto?

- Ślepy jesteś? - warknął Figueroa. - Wojskowi, jak ty.

- Mamy rozkaz uważać na mężczyznę w kradzionym mundurze milicyjnym. Jest podejrzenie, że to imperialistyczny szpieg, który wylądował na plaży sto mil na wschód stąd.

- Według ciebie jankescy imperialiści nasyłają na nas kobiety, tak? Bo tylko ona jest tutaj w mundurze milicyjnym - powiedział Figueroa pokazując na Jessie skuloną na tylnym siedzeniu.

- Chcę zobaczyć ich dokumenty - nie ustępował strażnik.

Jessie opuściła tylną szybę i wystawiła głowę przez okno.

- To major O'Hara z Irlandzkiej Armii Republikańskiej odkomenderowany na Kubę w charakterze doradcy. Ja jestem kapral López, jego adiutantka. Wystarczy tego cyrku. Przepuść nas.

Strażnik nie odrywał oczu od Pitta.

- Jeśli jest majorem, to dlaczego nie ma odpowiednich insygniów?

Do Figueroy dopiero teraz dotarło, że na mundurze Pitta nie ma żadnych naszywek. Popatrzył podejrzliwie na swojego przygodnego pasażera.

Pitt siedział do tej pory cicho. Teraz odwrócił powoli głowę, spojrzał strażnikowi w oczy i uśmiechnął się doń przyjaźnie. Kiedy się odezwał, głos miał cichy, ale przesycony władczą siłą.

- Spiszcie mi nazwisko i stopień tego żołnierza. Chcę go przedstawić do wyróżnienia za wzorowe wypełnianie obowiązków służbowych. Generał Raul Castro powtarza często, że Kuba potrzebuje ludzi tego kalibru.

Jessie przetłumaczyła to i patrzyła z ulgą, jak wartownik pręży się na baczność i uśmiecha.

Ton Pitta stał się nagle lodowaty i tę samą gwałtowną metamorfozę przeszły jego oczy.

- A teraz powiedzcie mu, żeby się usunął z drogi, bo załatwię mu przeniesienie na prawach ochotnika do Afganistanu.

Kiedy Jessie powtórzyła słowa Pitta po hiszpańsku, młody wartownik skurczył się wyraźnie. Stał tak, zdębiały, nie wiedząc, co począć, kiedy drogą nadjechał długi, czarny samochód i zatrzymał się za taksówką. Pitt rozpoznał w nim żółta, siedmiomiejscową, luksusową limuzynę produkowaną w Rosji na potrzeby wysokich dostojników państwowych i generalicji.

Kierowca żółta niecierpliwie nacisnął klakson i wartownik zupełnie stracił głowę. Odwrócił się i posłał błagalne spojrzenie koledze, ale ten pochłonięty był właśnie kontrolowaniem samochodów zdążających w przeciwnym kierunku. Kierowca limuzyny ponownie zatrąbił i wrzasnął przez otwarte okno:

- Każ mu zjechać na bok i przepuść nas!

I w tym momencie do akcji wkroczył Figueroa.

- Stul dziób głupi kacapie i idź się wykąpać! Stąd czuję, jak śmierdzisz! - wydarł się na Rosjan.

Sowiecki kierowca otworzył gwałtownie drzwiczki, wyskoczył zza kierownicy i odepchnął na bok wartownika. Było to zwaliste, muskularne chłopisko o małej główce, budową przypominające kręgiel. Na mundurze miał naszywki sierżanta. Przewiercił Figueroę pałającymi wściekłością oczyma.

- Zabieraj stąd tego rzęcha, baranie - warknął.

Figueroa potrząsnął pięścią przed nosem Rosjanina.

- Ruszę, jak mój krajan mi każe.

- Błagani pana, błagam - prosiła Jessie tarmosząc Figueroę za rękaw. - Nie chcemy żadnych kłopotów.

- Rozwaga nie jest jednak cnotą Kubańczyka - mruknął Pitt. Położył sobie karabin na kolanach lufą w kierunku Rosjanina i uchylił lekko drzwiczki od swojej strony.

Jessie odwróciła się i zerknęła ukradkiem przez tylne okno na stojącą za nimi limuzynę. Z tylnego siedzenia gramolił się akurat rosyjski oficer, a za nim dwóch uzbrojonych ludzi z obstawy. Cała trójka z rozbawieniem zaczęła się przyglądać trwającej pyskówce. Z otwartych ust Jessie wydobył się jęk.

Do chevroleta zbliżał się od tyłu wyraźnie zmęczony i wymizerowany generał Wielikow w źle dopasowanym, pożyczonym mundurze. Pitt wyślizgnął się już z wozu i obszedł go od przodu, nie zdążyła więc go ostrzec.

Wielikow całą swoją uwagę koncentrował na kierowcy i Figueroi, ignorując wysiadającego z drugiej strony samochodu osobnika, który wyglądał na jeszcze jednego kubańskiego żołnierza. Kłótnia tymczasem rozkręcała się na całego.

- W czym problem? - spytał nienaganną hiszpańszczyzną.

Odpowiedź nie nadeszła od kierowcy, lecz z zupełnie nieoczekiwanego źródła:

- W niczym takim, czego nie moglibyśmy załatwić jak dżentelmeni - powiedział cierpko Pitt.

Wielikow gapił się przez dłuższą chwilę na Pitta. Jego twarz jak zwykle pozbawiona była wyrazu, a z warg spełzał powoli uśmiešek rozbawienia. Jedyłą oznaką tego, że go ze zdumieniem rozpoznał, było nagłe stwardnienie spojrzenia matowych, zimnych oczu.

- Uszliśmy z życiem, nieprawdaż, panie Pitt? - odparł.

- To szczęście. Według mnie mieliśmy szczęście - powiedział Pitt spokojnie.

- Gratuluję udanej ucieczki z wyspy. Jak tego dokonałeś?

- Na prowizorycznej łodzi. A ty?

- Helikopterem ukrytym nie opodał kompleksu. Twój przyjaciele na szczęście go nie odkryli.

- Przeoczenie.

Wielikow zerknął ukradkowo w bok i stwierdził z irytacją, że jego goryle stoją sobie w swobodnych pozach.

- Co cię sprowadza na Kubę?

Dłonie Pitta zacisnęły się na karabinie, wymierzonym w niebo tuż nad głową Wielikowa, a palec

spoczął na spuście.

- Po co pytasz, skoro już wcześniej ustaliłeś, że jestem notorycznym kłamcą?

- Wiem również, że nigdy nie kłamiesz bez powodu. Nie przybyłeś na Kubę, żeby pić rum i wygrzewać się na słończku.

- I co teraz, generale?

- Niech się pan rozejrzy, panie Pitt. Nie da się powiedzieć, żeby działał pan z pozycji siły. Kubańczycy nie lubią szpiegów. Jeśli jest pan rozsądny, złoży pan broń i odda się pod moją opiekę.

- Nie, dziękuję. Byłem już pod twoją opieką. Nazywała się Foss Gly. Pamiętasz go. Osiągał wspaniałe rezultaty w okładaniu pięściami. Mam przyjemność zakomunikować, że nie działa już w tej branży. Jedna z jego ofiar zastrzeliła go trafiając tam, gdzie najbardziej boli.

- Moi ludzie mogą cię położyć trupem na miejscu.

- Wiesz przecież, że nie rozumieją po angielsku i nie mają zielonego pojęcia, o czym rozmawiamy. Niech ci nie przyjdzie do głowy ich alarmować. To się nazywa meksykański pat. Spróbuj tylko podłubać w nosie, a wpakuję ci kulę w drugą dziurkę.

Pitt rozejrzał się szybko. Obaj kubańscy wartownicy i sowiecki kierowca przysłuchiwali się z tępyimi minami prowadzonej po angielsku rozmowie. Jessie kulila się na tylnym siedzeniu chevroleta i przez okno widać było tylko wierzch jej czapki polowej. Goryle Wielikowa stali w niedbałych pozach z pistoletami tkwiącymi bezpiecznie w zapiętych kaburach, pochłonięci podziwianiem krajobrazu.

- Do wozu, generale. Pojedzie pan z nami.

Wielikow popatrzył zimno na Pitta.

- A jeżeli odmówię?

Pitt wytrzymał jego wzrok z posępną pewnością siebie.

- Ty umrzesz pierwszy. Potem ludzie z obstawy. Po nich kubańscy wartownicy. Ja jestem gotowy do otwarcia ognia. Oni nie. Teraz, jeśli pan pozwoli...

Sowieccy goryle stali jak wrośnięci w ziemię i gapili się w najwyższym zdumieniu, jak Wielikow, idąc za wymownym gestem Pitta, wsiada bez słowa protestu na przednie siedzenie chevroleta. Zająwszy miejsce Wielikow odwrócił się na chwilę i popatrzył ciekawie na Jessie.

- Pani LeBaron?

- Tak, generale.

- Pani z tym szaleńcem?

- Jak widać.

- Ale dlaczego?

Figuroa otworzył usta, żeby się wtrącić, ale Pitt odepchnął bezceremonialnie ramieniem na bok sowieckiego kierowcę, chwycił mocno przyjacielskiego Kubańczyka za rękę i wyciągnął go z samochodu.

- Dalej nie pojedziesz, *amigo*. Powiedz władzom, że cię sterroryzowaliśmy i porwaliśmy twoją taksówkę. - Potem przez otwarte okno podał Jessie karabin i wpasował swoją wysoką postać za kierownicę. - Jeśli generał chociaż mrugnie powieką, strzel mu w łeb.

Jessie kiwnęła głową i przyłożyła lufę do podstawy czaszki Wielikowa.

Pitt wrzucił pierwszy bieg i ruszył przyspieszając płynnie, jakby wybierał się na niedzielną przejażdżkę. We wstecznym lusterku obserwował postaci na posterunku kontrolnym i zauważył z zadowoleniem, że miotają się ogłupiali, nie wiedząc, co robić. Po chwili do kierowcy i goryli Wielikowa dotarło wreszcie, co się dzieje, podbiegli do czarnej limuzyny i puścili się w pościg.

Pitt zahamował z piskiem opon i wziął od Jessie karabin. Oddał kilka strzałów do pary drutów telefonicznych w miejscu, gdzie przechodziły przez izolatory na szczycie słupa. Zanim końce przerwanych przewodów opadły na ziemię, Chevrolet pruł już przed siebie po asfalcie.

- Powinniśmy na tym zarobić z pół godziny - stwierdził Pitt.

- Limuzyna jest już tylko sto jardów za nami i zmniejsza dystans. - Głos Jessie był piskliwy i pełen obawy.

- Nie uda ci się ich zgubić - odezwał się Wielikow. - Mój kierowca to mistrz szybkiej jazdy, a samochód jest napędzany siedmiolitrowym silnikiem o mocy 425 koni.

Pomimo skłonności do fanfaronady i banalnych odzywek, Pitt był jednak chłodnym profesjonalistą i zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który wie, co robi.

Posłał Wielikowowi zuchowaty uśmiech i powiedział:

- Rosjanie nie wyprodukowali jeszcze samochodu, który mógłby się równać z chevroletem z pięćdziesiątego siódmego.

Żeby udowodnić swoją tezę, wdusił do dechy pedał gazu i wysłużony, stary samochód sięgnął jakby w głąb swoich zużytych części po zapasy mocy czekające tam w uśpieniu od trzydziestu lat. Ta wielka, rycząca kupa złomu potrafiła jeszcze coś z siebie wycisnąć. Nabierając szybkości pożerała wstęgę drogi z miarowym dudnieniem swego potężnego motoru.

Pitt, skoncentrowany całkowicie na prowadzeniu, obserwował drogę na dwa, a nawet trzy zakręty naprzód. Ził trzymał się z samozaparciem za nim, pędząc w oparach spalin wydobywających się z rury wydechowej chevroleta. Pitt wziął na pełnym gazie kilka ostrych zakrętów szosy, która pięła się

wśród porośniętych lasami wzgórz. Kraksa wisiała na włosku. Hamulce były do niczego i naciskanie uruchamiającego je pedału prócz smrodu i dymu niewiele dawało. W bębnach metal szorował o metal, bo po okładzinach ciernych pozostało już tylko wspomnienie.

Przy szybkości dziewięćdziesięciu mil na godzinę przednie koło zaczęło tak się chybotać, że samochód dostał drgawek. Rozdygotana kierownica wyrwała się Pittowi z rąk. Amortyzatory dawno już wysiadły; Chevrolet wchodził w wiraże przechylając się ryzykownie i nieznośnie piszcząc oponami.

Wielikow siedział sztywno, jakby kij połknął, z oczyma wlepionymi w przestrzeń za przednią szybą. Zaciskał kurczowo dłoń na uchwycie drzwiczek, jakby gotował się do awaryjnej ewakuacji z wozu tuż przed nieuchronną kraksą.

Szczerze przerażona Jessie zamykała oczy, kiedy samochód wpadał w poślizg i zataczał się dziko po drodze. Wtłoczyła kolana w oparcie przedniego fotela, żeby nie rzuciło ją na boki i starała się utrzymać lufę karabinu przy karku Wielikowa, tuż pod linią włosów.

Jeśli nawet Pitt uświadamiał sobie, jakie katusze cierpią jego pasażerowie, to nie dawał tego po sobie poznać. Mógł liczyć tylko na te pół godziny. Potem kubańscy wartownicy zdołają skontaktować się ze swymi przełożonymi i zameldować o uprowadzeniu sowieckiego generała. Pierwszą oznaką, że kubańska armia wkracza do akcji i przygotowuje zasadzkę, będzie helikopter. Kiedy i w jakim miejscu zorganizują blokadę drogi, można się było tylko domyślać. Za którymś zakrętem ukaże się nagle czołg albo mała kolumna wozów opancerzonych i to będzie koniec jazdy. Tylko obecność Wielikowa zapobiegnie masakrze.

Kierowca ziła okazał się twardym zawodnikiem. Dochodził Pitta na zakrętach, ale zostawał z tyłu na prostych, gdzie liczyło się niesamowite przyspieszenie starego chevroleta. Pitt dostrzegł kątem oka mały drogowskaz, z którego wynikało, że zbliżają się do miasta portowego Cardenas. Szosa biegła teraz gęstniejącym szpalerem domów mieszkalnych i małych przydrożnych zajazdów; zwiększał się też ruch kołowy.

Pitt spojrzął na szybkościomierz. Drgająca wskazówka utrzymywała się w okolicach 85. Zdjął nogę z pedału gazu i lawirując z rykiem klaksonu między pojazdami czekał, aż szybkość spadnie do 70 mil na godzinę, przez cały czas trzymając ziła na dystans. Kiedy z piskiem opon objeżdżał Plaza Colon z wysokim pomnikiem Kolumba pośrodku, jakiś policjant machnięciem ręki daremnie próbował nakazać mu zjechanie do krawężnika. Ulice były na szczęście szerokie, więc nie miał większych trudności z omijaniem przechodniów i innych pojazdów.

Miasteczko leżało nad samym brzegiem płytkiej, półkolistej zatoki. Przejeżdżając przez nie wywnioskował, że skoro widzi morze po swojej prawej ręce, to wciąż kieruje się na Hawanę. Udało mu się jakoś nie zboczyć z głównej szosy i po mniej więcej dziesięciu minutach wóz wypadł już z centrum miasteczka z powrotem w okolicę nie zabudowaną.

Podczas karkołomnego przejazdu ulicami ził zbliżył się na pięćdziesiąt jardów. Jeden z ochroniarzy wychylił się przez okno i oddał strzał z pistoletu.

- Strzelają do nas - oznajmiła Jessie głosem wypranym z wszelkich emocji.

- Nie celuje w nas - odparł Pitt. - Mierzy w opony.

- Właściwie już cię mają - odezwał się Wielikow. Były to pierwsze od pięćdziesięciu mil słowa, jakie wypowiedział. - Zatrzymaj się. Nie masz żadnych szans.

- Nie wezmą mnie żywcem. - Chłodna pewność siebie Pitta chwiała się w posadach.

Nie takiej odpowiedzi spodziewał się Wielikow. Jeśli wszyscy Amerykanie są tacy jak ten, pomyślał, Związek Radziecki będzie miał z nimi trudną przeprawę. Wielikow szczyił się umiejętnością manipulowania ludźmi, ale wszystko przemawiało za tym, że Pitta nigdy nie uda mu się nagiąć.

Przelecieli w powietrzu nad zagłębieniem w nawierzchni szosy, lądując z potężnym wstrząsem po drugiej stronie. Odpadł tłumik i poraził ich piekielny hałas, z jakim zagrzmiały raptem gazy z rury wydechowej. Oczy zaczęły im łzawić od spalin, a pod wpływem połączonego działania ciepła wydzielanego przez silnik i wilgotności klimatu kabina samochodu przeistoczyła się w łaźnię parową. Podłoga rozgrzała się do tego stopnia, że mało brakowało, a stopiłaby podeszwy butów Pitta. Wzięty w dwa ognie między hałas a gorąco, miał wrażenie, że pracuje po godzinach w kotłowni.

Chevrolet stawał się domem wariatów na kółkach. Zęby trybów w skrzyni biegów wyjąc w proteście, ścierały się na wysokich obrotach do korzeni. Z trzewi silnika zaczynały dochodzić dziwne stukoty. Ale wóz nadal nie dawał za wygraną i z właściwym sobie gardłowym pomrukiem gnał wstęgą szosy, zupełnie jakby wiedział, że to jego ostatnia jazda.

Pitt zwolnił nieznacznie dopuszczając do siebie rosyjskiego kierowcę na trzy długości samochodu. Żeby utrudnić ochroniarzowi celowanie, prowadził chevroleta zygzakiem zjeżdżając to na jedną, to na drugą stronę szosy. Popuścił o włos pedał gazu i wyczekiwał momentu, kiedy ził zbliży się na jakieś dwadzieścia stóp do tylnego zderzaka chevroleta.

Kiedy to nastąpiło, wcisnął gwałtownie hamulec.

Sierżant prowadzący ziła był dobry, ale nie aż tak. Gwałtownie skręcił kierownicę w lewo i niemal udało mu się prześlizgnąć bokiem. Za mało miał jednak czasu, a miejsca jeszcze mniej. Ził wyrznął w tył chevroleta z łomotem gniecionej blachy, chrzęstem rozpryskującego się szkła i zgrzytem miażdżonej przez silnik chłodnicy i okręcił się wokół własnej osi.

Pozbawiony kontroli ził, przemieniony w trzytonową masę metalu uwikłaną w proces samodestrukcji, uderzył bokiem w drzewo i odbiwszy się od niego przeleciał na drugą stronę drogi. Tam wpadł z szybkością osiemdziesięciu mil na godzinę na porzucony na poboczu, zepsuty autobus i koziołkując potoczył się po ziemi, by ze sto jardów dalej znieruchomieć wreszcie na dachu, z kołami wciąż obracającymi się w powietrzu i buchnąć pomarańczowym płomieniem, który zwieńczyła wkrótce gęsta chmura czarnego dymu. Uwięzieni w środku Rosjanie nie mieli żadnych szans na ucieczkę.

Wierny, sponiewierany Chevrolet jechał dalej na resztkach silnika. Spod maski wydobywały się kłęby pary i tryskał olej, w ślad za hamulcami wysiadł drugi bieg, a pogięty tylny zderzak szorował po szosie krzesząc snopy iskier.

Pióropusz dymu przyciągnie wkrótce tych, którzy ich szukają. Pętla się zaciskała. Jeszcze mila, jeszcze jeden zakręt szosy i mogą się natknąć na blokadę drogi. Pitt był pewien, że lada minuta nad wierzchołkami drzew ciągnących się szpalerem wzdłuż szosy pojawi się helikopter. Nadszedł czas, żeby pozbyć się samochodu. Nie było sensu przeciągać struny. Pora, by zmienić konie, jak to czynili bandyci umykający przed pościgiem.

Zbliżając się do pierwszych zabudowań miasteczka Matanzas zwolnił do pięćdziesiątki. Dostrzegł fabrykę nawozów i skręcił na parking. Zatrzymał zdychającego chevroleta pod rozłożystym drzewem, rozejrzał się dookoła i nie widząc nikogo zgasił silnik. Rozrywający bębny ryk gazów spalinowych zastąpiły trzaski stygnącego metalu i syk pary.

- I co dalej? - spytała Jessie. Dochodziła już do siebie. - Mam nadzieję, że chowasz już w rękawie następny genialny plan.

- MacGyver * [* Bohater popularnego w USA serialu telewizyjnego; człowiek, dla którego nie ma sytuacji bez wyjścia] to przy mnie szczeniak - powiedział Pitt z zuchowatym uśmiechem. - Siedź tam. A jak nasz przyjaciel generał choćby czknie, rozwal go.

Ruszył przez parking. Dzień był powszedni i stało tu sporo samochodów pracowników zakładu. Smród dolatujący z fabryczki niósł w sobie coś mdlącego. Powietrze było tym przesycone w promieniu wielu mil. Pitt zatrzymał się przed główną bramą przepuszczając wtaczającą się z łomotem do fabryki kolumnę ciężarówek załadowanych siarczanem amonowym, chlorkiem potasu i obornikiem i drugą wyjeżdżającą z papierowymi workami gotowego nawozu. Idąc tropem pewnego pomysłu, który wpadł mu teraz do głowy, pomaszerował jak gdyby nigdy nic gruntową drogą biegnącą do szosy. Postawszy na skrzyżowaniu mniej więcej piętnaście minut, doczekał się wreszcie tego, o co mu chodziło. Z szosy skręciła w kierunku fabryki ciężarówka rosyjskiej produkcji. Wyszedł na środek drogi i zamachał rękami, żeby ją zatrzymać.

Kierowca był sam. Obrzucił Pitta pytającym spojrzeniem z wyżyn swojej kabiny. Pitt dał mu na migi do zrozumienia, że ma wysiąść, pokazując energicznie na coś pod ciężarówką. Zaciekawiony kierowca zeskoczył na ziemię i przykucnął obok Pitta, który wpatrywał się z przejęciem w wał napędowy. Nie widząc tam niczego szczególnego, kierowca odwrócił się do Pitta, akurat kiedy ten walił go kantem dłoni w kark.

Pod kierowcą nogi się ugięły, ale zanim zdążył osunąć się na ziemię, Pitt podtrzymał go i przerzucił sobie przez ramię. Wepchnął nieprzytomnego do kabiny i zwinnie wspiął się tam za nim. Silnik wciąż pracował, wrzucił więc tylko bieg i podjechał pod drzewo, które miało skrywać chevroleta przed oczami załogi helikoptera.

- Wszyscy na skrzynię - zakomenderował wyskakując z kabiny.

Jessie wzdrygnęła się z obrzydzenia.

- Boże, a co na niej jest?

- Coś, co fachowo nazywa się obornikiem.

- Żądasz ode mnie, żebym się tarzał w gnoju? - zachnął się Wielikow.

- Tarzał, to mało powiedziane - odparł Pitt. - Zakopiesz się w nim. - Wziął od Jessie karabin i bynajmniej nie delikatnie dźgnął generała lufą w nerki. - Na górę, generale. Prawdopodobnie wdeptywałeś w błoto niejedną ofiarę KGB. Teraz twoja kolej.

Wielikow rzucił Pittowi nienawistne spojrzenie i wspiał się na skrzynię ciężarówki. Jessie poszła z ociąganiem w jego ślady, a tymczasem Pitt przystąpił do ściągania garderoby z kierowcy. Była o kilka numerów za mała i żeby się w nią wcisnąć, musiał zrezygnować z zapięcia koszuli na piersi i zasunięcia suwaka przy rozporoku. Ubrał szybko Kubańczyka w swój mundur polowy i wciągnął go na skrzynię, gdzie siedzieli już Wielikow i Jessie. Uporawszy się z tym, oddał Jessie karabin. Nie czekając na instrukcje z powrotem przystawiła lufę do głowy Wielikowa. Pitt znalazł łopatę na haku za kabiną kierowcy i zabrał się do przysypywania całej trójki obornikiem.

Jessie żołądek podchodził do gardła i z trudem powstrzymywała się od zwymiotowania.

- Ja chyba tego nie zniosę - wymamrotała.

- Pociesz się, że to spod koni i bydła, a nie z miejskich ścieków.

- Łatwo ci mówić, ty prowadzisz.

Kiedy nie było ich już widać, ale mogli jeszcze oddychać, Pitt wrócił do kabiny i poprowadził ciężarówkę z powrotem w kierunku szosy. Na skrzyżowaniu przystanął przepuszczając pędzący do rozbitego zła konwój wojskowych samochodów z uzbrojonymi żołnierzami. Górą w tym samym kierunku przemknęła z warkotem formacja trzech wojskowych helikopterów.

Pitt zaczekał, aż znikną mu z oczu, po czym wyjechał na szosę skręcając w lewo. Już przy wjeździe na przedmieścia Matanzas nadział się na blokadę drogi. Stał tam samochód opancerzony i blisko pięćdziesięciu żołnierzy, jeden w drugiego z ponurą, służbistą miną.

Zatrzymał ciężarówkę i wystawił przez otwarte okno rękę z papierami, które zabrał kierowcy. Jego plan działał lepiej, niż to sobie wyobrażał. Żołnierze nawet nie podeszli do cuchnącej przykro ciężarówki. Machnęli tylko z daleka, żeby jechał, i odprowadzili go pełnym ulgi wzrokiem, szczęśliwi, że znowu mogą odetchnąć świeżym powietrzem.

Półtorej godziny później na zachodzie, tam, gdzie przed chwilą skryło się słońce, zamigotały światła Hawany. Pitt wjechał do miasta ulicą Via Blanca. W harmidrze i ścisku godzin szczytu czuł się bezpiecznie anonimowy i tylko specyficzna woń ciągnąca się za ciężarówką nie pozwalała mu całkowicie się odprężyć. Dobrze się składało, że był już wieczór.

Wobec braku paszportu i pieniędzy pozostawało mu tylko skontaktować się z misją amerykańską przy ambasadzie Szwajcarii. Będą tam mogli zaopiekować się Jessie, a jego samego przechować, dopóki

kurier dyplomatyczny nie dostarczy z Waszyngtonu paszportu i dokumentów wjazdowych. Zyskawszy status oficjalnego turysty, będzie mógł przystąpić do rozwikływania zagadki skarbu La Dorady.

Z Wielikowem nie będzie żadnego problemu. Pozostawiony przy życiu, generał stanowiłby poważne zagrożenie. Dalej by mordował i torturował. Martwy, pozostanie tylko wspomnieniem. Pitt zdecydował, że zabije go jednym szybkim strzałem w głowę w jakimś cichym zaułku. Jeśli nawet ktoś zwróci uwagę na huk, to pomyśli, że pochodzi z gaźnika ciężarówki.

Skręcił w pobliżu doków w wąską uliczkę z ciągnącymi się po obu stronach rzędami opuszczonych magazynów i zatrzymał wóz. Nie gasząc silnika wyskoczył z kabiny i obszedł ciężarówkę od tyłu. Przełaząc przez klapę skrzyni ładunkowej dostrzegł sterczące z nawozu głowę i ramiona Jessie. Z małego rozcięcia na jej skroni sączyła się krew, a prawe oko miała spuchnięte i niebiesko-sine. Po Wielikowie i kubańskim kierowcy pozostały tylko wgłębienia w miejscu, gdzie Pitt ich zakopał.

Oni sami zniknęli.

Wyciągnął Jessie ze sterty obornika i otarł jej z gnoju policzki. Zatrzepotała powiekami, otworzyła oczy, popatrzyła na niego i po chwili pokręciła na boki głową.

- Przepraszam, zawałam sprawę.

- Co się stało? - zapytał.

- Kierowca oprzytomniał i rzucił się na mnie. Nie wołałam, żebyś mi pomógł, bo obawiałam się, że mój krzyk zwróci uwagę i zostaniemy zatrzymani przez policję. Karabin wypadł za burtę ciężarówki, kiedy go sobie wrywaliśmy. Potem generał złapał mnie za rękę, a kierowca bił gdzie popadnie, dopóki nie straciłam przytomności. - Coś jej się nagle przypomniało i rozejrzała się z paniką w oczach. - Gdzie oni są?

- Musieli wyskoczyć w biegu - odparł Pitt. - Przypominasz sobie, gdzie albo jak dawno temu?

Na jej twarzy pojawił się wysiłek koncentracji.

- To chyba było mniej więcej wtedy, kiedy wjeżdżaliśmy do miasta. Przypominam sobie odgłosy ruchu ulicznego.

- Niecałe dwadzieścia minut temu.

Pomógł jej dobrnąć do burty ciężarówki i opuścił ją na ziemię.

- Najlepiej będzie, jeśli zostawimy tu ciężarówkę i złapiemy taksówkę.

- Nie mogę się przecież nigdzie pokazać taka śmierdząca - zaprotestowała zdumiona. - I spójrz na siebie. Komicznie wyglądasz. Z przodu jesteś całkiem porozpinany.

Pitt wzruszył ramionami.

- A co mi tam? Za publiczne obnażanie się nie mogą mnie aresztować. Mam na sobie jeszcze szorty.
- Nie możemy pojechać taksówką - zauważyła z rozdrażnieniem. - Nie mamy ani jednego kubańskiego peso.
- Tym zajmie się amerykańska misja przy ambasadzie szwajcarskiej. Nie znasz czasem dokładnego adresu?
- Oficjalnie nazywają się Sekcją Interesów Specjalnych. Na tych samych zasadach funkcjonuje przedstawicielstwo Kuby w Waszyngtonie. Budynek ambasady stoi przy bulwarze Malecón, nad samym brzegiem.
- Pozostaniemy w ukryciu, dopóki się na dobre nie ściemni. Może znajdziemy tymczasem jakiś hydrant i umyjemy cię. Wielikow zarządzi w całym mieście zakrojone na szeroką skalę poszukiwania. Będą prawdopodobnie obserwować ambasadę, trzeba więc się zastanowić, jak się do niej niepostrzeżenie wślizgnąć. Możesz iść o własnych siłach?
- Wiesz co? - powiedziała ze zbolętym uśmiechem. - Diabli mnie już biorą, kiedy w kółko o to pytasz.

ROZDZIAŁ 65

Ira Hagen wysiadł z samolotu w porcie lotniczym Jose Martiego i wkroczył do terminalu. Był przygotowany na przeprowadzenie z funkcjonariuszami służb imigracyjnych, ale ci spojrzeli tylko na jego dyplomatyczny paszport i przepuścili go po odbębnieniu niezbędnych formalności. Kiedy szedł odebrać swój bagaż, zatrzymał go mężczyzna we wdzianku ze specjalnie gniecionej bawełny.

- Pan Hagen?

- Zgadza się.

- Tom Clark, szef Sekcji Interesów Specjalnych. Zostałem uprzedzony o pańskim przybyciu przez samego Douglasa Oatesa.

Hagen zmierzył Clarka wzrokiem. Dyplomata był atletycznie zbudowanym trzydziestokilkulatkiem o opalonej twarzy, przerzedzonych rudych włosach szesanych starannie do przodu, by przykryć pogłębiającą się nad czołem łysinę. Oczy miał niebieskie, na nosie widoczne ślady co najmniej dwóch złamań, a wąsik a la Erol Flynn. Potrząsnął wylewnie ręką Hagena dobre siedem razy.

- Nie wydaje mi się, żeby witał pan tu wielu Amerykanów - zauważył Hagen.

- Bardzo niewiele, od kiedy prezydent Reagan zaniknął wyspę dla turystów i biznesmenów.

- Zakładam, że powiadomiono pana o celu mojej wizyty.

- Dyskusję na ten temat odłożmy lepiej do czasu, kiedy znajdziemy się w samochodzie - powiedział Clark pokazując ruchem głowy siedzącą nie opodal niepozorną, grubą kobietę z małą walizeczką na kolanach.

Hagen z łatwością rozpoznał w walizce szpiegowski rekwizyt z zamaskowanym urządzeniem podsłuchowym rejestrującym każde ich słowo.

Po blisko godzinie celnicy uporali się wreszcie z kontrolą bagażu Hagen i obaj mężczyźni ruszyli do samochodu Clarka - czterodrzwiowego lincolna z kierowcą. Padał drobny kapuśniaczek, ale Clark miał ze sobą parasol. Kierowca umieścił walizę Hagen w bagażniku i ruszyli w kierunku ambasady szwajcarskiej, gdzie mieściła się także Sekcja Interesów Specjalnych Stanów Zjednoczonych.

Na kilka lat przed rewolucją Hagen spędzał na Kubie miesiąc miodowy i teraz stwierdzał, że Hawana wygląda prawie tak samo, jak ją sobie zapamiętał. Pastelowe kolory pokrytych stiukiem budynków przy wysadzanych palmami alejach zdawały się wyblakłe, ale niewiele się zmieniły. Była to nostalgiczna przejażdżka. Ulice roily się od samochodów z lat pięćdziesiątych, ich marki

pobudzały stare wspomnienia - kaisery, studebakery, packardy, hudsony, a nawet jeden czy dwa edsele. Mieszały się z nowszymi fiatami z Włoch i ładami z Rosji.

Miasto tętniło życiem, ale nie wzbierało już namiętnościami z czasów Batisty. Z ulic zniknęli żebracy, prostytutki i włóczędzy, a ich miejsce zajęła przygnębiająca szarzyzna właściwa wszystkim krajom komunistycznym. Marksizm to wrzód na tyłku ludzkości, doszedł do wniosku Hagen.

- Od jak dawna jest pan w służbie dyplomatycznej? - zwrócił się do Clarka.

- Nigdy nie byłem dyplomatą - odparł Clark. - Pracuję w firmie.

- CIA.

Clark skinął głową.

- Jeśli pan woli.

- A ta wzmianka o Douglasie Oatesie?

- To na użytek lotniskowego szpicla. O pańskiej misji poinformował mnie Martin Brogan.

- Jak stoicie ze sprawą odnalezienia i rozbrojenia tego urządzenia?

Clark uśmiechnął się ponuro.

- Można je śmiało nazywać bombą. To bez wątpienia mała bomba, ale jej siła rażenia wystarczy, by zrównać z ziemią połowę Hawany i wzniecić pożar, który strawi wszystkie te bieda-domki i chałupki na przedmieściach. A co do pańskiego pytania, to nie znaleźliśmy jej jeszcze. Powołaliśmy specjalny dwudziestoosobowy zespół, który przetrząsa dyskretnie doki i te trzy podejrzane statki. Jak dotąd bez rezultatów. Równie dobrze mogliby szukać igły w stogu siana. Do inauguracji obchodów święta i parady pozostało niecałe osiemnaście godzin. Trzeba by armii ludzi, żeby znaleźć tę bombę na czas. A co gorsza, naszym szczupłym siłom utrudniają pracę środki bezpieczeństwa zastosowane przez Kubańczyków i Rosjan. Zmuszony jestem stwierdzić, że przy obecnym stanie rzeczy zdetonowaniu ładunku nie da się zapobiec.

- Gdybym zdołał dotrzeć do Castra i przekazać mu ostrzeżenie prezydenta...

- Castro nie będzie z nikim rozmawiał - wpadł mu w słowo Clark. - Nie mogą z nim nawiązać kontaktu nawet najbardziej zaufani urzędnicy kubańskiej administracji - a mamy pięciu naszych ludzi na najwyższych stanowiskach państwowych. Przykro mi to mówić, ale pańskie zadanie jest jeszcze bardziej beznadziejne od mojego.

- Nosi się pan z zamiarem ewakuowania swojego personelu?

W oczach Clarka pojawił się wyraz głębokiego zasmucenia.

- Nie. Zostaniemy tu do końca.

Hagen zamilkł, a kierowca skręcił tymczasem z Malecón i zatrzymał się przed bramą wjazdową na teren byłej ambasady Stanów Zjednoczonych, obecnie zajmowany oficjalnie przez Szwajcarię. Wysokie podwoje z kutego żelaza otworzyli szybko wartownicy w mundurach szwajcarskiej armii.

Nagle, nie wiadomo skąd, za limuzyną pojawiła się taksówka i zanim osłupiali wartownicy zdążyli zareagować i zatrzasnąć bramę, przemknęła przez nią za służbowym wozem. Z toczącej się jeszcze taksówki wyskoczyli kobieta w milicyjnym mundurze i mężczyzna w łachmanach. Wartownicy szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i puścili biegiem w stronę intruza, który natychmiast przykucnął w ni to bokserkim, ni zapożyczonym z judo przysiadzie. Widząc to żołnierze zatrzymali się jak wryci i zaczęli gorączkowo gmerać przy zapinkach kabur z automatycznymi pistoletami. Ta chwila zwłoki wystarczyła kobiecie, by jednym szarpnięciem otworzyć tylne drzwiczki lincolna i wskoczyć do środka.

- Amerykanie czy Szwajcarzy? - rzuciła ostro.

- Amerykanie - wykrztusił Clark oszołomiony zarówno bijącą od niej nieprzyjemną wonią, jak i bezceremonialnością, z jaką wtargnęła do wozu. - O co pani chodzi?

Jej odpowiedź była całkowicie nieoczekiwana. Wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Amerykanie czy Szwajcarzy. Boże, zupełnie jakby to miało znaczenie.

Szofer zorientował się wreszcie, że ma nieproszonego pasażera, wyskoczył zza kierownicy i pochwycił ją w pól.

- Zaczekaj! - krzyknął Hagen dostrzegając paskudnie posiniaczoną twarz kobiety. - Co tu się dzieje?

- Jestem Amerykanką - wyznała opanowując śmiech. - Nazywam się Jessie LeBaron. Proszę mi pomóc.

- Wielkie nieba - mruknął Hagen. - Nie jest pani czasem żoną Raymonda LeBarona?

- Tak, tak, to ja - zapewniła niecierpliwie, usiłując jednocześnie zwrócić ich uwagę na szamotaninę, jaka wywiązała się tymczasem na wewnętrznej alejce ambasady. - Powstrzymajcie ich. To Dirk Pitt, dyrektor działu zadań specjalnych NUMA.

- Ja się tym zajmę - powiedział Clark. Zanim zdążył zainterweniować, Pitt rozłożył już jednego z wartowników i brał się za bary z drugim. Kubański taksówkarz miotał się wokół walczących gestykulując zapamiętale i wrzaskliwie domagając się uregulowania należności za kurs. Rejwach spotęgował się jeszcze, kiedy na ulicy za zamkniętą bramą wyrosło jak spod ziemi kilku policjantów po cywilnemu żądając wydania im Pitta i Jessie. Clark zignorował policjantów, rozdzielił walczących i zapłacił taksówkarzowi. Potem podprowadził Pitta do lincolna.

- Skąd pan się tu, u diabła, wziął? - spytał Hagen. - Prezydent sądził, że albo pan nie żyje, albo siedzi...

- Nie teraz! - przerwał mu Clark. - Lepiej zejdźmy z oczu policjantom, zanim zapomną o

eksterytorialności ambasady i zrobią nam brzydki dowcip.

Wprowadził ich pospiesznie do środka i korytarzem przeszli do amerykańskiej części budynku. Pittowi udostępniono wolny pokój, gdzie mógł się ogolić i wziąć prysznic. Jeden z pracowników misji, mężczyzna mniej więcej tego samego wzrostu i budowy, pożyczył mu jakieś przypadkowo dobrane części garderoby. Mundur Jessie spalono w piecu na odpadki, a ona sama z ulgą zmyła z siebie w kąpieli odór obornika. Lekarz szwajcarskiej ambasady zbadał ją dokładnie oraz opatrzył skaleczenia i sińce. Potem kazał ją porządnie nakarmić i zalecił kilka godzin odpoczynku przed rozmową z pracownikami Sekcji Interesów Specjalnych.

Niedługo potem Pitta wprowadzono do małej salki konferencyjnej. Oczekujący go tam Hagen i Clark wstali i przedstawili się formalnie. Pitt podszedł do wskazanego mu krzesła i wszyscy trzej zasiedli wygodnie za ręcznie rzeźbionym, sosnowym stołem o masywnych nogach.

- Nie mamy czasu na wyczerpujące wyjaśnienia - zaczął bez wstępów Clark. - Przed dwoma dniami moi zwierzchnicy z Langley powiadomili mnie o waszej planowanej tajnej akcji dywersyjnej na Cayo Santa Maria. Wprowadzono mnie w sprawę, żebym był przygotowany na wypadek niepowodzenia operacji i ewentualnych reperkusji tu, w Hawanie. Nie poinformowano mnie, czy akcja zakończyła się sukcesem, i dopiero obecny tu pan Hagen...

- Ira - wtrącił Hagen.

- I dopiero teraz Ira pokazał mi ściśle tajny dokument zdobyty podczas likwidowania instalacji na wyspie. Przywiózł dla mnie także dyrektywę wydaną przez Martina Brogana i prezydenta. Mam wszcząć dyskretne dochodzenie w sprawie losów pana oraz pani LeBaron i natychmiast ich powiadomić, gdyby okazało się, że zostaliście pojmani i aresztowani.

- Albo straceni - dorzucił Pitt.

- O tym również - przyznał Clark.

- A zatem wie pan też, dlaczego odłączyliśmy się z Jessie od grupy i wylądowaliśmy na Kubie.

- Wiem. Pani LeBaron ma przekazać Castrowi pilną wiadomość od prezydenta.

Pitt odprężył się i rozparł wygodnie na krześle.

- To świetnie. Moja rola w tej aferze dobiegła zatem końca. Mam tu jeszcze do załatwienia pewną sprawę natury osobistej, a potem byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście zorganizowali mi przelot do Waszyngtonu.

Clark i Hagen wymienili spojrzenia unikając zgodnie wzroku Pitta.

- Przykro mi, że krzyżuję pańskie plany - powiedział Clark - ale mamy tu aktualnie kryzysową sytuację i pana doświadczenie ze statkami mogłoby się okazać nieocenione.

- Nie mielibyście ze mnie pociechy. Jestem wykończony.

- Czy możemy jednak zabrać panu kilka minut i poinformować, jaki mamy tu paszтет?

- Chętnie posłucham.

Clark skinął z satysfakcją głową.

- Okay. Ira przybył prosto od prezydenta. Lepiej ode mnie naświetli sytuację. - Tu zwrócił się do Hagen. - Oddaję ci głos.

Hagen zdjął płaszcz, z kieszeni na piersi wyjął chusteczkę i otarł nią spocone czoło.

- Otóż sytuacja przedstawia się następująco, Dirk. Mogę ci mówić Dirk?

- Tak mam na imię.

Hagen znał się na ludziach, a Pitt zrobił na nim dobre wrażenie. Ten facet nie wyglądał mu na typa podatnego na manipulacje. Było w nim również coś, co sugerowało, że można mu zaufać. Hagen wyłożył karty na stół i omówił w ogólnych zarysach rosyjski spisek przewidujący zamordowanie braci Castro i przejęcie władzy na Kubie. Doszedłszy do szczegółów wyjaśnił zwięźle, w jaki sposób przeszmugłowano ładunek nuklearny do portu, i podał planowany termin jego zdetonowania.

Kiedy Hagen skończył, głos zabrał Clark i zrelacjonował działania podjęte w celu odnalezienia bomby. Nie było czasu na sprowadzenie ze Stanów wyspecjalizowanej ekipy, która zajęłaby się poszukiwaniami, a zresztą Kubańczycy nie wpuściliby jej do miasta. Miał do dyspozycji tylko dwudziestu ludzi wyposażonych w najbardziej prymitywny sprzęt do wykrywania promieniowania. Spoczywała na nim straszliwa odpowiedzialność, a nie miał złudzeń, że poszukiwania to daremny trud. W tym miejscu urwał i zapytał:

- Rozumiesz mnie, Dirk?

- Tak... - powiedział powoli Pitt. - Rozumiem. Dziękuję.

- Jakieś pytania?

- Kilka, ale jedno szczególnie mnie dręczy. Co się z nami stanie, jeśli to coś nie zostanie znalezione i rozbrojone?

- Sądzę, że znasz odpowiedź - odparł Clark.

- Może i tak, ale chcę ją usłyszeć od ciebie.

Twarz Clarka przybrała wyraz żałobnika na pogrzebie.

- Wszyscy zginiemy - powiedział po prostu.

- Pomożesz nam? - spytał Hagen.

Pitt spojrział na Clarka.

- Ile czasu nam zostało?

- Około szesnastu godzin.

Pitt wstał z krzesła i zaczął się przechadzać tam i z powrotem po sali dając sobie czas na przekopanie się przez gąszcz informacji, którymi go zasypano. Po minucie milczenia, podczas której Hagen z Clarkiem obserwowali go z napięciem, przechylił się nagle przez stół i powiedział:

- Potrzebna mi mapa portu.

Jeden z ludzi Clarka szybko mu ją podsunął.

Pitt rozpostarł mapę na stole i przesunął po niej wzrokiem.

- Mówicie, że nie możecie uprzedzić Kubańczyków? - spytał studiując rozmieszczenie instalacji portowych w zatoce.

- Nie - odparł Hagen. - Ich władze są nafaszerowane sowieckimi agentami. Gdybyśmy ich ostrzegli, zignorowaliby to i uniemożliwili nam poszukiwania.

- No a Castro?

- Zadanie przeniknięcia przez jego ochronę i ostrzeżenia go biorę na siebie - oznajmił Hagen.

- I cała wina spada na Stany Zjednoczone?

- Sowiecka machina propagandowa już o to zadba.

- Mogę prosić o ołówek?

Clark spełnił to życzenie i usiadł bez słowa, a Pitt narysował na mapie koło.

- Moim zdaniem statek z bombą stoi przycumowany w zatoce Antares.

Brwi Clarka powędrowały w górę.

- Skąd to wiesz?

- To idealne miejsce, jeśli eksplozja ma wyrządzić jak najwięcej zniszczeń. Zatoczka wrzyna się w ląd prawie do samego serca miasta.

- Rzeczywiście - przyznał Clark. - Cumują tam dwa z podejrzanych statków. Trzeci stoi na kotwicy po drugiej stronie Zatoki Hawańskiej.

- Możesz mi opisać te jednostki?

Clark odszukał w dokumentach stronicę z wykazem statków wchodzących ostatnio do portu.

- Dwie należą do floty handlowej Związku Radzieckiego, a jedna pływa pod banderą panamską i jest własnością korporacji zarządzanej przez kubańskich uchodźców z kręgów niechętnych Castrowi.

- Ten trzeci statek jest podstawiony przez KGB - wtrącił Hagen. - Będą potem utrzymywać, że kubańscy uchodźcy mają powiązania z CIA i obarczą nas odpowiedzialnością za przeprowadzenie zamachu. Nie będzie na świecie takiego kraju, który w tych okolicznościach uwierzy w nasze niezaangażowanie.

- Logiczny plan - powiedział Clark. - Trudno wymagać, żeby do przetransportowania bomby użyli jednego z własnych statków.

- Tak, ale po co bez potrzeby narażać na zniszczenie aż dwa statki wraz z ładunkami? - zauważył Pitt.

- Przyznaję, że to mi nie pasuje.

- Nazwy i ładunki tych statków?

Clark odnalazł w pliku dokumentów następną kartkę i odczytał z niej:

- *Oziero Zajsan*, sowiecki statek handlowy z zaopatrzeniem i sprzętem wojskowym. *Oziero Bajkal*, tankowiec do przewozu ropy naftowej o wyporności 200 000 ton. Ten statek będący jakoby własnością Kubańczyków to *Amy Bigalow*, drobnicowiec z ładunkiem 25 000 ton saletry amonowej.

Pitt gapił się w sufit jak zahipnotyzowany.

- Tankowiec? Czy to ten zakotwiczony po drugiej stronie zatoki?

- Tak, przy rafinerii.

- Czy coś z tych ładunków zostało już rozładowane?

Clark pokręcił głową.

- Przy tych dwóch statkach handlowych nic się nie robi, a tankowiec nadal stoi głęboko zanurzony.

Pitt znowu usiadł i obrzucił obu mężczyzn chłodnym, twardym spojrzeniem.

- Wyprowadzono was w pole, panowie.

Clark popatrzył na Pitta z zaskoczeniem w oczach.

- O czym ty mówisz?

- Przeceniliście skalę intrygi Rosjan i nie doceniliście ich przebiegłości - powiedział Pitt. - Na żadnym z tych statków nie ma bomby nuklearnej. Bo do tego, co planują, nie jest im ona wcale

potrzebna.

ROZDZIAŁ 66

Generał pułkownik Wiktor Kolczak, szef piętnastotysiecznego korpusu wojsk sowieckich i grupy doradców wojskowych stacjonujących na terytorium Kuby, wyszedł zza biurka i uściśnął serdecznie Wielikowa.

- Generale, nie wiecie nawet, jak się cieszę widząc was całym i zdrowym.

- Wzajemnie, generale pułkownika - powiedział Wielikow odwzajemniając niedźwiedzi uścisk Kolczaka.

- Siadajcie, siadajcie, mamy dużo do obgadania. Kto stał za zniszczeniem naszej wyspiarskiej instalacji nasłuchowej, ten nam za to zapłaci. Prezydent Antonow zapewnia mnie, że nie puści płazem tej zniewagi.

- Jestem całkowicie po jego stronie - powiedział Wielikow. - Operacja *Rum z Colą* rozpoczyna się jutro rano o dziesiątej trzydzieści. Czy przygotowania są już zakończone?

Kolczak nalał sobie niewielką porcję wódki.

- Funkcjonariusze radzieccy i nasi kubańscy przyjaciele wymykają się już dyskretnie, w małych grupkach, z miasta. Większość moich wojsk wyszła już z koszar. Rozpoczynamy pozorowane manewry w odległości czterdziestu mil od miasta. Do wschodu słońca ewakuowany zostanie po cichu cały personel, sprzęt i ważna dokumentacja.

- Zostawcie coś po sobie - mruknął jakby od niechcienia Wielikow.

Kolczak spojrział na niego sponad okularów bez oprawki, jak babcia, która usłyszała z ust wnuka brzydkie słowo na literę k.

- Co takiego mamy po sobie zostawić, generale?

Z twarzy Wielikowa zniknęło szyderstwo.

- Pięćdziesiąt osób z radzieckiego personelu cywilnego, żony i rodziny oraz dwustu wojskowych.

- Zdajecie sobie sprawę, czego żądacie?

- Dokładnie. Nie możemy zrzucić na CIA winy za spowodowanie śmierci setek tysięcy osób, jeśli nie będzie ofiar z naszej strony. Rosjanie umierający u boku Kubańczyków. Uzyskamy efekt propagandowy, który w wielkim stopniu ułatwi zadanie naszym nowym władzom.

- Nie potrafię rzucić na szalę życia dwustu pięćdziesięciorga rodaków.
- Waszego ojca jakoś nigdy nie ruszało sumienie, kiedy oczyszczał niemieckie pola minowe gnając tamtędy swoich żołnierzy.
- To była wojna.
- Zmienił się tylko wróg - wycodził chłodno Wielikow. - W stanie wojny z USA jesteśmy od roku 1945. Ofiary w ludziach niewiele znaczą w zestawieniu z rozszerzaniem naszych wpływów na półkuli zachodniej. Nie ma tu miejsca na dyskusje, generale. Zrobi pan to, co do pana należy.
- KGB nie musi mnie pouczać o moich obowiązkach wobec ojczyzny - powiedział nie bez złośliwości Kolczak.

Wielikow wzruszył obojętnie ramionami.

- Każdy robi swoje. A wracając do *Rumu z Colą*; po wybuchu wasi żołnierze powrócą do miasta i włączą się do akcji niesienia pomocy medycznej i technicznej. Moi ludzie będą czuwali nad sprawnym przebiegiem procesu przejmowania władzy. Spreparowane materiały dla światowych środków masowego przekazu także biorę na siebie. Przedstawimy w nim ofiary radzieckich żołnierzy roztaczających opiekę nad rannymi.
- Jako żołnierz muszę stwierdzić, że cała ta operacja jest dla mnie odrażająca. Nie mogę uwierzyć, że towarzysz Antonow ją zatwierdził.
- Ma po temu ważne powody i ja, ze swej strony, ich nie kwestionuję.

Kolczak przygarbił się i oparł o krawędź biurka.

- Każę przygotować listę tych, którzy zostaną.
- Dziękuję, generale pułkowniku.
- Zakładam, że wszystko zostało zapięte na ostatni guzik?

Wielikow skinął głową.

- Pan i ja będziemy towarzyszyli braciom Castro do samej trybuny honorowej ustawionej na trasie pochodu. Ja będę miał przy sobie kieszonkowy nadajnik, za pomocą którego zdetonuję ładunek wybuchowy na głównym statku. Kiedy Castro rozpocznie swoje jak zwykle tasiemcowe przemówienie, wycofamy się dyskretnie do oczekującego wozu sztabowego. Po odjechaniu na bezpieczną odległość piętnastu mil, co zajmie około trzydziestu minut, nadam sygnał inicjujący eksplozję.
- A jak wyjaśnimy nasze cudowne ocalenie? - spytał sarkastycznie Kolczak.
- Pierwsze meldunki uznają nas za zabitych i zaginionych. Później zostaniemy odnalezieni wśród

rannych.

- Jak ciężkie to będą rany?

- Na tyle tylko, by wyglądały przekonująco. Mundury w strzępach, trochę krwi i trochę rzekomych ran pod bandażami.

- Niczym dwaj chuligani, którzy zdemolowali garderoby w teatrze.

- Mnie taka metafora nie przyszlaby raczej do głowy.

Kolczak odwrócił się i ze smutkiem wyjrzał przez okno swojej kwatery na tętniącą życiem Hawanę.

- Nie chce się wierzyć - powiedział przybity - że jutro o tej porze wszystko to będzie wzburzonym morzem płomieni, otchłanią cierpienia i śmierci.

Prezydent pracował przy swym biurku do późna. Nie było tutaj rozwiązań stereotypowych, czarno-białych sytuacji. Życie głowy państwa składało się z samych kompromisów. Swoje zwycięstwo nad Kongresem okupił dołączeniem klauzuli z poprawkami, przywódcy państw z całego świata dotąd szarpali jego politykę zagraniczną, aż z oryginalnych koncepcji niewiele pozostało. Teraz próbował ocalić życie człowiekowi, który już trzydzieści lat temu upatrzył sobie Stany Zjednoczone na wroga numer jeden. Ciekaw był, jakie skutki przyniesie każde z tych posunięć za dwieście lat.

Wszedł Dan Fawcett z dzbankiem kawy i kanapkami.

- Gabinet Owalny nigdy nie sypia - powiedział siląc się na dobry humor. - Pańskie ulubione, z tuńczykiem i bekonem. - Podsunął prezydentowi talerz i napełnił kawą filiżankę. - Mogę w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję, Dan. Redaguję właśnie swoje wystąpienie na jutrzejszą konferencję prasową.

- Nie mogę się doczekać min dziennikarzy, kiedy wyjawi im pan istnienie kolonii księżycowej, a potem przedstawi Steinmetza i jego ludzi. Przejrzałem kilka taśm wideo z ich eksperymentami księżycowymi. Są niesamowite.

Prezydent odłożył kanapkę i w zamyśleniu siorbnął łyk kawy.

- Świat stanął na głowie.

Fawcett zastygł z zębami wbitymi w kanapkę.

- Że co, proszę?

- Pomyśl tylko, jakie to wszystko przerażająco bezsensowne. Ja będę informował świat o największym współczesnym osiągnięciu człowieka, a w tym samym czasie Hawana będzie ścierana z mapy.

- Nie było żadnych wiadomości od Brogana, od kiedy Pitt i Jessie LeBaron pojawili się w naszej Sekcji Interesów Specjalnych?

- Przez ostatnią godzinę, nie. On też czuwa w swoim biurze.

- Jak, u licha, im się to udało?

- Dwieście mil przez wrogi kraj. Nie do wiary.

Zadzwoił aparat bezpośredniej linii łączącej Gabinet Ovalny z Langley.

- Tak?

- Tu Martin Brogan, panie prezydencie. Hawana melduje, że poszukiwacze nie wykryli do tej pory promieniowania radioaktywnego w pobliżu żadnego z tych statków.

- Dostali się tam?

- Niestety nie. Są zbyt dobrze pilnowane. Mogli tylko przejechać samochodem obok dwóch statków przycumowanych do nabrzeża. Trzeci, ten tankowiec, stoi na kotwicy w zatoce. Opłyneli go w koło małą łodzią.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Martin? Że bomba została już wyładowana i ukryta w mieście?

- Wszystkie trzy statki od chwili zawinięcia do portu znajdowały się pod ścisłą obserwacją. Na żadnym z nich nie zauważono prowadzenia jakichkolwiek prac rozładunkowych.

- A może promieniowanie nie jest w stanie przeniknąć przez stalowe kadłuby?

- Eksperci z Los Alamos zapewniają mnie, że to dla nich nie przeszkoda. Problem w tym, że nasi ludzie w Hawanie nie są profesjonalistami w dziedzinie promieniowania. A na domiar złego zwykłe liczniki Geigera, których z konieczności używają, nie są wystarczająco czułe, by rejestrować niewielkie poziomy radiacji.

- To dlaczego nie wysłaliśmy tam wykwalifikowanego zespołu z odpowiednim wyposażeniem? - zapytał prezydent.

- Co innego wysłać jednego człowieka z małą walizeczką w misji dyplomatycznej, jak pan swojego przyjaciela Hagenę, a zupełnie co innego przerzucić grupę ludzi z pięciuset funtami sprzętu elektronicznego. Gdybyśmy mieli więcej czasu, coś by się może wymyśliło. Ani desant morski, ani powietrzny nie miałby większych szans powodzenia wobec szczelności kubańskiego systemu obrony terytorialnej kraju. Najlepszy sposób to przeszmuglowanie takiej ekipy na statku, ale tutaj w grę wchodzi co najmniej miesiąc przygotowań.

- Z tego, co mówisz, wynika, że można nas porównać do faceta cierpiącego na jakąś chorobę, na którą nie wynaleziono jeszcze lekarstwa.
 - Tak by to można podsumować, panie prezydencie - przyznał Brogan. - Chyba pozostaje nam tylko siedzieć i czekać na nieuniknione.
 - Nie, tylko nie to. Musimy coś zrobić w imieniu ludzkości. Nie możemy pozwolić, by ci ludzie zginęli. - Prezydent urwał czując skurcz w okolicach żołądka. - Boże, nie mogę uwierzyć, że Rosjanie naprawdę zdetonują w mieście bombę nuklearną. Czy Antonow nie zdaje sobie sprawy z tego, że popycha nas jeszcze głębiej w bagno, z którego już się nie wygrzebiemy?
 - Proszę mi wierzyć, panie prezydencie, nasi analitycy przepuścili przez komputery każdą możliwą ewentualność. Nie ma wyjścia. Wezwanie do ewakuacji miasta, nadane przez amerykańskie sieci radiowe, nic nie da. Oni po prostu zignorują wszelkie nasze ostrzeżenia.
 - Jest jeszcze nadzieja, że Ira Hagen dotrze na czas do Castra.
 - Naprawdę spodziewa się pan, że Fidel przyjmie słowa Hagen za dobrą monetę? Mało prawdopodobne. Pomyśl tylko, że to spisek mający go skompromitować. Przykro mi, panie prezydencie, musimy przygotować się na najgorsze, bo nie możemy temu w żaden sposób zapobiec.
- Prezydent już nie słuchał. Na jego twarzy malowała się czarna rozpacz. Założyliśmy kolonię na Księżycu, myślał, a mimo to mieszkańcy świata nadal gotowi są mordować się nawzajem z byle powodu.
- Zwołuję posiedzenie gabinetu na jutro rano, przed ogłoszeniem istnienia księżycowej kolonii - powiedział zgaszonym głosem. - Będziemy musieli wypracować strategię obrony przed sowiecko-kubańskimi oskarżeniami i ratować, co się da.

ROZDZIAŁ 67

Wydostanie się z ambasady szwajcarskiej było śmiesznie proste. Wydrążony przed dwudziestu laty tunel biegł na głębokości ponad stu stóp pod ulicami i poniżej systemu kanałów ściekowych” o wiele głębiej, niż mogły sięgnąć sondy zapuszczone wokół budynku przez ludzi z kubańskiej bezpieki. Ściany uszczelniono odpowiednio, by nie przepuszczały wody, ale bezgłośnie pompy odprowadzały na bieżąco zbierającą się mimo wszystko wilgoć.

Pitt zszedł za Clarkiem długą drabiną na sam dół, po czym podążyli korytarzem, który ciągnął się pod blisko dwoma kwartałami miasta i kończył na drugim szybie. Wspięli się nim na górę i wynurzyli w przymierzalni damskiego sklepu odzieżowego.

Sklep zamknięto przed sześcioma godzinami, a ekspozycja w oknie wystawowym skutecznie zasłaniała wnętrze. W magazynie siedziało trzech skonanych, wymizerowanych mężczyzn, którzy nie wykazali nawet śladu ożywienia na widok wchodzących.

- Nie musisz znać prawdziwych nazwisk - powiedział Clark. - Przedstawiam ci Manny’ego, Moego i Jacka.

Manny, ogromny Murzyn o głęboko pobrużdżonej twarzy, ubrany w wypłowiałą, zieloną koszulę i spodnie khaki, palił papierosa i ledwie raczył posłać Pittowi obojętne spojrzenie zmęczonego człowieka. Wyglądał na kogoś, kto oberwał w życiu niezłe cięgi i wyzbył się wszelkich złudzeń.

Moe siedział w okularach na nosie, zatopiony w lekturze rozmówek rosyjskich. Miał aparycję uczonego - nieobecny wyraz twarzy, włosy w nieładzie, starannie wymodelowana broda. Kiwnął w milczeniu głową i spontanicznie uśmiechnął się na powitanie.

Jack był stereotypem Latynosa z przedwojennego kina - roziskrzone oczy, krępa budowa ciała, śnieżnobiałe zęby, cienki wąsik. Brakowało mu tylko bębenka bongo. Tylko on odezwał się na powitanie.

- Hola, Thomas. Przychodzisz dodać ducha żołnierzom?

- Panowie, to jest... eee... Sam. Ma koncepcję, która rzuca nowe światło na poszukiwania.

- Żeby to tylko nie było jakieś zawracanie głowy, jak już wyciągnęliście nas z doków - burknął Manny. - Czas nagli i szkoda go na wysłuchiwanie teorii, co to je tylko o kant dupy potłuc.

- Nie jesteście bliżej znalezienia bomby niż przed dwudziestoma czterema godzinami - zauważył cierpliwie Clark.

- Proponuję posłuchać, co ma do powiedzenia.

- Wypchaj się - warknął Manny. - Odwołujesz nas akurat w momencie, kiedy znaleźliśmy sposób na dostanie się na pokład jednego z frachtowców.

- Moglibyście przeszukać te statki cal po calu, a i tak nie znaleźlibyście półtoratonowego ładunku nuklearnego - odezwał się Pitt.

Manny zwrócił się w stronę Pitta i zmierzył go wzrokiem od stóp do głów niczym skrzydłowy oceniający warunki fizyczne obrońcy drużyny przeciwnej.

- No dobra, mądralo, to gdzie masz tę bombę?

- Trzy bomby - poprawił go Pitt - i żadna z nich nie jest nuklearna.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Oprócz Clarka nikt z obecnych nie sprawiał wrażenia przekonanego.

Pitt wyciągnął spod koszuli mapę, rozłożył ją i przypiął do ściany kilkoma szpilkami pożyczonymi z manekina. Sceptyczne nastawienie grupy agentów CIA nie zbiło go z tropu. Wyglądali na ludzi czujnych, precyzyjnych i kompetentnych. Wiedział, że dysponują zadziwiająco szeroką gamą umiejętności i odznaczają się bezwzględną determinacją ludzi, którzy nie potrafią łatwo pogodzić się z porażką.

- Pierwsze ogniwo w łańcuchu planowanego holocaustu stanowi *Amy Bigalow* - zaczął. - Znajdujące się w jej ładowni dwadzieścia pięć tysięcy ton saletry amonowej...

- To nic innego niż nawóz sztuczny - wpadł mu w słowo Manny.

- ...to również silnie wybuchowa substancja chemiczna - ciągnął Pitt. - Gdyby zdetonowano tę ilość saletry amonowej, to siła eksplozji byłaby daleko potężniejsza od tej, którą miały bomby zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki. Zrzucono je z powietrza i spora część ich siły niszczącej poszła w atmosferę. Większość podmuchu *Amy Bigalow* detonującej na ziemi przetoczy się przez Hawanę niczym strumień stopionej lawy. Statek *Oziero Zajsan*, z którego manifestu wynika, że ma na pokładzie zaopatrzenie dla wojska, jest prawdopodobnie wyładowany po brzegi amunicją. Spuści z uwięzi drzemiące w nim demony zniszczenia wybuchając jednocześnie z *Amy Bigalow*. Na koniec buchnie płomieniem ropa na tankowcu *Oziero Bajkal* i rozpęta się istne piekło. Wylecą w powietrze zbiorniki paliwa, rafinerie, zakłady chemiczne i fabryki nawozów. Żywiół może szaleć wiele dni.

Manny, Moe i Jack siedzieli z nieprzeniknionymi minami i na pozór nie rozumieli, o czym mowa. Pod tą maską byli wstrząśnięci przerażającą wizją roztoczoną przez Pitta.

Moe spojrział w końcu na Clarka.

- Wiesz, on trafił w sedno.

- Właśnie. Langley błędnie odczytało zamiary Sowietów. Ten sam skutek osiągnąć można bez uciekania się do ataku nuklearnego.

Manny wstał i rubasznie uściśnął ramiona Pitta dwoma wielkimi jak bochny łapskami.

- Trzeba ci to przyznać, chłopie. Faktycznie masz nosa.

- Nie da rady rozładować tych statków przed jutrzejszymi uroczystościami - odezwał się po raz pierwszy Jack.

- Ale można je przemieścić - powiedział Pitt.

Manny zastanawiał się przez chwilę.

- Frachtowce można by wyprowadzić z portu, ale nie dałbym głowy, że da się na czas ruszyć tankowiec. Żeby odwrócić go dziobem w kierunku kanału potrzebowalibyśmy holownika.

- Każda mila, na jaką zdołamy odciągnąć te statki od portu, oznacza setki tysięcy ocalonych istnień ludzkich - powiedział Pitt.

- Moglibyśmy zyskać na czasie odnajdując detonatory - podsunął Moe.

- Gdyby udało się je zlokalizować przed wypłynięciem na otwarte morze, to tym lepiej.

- A jak nie - mruknął ponuro Manny - to wszyscy popełnimy samobójstwo.

- Oszczędzisz żonie kosztów pogrzebu - pocieszył go Jack szczerząc zęby jak kościotrup. - Nie będzie co chować.

Moe pokręcił z powątpiewaniem głową.

- Jest nas stanowczo za mało. Ilu mechaników okrętowych możecie zorganizować? - zapytał Pitt.

Moe wskazał ruchem głowy na siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

- Manny był pierwszym mechanikiem. Kogo jeszcze możesz polecić, Manny?

- Enrico zna się na robocie w maszynowni. Tak samo Hector, kiedy jest trzeźwy.

- To już trzech - powiedział Pitt. - Co z załogą pokładową?

- Mamy piętnastu, a z Moe i Jackiem siedemnastu - pospieszył z odpowiedzią Clark.

- To daje dwudziestu, plus ja, czyli w sumie dwudziestu jeden ludzi - podsumował Pitt. - No a co z pilotami portowymi?

- Każdy z tych sukinsynów siedzi w kieszeni u Castra - prychnął Manny. - Sami będziemy musieli wyprowadzać te łajby z portu.

- Chwileczkę, cholera - wtrącił się Moe. - Nawet jeśli uda nam się przedrzeć przez siły bezpieczeństwa strzegące nabrzeży, to i tak trzeba będzie jeszcze złamać opór załóg tych statków.

Pitt zwrócił się do Clarka.

- Jeśli twoi ludzie zajmą się strażami, to ja wyeliminuję załogi.

- Osobiście poprowadzę grupę szturmową - odparł Clark. - Ale ciekaw jestem, jak zamierzasz wywiązać się ze swojej części układu.

- To już mamy z głowy - powiedział Pitt z szerokim uśmiechem. - Statki są opuszczone. Gwarantuję, że załogi ewakuowano po cichu na ląd i umieszczono w bezpiecznym miejscu poza strefą rażenia.

- Może i Sowieci oszczędzają swoich ludzi - wtrącił się znowu Moe - ale jest rzeczą wątpliwą, że obchodzi ich los załogi *Amy Bigalow* złożonej z obcokrajowców.

- Racja, ale z drugiej strony nie mogą ryzykować instalowania urządzenia detonującego w obecności jakiegoś wścibskiego majtka.

- Dwa i dwa daje cztery - odezwał się Jack po chwili zastanowienia. - Bystry ten gość.

Manny przypatrywał się Pittowi z rosnącym szacunkiem.

- Jesteś z firmy?

- Nie, z NUMA.

- Pouczany przez amatora - westchnął Manny. - Czas odejść na emeryturę.

- Ilu ludzi, w waszej ocenie, pilnuje tych statków? - spytał go Clark.

Manny wyciągnął z kieszeni brudną jak święta ziemia chusteczkę i hałaśliwie wysmarkał nos.

- *Amy Bigalow* pilnuje około tuzina - odpowiedział w końcu. - Tyle samo *Oziera Zajsan*. W pobliżu tankowca krąży mała łódź patrolowa. Załoga składa się prawdopodobnie z co najwyżej sześciu, no, może siedmiu ludzi.

Clark zaczął się przechadzać tam i z powrotem po magazynie mówiąc przy tym:

- A więc tak. Skompletujecie swoje załogi. Maja grupa zajmie się strażnikami i będzie osłaniała całą operację. Manny, ty ze swoimi ludźmi wyprowadzasz *Amy Bigalow*. Moe, ty bierzesz na siebie *Oziera Zajsan*. Holownik to twoja działka, Jack. Musisz to tak zorganizować, żeby porywając go nie narobić alarmu. Pozostało nam sześć godzin do zmroku. Wykorzystajmy dobrze każdą minutę. - Zatrzymał się i popatrzył po twarzach obecnych. - Jakies pytania?

Rękę podniósł Moe.

- A co mamy robić, jak już znajdziemy się na otwartych wodach?

- Zanim dojdzie do eksplozji, spuszczaście ze swoich statków szalupy motorowe i oddalacie się na

pełnym gazie.

Nikt tego nie skomentował. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ich szansę przeżycia są minimalne.

- Chciałbym przyłączyć się na ochotnika do Manny'ego - powiedział Pitt. - Dostyc dobrze radzę sobie ze sterem.

Manny podszedł i walnął Pitta swoim wielkim łapskiem w plecy z taką siłą, że go zatkało.

- Na Boga, Sam, chyba cię jednak polubię.

Pitt spojrział na niego przeciągle.

- Pożyjemy, zobaczymy.

ROZDZIAŁ 68

Amy Bigalow stała przycumowana do nowoczesnego nabrzeża wzniesionego przez sowieckich budowniczych. Kilkaset metrów od niej, po drugiej stronie kanału portowego, majaczył kremowy kadłub wyludnionego i pogrążonego w ciemnościach *Oziera Zajsan*. Czarne wody portu skrzyły się odbiciami światła miasta. Nieliczne chmury nadciągające od strony gór płynęły nad portem i kierowały się w stronę morza.

Z bulwaru Desemparados skręcił gazik rosyjskiej produkcji, a za nim dwie duże wojskowe ciężarówki. Konwój przejechał powoli przez port i zatrzymał się przed trapem prowadzącym na pokład *Amy Bigalow*. Z budki strażniczej wyszedł wartownik i zbliżył się ostrożnie do gazika.

- To strefa zamknięta. Macie zezwolenie na wjazd? - spytał.

Clark, ubrany w mundur kubańskiego pułkownika, obrzucił wartownika aroganckim spojrzeniem.

- Dawajcie tu dowódcę warty - rozkazał głosem nie znoszącym sprzeciwu - i używajcie słowa pan, kiedy zwracacie się do oficera.

Rozpoznając teraz stopień Clarka w żółtawym blasku lamp sodowych oświetlających nabrzeża, wartownik wyprężył się w postawie zasadniczej i zaszalutował.

- Tak jest, panie pułkowniku. Zaraz go zawołam.

Wartownik wbiegł z powrotem do budki strażniczej i pochwycił przenośną krótkofalówkę. Clark poprawił się niespokojnie na siedzeniu gazika. Wszystko zależało od tego, czy podstęp się powiedzie. Konieczność użycia siły miałyby fatalne skutki. Gdyby przypuścili szturm na statki grzejące z broni automatycznej, we wszystkich garnizonach wojskowych w mieście zawyłyby syreny alarmowe. Ostrzeżeni i przyparci do muru Rosjanie byłiby zmuszeni zdetonować ładunki wcześniej, niż to przewidywał plan.

Z drzwi pobliskiego magazynu wyszedł kubański kapitan, przystanął na chwilę, żeby obrzucić wzrokiem zaparkowaną kolumnę samochodów, po czym podszedł do gazika od strony pasażera i zwrócił się do Clarka:

- Kapitan Roberto Herras - powiedział salutując. - Czym mogę służyć, panie pułkowniku?

- Pułkownik Ernesto Perez - przedstawił się Clark. - Mamy rozkaz zluzować pana i pańskich ludzi.

Herras zmieszał się.

- Miałem rozkaz pilnować statków do jutrzejszego południa.

- Rozkaz zmieniono - rzucił sucho Clark. - Proszę zarządzić zbiórkę swoich ludzi przed wymarszem do koszar.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie pułkowniku, chciałbym uzyskać potwierdzenie od mojego przełożonego.

- A on będzie musiał zadzwonić do generała Meleny, który już śpi. - Clark wpatrywał się w kapitana zmrużonymi, zimnymi oczyma. - Pismo stwierdzające waszą niesubordynację nie ułatwi wam awansu na majora.

- Źle mnie pan zrozumiał, panie pułkowniku, ja nie odmawiam wykonania rozkazu zwierzchnika.

- A więc proszę się podporządkować.

- Tak jest, panie pułkowniku. Ja... ja nie wątpię, że jest pan... - W końcu się złamał: - Zbiorę swoich ludzi.

- No, nareszcie.

Dziesięć minut później dwudziestoczczerosobowy oddział wartowniczy kapitana Herrasa stał w dwuszeregu gotowy do wymarszu. Kubańczycy nie mieli nic przeciwko zmianie warty. Byli zadowoleni, że ich luzują i że mogą wrócić do koszar na nocny wypoczynek, który im się uczciwie należał. Herras jakoś nie zwrócił uwagi na to, że ludzie pułkownika siedzą nadal ukryci w mrocznej budzie pierwszej ciężarówki.

- Czy to cały pański oddział? - spytał Clark.

- Tak jest, panie pułkowniku. To wszyscy.

- Razem z ludźmi, którzy pełnili wartę przy drugim statku?

- Przepraszam, panie pułkowniku. Zostawiłem posterunek przy trapie, żeby nikt nie dostał się na pokład, dopóki nie rozstawi pan swoich wart. Możemy tam po nich później podjechać.

- Bardzo dobrze, kapitanie. Druga ciężarówka jest pusta. Każcie ludziom wsiadać. Może pan wziąć ten wóz. Mój adiutant odbierze go później z pańskiej kwatery.

- To uprzejmie z pańskiej strony, panie pułkowniku. Dziękuję.

Clark trzymał rękę w kieszeni spodni, na rękojeści maleńkiego, zaopatrzonego w tłumik automatycznego pistoletu kalibru 0,25, ale go stamtąd nie wyjął. Kubańczycy wdrapywali się już pod okiem sierżanta przez tylną klapę ciężarówki. Clark ustąpił swojego miejsca Herrasowi i niespiesznym krokiem podszedł do pogrążonej w ciszy ciężarówki, na której czekał Pitt z kubańskimi marynarzami.

Kiedy druga ciężarówka i gazik zawracały, by opuścić port, nabrzeżem nadjechał niespodziewanie samochód sztabowy wiozący rosyjskiego oficera. Rosjanin zajmujący miejsce na tylnym siedzeniu kazał zatrzymać wóz, wychylił się przez okno i patrzył na oddalające się pojazdy, marszcząc podejrzliwie brwi.

- Co tu się dzieje?

Clark podszedł wolnym krokiem do samochodu i obchodząc go od przodu upewnił się, że w środku nie ma nikogo poza rosyjskim oficerem i kierowcą.

- Zmiana warty.

- Nic nie wiem o takim rozkazie.

- Wydał go generał Wielikow - powiedział Clark zatrzymując się nie dalej niż dwie stopy od tylnych drzwiczek. Zauważył teraz, że Rosjanin także jest pułkownikiem.

- Jadę właśnie z kwatery generała, żeby przeprowadzić inspekcję. Nic' mi nie wiadomo o zmianie warty. - Pułkownik otworzył drzwiczki, jak gdyby miał zamiar wysiąść z wozu. - To pewnie jakieś nieporozumienie.

- Żadne nieporozumienie - powiedział Clark. Przytrzymał otwierające się drzwiczki kolanami i strzelił pułkownikowi między oczy. Potem z zimną krwią wpakował dwa pociski w tył głowy kierowcy.

Kilka minut później samochód z wrzuconym biegiem zepchnięto w ciemne wody między nabrzeżami.

Manny sadził przodem, za nim pędzili Pitt i czterech kubańskich marynarzy z floty handlowej. Wpadli po trapie na główny pokład *Amy Bigalow* i tam się rozdzielili. Pitt wspiął się po drabince na górę, podczas gdy pozostali zbiegli błyskawicznie zejściówką do maszynowni. W sterówce było ciemno i Pitt tak to zostawił. Przez następne pół godziny zapoznawał się przy świetle latarki z elektronicznymi urządzeniami sterowniczymi statku i systemem głośników, dopóki nie wbił sobie w głowę rozmieszczenia i przeznaczenia każdej dźwigni i przełącznika.

Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i połączył się z maszynownią. Zanim Manny odpowiedział, upłynęła pełna minuta.

- Czego chcesz, do diabła?

- Tylko sprawdzani - powiedział Pitt. - Jeśli jesteście gotowi, to ja też.

- Poczekasz sobie trochę, kochany.

Zanim Pitt zdążył odpowiedzieć, do sterówki wpadł Clark.

- Rozmawiasz z Mannym? - spytał.

- Tak.

- Wezwij go tu na górę, i to mi giem.

Pitt przekazał Manny'emu szorstkie polecenie Clarka i usłyszał w odpowiedzi wiązaną niecenzuralnych słów.

Nie upłynęła minuta, kiedy Manny, śmierdzący potem i smarem, wparował przez drzwi sterówki.

- Dalej, o co chodzi? - warknął do Clarka. - Mam problem.

- Moe ma jeszcze gorszy.

- Wiem, wiem. Wyłączono motory.

- A twoje są sprawne?

- A co by miały nie być?

- Sowieccy matrosi z *Oziera Zajsan* porozwalali młotami wszystkie zawory na statku - powiedział z przygnębieniem Clark. - Moe twierdzi, że naprawa zajęłaby ze dwa tygodnie.

- Jack będzie go musiał wyciągnąć w morze holownikiem - stwierdził stanowczo Pitt.

Manny splunął przez otwarte drzwi sterówki.

- Za cholerę nie zdąży wrócić na czas po tankowiec. Rosjanie nie są ślepi. Połapią się, co jest grane, jak tylko wzejdzie słońce.

Clark pokiwał powoli głową.

- Obawiam się, że on ma rację.

- Jak wam idzie w maszynowni? - spytał Pitt Manny'ego.

- Gdyby ta łajba miała diesle, mógłbym ją uruchomić w dwie godziny. Ale ona jest napędzana turbinami parowymi.

- Ile czasu potrzebujesz?

Manny wbił wzrok w podłogę i przebiegł w myślach długie, skomplikowane procedury.

- Przystępujemy do rozruchu instalacji. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było uruchomienie awaryjnego generatora dieslowskiego i zapalenie palników w palenisku, żeby podgrzać olej

napędowy. Trzeba było osuszyć przewody rurowe ze skroplin, rozpalić pod kotłami i podłączyć do instalacji urządzenia pomocnicze. Teraz trzeba czekać, aż ciśnienie pary wzrośnie na tyle, żeby ruszyć turbiny. Przewidujemy, że w najlepszym wypadku potrwa to ze cztery godziny.

- Cztery godziny? - powtórzył Clark oszołomiony.

- A więc *Amy Bigalow* nie wyjdzie z portu przed brzaskiem - powiedział Pitt.

- I wszystko bierze w łeb. - Z głosu Clarka przebijała pełna zniechęcenia pewność.

- Nie, nic nie bierze w łeb - zaprotestował Pitt. - Nawet jeśli wyprowadzimy z portu tylko jeden statek, to już zmniejszymy żniwo śmierci o jedną trzecią.

- I wszyscy zginiemy - dorzucił Clark. - Nie będzie ratunku. Przed dwoma godzinami dawałem nam pięćdziesiąt procent szans na przeżycie. Teraz już nie, nie w sytuacji, kiedy twój stary przyjaciel Wielikow zobaczy, jak jego tajna broń znika za horyzontem. I nie zapominajmy o tym sowieckim pułkowniku na dnie zatoki. Wkrótce zorientują się, że nie wraca, i wyślą za nim cały pułk wojska.

- I jest jeszcze ten kapitan warty - przypomniał Manny. - Zmądrzeje cholernie szybko, kiedy wezmą go za dupę za opuszczenie posterunku bez stosownego rozkazu.

Na zewnątrz przybierało z wolna na sile dudnienie potężnych dieslowskich silników i rozległy się trzy stłumione dźwięki dzwonu okrętowego.

Pitt wyjrzał przez okno mostka.

- Podpływa Jack z holownikiem.

Odwrócił się i spojrzał na światła miasta. Skojarzyły mu się z ogromną skrzynią drogich kamieni. Wyobraził sobie wszystkie dzieci, które położyły się do łóżka podniecone perspektywą obchodów jutrzejszego święta. Ile z nich nigdy już się nie obudzi?

- Jest jeszcze nadzieja - odezwał się w końcu. Szybko wyluszczył swój pomysł, który według niego dawał szansę na zminimalizowanie zniszczeń i ocalenie większej części Hawany. Skończywszy przesunął wzrok z Manny'ego na Clarka.

- No i jak, czy to wykonalne?

Clark nie okazywał entuzjazmu. - Wykonalne? Mam z trzema ludźmi powstrzymać przez trzy godziny połowę kubańskiej armii? Toż to pewne samobójstwo.

- A co ty na to, Manny?

Manny wpatrywał się w Pitta usiłując odczytać coś z jego kamiennej twarzy ledwo widocznej w mdłej poświacie padającej od lampy z nabrzeża. Dlaczego jakiś Amerykanin miałby poświęcać życie za ludzi, którzy zastrzeliliby go i nawet okiem nie mrugnęli. Wiedział, że w pogrążonej w ciemnościach sterówce *Amy Bigalow* nigdy nie znajdzie na to pytanie odpowiedzi. W końcu wrzucił

ramionami.

- Tracimy czas - powiedział. Odwrócił się i skierował z powrotem do maszynowni statku.

ROZDZIAŁ 68

Długa, czarna limuzyna wyhamowała i zatrzymała się cicho przed główną bramą domku myśliwskiego Castra, ukrytego pośród wzgórz na południowy wschód od stolicy. Na przednim zderzaku samochodu umieszczono dwie chorągiewki. Pierwsza była w barwach Związku Radzieckiego, druga zaś informowała o tym, że pasażerem jest wysokiej rangi oficer. Domek gościnny stojący na zewnątrz ogrodzonej posiadłości służył elitarniej gwardii przybocznej Castra za kwaterę. Do samochodu podszedł powoli mężczyzna w dopasowanym mundurze bez jakichkolwiek insygniów. Spojrzał na majaczącą w ciemnościach sylwetkę potężnie zbudowanego sowieckiego oficera rozpartego na tylnym siedzeniu i na wystawioną przez okno legitymację.

- General pułkownik Kolczak. Nie musi się pan legitymować. - Mężczyzna niedbale zsalutował. - Juan Fernandez, szef ochrony Fidela.

- Czy wy nigdy nie śpicie?

- Należę do nocnych marków - powiedział Fernandez. - Co pana tu sprowadza o tej porze?

- Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Fernandez czekał na dalsze wyjaśnienia, ale się ich nie doczekał. Zaczynał odczuwać niepokój. Wiedział, że jeśli o trzeciej trzydzieści nad ranem pojawia się tu najwyższej rangi przedstawiciel sowieckiej armii, to sytuacja musi być krytyczna. Nie był zdecydowany, jak ma postąpić.

- Bardzo mi przykro, generale, ale Fidel wydał nam wyraźny rozkaz, by nikogo do niego nie wpuszczać.

- Szanuję wolę prezydenta Castro. A poza tym ja pragnę rozmawiać z Raulem. Proszę mu powiedzieć, że przybywam w bardzo pilnej sprawie wagi państwowej i że muszę z nim pomówić w cztery oczy.

Fernandez trawił przez chwilę tę prośbę, po czym kiwnął głową.

- Zatelefonuję do willi i uprzedzę jego adiutanta, że pan już tam jedzie.

- Dziękuję.

Fernandez dał ręką znak niewidocznemu człowiekowi siedzącemu w domku gościnnym i elektronicznie sterowana brama otworzyła się na oścież. Limuzyna potoczyła się krętą drogą biegnącą na odcinku dwóch mil między wzgórzami i stanęła wreszcie przed frontonem wielkiej willi w stylu hiszpańskim, skąd roztaczał się widok na ciemne wzgórza pocętkowanych plamkami

odległych światła.

Na żwirze podjazdu zachręściły buty kierowcy, który obszedłszy samochód wkoło zbliżył się do tylnych drzwiczek. Nie otworzył ich, tylko stał przez blisko pięć minut obserwując od niechcienia strażników patrolujących teren. W końcu z drzwi frontowych wyszedł, ziewając, szef personelu Raula Castro.

- Cóż za miła niespodzianka, generale - powiedział bez entuzjazmu. - Proszę do środka. Raul już schodzi.

Sowiecki oficer wysunął bez słowa swe cielsko z samochodu i ruszył za adiutantem przez szerokie patio. Wchodząc w korytarz przystawił do twarzy chusteczkę i wytarł nos. Kierowca podązał kilka kroków za nim. Adiutant Castra usunął się na bok i wskazał gestem wejście do pokoju trofeów myśliwskich.

- Proszę się rozgościć. Każę zaraz podać kawę.

Zostawszy sami, dwaj mężczyźni stali w milczeniu plecami do wejścia i przesuwali wzrokiem po galerii niedźwiedziich łbów zdobiącej ściany i stadach wypchanych ptaków porozmieszczanych po całym pokoju.

Niebawem pojawił się Raul Castro w piżamie i jedwabnym szlafroku. Znieruchomiał, kiedy dwaj goście odwrócili się i stanęli twarzami do niego. Brwi ściągnęły mu się w wyrazie zaskoczenia i zaciekawienia.

- Kim, u diabła, jesteście?

- Nazywam się Ira Hagen i przynoszę najwyższej wagi posłanie od prezydenta Stanów Zjednoczonych. - Hagen zawiesił głos i wskazał ruchem głowy swojego szofera. Ten ściągnął teraz z głowy czapkę, spod której wysunęła się fala włosów i spłynęła na ramiona. - Pozwoli pan, że przedstawię panią Jessie LeBaron. Dużo wycierpiała, by dostarczyć pańskiemu bratu osobistą odpowiedź prezydenta na jego propozycję zawarcia paktu przyjaźni pomiędzy USA a Kubą.

Przez chwilę w pokoju było tak cicho, że Hagen zaczął już słyszeć tykanie ozdobnego zabytkowego zegara stojącego pod przeciwległą ścianą. Ciemne oczy Raula przesunęły się błyskawicznie z Hagen na Jessie i na niej się zatrzymały.

- Jessie LeBaron nie żyje - powiedział spokojnie, nie kryjąc jednak zdumienia.

- Przeżyłam katastrofę sterowca i tortury, jakim poddał mnie Piotr Wielikow. - Jej głos był chłodny i wyniosły. - Dysponujemy niezbitym dowodem na to, że jutro rano, podczas obchodów Dnia Edukacji, zamierza on zamordować pana i Fidela.

Bezpośredniość tego oświadczenia, zdecydowany ton, jakim zostało wypowiedziane, wywarły na Raulu wrażenie.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Obudzę Fidela i poproszę, żeby wysłuchał tego, co macie do powiedzenia.

Wielikow przyglądał się, jak szafę na akta z jego gabinetu ładują na ręczny wózek i zwożą windą do ognioodpornej krypty w podziemiach radzieckiej ambasady. Do przemeblowanego pokoju wszedł podoficer KGB i usiadł w fotelu zgarnawszy stamtąd uprzednio jakieś papiery.

- Chyba szkoda, żeby to wszystko spłonęło - westchnął ze znużeniem.

- Z popiołów powstanie nowy i wspanialszy budynek - powiedział Wielikow z przebiegłym uśmiechem. - Będzie to dar wdzięcznych władz kubańskich.

Zadzwonił telefon i Wielikow szybko podniósł słuchawkę.

- Co jest?

- Major Borczew chce z wami rozmawiać - odezwał się głos sekretarza.

- Przełączcie go.

- Generale?

- Tak, Borczew, o co chodzi?

- Kapitan dowodzący wartą na nabrzeżu opuścił wraz ze swoimi ludźmi posterunek i wrócił do koszar pod miastem.

- Zostawili statek bez straży?

- No... niezupełnie.

- No to opuścili swój posterunek, czy go nie opuścili?

- On twierdzi, że został zluzowany przez oddział wartowniczy pod dowództwem pułkownika Ernesto Pereza.

- Nie wydawałem takiego rozkazu.

- Zdaję sobie z tego sprawę, generale. Bo gdyby go pan wydał, na pewno bym o tym wiedział.

- Kto to jest ten Perez i jaką jednostkę reprezentuje?

- Moi ludzie przejrzyli akta personalne armii kubańskiej i nie znaleźli tam o nim najmniejszej wzmianki.

- Osobiście wysłałem pułkownika Mikojana na inspekcję wart strzegących tych statków. Skontaktujcie się z nim i spytajcie, co tam się, u diabła, wyprawia.

- Od pół godziny usiłuję się z nim połączyć - odparł Borczew. - Nie podnosi słuchawki.

Zadzwonił drugi aparat i Wielikow kazał Borczewowi zaczekać na linii.

- Czego? - warknął.

- Mówi Juan Fernandez, generale. Pomyślałem sobie, że zainteresuje pewnie pana, iż przybył tu właśnie generał pułkownik Kolczak, by się spotkać z Raulem Castro.

- To niemożliwe.

- Sam legitymowałem go na bramie.

Ta nowa rewelacja pogłębiła jeszcze otumanienie, jakie ogarniało Wielikowa. Twarz stężała mu w otępiałym wyrazie i z głośnym sykiem wypuścił powietrze z płuc. Z ostatnich trzydziestu sześciu godzin przespał tylko cztery i zaczynał mieć trudności z zebraniem myśli.

- Jest pan tam, generale? - spytał Fernandez zaniepokojony przedłużającym się milczeniem.

- Jestem, jestem. Słuchajcie, Fernandez. Udajcie się zaraz do domu myśliwskiego i podejrzycie, co robią Castro z Kolczakiem. Zorientujcie się, o czym rozmawiają, i zameldujcie się znowu za dwie godziny.

Nie czekając, aż Fernandez potwierdzi zrozumienie rozkazu, przełączył się z powrotem na linię, na której czekał Borczew.

- Majorze Borczew, weźcie pluton wojska i udajcie się do portu. Sprawdźcie tego Pereza i jego oddział wartowniczy i meldujcie mi, co ustaliliście.

Wydawszy to polecenie, Wielikow wcisnął przycisk interkomu.

- Połączcie mnie z kwaterą generała pułkownika Kolczaka - polecił sekretarce, która przyjęła telefon.

Jego zastępca wyprostował się na krześle i popatrzył nań z zaciekawieniem. Nigdy dotąd nie widział Wielikowa podenerwowanego.

- Coś się stało?

- Jeszcze nie wiem - mruknął Wielikow.

Nagle w słuchawce rozbrzmiał znajomy głos generała pułkownika Kolczaka.

- Wielikow, jak stoją sprawy od strony GRU i KGB?

Wielikow stał przez kilka chwil oniemiały.

- Gdzie jesteście? - spytał dochodząc wreszcie do siebie.

- Jak to, gdzie jestem? - zachnął się Kolczak. - Tak samo jak wy, próbuję się pozbyć z mojej kwatery tajnych dokumentów i sprzętu. A myśleliście, że gdzie mnie nosi?

- Przed chwilą zameldowano mi, że odbywacie spotkanie z Raulem Castro w domku myśliwskim.

- Przykro mi, ale nie opanowałem jeszcze sztuki przebywania w dwóch miejscach naraz - powiedział z niewzruszonym spokojem Kolczak. - Wygląda mi na to, że agenci waszego wywiadu zaczynają widzieć duchy.

- Bardzo dziwne. Meldunek pochodził z niezawodnego, jak dotąd, źródła.

- Czy coś grozi *Rumowi z Colą*?

- Nie, wszystko idzie zgodnie z planem.

- To dobrze. Wnoszę z tego, że operacja przebiega bez zakłóceń.

- Tak jest - skłamał Wielikow ze strachem przyprawionym niepewnością. - Wszystko znajduje się pod kontrolą.

ROZDZIAŁ 70

Holownik nazywał się *Pisto*, od hiszpańskiego dania przyrządzanego na parze z czerwonego pieprzu, cukini i pomidorów. Pasowała do niego ta nazwa, bo burty miał stoczone czerwonymi liszajami rdzy, a mosiężne okucia pokryte zielonym nalotem. Z zaniedbanym wyglądem kontrastował dudniący w trzewiach statku potężny, 3000-konny silnik dieslowski, który lśnił czystością, niczym wypolerowana rzeźba z brązu.

Jack, zaciskając dłonie na wielkim kole sterowym z drzewa tekowego, wpatrywał się przez zaparowane okna w gigantyczną masę wylaniającą się z czerni. Statek był tak samo zimny i ciemny, jak pozostałe dwie śmiercionośne jednostki przycumowane do nabrzeży. Jego obecności w zatoce nie sygnalizowało ani jedno światło pozycyjne i tylko kuter patrolowy, który okrążał mierzący sobie 1100 stóp długości i 160 stóp szerokości kadłub tankowca, stanowił dla innych jednostek ostrzeżenie, by trzymać się z dala od tego miejsca.

Jack ostrożnie podprowadził *Pista* do *Oziera Bajkał* kierując się na rufowy łańcuch kotwiczny. Kuter patrolowy szybko ich spostrzegł i podpłynął do holownika. Trzech ludzi z jego załogi zbiegło na złamanie karku z mostka i obsadziło dziobowe działko szybkostrzelne. Jack nadał do maszynowni sygnał "Maszyny Stop", czyniąc to wyłącznie na pokaz, ponieważ fala przed dziobem i tak zamierała już do rozmiarów zmarszczki na wodzie.

Ze sterówki kutra patrolowego wychylił się młody brodaty porucznik i krzyknął przez tubę:

- To strefa zamknięta. Nie wolno wam w niej przebywać. Odpłyńcie.

Jack przystawił do ust złożone w trąbkę dłonie i wrzasnął:

- Siadły generatory i diesel mi gaśnie. Możecie mnie wziąć na hol?

Porucznik potrząsnął z rozdrażnieniem głową.

- To jednostka wojskowa. My nikogo nie holujemy.

- Czy mogę wejść na pokład i porozumieć się przez wasze radio z moim szefem? Przyśle drugi holownik, żeby nas stąd ściągnął.

- A co się stało z waszym akumulatorem rezerwowym?

- Rozładował się. - Jack wykonał gest bezsilności. - Brak części zamiennych. Jestem na liście oczekujących. Wie pan, jak to jest.

Stateczki znajdowały się teraz tak blisko siebie, że niemal stykały się burtami. Porucznik odłożył tubę i odpowiedział schrypniętym głosem.

- Nie mogę na to zezwolić.

- To będę musiał rzucić kotwicę i zostać tu do rana - zagroził Jack.

Porucznik ze złością wyrzucił w górę ręce w geście kapitulacji.

- No to wchodźcie i łączcie się.

Jack zbiegł po drabinie z mostka na pokład i przeskoczył przez czterostopową szczelinę dzielącą stateczki. Rozejrzał się z ospałą obojętnością wilka morskiego, zwracając uwagę na luźną postawę trójosobowej obsługi działka, marynarza przy sterze, palącego sobie spokojnie cygaro, wyraz znużenia na twarzy porucznika. Brakowało tylko maszynisty, który znajdował się pod pokładem.

Podszedł do niego porucznik.

- Pospieszcie się. Przeszkadzacie w pełnieniu obowiązków służbowych.

- Proszę o wybaczenie - powiedział uniżenie Jack - ale to nie moja wina.

Wyciągnął rękę, jakby chciał mu uścisnąć dłoń, i wpakował dwa pociski z zaopatrzonego w tłumik pistoletu automatycznego w serce porucznika. Potem z zimną krwią zastrzelił sternika.

Trójka skupiona przy działku na dziobie zwała się bez życia na pokład przeszyta trzema celnymi bełtami wystrzelonymi z kusz przez ludzi Jacka, którzy pozostali na holowniku. Maszynista nawet nie poczuł uderzenia pocisku, który trafił go w skroń. Osunął się na dieslowski motor kutra ściskając nadal w martwych dłoniach szmatę i klucz maszynowy.

Jack ze swoimi ludźmi znieśli zabitych pod pokład, po czym szybko wyciągnęli wszystkie korki spustowe i zawory denne. Następnie wrócili na holownik nie interesując się już tonącym kutrem patrolowym unoszonym przez odpływ w mrok.

Z braku schodków zaburtowych przerzucono przez reling pokładowy tankowca parę haków. Jack z dwoma ludźmi wspięli się po linach na górę i wciągnęli za sobą przenośne butle acetylenowe wraz z palnikiem.

Czterdzieści pięć minut później łańcuchy kotwiczne były już przecięte i mały *Pisto*, niczym mrówka usiłująca popchnąć słońca, wparł swój gruby dziobowy odbijacz linowy w ogromny zad *Oziera Bajkal*. Cał po calu, z początku niemal niezauważalnie, potem już jard po jardzie, tankowiec, popychany nosem holownika w kierunku środka zatoki, zaczął się oddalać od rafinerii.

Pitt przez noktowizyjną lornetę obserwował leniwe przemieszczanie się *Oziera Bajkał*. Na szczęście odpływ im sprzyjał odciągając kolosa coraz dalej od centrum miasta.

Znalazł maskę do oddychania i spenetrował w niej ładownie szukając jakiegokolwiek śladu detonatora, ale jak dotąd nic nie znalazł. Doszedł do wniosku, że musi być zagrzebany pod zwałami saletry amonowej w którejś ze środkowych ładowni. Po blisko dwóch godzinach wspiał się na pokład główny i z rozkoszą odetchnął chłodną bryzą wiejącą od morza.

Kiedy *Pisto* zawrócił i wpłynął z powrotem do doków, zegarek Pitta wskazywał 4.30. Holownik podszedł prosto do statku z amunicją. Jack ustawił go tyłem do *Oziera Zajsan* i czekał, aż ludzie Moego wciągną linę holowniczą odwijaną z bębna wielkiej wyciągarki na rufie holownika i przycumują ją do rufowych pachołków frachtowca. Zrzucano cumy, ale kiedy *Pisto* miał już podjąć holowanie, na nabrzeże wpadł z łomotem konwój złożony z czterech wojskowych ciężarówek.

Pitt zbiegł po schodkach zaburtowych i pognął nabrzeżem w kierunku rufy *Amy Bigalow*. Przemknął się pod żurawiem ładunkowym i zatrzymał przy cumie rufowej. Ściągnął grubą, przesiąkniętą smarami pętlę z pachołka i spuścił ją w wodę. Nie było już czasu na uczynienie tego samego z cumą dziobową. Z ciężarówek zeskoczyli uzbrojeni po zęby żołnierze i gotowali się do ataku. Wspiał się z powrotem po schodkach zaburtowych i uruchomił elektryczną wyciągarkę, która uniosła je do poziomu pokładu, co uniemożliwiło wtargnięcie na statek z nabrzeża.

Porwał słuchawkę telefonu zainstalowanego na mostku i połączył się z maszynownią.

- Manny, już tu są - rzucił tylko.

- Mam próżnię i dosyć w jednym kotle, żeby odbijać.

- Niezła robota, stary. Uwinąłeś się półtorej godziny przed czasem.

- No to bierzemy dupę w troki.

Pitt podszedł do telegrafu maszynowego i przesunął dźwignię w położenie: "Gotowość". Przekręcił ster tak, żeby pierwsza oderwała się od nabrzeża rufa. Potem przesłał do maszynowni komendę "Mała Wstecz".

Manny oddzwonił z dołu, że zrozumiał, i Pitt poczuł pod stopami wibracje wprawianych w ruch turbin.

Clark uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że przeciwnik ma wielką przewagę liczebną nad jego małą grupką i wszystkie drogi odwrotu zostały odcięte. Odkrył również, że nie mają przeciwko sobie zwyczajnych żołnierzy kubańskich, tylko elitarny oddział sowieckich wojsk desantowych. Mógł stawiać im opór w najlepszym wypadku przez kilka minut - akurat tyle, żeby statki zdążyły odbić od nabrzeża.

Sięgnął do zwisającej mu u pasa brezentowej torby, wydobyl z niej granat, postąpił krok i wynurzając się z cienia cisnął go z rozmachem. Granat, zatoczywszy szeroki łuk, wpadł pod plandekę ciężarówki zamykającej kolumnę. Nastąpiła głucha eksplozja, a zaraz potem z oślepiającym błyskiem rozerwał się zbiornik paliwa. Ciężarówka zdała się zakwitnąć płomieniem, a znajdujących się na niej ludzi siła wybuchu rozrzuciła po nabrzeżu jak ogniste kręgle.

Clark, przeskakując przez rannych, którzy z wrzaskiem tarzali się po betonie usiłując rozpaczliwie zdusić płomienie liżące ich ubrania, wpadł między ogłupiałych i zdezorientowanych Rosjan. Rzucił jeszcze trzy granaty pod pozostałe ciężarówki i po zatoce poniosły się echem kolejne trzy, następujące jedna po drugiej, detonacje.

Ponad dachy portowych magazynów strzeliły nowe płomienie i obłoki dymu. Żołnierze w panice zeskakiwali z samochodów i rozbiegali się na wszystkie strony uchodząc przed rzezią. Zaledwie kilku nie straciło głowy i otworzyło ogień strzelając do wszystkiego, co w mroku kształtem chociaż trochę przypominało człowieka. Chaotycznej strzelaninie wtórował brzęk tłuczonych szyb w oknach budynków magazynowych.

Mały, sześciuosobowy oddziałek Clarka nie odpowiadał na ogień. Kilka przypadkowych serii oddanych w ich stronę przeszło górami. Czekali, podczas gdy Clark, nie wzbudzając niczyich podejrzeń dzięki mundurowi kubańskiego oficera, który miał na sobie, uwijał się w samym środku tego piekła i klnąc płynnie po rosyjsku starał się przegrupować sowieckich żołnierzy i sformować oddział do natarcia nabrzeżem.

- W tyralierę! - wrzeszczał jak nawiedzony. - W tyralierę! Uciekają swołocze! Za nimi, job waszu mać, bo nam ujdą!

Urwał nagle znalazłszy się twarzą w twarz z Borczewem. Sowiecki major nie wierząc własnym oczom rozdziawił usta i zanim zdążył je zamknąć, Clark złapał go za ramię i przerzucił przez skraj nabrzeża w wodę. Na szczęście w ogólnym zamieszaniu nikt tego nie zauważył.

- Za mną! - ryknął Clark i popędził przez port wpadając między dwa magazyny. Sowieccy żołnierze, pojedynczo i grupkami po czterech lub pięciu, pobiegli za nim zygzakami, co chwila przypadając do ziemi i prowadząc w biegu nieustanny ogień.

Byli świetnie wyszkoleni, a ponadto otrząsnęli się już chyba z paraliżującego szoku wywołanego zaskoczeniem i pragnęli wziąć odwet na niewidzialnym wrogu nie przypuszczając nawet, że uciekają z deszczu pod rynnę. Nikt nie kwestionował rozkazów Clarka. Skoro major gdzieś się zawieruszył, dowódcy pododdziałów nawoływali swoich ludzi do podporządkowania się oficerowi w kubańskim mundurze, który prowadził do ataku.

Kiedy żołnierze wypadli z przejścia pomiędzy magazynami na otwartą przestrzeń, Clark rzucił się na ziemię udając, że został trafiony. Był to dla jego ludzi sygnał do otwarcia ognia. Sowieci dostali się pod koncentryczny ostrzał. Wielu padło natychmiast. Sylwetki rysujące się na tle płonących ciężarówek stanowiły idealny cel. Ci, których nie zagarnęła lawina śmierci, odpowiedzieli ogniem. Pociski waliły werblem w drewniane ściany i ludzkie ciała w ogłuszającym staccato bądź chybiały celu i rykoszetowały z wizgiem w mroki nocy.

Clark przetoczył się błyskawicznie pod osłonę jakiejś skrzyni, ale dostał w udo, a drugi pocisk przeszył mu oba nadgarstki.

Przetrzebieni, ale nadal stanowiący opór sowieccy żołnierze zaczęli się wycofywać. Podjęli desperacką próbę przebicia się poza teren portu, by szukać schronienia za betonowym murem ciągnącym się wzdłuż głównego bulwaru, ale dwaj ludzie Clarka odcięli im drogę ogniem zaporowym.

Clark leżał za skrzynią. Z poszarpanych żył buchała mu krew, wraz z nią uchodziło z niego życie, a on był całkiem bezsilny. Ręce miał bezwładne niczym ułamane konary drzewa i nie czuł zupełnie palców. Kiedy doczołgał się wreszcie na krawędź nabrzeża i spojrzał na port, czerń już się nad nim zamykała.

Ostatnim widokiem, jaki zarejestrowały jego oczy, były zarysy dwóch statków handlowych na tle świateł przeciwległego brzegu. Odbijały od nabrzeży i kierowały się w stronę wejścia do portu.

ROZDZIAŁ 71

Podczas gdy na nabrzeżu wrzała bitwa, mały *Pisto* podjął holowanie i zaczął odciągać *Oziera Zajsan* rufą naprzód na wody portu. Wyteżając wszystkie siły meł swoją pojedynczą śrubą oleistą wodę ubijając ją pracowicie w pianę.

20 000tonowy statek drgnął, bezkształtna masa ożywiana pomarańczowym blaskiem płonących na brzegu ciężarówek zaczęła sunąć na otwarte wody. Oddalwszy się od nabrzeża, Jack zatoczył szerokie półkole okręcając statek z amunicją i ustawiając go dziobem w kierunku wejścia do portu. Po zakończeniu tego manewru zrzucano linę holowniczą i nawinięto ją z powrotem na wyciągarkę.

Pitt, znajdujący się w sterówce *Amy Bigalow*, ścisnął koło sterowe i modlił się w duchu, żeby to, o czym myślał, puściło. Stał spięty, ledwie waząc się oddychać. Nie zrzucona cuma napięła się i zatrzeszczała pod straszliwym naprężeniem, w jakie wprawił ją cofający się statek, ale uparcie nie pękała. *Amy Bigalow*, niczym pies próbujący zerwać się ze smyczy, pochyliła lekko dziób i pociągnęła jeszcze mocniej. Lina wytrzymała, puścił za to pacholek i z głośnym chrzęstem kruszonego betonu wyszedł z fundamentu jak wyrwany ząb.

Przez statek przebiegło drżenie i *Amy Bigalow* zaczęła powoli odbijać od nabrzeża. Skręcając koło sterowe, Pitt ustawił statek burtą równolegle do odsuwających się doków. Wibracje pochodzące od silników złagodniały i wkrótce sunęli już cicho tyłem ciągnąc za sobą nikłą smuzkę dymu unoszącego się z komina.

Całe nabrzeże zdawało się stać w ogniu. Po sterówce tańczyły niesamowite, migotliwe odbłaski płomieni trawiących ciężarówki. Poza Mannym wszyscy wylegli z maszynowni na pokład i zgromadzili się na dziobie. Mając teraz miejsce do manewrowania, Pitt obrócił ostro koło sterowe na sterburtę i przerzucił telegraf maszynowy w położenie “Mała Naprzód”.

Manny wykonał polecenie i *Amy Bigalow*, wytraciwszy łagodnie rozpęd pchający ją wstecz, ruszyła powoli do przodu.

Kiedy podpływali do mrocznego kadłuba *Oziera Zajsan*, gwiazdy na wschodzie już bladły. Pod dziób podszedł holownik i Pitt wydał polecenie “Maszyny Stop”. Na pokład spadła lekka rzutka ciśnięta z dołu przez załogę *Pista*. Jej drugi koniec łączył się z ciągiem powiązanych ze sobą coraz to grubszych odcinków lin. Pitt patrzył z wyżyn sterówki, jak wciągają je kolejno na pokład. Pojawiła się wreszcie właściwa lina holownicza, którą zamocowano szybko na bębnie wyciągarki dziobowej.

Te same czynności powtórzono na rufie, tylko że tam rolę liny holowniczej przejął łańcuch kotwicy portowej podany z martwego i dryfującego bezwolnie *Oziera Zajsan*. Po nawinięciu łańcucha kotwicznego na bęben wyciągarki rufowej powstało swoiste szeregowe połączenie. Trzy jednostki

były teraz sprzęgnięte ze sobą w trójczłonowy zespół, przy czym człon środkowy stanowiła *Amy Bigalow*.

Jack ryknął syreną *Pista* i holownik ruszył powoli do przodu naprężając ostrożnie linę zwisającą swobodnie z dzioba *Amy Bigalow*. Pitt stał na skrzydle mostka patrząc z napięciem w kierunku rufy. Kiedy jeden z ludzi Manny'ego zasignalizował, że łańcuch holowniczy na rufie jest już napięty, Pitt pociągnął lekko za gwizdek parowy i przerzucił telegraf w położenie "Cała Naprzód".

Zakończona została realizacja ostatniego kroku w planie Pitta. Pozostawili za sobą tankowiec unoszący się teraz na wodzie bliżej zbiorników ropy po przeciwległej stronie portu, ale za to dobrą milę dalej od gęściej zaludnionego centrum miasta. Dwa pozostałe statki wraz ze swymi śmiercionośnymi ładunkami parły w stronę otwartego morza, a holownik, dokładając swoją moc do mocy płynącej o własnych siłach *Amy Bigalow*, przyspieszał tempo, w jakim posuwała się ta morska karawana.

Za ich plecami w błękit wczesnego poranka wwiercała się spiralą wielka kolumna dymu i płomieni. Clark wywalczył im dostatecznie dużo czasu, by ucieczka miała szansę powodzenia, ale przyplącił to życiem.

Pitt nie oglądał się za siebie. Jego wzrok niczym magnes przyciągało światło latarni morskiej pobłyskujące nad szarymi murami zamku Morro, tej posępnej fortecy strzegącej wejścia do hawańskiego portu. Mieli do niej trzy mile, a wydawało się, że to trzydzieści.

Kości zostały rzucone. Manny zwiększył moc drugiego silnika i wodę zaczęły młócić już dwie śruby. *Amy Bigalow* nabierała szybkości. Z dwóch węzłów zrobiły się trzy. Z trzech cztery. Parła w kierunku kanału przebiegającego u stóp latarni niczym ciężki koń pociągowy w zawodach.

Od wydostania się na wolność dzieliło ich czterdzieści minut. Ale podniesiono już alarm i nie można było przewidzieć, co ich jeszcze czeka.

Major Borczew uchylił głowę przed spadającymi z góry i syczącymi w zetknięciu z wodą płonącymi głowniami. Pływając pod palami podtrzymującymi pomost słyszał głośny terkot broni automatycznej i widział wzbijające się pod niebo płomienie. Brudna woda między nabrzeżami była letnia, śmierdziała gnijącymi rybami i olejem silnikowym. Żołądek podszedł mu do gardła. Zwymiotował wstrętną wodę, którą się zachłysnął, kiedy tamten kubański pułkownik zrzucił go z nabrzeża.

Przepląnął chyba z milę, zanim znalazł jakąś drabinkę i wspinał się po niej na wyludnione w tym miejscu nabrzeże. Splunął, żeby pozbyć się nieprzyjemnego smaku z ust, i ruszył biegiem w stronę płonącego konwoju.

Betonową nawierzchnię zaścieniały poczerńnięte, dymiące trupy. Kilku ocalałych ludzi Clarka umknęło z pola walki małą łodzią z silnikiem i strzelanina ustała. Borczew szedł ostrożnie przez pobojuwisko.

Poza dwoma żołnierzami, którzy schronili się za podnośnikiem widłowym, reszta jego ludzi poległa. Właściwie wybito mu do nogi cały oddział.

Na wpół oszalały z wściekłości, Borczew przechodził ślaniając się na nogach od jednego trupa do drugiego, aż w końcu natknął się na ciało Clarka. Przewrócił agenta CIA na plecy i spojrzał w jego niewidzące oczy.

- Kim jesteś? - zapytał irracjonalnie. - Dla kogo pracujesz?

Ale Clark milczał już na wieki.

Borczew chwycił bezwładne ciało za pas, zwałół je na krawędź nabrzeża i kopniakiem zepchnął w wodę.

- Przekonaj się, jak to jest! - wrzasnął jak szaleniec.

Jeszcze przez dobre dziesięć minut błąkał się Borczew po poboju, zanim wreszcie odzyskał równowagę. W końcu dotarło do niego, że trzeba powiadomić Wielikowa. Jedyne nadajnik stopił się z gorąca w ciężarówce otwierającej konwój, zaczął więc biegać gorączkowo po nabrzeżu szukając telefonu.

Na jednym z budynków dostrzegł symbol pomieszczenia socjalnego dla dokerów. Dopadł drzwi i wyważył je ramieniem. Namacał w ciemnościach kontakt na ścianie i zapalił światło. Pomieszczenie umeblowane było starymi, poplamionymi kanapami. Leżały na nich szachownice, domina, a w kącie stała mała lodówka. Z wiszących na ścianach plakatów spoglądali Castro, pałacy łąpczywie cygaro Che Guevara, i śmiertelnie poważny Lenin.

Borczew wpadł do kantoru kierownika i porwał słuchawkę ze stojącego na biurku telefonu. Nakręcał numer raz po raz nie mogąc uzyskać połączenia. Klnąc na czym świat stoi pożałowania godny stan kubańskiej sieci łączności, dodzwonił się wreszcie do centrali.

Kiedy na linii zgłosiła się nareszcie ambasada radziecka, chmury nad wzgórzami na wschodzie zaczynały już różowieć, a nabrzeże pulsowało wyciem syren zjeżdżających się z całego miasta jednostek straży pożarnej.

Kapitan Manuel Pinon stał na skrzydle mostka fregaty patrolowej klasy Ryga zwodowanej w stocznicach Związku Radzieckiego i regulował ostrość trzymanej przy oczach lornetki. Pierwszy oficer ściągnął go z koi zaraz po tym, jak w dokach handlowych rozpętała się strzelanina i wybuchł pożar. Niewiele dostrzegł przez lornetkę, gdyż jego okręt cumował w dokach marynarki wojennej za cyplem, tuż przed wejściem do kanału, i widok przesłaniały budynki.

- Nie należałoby sprawdzić, co się tam dzieje? - zapytał pierwszy oficer.

- Zajmie się tym policja i straż pożarna - odparł Pinon.

- To brzmi jak strzały z broni palnej.

- Prawdopodobnie pali się magazyn z zaopatrzeniem dla wojska. Lepiej się tam nie pchajmy i nie przeszkadzajmy statkom pożarniczym. - Podał pierwszemu oficerowi lornetkę.

- Obserwujcie dalej. Ja wracam do łóżka.

Pierwszy oficer dogonił Pinona w korytarzu, kiedy ten wchodził już do swojej kajuty.

- Niech pan lepiej wróci na mostek, panie kapitanie - wysapał. - Dwa statki usiłują wyjść z portu.

- Bez zezwolenia?

- Tak, panie kapitanie.

- Może tylko zmieniają miejsce postoju?

Pierwszy oficer pokręcił głową.

- Idą kursem wprost na główny kanał.

- Bogowie wyraźnie nie chcą, bym zażył nieco snu - jęknął Pinon.

Pierwszy oficer uśmiechnął się sardonicznie.

- Dobry komunista nie wierzy w bogów.

- Powiedz to mojej siwowłosej matce.

Znalazłszy się z powrotem na skrzydle mostka, Pinon ziewnął szeroko i wlepił wzrok we wczesnoporaną mgiełkę. Dwa statki na holu wchodziły do kanału Entrada prowadzącego na otwarte morze.

- Co, u diabła... - Pinon wyregulował ostrość lornetki. - Bez flag, bez świateł pozycyjnych, bez obserwatorów na mostku...

- Nie odpowiadają też na nasze wezwania radiowe, by zameldowali o swoich zamiarach. Wygląda to tak, jakby usiłowali się wymknąć cichaczem.

- Kontrrewolucyjne szumowiny próbujące nawiać do Stanów Zjednoczonych - warknął Pinon. - Tak, z pewnością. To nie może być nic innego.

- Mam wydać rozkaz zrzucenia cum i odbicia?

- Tak, natychmiast. Zagroźmy im drogę od dzioba.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy pierwszy oficer sięgał już do przycisku syreny, która zwoływała załogę do zajęcia stanowisk bojowych.

Dziesięć minut później trzydziestoletni okręt wycofany z marynarki sowieckiej i zastąpiony tam nowszą, nowocześniejszą fregatą, dryfował w poprzek kanału portowego z czterocalowymi działami zwróconymi wprost na szybko zbliżające się statki widma.

Pitt wpatrywał się w mrugający reflektor sygnałowy fregaty. Kusilo go, by włączyć radio, ale od początku ustalili, że konwój zachowa ciszę w eterze, na wypadek gdyby odbiornik w zarządzie portu albo na posterunku straży portowej był dostrojony do ich częstotliwości. Międzynarodowy kod Morse'a pamiętał jak przez mgłę, ale odcyfrował nadawane polecenie, które brzmiało: "Zatrzymać się natychmiast i podać swoje dane identyfikacyjne".

Nie spuszczał wzroku z *Pista*. Uświadomił sobie, że Jack musi pierwszy wykonać jakiś gwałtowny unik. Wywołał maszynownię i uprzedził Manny'ego, że drogę blokuje im fregata, ale strzałka telegrafu maszynowego pozostała w położeniu "Cała Naprzód".

Byli już tak blisko okrętu, że widział wyraźnie banderę kubańskiej marynarki wojennej łopoczącą w wiejącej od brzegu bryzie. Żaluzja reflektora sygnałowego ponownie zaczęła migotać: "Zatrzymać się natychmiast, bo otworzymy ogień".

Na rufie *Pista* pojawiło się dwóch ludzi, którzy przystąpili w pośpiechu do popuszczania liny holowniczej. W tym samym momencie holownik zwolnił, wykonał ostry zwrot przez sterburtę i stanął w dryf. Ze sterówki wyszedł Jack i wrzasnął przez tubę w kierunku fregaty:

- Złaż z drogi, ty morska krowo. Nie widzisz, że mam statki na holu?

Pinon puścił epitet mimo uszu. Spodziewał się usłyszeć coś takiego z ust kapitana holownika.

- Nie macie upoważnienia do wykonywania tych manewrów. Wysyłam grupę abordażową.

- Niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żeby jakiś dupek z marynarki wojennej postawił nogę na mojej łajbie.

- Zginiesz, jeśli się sprzeciwisz - odparł ubawiony Pinon. Nie był już taki pewien, że to próba masowej ucieczki podjęta przez dysydentów, ale podejrzane manewry holownika i brak oświetlenia statków wymagały kontroli.

Przechylił się przez reling mostka i kazał opuścić na wodę kuter motorowy z grupą abordażową. Odwróciwszy się następnie, by spojrzeć znowu na podejrzany konwój, zamarł z przerażenia.

Za późno. W szarówce przedświt nie zauważył, że statek znajdujący się bezpośrednio za holownikiem płynie o własnych siłach. Teraz szedł prosto na fregatę z szybkością dobrych ośmiu

węzłów. Pinon gapił się przez kilka chwil jak zahipnotyzowany, nie wierząc własnym oczom.

- Cała naprzód! - wrzasnął otrząsnąwszy się wreszcie z odrętwienia. - Ognia!

Ledwie padła komenda, pociski wystartowały z ogłuszającym hukiem i pokonawszy kurczącą się odległość między jednostkami wyrznęły w dziób i nadbudówkę *Amy Bigalow*, eksplodując ognistym błyskiem przy wtórze jęku rozdieranej stali. Lewa strona sterówki znikła jak oddarta gigantycznymi obcęgami. Szkło i strzępy metalu fruwały w powietrzu niczym odłamki kartacza. Pitt przykucnął, ale z determinacją pomieszaną ze ślepym uporem ścisnął dalej koło sterowe. Jakimś cudem wykpił się kilkoma zaledwie zadrapaniami i siniakiem na udzie.

Druga salwa zmiotła kajutę nawigacyjną i ścięła w połowie przedni maszt. Górna jego część zwała się za burtę i wlokła za statkiem jeszcze przez sto jardów, dopóki nie pozrywała się plątanina lin trzymających ją na uwięzi. Poszarpany komin zamienił się w kupę złomu, a eksplozja pocisku w komorze kotwicznej sterburty rozrzuciła na wszystkie strony chmurę przeżartych rdzą ogniów łańcucha.

Do trzeciej salwy nie doszło.

Pinon stał jak słup soli, dłonie zacisnął kurczowo na relingu mostka. Pewny, że jego okręt wkrótce przestanie istnieć, z pobielającą twarzą i z obłędem w oczach patrzył w górę na złowrogi, czarny dziób *Amy Bigalow* wznoszący się ociężale nad fregatą.

Śruby fregaty młóciły rozpaczliwie wodę, ale nie były w stanie na czas usunąć okrętu z drogi. Jasne już było, że *Amy Bigalow* nie chybi, a intencje Pitta nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Brał poprawkę na manewry fregaty usiłującej uniknąć kolizji i ścinał kąt mierząc prosto w śródokręcie. Ci z załogi kubańskiego okrętu, którzy znajdowali się na pokładzie i zdawali sobie sprawę z zagrożenia, gapili się najpierw tępo, sparaliżowani strachem, a potem zareagowali instynktownie, skacząc przez burty do wody.

Wysoki na sześćdziesiąt stóp dziób *Amy Bigalow* wyrznął w burtę fregaty tuż za rufową wieżą artyleryjską szarpiąc płyty poszycia i wcinając się na głębokość blisko dwudziestu stóp w kadłub. Okręt Pinona zniósłby może skutki tej kolizji i zdążył dowlec się do brzegu, ale dziób *Amy Bigalow* dopóty dźwigał się w górę ze straszliwym zgrzytem dartej stali, dopóki ponad powierzchnię wody nie wychynał jej oblepiony skorupiakami kil. Statek zawisł na moment w tej pozycji, a potem opadł na fregatę miażdżąc ją, przecinając na dwoje i właczając część rufową pod powierzchnię.

W dziurę po amputowanej rufie natychmiast wtargnęło morze, przedostając się przez pogięte grodzie i zalewając otwarte pomieszczenia. Pod wpływem żywiołu wdzierającego się do kadłuba nieszczęsny okręt zaczął iść szybko rufą naprzód pod wodę. Agonia nie trwała długo. Zanim holownik odciągnął *Oziero Zajsan* z miejsca kolizji, na powierzchni pozostała już tylko żałosna garstka załogi fregaty walcząca rozpaczliwie o utrzymanie się na wodzie.

ROZDZIAŁ 72

- Wpadliście w zasadzkę? - głos Wielikowa brzmiał w słuchawce matowo i twardo.

Borczew poczuł się nieswojo. Bał się przyznać, że jest jednym z trzech ocalałych z liczącego sobie czterdziestu ludzi oddziału i że wyszedł z opresji bez najmniejszego zadrapania.

- Nie zidentyfikowana banda w sile co najmniej dwustu Kubańczyków otworzyła do nas ogień z ciężkiej broni, zanim zdążyliśmy zeskoczyć z ciężarówek.

- Jesteście pewni, że to byli Kubańczycy?

- A kto inny mógł to zaplanować i przeprowadzić? Ich dowódca był w mundurze armii kubańskiej.

- Perez?

- Trudno powiedzieć. Identyfikacja trochę potrwa.

- To mogła być pomyłka popełniona przez niedoświadczonych żołnierzy, którzy otworzyli ogień z głupoty albo w panice.

- Do głupoty to im było daleko. Potrafię jeszcze na pierwszy rzut oka rozpoznać doskonale wyszkolonych i zaprawionych w walce wiarusów. Wiedzieli, że przyjdziemy, i zastawili dobrze przygotowaną pułapkę.

Twarz Wielikowa straciła całkowicie wyraz, a zaraz potem poczerwieniała. Przed oczyma przesunęły mu się sceny ze szturmu na Cayo Santa Maria. Wściekłość o mało go nie rozsadziła.

- Co chcieli przez to osiągnąć?

- Związać nas walką do czasu, kiedy druga grupa opanuje statki.

Odpowiedź Borczewa ogłuszyła Wielikowa. Miał wrażenie, że całe jego ciało zastyga w sople lodu. Z ust wymknęły mu się mimowolne pytania:

- Opanowano statki biorące udział w operacji *Rum z Colą!* Cumują nadał przy swoich nabrzeżach?

- Już nie. *Oziero Zajsan* odciągnął holownik. *Amy Bigalow* odbiła o własnych siłach. Straciłem je z oczu, kiedy skryły się za cyplem. Trochę później usłyszałem coś, co brzmiało jak wystrzały z dział okrętowych i dochodziło od strony wejścia do kanału.

Wielikow też niedawno słyszał grzmot ciężkiej artylerii. Gapił się teraz z niedowierzaniem w oczach na pustą ścianę próbując sobie wyobrazić krąg ludzi udaremniających jego misternie zaplanowane operacje. Nie chciało mu się wierzyć, by lojalne wobec Castra jednostki kubańskiego wywiadu dysponowały dostateczną wiedzą i niezbędnym w tego typu akcji doświadczeniem. Tylko długie ramię Amerykanów i ich Centralnej Agencji Wywiadowczej zdolne było do zniszczenia Cayo Santa Maria i unicestwienia jego planu położenia kresu reżimowi Castra. Tylko jedna osoba mogła być odpowiedzialna za przeciek informacji.

Dirk Pitt.

Twarz Wielikowa ściągnęła się w wyrazie głębokiej koncentracji. Coś zaczęło mu świtać w głowie. Już wiedział, jak wykorzystać ten krótki czas, który mu pozostał.

- Czy statki są jeszcze w porcie? - spytał Borczewa.

- Jeśli próbowali się wymknąć na otwarte morze, to moim zdaniem znajdują się teraz gdzieś w kanale Entrada.

- Złapcie admirała Czekoldina i przekażcie mu, że żądam zatrzymania tych statków i zawrócenia ich w obręb portu.

- Wydawało mi się, że wszystkie radzieckie okręty wojenne wyszły w morze.

- Admirał i jego okręt flagowy nie wypłyną przed ósmą rano. Nie korzystajcie z telefonu. Przekażcie moją prośbę osobiście i podkreślcie, że sprawa jest pilna.

Nie czekając, aż Borczew potwierdzi zrozumienie polecenia, Wielikow rzucił słuchawkę na widełki i pognął do głównego wejścia ambasady nie zwracając uwagi na zwijający się jak w ukropie personel przygotowujący się do ewakuacji. Wybiegł na zewnątrz, dopadł do służbowej limuzyny i odepchnął na bok szofera, który czekał na sowieckiego ambasadora, by go odwieźć w bezpieczne miejsce.

Wielikow przekręcił kluczyk w stacyjce i ledwie silnik zdążył zaskoczyć, wrzucił bieg. Tylne koła zawirowały wściekle i samochód z przeraźliwym piskiem opon wypadł z dziedzińca ambasady na ulicę miasta.

Dwie przecznice dalej Wielikow zmuszony był się zatrzymać. Drogę zagroziła mu blokada zorganizowana przez wojsko. W poprzek szerokiego bulwaru ustawiono dwa wozy opancerzone i kompanię kubańskich żołnierzy. Do limuzyny podszedł oficer i poświecił latarką w okno.

- Mogę zobaczyć wasze dokumenty?

- Jestem generał Piotr Wielikow przydzielony do Radzieckiej Misji Wojskowej. Bardzo się spieszę na spotkanie z generałem pułkownikiem Kolczakiem w jego kwaterze. Proszę się odsunąć i umożliwić mi przejazd.

Oficer przypatrywał się przez chwilę twarzy Wielikowa, jakby chciał się pozbyć wszelkich

wątpliwości. Potem wyłączył latarkę i skinął na dwóch swoich ludzi, którzy bez słowa wsiedli na tylne siedzenie. Sam obszedł limuzynę dookoła i zajął miejsce obok kierowcy.

- Czekaliśmy na pana, generale - powiedział chłodnym, lecz uprzejmym tonem. - Proszę stosować się do moich poleceń i na następnym skrzyżowaniu skręcić w lewo.

Pitt stał na lekko rozstawionych nogach; z obiema dłońmi na kole sterowym i z podaną naprzód głową wpatrywał się z napięciem w mijaną przeraźliwie powoli latarnię morską u wejścia do portu. Cały jego umysł, całe ciało i każdy nerw koncentrowały się na odprowadzeniu statku możliwie najdalej od gęsto zaludnionego miasta, zanim nastąpi detonacja saletry amonowej.

Barwa wody przeszła z szarzielonej w szmaragdową i statek zaczął się lekko kołysać prując łagodne wybrzuszenia powierzchni zwiastujące bliskość morza. *Amy Bigalow* nabierała wody przez rozdarte płyty poszycia dzioba, ale nadal reagowała na ruch steru i dzielnie podążała spienionym kilwaterem holownika.

Całe ciało miał obolałe z wyczerpania. Trzymał się jeszcze na nogach tylko siłą woli. Krew z lekkich ran ciętych twarzy, które odniósł podczas ostrzału statku przez fregatę, zakrzepła mu w bordowe zacieki. Nie zwracał uwagi na pot i lepiące się do ciała ubranie.

Zamknawszy na chwilę oczy, zapragnął znaleźć się z powrotem w swoim hangarze i ze szklaneczką martini usiąść pod parującym natryskiem. Boże, ależ był skonany.

Nagły podmuch wiatru wpadł przez wybite okna mostka i Pitt znowu otworzył oczy. Przesunął badawczym wzrokiem po liniach brzegowych z lewej i prawej burty. Zamaskowane baterie nabrzeżne rozmieszczone po obu stronach wejścia do portu wciąż milczały i jak do tej pory nie pojawiły się ani samoloty, ani okręty patrolowe. Pomimo potyczki, jaką stoczyli z fregatą marynarki wojennej, nie zarządzono żadnego alarmu. Brak organizacji i koordynacji działań w siłach bezpieczeństwa armii kubańskiej działał na ich korzyść.

Pogrążone jeszcze we śnie miasto uparcie rysowało się za nimi, jakby uwiązane do rufy statku. Słońce już weszło i konwój było widać jak na dłoni z każdego punktu wybrzeża.

Jeszcze parę minut, jeszcze tylko parę minut, powtarzał sobie w kółko w myślach.

Wielikowowi kazano się zatrzymać w cichym rogu placu Katedralnego w starej Hawanie. Wprowadzono go do obskurnej kamienicy z oknami o zakurzonych, popękanych szybach i znalazł się w pomieszczeniu, którego ściany zdobiły szklane gabloty z fotosami gwiazd filmowych z lat czterdziestych siedzących przy barze i wpatrzonych w obiektyw kamery.

“Sloppy Joe’s”, niegdyś szykowna knajpa ciesząca się powodzeniem u bogatych amerykańskich znakomitości, była teraz zapuszczoną norą, zapomnianą dawno przez wszystkich z wyjątkiem nielicznych niegdysiejszych bywalców. W końcu zmatowiałego, zaniedbanego bufetu siedziały przy barze cztery osoby.

Wnętrze było mroczne i śmierdziało środkami dezynfekującymi i zgnilizną. Wielikow poznał swoich gospodarzy dopiero wtedy, gdy przeszedł już po dawno nie zamiatanej podłodze połowę dzielącego go od nich dystansu. Zatrzymał się jak wryty i wybałuszył z niedowierzaniem oczy, a żołądek podszedł mu do gardła.

Miedzy obcym grubasem a Raulem Castro siedziała Jessie LeBaron. Czwarty z tej grupki patrzył mu złowieszczo w oczy.

- Dzień dobry, generale - odezwał się Fidel Castro. - Cieszę się, że zechciał pan przyjąć nasze zaproszenie.

ROZDZIAŁ 73

Uszy Pitta wychwyciły warkot samolotu. Puścił koło sterowe i podszedł do drzwi skrzydła mostka.

Z północy, wzdłuż linii brzegowej nadlatywały dwa wojskowe helikoptery. Przeniósł wzrok z powrotem na wejście do portu. Kanałem szarżował z pełną szybkością szary okręt wojenny wyrzucając spod dzioba fontanny wody. Tym razem był to wąski jak ołówek sowiecki niszczyciel z lufami dział wieży dziobowej nakierowanymi na wlokące się ospale, bezbronne statki śmierci. Rozpoczął się pościg, w którym nie będzie zwycięzcy.

Jack wyszedł na pokład holownika i zadarłszy głowę spojrzął na pokiereszowany, pogięty mostek *Amy Bigalow*. Nie mógł wyjść z podziwu, że jest tam jeszcze ktoś żywy, kto do tego stoi za sterem. Przyłożył dłoń do ucha i czekał, aż Pitt machnięciem ręki da mu znać, że zrozumiał ten gest. Po chwili dostrzegł marynarza, który podbiegł na rufę frachtowca i powtórzył ten sam sygnał Moemu znajdującemu się na pokładzie *Oziera Zajsan*. Następnie wszedł z powrotem do kabiny i włączył radiostację.

- Tu *Pisto*. Słyszysz mnie? Odbiór.

- Głośno i wyraźnie - odparł Pitt.

- Słyszę cię - potwierdził Moe.

- Najwyższa pora, żeby zablokować koła sterowe i opuścić statki - powiedział Jack.

- Z miłą chęcią - parsknął Moe. - Niech te stare balie płyną sobie dalej same.

- Zostawimy nasze silniki pracujące na "Całej Naprzód" - powiedział Pitt. - A co z *Pistem*?

- Zostanę jeszcze na nim parę minut, żeby się upewnić, czy statki nie zawrócą do brzegu - odparł Jack.

- Lepiej się nie ociągaj. Nadpływają chłopaki Castra.

- Widzę ich - powiedział Jack. - Powodzenia. Bez odbioru.

Pitt zablokował ster w położeniu "Na Wprost" i wywołał Manny'ego. Twardego maszynisty nie trzeba było poganiać. W trzy minuty później razem ze swoimi ludźmi wypychał już na żurawikach za burtę szalupę silnikową statku. Załadowali się do niej i kiedy zaczynali ją opuszczać, dołączył do nich Pitt, przeskakując przez reling.

- O mało cię nie zostawiliśmy - krzyknął Manny.

- Połączyłem się przez radio z niszczycielem i zagroziłem im, że jeśli podejda bliżej, wysadzimy w powietrze amunicję znajdującą się na statku.

Zanim Manny zdążył odpowiedzieć, rozległ się grzmot, który poniósł się echem po wodzie. Kilka sekund później pięćdziesiąt jardów przed dziobem *Pista* w morze spadł pocisk.

- Nie kupili twojej pogroźki - mruknął Manny. Uruchomił silnik szalupy i wrzucił bieg, by znalazłszy się w wodzie ruszyć od razu z szybkością równą tej, z jaką płynął statek. Odczepili liny i natychmiast rzuciło ich bokiem w bruzdę wody ciągnącą się od dzioba statku, w której szalupa omal nie wywróciła się do góry dnem. *Amy Bigalow* przesunęła się obok majestatycznie i skazana na zagładę odpłynęła, opuszczona, w swój ostatni rejs.

Manny obejrzał się i zobaczył, jak Moe ze swoimi ludźmi spuszcza szalupę z *Oziera Zajsan*. Uderzyła kilem w wybrzuszącą się ku górze wodę i wyrznęła w stalowy bok statku z taką siłą, że puściły spojenia sterburty i wdzierająca się do środka woda zalała silnik.

- Musimy im pomóc - zdecydował Pitt.

- Masz rację - zgodził się z nim Manny.

Zanim zdążyli uczynić cokolwiek w tym kierunku, Jack zorientował się w sytuacji i wrzasnął przez tubę:

- Zostawcie. Wyłowię ich, jak się urwę tamtemu. Zajmijcie się sobą i płyńcie do brzegu.

Pitt przejął ster od marynarza, który poobcierał sobie palce o liny żurawika. Skierował szalupę na wysokie budynki ciągnące się wzdłuż wybrzeża Malecón i otworzył do oporu przepustnicę.

Manny patrzył do tyłu na holownik i dryfującą szalupę z załogą Moego. Gdy niszczyciel oddał następną salwę i po obu stronach *Pista* trysnęły w górę dwie kolumny wody, twarz mu poszarzała. Na nadbudówki holownika zwały się masy wody, ale statek otrząsnął się z potopu i płynął dalej.

Moe odwrócił głowę, by ukryć strach, który wzywał mu z oczu. Wiedział, że nigdy już nie zobaczy przyjaciół.

Pitt ocenił na oko odległość pomiędzy oddalającymi się statkami a brzegiem. Znajdowały się wciąż na tyle blisko, by wybuchając spustoszyć większą część Hawany, o wiele za blisko.

- Czy prezydent Antonow zatwierdził twój plan zgładzenia mnie? - spytał Fidel Castro.

Wielikow stał z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nie zaproponowano mu, by usiadł. Patrzył na

Castra z chłodną pogardą.

- Jestem wysokim oficerem armii Związku Radzieckiego. Żądam stosownego do mojej rangi traktowania.

Czarne, gniewne oczy Raula Castro zabłyśły.

- Tu jest Kuba. Niczego tu nie żądaj. Jesteś tylko szumowiną zKGB.

- Dosyć, Raul, dosyć - ostrzegł do Fidel. Spojrzał na Wielikowa. - Nie bawcie się z nami w kotka i myszkę, generale. Przeglądałem wasze dokumenty. *Rum z Colą* nie jest już tajemnicą.

- Wiadomo mi o tej operacji. - Wielikow rozgrywał dalej swoją partię. - Jeszcze jedna podstępna próba CIA mająca na celu podkopanie przyjaźni łączącej Kubę ze Związkiem Radzieckim.

- Jeśli tak się sprawy mają, to dlaczego mnie nie ostrzegliście?

- Nie było na to czasu.

- Ale znaleźliście czas, by ewakuować swoich obywateli - warknął Raul. - Dlaczego uciekaliście o tak wczesnej porze?

Wielikow przybrał buńczuczną minę.

- Nie będę odpowiadał na wasze pytania. Czy muszę wam przypominać, że chroni mnie immunitet dyplomatyczny? Nie macie prawa mnie przesłuchiwać.

- Jak zamierzacie zdetonować materiały wybuchowe? - spytał spokojnie Castro.

Wielikow milczał.

Na odgłos odległego grzmotu ciężkich dział kąciki jego ust uniosły się lekko w uśmiechu. Fidel i Raul wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli.

Jessie zadygotała wyczuwając rosnące w małym barze napięcie. Przez chwilę żałowała, że nie jest mężczyzną i nie może siłą wydusić prawdy z generała. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Miała poczucie, że cenny czas przecieka im przez palce, i chciało jej się wyć.

- Niech im pan powie to, co chcą wiedzieć - odezwała się błagalnym tonem. - Nie może pan tak stać i dopuścić do tego, by w imię jakichś bezsensownych politycznych rozgrywek zginęły tysiące dzieci.

Wielikow nic nie odpowiedział. Pozostał niewzruszony.

- Z rozkoszą zabiorę go na zaplecze - zadeklarował się Hagen.

- Nie musi pan brudzić sobie rąk, panie Hagen - powiedział Castro. - Na zewnątrz czekają moi eksperci od wymuszania zeznań.

- Nie ważycie się - warknął Wielikow.

- Moim obowiązkiem jest ostrzec cię, że jeśli nie powstrzymasz zdetonowania ładunków, poddany zostaniesz torturom. Nie mam tu na myśli niewinnych zastrzyków, jakie dajecie w Rosji swoim więźniom politycznym przetrzymywanym w szpitalach psychiatrycznych, ale niewypowiedziane męczarnie, które trwać będą nieprzerwanie dzień i noc. Nasi najlepsi lekarze specjaliści będą utrzymywać cię przy życiu. Żaden koszmar nie może się równać z katuszami, jakie cię czekają, generale. Będziesz krzyczał dopóty, dopóki nie zedrzesz sobie strun głosowych. Potem, kiedy pozbawiony wzroku, mowy i słuchu niewiele będziesz się już różnił od rośliny, zostaniesz wywieziony z Kuby i porzucony w jakichś slumsach, gdzieś w północnej Afryce, gdzie albo przeżyjesz, albo umrzesz i gdzie nikt nie roztoczy opieki nad kalekim, budzącym wstręt żebrakiem ani się nad nim nie użali. Staniesz się żywym trupem.

Skorupa, w jakiej zamknął się Wielikow, zarysowała się, ale bardzo nieznacznie.

- Szkoda twojego czasu. Wy jesteście już martwi, ja jestem martwy, wszyscy jesteśmy martwi.

- Mylisz się. Statki z amunicją i saetrą amonową na pokładach zostały usunięte z portu przez ludzi, których obwiniasz o przygotowanie zamachu. W tej chwili agenci CIA wyprowadzają je w morze, gdzie siła wybuchu uśmierci tylko ryby.

Wielikow skwapliwie wykorzystał swoją wątplą przewagę.

- O nie, *Senor Presidente*, to pan się myli. Wystrzały z dział, które słyszeliście przed chwilą, pochodzą z radzieckiej jednostki, która zatrzymuje te statki i zawraca je do portu. Być może eksplodują przed twoim przemówieniem na uroczystości, ale spełnią swoją rolę.

- Łiesz - mruknął Fidel, tracąc jednak pewność siebie.

- Twoje panowanie, wielki ojciec rewolucji, dobiegło końca - powiedział Wielikow głosem, w którym pobrzmiwała przebiegłość i drwina. - Z radością zginę za moją ojczyznę Rosję. A czy ty poświęcisz swoje życie za Kubę? Może zrobiłbyś to za młodu, kiedy nie miałeś nic do stracenia, ale z czasem zmiękłeś i zbyt przywykłeś do tego, że brudną robotę odwalają za ciebie inni. Dobrze sobie żyjesz i ani myślisz z tego zrezygnować. Ale to już skończone. Jutro będziesz tylko jedną z fotografii na ścianie, a na twoim miejscu zasiądzie nowy prezydent. Człowiek lojalny wobec Kremla.

Wielikow cofnął się kilka kroków i wydobyl z kieszeni małe pudełeczko.

Hagen rozpoznał je natychmiast.

- Nadajnik elektroniczny. On może z tego miejsca zdalnie zdetonować materiały wybuchowe.

- O, Boże! - krzyknęła z rozpaczą Jessie. - O, mój Boże, on chce to zrobić, on naprawdę chce to zrobić!

- Nie masz co wzywać swoich goryli - powiedział spokojnie Wielikow. - Nie zdążą na czas.

Fidel wpatrywał się w niego zimnymi, ponurymi oczyma.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem.

Wielikow spojrzał na niego pogardliwie.

- Naprawdę potrafisz wyobrazić sobie mnie wrzeszczącego na torturach w którymś z twoich plugawych więzień?

- Oddaj mi ten nadajnik, a nikt cię nie tknie palcem i będziesz mógł bez przeszkód opuścić Kubę.

- I wrócić do Moskwy z piętnem tchórza? Ani myślę.

- Decyzja należy do ciebie - powiedział Fidel z miną wyrażającą osobliwą mieszaninę gniewu i strachu. - Wiesz, jaki czeka cię los, jeśli zdetonujesz materiały wybuchowe i przeżyjesz.

Wielikow uśmiechnął się szyderczo.

- Mało prawdopodobne. Ten budynek stoi niecałe pięćset jardów od kanału portowego. Nic z nas nie zostanie. - Urwał i zastygł na chwilę z twarzą jakby wykutą z kamienia. Potem powiedział:

- Żegnam, *Senor Presidente*.

- Ty sukinsynu... - Hagen przeskoczył przez stół demonstrując nieprawdopodobną zwinność swego zwalistego ciała i tylko ciałe dzieliły go od Wielikowa, kiedy Rosjanin wduślił przycisk "Uaktywnienie nadajnika".

ROZDZIAŁ 74

Amy Bigalow wyparowała.

Oziera Zajsan zwlekało tylko ułamek sekundy dłużej, potem eksplozja zmiotła je z powierzchni morza. Połączone siły wybuchowych ładunków zgromadzonych pod pokładami obu statków wyrzuciły w górę potężną kolumnę ognistych szczątków i dymu, która wzniosła się w tropikalne niebo na wysokość pięciu tysięcy stóp. W pogoni za tym słupem dymu wystrzelił w powietrze gigantyczny gejzer rozszalanej wody i pary, a w powierzchni morza utworzył się w tym miejscu ogromny wir.

Nad wodą wykwitł oślepiający, czerwono-biały błysk o jasności dziesięciu słońc, a zaraz potem powietrzem wstrząsnął potężny grzmot, który przydusił i spłaszczył grzbiety fal.

Widok dzielnego, małego *Pista*, wzlatającego na dwieście stóp w powietrze niczym rozpadająca się rakietą, na zawsze pozostanie w pamięci Pitta. Patrzył, jak ognisty grad poszarpanych szczątków holownika, przemieszanych ze strzępami ciał Jacka i jego załogi, spada z pluskiem w kipiel.

Dryfująca szalupa z *Moem* i jego ludźmi znikła po prostu z powierzchni morza.

Furia wybuchu strąciła oba wojskowe helikoptery. Podmuch uśmiercił wszystkie mewy w promieniu dwóch mil. Śruba *Oziera Zajsan* przeleciała, wirując, nad wodą i ugodziła w wieżę dowodzenia sowieckiego niszczyciela zabijając całą obsadę mostka. Na miasto runął deszcz poskręcanych stalowych płyt, nitów ogniów łańcucha i wyposażenia pokładowego, przebijając ściany i dachy budynków niczym pociski artyleryjskie. Fala uderzeniowa wybuchu połamała słupy telefoniczne i przewracała uliczne latarnie.

Setki ludzi śmierć zaskoczyła w łózkach podczas snu. Wielu zostało dosłownie poćwiartowanych fruującymi odłamkami szkła z pękających szyb albo zmiażdżonych przez zarywające się sufity. Robotników, spieszących na poranną zmianę, i przypadkowych przechodniów żywiol ściał z nóg i przygniótł do ścian budynków.

Fala uderzeniowa natarła na miasto z impetem przekraczającym dwukrotnie siłę rekordowego huraganu, burząc jak domki z kart drewniane zabudowania nad brzegiem, rujnując witryny sklepowe, rozbijając setki tysięcy okien i ciskając zaparkowanymi samochodami o budynki.

W porcie wybuchło olbrzymie *Oziera Bajkal*.

Najpierw z jego kadłuba trysnęły pochodnie ognia przypominające płomienie z palników acetylenowych. Potem cały tankowiec przeistoczył się w gigantyczną ognistą kulę. Kaskady płonącego oleju zalały brzeg i wywołały reakcję łańcuchową eksplozji substancji wybuchowych

składowanych w portowych magazynach. Gorejące strzępy metalu spadły na zbiorniki ropy i gazu po wschodniej stronie portu. Zaczęły one wybuchać jeden po drugim jak na wyreżyserowanym pokazie ogni sztucznych, rzygając gigantycznymi chmurami czarnego dymu, które wiatr poniosł w kierunku miasta.

Wybuchały kolejno rafineria ropy naftowej, zakłady chemiczne, fabryka farb i lakierów oraz wytwórnia nawozów sztucznych. Dwa wychodzące w morze frachtowce, które znalazły się akurat w pobliżu, wpadły na siebie i stanęły w ogniu. Ognisty rój stalowych odłamków z rozerwanego wybuchem tankowca zbombardował jeden z dziesięciu wagonów cystern z ładunkiem propanu i wszystkie wyleciały w powietrze niczym naszyjnik zimnych ogni.

Kolejny wybuch... i następny... i jeszcze jeden.

W odległości czterech mil od brzegu świat zmienił się w istne piekło. Popioły i sadza pokryły miasto niczym warstwa czarnego śniegu. Z pracujących w dokach robotników przeżyła ledwie garstka. Na szczęście w rafineriach i zakładach chemicznych nie było prawie nikogo. Ofiary w ludziach byłyby wielokrotnie większe, gdyby nie wydarzyło się to w dniu święta narodowego.

Katastrofa w porcie minęła swoje apogeum, ale miasto najgorsze miało jeszcze przed sobą.

Z wiru wyrosła ogromna, wysoka na pięćdziesiąt stóp fala i runęła w kierunku brzegu. Pitt i pozostali, zdjęci grozą, patrzyli na ścigającą ich z rykiem zielonobiałą górę wody. Czekali nie popadając w panikę, patrzyli tylko i wyczekiwali momentu, kiedy krucha, maleńka szalupa rozleci się na kawałki, a ich pochłonie woda.

Mieli już tylko trzydzieści jardów do falochronu ciągnącego się wzdłuż bulwaru Malecón, kiedy zwała się na nich lawina wody. Na oczach Pitta żywioł porwał Manny'ego i trzech ludzi i poniosł ich pośród wodnej kurzawy jak huragan krokwie z dachu. Falochron przybliżał się gwałtownie, ale pęd fali przeniósł szalupę górą i cisnął na drugą stronę szerokiego bulwaru.

Pitt ścisnął ster z taką siłą, że kiedy wylatywał z szalupy, pozostał mu w dłoniach wyrwany z zamocowania. Myślał, że to już koniec, ale wciągany w odmęty, zdołał jeszcze złapać głęboki haust powietrza i przytrzymać je w płucach. Patrzył jak w sennym koszmarze w dół poprzez wzburzoną, a zarazem zadziwiająco przezroczystą wodę i widział tam samochody koziółkujące w zwariowanych saltach, jakby rozrzuciła je czyjaś gigantyczna ręka.

Pogrążony w skłębionej kipieli, czuł się dziwnie obojętny. Ubawiła go myśl, że przyjdzie mu utonąć na ulicy w środku miasta. Instynkt samozachowawczy wciąż go nie opuszczał, ale nie walczył desperacko o życie, by nie marnować bezcennego tlenu. Rozluźnił się i daremnie próbował przebić kpiel wzrokiem. Zachował niesamowicie jasny umysł. Uświadomił sobie, że jeśli fala ciśnie nim o betonowy budynek, to rwące tony wody utłuką go do konsystencji zrzuconego z samolotu arbuza.

Jego obawy wzrosłyby jeszcze, gdyby widział szalupę roztrzaskującą się o drugie piętro kamienicy zamieszkiwanej przez sowieckich ekspertów technicznych. Pod wpływem uderzenia jej drewniany kadłub rozleciał się jak skorupa jajka. Wyrwany z zamocowania czterocylindrowy silnik wysokoprężny wpadł do budynku przez wybite okno i zatrzymał się dopiero na klatce schodowej.

Na szczęście woda niosła Pitta, jak słomkę ściekiem, wąską, boczną uliczką. Powódź zmiatała wszystko, co napotkała po drodze i pchała przed sobą wielką, koziółkującą, przemieszaną masę szczątków. Ale chociaż woda spiętrzała się jeszcze wokół budynków wystarczająco solidnych, by wytrzymać ten napór, to zaczynała już wytracać swój impet. Za kilka sekund czoło fali dotrze do granicy swego zasięgu i zacznie się cofać, a prąd powrotny wessie do morza ludzkie ciała i luźne szczątki.

Pitt widział już gwiazdy; to jego mózg łaknął świeżej dawki tlenu. Jeden po drugim zaczynały mu się wyłączać zmysły. Poczł rozrywający ból w barku, którym uderzył o jakiś nieruchomy obiekt. Wyrzucił rękę, żeby się tego czegoś przytrzymać, ale rwący prąd poniośł go dalej. Wpadł na kolejną płaską powierzchnię i tym razem udało mu się chwycić jej kurczowo. Nie wiedział nawet, że to szyld nad sklepem jubilerskim.

Ośrodkie jego ciała odpowiedzialne za myślenie i czucie przygasły i przestały działać jak aparatura elektryczna, której odcina się dopływ zasilania. Głowa pulsowała mu bólem, a wybuchające przed oczyma gwiazdy przesłaniała czerń. Istniał tylko za sprawą instynktu, a ten wkrótce go opuści.

Fala osiągnęła punkt zwrotny i zaczęła zapadać się w siebie spływając z powrotem do morza. Dla Pitta nastąpiło to za późno, tracił przytomność. Jego mózg zdołał wysłać jeszcze jeden, ostatni, komunikat. Ramię wcisnęło się niezdarnie między szyld a bolec mocujący wbity w ścianę budynku i tam się zaklinowało.

Pękające płuca nie mogły już znieść więcej i Pitt zaczął tonąć.

Potężny grzmot eksplozji przetoczył się echem aż do wzgórz i poniośł nad morzem. Nad miastem nie świeciło słońce. Przesłaniał je niewiarygodnie gęsty, czarny całun dymu. Cały port zdawał się stać w ogniu; doki, statki, zbiorniki i trzy mile kwadratowe pokrytej rozlaną ropą wody buchały pomarańczowobłękitnym płomieniem strzelającym jęzorami aż po mroczny baldachim.

Straszliwie zranione miasto otrząsało się powoli po przeżytych szoku i chwiejnie stawało na nogi. Wycie syren dorównało natężeniu hukowi szalejących pożarów. Fala, cofając się do Zatoki Meksykańskiej, porwała ze sobą wielką masę zgruchotanych szczątków i trupów.

Ludzie, którzy przetrwali, zaczęli chwiejnie niczym ogłupiałe owce wylegać na ulice i rozglądać się nieprzytomnie po otaczającym ich rumowisku. Oszołomieni i poranieni zachodzili w głowę, co się stało. Niektórzy szli przed siebie w szoku, nieświadomi odniesionych obrażeń. Inni gapili się tępo na ogromny kawał steru *Amy Bigalow*, który przeleciał przez dworzec autobusowy miażdżąc cztery

pojazdy i kilkoro podróżnych stojących na przystanku.

Fragment przedniego masztu *Oziera Zajsan* znaleziono na stadionie hawańskim zaryty w środek płyty boiska do gry w piłkę nożną. Wążąca tonę winda kotwiczna wylądowała na skrzydle szpitala uniwersyteckiego, gdzie zgmiotła jedyne trzy nie zajęte łóżka na czterdziestołożkowym oddziale. Wieść o tym zdarzeniu rozeszła się szeroko i uznano je za jeden z setki cudów, jakie się tego dnia wydarzyły. Wielki krok naprzód Kościoła Katolickiego i mały wstecz marksizmu.

Strażacy i policjanci przybywający na nabrzeże zaczęli formować drużyny ratownicze. Wezwano do pomocy jednostki wojska i milicji. Z początku panował chaos i szalała panika. Żołnierze machnęli ręką na akcję ratowniczą i przystąpili do organizowania obrony wyspy wychodząc z błędnego założenia, że nastąpiła inwazja Stanów Zjednoczonych. Ranni byli chyba wszędzie. Niektórzy leżeli krzycząc z bólu, ale większość, kuśtykając i słaniając się na nogach, starała się jak najszybciej opuścić teren płonącego portu.

Ziemia uspokajała się stopniowo po tytanicznym wstrząsie, jaki nią targnął. Sufit restauracji “Sloppy Joe’s” zapadł się, ale ściany wciąż stały. Sala barowa uległa całkowitemu zniszczeniu. Nad rumowiskiem drewnianych belek, płatów odpadłego od ścian i sufitu tynku, pogruchootanych strzępów i potłuczonych butelek unosiły się kłęby gęstego pyłu. Wahadłowe drzwi wyrwane z zawiasów zwiślały pod idiotycznym kątem nad niewielką kupką cegieł, spod której dochodziły jęki ochroniarzy Castra.

Ira Hagen podźwignął się z wysiłkiem i potrzęsnał głową, żeby pozbyć się przykrego szumu, jaki pozostał mu po wybuchu. Przetarł oczy i przytrzymując się ściany wyteżył wzrok, usiłując przeniknąć chmurę pyłu i kurzu. Spojrzał do góry przez nie istniejący już sufit i zobaczył, że piętro wyżej obrazy jeszcze wciąż wiszą na ścianach.

Co z Jessie? To była pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy. Rozejrzał się i dostrzegł jej ciało skryte częściowo pod stolikiem stojącym nadal pośrodku sali. Leżała zwinięta w kłębek. Hagen przykląkł i ostrożnie przewrócił ją na plecy.

Nie ruszała się i pokryta białą warstwą gipsowego pyłu wyglądała na martwą, nie dostrzegł jednak ani krwi, ani żadnych poważniejszych obrażeń. Uniosła powieki i jęknęła. Hagen uśmiechnął się z ulgą i zdjął płaszcz. Zwinąwszy go w kulę podłożył jej pod głowę.

Uniosła rękę, schwyciła go za przegub silniej, niżby się tego po niej spodziewał, i popatrzyła na niego przytomnie.

- Dirk nie żyje - wyszeptała.

- Mógł się uratować - powiedział cicho Hagen, ale w jego tonie nie było optymizmu.

- Dirk nie żyje - powtórzyła.

- Nie ruszaj się - powiedział. - Leż spokojnie, a ja sprawdzę, co z braćmi Castro.

Wstał niepewnie i zaczął przetrząsać rumowisko. Z lewej strony, od baru, dobiegł czyjś kaszel, przelazł więc przez zwały gruzu i dojrzał w to miejsce.

Raul Castro otumaniony szokiem czepiał się obiema rękami krawędzi wysokiego kontuaru i suchym, urywanym kaszlem oczyszczał gardło z kurzu. Z nosa sączyła mu się krew, a na podbródku widniało paskudne rozcięcie.

Hagen nie mógł wyjść z podziwu, że siedząc tak blisko siebie, zanim nastąpiły eksplozje, byli teraz tak porozrzucani. Podniósł przewrócone krzesło i pomógł Raulowi usiąść.

- Nic się panu nie stało? - spytał z autentyczną troską.

Raul pokręcił niemrawo głową.

- Nic mi nie jest. Co z Fidelem? Gdzie Fidel?

- Niech pan siedzi. Zaraz go poszukam.

Przekopując się przez plątaninę połamanych sprzętów i stosy cegieł, Hagen znalazł w końcu Fidela Castro. Kubański przywódca leżał na brzuchu unosząc skręcony w bok tułów na wyprostowanej ręce. Hagen patrzył zafascynowany na scenę rozgrywającą się na podłodze.

Castro wpijał się wzrokiem w odwróconą ku górze twarz oddaloną od niego zaledwie o stopę. Generał Wielikow leżał na wznak z rozrzuconymi ramionami i nogami. Dolne kończyny przygniatała mu gruba belka. Na jego twarzy malowała się mieszanka wyzwania i lęku. Patrzył na Castra oczyma, z których wyciekał gorzki smak klęski.

Twarz Castra nie wyrażała żadnych emocji. Pokryty gipsowym pyłem wyglądał jak wykuty z marmuru. Rysy zastygłe w maskę pełnej koncentracji wydawały się aż nieludzkie.

- Żyjemy, generale - wymruczał tryumfalnie. - Obaj żyjemy.

- Nic nie rozumiem - wycedził przez zaciśnięte zęby Wielikow. - Wszyscy powinniśmy być martwi.

- Widocznie Dirk Pitt ze swoją grupą zdołał się jakoś przedrzeć przez blokadę waszych okrętów wojennych i wyprowadzić statki na otwarte morze - wyjaśnił Hagen. - Siła niszcząca eksplozji osiągnęła tylko jedną dziesiątą tego, co by nam groziło, gdyby pozostały w porcie.

- Nie udało ci się - powiedział Castro. - Kuba pozostaje Kubą.

- Tak niewiele brakowało i... - Wielikow potrząsnął z rezygnacją głową. - A teraz weźmiecie na mnie odwet.

- Będziesz umierał osobno za każdego z moich rodaków - obiecał mu Castro głosem zimnym jak

otwarty grób. - Bez względu na to, czy ofiar jest tysiąc, czy sto tysięcy, odpokutujesz za każdą z nich.

Wielikow uśmiechnął się ironicznie. Ten człowiek chyba w ogóle nie miał nerwów.

- Dokona tego ktoś inny, jeśli nie dziś, to kiedy indziej. Ale śmierć cię nie minie, Fidelu. Mnie możesz wierzyć. Współuczestniczyłem w opracowywaniu pięciu innych planów przygotowanych na wypadek, gdyby ten zawiódł.

CZEŚĆ VI

Eureka! La Dorada!

ROZDZIAŁ 75

5 listopada 1989 Waszyngton, D.C.

Martin Brogan spóźnił się na poranną naradę gabinetu. Prezydent i ludzie zasiadający wokół wielkiego stołu w kształcie nerki powitali go wyczekującymi spojrzeniami.

- Statki zdetonowano na cztery godziny przed upływem wyznaczonego terminu - poinformował ich, zanim jeszcze usiadł.

Oświadczenie to przyjęto grobową ciszą. Każdy z obecnych przy stole już wcześniej został poinformowany o niewiarygodnym sowieckim planie usunięcia Castra. Wiadomość o wybuchu nie tyle ich zaszokowała, ile raczej poruszyła jako tragedia, której nie zdołano zaradzić.

- Jakie są ostatnie meldunki o ofiarach w ludziach? - spytał Douglas Gates.

- Trudno coś jeszcze powiedzieć - odparł Brogan. - Płonie cały port. Liczba ofiar śmiertelnych pójdzie prawdopodobnie w tysiące. Zniszczenia nie są jednak nawet w przybliżeniu tak poważne, jak pierwotnie zakładano. Wszystko wskazuje na to, że nasi agenci z Hawany opanowali dwa z tych statków i wyprowadzili je z portu, zanim eksplodowały.

Pogrążeni w pełnym skupieniu milczeniu słuchali, jak Brogan odczytuje wstępne raporty nadesłane z Hawany przez Sekcję Interesów Specjalnych. Brogan zreferował najpierw szczegółowo plan wyprowadzenia statków, a następnie omówił pokrótce przebieg rzeczywistej operacji. Czytał jeszcze, kiedy do sali wszedł jeden z jego sekretarzy i podsunął mu uaktualniony meldunek. Brogan przebiegł go w milczeniu wzrokiem i przeczytał na głos pierwszą linijkę.

- Fidel i Raul Castro żyją. - Urwał, żeby spojrzeć na prezydenta. - Pański człowiek, Ira Hagen, donosi, że pozostaje w bezpośrednim kontakcie z braćmi Castro i że proszą nas oni o wszelką pomoc w usuwaniu skutków katastrofy, jaką jesteśmy w stanie zaoferować, włączając w to przysłanie personelu medycznego i dostarczenie środków opatrunkowych, sprzętu pożarniczego, żywności oraz ubrań. Potrzebni będą również specjaliści od grzebania i balsamowania zwłok.

Prezydent spojrział na generała Clayтона Metcalfa, przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabu.

- Generale?

- Po pańskim telefonie postawiłem wczoraj w nocy w stan gotowości Dowództwo Transportu Powietrznego. Kiedy tylko ludzie i dostawy znajdą się na lotniskach i zakończy się załadunek, możemy przystąpić do przerzucania mostu powietrznego.

- Lepiej dokładnie skoordynować loty wszystkich amerykańskich samolotów wojskowych, bo inaczej Kubańczycy spuszcza z smyczy swoje pociski ziemiapowietrze - zauważył sekretarz obrony Simmons.

- Dopilnuję otwarcia bezpośredniego kanału łączności z ich ministrem spraw zagranicznych - obiecał sekretarz stanu Oates.

- Lepiej od razu wyraźnie dać Castrowi do zrozumienia, że wszelka pomoc, jaką wysyłamy, organizowana jest pod egidą Czerwonego Krzyża - dorzucił Dan Fawcett. - Po co ma się na samym początku przestraszyć i zatrzasać nam drzwi przed nosem.

- Nie wolno nam niczego przeoczyć - zgodził się z nim prezydent.

- Wyciąganie korzyści z tak straszliwej katastrofy graniczy z przestępstwem - mruknął Oates. - Nie możemy jednak zaprzepaścić tej zesłanej przez niebiosa okazji do poprawienia stosunków z Kubą i rozładowania rewolucyjnej gorączki ogarniającej obie Ameryki.

- Ciekawi mnie, czy Castro studiował kiedykolwiek dzieła Simona Bolívara? - powiedział prezydent nie adresując tego pytania do nikogo konkretnego.

- Wielki wyzwoliciel Ameryki Południowej jest jednym z idoli Castra - odparł Brogan. - Czemu pan pyta?

- To może wreszcie pojął sens jednej z wypowiedzi Bolívara.

- Której, panie prezydencie?

Prezydent przesunął wzrokiem po twarzach ludzi zasiadających za stołem.

- Kto służy rewolucji, uprawia morze.

ROZDZIAŁ 76

Chaos powoli ustępował, ludność Hawany otrząsała się z szoku i przystępowano do akcji ratowniczej. Zdecydowano się prowadzić ją zgodnie z gotowymi instrukcjami przygotowanymi na wypadek huraganu. Jednostki armii i milicji wspomagane przez ekipy sanitarne przetrząsały ruiny, przenosząc ciała żywych do ambulansów, a zabitych na ciężarówki.

Wzniesiony w roku 1643 klasztor Santa Clara, zaadaptowany na tymczasowy lazaret, szybko się zapełnił. Oddziały i korytarze szpitala uniwersyteckiego pękały wkrótce w szwach. W eleganckim dawnym Pałacu Prezydenckim, w którym mieściło się obecnie muzeum rewolucji, urządzono kostnicę.

Zakrwawieni ludzie błakali się po ulicach patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem albo szukając rozpaczliwie swoich bliskich. Zegar na szczycie budynku przy placu Katedralnym w starej Hawanie zatrzymał się na 6.21. Część hawańczyków, którzy podczas kataklizmu wybiegali w panice z domów, wracała teraz do mieszkań. Ci, którzy nie mieli dokąd wracać, bo ich domy legły w gruzach, snuli się ulicami tuląc do siebie małe zawiniątka z ocalonym dobytkiem i klucząc między ciałami zabitych.

Do miasta ścigały wszystkie okoliczne jednostki straży pożarnej, by walczyć z pożogą szalejącą na całym odcinku wybrzeża. Wszystko nadaremnie. Rozerwał się zbiornik z chlorem i do szalejących pożarów dołączył jeszcze czynnik skażenia trującymi oparami. Setki strażaków musiało dwukrotnie brać nogi za pas i szukać schronienia przed parzącym żarem, którym dmuchał im w twarz zmieniający kierunek wiatr.

Jeszcze w trakcie organizowania akcji ratowniczej Fidel Castro przeprowadził czystkę wśród niełojalnych urzędników państwowych i oficerów armii. Weryfikacją kierował osobiście Raul. Większość zdrajców opuściła miasto, uprzedzona przez Wielikowa i KGB o planowanej operacji *Rum z Colą*. Aresztowano ich jednego po drugim, ogłuszonych wiadomością, że bracia Castro wciąż żyją, i transportowano setkami pod silną strażą do tajnego obiektu więziennego, ukrytego głęboko w górach. Tam ślad ginął po nich na zawsze.

O drugiej po południu na lotnisku międzynarodowym w Hawanie wylądował pierwszy ciężki samolot transportowy Sił Powietrznych USA. Zapoczątkował nieprzerwany strumień nadciągającej drogą powietrzną pomocy. Fidel Castro osobiście witał ochotnicze zespoły lekarzy i pielęgniarek. Sam też czuwał nad sprawnym działaniem kubańskich komitetów pomocy społecznej odpowiedzialnych za odbiór dostaw i współpracę z przybywającymi Amerykanami.

Wczesnym wieczorem na zasnutym dymami horyzoncie zaczęły się pojawiać pierwsze jednostki straży przybrzeżnej i statki pożarnicze z portu Miami. Na teren zrujnowanego, płonącego portu

weszły buldożery i ciężki sprzęt - to teksascy specjaliści od gaszenia ropy naftowej przypuścili bezzwłocznie szturm na szalejące płomienie.

Wyglądało na to, że zarówno Stany Zjednoczone, jak i Kuba mają dostateczną wyobraźnię, by puścić na razie w niepamięć zastarzałe różnice światopoglądowe. W obliczu istniejącego zagrożenia oba kraje potrafiły zdobyć się na zgodną współpracę.

Późnym popołudniem z odrzutowca NUMA wysiedli admirał Sandecker i Al Giordino. Z lotniska zabrali się ciężarówką z ładunkiem pościeli i wojskowych kocy i dojechali nią do punktu dystrybucyjnego, gdzie Giordino pożyczył sobie porzuconego fiata, uruchamiając go przez zwarcie przewodów w stacyjce.

Patrzyli z niedowierzaniem przez przednią szybę samochodu na gigantyczną chmurę dymu i wielkie morze ognia, a twarze barwiła im na czerwono rozlewająca się po niebie łuna.

Po blisko godzinie kluczenia po mieście zawiłymi objazdami wskazywanymi przez kierujących ruchem milicjantów i omijaniu ulic zablokowanych gruzami i pojazdami ratowniczymi, dotarli wreszcie do ambasady szwajcarskiej.

- Będzie co robić - mruknął Sandecker patrząc na zdewastowane budynki i wraki pojazdów zawalające szeroki bulwar Malecón.

Giordino pokiwał ze smutkiem głową.

- Możemy go nigdy nie odnaleźć.

- Tak czy inaczej, musimy próbować. Jesteśmy mu to winni.

- Tak - westchnął ciężko Giordino. - Jesteśmy to winni Pittowi.

Skręcili i weszli przez zrujnowane wejście na teren ambasady, gdzie wskazano im drogę do pomieszczenia łączności Sekcji Interesów Specjalnych.

W pomieszczeniu kłębiły się tłumy korespondentów prasowych czekających w kolejce na przekazanie drogą radiową do swych redakcji meldunków o katastrofie. Sandecker przepchnął się przez ciżbę i stanął przy potężnie zbudowanym mężczyźnie dyktującym tekst radiooperatorowi. Zaczekał, aż mężczyzna skończy, po czym poklepał go po ramieniu.

- Pan jest Ira Hagen?

- Tak, to ja. - Ochryply głos pasował do brzd znużenia żłobiących twarz tego człowieka.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Sandecker. - Prezydent opisał mi pana dosyć szczegółowo.

Hagen poklepał się po imponującym brzuchu i uśmiechnął z przymusem.

- Nietrudno wyłuskać mnie z tłumu - przyznał. Potem zawiesił głos i spojrzał dziwnie na Sandeckera.
- Powiedział pan, prezydent...

- Widziałem się z nim przed czterema godzinami w Białym Domu. Nazywam się James Sandecker, a to Al Giordino. Jesteśmy z NUMA.

- Tak, admirale, słyszałem o panu. Co mogę dla pana zrobić?

- Jesteśmy przyjaciółmi Dirka Pitta i Jessie LeBaron.

Hagen przymknął na sekundę powieki, a potem spojrzał poważnie na Sandeckera.

- Pani LeBaron to dzielna kobieta. Nie licząc paru zadrapań i siniaków, wyszła z eksplozji właściwie bez szwanku. Pomaga teraz w tymczasowym szpitalu dziecięcym urządzonym w starej katedrze. Ale jeśli szukacie Pitta, to obawiam się, że tracicie czas. Stał za sterem *Amy Bigalow*, kiedy statek wyleciał w powietrze.

Serce Giordina zamarło.

- I nie ma żadnej nadziei, że udało mu się przeżyć?

- Z tych, którzy walczyli z Rosjanami w dokach, kiedy statki wymykały się z portu, przy życiu pozostało tylko dwóch ludzi. Jak dotąd brak jakichkolwiek wieści o załogach obu statków i holownika. Niewielka jest nadzieja, że któremuś z nich udało się uratować. A jeśli nie zginęli od eksplozji, to na pewno utonęli w fali wywołanej wybuchem.

Rozczarowany Giordino zacisnął pięści. Odwrócił głowę, żeby nikt nie widział łez, które napłynęły mu do oczu.

Sandecker potrząsnął ze smutkiem głową.

- Chcielibyśmy poszukać w szpitalach.

- Proszę nie uważać, że jestem bez serca, admirale, ale lepiej poszukajcie w kostnicach.

- Tam też zajrzemy.

- Poproszę Szwajcarów o załatwienie przepustek dyplomatycznych, które umożliwią wam swobodne poruszanie się po całym mieście.

- Dziękuję.

Hagen popatrzył ze współczuciem na obu mężczyzn.

- Jeśli to was w jakimkolwiek stopniu pocieszy, to Pittowi zawdzięcza życie sto tysięcy osób.

Sandecker spojrział mu w oczy, a na jego twarzy odmalowała się duma.

- Gdyby znał pan Drika Pitta, panie Hagen, wcale by się pan temu nie dziwił.

ROZDZIAŁ 77

Bez większego przekonania Sandecker i Giordino zaczęli szukać Pitta w szpitalach. Przechodzili nad rannymi, którzy w nie kończących się rzędach leżeli na podłodze dogładani troskliwie przez pielęgniarki, gdy tymczasem wyczerpani lekarze pracowali w pocie czoła w salach operacyjnych. Wiele razy przerywali poszukiwania i pomagali w przenoszeniu pacjentów transportowanych na noszach.

Nie znaleźli Pitta wśród żywych.

W następnej kolejności przeszukali kostnice. Przed niektórymi czekały sznury ciężarówek z ładunkiem ciał poukładanych jedne na drugich czterema albo pięcioma warstwami. Liczni balsamiści zwijali się jak w ukropie, by zapobiec wybuchowi epidemii. Trupy leżały wszędzie, z nieruchomymi twarzami i nie widzącymi oczyma wpatrzonymi w sufity, niczym szczapy drewna porąbanego na opał. Wiele ciał uległo takim poparzeniom i okaleczeniom, że nie można ich było zidentyfikować. Miano je pochować później w masowej mogile na cmentarzu Colon.

Pewien zmordowany pracownik kostnicy pokazał im zwłoki mężczyzny, którego podobno wyłowiono z morza. Nie był to Pitt, a nie rozpoznali w nim Manny'ego, ponieważ go nie znali.

Nad zniszczonym miastem wstawało słońce. Znajdowano coraz więcej rannych, których umieszczano w szpitalach, coraz więcej zabitych, którzy trafiali do kostnic. Żołnierze z nasuniętymi na lufy karabinów bagnietami patrolowali ulice, by nie dopuścić do grabieży. W porcie wciąż szalały pożary, ale strażacy opanowywali już sytuację. Niebo przesłaniała nadal czarna chmura dymu, a piloci samolotów pasażerskich meldowali, że wschodni wiatr niesie ją aż do Mexico City.

Przybici tym, co oglądały tej nocy ich oczy, Sandecker i Giordino z zadowoleniem powitali wstający dzień. Na trzy przecznice przed placem Katedralnym zagrodziło im drogę rumowisko blokujące ulice. Resztę drogi do połowego dziecięcego szpitala, gdzie pracowała Jessie, pokonali pieszo.

Uspokajała szlochającą dziewczynkę, której lekarz wkładał w gips smukłą brązową nóżkę. Jessie podniosła głowę i ujrzała zbliżających się admirała i Giordina. Jej oczy przesunęły się nieprzytomnie po znajomych twarzach, ale zmęczenie sprawiło, że ich nie rozpoznała.

- Jessie - powiedział cicho Sandecker. - To my, Jim Sandecker i Al Giordino.

Patrzyła na nich przez kilka sekund, zanim zaczęła kojarzyć.

- Admirał. Al. Och, dzięki Bogu, że tu jesteście. - Szepnęła coś dziewczynce do ucha, potem wstała i wybuchając niekontrolowanym szlochem objęła ich obu.

Lekarz skinął Sandeckerowi głową.

- Pracuje jak nawiedzona od dwudziestu czterech godzin bez przerwy. Może byście na nią wpłynęli, żeby trochę odsapnęła.

Admirał i Giordino wzięli Jessie pod rękę, wyprowadzili na zewnątrz i posadzili troskliwie na stopniach katedry.

Giordino usiadł przed Jessie i popatrzył na nią. Nadal była w mundurze polowym. Deseń maskujący plamiły teraz zacieki zaschłej krwi. Włosy mokre od potu i zmierzwiłone, oczy zaczerwienione od gryzącego dymu.

- Tak się cieszę, że mnie odszukaliście - odezwała się w końcu. - Dawno przylecieliście?

- Wczoraj wieczorem - odparł Giordino. - Szukaliśmy Dirka.

Wpatrywała się tępo w wielką chmurę dymu.

- On zginął - powiedziała jak w transie.

- Złego diabli nie biorą - mruknął bez przekonania Giordino.

- Wszyscy zginęli... mój mąż, Dirk, tylu innych. - Zamilkła.

- Można tu gdzieś dostać kawy? - spytał Sandecker zmieniając temat. - Wydaje mi się, że filiżanka dobrze by zrobiła nam wszystkim.

Jessie pokazała obojętnym ruchem głowy na wejście do katedry.

- Jakaś biedna kobieta, której dzieci leżą tutaj z poważnymi ranami, parzy kawę dla ochotników.

- Ja pójdę - zaoferował się Giordino. Wstał i zniknął we wnętrzu.

Jessie i admirał siedzieli przez kilka chwil w milczeniu, nasłuchując wycia syren i obserwując języki ognia widoczne w oddali.

- Jeśli będę mógł w jakikolwiek sposób pomóc, kiedy wrócimy do Waszyngtonu... - zaczął Sandecker.

- Jest pan bardzo uprzejmy, admirale, ale poradzę sobie. - Zawahała się. - Mam tylko jedną prośbę. Jak pan myśli, czy będzie można odszukać ciało Raymonda i sprowadzić je do kraju?

- Jestem przekonany, że po tym wszystkim, co dla niego zrobiliście, Castro pójdzie wam na rękę.

- Czy to nie dziwne, że zostaliśmy w to wszystko wciągnięci z powodu skarbu?

- La Dorady?

Oczy Jessie spoczywały na odległej grupce ludzi zmierzających w ich stronę, ale chyba ich nie widziały.

- Od prawie pięciuset lat mamy ludzi. Tyłu już zginęło, opętanych żądzą jej posiadania. To idiotyzm... idiotyzm marnować życie dla jakiegoś posągu.

- Nadal uważa się ją za największy ze skarbów.

Jessie przymknęła ze znużeniem oczy.

- Dzięki Bogu jest ukryta. Kto wie, ilu ludzi nie zawahałoby się zabijać, byle tylko ją zdobyć.

- Dirk nigdy nie podniósłby na kogoś ręki dla pieniędzy - powiedział Sandecker. - Za dobrze go znam. Zajmuje się tym, bo lubi przygody i postawił sobie za punkt honoru rozwikłanie tajemnicy La Dorady. W żadnym wypadku nie powoduje nim chęć zysku.

Jessie nie odpowiedziała. Otworzyła oczy i dopiero teraz zauważyła nadchodzącą grupę. Nie rozróżniała dokładnie poszczególnych postaci, bo kontury zacierała unosząca się w powietrzu żółta mgiełka dymu, ale jedna z nich mierzyła sobie chyba z siedem stóp. W każdym razie wyróżniała się zdecydowanie wzrostem spośród pozostałych. Śpiewali coś, ale nie rozpoznawała melodii.

Wrócił Giordino z trzema filiżankami na małej tacy. Zatrzymał się i patrzył przez dłuższą chwilę na gromadkę lawirującą między zwałami gruzu pokrywającymi plac.

Postać krocząca w środku nie miała siedmiu stóp wzrostu. Był to mężczyzna niosący na barana małego chłopca. Chłopiec sprawiał wrażenie wystraszonego i mocno obejmował czoło mężczyzny przesłaniając rączkami górną część jego twarzy. Mężczyzna niósł jeszcze na ręku dziewczynkę, a drugiej ręki czepiała się kurczowo inna dziewczynka nie mająca więcej niż pięć lat. Z tyłu, deptając im po piętach, dreptało gęsiego dziesięcioro, a może jedenaścioro maluchów. Śpiewali coś, chyba łamaną angielszczyzną. Obok szeregu, ujadając do wtóru, biegły trzy psy.

Sandecker spojrział ciekawie na Giordina. Krępy Włoch przetarł łzawiące od dymu oczy i wpatrywał się z napięciem i niedowierzaniem w tę osobliwą, wzruszającą scenkę.

Mężczyzna był tak wyczerpany, że wyglądał jak widmo. Szedł utykając, a ubranie wisiało na nim w strzępach. Oczy miał zapadnięte, wymizerowaną twarz umazaną zaciekami zakrzepłej krwi. Nie poddawał się jednak i z desperacją prowadził dzieciarnię, wyśpiewując na całe gardło.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała Jessie i zaczęła z wysiłkiem wstawać ze schodów. - Trzeba się będzie zająć tymi dziećmi.

Gromadka była już na tyle blisko, że Giordino rozpoznał wreszcie piosenkę, którą śpiewali: *I'm a Yankee Doodle Dandy. A Yankee Doodle do or die...* Giordino otworzył usta ze zdziwienia, z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. Pokazał palcem, z wrażenia nie mogąc dobyć z siebie głosu. Potem odrzucił za siebie filiżanki z kawą i jak szalony runął w dół po stopniach katedry.

- To on! - wrzeszczał w biegu.

A real live nephew of my Uncle Sam. Bom on the fourth of July.

- Co takiego? - krzyknął za nim Sandecker. - Co ty powiedziałaś?

Jessie, zapominając nagle o nieludzkim wyczerpaniu, zerwała się na nogi i puściła biegiem w ślad za Giordinem.

- Wraca! - zdążyła jeszcze krzyknąć.

Sandecker wystartował ostatni.

Dzieci urwały w pół zwrotki i zbiły się w ciasną gromadkę wokół mężczyzny, wystraszone widokiem trojga ludzi pędzących z krzykiem w ich stronę. Przywarły do niego jak do ostatniej deski ratunku. Psy zwarły szeregi u jego nóg i rozszczękały się jeszcze głośniej.

Giordino zatrzymał się jak wryty niecałe dwie stopy od nich i nie wiedział, co powiedzieć. Uśmiechał się tylko coraz szerzej, a twarz rozjaśniała mu się w wyrazie zachwytu i ulgi. W końcu odzyskał mowę.

- Witaj z powrotem, Łazarzu.

Pitt uśmiechał się szelmowsko.

- Cześć, stary. Nie masz czasem za pazuchą flaszeczki wytrawnego martini?

ROZDZIAŁ 78

Sześć godzin później Pitt spał kamiennym snem w pustej alkowie katedry. Nie chciał się położyć, dopóki nie zajęto się dziećmi i nie nakarmiono psów. Potem zażądał, żeby i Jessie też trochę odpoczęła.

Leżeli kilka stóp od siebie na podwójnym kocu rozesłanym na twardych płytach posadzki i spełniającym rolę materaca. Wierny Giordino siedział w trzcinowym fotelu w wejściu do alkowy pilnując, by nikt nie zakłócił im snu i sztorcując co rusz jakąś bawiącą się za blisko albo za hałaśliwie watahę dzieciarni.

Na widok Sandeckera, nadchodzącego na czele grupy umundurowanych Kubańczyków, zeszywniał. Był wśród nich Ira Hagen. Wyglądał teraz starzej i sprawiał wrażenie o wiele bardziej zmęczonego niż niecałe dwadzieścia godzin temu, kiedy Giordino widział go po raz ostatni. Mężczyznę kroczącego obok Hageny i bezpośrednio za Sandeckerem Giordino rozpoznał od razu. Podniósł się z fotela, kiedy Sandecker wskazał ruchem głowy na dwoje śpiących.

- Obudź ich - polecił przyciszonym głosem admirał.

Jessie zareagowała jękiem na przywoływanie do rzeczywistości. Giordino musiał ją kilka razy potrząsnąć za ramię, żeby nie odpłynęła z powrotem w sen. Nadal śmiertelnie zmordowana i rozespana, usiadła i potrząsnęła głową, żeby na dobre się rozbudzić.

Pitt obudził się niemal natychmiast i błyskawicznie oprzytomniał. Przekręcił się na drugi bok i podźwignąwszy na łokciu do pozycji pośledzającej przesunął czujnym wzrokiem po twarzach otaczających go półkolem mężczyzn.

- Dirk - powiedział Sandecker. - Przedstawiam ci prezydenta Fidela Castro. Przeprowadza właśnie inspekcję w szpitalach i powiedziano mu, że jesteście tu z Jessie. Chciałby z wami porozmawiać.

Zanim Pitt zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Castro wystąpił naprzód, chwycił go za rękę i z zadziwiającą siłą poderwał na nogi. Jego magnetyczne brązowe oczy napotkały przenikliwie opalizującą zieleń. W przeciwieństwie do Pitta, na którym nadal zwisało w strzępach to samo lepiące się od brudu ubranie, w którym przyszedł do katedry, Castro miał na sobie wykrochmalony mundur polowy z naszywkami komendanta na pagonach.

- A więc to jest człowiek, który wystrychnął na dudka moje siły bezpieczeństwa i ocalił miasto - powiedział Castro po hiszpańsku.

Jessie przetłumaczyła i Pitt potrząsnął przecząco głową.

- Byłem tylko jednym z tych szczęściarzy, którym udało się ująć z życiem. Co najmniej dwa tuziny innych zginęło, próbując zapobiec tragedii.

- Gdyby te statki wybuchły przy nabrzeżach, większa część Hawany leżałaby teraz w gruzach. Miasto stałoby się grobowcem dla mnie i pół miliona moich współobywateli. Kuba jest wdzięczna i pragnie nadać panu tytuł Bohatera Rewolucji.

- Tylko tego mi brakowało - mruknął pod nosem Pitt.

Jessie rzuciła mu nienawistne spojrzenie i nie przetłumaczyła jego słów.

- Co on powiedział? - zainteresował się Castro.

Jessie odchrząknęła.

- Eee... powiedział, że jest zaszczycony.

Po tym wstępie Castro poprosił Pitta, żeby mu opowiedział, jak opanowali statki.

- Niech mi pan opowie wszystko, co widział - poprosił uprzejmie. - Wszystko, co działo się na pańskich oczach. Od samego początku.

- Mam zacząć od momentu opuszczenia terenu ambasady szwajcarskiej? - spytał Pitt, mrużąc przekornie oczy.

- Jak panu wygodniej - odparł Castro, pojmując znaczenie tego spojrzenia.

Castro przerywał gradem pytań relacje Pitta, opisującego desperacką bitwę w dokach i kłopoty z wyprowadzeniem z portu *Amy Bigalow* i *Oziera Zajsan*. Ciekawość kubańskiego przywódcy była nienasycona. Raport trwał niemal tak długo, jak same wydarzenia.

Pitt relacjonował fakty starając się mówić możliwie beznamiętnie i z dystansem. Wiedział, że nie jest w stanie opisać słowami bezgranicznej odwagi ludzi, którzy poświęcili życie za obywateli innego kraju. Opowiedział o przeprowadzonej przez Clarka wspaniałej akcji związania w walce przeważających sił przeciwnika, o tym, jak Manny i Moe ze swoimi załogami pracowali w pocie czoła w mrocznych trzewiach statków, żeby uruchomić maszyny, świadomi, że w każdej chwili mogą zostać rozbici na atomy. Opowiedział, jak Jack ze swoją załogą do końca trwali na holowniku odciągając statki śmierci w morze. Żałował, że nie ma ich tu teraz i nie mogą sami opowiedzieć swoich przeżyć. Ciekaw był, co by powiedzieli. Uśmiechnął się na myśl o tym, w jaką konsternację wprowadziłby słuchaczy Manny swoim niewyparzonym językiem.

Na koniec opowiedział o tym, jak fala wniosła go do miasta, jak stracił przytomność i jak ocknąwszy się stwierdził, że zwisa głową do dołu z szyldu nad sklepem jubilerskim. Opisał, jak brnąć przez

rumowisko usłyszał płacz dziewczynki i wyciągnął ją i braciszka spod gruzów zawalonej kamienicy. Jak potem zdawał się przyciągać niczym magnes wszystkie zabłąkane dzieciaki. Przez noc jego kolekcję powiększali jeszcze ratownicy. Kiedy nie można już było znaleźć nikogo żywego, milicjant skierował Pitta do szpitala dziecięcego. Tam właśnie spotkał przyjaciół.

Pitt urwał i opuścił ręce.

- To wszystko - zakończył.

Castro nie spuszczał oczu z Pitta i słuchał go z wypiekami na twarzy. Teraz podszedł i wziął go w objęcia.

- Dziękuję - wymruczał łamiącym się głosem. Potem pocałował Jessie w oba policzki i uściśnął prawicę Hageny. - Kuba dziękuje wam wszystkim. Nie zapomnimy.

Pitt spojrzał chytrze na Castra.

- A czy w związku z tym mógłbym poprosić pana o przysługę?

- Wystarczy jedno pańskie słowo - przystał chętnie Castro.

Po chwili wahania Pitt wyrzucił z siebie:

- Jest tu taki jeden kierowca taksówki, Herberto Figueroa. Gdybym znalazł w Stanach odrestaurowanego chevroleta pięćdziesiątkę siódemkę i przysłał mu go, to mógłby pan dopilnować, żeby otrzymał tę przesyłkę? Ja i Herberto bylibyśmy panu za to bardzo wdzięczni.

- Ależ oczywiście. Osobiście dopilnuję, żeby dotarł do niego pański dar.

- Chciałbym prosić o jeszcze jedną przysługę - ciągnął Pitt.

- Nie przeciągaj struny - szepnął Sandecker.

- Jaką? - spytał uprzejmie Castro.

- Czy mógłbym wypożyczyć statek wyposażony w dźwig?

ROZDZIAŁ 79

Zidentyfikowano ciała Manny'ego i trzech ludzi z jego załogi. Clarka wyłowiono z kanału łódź rybacka. Ich zwłoki odesłano samolotem do Waszyngtonu. Po Jacku, Moem i pozostałych ślad zaginął.

Cztery dni po katastrofalnej w skutkach eksplozji statków śmierci opanowano wreszcie pożary. Ostatni, wyjątkowo trudny do ugaszenia, miał jeszcze płonąć tydzień. Minie sześć tygodni, zanim znalezione zostaną ostatnie zwłoki ofiary katastrofy. Wielu ciał nie odnajdzie się nigdy.

Kubańczycy byli skrupulatni w swoich rachunkach. Sporządzili wreszcie kompletną listę ofiar. Liczba zabitych sięgnęła 732. Rannych było w sumie 3769 osób. Liczbę zaginionych oszacowano na 197.

Pod naciskiem prezydenta Kongres przyznał Kubie bezzwrotną pożyczkę na odbudowę Hawany w wysokości 45 milionów dolarów. W geście dobrej woli prezydent uchylił również obowiązujące od trzydziestu pięciu lat embargo na handel z Kubą. Ameryka mogła nareszcie znów palić legalnie wyśmienite kubańskie cygara.

Po wydaleniu Rosjan, jedynym ich przedstawicielstwem na Kubie została Sekcja Interesów Specjalnych, działająca kątem w polskiej ambasadzie. Kubańczycy nie ronili po nich łez.

Castro nadal pozostał w duchu orędownikiem rewolucji marksistowskiej, ale stopniowo miękł. Po podpisaniu paktu przyjaźni USA - Kuba, bez wahania przyjął od prezydenta zaproszenie do złożenia wizyty w Białym Domu i wygłoszenia mowy przed połączonymi izbami Kongresu, chociaż zżymał się, kiedy go poproszono, by ograniczył czas tego wystąpienia do dwudziestu minut.

O świcie trzeciego dnia po eksplozji stary, obdrapany, sfatygowany stateczek rzucił kotwicę prawie dokładnie pośrodku portu. Statki pożarnicze i jednostki ratownicze omijały go jak samochód tarasujący przejazd na autostradzie. Był to przysadzisty, szeroki, przeznaczony do prac portowych statek o długości około sześćdziesięciu stóp, z umieszczonym na rufie małym żurawiem, którego ramię wystawało nad wodę. Załoga zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na trwającą akcję ratowniczą.

Większość pożarów w dokach już ugaszono, ale strażacy wylewali wciąż tysiące galonów wody na dymiące pogorzelnisko wewnątrz powykręcanych z gorąca szkieletów magazynów. Po drugiej stronie portu buchało uparcie płomieniem kilka poczerniałych zbiorników ropy i w powietrzu unosił się

cierpki odór płonącego oleju i smażącej się gумы.

Pitt stał na złuszczonej pokładzie statku dźwigu i mrużąc oczy wpatrywał się poprzez żółtą mgiełkę dymu we wrak tankowca. Z *Oziera Bajkał* pozostała tylko strawiona przez ogień, zniekształcona nadbudówka rufowa, wznosząca się groteskowo ponad tłustą wodę. Pitt spojrział na mały kompas, który trzymał w dłoni.

- To tu? - spytał admirał Sandecker.

- W tym miejscu przecinają się linie poprowadzone z punktów odniesienia na lądzie - odparł Pitt.

Przez okno sterówki wystawił głowę Giordino.

- Magnetometr szaleje. Znajdujemy się dokładnie nad wielką masą metalu.

Jessie siedziała na pokrywie luku. Ubrana w szare szorty i bladoniebieską bluzę znowu wyglądała powabnie.

Rzuciła Pittowi zaciekawione spojrzenie.

- Nie raczyłeś mi jeszcze powiedzieć, dlaczego uważasz, że Raymond ukrył La Doradę na dnie basenu portowego i skąd wiesz, w którym miejscu jej szukać.

- Byłem głupi, że od razu na to nie wpadłem - wyjaśnił Pitt. - Początkowo nie kojarzyłem zupełnie, co miał na myśli mówiąc: "Szukajcie na miejscu po Maine".

- A teraz już kojarzysz? - Jessie patrzyła na niego niepewnie.

- Przypomnij sobie Pearl Harbor, Alamo i *Maine*. Mniej więcej w tym miejscu, w roku 1898 wyleciał w powietrze okręt wojenny *Maine*, co dało początek wojnie hiszpańskoamerykańskiej.

Jessie zaczęła odczuwać pierwsze oznaki podniecenia.

- I Raymond zrzucił statwę do morza na wrak tego starego okrętu?

- Na miejsce, gdzie kiedyś spoczywał ten wrak - skorygował Pitt. - W roku 1912 kadłub *Maine'a* podniesiono z dna i odholowano na pełne morze, gdzie zatopiono go ponownie z powiewającą na maszcie flagą.

- Ale dlaczego Raymond z premedytacją wrzucił statwę do morza?

- Żeby to zrozumieć, należy się cofnąć do chwili, kiedy LeBaron i jego wspólnik, Hans Kronberg, który prowadził z nim małą firmę ratownictwa morskiego, znaleźli wrak *Cyklopa* i wydobyli z niego La Doradę. Powinien to być wielki tryumf dla dwóch przyjaciół, którzy na przekór wszelkim przeciwnościom, wspólnym wysiłkiem wyrwali zachłannemu morzu najbardziej poszukiwany w dziejach skarb. I powinno się to zakończyć happy endem. Ale tak się nie stało. Raymond LeBaron był zakochany w żonie Kronberga.

Twarz Jessie stężała w wyrazie zrozumienia.

- W Hildzie - szepnęła.

- Tak. W Hildzie. Miał dwa motywy, żeby dążyć do pozbycia się Hansa. Skarb i kobietę. Po wydobyciu La Dorady musiał jakoś nakłonić Hansa do ponownego nurkowania. Potem przeciął mu przewody tlenowe, skazując przyjaciela na upiorną śmierć. Wyobrażasz sobie, co to znaczy dusić się głęboko pod wodą w takim stalowym grobowcu jak *Cyklopi*

Jessie odwróciła wzrok.

- Nie chce mi się wierzyć.

- Widziałaś ciało Kronberga na własne oczy. Prawdziwym kluczem do zagadki była Hilda. Opowiedziała mi w ogólnych zarysach tę ponurą historię. Pozostało mi tylko uzupełnić kilka szczegółów.

- Raymond nie mógłby popełnić morderstwa.

- Mógł i popełnił je. Usunął Hansa i poszedł jeszcze dalej. Okpił Urząd Skarbowy, który mógł go dopaść, bo jak sobie zapewne przypominasz, pod koniec lat pięćdziesiątych władze federalne ściągały ponad osiem procent podatku od wszelkich dochodów przekraczających 150000 dolarów. Wymigał się także od długotrwałego procesu z rządem Brazylii, który słusznie domagałby się zwrotu statuy uznając ją za zagrabiony skarb kultury narodowej. Tak więc Raymond LeBaron, nic nikomu nie mówiąc, popłynął na Kubę. Cwany był gość z tego twojego kochanka.

Stanął teraz przed problemem upłynnienia znaleziska. Kogo mogło być stać na zapłacenie choćby cząstki wartości tego dzieła sztuki, szacowanej na jakieś dwadzieścia do pięćdziesięciu milionów dolarów? Obawiał się też, że kiedy rozejdzie się fama o znalezisku, ówczesny kubański dyktator, Fulgencio Batista, gangster pierwszej wody, zagarnie skarb. A jeśli nie uczyni tego Batista, to już na pewno któryś z mafiosów, ściągniętych przez niego na Kubę po drugiej wojnie światowej. Raymond postanowił więc z konieczności rozczłonkować La Doradę i sprzedawać ją po kawałku.

Niestety, złą wybrał sobie porę. Wpłynął swoją łodzią ratowniczą do Hawany tego samego dnia, kiedy, obalwszy skorumpowany rząd Batisty, do miasta wpadli hurmem rebelianci Castra. Władze rewolucyjne z miejsca zamknęły port i lotnisko, żeby uniemożliwić kumplom Batisty ucieczkę z Kuby i wywiezienie nieprzebranych bogactw zrabowanych w tym kraju.

- I LeBaron został z niczym? - spytał Sandecker. - Wszystko stracił?

- Niezupełnie. Zdał sobie sprawę z tego, że wpadł w pułapkę i że przeszukanie jego łodzi i znalezienie La Dorady jest tylko kwestią czasu. Nie miał innego wyboru, jak tylko brać tyle, ile był w stanie unieść, i łapać najbliższy samolot odlatujący do Stanów. Musiał pod osłoną nocy wyprowadzić swoją łódź na środek portu, wystawić statuetkę dźwigiem za burtę i zrzucić ją w miejscu, gdzie przed siedemdziesięciu laty wyleciał w powietrze okręt wojenny *Maine*. Zamierzał, rzecz jasna, wrócić tu, kiedy się uspokoi, i odzyskać posąg, ale Castro grał według swoich własnych reguł.

Romans Kuby ze Stanami Zjednoczonymi szybko się skończył i LeBaron nigdy nie miał już okazji powrócić po swój łup, bo nie do pomyslenia było, aby na oczach służb bezpieczeństwa Castra podnosić z dna trzy tonowy, bezcenny skarb.

- I jaką część statuy zabrał ze sobą? - spytała Jessie.

- Hilda twierdzi, że wydłubał jej rubinowe serce. Potem, przeszmygowawszy kamień do kraju, kazał go dyskretnie pociąć, oszlifować i sprzedawał po kawałku przez pośredników. Teraz miał już wystarczającą odskocznnię, by z Hilda u swego boku sięgnąć wyżyn wielkich finansów. Raymond LeBaron dorwał się do żłobu.

Przez dłuższą chwilę milczeli, każdy z nich przeniósł się w myślach trzydzieści lat wstecz i wyobrażał sobie zdesperowanego LeBarona wyrzucającego złotą kobietę przez burtę swej łodzi.

- La Dorada - przerwał ciszę Sandecker - pod wpływem swego ciężaru zaryłaby się głęboko pod miękką muł pokrywający dno portu.

- Admirał ma rację - dorzucił Giordino. - LeBaron nie wziął pod uwagę, że ponowne jej odnalezienie będzie wymagało zakrojonej na szeroką skalę operacji.

- Przyznam, że mnie to też nie dawało spokoju - powiedział Pitt. - Musiał przecież wiedzieć, że po opasaniu linami i podniesieniu głównej części kadłuba *Maine'a* na dnie pozostały setki ton zagrzebanych w mule szczątków, które właściwie uniemożliwiały jej odszukanie. Najbardziej wymyślny wykrywacz metali, jaki można kupić za pieniądze, nie wyłuska jednego konkretnego obiektu z całego złomowiska.

- A więc statua zostanie już tam na zawsze - powiedział Sandecker. - Chyba że ktoś się kiedyś zaprze i przewróci do góry nogami pół portu, dopóki na nią nie natrafi.

- Może tak, może nie - powiedział tajemniczo Pitt, widząc oczyma duszy coś, czego nikt oprócz niego nie dostrzegał. - Raymond LeBaron miał swój rozum. W dodatku był doświadczonym ratownikiem podwodnym, profesjonalistą. Jestem przekonany, że bardzo dobrze wiedział, co robi.

- Do czego zmierzasz? - spytał Sandecker.

- Zgadza się, wystawił statwę za burtę. Ale zakładam się, że opuszczał ją bardzo wolno, nogami w dół, żeby spoczęła na dnie w pozycji stojącej.

Giordino stał ze wzrokiem wbitym w pokład.

- Być może - wycedził powoli. - Być może. Ile ona ma wysokości?

- Około ośmiu stóp, wliczając w to cokół.

- Trzy tony osiadające przez trzydzieści lat w mule... - mruknął Sandecker. - Całkiem możliwe, że wystaje jeszcze ze dwie stopy ponad dno portu.

Pitt uśmiechnął się z rezerwą.

- Dowiemy się, kiedy zejdziemy z Alem na dół i przystąpimy do poszukiwań.

Jak na komendę umilkli i spojrzeli przez burtę w zmieszana z olejem, pokryta popiołami, ciemną i tajemniczą wodę. Gdzieś z tych złowieszczych, zielonych odmętów wzywała ich La Dorada.

ROZDZIAŁ 80

Pitt stał w pełnym rynsztunku nurka i obserwował pęcherzyki powietrza unoszące się z głębin i pękające po dotarciu na powierzchnię. Zerknął na zegarek sprawdzając czas. Giordino przebywał już blisko piętnaście minut na głębokości czterdziestu stóp. Powrócił do obserwacji bąbelków i zauważył, że stopniowo zaczynają formować krąg. Oznaczało to, że Giordinowi pozostało jeszcze tyle powietrza, by wykonać ostatnie pełne okrążenie wokół liny zejściowej przywiązanej do boi, która kołysała się na wodzie w odległości jakichś trzydziestu jardów od statku.

Nieliczna zwerbowana przez Sandeckera załoga złożona z Kubańczyków zachowywała się bardzo cicho. Pitt spojrzał na pokład i zobaczył, jak wszyscy stoją przy relingu obok admirała wpatrując się jak zahipnotyzowani w lśnienia rozchodzące się od pęcherzyków.

Pitt odwrócił się do stojącej obok Jessie. Przez ostatnie kilka minut nie wypowiedziała słowa ani się nie poruszyła. Na jej napiętej twarzy malowała się głęboka koncentracja, a oczy błyszczały podnieceniem. Pochłaniała ją bez reszty myśl, że za chwilę ujrzy legendę. I nagle zawołała:

- Spójrz!

Z głębin unosił się ciemny kształt otoczony rojem bąbelków. Głowa Giordina przebiła powierzchnię w pobliżu boi. Przekręcił się na plecy i przebijając od niechcienia płetwami podpłynął do drabinki. Przed wspięciem się na pokład podał swój pas obciążnikowy i podwójną butlę tlenową. Ściągnął z twarzy maskę i splunął za burtę.

- Jak poszło? - spytał Pitt.

- Nieźle - odparł Giordino. - Sytuacja przedstawia się następująco. Zrobiłem osiem okrążeń wokół punktu centralnego, w którym zakotwiczona jest lina zejściowa boi. Widoczność nie przekracza trzech stóp. Dno pokrywa mieszanina piasku i mułu, a więc nie jest ono wcale takie miękkie. Statua nie musiała się skryć pod nim z głową.

- Prąd?

- Około węzła. Można wytrzymać.

- Jakież przeszkody?

- Z dna wystaje trochę przerdzewiałego żelastwa, uważaj, żeby nie zahaczyć o to linką dystansową.

Podszedł Sandecker, stanął za Pittem i przeprowadził ostatnią kontrolę jego rynsztunku. Pitt zajął pozycję w otwartej furtce relingu i wsunął sobie między zęby ustnik regulatora powietrza.

Jessie ścisnęła go lekko za ramię przez skafander ochronny.

- Powodzenia - powiedziała.

Mrugnął do niej przez szybki maski i wykonał długi wyrok przed siebie. Jasne światło słoneczne rozproszył raptowny wyrój pęcherzyków powietrza i pochłonęła go zielona otchłań. Podpłynął do boi i zaczął się opuszczać wzdłuż liny zejściowej. Żółty, nylonowy warkocz rozmywał się i nikał zupełnie w nieprzeniknionym mroku kilka stóp niżej.

Pitt zanurzał się wzdłuż liny ostrożnie i bez pośpiechu. Zatrzymał się raz, żeby przepchać sobie uszy. Niespełna minutę później poczuł grunt, jakby dno gwałtownie się podniosło wychodząc na spotkanie jego wyciągniętej dłoni. Zatrzymał się ponownie, żeby wyregulować kompensator pływalności i sprawdzić godzinę na zegarku, kierunek na kompasie i wskazanie miernika ciśnienia powietrza. Następnie ujął linkę dystansową, którą Giordino doczepił do liny zejściowej zaciskiem, i zaczął się oddalać po promieniu.

Po przepłynięciu około dwudziestu czterech stóp jego dłoń natrafiła na węzeł, który Giordino zawiązał na lince, by zaznaczyć największy promień swego ostatniego okrążenia. W pobliżu wypatrzył pomarańczowy palik sterczący z mulistego dna i wytyczający punkt startowy, z którego poszukiwania po okręgu miał podjąć on. Nie popuszczając linki dystansowej przesunął palik o kolejne sześć stóp dalej i ruszył w swoją okrężną trasę, mając widoczność ograniczoną do trzech stóp w każdą stronę.

Woda była nieruchoma, pozbawiona jakichkolwiek śladów życia, i śmierdziała chemikaliami. Przechodził przez kolonie martwych morskich organizmów zmiażdżonych falą uderzeniową po wybuchu tankowca. Ich ścierwa toczyły się po dnie pchane prądem pływowym jak liście w podmuchach lekkiej bryzy. Pocił się pod skafandrem stojąc w słońcu na pokładzie statku, pocił się i teraz, czterdzieści stóp pod powierzchnią. Dochodziło go tu buczenie łodzi ratowniczych uwijających się po porcie, a gęsta woda wzmacniała jeszcze ryk ich silników i kawitację śrub okrętowych.

Badał jard po jardzie nagie dno, dopóki nie zatoczył pełnego koła. Przesunął wtedy palik o następne sześć stóp i rozpoczął kolejne okrążenie posuwając się tym razem w przeciwnym kierunku.

Pływając po podwodnej pustyni i widząc tylko na odległość wyciągniętej ręki, nurkowie doświadczają uczucia wielkiego osamotnienia. Ludny świat realny na oddalonej o zaledwie pięćdziesiąt stóp powierzchni przestaje dla nich istnieć. Zapominają o ostrożności i stają się obojętni wobec nieznanego. Zaczynają fantazjować na skutek zaburzeń percepcji.

Pitt nie odczuwał niczego takiego, może poza szczyptą skłonności do fantazjowania. Był pochłonięty poszukiwaniami, a oczyma duszy widział tak sugestywny obraz połyskującej złotem i drogimi kamieniami statuy, że omal nie przeoczył niewyraźnego kształtu mającego w pomroce po jego prawej ręce.

Przebierając szybko płetwami popłynął w tamtą stronę. Obiekt był z grubsza okrągły i częściowo zagrzebany w mule. Te dwie stopy, które wystawały z dna, pokrywał szlam i falujące z prądem pasma morskiej flory.

Pitt setki razy zastanawiał się, co będzie odczuwał, jak zareaguje stając oko w oko ze złotą kobietą. A teraz odczuwał obawę. Bał się, że to tylko fałszywy alarm i że poszukiwania mogą się nigdy nie zakończyć sukcesem.

Powoli, lękliwie, otarł śluzowaty nalot obleczonej w rękawicę dłonią. Skłębiony obłok mikroskopijnych drobin przegniłej roślinności i mułu przesłonił przedmiot. Pitt czekał w niesamowitej ciszy, dopóki chmura nie rozplynęła się i nie wtopiła w wodny mrok.

Sunąc tuż nad dnem przybliżał się tak, że tylko kilka cali dzieliło jego twarz od tajemniczego obiektu. Spojrzał nań przez szybkę maski. W ustach mu zaschło, a serce zabiło jak młotem.

Z ponadczasową melancholią patrzyła na niego para szmaragdowozielonych oczu.

Pitt znalazł La Doradę.

ROZDZIAŁ 81

4 stycznia 1990 Waszyngton, D.C.

Oświadczenie prezydenta o istnieniu Kolonii Jersey oraz dokonaniach Eli Steinmetza i jego zespołu zelektryzowało naród i wywołało światową sensację.

Wieczór w wieczór, przez cały tydzień, widzów raczono spektakularnymi migawkami księżycowego krajobrazu nie pokazywanymi podczas krótkich lądowań misji *Apollo*. Przedstawiano też w pełnych dramaturgii ujęciach walkę kolonistów o przetrwanie podczas wznoszenia nadającej się do zamieszkania siedziby.

Steinmetz i jego ludzie stali się bohaterami dnia. Fetowano ich w całym kraju, zasypywano pytaniami w niezliczonych programach telewizyjnych, a w Nowym Jorku urządzono na ich cześć tradycyjną paradę tryumfalną z rozrzucaniem konfetti.

W radości z tryumfu księżycowych kolonistów pobrzmiewały nutki staromodnego patriotyzmu, wstrząs wywołany ich wyczynem sięgnął jednak głębiej, ukazał szersze perspektywy. Podbój kosmosu zaowocował wreszcie czymś konkretnym, trwałym. Nie były to już jakieś krótkie loty ponad atmosferę ziemską, z których nic nie wynikało, tylko namacalny dowód na to, że człowiek może wieść życie z dala od swej rodzimej planety.

Na prywatnej kolacji wydanej na cześć “jądra” i kolonistów prezydent tryskał optymizmem. W jakże odmiennym nastroju spotykał się po raz pierwszy z ludźmi, którzy zaprojektowali i zbudowali bazę księżycową. Wzniósł kieliszek z szampanem zwracając się do Hudsona, który patrzył na wypełnioną salę nieobecny wzrokiem, jakby nikogo nie widział ani nie słyszał.

- Błędzisz myślami w kosmosie, Leo?

Oczy Hudsona spoczęły na moment na prezydencie. Skinął głową.

- Przepraszam. Mam taki paskudny nawyk. Wyłączam się na przyjęciach.

- Założę się, że snujesz plany nowego osiedla na Księżycu.

Hudson uśmiechnął się z przymusem.

- Prawdę mówiąc, myślałem o Marsie.

- A więc Kolonia Jersey to nie koniec?

- Końca nie będzie nigdy. Będzie tylko początek kolejnego początku.

- Kongres podda się nastrojom społeczeństwa i uchwali fundusze na rozbudowę kolonii. Ale przyczółek na Marsie... tu wchodzi w grę ciężkie pieniądze.

- Jeśli nie my teraz, to zrobi to następne pokolenie.

- Masz już nazwę dla tego projektu?

Hudson potrząsnął głową.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

- Często zachodziłem w głowę - zwierzył się prezydent - skąd się wzięło określenie "Kolonія Jersey".

- I domyślił się pan?

- Jest stan New Jersey, wyspa Jersey u wybrzeży Francji, swetry o tej nazwie...

- Jest też taka rasa krów.

- Że co?

- To z dziecinnego kołysanki: *Hej, dylu dylu, Gra kotek na badyłu, A krowa wskoczyła na Księżyc.*

Przez chwilę prezydent gapił się na niego zakłopotany, potem wybuchnął śmiechem. Kiedy się uspokoił, powiedział:

- Mój Boże, ileż w tym ironii. Największe osiągnięcie człowieka wzięło swą nazwę od krowy.

- Jest naprawdę piękna - stwierdziła Jessie.

- Jest wspaniała - zgodził się Pitt. - Można patrzeć na nią bez końca.

Wpatrywali się z autentyczną fascynacją w La Doradę, która stała teraz na centralnym dziedzińcu wschodniego pawilonu waszyngtońskiej Galerii Narodowej. Jej wypolerowany złoty tułów i połyskująca szmaragdowa głowa błyszczały w promieniach słońca wpadających przez wielki świetlik. Robiła piorunujące wrażenie. Anonimowy indiański rzeźbiarz wiernie uchwycił jej urodę i grację. Stała w swobodnej pozie, z wysuniętą do przodu jedną nogą, rękoma zgiętymi lekko w łokciach i dłońmi odchylnymi na zewnątrz od boków.

Piedestał z różowego kwarcu, na którym stała, umieszczono na pełnym kłocu brazylijskiego

palisandru. Brakujące serce zastąpiono innym, wykonanym z karmazynowego szkła dorównującego niemal splendorem oryginalnemu rubinowi.

Tłumy zachwyconych ludzi syciły oczy tym wspaniałym widokiem. Kolejka ciągnęła się przez całą galerię i wychodziła na ćwierć mili poza jej mury. La Dorada pobiła nawet rekord frekwencji, jaki padł podczas wystawy znalezisk z piramidy Tutenchamona.

Złożył jej hołd chyba każdy dygnitarz w stolicy. Przed udostępnieniem statuy zwiedzającym, oglądała ją Hilda Kronberg LeBaron w towarzystwie prezydenta i jego żony. Stara dama siedziała w swoim fotelu na kółkach, rozplývając się w uśmiechach, podczas gdy prezydent wygłaszał krótką mowę pochwalną na cześć dwóch mężczyzn z jej przeszłości. Kiedy pomógł jej wstać z fotela, żeby mogła dotknąć statuy, nikt z obecnych w sali nie mógł powstrzymać łez wzruszenia.

- Dziwne - mruknęła Jessie - kiedy się pomyśli, że to wszystko zaczęło się od wraku *Cyklopa*, a skończyło na wraku *Maine*.

- Tylko dla nas - odparł w zadumie Pitt. - Dla niej zaczęło się to czterysta lat temu w brazylijskiej dżungli.

- Trudno uwierzyć, że coś tak pięknego stało się przyczyną tylu tragedii.

Pitt nie słuchał i nie odpowiedział.

Zerknęła na niego zaciekawiona. Wpatrywał się z napięciem w statuę, błędząc myślami w innym czasie, w innym miejscu.

- Hej, obudź się - upomniała go.

Odwrócił powoli głowę i spojrzał na nią. Wracał do rzeczywistości. Czar prysł.

- Przepraszam - powiedział.

Jessie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Kiedy wyruszasz?

- Gdzie?

- Na poszukiwanie zaginionego miasta La Dorady.

- Nie ma pośpiechu - odparł Pitt szczerze rozbawiony. - Nigdzie mi nie ucieknie.